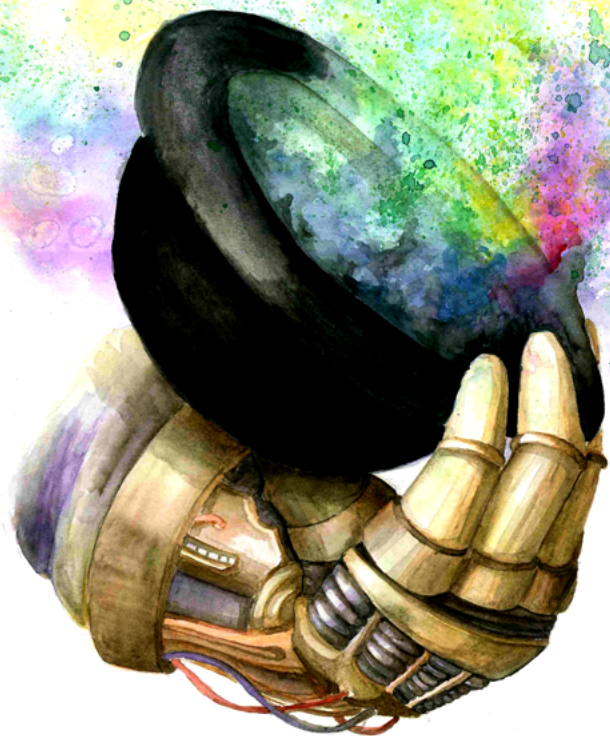


ŚCIEŻKI WYOBRAŹNI

Skafander i melonik



SKAFANDER I MELONIK

Antologia
Sekcji Literackiej
Śląskiego Klubu Fantastyki



Śląski Klub Fantastyki
Katowice 2018

SKAFANDER I MELONIK – Antologia Sekcji Literackiej Śląskiego Klubu Fantastyki
© 2018 Śląski Klub Fantastyki

Projekt okładki:
Alicja Tempłowicz

Ilustracje:
Alicja Tempłowicz

Redakcja:
Anna Askaldowicz
Anna Kańtoch
Alicja Tempłowicz

Korekta:
Krzysztof Wójcikiewicz
Anna Kańtoch

Skład i łamanie:
Michał Dagajew

Wydawca:
Śląski Klub Fantastyki
ul. A. Górnika 5
40-133 Katowice (Koszutka)

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być powielana ani rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny), włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów bez pisemnej zgody wydawcy.

SPIS TREŚCI

WSTĘP *Katarzyna Rupiewicz*

**DETEKTYW FIKS I SPRAWA
MECHANICZNEGO SKAFANDRA** *Anna Hryczyszyn*

LA ESTRELLA *Aleksandra Sokólska*

ZWIERCIADŁO W DZIURCE

OD KLUCZA *Marta Magdalena Lasik*

ŚLADY W POPIELE *Karolina Fedyk*

EKONOMIA

TO DOLINA NIESAMOWITOŚCI *Anna Łagan*
JEDEN SPALONY RZUT *Krystyna Chodorowska*

MATKI PŁACZĄ SOLĄ *Alicja Templowicz*

FLAUN *Marta Potocka*

POŚCIG *Michał Cholewa*

Katarzyna Rupiewicz

WSTĘP

Niewielu czytelników zdaje sobie sprawę z tego, jak poważnym problemem dla autora jest pisanie o rzeczach oczywistych. Twórca zna swoją opowieść od podszewki, wie, od czego się zaczęła i dokąd zmierza; ma świadomość motywacji bohaterów; widzi scenerię, w której rozgrywa się akcja. Wbrew pozorom trudno jest mu przyjąć perspektywę odbiorcy odwiedzającego ten świat po raz pierwszy. Dlatego z góry proszę Was o wybaczenie, bo spróbuję pisać o rzeczach oczywistych.

Sekcja Literacka „Logrus” powstała w Śląskim Klubie Fantastyki z inicjatywy Anny Kańtoch i Małgorzaty Pudlik w 2005 roku. Początkowo była to niewielka grupa osób, które spotykały się w klubowej bibliotece, jadły ciastka i beztłonie pastwiły się nad swoimi tekstami.

Ogromną przewagą sekcji nad internetowymi forami (oprócz ciasteczek, rzecz jasna) był bezpośredni kontakt autorów. Nie mieliśmy przypadków anonimowego hejtu ani pustego zachwyty podyktowanego wzajemnymi sympatiami. Jeżeli autor został skrytykowany, to wiedział, co musi w tekście poprawić. Jeśli jakimś cudem otrzymał same pochwały, to mógł być pewien, że udało mu się napisać coś dobrego.

Mijały lata, a liczba członków Logrusa rosła powoli. Uczyliśmy się nie tylko pisać, ale i wspólnie pracować nad tekstami. Piotr Zawada jako pierwszy powiedział nam, że plusy i minusy w opiniach na temat tekstu powinny się równoważyć. Zrozumieliśmy, że miał rację, gdy już przestaliśmy się śmiać.

Boom na sekcję zaczął się około 2015 roku, gdy nagrodę Zajdla otrzymali jednocześnie Michał Cholewa i Anna Kańtoch. Mogła to być przypadkowa zbieżność zdarzeń, ale od tamtego czasu nie mieścimy się już w bibliotece SKF-u.

Logrus stał się jedną z najliczniejszych sekcji w Śląskim Klubie Fantastyki. Choć trudno w to uwierzyć, na spotkania przyjeżdżają

osoby z całej Polski, a nawet z zagranicy. Coraz więcej członków sekcji debiutuje na rynku książkowym, a na stole oprócz ciastek zaczęły się pojawiać ciasta, torty i pizza.

Antologia, którą trzymacie w ręku, jest kolejnym etapem naszego rozwoju. W ubiegłym roku seria Ścieżki wyobraźni debiutowała „Zabawą w Boga”, a w tym oferujemy Wam „Skafander i melonik”. W przypadku obu zbiorów na wybór opowiadań nie miały wpływu dorobek autora, wzajemne sympatie ani gust jednej osoby. Wyłoniliśmy je wspólnie w wewnętrznym konkursie, aby mieć pewność, że poznacie sekcję z jej najlepszej strony.

Nie powiem szczerze: „Mam nadzieję, że nam się udało”, bo wiem, że to bardzo dobre teksty, i trochę Wam zazdroszczę. W końcu zaraz przeczytacie je po raz pierwszy. Liczę natomiast na to, że spotkamy się za rok w kolejnej antologii i że nie wszystko, co napisałam, było dla Was czytawiste.

PS. Nie jest prawdą, jakobyśmy zamierzali przeznaczyć cały dochód z tej antologii na ciasteczka.

Anna Hrycyszyn – Roczniak 1978, gliwiczanka, z wykształcenia tyflopedagog. Szczur lądowy beznadziejnie zakochany w morzach, statkach i okrętach, a do tego wielbicielka rewolucji przemysłowej i architektury obronnej. Echa tych fascynacji pojawiają się w jej tekstach. Przygodę z pisaniem rozpoczęła od publikacji w drugim tomie Fantazji Zielonogórskich.

Anna Hrycyszyn
**DETEKTYW FIKS I SPRAWA
MECHANICZNEGO SKAFANDRA**



Skafander na wpeł wisiął, zaklinowany między potężnym ramieniem napędzającym tłok a podłogą najwyższego piętra przepompowni. Mosiężna dłoń uzbrojona w skomplikowany mechanizm hydrauliczny zaciskała się na barierce otaczającej otwór, przez który przechodziła konstrukcja największego silnika, jaki ktokolwiek wybudował – a co ważniejsze: uruchomił – nie powodując jednocześnie katastrofy, jak to miało miejsce w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym trzecim w Dołku Górnym.

Anton Fiks, przysłany przez szefa straży, żeby, cytując, „sprawdzić, o co właściwie te inżynierzy tak kłapią paszczami”, przyglądał się wszystkiemu z najdalszej odległości, na jaką pozwalało pomieszczenie. Stał bowiem pod ścianą hali, tuż obok okna, z przechyloną na prawo głową i leciutko poruszając wąsikami, kontemplował plan ogólny. Tak to nazywał. Mówił, że zawsze należy od tego zaczynać poszukiwanie odpowiedzi. Nieważne, czy pytanie brzmi: kto zabił, czy też: jaka jest specjalność dnia w ulubionej knajpie strażników na rogu Wolnej i Parkowej. Ja, pomocnica pierwszego szczebla, czekałam cierpliwie – a przynajmniej starałam się sprawiać takie wrażenie – aż spojrzy na mnie świdrującymi bursztynowymi oczyma i lekkim ruchem głowy wyda polecenie wykonania świetlnego obrazu miejsca przestępstwa. Czy co tak naprawdę miało tu miejsce. Bo na razie jasne było tylko, że ktoś z jakiegoś powodu wniósł na szóste piętro wieży ciśnień ciężki skafander i ułożywszy go w malowniczej pozie, ulotnił się, zostawiając po sobie zagadkę – i oczywiście zatrzymany ruch wodociągu obsługującego cały Dołek Dolny.

W pomieszczeniu oprócz nas dwojga nie było nikogo. Co nie znaczy, że było ono ciche. Kąkofonia poirytowanych głosów należących do stłoczonych na półpiętrze inżynierów towarzyszyła nam od początku. Koniecznie chcieli z powrotem wleźć na górę dalej zacierać ślady i oczywiście natychmiast odczepić skafander i poddać go szczegółowym technicznym badaniom, co – jak znam tych fanatyków – skończyłoby się rozłożeniem go na pojedyncze śrubki. Na szczęście dla właśnie rozpoczętego śledztwa, szef tej bandy (główny inżynier pan Laurenty Żmijewski, elegancki dzentelmen w średnim wieku o ujmującej powierzchowności i elektryzującym głose; wybaczenie dygresję, ale nie sposób się od niej powstrzymać) przybył na miejsce pierwszy

i znając dobrze swych podwładnych, zażądał dodatkowych strażników do utrzymania obsługi przepompowni w ryzach. Od czasu do czasu z tego brzęczenia wybijał się stanowczy głos któregoś chłopaka z Szóstej Strażnicy, nakazujący jakiemuś sprytnemu w swym mniemaniu inżynierowi zaprzestanie prób przedostania się wyżej.

Cały ten szum działał mi na nerwy, ale zupełnie nie ruszał Fiksa. Detektyw, kiedy już zaczynał swoje dedukcje, jakby przestawał istnieć w zwykłej przestrzeni. Mógł tak stać godzinę albo i dłużej, a ja potrafiłam czekać jak nikt inny, więc w myśl niepisanej umowy zostaliśmy zespołem, i nawet niektórzy pismacy określali nas mianem „Fiksa i jego dziewczyny”, co – przyznam – na równi mnie irytowało, jak nobilitowało. Wolałabym oczywiście, żeby raczyli używać mojego nazwiska, ale rozumiem, że Gorol (zwłaszcza w połączeniu z wybranym przez moją romantyczną matulę imieniem Jaśmina) to nie jest najbardziej chwytliwe miano, jakie może się trafić pomocnicy detektywa.

Wracając jednak do tego, co z pewnością najbardziej interesujące – Fiks wreszcie odwrócił się do mnie. Najpierw spojrzął mi w oczy, a potem przesunął wzrok na tornister ze sprzętem, leżący na podłodze. Uśmiechnęłam się półgębkiem. Lubiłam swoją pracę, a teraz wreszcie mogłam się nią zająć. Ukłękłam, niepomna na kurz i grudki błota, które sami tu przynieśliśmy – moje udające spódnicę robocze spodnie miały specjalnie dobrany kolor i wzór, żeby brud nie rzucał się na nich w oczy. Najpierw odpięłam od tornistra statyw. Składanie go już dawno opanowałam tak, że nie zajmowało mi więcej jak pięć sekund, choć musiałam przekręcić dokładnie dwadzieścia zatrzaśków złożonych z kółek zębatych i zapadek. Machina do zapisywania świetlnych obrazów nie wyglądała imponująco. Właściwie było to po prostu pomalowane na czarno drewniane pudełko wypełnione lusterkami, które można dowolnie przesuwac za pomocą dźwigienek. W dwóch przeciwległych ściankach umieszczono po jednym otworze. Przedni był ruchomy – w tym sensie, że tworząca go obręcz znajdowała się na hydraulicznie wysuwanej harmonii. Tylny przesłaniało się specjalną miedzianą płytką pokrytą warstwą pyłu ze skrzydeł nocnych motyli. Te płytki, każda opakowana w natłuszczone płótno, stanowiły główny ciężar plecaka. No i jeszcze szklany słój pełen różowych kryształków, których nazwy nie potrafiłam nawet wymówić, a co dopiero zapamiętać. Nie przejmowałam się tym. Dla mnie istotne było, że płonęły wściekle jasnym płomieniem, i to one

były odpowiedzialne za dawanie przedmiotom cieni o takiej sile, że odbijały się na płytkach i zostawały na nich na zawsze. Magia technologii. Fascynowało mnie to.

Złożyłam światłograf i przymocowałam go do statywu. Przygotowałam płytkę i wysypałam nieco kryształów na miseczkę. Rozejrzałam się po pomieszczeniu i zagryzłam zęby na dolnej wardze. Zawsze tak robię, kiedy coś mnie skonsternuje. Nie miałam pojęcia, gdzie ustawić miseczkę, żeby cienie padały w odpowiednim kierunku.

– Daj. – Fiks wyciągnął rękę. Zawahałam się. – No szybciej, bo je zmarnujesz!

Słusznie mnie ponaglał; kryształy pozostawione na powietrzu ulegały samozapłonowi. Na tym to właśnie polegało. Podałam detektywowi miseczkę. Nie podobało mi się to, ale nie bardzo mieliśmy inne wyjście. Fiks szybkim krokiem przeszedł za skafander, ja stanęłam za światłografem. Spojrzałam przez otwór w tylnej ścianie i manewrowałam dźwigienkami tak długo, aż zadowolilo mnie to, co zobaczyłam w otworze. To był szeroki plan – obejmował nie tylko skafander, ale i sporą część pomieszczenia, i oczywiście detektywa (przy czym tego ostatniego nie powinno być widać na gotowej światłografii, bo jego cień padnie w inną stronę, gdy już kryształy się zapalą).

Przez aparat dojrzałam, jak Fiks marszczy brwi. Kryształy ciemniały. Pospieszenie zamontowałam płytkę i ledwie zdążyłam zamknąć oczy, gdy wszystko wokół zalał jaskrawy blask. Mimo szczelnie zaciśniętych powiek poczułam na twarzy łzy. Naświetlanie cieniem trwało mniej więcej dwie minuty. Kolejne dwie – dogasanie jaskrawych powidoków.

– Zrób jeszcze z bliska – wydusił Fiks przez zęby.

– Ale...

– Mina!

Rzadko używał mojego imienia, a zwłaszcza jego krótkiej wersji. Nie lubił się spoufalać. Posłusznie przygotowałam kolejną płytkę, sięgnęłam po słój i wciąż walcząc z powidokami, podeszłam do detektywa. Po jego policzkach ciurkiem spływały łzy, choć jestem pewna, że odwrócił się od źródła blasku, jeszcze zanim kryształy wybuchły światłem.

Powtórzyliśmy procedurę. Tym razem, gdy pomieszczenie rozblęzło, usłyszałam zduszony jęk.

– Wystarczy – powiedziała stanowczo.

Wyjęłam miseczkę z poczerwieniałych palców detektywa, podając mu jednocześnie wyciągniętą z kieszeni spodni chustkę. Bez słowa zaczął ocierać twarz. Świetlne kręgi, które wciąż miałam przed oczami, powoli blakły. Światłografia nie była łatwą sztuką, ale nieraz już się przekonałam, że jakiś szczegół, który umknął nam w terenie, daje się dostrzec na studiowanej do znudzenia płycie. Miejsce przestępstwa trzeba było kiedyś posprzątać. Właśnie! Posprzątać... Podeszłam blisko do skafandra. Z łącza prawego stawu biodrowego coś ciekło. Wyciągnęłam rękę z miseczką (była czysta, kryształły spalały się bez śladu) i nałapałam trochę płynu.

Fiks od razu znalazł się przy mnie. Podałam mu naczynie. Przyglądał mu się dłuższą chwilę, a ja obserwowałam jego szybko poruszające się wąsiki. Fascynowały mnie niemal tak samo jak światłografia.

– Myślę, że przed otwarciem skafandra powinniśmy wezwać techników.

– Co to? – Pochyliłam się, zaciekawiona, i to był błąd. Ohydnie słodki i lepki zapach wypełnił moje nozdrza. – Och.

Detektyw popatrzył na mnie z odrobiną współczucia i oddał mi chusteczkę. Przesłoniłam nos i odetchnęłam głęboko przez usta. Jeszcze przez chwilę męczyły mnie mdłości, podchodzące do gardła falą gęstej śliny; na skroniach poczułam chłód. Odkąd w dzieciństwie dałam się zamknąć podwórkowej bandzie w miejskiej jatce, miałam problem z zapachem surowego mięsa i krwi.

Otwarcie skafandra spowodowało, że trudna do wytrzymania woń wypełniła całe pomieszczenie. Wewnątrz technicy znaleźli coś, co z pewnością było kiedyś człowiekiem. Mieszanina kości połączonych pogruchotanymi stawami, mięsa, płynów i ubrań. W jednym z butów wciąż tkwiła stopa – jedyny w miarę cały kawałek ciała. O dziwo, przekładanie (i przelewanie) tego wszystkiego do odpowiednio dużej kadzi przebiegło nadszpodziewanie sprawnie. Zajął się tym pan Żmijewski, wyznaczając inżynierów do zadań z uprawą równą wojskowemu dowódcy (starałam się nie patrzeć na niego zbyt otwarcie, ale oczy zupełnie bez udziału mojej woli uparcie go szukały – być może dlatego, że jego widok był znacznie przyjemniejszy niż cokolwiek innego w pomieszczeniu). Zwłoki nie nadawały się do identyfikacji, jednak ze względu na spodnie i raczej męskie w kroju buty założyliśmy roboczo, że zmarły był mężczyzną. Więcej

nie byłam w stanie wywnioskować; znów zrobiło mi się słabo od zapachu, który w temperaturze panującej w przepompowni powoli nabierał nuty rozkładu.

– Panno Gorol, proszę zorganizować kogoś do przeniesienia wszystkiego do strażnicy.

Polecenie Fiksa pozwoliło mi pospiesznie zebrać światłograf i zbiec piętro niżej, gdzie czekał cierpliwie sierżant Kątny z Szóstą ze swoimi ludźmi. Przekazałam im życzenia przełożonego i pognałam schodami na sam dół. Względnie świeże powietrze nieco mnie otrzeźwiło. Mdłości ustąpiły i dopiero wtedy do mojego umysłu prawdziwie dotarła makabra, której byłam świadkiem.

– Lepiej?

Nawet się nie wystraszyłam. Szok trzymał zbyt silnie, bym mogła przejąć się faktem, że w ogóle nie słyszałam zbliżającego się detektywa. Pytanie pozostawiłam bez odpowiedzi.

– Technikom chwilę zajmie zebranie szczątków i dostarczenie do kostnicy. Czy mogę zaprosić pannę na kieliszek wiśniówki? Za rogiem jest zupełnie przyzwoity lokal. No, w każdym razie jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś rzygał w głównej sali, a właściciel pilnuje, żeby sprawy sporne goście rozwiązywali na podwórzu.

Moja mina – gdy już dotarła do mnie całość wypowiedzi Fiksa – musiała być nad wyraz ciekawa, bo detektyw uśmiechnął się półgębkiem, unosząc jedną brew, a potem wyciągnął ramię. Nie wahałam się dłużej, niż wymagała tego podstawowa przyzwoitość, którą winna byłam matuli. Potrzebowałam czegoś mocniejszego.

Bar nie wyglądał ani lepiej, ani gorzej od innych. Wytarty dywan, lepki blat i migoczące lampy gazowe na ścianach. Do tego zapach zwiertzałego piwa i smażonego boczku. Pierwszy kieliszek wypiłam jednym haustem i od razu zakręciło mi się w głowie. W drugim tylko umoczyłam usta. Mój przełożony sączył gęste, ciemne piwo, nie przejmując się pianą, która osiadła mu na wąsach.

– Mam przecucie, że to nie będzie łatwe śledztwo, Jaśmino – rzekł po dłuższej chwili milczenia. – Nie potrafię sobie wyobrazić, co tam się mogło stać. Jak można w ten sposób zmasakrować ludzkie ciało, jednocześnie pozostawiając ubranie niemal nietkniętym? Nie wiem, czy panna zwróciła uwagę, ale spodnie były całe, żadnej dziury. Nic.

Pokiwałam głową, zgadzając się w milczeniu.

– Jednocześnie to jest ekscytujące. – Bursztynowe oczy błysnęły na potwierdzenie słów. – Tak wiele niewiadomych! Co to w ogóle za urządzenie? Kto schował w nim zwłoki? Zagadka na miarę mojego talentu!

Poczułam delikatne ukłucie żalu i jednocześnie wezbrała we mnie determinacja. Fakt. Mój udział w „naszych” sprawach był do tej pory raczej drugorzędny. Tym razem postaram się, by było inaczej. Nie zadowolili mnie więcej określenie „dziewczyna Fiksa”. Moja matula zasługuje na to, by być dumna ze swej córki.

– A może nikt nie schował? – powiedziałam, bawiąc się pełnym kieliszkiem. – Może on tam sam wszedł?

Fiks spojrzał na mnie z uwagą. Tym razem to on pokiwał głową.

Z baru wyszliśmy kilka chwil później. Detektyw machnął ręką i natychmiast zatrzymała się przy nas trójkółka.

– Główna Strażnica, szybko!

Siedzący na kozle mężczyzna flegmatycznie skinął głową, po czym przesunął dźwignię, wdusił pedał i pojazd ruszył gwałtownie, otoczony chmurą pary.

Gdy dotarliśmy na ulicę Grabową pod numer siedemnasty, gdzie niezmiennie od kilkudziesięciu lat znajdowała się siedziba dowództwa straży, czekał już tam na nas sam komendant miasta, Jegor Daniło, oraz towarzyszący mu bladey dżentelmen w starszym wieku.

– Detektywie Fiks, panno Gorol, przedstawiam pana Sergiusza Eydziatowicza, prawda – zaczął niezbyt fortunnie prezentację nasz szef. – Panie Eydziatowicz, oto najlepszy duet detektywistyczny, jakiego kiedykolwiek miałem przyjemność, czy też możliwość szefować. – Tu komendant zaśmiał się sztucznie, wzbudzając we mnie uczucie politowania. Wyraźnie nie potrafił się znaleźć w towarzystwie tak znamienitego dżentelmena, jakim był Sergiusz Eydziatowicz, znany mecenas sztuki, swego czasu profesor nadzwyczajny Akademii Technicznej i jeden z najbogatszych obywateli Dołka Dolnego. – Przydzieliłem ich do sprawy pańskiego skafandra, wierząc w ich talent, prawda. Jestem pewny, że kto jak kto, ale oni dojdą do tego, kto i dlaczego go skradł.

– Pańskiego skafandra? – wyrwało mi się, zanim zdążyłam się ugryźć w język.

Komendant skarcił mnie wzrokiem, jakbym popełniła nie wiadomo jakie faux pas, więc powstrzymałam się od zwrócenia mu

uwagi na fakt, iż przydzielił nas do sprawy, bo zwyczajnie byliśmy w Główniej, gdy przyszła tuba z nagłym wezwaniem do przepompowni – a ani on, ani nikt z nas nie wiedział przecież, czyj jest skafander.

Zwróciłam się w stronę Eydziatowicza, który spoglądał na mnie tak, jakby podzielał moje myśli. Niewątpliwie był inteligentnym człowiekiem.

– Tak, panno Gorol – odpowiedział, jakby przerwa w konwersacji nie miała miejsca, i ukłonił się z rewerencją. – Skafander, który został znaleziony w przepompowni, należy do mnie. Jest efektem kilkuletnich prac projektowo-konstrukcyjnych. Obecnie rozpoczęliśmy testy terenowe i wygląda na to, że od razu ktoś go wykradł.

I przypłacił to życiem, dodałam w myślach, po raz kolejny powstrzymując słowa cisnące się na usta.

– Czy ma pan jakieś podejrzenia co do tego, kto to mógł być? – spytał Fiks, jednocześnie przyglądając się arystokracie zmruczony mi oczyma.

Eydziatowicz rozłożył ręce. Z prawą coś było nie tak, ale w tym momencie nie miałam możliwości przyjrzeć się dyskretnie i stwierdzić co.

– Nie mam pojęcia. Na razie zauważyłem dość oczywisty brak skafandra. Być może później będę mógł coś powiedzieć, jeśli na przykład któreś z moich inżynierów nie stawia się do pracy. A teraz – proszę mi wybaczyć niecierpliwość, ale to dla mnie niezwykle ważne – kiedy odzyskam moją własność?

– Cóż. Zebraliśmy dowody, mamy światłografie z miejsca zdarzenia. Myślę, że technikom kryminalnym wystarczy parę godzin. Możemy go odwiedzić jeszcze dziś wieczorem. Przy okazji, jeśli pan pozwoli, obejrzymy miejsce, gdzie powstał. Co pan na to? – Fiks ukłonił się lekko przy tych słowach, a Eydziatowicz odruchowo odpowiedział podobnym gestem.

– Oczywiście. Nie wybieram się nigdzie, więc termin jak najbardziej mi odpowiada i jeśli tego właśnie wymaga dobro śledztwa, z przyjemnością pokażę państwu pracownię.

Po tych słowach arystokrata podniósł się z fotela, w którym do tej pory się rozpierał, i złożywszy kolejne ukłony, tym razem okraszane zarzucaniem połą długiego czarnego płaszcza (a wiercie mi, że wyglądało to niezwykle malowniczo), wyszedł z gabinetu Daniły.

Ten ostatni odprowadził mężczyznę spojrzeniem, po czym, odczekawszy chwilę, jakby musiał się upewnić, że Eydziatowicz opuścił budynek, rzekł, patrząc na Fiksa spod zmarszczonych gniewnie brwi:

– Proszę nie zwlekać. Zalecam panu jak najszybsze uporanie się z tą sprawą i ukaranie winnych. Eydziatowicz to nie byle kto. O takich obywateli należy dbać podwójnie!

Wyraz twarzy detektywa nie zmienił się nawet na jotę. We mnie zaś gorzał sprzeciw, którego jednak nie ważyłam się wyrazić. Nie podobało mi się to, co mówił komendant. Śmierdziało nierównością społeczną, a na tę byłam dość wrażliwa. Prawo winno być bowiem jednakie dla wszystkich.

– Włożymy w to wszelki wysiłek, panie komendancie – powiedział za nas oboje Fiks, po czym wskazał mi drzwi. Wysłałam posłusznie, nie pozwalając sobie choćby na słowo komentarza.

Przeciskaliśmy się korytarzami Głównej Strażnicy, jak zwykle pełnymi biegnących w niezwykle ważnych sprawach gońców i pomocników różnych szczebli. Swojski gwar głosów i stukot maszyn służących do sporządzania notatek z prowadzonych spraw tworzyły niesamowite wrażenie bycia w centrum wydarzeń, w miejscu, gdzie zbiegały się losy mieszkańców Dołka Dolnego. Lubiłam czuć się częścią tego mechanizmu rozjaśniającego mroki tajemnic, wyciągającego na światło dzienne złe uczynki, przynoszącego ład, a nade wszystko chroniącego zwykłych obywateli przed krzywdą ze strony mniejszych i większych degeneratów. Napawało mnie to ciepłą dumą i sprawiało, że rosłam we własnych oczach. Cóż. Być może nieco romantyzmu matuli udzieliło się i mnie.

Reszta dnia upłynęła mi na szczegółowym opisywaniu faktów, co czyniałam w zaciszu naszego gabinetu. Cztery połączone systemem przekładni maszyny przestawały hałasować tylko wtedy, gdy musiałam wymienić arkusz papieru. Pisałam o wszystkim, co zobaczyłam, dzieląc to na kategorie typu „miejsca”, „rzeczy”, „ludzie” i „pozostałe”. Jedna kopia była dla Fiksa, druga dla mnie, trzecia dla komendanta, a czwartą robiłam na wszelki wypadek. Na samym końcu odpięłam ostatnią maszynę i sporządziłam listę własnych przemyśleń. Te nigdy nie trafiały do Daniły. Jako pomocnica nie miałam prawa do samodzielnego myślenia, ale mój przełożony od samego początku, wbrew panującym zasadom, kazał mi notować każdą, najbardziej nawet absurdalną myśl, jaka pojawiła się w mojej głowie w związku z badaną przez nas sprawą.

Tym razem zaczęłam od wyrzucenia emocji, które mną targały. „Żaden obywatel nie powinien być traktowany specjalnie”, wystukałam, uderzając z rozmachem w klawisze, aż Fiks podniósł wzrok znad światłotrafii, którą właśnie oglądał.

W okolicach godziny szesnastej detektyw zarządził przerwę na posiłek. Poszliśmy do ulubionej jadłodajni strażników o wdzięcznej nazwie Syty Gość. Zjadłam wielką porcję puddingu z podrobów, a Fiks stek, tak słabo wysmażony, że właściwie jedynie ścięty z wierzchu i od spodu. Staralam się nie patrzeć na jego talerz, bo wspomnienie kadzi i jej zawartości było wciąż zbyt świeże.

– Dobrze, panno Gorol – odezwał się mój przełożony, gdy już otarł usta i odłożył serwetę na pusty talerz. – Czy będzie panna potrafiła zachować spokój podczas wizyty u pana Eydziatowicza, czy też powinienem wybrać się tam sam?

Cały Fiks. Niby nic nie mówi, praktycznie nie zwraca uwagi, a potem podsumuje wszystko jednym celnym strzałem.

– Zrobię wszystko, by nie przynieść panu wstydu – zapewniłam. Prawa brew detektywa uniosła się nieznacznie. Najwyraźniej nie o to chodziło. – Nie zaszkodzę śledztwu, panie Fiks, to miałam na myśli.

Wąsiki detektywa poruszyły się lekko. Bursztynowe spojrzenie wwiercało się we mnie, ale nie odwróciłam wzroku.

– Wierzę pannie – powiedział w końcu, a ja poczułam się, jakbym zdała test. – Weźmiemy służbową trójkółkę i pojedziemy lepiej poznać właściciela skafandra. Może to naprowadzi nas na motyw kradzieży i powód śmierci tego nieszczęśnika z przepompowni.

Gdy dotarliśmy do strażnicy, Fiks udał się do piwnic, gdzie urzędowali technicy, żeby sprawdzić, czy zguba hrabiego Eydziatowicza jest gotowa do transportu, a ja powędrowałam na podwórze, na którym znajdowały się garaże. Okazawszy starszemu mechanikowi zezwolenie, poprosiłam o wyprowadzenie pojazdu z platformą bagażową. Wyglądał na lekko zaskoczony moją prośbą, ale nie protestował, uznając chyba, że wiem, co robię. Zaciągnął się potężnie końcówką papierosa, która musiała parzyć mu palce, wrzucił ją do kubła z żarem i poszedł do garażu, by rozpaścić pod kotłem największej trójkółki, jaką dysponowaliśmy na miejscu.

Kiedy Fiks w towarzystwie czterech tragarzy przybył na podwórze, pojazd czekał już, terkocząc na jałowym biegu, a ja siedziałam na koźle gotowa do podróży. Skafander załadowano na pakę, detektyw

zajął miejsce pasażera i pojazd ruszył – nieco zbyt gwałtownie, jako że nieczęsto miałam okazję prowadzić większy model i za mocno pociągnęłam dźwignię sprzęgła. Fiks nie skomentował, jedynie mocniej chwycił się relingu, co widziałam dzięki dużemu owalnemu lustru umieszczonemu na przedzie maszyny.

– Wyjedźmy z miasta przez Bramę Zbożową! Tą landarą trudno będzie przedzierać się przez centrum! – wykrzyczał detektyw za moimi plecami.

Skinęłam zamaszycie głową, nie marnując energii na przebijanie się przez hałas maszynierii. Prowadzenie towarowej trójkółki wymagało więcej wysiłku i skupienia, niż zwykłego miejskiego modelu. Podczas gdy Fiks podziwiał widoki, ja zalewałam się potem, naciskając pedały, przesuając wajchy (ta regulująca ilość węgla wpadającego do paleniska chodziła tak opornie, jakby nigdy nie widziała nawet grama smaru) i pilnując wolantu, żeby przypadkiem nie spowodować katastrofy drogowej. Nim jeszcze dojechaliśmy do granic lasu, w który zamienił się niegdysiejszy park będący częścią posiadłości Eydziatowiczów, bolały mnie wszystkie mięśnie, a mózg rezonował w czasie ze wstrząsami, jakie fundowały toporne resory. Na szczęście dla moich biednych kości (a pewnie i dla kości Fiksa) leśna droga była lepiej utrzymana, niż należąca do miasta polna, którą jechaliśmy wcześniej. Ubity równo żwir, żadnych kolein czy dziur. Wysokie drzewa flankujące trasę łączyły się rozłożystymi konarami ponad naszymi głowami, tworząc tunel, który mroczniał tym bardziej, im dalej się weń zapuszczaliśmy. Droga biegła prosto kilka mil, a następnie skręcała ostro w lewo i poczyniała się wspinać na groblę przecinającą pokryty gęstą rzesą staw.

– Czy ten człowiek nie może mieszkać w przyjemniejszej okolicy?! – usłyszałam za plecami.

Kierowana głupim odruchem, odwróciłam się i mało brakowało, a trójkółka zsunęłaby się do wody.

– Psia mać! – wyrwało mi się, na szczęście pod nosem, więc mogłam liczyć na to, że detektyw mnie nie usłyszał. Machina zagłuszała wszystko, nawet szum wiatru tańczącego w liściach i gniewne nawoływania płoszonych hałaśliwym behemotem ptaków. Wyrównałam tor jazdy i odkrzyknęłam w odpowiedzi: – Prawdziwy odludek z tego Eydziatowicza!

Fiks burknął coś, czego nie zrozumiałam. Najwyraźniej nie przepadał za naturą. Ja z kolei byłam urzeczona dzikością okolicy. Nawet

przez ostry zapach smarów i płonącego węgla przedzierał się inny aromat. Wilgotny zapach ziemi i życiowych soków płynących pod korą smukłych drzew, chłodna woń mułu i wodnych kwiatów. Trójkółka wydawała się w tym otoczeniu zupełnie nie na miejscu, niczym drzazga, która wbiła się pod skórę i nijak nie pasuje do żywych mięśni, przez które się przeciska.

Grobla zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Dotychczasowy staw zmienił się w bagno, wionęło od niego zapachem zbutwiałych liści i nieprzyjemną wonią zgnilizny. Jakby tego było mało, niepostrzeżenie nadciągnął zimerch. Pozbawione koloru drzewa na tle ciemniejącego nieba zmieniały się na moich oczach w złowieszcze poczwary rodem z popularnych ostatnio broszurek za pół grosza, dodawanych do popołudniowych gazet, a rozkołysane światło lampy zawieszanej na boku trójkółki oslepiało, zamiast poprawiać widoczność. Coraz bardziej zmęczona, z nadzieją wpatrywałam się w szpaler jasnych pni znaczących miejsce, w którym kończyła się grobla. Nazwa Brzozowego Dworu z pewnością nie wzięła się znikąd.

– Jesteśmy!

Okrzyk Fiksa powitałam z ulgą. Przymknęłam dopływ pary do tłoków napędzających koła i powoli wjechałam na teren posiadłości. Okrążyłam klomb o fantazyjnym kształcie gwiazdy i zatrzymałam pojazd tuż przy schodach prowadzących do głównego wejścia. Dwór wydał mi się niepozorny. Nie przypominał żadnej ze znanych mi arystokratycznych siedzib. Ledwie jednopiętrowy, na planie litery L, ze skośnym, krytym gontem dachem. Ekstrawagancję stanowiła tylko wąska wieżyczka wklonowana pomiędzy skrzydła budynku. Wyższa ponad dwa razy od reszty zabudowań, jedyne widoczne okno miała tuż pod wieńczącą ją półkolistą kopułą. Nie zdążyłam dobrze jej obejrzeć, bo drzwi otworzyły się na oścież i wybiegł przez nie sam gospodarz, a dopiero po nim pojawiło się trzech chłopców w liberiach.

– Dobry wieczór! Jesteście państwo wcześniej, niż się spodziewałem! Panno Gorol, pozwoli pani!

Eydziatowicz był już przy mnie i szarmanckim gestem wyciągał rękę. Prawą – i tym razem mogłam wyraźnie zobaczyć, że brakuje jej kciuka. Nie potrzebowałam pomocy, lecz gdybym nie ujęła dłoni hrabiego, mógłby odebrać to jako afront, więc zrobiłam to i wsparłam się na niej przy zsiadaniu. Rozpierała mnie ciekawość, lecz – jak

sami rozumiecie – nie wypadało pytać, w jakich okolicznościach stracił palec i (co intrygowało mnie znacznie bardziej) jak sobie bez niego radzi.

– Walenty, Zygmunt, zabierzcie skafander do pracowni!

Chłopcy skłonili głowy w milczeniu i zajęli się zdejmowaniem ładunku z trójkółki. Rzuciłam szybkie spojrzenie na Fiksa. Stał z rękoma splecionymi na plecach i rozglądał się bez skrępowania.

– Kazałem przygotować herbatę, muszą być państwo zmęczeni podróżą. – Eydziatowicz ukłonił się lekko.

– To bardzo miłe z pana strony – odparł Fiks. – Podróż rzeczywiście męcząca. Nawet dla mnie, który byłem jedynie pasażerem. Nie chcę myśleć o wysiłku, jaki panna Gorol zmuszona była włożyć w prowadzenie tej bestii.

Tym razem obaj dżentelmeni ukłonili się mnie i pomyślałam, że mogliby już dać spokój, bo jak tak dalej pójdzie, nie ruszymy się z miejsca.

– Może najpierw zobaczymy laboratoria? – rzuciłam, żeby ściągnąć uwagę zajętych uprzejmościami mężczyzn na to, co istotne.

– Jeśli państwo tak wolą...

Hrabia uśmiechnął się nieco sztucznie. Tak mi się przynajmniej wydawało.

– Panna Gorol ma rację – podchwycił Fiks. – Herbata może poczekać, najpierw obowiązki.

– Andrzeju!

Ostatni z chłopców, wciąż stojący przy drzwiach, zbiegł do nas i stanął przed swym chlebobawcą wyprężony jak struna.

– Herbatę podawać za godzinę.

Młodziak szurnął obcasami i tyle go widzieliśmy, a Eydziatowicz zwrócił się do nas:

– Proszę za mną.

Ruszyliśmy gęsiego. Hrabia prowadził, Fiks szedł za nim, a ja, jak przystało na pomocnicę, zamykałam nasz niewielki pochód. Kierowaliśmy się na tyły dworu otoczonego przez skupiska wyglądających na dziko rosnące krzewów. Była pora kwitnienia i wieczorne powietrze pachniało słodko. Sam budynek, stanowiący krótsze ramię L i jednocześnie wschodnie skrzydło całego założenia, wyglądał dziwnie, bardziej jak magazyn niż rezydencja arystokraty. Nie było tu okien, a jedynie niewielkie otwory, których głębokość świadczyła

o grubości murów godnych rycerskiego zamku. Był też znacznie rozleglejszy, niż mi się wydawało, gdy patrzyłam na całość od frontu, i chyba częściowo wybudowany całkiem niedawno, bo kolor cegieł nie był jednolity. Wreszcie dotarliśmy na dziedziniec, wysypany piaskiem. W rogu parkował nasz behemot, którego pilnował człowiek w kombinezonie mechanika. Delikatny obłoczek unosił się nad kominem.

– Jak pani widzi, pojazd trzymany jest w gotowości, żeby nie musieli państwo marnotrawić czasu na ponowne rozgrzewanie maszynerii.

– Dziękuję – odpowiedziałam krótko, szczerze wdzięczna za tę uważność hrabiego.

Do pracowni wchodziło się przez wąskie drzwi u podnóża wieży. Ta ostatnia wzniesiona została na planie dwunastoboku, co łatwo było przeoczyć z daleka i w ciemności. Laboratoria, jak się okazało, zajmowały cały parter wschodniego skrzydła. Zrozumiałam teraz, skąd ten zadziwiający brak okien.

Wewnątrz było jaśniej niż w dzień, co mnie zaskoczyło, bo przecież światło powinno się wydobywać z tych niewielkich otworów, które widziałam z zewnątrz. W dwóch z sześciu pomieszczeń pracowali inżynierowie: dwie kobiety i mężczyzna ubrani w jednakowe brązowo-żółte stroje, stanowiące całość, jak zauważyłam ze zdziwieniem. Zarówno góra, przypominająca kurtę, jak i spodnie obszyte były rozlicznymi kieszeniami, pętelkami i zatrzaskami. Przy pasach inżynierów wisiały różne przedmioty, których przeznaczenia mogłam się jedynie domyślać. Jedna z inżynierek pochylała się nad naczyniem wypełnionym czymś bardzo gęstym, ale płynnym. Na czole miała obręcz z niewielkim pojemnikiem, z którego wydobywała się smuga jaskrawego światła.

– Proszę na wszelki wypadek to założyć – rzekł Eydziatowicz, wręczając mnie i Fiksowi po parze gogli. – Większość lamp działa tutaj na kryształą lucearne.

Widziane przez szkła pomieszczenie jakby nabrało głębi. Gogle przytłumiły blask i wzmocniły cienie. Rzeczy dookoła mnie były wyraźniejsze, ostrzejsze w konturach.

– Proszę, mogą się państwo rozejrzeć. I pytać, oczywiście. Jestem do państwa dyspozycji – mówiąc to, Eydziatowicz rozłożył ręce w szerokim geście zachęty.

– Co jest za tamtymi drzwiami? – Detektyw wskazywał podwójne wrota wykonane z ciemnego metalu. Ich powierzchnię pokrywały grawerunki zwierząt nieprzypominających żadnego z tych, o których kiedykolwiek słyszałam. – Piękne zdobienia!

– Część ściśle prywatna. Nie upuszczam do niej nikogo. Poza Andrzejem, który pomaga mi zachować porządek. Ręczę moim słowem, że nie ma tam niczego, co mogłoby mieć związek ze sprawą skafandra.

Fiks uklonił się, przyjmując zapewnienie, a ja po raz kolejny ugryzłam się w język. Nie miałam pojęcia, ile znaczy taka poręka w przypadku Eydziatowicza. Słyszałam oczywiście o honorowych dżentelmenach, lecz nigdy takiego nie spotkałam. Być może hrabia mówił prawdę. A może nie. Na wszelki wypadek podeszłam bliżej drzwi. Grawerunki były naprawdę przepiękne. Mechaniczne szczegóły fantastycznych kształtów, niemal żywe spojrzenia wyrzytych w metalu stworzeń. Poczułam rodzący się we mnie zachwyt.

– Ponieważ słusznie zawrócił nas pan do sprawy, pozwolę sobie zapytać, czemu właściwie pan go wybudował? Zwykle naszym działaniom przyświeca cel, jaki był pański?

Spojrzałam na obu panów; zauważyłam, że w ich stronę patrzy także inżynierka, zajęta wcześniej badaniami nad gęstą cieczą.

– Oczywiście, że miałem cel. Skafander, który mieliście państwo okazję poznać w tak niefortunnych okolicznościach, to zaledwie prototyp. Właściwie, można rzec, miniatura urządzenia właściwego, które zaprojektowałem lata temu i w końcu udało mi się zamknąć pierwszy etap prób. A ściślej: prawie mi się udało, bo to, co się wydarzyło, niestety odsunie w czasie budowę pełnowymiarowego modelu.

Oczy arystokraty pociemniały, na czole pojawiła się pionowa zmarszczka. Westchnął, a potem przetarł dłonią twarz. Zmarszczka zniknęła i Eydziatowicz znów się uśmiechnął.

– Odsunie, ale nie zaprzepaści. Widzą państwo, wyobraziłem sobie, że mogę jakoś pomóc w tworzeniu naszej przyszłości. Oczywiście mam pieniądze, mogę inwestować w rozwój pod postacią fabryk, łożyć na szkoły publiczne... Robię to. Mam możliwości, więc mam też obowiązki. Ale ciągle wydaje mi się to za mało.

Inżynierka patrzyła już otwarcie na swego pracodawcę. W jej spojrzeniu widziałam oddanie, podziw... I coś jeszcze. Żal? Mężczyźni pracujący w drugim kącie pomieszczenia przy skręcaniu jakiejś

maszyny także unieśli głowy. Starszy szepnął coś do młodszego, który spojrział na Fiksa, a potem na mnie, marszcząc brwi.

– Więc postanowił pan...?

– Postanowiłem dołożyć nieco własnych umiejętności. Mam smykałkę do inżynierii, kończyłem Politechnikę Stołeczną. Wykładając na Akademii Technicznej pozostawałem – i wciąż pozostaję – na bieżąco z wszelkimi zdobyczami techniki. A przy tym mam dostęp do najlepszych z najlepszych – mówiąc to, skierował wzrok na inżynierkę, która zdążyła już wrócić do pracy. – Zatrudniam tu prawie wyłącznie moich studentów. A wracając do skafandra... Jest silniejszy niż obsługujący go człowiek, jest też wytrzymalszy. W trudnych warunkach prac budowlanych może wspomagać mięśnie ludzkie, a także chronić swego operatora, jeśli, dajmy na to, zdarzy się wypadek i zerwie się lina dźwigowa. Skafander wytrzyma nacisk blisko pięciu ton. Człowiek może sterować jego ruchami od wewnątrz. To właściwie jak ubiór, choć nie do końca. Wewnętrzna część potrafi się dostosować...

– Mówił pan, że to miniatura... – rzekłam powoli. To słowo nie dawało mi spokoju. – Co pan miał na myśli?

– Och! Panna od razu chwyciła istotę! – Arystokrata rozjaśnił się. Podbiegł do mnie i chwycił moją dłoń. Poczułam się zdecydowanie nieswojo. – W zamiarze moim jest stworzyć skafander wielkości budynku! Pracuję nad sterowaniem. Sam projekt jest gotów, mógłbym odlewać skorupę choćby w tej chwili. Ale sterowanie! Sterowanie to prawdziwy problem. Ilość przekładni, którymi musiałby operować maszynista, żeby skafander miał choćby podstawową precyzję ruchów, jest zdecydowanie za wielka. Ale jak powiedziałem: pracuję nad tym.

Mówił z większym i większym entuzjazmem, nie puszczać mojej ręki, którą ścisnął coraz mocniej, aż w końcu wyszarpnęłam ją z uchwytu, bojąc się o całość palców. Eydziatowicz nawet tego nie zauważył.

– Wyobraźcie sobie, ile pracy zaoszczędzi to człowiekowi. W kopalniach, na budowach! Skafander chroni przed wysoką temperaturą! Praca w metalurgii, w zakładach hutniczych stałaby się o wiele łatwiejsza. Można w nim schodzić pod wodę! Na każdą głębokość! Wewnętrzna część może się kurczyć i rozszerzać, dopasowywać do operującego nim człowieka... W skrajnych warunkach może nawet regulować ilość zużywanego powietrza!

W trakcie tej przemowy blada twarz Eydziatowicza pokrywała się coraz wyraźniejszymi rumieńcami. Jasne oczy arystokraty błyszczały gorączkowo. Dłonie, które wcześniej ścisnęły moją, drżały. Patrzyłam na niego zafascynowana.

– Mówi pan, że skafander zastąpi człowieka, tak? – spytałam, korzystając z tego, że musiał przerwać dla zaczerpnięcia oddechu.

Eydziatowicz zamrugnął, wytrącony z tyrady.

– Nie we wszystkim, ale tak. W wielu sprawach będzie w stanie wyręczyć człowieka, a nawet grupę ludzi. Jeden tylko maszynista przejmie pracę, nad którą do tej pory biedziły się dziesiątki.

– Fascynująca idea! – krzyknął entuzjastycznie Fiks, nie dając mi dojść do słowa. – Czy teraz oprowadzi nas pan po pomieszczeniach? Wiele tu intrygujących drobiazgów.

Hrabia uśmiechnął się szeroko; gorączkowe wypieki powoli ustępowały z jego policzków.

– Oczywiście! Proszę za mną.

Opuściliśmy halę warsztatową i przeszliśmy przez wąski korytarz do mniejszego pomieszczenia. Była to pracownia projektowa, jeśli sądzić po rozstawionych w równych odstępach ramach kreślarskich ze skomplikowanym systemem narzędzi geometrycznych. Ram było sześć. Na każdej powstawał projekt innego urządzenia. Mnie przyciągnął prosty rysunek obłej maszyny, ustawionej na łapach w kształcie łodzi i uzbrojonej w wygięte w dwóch miejscach skrzydła. Podeszłam bliżej i nachyliłam się nad projektem.

– Czy mogę? – spytałam, tym razem niezdolna się powstrzymać.

– Zainteresowana? – Eydziatowicz natychmiast znalazł się przy mnie. Odpiął rysunek i moim oczom ukazał się plan skrzydła. – Ma pani w sobie ducha techniki. Obserwowałam z okna salonu, gdy państwo wjeżdżali, doskonałe wyczucie niełatwej maszyny. Szanuję i podziwiam!

Zalało mnie ciepłe uczucie dumy. Nie próbowałam go powstrzymać, choć pycha należała do grzechów, które szczególnie tępiła moja matula.

– Tu powstają plany, tak? – Oczywiście pytanie Fiksa stanowiło jasny sygnał: detektyw się niecierpliwił.

– Tak, tu wszystko się zaczyna, a dalej mamy dwa laboratoria przyrodnicze. – Arystokrata gestem wskazał nam drogę. Nie

wróciliśmy na korytarz, lecz przeszliśmy wewnętrznymi drzwiami łączącymi pomieszczenia. – Chemia, fizyka, biologia. Badamy tu właściwości materiałów, ich zachowania w różnych warunkach – wyjaśniał Eydziatowicz, podczas gdy ja rozglądałam się szczerze zaciękawiona, a Fiks zdawał się węszyć ze zmrużonymi oczami i drgającymi wąsikami. – Poddajemy trudnym próbom wszystko, co tylko przyjdzie nam do głowy. Nauka to przede wszystkim próby. Wyobraźnia i próby, które ją weryfikują.

Laboratoria pełne były sprzętu. Zestawy do doświadczeń chemicznych, półki pełne probówek i zlewek. Powiększalniki. Lustra i kryształy do ćwiczeń optycznych. Dwa światłograpy, znacznie bardziej skomplikowane na pierwszy rzut oka niż ten, którym ja dysponowałam. Żałowałam, że nie mogę tu zostać dłużej.

– W następnym pomieszczeniu mamy mniejszy warsztat. – Kolejny gest ponaglił nas do podjęcia zwiedzania. – Nazywam go mikrowarszatem, bo pracujemy tu nad mniejszymi replikami dzisiejszych sprzętów. Zwłaszcza zależy nam na miniaturyzacji silnika. W tej chwili silniki zajmują procentowo najwięcej miejsca w pojazdach. Chcielibyśmy, żeby było inaczej. Wtedy można by przewozić więcej osób, więcej towaru, pojazdy mogłyby mieć mniej toporne kształty, zresztą rozumieją państwo...

Nie do końca rozumiałam, ale byłam oczarowana. Na jednym ze stołów stała maszyna parowa, która mogła się zmieścić w pudle po butach. Wyglądała raczej na zabawkę niż rzeczywiście działające urządzenie.

– Próbujemy znaleźć nowy sposób napędzania. Nowe, lepsze paliwo. Węgiel jest ordynarny i mało wydajny. Proszę dalej.

W kolejnym – ostatnim – pomieszczeniu nie było niczego poza basenem, aktualnie pustym. Ściany pokryto jednolitą białą materią, która ugięła się pod dotykiem. Sufit był równie biały; tapicerka pokrywała także wewnętrzną stronę drzwi.

– Tu pracujemy nad ludzkim ciałem i umysłem – wyjaśnił arystokrata.

Czekałam, żeby powiedział coś więcej, ale on milczał, a ja po raz pierwszy nie miałam odwagi zadawać pytań.

– W jaki sposób, jeśli można wiedzieć? – Fiks wciąż mrużył oczy. Jakiś czas temu zdjął gogle, niepotrzebne tam, gdzie nie było ryzyka porażenia światłem, i doskonale widziałam w jego wzroku

podejrzliwość. – Wygląda mi to na pokój, w którym trzyma się niebezpiecznych furiatów...

– Tak, z pewnością go przypomina, zapewniam pana jednak, że nikogo takiego tu nie trzymamy. A każdy poddawany eksperymentom wyraża wcześniej zgodę na piśmie. – Eydziatowicz znów się uśmiechnął. Dziwnie. Jakby z nieplanowaną wyższością i dystansem. – Dobrze. Widzieli już państwo wszystko. Zdecydowanie pora na herbatę.

Wróciliśmy do mikrowarsztatu i wyszliśmy na korytarz. Przeszedłszy nim do końca, znaleźliśmy się z powrotem w największej hali, gdzie trójka inżynierów dyskutowała zawzięcie nad dostarczonym w międzyczasie skafandrem. Eydziatowicz obrzucił ich szybkim spojrzeniem, ale nie zatrzymał się ani nie odezwał. W milczeniu wyprowadził nas z budynku. Pokonując tę samą drogę, co uprzednio, dotarliśmy do frontowych schodów.

Eydziatowicz wszedł po nich pierwszy, a gdy stanął pod drzwiami, usłyszeliśmy serię stuknięć i skrzydła rozwarły się przed nami bezszelestnie.

– Otwierają się tak przed każdym? – wyrwało mi się.

Arystokrata odwrócił się. Na jego twarzy zagościł wyraz rozbawienia.

– Nie, panno Gorol. Tylko przed tym, kto ma odpowiednią wagę i odpowiednie buty.

– Nie rozumiem...

– Och, to tylko jedna z moich zabaw, nic poważnego, wytłumaczę, w jaki sposób działa, przy herbacie.

Zamilkłam posłusznie, powściągając ciekawość. Gospodarz poprowadził nas szerokim korytarzem na tyły domostwa. Detektyw wciąż się rozglądał. To, co widzieliśmy, pozwalało się domyślać bogactwa właściciela, lecz było dyskretne – rzadkość wśród arystokracji. Ściany obite tapiserią o prostym pasiastym wzorze, nienaganna biel sufitu – nie byłam w stanie dostrzec nawet jednej pajęczyny i z podziwem myślałam o tym, kto dzień w dzień wspina się na drabinę, by wymieść wszystkie kąty – z którego zwisały dwa proste żyrandole z kryształowymi kloszami, powielającymi pojedynczy płomień w setkach odbić. Podłogę okrywał bordowy chodnik o włosiu tak gęstym, długim i miękkim, że Eydziatowicz zostawiał w nim tropy, niczym w leśnej ściółce.

Na końcu korytarza czekały na nas kolejne otwierające się przed arystokratą drzwi. Tym razem szklane i przesuwające się w bok, niemalże znikające w ścianie. Zerknęłam na Fiksa, by stwierdzić, że uniósł lekko brew. A więc i on wreszcie poczuł się przynajmniej odrobinę zaskoczony. Jak się szybko okazało, drzwi kryły przejście do innego świata. Otoczyło nas wilgotne ciepło, pełne ciężkich, słodkich zapachów. Wokół rozbrzmiewały wrzaski, jakie mogły wydawać jedynie egzotyczne ptaki. Jeden z nich – o bajecznych turkusowym piórach – przefrunął nad nami z łopotem skrzydeł.

– Och...

Wiedziałam, że wyglądam głupio, stojąc w progu z otwartymi ustami, jak dziecko przed wystawą sklepu z cukierkami. Nie byłam jednak w stanie zapanować nad zachwytem.

– Och... – powtórzyłam. – To niesamowite.

Eydziatowicz uśmiechnął się szeroko.

– Tak, wiem, panno Gorol. Takie właśnie miało być. Ale przejdźmy dalej, kazałem podać herbatę wśród drzewek pomarańczowych. Bardzo lubię ich zapach.

Białe stoliczek z okrągłym blatem, stojący między drzewkami o ciemnozielonych, jakby lakierowanych liściach, zastawiono po brzegi. Kruche ciasteczka obsypane cukrem, czekoladki miętowe, małe kanapki z ogórkiem, jajkiem i czymś, co wyglądało na pasztet (a muszę wam powiedzieć, że uwielbiam pasztet). A do tego oczywiście parujący dzbanek i trzy kruche filiżanki, które mocniejszy uścisk z pewnością by zniszczył. Miałam nadzieję, że mój jest wystarczająco delikatny.

Gospodarz odsunął jedno z krzeseł (tak samo białych jak stolik) i spojrzął na mnie wyczekująco. Usiadłam, siłąc się na grację, ale tak naprawdę dość sztywno i niepewnie. Dotarło do mnie, że właściwie pierwszy raz jestem w podobnej sytuacji. Rzadko miałam bliski kontakt z arystokratami. W sklepiku bławatnym matuli bywali klientami, spacerowali po moim ulubionym parku, a czasem (niezwykle rzadko) przychodzili do strażnicy, dokładnie jak Sergiusz Eydziatowicz. Ale jeszcze nigdy żaden arystokrata nie nalewał mi herbaty i nie podsuwał kanapki z ogórkiem. Wyczuwałam w tym coś niestosownego.

– Wspaniała herbata! – Uznanie w głosie Fiksa było szczere, na ile mogłam to ocenić. – Mocny aromat i ta delikatna goryczka... Byłbym wdzięczny za adres pańskiego dostawcy.

- Jeśli tak panu smakuje, pozwolę sobie posłać panu paczkę.
- Eydziatowicz upił łyk, po czym odstawił filiżankę na spodek.
- Myślę, że chcą mnie państwo przesłuchać, prawda?

Arystokrata zwrócił bystre spojrzenie na detektywa.

– Przesłuchujemy podejrzanych bądź świadków, z panem chcielibyśmy po prostu porozmawiać – odparł Fiks, również odstawiając naczynie. Zastanawiałam się, czy powinnam zrobić to samo, ale miałam wrażenie, że to nie wyglądałoby najmądrzej, więc po prostu upiłam łyk nietkniętej do tej pory herbaty. Była bardzo gorzka. – Tak naprawdę w tej chwili nie mamy zbyt wielu punktów zaczepienia – mówił tymczasem detektyw. – Nie zdołaliśmy nawet zidentyfikować zwłok.

- Może będę mógł pomóc... – Arystokrata potarł kciukiem skroń.
- Jak zapowiadałem, po powrocie sprawdziłem laboratorium. Arnold Reszczak nie zjawił się dziś na stanowisku. To jeden z młodszych inżynierów. Zdolny, ambitny. Przed wszystkim ciekawy. A co najważniejsze: nie boi się próbować po wielokroć. To potrzebne człowiekowi nauki.

Fiks rzucił mi szybkie spojrzenie. Sięgnęłam do torby przypiętej do paska. Wyjęłam notatnik z przyklejonym doń ołówkiem i po ulotnej chwili wahania – z racji braku miejsca na stoliku – oparłam ten pierwszy o kolano, a drugim zapisałam nazwisko oraz przymioty wymienione przez pracodawcę, który zamilkł na chwilę, jakby specjalnie, by dać mi czas, po czym znów potarłszy skroń, kontynuował, nieco tak, jakby myślał na głos:

- Przyznam, że zastanawia mnie stan ciała. Może ktoś zamordował tego nieszczęśnika i potem umieścił go w moim skafandrze?

Spojrzelśmy z Fiksem na siebie ponad stołem i wtedy nad naszymi głowami przeleciał kolejny ptak. Jego pióra mieniły się złotem i purpurą, a gdy otworzył dziób, powietrze rozdarł nieprzyjemnie ostry wrzask. Drgnęłam wystraszona i podążyłam wzrokiem za stworzeniem, które zatrzepotało skrzydłami i przysiadło na czymś wystającym zza kępy pokrytych drobnym, różowym kwieciem krzewów.

- Uciekaj, paskudo!

Krzyk Eydziatowicza wystraszył mnie znacznie bardziej niż ten nagły skrzek. Arystokrata poderwał się gwałtownie, nie zważając na stolik. Ten zachwiał się. Herbata z przewróconych filiżanek ochlapała kanapki, ciasteczka zsunęły się z talerzyka. Patrzyłam zdumiona na purpurową twarz dżentelmena, odcinającą się od jego niemal

białych włosów. Nastroszone wąsy i dzikie spojrzenie nie wróżyły niczego dobrego zwierzęciu, które nic sobie nie robiąc z rozkazu, zaczęło czochoać dziobem skrzydło.

– Obrzydliwe stworzenie, nie masz prawa tam siadać!

Patrzyłam zdumiona, jak nasz gospodarz rusza w stronę zarośli na przełaj, nie bacząc na to, że depcze egzotyczne kwiaty, które umierały w chmurze mdlącego, słodkiego zapachu. Fiks wykazał się większą przytomnością umysłu ode mnie i po prostu popędził za arystokratą, co i ja w końcu uczyniłam. W gęstwinie skrywała się rzeźba. Przedstawiała naturalnej wielkości męczyznę unoszącego na wyciągniętych rękach kobietę. Na jej głowie siedział ptak, wciąż nieprzejęty zamieszaniem, i zerkał na nas, mrugając to jednym, to drugim okiem. Eydziatowicz schylił się i podniósł z ziemi na wpół zgniły owoc, a potem wziął zamach i rzucił. Pocisk trafił w cel; pierzasty intruz zatrzepotał skrzydłami i z trudem utrzymał się na wybranym siedzisku. Teraz patrzył na hrabiego z wyrzutem. Arystokrata, wyglądający jakby miał dostać apopleksji, znów się schylił; słyszałam, jak mamrocze pod nosem inwektywy w stronę opornego ptaszyska. Milczałam, przeskakując wzrokiem pomiędzy Fiksem (który wpatrywał się w posągi, poruszając wąsikami), rzeźbą, a naszym gospodarzem i przy którymś okrążeniu dotarło do mnie, że przedstawionym ze wszelkimi detalami męczyzną jest nie kto inny, jak Sergiusz Eydziatowicz. Kim więc była wpatrzona w niego z rozchylonymi miłośnicie ustami dama?

Drugi rzut zmusił wreszcie upartego zwierzaka do odlotu. Podrywając się, zrobił to, co ptaki mają w zwyczaju, gdy startują. Jego odchody trafiły w ramię wyrzeźbionej kobiety, a nasz gospodarz zareagował na to obnażeniem zębów.

– Nie daruję – warknął. – Każę upiec! Który kretyń wypuścił tę paskudę?!

Twarz hrabiego wyglądała strasznie, tak jakby nagle opadło z niego wszystko, co czyniło go człowiekiem cywilizowanym. Został jedynie pierwotny instynkt. Arystokrata chyba to zrozumiał, bowiem szybkim krokiem wrócił do stolika, nacisnął ukryty pod blatem guzik i niemal w tej samej chwili stanął przy nas milczący chłopiec, którego poznaliśmy wcześniej.

– Byłbym wdzięczny, gdyby państwo już poszli. – W głosie Eydziatowicza wciąż czaiła się złość, choć purpura na jego twarzy bladła. – Andrzej odprowadzi was do drzwi.

Fiks uklonił się i podziękował krótko. Ja po prostu skinęłam głową. Posłusznie wyszliśmy w ślad za młodziutkim służącym, który sztywno wyprostowany, prowadził nas przez znany nam już korytarz. Mimo tego detektyw rozglądał się równie uważnie, jak poprzednio. Poszłam za jego przykładem, ale nic nie rzuciło mi się w oczy, poza dziwnym malowaniem sufitu w holu wejściowym. Nie miałam czasu przyjrzeć mu się uważnie, bo oto lokajczyk już chwycił za dźwignię umieszczoną obok drzwi i ciężkie skrzydła otworzyły się przed nami przy wtórze odgłosów wydawanych przez łańcuch wciągany na koło zębate. Nasza wizyta definitywnie dobiegła końca.

Trójkółka pod parą czekała na nas przy samych schodach. W kabine Fiks znalazł sporą paczuszkę, najprawdopodobniej zawierającą tę paskudną gorzką herbatę, którą się zachwyił. Teren posiadłości był jasno oświetlony za pomocą pochodni olejowych – prymitywna metoda, ale jakże malownicza. Tym razem udało mi się wystartować łagodniej, ale moje zadowolenie z tego faktu przykrył niepokój o powrót przez groblę w ciemnościach.

Przez całą drogę do miasta nie zamieniliśmy żadnego słowa. Gdy wreszcie dotarliśmy do strażnicy, byłam tak zeszywniała, że gdyby nie pomoc detektywa, przewróciłabym się przy zsiadaniu. Schowałam dumę do kieszeni i pozwoliłam dyżurnemu mechanikowi wprowadzić pojazd do garażu.

– Odprowadzę pannę na kwatere – rzekł Fiks i podał mi ramię. Nie protestowałam, pewna, że będzie chciał omówić nasze wrażenia. Myliłam się jednak. Detektyw milczał całą drogę. Szedł wolno, jak na spacerze, a ja co jakiś czas łapałam się na tym, że zaczynam przyspieszać. Dla postronnych osób musiało to wyglądać komicznie, a może wręcz szokująco – drobny dżentelmen ciągnięty przez wyższą od niego pannę z nieprzyzwoicie odkrytą głową. Dopiero stanąwszy pod drzwiami stacji, na której wynajmowałam pokój, Fiks zdecydował się odezwać:

– Wiem, że jest panna zmęczona. Ale proszę przed zaśnięciem zanotować swoje spostrzeżenia. Ja zrobię to samo i jutro porównamy nasze zapiski. Mnie spacerzy dobrze układają myśli, mam nadzieję, że u panny jest podobnie. Dobrej nocy.

Uklonił się głęboko i zrobił krok w tył; nie odszedł, dopóki nie weszłam do środka.

Dotarłam do swego pokoju i zapaliwszy lampę, podeszłam do okna. Detektyw nadal tkwił na trotuarze, więc odsunęłam firankę i pomachałam mu. Uśmiechnął się, ponownie uklonił i wreszcie ruszył, wciąż wolnym krokiem, w kierunku ulicy Ducha, przy której mieszkał.

Sporządzenie podsumowania wizyty zajęło mi dobrą godzinę. Pisałam ręcznie, a więc znacznie wolniej niż za pomocą maszyny pisarskiej. Większość moich spostrzeżeń krążyła wokół rzeźby; wspominałam też o wieży z dziwacznym zwieńczeniem – a dokładnie o tym, że bardzo chciałabym wejść do środka (jak się domyślicie, nie wierzyłam jednak słowu arystokraty), na końcu zaś po krótkim namyśle dodałam: „Skafander może się kurczyć i rozszerzać”. Podkreśliłam to zdanie dwa razy.

Tej nocy zasnęłam, ledwie przyłożyłam głowę do poduszki. Nie żebym często miewała problemy ze snem.

Następny dzień przyniósł mi ból wszystkich mięśni i uczucie, że ktoś wypchał mi czaszkę watą. Zwlekłam się z łóżka z wysiłkiem, umyłam w zimnej wodzie, żeby rozjaśnić myśli, pozbierałam notatki i ubrawszy się pospiesznie, poszłam do pracy. Po drodze kupiłam kanapkę od Saszki, ulicznego sprzedawcy, u którego zwykle się stołowałam, i wypijałam kubek czarnej kawy. Mięśnie nadal bolały, ale przynajmniej głowa wróciła do zwykłego stanu.

W strażnicy czekał już na mnie Fiks.

– Notatki? – spytał w ramach przywitania.

Bez słowa podałam mu notes otwarty na odpowiedniej stronie; w zamian dostałam luźne kartki zapisane wąskim, prostym pismem. Rzeźbę mój przełożony określił jednym słowem, po którym nastąpił znak zapytania. Słowem tym była „żona”. Wysznułam podobne wnioski, choć przez pewien czas wahałam się nad „córką”. Różnica wieku między postaciami była widoczna, choć jednocześnie wyrzeźbiony Eydziatowicz był zdecydowanie młodszy od tego, którego poznaliśmy. Natomiast nawet jeśli weźmie się pod uwagę siłę uwielbienia, jakim może darzyć dziewczyna swego rodzica, spojrzenia obojga, wyraz ich twarzy, a nawet poza, miały w sobie niemal nieuchwytny cień erotyzmu. Intymności zupełnie innej niż między krewnymi. Jakkolwiek by było, w tym punkcie się zgodzaliśmy. Więcej uwagi detektyw poświęcił malunkom na suficie w holu.

– Znaki astrologiczne... – mruknęłam pod nosem. – Wydawały mi się znajome, ale zbyt dawno ich nie widziałam.

– Tak, pan Eydziatowicz najwyraźniej interesuje się astrologią, a dziwaczne zwińczenie wieży, na które panna zwróciła uwagę, to prawdopodobnie obserwatorium nocnego nieba. A kiedyż to panna miała do czynienia z astrologią, jeśli wolno zapytać?

Poczułam ciepło na policzkach. Astrologia była wyśmiewaną nauką, a jednocześnie często wiązało się ją z rzeczami nieprzyzwoitymi. Wszystko przez utarte przekonanie, że aby poznać przyszłość albo otrzymać poradę, należy podczas spotkań Słońca z konkretnymi konstelacjami odprawiać obrzędy i rytuały – koniecznie nago; a niektórzy byli pewni, że jedynie akt kopulacji pozwala uzyskać prawdziwe odpowiedzi. Tymczasem moja matula w swoim gabinecie nad sklepem po prostu wpatrywała się w gwiazdy i z ich migotania, jasności i drogi wysnuwała wnioski co do sensowności podejmowania takich, a nie innych działań.

– Moja matka dorabiała, wróżąc z gwiazd – odpowiedziałam niechętnie.

– Musiała być wykształconą osobą. Nic dziwnego, że panna jest tak żądna wiedzy i ma zdolność wnioskowania. Jak widać, to wrodzone.

– Dziękuję – bąknęłam zaskoczona, a Fiks gładko przeszedł do ważniejszych spraw.

– Widzę, że zaintrygowały pannę pewne właściwości skafandra...

– Tak! Przyszło mi do głowy, że skoro potrafi się kurczyć, może skurczył się za bardzo i zgniótł tego człowieka. Wtedy szukanie kogoś, kto go tam wsadził, nie miałyby sensu.

Detektyw pokiwał głową – z uznaniem, jak mi się wydawało – po czym wstał.

– Prawda. Wciąż jednak nawet nie wiemy, kim był zgniciony. Nie ma na co czekać, panno Gorol! Mamy sporo do zrobienia. Najpierw odwiedzimy szewca! – Detektyw włożył kapelusik i otworzył przede mną drzwi.

– A potem? – spytałam, opuszczając gabinet.

– Potem spróbujemy dowiedzieć się czegoś w przepompowni.

– Myśli pan, że inżynierowie powiedzą nam coś więcej niż chłopcom z Szóstej?

– Myślę, że wiemy, o co pytać.

Fiks uśmiechnął się szeroko i przez chwilę myślałam, że mrugnie porozumiewawczo. Nie zrobił tego jednak – tylko otworzył przede mną kolejne drzwi.

Tym razem wzięliśmy miejską trójkółkę, małą i względnie cichą. Na ulicę Błysną, przy której mieścił się zakład szewski „Finiew & Syn”, jechało się przez Most Główny, postawiony ledwie przed dwoma laty w miejsce dawnego, jednolitego i nieruchomego. Wciąż jeszcze miał on posmak nowinki technologicznej. Akurat potężne ramiona były podniesione, gdyż rzeką przepływał parowiec, zdążający do Dołka Górnego. Jeszcze niedawno wszelki rzeczny ruch pasażerski kończył się w Dołku Dolnym, gdzie podróżni zmuszeni byli do przesiadki na mniej wygodne wieloosobowe pojazdy ciągnięte przez konie, bądź trójkółki.

– Wsiądziemy i podejdziemy bliżej? – Fiks jak zwykle bezbłędnie mnie wyczuł.

– Jeśli to nie kłopot... Chętnie popatrzę z bliska. Ta maszyna jest fascynująca.

– Proszę jechać, gdy ruch zostanie wznowiony – rzucił detektyw do motorniczego. – Wsiądziemy, gdy pan nas dogoni.

Mężczyzna na koźle skinął głową, nie okazując zdziwienia. Albo był znudzony, albo po prostu przywykł, że ludzie wciąż traktują widok unoszących się i opuszczających ramion niczym przedstawienie w teatrze. Podeszliśmy do ceglanej bariery chroniącej spacerowiczów przed spadnięciem na znajdujące się poniżej nabrzeże. Statek minął już most, co oznajmił przeciągłym buczeniem syreny. Po chwili drgnął potężny łańcuch, którego oka odpowiadały rozmiarem wzrostowi dorosłego człowieka, i ruchome przęsło zaczęło się opuszczać.

– Chciałabym kiedyś zwiedzić maszynownię. Ponoć wypuszczają tam postronne osoby wylosowane w loterii miejskiej.

Fiks uśmiechnął się, jak to on, półgębkiem.

– Kupię pannie los przy najbliższej okazji.

Też się uśmiechnęłam i ze zdziwieniem skonstatowałam, że jakieś do tej pory nieobecne ciepło rozlewa mi się po wnętrznościach. Trochę mnie to zirytowało. Powinnam raczej skupiać się na zadaniu, a nie dzielić się z bezpośrednim przełożonym fascynacją mostami.

Dalsza droga upłynęła nam w milczeniu, a kiedy dotarliśmy na miejsce, zakład właśnie zaczynał dzień pracy. Nastoletni młodzieniec walczył z opornymi okiennicami, a drzwi otwarte na oścież zachęcały do wejścia.

– Dopiero otwieramy, matka zaraz zejda, no chyba że państwo chcą butów na miarę, wtedy można drzwiami po lewej, tam ojciec mają pracownię.

– Dziękujemy, młody człowieku, ale właściwie nie do końca wiemy, którego z twoich szanownych rodziców potrzebujemy – rzekł Fiks w odpowiedzi, jednocześnie wyciągając z niesionego do tej pory w rękę worka but. Wyczyszczony najlepiej jak się dało, wciąż jednak zalatujący nieprzyjemnym zapachem. – Czy to egzemplarz robiony na miarę, czy seryjny produkt?

Chłopak rzucił okiem, po czym wyciągnął rękę.

– Mogę zobaczyć?

Fiks wręczył mu nasz dowód, a szewski syn zajrzał do jego wnętrza, odginając język. Skrzywił się lekko, ale najwyraźniej woń nie skojarzyła mu się z niczym podejrzanym, bo spokojnie odczytał numer, poskrobał się po głowie i odparł:

– Seria, ojciec zrobił takich około setki w różnych rozmiarach. Tania skóra, nic wyszukanego.

– Zapewne prowadzicie jakieś księgi sprzedaży?

– Oczywiście. Matka wszystkiego pilnują. Inaczej to by człowiek nigdy nie wiedział, ile zarobił, a ile stracił.

Ostatnią mądrość wypowiedział niezwykle poważnym tonem, wyraźnie naśladując któreś z rodziców – zapewne wspomnianą matkę właśnie.

– Gutek, co ty klientów na dworze trzymasz, w łeb chcesz?

– Niebrzydka, rumiana kobieta stanęła w drzwiach, potrząsając groźnie palcem. – Niechże państwo do środka wleżą.

– Proszę nie strofować syna, sami go zagadnęliśmy, a on tylko udzielał odpowiedzi, świadczących zresztą o doskonałym zrozumieniu waszego fachu. Nic dziwnego zatem, że mimo młodego wieku już jest na szyldzie.

– Na szyldzie...? – Nasza rozmówczyni wyglądała na zaskoczoną. Dopiero spojrzenie Fiksa na kołyszącą się nad jej głową deszczułkę ze znakiem firmowym naprowadziło ją na właściwą drogę. Zaśmiała się. – Ten „syn” tutaj to mój starszy brat. To ja jestem z domu Finiew, a zakład należał do mego ojca. Po jego śmierci brat wreszcie poszedł własną drogą, a mój mąż przejął interes. Nie warto było zmieniać nazwy, którą wszyscy w okolicy znają, prawda?

Detektyw skinął głową z aprobatą, a szewcowa odsunęła się z progu, zapraszając nas gestem do środka.

– Z przykrością muszę przyznać, że nie przyszedliśmy do pani po buty – zaczął mój przełożony, kłaniając się. – Jestem detektyw Fiks

z tutejszej komendy straży, a to pomocnica pierwszego szczebla, panna Jaśmina Gorol. Śledztwo, które prowadzimy obecnie, wymaga od nas ustalenia, komu je pani sprzedała – mówiąc to, detektyw postawił na ladzie but, który wcześniej oglądał chłopak, i pospiesznie wyjął z torby drugi do pary.

Kobieta wydeła wargi, przyjrzała się butom, a potem zajrzała do nich, identycznie jak wcześniej zrobił to jej syn, i nawet tak samo się skrzywiła.

– Męskie codzienne, rozmiar czterdziesty drugi, tania skóra, para z zeszłego roku. Strasznie zniszczone, doprawdy, kompletny brak szacunku. Jeszcze parę miesięcy takiego traktowania i będzie musiał kupować nowe. Właściwie nie powinnam narzekać, w końcu pewno wróci tutaj, ale naprawdę żal patrzeć. Gdzieś tu powinien być kolejny numer. O! Pięćdziesiąt dwa. To teraz księga.

Sięgnęła pod ladę, a ja podeszłam do półki z gotowymi butami. Były droższe niż fabryczne, które kupiłam miesiąc temu, ale też znacznie zgrabniejsze. Postanowiłam, że następnym razem przyjdę tutaj, zamiast do magazynu odzieżowego na rogu Głównej i Niskiej. Nawet jeśli będę potem musiała jeść ziemniaki z ziemniakami.

– O! Mam! Pan Arnold Reszczak. Zapłacił czekiem, zrealizowanym dwudziestego września zeszłego roku przez mojego męża. Chyba nawet go sobie przypominam. Długo wybierał. Młody człowiek w okularach, mam rację?

Oczywiście nie mieliśmy pojęcia, czy tak właśnie wyglądał za życia inżynier, ale Fiks skinął głową twierdząco. Szewcowa natomiast, bezbłędnie wychwyciwszy moje zainteresowanie, wyszła zza lady i zdjęła z najwyższej półki piękne czerwone botki.

– Te będą na panią pasowały. Nie tylko rozmiarem. Widać, że ma pani niezwykły charakter. Sprzedam za trzy czwarte ceny.

Pokręciłam głową, wystraszona nieco energią kobiety.

– Niestety, w tej chwili nie mogę sobie pozwolić na nowe buty. Zresztą nie po to tu przyszliśmy.

Spojrzałam na Fiksa, szukając pomocy, lecz detektyw zajęty był chowaniem dowodów z powrotem do torby. Szewcowa obrzuciła szybkim spojrzeniem moje nogi i pokręciła głową.

– Fabryczne, co?

Nie odpowiedziałam.

– Fabryczne, przecież widzę. Tania robota, to i taniej sprzedają. Wygryzą nas w końcu.

– Ja... Następny razem...

Kobieta westchnęła, a detektyw wreszcie zdecydował się wtrącić:

– Dobrze, panno Gorol, musimy iść. Nie czas teraz na zakupy. Dziękuję pani pięknie. Proszę pozdrowić męża i zapewnić go, że w najbliższym czasie zamierzam skorzystać z jego usług. Potrzebuję butów szytych na miarę. Niezwykle mała stopa, jak na mężczyznę, rozumie pani.

Twarz szewcowej rozjaśnił uśmiech. Kłaniała się, dopóki nie wyszliśmy. Na zewnątrz wciąż sterczał wnuk mistrza Finiewa, który co prawda nie miał już nic do roboty, lecz najwyraźniej był z natury ciekawski. On też się nam uklonił, a Fiks sięgnął do kieszeni i podał mu pięcioletową monetę. Szczeka chłopaka opadła nisko i nie był w stanie nawet wydukać podziękowania.

Motorniczy trójkółki natomiast uśmiechnął się pod wąsem. Wyraźnie liczył na podobnie hojny napiwek.

– Do przepompowni na Kluczach! – polecił mój przełożony, gdy już się wspięliśmy na swoje miejsca. – Kształt tych butów faktycznie bardzo elegancki, ale czerwień to nie pani kolor, pani jest silna, ale nie agresywna. Zdecydowanie brązy, które pani nosi, są dla pani idealne. Może jeszcze ożywiłbym je odrobiną zieleni.

Spojrzałam na niego z konsternacją. Zapewne powinnam była jako zareagować, ale zupełnie nie wiedziałam jak. Miałam raczej niewielkie doświadczenie w kwestiach tego typu niezobowiązujących rozmówek.

W przepompowni na każdej zmianie pracowało sześcioro inżynierów, a także tabun mechaników niższych szczebli. Poprosiliśmy oczywiście o rozmowę z panem Żmijewskim; nie wypadalo przepytować jego podwładnych bez zgody pryncypała. Ten nie miał oczywiście nic przeciwko naszej prośbie, ba! spełnił ją z ochotą i nawet oddał nam swój gabinet, twierdząc, iż nadeszła właśnie pora jego codziennego obchodu, więc wcale nie jest to jakieś wielkie poświęcenie z jego strony. Tak właśnie w moim wyobrażeniu zachowują się prawdziwi dżentelmeni. Nie potrzeba urodzenia, by być takowym, a Laurenty Żmijewski, którego dzieciństwo upłynęło w miejskim sierocińcu, był tego najlepszym przykładem.

Przesłuchania (albo – jak wolał je nazywać Fiks – rozmowy) prędko mnie znudziły. Przejęci inżynierowie opowiadali o hałasie,

jaki usłyszeli, o tym, że nie mieli pojęcia, skąd wziął się skafander i że „To wina tych Leserów z poprzedniej zmiany!”. Dopiero czwarta przepytywana, pani Lukrecja Taranowa, powiedziała coś, co postawiło wąsiki Fiksa niemal na sztorc:

– Gdyby zablokował ramię, a para w kotłach nadal by się grzała, ciśnienie mogłoby rozerwać całą maszynę. Naprawdę mieliśmy szczęście, że zatrzymał się, zanim przelazł na drugą stronę.

– A czym skutkowałoby rozerwanie maszyny? – spytałam, choć znałam przecież odpowiedź na to pytanie (a przede wszystkim moim zadaniem było jedynie notować).

– A pamięta pani, co się stało w Dołku Górnym w siedemdziesiątym trzecim? Tam wieża ciśnień stała na uboczu. Tu ktoś wpadł na pomysł wybudowania jej w środku miasta. Ja tam się cieszę, że uniknęliśmy katastrofy.

Detektyw podziękował w tym momencie pani Taranowej i poprosił ją, by przysłała do nas kolejnego inżyniera. Jego wąsiki poruszały się szybko, a czoło przecięła pionowa zmarszczka.

– To wszystko wydaje się coraz dziwniejsze... – szepnęłam.

– Raczej przerażające, Mino. Przerażające!

Kolejni przepytywani inżynierowie i maszyniści nie wnieśli właściwie niczego nowego do sprawy. Rozwodzili się nad maestrią budowy skafandra, wyrażali chęć zbadania go i nieodmiennie wzdychali z rozczarowaniem, gdy Fiks odpowiadał, że urządzenie wróciło już do swego właściciela i nie ma żadnej możliwości, by przekazać je w ręce osób postronnych.

Gdy w końcu opuściliśmy budynek przepompowni, żegnani wyłącznie przez pana Żmijewskiego, który nie omieszkał zapewnić nas o chęci dalszej współpracy, było dobrze po południu, a burczenie w moim brzuchu z pewnością było słychać w promieniu co najmniej jarda. Tym razem to ja zarządziłam przerwę obiadową i poprowadziłam nas do niedużej knajpki prowadzonej przez mojego dalekiego kuzyna. Jadło się tam na stojąco przy długiej ladzie, a wybór dań był ograniczony do dwóch rodzajów zup i trzech typów puddingu. Fiks, początkowo niezbyt zadowolony z wybranego przeze mnie lokalu, rozjaśnił się, skosztowawszy zupy. Gęsta ziemniaczanka doprawiona cebulą, serem i czerwonym pieprzem była jak zwykle smakowita.

Reszta dnia aż do wieczora upłynęła mi na sporządzaniu notatek, a mojemu przełożonemu – na dalszym wpatrywaniu się

w światłografie. Zastanawiałam się, czy i tego wieczoru detektyw zechce odprowadzić mnie na kwaterę, ale minęła dziewiętnasta, a on nie ruszał się z miejsca. Skończyłam spisywanie swoich spostrzeżeń dawno temu, teraz powoli dzieliłam je na odpowiednie skoroszyty.

– Jeśli nie ma pan dla mnie więcej żadnych zadań, pójdę już – odezwałam się w końcu, decydując się przerwać mu proces dedukcji, choć wiedziałam, że bardzo tego nie lubi.

– Tak, proszę iść, panno Gorol, do jutra.

Przyznam się wam po cichu, że poczułam zawód. Ten wczorajszy przypadkowy spacer nawet mi się podobał i nie miałabym nic przeciwko powtórzeniu go. Najwyraźniej jednak była to jednorazowa fanaberia Fiksa.

Kolejne dni nie przyniosły żadnych nowych informacji. Przeszukaliśmy mieszkanie Reszczaka, ale nie było tam niczego, co mogłoby świadczyć o tym, że zamierzał ukraść skafander i do czegoś go wykorzystać. Ot, kawalerski pokój ze światłografiami rozneglizowanych kobiet pod łóżkiem, paroma koszulami w szafie i stosem książek dotyczących nauk ścisłych. Kilka listów rozpoczynających się od „Drogi Bracie” doprowadziło nas do panny Jadwigi Reszczakówny, którą byliśmy zmuszeni poinformować o nieszczęściu, jakie przydarzyło się jej krewnemu. Rozmowa z nią nic nam nie dała. Arnold nie miał dla niej zbyt wiele czasu, odkąd rozpoczął naukę, a gdy trafił do laboratoriów Eydziatowicza, praktycznie przestał jej odpisywać. Pourywał też kontakty ze znajomymi z czasów studenckich. Praca pochłaniała go całkowicie.

Czytałam nasze notatki raz po raz i w końcu, nie mając zupełnie żadnego pomysłu, jak pchnąć śledztwo do przodu, skupiłam się na osobie żony Eydziatowicza. Odtwarzałam w myślach wygląd rzeźby tyle razy, że wreszcie odważyłam się zrobić szkic. Nie był doskonały, ponieważ nigdy nie miałam możliwości rozwinięcia w sobie wrodzonego talentu malarskiego. Podobno odziedzyczyłam go po moim podłym ojcu, który opuścił matulę niedługo po tym, jak przyszłam na świat. Należał do tego rodzaju artystów, co to nie potrafią usiedzieć w miejscu, a żona i córka okazały się być kajdanami pętającymi jego dar. Wpatrywanie się w obrazek nie dawało mi nic poza coraz głębszym przekonaniem, że za tym doskonałym przedstawieniem dwojga kochających się ludzi kryje się jakaś mroczna tragedia.

– Myśli pan, że gdzieś można przejrzeć kroniki towarzyskie sprzed, powiedzmy, dwudziestu lat? – spytałam Fiksa, siedzącego na parapecie z papierosem w ustach.

Detektyw wypuścił nosem kłęb dymu, a ja nie zdołałam powstrzymać skrzywienia – nie znosiłam zapachu tytoniu.

– W archiwum „Kuriera Dwumiejskiego”? Od lat mają najdokładniejszą kronikę towarzyską. Ogłaszają się u nich praktycznie wszyscy. Na pani miejscu tam właśnie bym próbował.

– W takim razie pozwoli pan, że spróbuję od razu. Chciałabym coś sprawdzić. Nie daje mi spokoju rzeźba Eydziatowicza, a nie wydaje mi się, żebym była w tej chwili pomocna w jakikolwiek sposób.

Bursztynowe oczy zmierzły mnie z uwagą.

– Napiszę pani rekomendację do redaktora Gunta – rzekł Fiks po chwili namysłu. – Kiedyś pomogłem mu w pewnej sprawie i zapewne z chęcią mi się odwdzięczy.

Ucieszył mnie brak obiekcji ze strony mego przełożonego. Doceniałam też fakt, iż nie zbył moich przeczuć ani nie uznał, że będę marnować czas (a więc i pieniądze, jakie miasto wykląda na nasze pensje).

Drogę do siedziby „Kuriera Dwumiejskiego” pokonałam piechotą. Szłam powoli, jak wtedy nocą z Fiksem. Postanowiłam spróbować jego metody układania myśli.

Sprawy z redaktorem załatwiłam ekspresowo. Siwy jegomość o oczach ukrytych za grubymi szklami sam zaprowadził mnie do piwnic, gdzie mieściły się archiwa. Ogłoszenia towarzyskie były przechowywane na tych samych kartach, które wypisywali zainteresowani ich zamieszczeniem obywatele. Spoczywały ułożone rocznikami w drewnianych skrzynkach pokrytych kurzem i pajęczynami.

– Rzadko ktoś tu zagląda, ale niczego nie wyrzucamy. Szczycimy się tym, że mamy tu wszystkie numery naszej gazety, a musi pani wiedzieć, że „Kurier Dwumiejski” wychodzi już od sześćdziesięciu lat.

– Och! – zachwyciłam się uprzejmie, bo redaktor wyraźnie tego oczekiwał.

– Proszę uważać z tym – dodał jeszcze, wręczając mi zaopatrzoną w spore lustro lampę olejową. – Nie chcemy pożaru, prawda?

– Prawda – potwierdziłam, a pan Gunt poklepał mnie po ramieniu i ruszył do drzwi.

Ja z kolei podkręciłam knot i zaczęłam iść wzdłuż regałów. Postanowiłam zacząć od rocznika sprzed dwudziestu sześciu lat,

a potem wędrować we wspomnieniach miasta na przemian rok w przód i rok w tył od tysiąc osiemset pięćdziesiątego.

Przez kilka następnych dni przychodziłam do strażnicy jak zwykle o poranku i wymieniwszy z Fiksem spostrzeżenia, przenosiłam się do archiwum, podczas gdy on rozmawiał z inżynierami i naukowcami Eydziatowicza, o których listę poprosił hrabiego przez komendanta Daniłę. Nie muszę chyba dodawać, że żadna z tych rozmów nie wniosła do sprawy niczego nowego. Wszystko wskazywało na to, że Reszczak ukradł skafander, a potem uległ wypadkowi. Być może powinniśmy byli zamknąć dochodzenie na tym etapie, ale ani Fiksa, ani mnie nie zadowalało takie wyjaśnienie. Bo jaki powód miał Reszczak, by w ogóle kraść skafander? I czemu udał się z nim do przepompowni? Słowa Lukrecji Taranowej nie dawały nam spokoju.

Czwartej dnia żmudnego ślęczenia nad anonsami zostałam nagrodzona. Na jednym z pożółkłych arkuszy znalazłam informację o pogrzebie pani Haliny Eydziatowicz, nieodżałowanej żony, która odeszła zbyt szybko w wyniku tragicznego wypadku. Przepisałam datę wydania i całość notki, a potem wstałam, otrzepując kolana, i właśnie zaczęłam się rozglądać za działem numerów archiwalnych dziennika, gdy do pomieszczenia wpadła dziewczyna w stroju gońca.

– Pan Fiks do panny Gorol – powiedziała, z trudem łapiąc oddech. – Proszę natychmiast wrócić do strażnicy.

– Dziękuję.

Wręczyłam dziewczynie zwyczajowe pięć groszy napiwku, choć dostarczenie wiadomości opłacił już Fiks, i nie zulekając, udałam się tam, gdzie kazał. Detektyw czekał na mnie, przemierzając gabinet w tę i z powrotem z rękami założonymi na plecy. Na mój widok stanął jak wryty, po czym gestem nakazał mi zamknąć drzwi. Gdy to zrobiłam, zaczął mówić niezwyczajnie szybko:

– Przed chwilą wezwał mnie Daniło. Wściekły jak osa. Według niego nic nie robimy, a jedynie zbijamy bąki, za co on musi płacić; najpewniej z własnej kieszeni, tak to przynajmniej brzmiało. Muszę przyznać, panno Gorol, że nasz przełożony bywa uciążliwy. Jednak rozumiem jego zdenerwowanie. Otóż odwiedził nas Eydziatowicz. Skafander znów zniknął. Ponownie skradziony. Żaden z inżynierów się oczywiście nie przyznaje. Żaden też tym razem nie zaginął. W tej chwili nasi ludzie przeszukują mieszkania wszystkich osób

zatrudnionych w laboratorium i dworze. Duża grupa przeczesuje miasto. Nie wiem, czemu, ale nie wróżę im powodzenia. Znalazła coś pani w archiwum?

Zalana tym potokiem informacji, nie pojęłam z początku, że ostatnie zdanie skierowane jest do mnie.

– Mino?

– Ach. Tak. Niewiele. Właściwie tyle, że pani Eydziatowicz zginęła w jakimś wypadku. Miałam szukać szczegółów, ale przybiegła kurierka od pana i...

– Dobrze. Niech pani tam wraca i znajdzie wszystko, co tylko pani zdoła, na temat hrabiego i jego żony. Irytuje mnie to! – Fiks uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Wiadomo, że tym razem skafander musiał ukraść kto inny. Czy był w znowie z Reszczakiem? Czy może działali wspólnie dla kogoś trzeciego? Nic nie wiem! I jeszcze ta zamknięta wieża! Czy ten głupiec nie rozumie, że nie mogę dedukować, kiedy nie znam wszystkich faktów!?

– Próbował pan mu to wyjaśnić? – spytałam, siłąc się na uspokajający ton. – Przecież naprawdę zależy mu na skafandrze...

Fiks popatrzył na mnie, jakby nagle na czole wyrosło mi coś dziwnego, na przykład trzecie ucho. Zrozumiałam od razu, że moje pytanie było naiwne – gdyby nie próbował, nie irytowałby się aż tak.

– Ruszaj do archiwum! – warknął. – Chcę wiedzieć wszystko o Eydziatowiczu. Nie znoszę tajemnic.

Tak naprawdę mój przełożony nie znosił, gdy ktoś go przechytrzał – a po wielu dniach poszukiwań nie posunęliśmy się nawet o krok na drodze do zdobycia informacji, kim jest ten ktoś.

Jeszcze chwilę stałam w progu, patrząc na detektywa, który znów zaczął krążyć po pokoju. Obijał się o sprzęty zajmujące większość przestrzeni naszego małego gabinetu niczym zwierzę o pręty klatki. I fuczał. Wyraźnie słyszałam, jak fuczał przez nos, a jego wąsiki były się z irytacji.

– Niech pan na siebie uważa – wyrwało mi się odruchowo.

Fiks zatrzymał się.

– Będę uważał, Mino. Obiecuję.

Ani trochę nie uspokojona tą wymuszoną obietnicą wróciłam do archiwum. Tym razem poszukiwania poszły znacznie szybciej. Wiedziałam dokładnie, które numery „Kuriera Dwumiejskiego” przeglądać, więc dość szybko znalazłam informację o katastrofie budowlanej

w stolicy województwa. Jedna z wielkich maszyn używanych do przenoszenia potężnych kratownic wspierających dach dworca kolejowego uległa awarii, i niepomna na próby zatrzymania jej przez motorniczego ruszyła w tłum obserwujących pracę gapiów. W tym tłumie znaleźli się także państwo Eydziatowiczowie. Żurnalista, zapewne celem wywarcia większego wrażenia na czytelnikach, nie omieszczał napisać, że kończyli oni właśnie podróż poślubną. Faktycznie, wróciwszy do działu z ogłoszeniami towarzyskimi, znalazłam kartę oznajmiającą, iż miejscowy arystokrata, żyjący do tej pory samotnie w Brzozowym Dworku, w późnym wieku lat czterdziestu dziewięciu poślubił pannę Halinę z domu Winiarską – osobę o ujmującej urodzie, choć bez majątku.

Skrzywiłam się nad tym ostatnim zdaniem, wstrzymując rozlewającą się żylami złość. Oczywiście wszyscy mieszkańcy obydwu miast musieli koniecznie wiedzieć, że stary kawaler wziął sobie biedną dziewczynę, która pewnie nie miała innego wyjścia, jak tylko zgodzić się na małżeństwo. A przecież widziałam rzeźbę. Czy były to tylko pobożne życzenia Eydziatowicza, czy faktycznie żona tak bardzo go kochała? Bez trudu mogłam uwierzyć w to drugie. Hrabia był wysoki, mimo wieku trzymał się prosto, włosy zachowały gęstość do dnia dzisiejszego, regularne rysy i zdecydowany zarys podbródka nadawały jego twarzy wyraz siły i zdecydowania. Jednym słowem: przystojny. A do tego inteligentny, bogaty, nieco ekscentryczny. Miał w sobie wszystko, co mogło przyciągnąć kobietę.

Popatrzyłam na swoje notatki i podniosłam się z podłogi. Zastały kręgosłup zaprotestował, gdy schyliłam się po skrzynki pełne arkuszy papieru. Eydziatowicz przeżył tragedię. Zamknął się w Brzozowym Dworku i tworzy wynalazki, a jeden z nich mu ukradziono, więc chce go odzyskać. Jedno z drugim nie ma związku, a ja co prawda zaspokoiliłam ciekawość, ale nijak nie pchnęłam śledztwa naprzód.

Wróciłam do strażnicy. Fiksa nie było. Dzień chylił się ku zachodowi, więc pospiesznie zrobiłam kopie spisanych przeze mnie danych i spostrzeżeń i ułożywszy je w skoroszytach, poszłam na kwaterę.

Następnego ranka byłam w biurze pierwsza. Do tej pory – a pracowaliśmy razem już prawie cztery lata – zdarzyło mi się to może trzy razy. Przejrzałam raz jeszcze wszystkie zapiski oraz światłografie. Teraz wyraźnie widziałam, że skafander zastygł dziwacznie rozciągnięty, jakby z wysiłkiem trzymał się barierki, walcząc z przymusem

uczynienia kolejnego kroku. Wyobraźnia, poruszona słowami inżynier Taranowej, kazała mi dostrzegać rzeczy niesamowite. Zegar wybił dziesiątą, a Fiks wciąż się nie zjawiał. Zaczęłam się niepokoić. By słumić dokuczliwe uczucie strachu, zesłam do piwnic.

– Coś nowego? – spytałam Irmina Kłowego, najbliższego mi wiekiem i pochodzeniem technika.

– Nic a nic – westchnął. – Właściwie wiemy już wszystko, co mogliśmy wywnioskować. Czas najwyższy pochować tego biedaka.

Wróciłam na górę, a Fiksa nadal nie było. Cały czas miałam w pamięci jego wczorajszą determinację i złość. Takie połączenie często oznacza kłopoty.

– Co pan narobił, szefie? – mruknęłam pod nosem i szybkim ruchem, który miał imitować pewność, jakiej wcale nie czułam, otworzyłam szufladę biurka.

Wciśnięty głęboko leżał tam nieduży rewolwer. Sprawdziłam bębnek; pociski były na miejscu. Na wszelki wypadek wzięłam też pudełko z nabojami i wszystko razem ukryłam w torbie przy pasku. Wychodząc, zabrałam skoroszyt z notatkami przeznaczonymi dla Daniły. Zamierzałam mu je wręczyć przed opuszczeniem strażnicy, niby to na polecenie Fiksa, żeby jeszcze przez jakiś czas nie zorientował się, że detektywa nie ma. Wątpiłam, czy będzie zachwycony pomysłem zwiedzania laboratoriów Eydziatowicza wbrew jego woli.

U komendanta musiałam wysłuchać długiej reprymendy, w której pewne frazy powtarzały się niczym refren piosenki. Według niego byliśmy niekompetentnymi darmozjadami, którym do tej pory najwyraźniej za bardzo sprzyjało szczęście. A tak w ogóle to go oszukaliśmy, twierdząc, że jesteśmy najlepsi. Nie przerywałam mu, choć wiele mnie to kosztowało. Pewnie już wiecie, że nie jestem człowiekiem cierpliwym z natury, a tu na dodatek liczyła się każda sekunda. Zaciskałam zęby i czekałam, aż pełen furii słowotok minie. W końcu jednak nasz szef się zmęczył – najpierw wyraźnie zwolnił, a potem skupił wzrok na trzymanym przeze mnie skoroszycie.

– Notatki ze sprawy, tak?

– Tak, panie komendancie – odparłam, podając mu je. – Detektyw Fiks kazał mi je panu dostarczyć, a potem mam się z nim spotkać w mieszkaniu jednego z inżynierów hrabiego Eydziatowicza – skłamałam gładko. – Detektyw uważa, że ten człowiek nie był z nami do końca szczerzy podczas przesłuchania.

Daniło zmrużył oczy; czerwonawa skóra na krągłych policzkach napięła się wyraźnie.

– Niech pani idzie, ale oczekuję szczegółowego raportu najpóźniej jutro o świcie.

Ukloniłam się i ledwie powstrzymałam stuknięcie obcasami. Wybiegłam ze strażnicy i zaczęłam się rozglądać za trójkółką, gdy do głowy przysłała mi pewna myśl. Będzie co najmniej niezręcznie, jeśli zjawię się w Brzozowym Dworku z rewolwerem w dłoni, gotowa odbijać Fiksa, a tymczasem on będzie odsypiał jakieś nocne eskapady w swoim własnym łóżku. Zamiast za miasto, pojechałam więc do niego.

Fiks mieszkał w niewielkim wolnostojącym domku ukrytym na końcu ślepego zaułka, w najzieleńszej dzielnicy Dołków. Najwyraźniej drzewa w mieście mu nie przeszkadzały. Wiosną cała ulica Ducha i jej liczne zakamarki okrywały się bielą kwitnących wiśni i śliw. Teraz zaś była końcówka lata i niezberane owoce rozpryskiwały się pod moimi stopami, gdy pędziłam wąską ścieżką, w której nie zmieściłaby się trójkółka.

Furtka była zamknięta, więc nacisnęłam przycisk dzwonka. Słyszałam, jak rozbrzmiał podwójnym uderzeniem kuranta, jednak nic więcej się nie wydarzyło. Ponowiłam próbę raz i drugi, a w końcu się poddałam i postanowiłam sforsować furtkę na własną rękę. Fiks, który często gubił klucz, pokazał mi kiedyś, jak ją otworzyć bez konieczności używania go. Skorzystałam z tego sposobu, mając do dyspozycji dwie szpilki wyjęte z włosów i długą zapalną. Niestety, drzwi także okazały się zamknięte, a sztuczka ze szpilkami tym razem nie zadziałała. Z każdą chwilą bardziej zdenerwowana, ruszyłam na obchód domu. Wysoka, dawno niestrzyżona trawa i kwitnący łąbin otaczały budynek, ale nie to mnie interesowało. Moją uwagę przyciągnął uchylony lufcik w oknie z tyłu. Na białej framudze wyraźnie widoczne były czerwonoróżowe smugi.

– Psia mać, toż to krew – wyszeptalam przez zaciśnięte zęby i bez wahania wspięłam się na parapet.

Nie było łatwo przecisnąć się przez nieduży otwór, zwłaszcza że matula obdarzyła mnie nie tylko dobrym wychowaniem, ale i dość obfitym biustem. Otarłam to i owo, usiłując sięgnąć z zewnątrz klamki otwierającej całe skrzydło, a kiedy mi się to wreszcie udało, ledwie uniknęłam zawiśnięcia w niezbyt wygodnej pozycji

wewnątrz – jak się zorientowałam, rzuciwszy pojedyncze spojrzenie w głąb pomieszczenia – sypialni dżentelmena. Na szczęście udało mi się zaczepić obcasy na zewnętrznym parapecie i, nie bez wysiłku, wydostać z pułapki. Stałam pewnie i ostrożnie zeskoczyłam do środka. Pokój był pusty, łóżko schludnie zasłane i równie dobrze mój przełożony mógł w nim w ogóle nie spać tej nocy, jak po prostu wstać rano i wyjść. Może zresztą był gdzieś w domu i po prostu nie wpuścił mnie, bo nie życzył sobie wizyt.

– Detektywie?! – krzyknęłam, otwierając drzwi sypialni. – Panie Fiks, jest pan tu?!

Szłam przez wąski korytarz, rozglądając się za śladami krwi i nawołując szefa nazwą jego profesji, nazwiskiem, a w końcu imieniem – jednak nic się nie działo. Domek należał do tych naprawdę niewielkich. Sypialnia, kuchnia z umywalnią i salonik otwierający się na zadaszony taras stanowiły całość rozplanowaną na kwadracie. Nie było trudno przeszukać skrupulatnie wszystkie pomieszczenia. W kuchni znalazłam więcej brunatnych plam. Kilka smug ciągnęło się wzdłuż jasnych desek aż do pieca. Każdy kolejny krok stawiałam wolniej, a stłumiony wcześniej przez silniejsze emocje strach ponownie rozlał się w moich żyłach. Właściwie nie wiem, co spodziewałam się zobaczyć. Na pewno nie było tam miejsca dla dorosłego mężczyzny, nawet tak drobnego jak Fiks. Na wópół świadomie obracałam w głowie tę racjonalną myśl, a jednocześnie podążałam naprzód. Stopa za stopą, coraz wolniej, ze wstrzymanym oddechem i szeroko otwartymi oczami.

Szurnięcie wcale nie było głośne, a jednak nie powstrzymałam krzyku, zaś serce omal nie rozerwało mi piersi. Szczur! To musi być szczur, pomyślałam, oddychając zdecydowanie zbyt szybko. Zakręciło mi się w głowie i musiałam złapać za mosiężny reling pieca, żeby nie upaść. Dźwięk się powtórzył, a chwilę później z ciemnego kąta między kominem a ścianą wypełzło jakieś zwierzę. Cofnąłam się gwałtownie i pospiesznie wydobyłam rewolwer, choć pewnie miotła byłaby lepszą bronią przeciwko lisowi – bo to był lis. Brudny, ze zmierzwionym futrem, tu i ówdzie zlepionym krwią, z lewą przednią łapą podwiniętą dziwnie, ale z całą pewnością lis. Moją główną obawą teraz stała się choroba wściekłych zwierząt. Ten tu egzemplarz nie toczył co prawda piany z pyszczka, ale kto go tam wiedział. Na wszelki wypadek wskoczyłam na stół, a lis przycołgał się bliżej

i przysiadł w plamie światła docierającego zza okna. Mierzyliśmy się spojrzzeniami. Wciąż ścisnęłam kolbę spoconymi dłońmi, a nawet odciągnęłam kurek. Zwierzę przechyliło łebek i poruszyło wąsikami, węsząc. Mimo nędznego wyglądu stworzenia bursztynowe oczy patrzyły niezwykle bystro. Wąsiki znów się poruszyły i futrzak otworzył pyszczek, wydając dźwięk będący ni to szczeknięciem, ni to miaukiem, a na dobrą sprawę przypominający także ptasi skrzek. Potem znów wiercił mnie wzrokiem. Zdrętwiały mi nogi od kucania w niewygodnej pozycji i w końcu klapnęłam na tyłek, nadal kierując broń w stronę zwierza. Ten szczeknął znowu – i znowu na nieco inną nutę. Wciąż oddychałam zbyt szybko. Myśli wirowały mi w głowie, nie tworząc żadnych sensownych obrazów czy wniosków. Tymczasem wpatrzone we mnie oczy lisa zamgłiły się. Zwierzę zaskomliło żałośnie i osunęło się na podłogę, przygniatając lewą łapę.

– Psia mać...

Słowa opuściły moje usta bez udziału woli. Dotarło do mnie, co zamierzam zrobić, gdy je usłyszałam i uświadomiłam sobie, że już nie siedzę na stole, lecz kucam przy rudzielcu, który na zmianę popiskiwał i próbował warczeć, a kiedy wyciągnęłam rękę w jego stronę, kłapnęła słabo zębami.

– Głupie stworzenie – zachnęłam się. – Przecież chcę pomóc!

Podniosłam się i odłożywszy rewolwer na stół, zaczęłam myszkować po kuchennych szafkach. Szukałam czegokolwiek, z czego można by zrobić opatrunek, a że nie znalazłam, poszłam do sypialni, licząc na jakiejś dodatkowe prześcieradło. Szafa oferowała jedynie szereg identycznych koszul, więc uznałam, że trudno, najwyżej odkupię detektywowi tę jedną, którą zamierzałam podrzeć. Na dnie znalazłam też ręczniki; zabrałam jeden i wróciłam do kuchni. Zwierzę leżało tam, gdzie je zostawiłam. Nie piszczało już ani nie skamlało. W szufladzie stołu znalazłam nożyce, pocięłam koszulę na nierówne pasy i przygotowałam miskę z ciepłą wodą, nici z igłą (na wypadek konieczności szycia), a także butelkę winiaku – jedynego alkoholu, jaki znalazłam w całym domu. Z ręcznikiem w ręku ukłękłam przy lisie.

– Dobrze. Po pierwsze: nie mam czasu, więc musimy zrobić to szybko.

Futrzak zastrzygł uchem. Powieka uniosła się i bursztynowe oko spojrzało na mnie w miarę przytomnie.

– Po drugie: nie życzę sobie zostać pogryziona.

To mówiąc, zarzuciłam ręcznik na głowę stworzenia i pospieszonymi (a przede wszystkim dość nerwowymi) ruchami zaplątałam go tak, żeby nie mogło się wydostać. Miałam nadzieję, że się nie udusi; o wiele łatwiej by było, gdyby detektyw miał w domu jakiś środek nasenny, ale najwyraźniej był jednym z tych wyjątkowych dżentelmenów, którzy nie korzystają z dobroczynnego działania laudanum. Rudzielec próbował się szarpać, ale rana musiała mu mocno doskwierać, bo szybko się uspokoił. Zajął się oczyszczeniem futra, a gdy pozbyłam się skrzepów krwi i wycięłam splątane włosie, zobaczyłam brzydko rozdartą skórę. Zrobiło mi się nieco słabo, choć to był tylko lis. Przypomniałam sobie wszystko, co kiedykolwiek słyszałam o opatrywaniu ran, i zabrałam się za ugniatanie brzegów rozdarcia. Zwierzę skrzeknęło boleśnie i szarpnęło całym ciałem. Zdeterminowana, unieruchomiłam je udami, niemal na nim siadając. Pierwszy odłamek metalu znalazłam tuż pod skórą. W sumie wyciągnęłam z okolic łopatki sześć śrucin, licząc, że żadna nie tkwi głębiej, gdzie nie byłam w stanie się dostać. W trakcie operacji futrzak cały czas próbował się wyrwać, a pazury tylnych łap orały moje nogi, przebijając się przez gruby materiał spodni. Zalewanie rany winiakiem i szycie zniósł z kolei spokojnie, choć robiłam to długo, bo ręce trzęsły mi się tak bardzo, że wypadła z nich igła. Żeby założyć bandaż, musiałam pociągnąć z butelki tęgi łyk, i tak pokrzepiona dałam wreszcie radę opatrzeć ranę do końca. Ostrożnie rozplątałam ręcznik. Lis dyszał z wyciągniętym językiem, bursztynowe spojrzenie wbijało się we mnie. Widziałam w nim wściekłość i wdzięczność naraz. Wzięłam kolejny łyk. Rudzielec wzdrygnął się, zmrużył oczy.

– Chcesz pić...? – na wpół stwierdziłam, na wpół spytałam, wstając jednocześnie na dość sztywnych nogach.

Podaliśmy mu wodę w głębokim talerzu, a on chłęptał łapczywie, podczas gdy ja siedziałam obok i dopijałam resztę winiaku. Czułam się dziwnie. Chciało mi się płakać i chichotać. Paliło mnie w żołądku. Bolały plecy, ramiona, uda. Prawie tak, jak po podróży do Brzozowego Dworu – ale wtedy było to znacznie bardziej zrozumiałe, w końcu walczyłam z parowym behemotem, a nie po prostu opatrywałam ранego zwierzaka. Wspomnienie dworu postawiło mnie na nogi.

– Fiks! – syknęłam, a lis podniósł głowę i zastrzygł uszami.
– Psia mać! Zamiast bawić się tu z tobą, powinnam szukać Antona!
– prychnęłam z pretensją, która (jak zauważyła trzeźwa część mego

umysłu) była chyba podyktowana nadmiarem winiaku. Futrzak nie był winien, że moje dobre serce postanowiło za mnie, co należy robić. – Dobrze! – Stanęłam prosto i nie zważając na lekkie wirowanie w głowie, ruszyłam do drzwi. – Rewolwer! – Przypomniałam sobie i chyba nawet uniosłam palec wskazujący (choć przyznam, że od tego momentu moje wspomnienia nieco zachodzą mgłą). Wróciłam po broń i schowałam ją do torebki. – Muszę szukać Fiksa! – rzuciłam jeszcze lisowi, który w tym momencie poderwał się na trzy łapy i szczechnął krótko.

– No co?

Zatrzymałam się i spojrzałam na niego surowo. A przynajmniej chciałam spojrzeć surowo. Zwierzak odpowiedział kolejnym miaukliwym skrzekiem i zrobił parę niezdatnych kroków w moją stronę. Wzruszyłam ramionami i odwróciłam się na pięcie. Do zawrotów głowy doszedł ucisk w uszach. Prawie szum. Winiak musiał być naprawdę mocny. Dotarłam jednak do drzwi wejściowych i najpierw próbowałam je otworzyć, jakby nie były zamknięte na klucz. Potem dość długo mocowałam się z zasuwami, a kiedy wreszcie mi się to udało i stanęły otworem, zobaczyłam za nimi lisa. Siedział na środku ścieżki z podwiniętą lewą przednią łapą i patrzył na mnie z mieszaniną bólu i stanowczości w oczach. Ponownie wydał z siebie skrzek, po którym nastąpiła seria warknięć i pojedynczy miauk.

– Zgłupiałaś? – zapytałam, zupełnie zapominając, że rozmawiam ze zwierzęciem. – Naprawdę muszę iść. Wrócę z Fiksem i zajmiemy się tobą – zapewniłam. – On jest w niebezpieczeństwie, dociera?

Rudzielec pokręcił łbem bardzo po ludzku. Okolone bursztynowymi tęczęwkami źrenice lśniły determinacją. Poruszył wąsikami. Znów szczechnął. Gdybym nie była pijana, pewnie nigdy bym nie powiedziała tego, co powiedziałam, a nawet wpływ winiaku nie dał rady pokonać zażenowania, jakie czułam.

– Fiks...?

Skinienie głową.

Nie uwierzyłam.

– Ale...

Przerwał mi skrzekiem, po czym ruszył w moją stronę. Powoli, chwiejnie i z wyraźnym bólem. Posłusznie weszłam z powrotem do domku, a kiedy przeczłapał przez próg, zamknęłam drzwi i wszystkie trzy zasuwę.

– Nie wierzę.

Otarł się o moją nogę i zaskomlił.

– W to się nie da ot tak uwierzyć – mówiąc to, osuwałam się po drzwiach na podłogę. – Albo zwariowałam – kontynuowałam już na siedząco – albo świat nie jest ani trochę taki, jak sobie do tej pory wyobrażałam.

Lis fuknął, co nieco przypominało westchnienie. Ja milczałam, bo moją głowę wypełniła kompletna pustka. Była miękka i w sumie przyjemna. Z tego stanu wyrwało mnie kolejne fuknięcie i mokry dotyk na palcach. Skoncentrowałam się na zwierzaku. Ciepły język metodycznie wylizywał mi dłoń. Kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, stworzenie zaszczekało, poruszyło wąsikami, a potem wskazało pyszczkiem korytarz.

– Tak. Sen mógłby pomóc.

Wąsiki poruszyły się jakby radośniej. Rudzielec polizał mnie jeszcze raz i ruszył w stronę sypialni. Podniosłam się, jednocześnie wycierając dłoń w spodnie. Futrzak czekał pod drzwiami z zadartym łbem. Nacisnęłam klamkę, by mógł wejść do środka, a potem dźwignęłam go (wazył dobre trzydzieści funtów) i położyłam na łóżku. Nie potrzebowałam zachęty, żeby położyć się obok. Po chwili poczułam, że przysuwa się bliżej. Zerkałam kątem oka, jak mości się zwinięty w kulkę przy moim boku i nie zaprotestowałam, gdy zdrowa łapa oparła mi się o przedramię. Zasnęłam z dłonią wplątaną w szorstkie lisie futro.

Obudziłam się późnym popołudniem w zgoła innej sytuacji. Przede wszystkim głowa pulsowała mi niezbyt mocnym, ale irytującym bólem. Gorsze jednak było to, że owa głowa wspierała się o nagą męską pierś, unoszoną równym oddechem, świadczącym na moje szczęście o tym, iż jej właściciel jeszcze śpi. Zduśliłam w sobie chęć wyklinania na czym świat stoi. Wydarzenia sprzed drzemki przewijały mi się pod powiekami, a nade wszystko bałam się otworzyć oczy, bo przecież skoro pierś była naga, najpewniej równie naga była cała reszta detektywa. Leżałam bez ruchu tak długo, jak się dało, ale w końcu napięte mięśnie, których nie potrafiłam rozluźnić, dały mi się we znaki i musiałam zmienić pozycję. Nie otwierając oczu, zaczęłam się delikatnie odsuwać. Stwierdziłam, że po prostu ucieknę do kuchni i tam poczekam, aż Fiks się obudzi. Nie mogłam go zostawić samego. Musiałam przecież sprawdzić ranę. Niespodziewanie na przeszkodzie stanęła mi ręka detektywa,

której początkowo nie czułam, a która – gdy zaczęłam się poruszać – pogłaskała mnie po plecach i usiłowała przyciągnąć z powrotem.

– Psia... – wyrwało mi się, jak zwykle niestosownie.

Dłoń na moich plecach zamarła. Potem rozległ się szelest prześcieradeł i jęk, gdy Fiks usiłował je na siebie naciągnąć niesprawną ręką.

– Panno Gorol... – Usłyszałam i jednocześnie wrażenie dotyku na plecach znikło. – Mino! Możesz otworzyć oczy, jestem okryty. Nie ujrzyysz nic, co mogłoby cię zawstydzić.

Na wszelki wypadek najpierw zsunęłam się z łóżka i dopiero później faktycznie otworzyłam oczy. Detektyw leżał na wznak, osłonięty mniej więcej do połowy piersi. Pocułam ciepło na twarzy.

– Dziękuję, Mino – powiedział poważnym tonem. – Zawsze wiedziałem, że mam szczęście, skoro dano mi do pomocy taką osobę jak ty, ale to, co zrobiłaś dzisiaj... Cóż, przeszło to moje oczekiwania.

Skinęłam głową i spróbowałam się uśmiechnąć.

– Rana bardzo dokucza? Powinnam ją obejrzeć...

– Jedynie, gdy ruszam ręką – odparł. – Łopatka to pechowe miejsce na postrzał.

– Nie wyobrażam sobie szczęśliwego miejsca na postrzał – bąknęłam. – Co pan w ogóle sobie myślał? Po jakie lichy pchał się pan tam, gdzie można zarobić śrutem?

Fiks uśmiechnął się po swojemu – półgębkiem.

– Powiedziałem, że muszę się dostać do wieży, prawda? – Uniósł się na zdrowym łokciu, a w miarę jak mówił, jego oczy nabierały blasku. – Nie przekonały mnie te komunały Eydziatowicza o zdjęciu ciężaru pracy i niebezpieczeństwa z nieszczęśliwych robotników budowlanych. Już prędzej bym uwierzył, że po prostu miał pomysł, pieniądze i ludzi, więc zbudował sobie zabawkę.

– I co, dostał się pan? Było warto?

Detektyw usiadł gwałtownie, najwyraźniej napędzany emocjami, i zaraz pobladł. Otworzył usta, tłumiąc jęk.

– Niech pana gęś kopnie! – warknęłam, okrążając łóżko. – Jasne! Szwy zerwane! I po co ja się męczyłam?

Wybiegłam do kuchni i po chwili wróciłam z podobnym zestawem, z którym pracowałam wcześniej (minus winiak, bo ten, jak może pamiętacie, wykorzystałam poprzednio do samego dna). Mój szef siedział tak, jak go zostawiłam, zaciskając zęby i brocząc krwią na białe prześcieradła.

– Dobrze, woda będzie musiała tym razem wystarczyć, zabandażuję też porządniej, szycie pewno będzie bolało, więc niech pan, z łaski swojej, trzyma ręce przy sobie, wystarczająco mnie pan podrapał kiedy był pan... Znaczy...

– Kiedy byłem lisem, Mino. Przepraszam. Trudno mi wtedy być dżentelmenem. – Skrzywiłam się, ale bardziej dlatego, że próbowałam odsunąć od siebie widok rudego zwierzaka w eleganckim garniturze, niż z jakiegokolwiek innego powodu. On jednak zrozumiał to po swojemu: – Spróbuję ci wytłumaczyć... Wyjaśnić... Kiedy będziesz się zajmowała moim barkiem, zgoda?

Skinęłam głową i rozłożywszy na łóżku stanowisko medyczne, usiadłam za plecami mojego pacjenta, krzyżując nogi w kostkach.

– Więc – zaczął detektyw, gdy ja zaczęłam ostrożnie myć rany – jest tak, że faktycznie potrafię zmieniać postać. Nie jestem też jedyny taki na świecie, choć prawdopodobnie jedyny w Dołku Dolnym. Przedzierzgnąć się w lisa jest łatwo, muszę jedynie tego chcieć. No i pamiętać o rozebraniu się, zwykle trudno potem zabrać ze sobą portki. – Przycisnęłam szmatkę mocniej do brzegu rany i Fiks syknął, przerywając opowieść. Zabrałam rękę. – Nie, nie. Nie przerywaj. Ja niestety będę zapewne wydawał jakieś nieeleganckie dźwięki. Nie jestem tak dzielny, by się od tego powstrzymać. Słuchaj dalej.

Słuchałam zatem, jednocześnie nawlekając nić, a potem szyjąc ściśnięte wcześniej brzegi rany i wciąż od nowa splukując nieprzystającą się sączyć krew. Mój przełożony – przerywając sobie od czasu tłumionymi jękami i seriami syknięć – mówił o tym, że powrót do ludzkiej postaci jest trudniejszy. Trudniejszy o tyle, że zwierzęce instynkty nie chcą wcale dopuścić do głosu drugiej części lisołacznej natury. Trzeba więc po prostu czekać i nigdy nie wiadomo, ile to potrwa. To oczywiście pewna niedogodność, ale rekompensuje ją fakt, że w pamięci człowieka zostaje wszystko, co zobaczyło i czego doświadczyło jego alter ego. Dlatego właśnie czasem, gdy nie potrafi sobie poradzić z problemem, decyduje się na lisią formę.

– Oto i cała tajemnica pańskich sukcesów w dedukcji – prychnęłam złośliwie. Mięśnie pod moimi palcami napięły się. Musiałam trafić w czuły punkt. Detektyw milczał długo, aż w końcu zrobiło mi się głupio. – Przepraszam. Wiem doskonale, że to nie tylko to. Po prostu jestem w tej chwili zła. To wszystko ciągle nie mieści mi się

w głowie, która mnie zresztą boli od nadmiaru winiaku i zupełnie nie wiem, jak pana teraz traktować.

Ostatnie zdanie zabrzmiało dość płaczkliwie i bynajmniej nie poczułam się dzięki niemu mniej wściekła.

– Byłbym zobowiązany, Mino – odezwał się po chwili, wciąż odwrócony do mnie tyłem – gdybyś traktowała mnie tak, jak do tej pory. Czułbym się okropnie, gdyby się okazało, że się mną brzydzisz. Z drugiej strony... Oczywiście zrozumiem, jeśli tak właśnie jest i już nie chcesz ze mną współpracować.

Przyznam, że mnie zatkało. Zupełnie nie to miałam na myśli, ale wpojona przez matulę przyzwoitość zabroniła mi wyznać, że zasadniczo chodzi o to, że spałam u jego boku, podczas gdy on był nagi jak go natura stworzyła, i o ile tulenie puchatego lisa nie wydawało się niczym zdrożnym, to już dotykanie nagiego mężczyzny – jak najbardziej.

– Niech pan lepiej nic nie mówi, detektywie, jeśli ma pan mówić głupstwa – powiedziałam ostrzej niż miałam zamiar. – Szyście skończone, teraz muszę zabandażować. Da pan radę unieść nieco lewą rękę? Prawą też – dodałam.

Posłusznie wykonał polecenie, a ja nieopatrznie spojrzałam w dół. Nie przewidziałam tego, że ruch rąk może spowodować opadnięcie prześcieradła w taki sposób, iż moim oczom ukaże się coś więcej niż tylko plecy Fiksa. Zagryzłam zęby i zajęłam się opatrunkiem. Najpierw warstwa czystych szmatek, złożonych na czworo, potem dwa okrążenia sztukowanym bandażem przez pierś i dwa kolejne przez prawy bark, a na koniec jeszcze dwa przez pierś. Niewielki, ale mocny węzeł z przodu, i gotowe. Starałam się nie myśleć o tym, że mój przełożony pachnie mieszaniną wody kolońskiej i leśnej ściółki.

– Nie za ciasno?

– Nie, w pełni profesjonalnie. Równie dobrze mogłaby panna pracować w szpitalu.

– Nie mogłabym, szybko zostałabym pijacką.

Detektyw się zaśmiał. Pierwszy raz słyszałam jego śmiech. Był trochę podobny do lisich szczeknięć.

– Ma pan jakąś pizamę? Czy w nocy też zamierza pan spać nago?

– Lepiej niech mi panna poda ubrania z krzesła i poczeka na mnie w saloniku, dobrze?

Chciałam właściwie zacząć wykład o konieczności odpoczynku po tym, jak ktoś zostanie postrzelony, ale zrezygnowałam. Anton Fiks poza tym, że był lisołakiem, był też dorosły. Nie miałam ani obowiązku, ani nawet prawa go pilnować, czy tym bardziej rugać, na co i tak już sobie pozwoliłam i teraz zaczynałam odczuwać zawstydzenie. Nic mnie nie usprawiedliwiałoby, nawet jeśli zwyczajnie się o niego martwiłam.

– Da pan sobie radę? – spytałam.

Za całą odpowiedź musiało mi wystarczyć energiczne skinienie głową.

Podaliśmy mu zatem złożone w równiutką kostkę ubrania i poszłam do saloniku. Ciepłe światło późnego popołudnia wpadało przez okno prowadzące na taras. W jego promieniach tańczyły drobinki kurzu. Usiadłam na jednym z dwóch plecionych foteli i oparłam stopy o podnóżek. Otaczały mnie regały pełne książek, skoroszytów i maleńkich szufladek, które wyglądały tak, jakby można było w nich trzymać jedynie fiszki, jak w publicznych czytelniach. Zaintrygowało mnie to. Dwadzieścia minut później szef nakrył mnie na wczytywaniu się w opis zuchwałej kradzieży, jaka miała miejsce w hotelu Dwumiejskim blisko dwadzieścia lat temu. Odruchowo schowałam kartonik z notatkami za siebie. Detektyw uniósł brew. Zamiast jednak zwrócić uwagę na moje niewłaściwe zachowanie, rzekł:

– Powinienem być jednak poprosić pannę o pomoc przy koszuli, na pewno nie zmitrężyłaby panna tyle czasu, co ja. Ale nieważne, zapraszam pannę na obiad. Jestem głodny jak wilk.

Parsknęłam odruchowo śmiechem.

– Tak, domyślałam się, że lis głodny jak wilk może się wydać zabawny. Niemniej jednak panna zapewne też nic nie jadła, odkąd tu panna przyszła przed południem. Wiem, bo w tym domu nie ma niczego do jedzenia. Pójdziemy więc do Sytego Gościa i tam opowiem pannie wreszcie, czego się dowiedziałem u Eydziatowicza.

– Myślę, że powinnam się doprowadzić do porządku – odparłam niepewnie. – Na dobrą sprawę nie sprawdziłam nawet, czego zdołały dokonać pańskie pazury, spałam w ubraniu, a moja fryzura musi pozostawiać wiele do życzenia.

– Umywalnia jest do panny dyspozycji.

Fiks uklonił się już zupełnie po swojemu i nawet zdołał powstrzymać syknięcie. Ogarnianie garderoby nie zajęło mi wiele czasu. Spodnie okazały się zaskakująco wytrzymałe, choć nie zdziwiłabym

się, gdybym na udach i tak miała ślady pazurów. Pospiesznie poprawiłam koszulę i przeprałam lewy rękaw, który nie uniknął kontaktu z krwią. Potem zajęłam się resztą. Z zasady nie nakładam kosmetyków, więc po prostu ochlapałam twarz wodą. Gorzej poszło z włosami – zwykle upinam je w prosty kok, który teraz rozsypał się w mało eleganckim nieładzie. Nie bardzo mogłam sobie poradzić z niesfornymi kosmykami za pomocą znalezionej na etażerze grzebienia, więc zaplotłam warkocz. Trudno, moja reputacja i tak nie mogła właściwie spaść niżej, a jeśli szanowany detektyw chce się z kimś takim pokazywać w Sytym Gościu, jego sprawa.

W trójkółce spytałam, czemu akurat ta jadalnia, a nie jakakolwiek inna. Z pewnością trudno tam będzie rozmawiać tak, by mieć pewność, że nikt ze strażnicy nas nie podsłucha, choćby i niechcący. A przecież wyprawa do wieży hrabiego na pewno nie spodobałaby się naszemu szefowi. Od razu też przyznałam się, że skłamałam komendantowi, wręczając mu skoroszyt.

– I znów winien jestem panie wdzięczność. Ma pani rozsądek, którego mi czasem brakuje.

Przyjęłam komplement w milczeniu.

– Czemu tam? – ponowiłam pytanie.

– Właśnie dlatego, żeby było naturalnie. Jak z tym skoroszytem, który panna dała Danile. Hałas, jaki tam zwykle panuje, z pewnością pozwoli nam na pewną intymność, zwłaszcza jeśli znajdziemy sobie jakiś stolik w kącie.

Przyznałam słuszność detektywowi i więcej nie dyskutowałam. Zatopiłam się w myślach i ze wstydem przyznaję, że wcale nie dotyczyły sprawy skafandra i jego właścicielu.

W Sytym Gościu faktycznie było gwaro, stolik w głębi między barem a jedną z kolumn wspierających dach stał pusty, a jego położenie idealnie pasowało do naszych celów. Gdy doń podążaliśmy, padały w naszą stronę powitania i żarty. Było swojsko, co uświadomiłam sobie z pewnych zaskoczeniem. Tu, wśród innych detektywów, pomocników, techników i strażników, czułam się dobrze, na miejscu. W sumie strażnica i ten bar, z jego wytartymi dywanami i odwiecznym kurzem pokrywającym ramy zawieszonych na ścianach obrazów, były najbliższym ekwiwalentem domu, jaki miałam, odkąd umarła matula.

– Stek, jak zwykle, panie Fiks? – Gospodyni zakrzętnęła się żwawo, bez pytania stawiając przed każdym z nas ciemne piwo.

– Zaskoczę panią, droga Karolino. – Mój przełożony uśmiechał się szeroko. – Poproszę dużą miskę gulaszu, zestaw pikli i chleb. Panno Gorol, co pani na to?

Pokiwałam głową z entuzjazmem, czując, jak usta napelnia mi ślina. Właściwie dopiero tutaj, otoczona zestawem apetycznych zapachów, faktycznie poczułam głód. Karczmarka, nie zwlekając, pobiegła do kuchni, a ja z wahaniem sięgnęłam po kufel.

– Jeśli nadal boli pannę głowa, to zimne piwo jest dobrym pomysłem. W takich sytuacjach klin się sprawdza.

Zdażyłam wypić połowę, zanim gospodyni wróciła z zastawioną tacą. Oboje rzuciliśmy się na jedzenie jak wygłodniałe psy, przy czym ja w połowie miski zaczęłam zwałniać, Fiks zaś szufłował gulasz w niezmiennym tempie, dopóki łyżka nie zazgrzytała o dno. Odetchnął wtedy głęboko i sięgnął po ostatniego pikla.

– Poproszę Karolinę, żeby przyniosła więcej – rzekł i stłumił beknienie zwiniełą pięścią.

– Nie trzeba – odpowiedziałam, kiedy już opanowałam zdumienie. Nie byłam nawet pewna, czy poradzę sobie z całą miską gulaszu. – Są dla mnie trochę za ostre – dodałam dla niepoznaki.

– Dobrze. Niech panna spokojnie dojada, a ja będę mówił. Już panna dziś udowodniła, że potrafi dzielić uwagę.

Spojrzałam na niego wyczekująco.

– Cóż, w samej wieży tak naprawdę nie zobaczyłem niczego, co mogłoby nam pomóc. Za to zrozumiałem, czemu Eydziatowicz nie chciał nas wypuścić do środka. To zupełnie coś innego niż parter, który panna ze mną oglądała z tą panną niesamowitą fascynacją. Otóż cała wieża jest w środku pusta, ma jedynie schody ciągnące się spiralnie wzdłuż ścian, a środek zajmuje winda. Na oko może dźwigać znacznie większy ciężar niż waga człowieka, czy nawet kilku. I ta wieża, panno Mino, to sanktuarium. Zdołała się panna czegoś dowiedzieć o żonie hrabiego?

– Była dużo młodsza, biedna i bardzo się kochali. Zginęła w wypadku. Maszyna budowlana przestała słuchać motorniczego. Ujawnił się jakiś błąd konstrukcyjny. Zginęło wtedy kilkunastu gapiów, zanim zdołano zatrzymać pojazd.

– Ściany wieży są pokryte jej wizerunkami. Wokół nich płoną świece. Na samej górze zaś, jak przewidziałem, jest obserwatorium nocnego nieba i wspaniała kolekcja atlasów astrologicznych.

Profesor jest, delikatnie mówiąc, mocno ekscentryczny – dokończył Fiks, a ja uświadomiłam sobie, że nie pamiętam, kiedy opróżniłam miskę.

– Wciąż cierpi – szepnęłam.

– Tak, cierpi i knuje.

Zmarszczyłam brwi; nie rozumiałam związku.

– Bo widzi panna, nie zobaczyłem niczego podejrzanego, to fakt, ale zdołałem usłyszeć Eydziatowicza, jak krzyczał na kogoś. Że on, Eydziatowicz oczywiście, prędzej czy później dowie się wszystkiego. I że ten drugi, który nie próbował się zresztą nijak bronić, jest tchórzem. I jeszcze, że Reszczak musiał popełnić jakiś błąd. A potem ja popełniłem błąd, narobiłem hałasu i mnie zauważyli.

– Czyli myśli pan, że Eydziatowicz... Że on wysłał Reszczaka w skafandrze do przepompowni?

– Musimy wziąć to pod uwagę. Jak mówił ten książkowy detektyw? Kiedy już oddzieli się to, co niemożliwe, to, co zostaje, choćby wydawało się nierealne, musi być prawdziwe. Tak?

– Nie wydaje mi się, żebyśmy oddzielili wszystko, co niemożliwe... Reszczak mógł to zrobić sam, mógł go zmusić ktoś inny, a może faktycznie eksperyment wyrwał mu się spod kontroli...

– To wszystko racja, Mino, ale nie mamy żadnego punktu zaczepienia poza wiedzą, że Sergiusz Eydziatowicz jest niezwykle ekscentrycznym człowiekiem.

– Powinniśmy się chyba skoncentrować na znalezieniu skafandra – bąknęłam niepewnie.

– I tym razem nie oddamy go panu hrabiemu bez wnikliwej analizy. – Oczy Fiksa błysnęły, a kącik ust uniósł się nieco. – Zaczniemy od wizyty w straźnicy i udawania, że cały czas tym właśnie byliśmy zajęci.

– Miejmy nadzieję, że się nie znalazł...

Moje czarnowidztwo na szczęście nie miało pokrycia w rzeczywistości. Na miejscu dowiedzieliśmy się, że poszukiwania trwają i w tej chwili jest w nie zaangażowana ponad połowa wszystkich funkcjonariuszy w mieście, a komendant życzyłby sobie, żeby ta liczba się zwiększyła. Wzięliśmy udział w przesłuchaniu dwóch inżynierów, którzy mimo późnej pory zostali zmuszeni do kolejnej wizyty w straźnicy. Nie wniesli niczego do sprawy, a jak się szybko okazało, przeszukanie ich kwater również niczego nie dało. Podczas rozmów Fiks węszył właściwie nieustannie. Jego wąsiki poruszały

się szybko, a teraz, kiedy już wiedziałam, że to nie tik, fascynowało mnie to nawet bardziej.

We własnym gabinecie wylądowaliśmy po dziewiątej wieczorem ze stosem nudnych notatek z poprzednich przesłuchań. Detektyw przysiadł na parapecie i zapalił papierosa.

– Liczyłem na to, że rozpoznam jakiś zapach na którymś z nich – rzekł i zaciągnął się. – Żałuję, ale niestety nic znajomego nie poczułem, szkoda, że nie było nas tu wcześniej – dodał i dopiero wypuścił dym z płuc.

Palenie działało na niego uspokajająco, więc nie serwowałam mu pokazu niezadowolenia z powodu wypełniania gabinetu smrodliwymi kłębami. Nie wypomniałam mu też, że to jego własna nieostrożność spowodowała wyłączenie nas ze śledztwa na cały dzień. Po prostu pokiwałam głową, zgadzając się w milczeniu, iż było to niefortunne.

– Podzielimy się tym? – spytał, wskazując odłożone na biurko kartki.

Znów pokiwałam głową i zaczęłam rozdzielać materiał do przejrzenia na dwie równe części. Dym gęstniał w miarę jak papierosa ubywało. Oczy zaczęły mnie piec.

Siedzieliśmy w strażnicy prawie do północy, wertując nasze zapiski. W końcu litery zaczęły mi się двоić w oczach, a potem ocknęłam się z twarzą przytuloną do blatu biurka i marynarką Fiksa na ramionach.

– Dość tego, Mino. Pora spać – powiedział detektyw, gdy zobaczył, jak się gramolę do pozycji siedzącej.

Nigdy jeszcze nie spacerowałam ulicami Dołka Górnego o tej porze. Do świtu brakowało niecałej godziny. Ptaki w Ukrytym Parku wyśpiewywały pobudkę, nad rzeką unosiła się zwiewna mgła, którą szarpał na strzępki wiatr, niosący zapach mułu. Było pięknie.

Gdy stanęliśmy pod stacją, Fiks wyciągnął do mnie rękę, a gdy mu podałam swoją, uściśnił ją mocno i uklonił się.

– Niech się panna wyśpi – rzekł. – Żadnego zrywania się. Jutro ja będę pannę krył przed Daniłą, jak panna dziś mnie.

Uśmiechnęłam się i skinęłam głową. Podejrzywałam, że choćbym nawet próbowała, nie byłabym w stanie obudzić się bez pomocy. Miałam wrażenie, że choć dzień ten zaczął się tradycyjną pobudką o szóstej rano, nagromadzonymi wydarzeniami można by obdzielić

co najmniej trzy doby. Trudno mi było uwierzyć, że w rzeczywistości nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny.

– Dobranoc, Mino.

– Dobranoc, panie Fiks.

Obudziłam się następnego dnia obolała i opuchnięta – zwykły efekt zbyt długiego spania – a do tego wściekle głodna. Musiałam wstać, a wydawało mi się to w tej chwili tak trudne, że aż niemożliwe. Leżałam jeszcze chwilę, wpatrując się w upstrzony śladami po muchach sufit i na przemian napinając i rozluźniając mięśnie. W końcu nie miałam już innego wyjścia, jak tylko wstać. Nie mogłam spędzić w łóżku reszty życia. Dwadzieścia minut później maszerowałam w stronę strażnicy, pochłaniając nieelegancko wielgachną kanapkę z wołowiną ze straganu Saszki.

W gabinecie oczywiście zastałam Fiksa, zatopionego w papierach. Na arkuszu wielkości połowy biurka tworzył jakieś tabele i schematy, które zapewne tylko on był w stanie zrozumieć. Przywitałam się zdawkowo i podeszłam, żeby zajrzeć mu przez ramię. Zapach ściółki niemal całkowicie zniknął pod wodą kolońską, ale i tak poczułam ciepło na policzkach.

– Nie ma zupełnie nikogo z zewnątrz – odezwał się detektyw tak, jakbyśmy kontynuowali jakąś rozpoczętą wcześniej rozmowę. – Tyle czasu, tyle zachodu i nie trafiliśmy na nikogo, kogo można by powiązać z tą sprawą.

Jego lewa dłoń, spoczywająca na arkuszu, była zaciśnięta w pięść. Kostki zbiały, skóra napięta się, jak gdyby miała zaraz pęknąć. W ciszy, która zapanowała wraz z ostatnim słowem, wyczuwałam ciężar szukającej ujęcia irytacji. Potem pękł przyciskany do papieru ołówek, który mój przełożony trzymał w drugiej ręce. Wyrwało mi się westchnienie. Szukałam słów, którymi mogłabym go pocieszyć, ale w głowie miałam pustkę.

– Jeśli nie ma nikogo z zewnątrz – powiedział powoli, przez zaciśnięte zęby – to musimy wreszcie wziąć pod uwagę, że to...

Nie dokończył, bo drzwi naszego gabinetu otworzyły się gwałtownie. W progu stał zdyszany goniec; jego twarz lśniła od potu.

– Znaleźli. Przy moście. Rękawica wystawała z mułu. Odpływ.

Fiks poderwał się z krzesła tak energicznie, że przewróciło się ze zgrzytem. Nie zwrócił na to uwagi – już wybiegał z gabinetu, nie zabierając nawet czekającego na wieszaku kapelusza. Dogoniłam go

chwilę później. Machał na trójkółkę przed strażnicą. Podałam mu nakrycie głowy.

– A goniec? – spytał, biorąc je ode mnie i wskazując do pojazdu, który właśnie się przy nas zatrzymał.

– Nie zapomniałam – odparłam, siadając obok. – Dostał pół złotego, należało mu się.

Detektyw uśmiechnął się z aprobatą.

– Do Mostu Głównego! – zakomenderował. – Najszybciej, jak pan potrafisz!

Musieliśmy trafić na motorniczego z wyobraźnią, bo nasz pojazd skoczył do przodu, jakby ciągnęły go zacięte batem konie.

– Pojadę okrężnie, ale puśćciej będzie! – wrzasnął, odwracając się do nas. – Państwo się trzymają!

Ostrzeżenie przyszło w sam czas – skręciliśmy ostro i gdybym nie chwyciła relingu, z pewnością właśnie toczyłabym się po bruku. Fiks jęknął. Odwróciłam się do niego; zbladł wyraźnie, ale widząc mój podejrzliwy wzrok, potrząsnął głową. Byłam pewna, że szwy znów zostały zerwane, ale niczego nie powiedziałam. Zwróciłam uwagę, że coraz lepiej panowałam nad językiem. Pędziliśmy przez dzielnicę przemysłową. Szeroka ulica była o tej porze niemal pusta, z rzadka jedynie mijaliśmy jadące z naprzeciwka towarówki, a raz musieliśmy wyprzedzić. Przy tej okazji pojazdem szarpnęło tak, że gdyby nie przytomność Fiksa, który złapał mnie za pasek, wypadłabym mimo rąk kurczowo zaciśniętych na barierce.

– Niech to wszystkie parszywe gęsi podziobią!

Spojrzałam na Fiksa nieco zaskoczona. To były słowa pasujące do mnie, nie do niego.

– Nie wiem, który brzeg...

Tymczasem trójkółka wyjechała z dzielnicy przemysłowej i pomknęła Bulwarem Nadrzecznym. Tu już nie dało się utrzymać szaleńczego tempa, jakie mieliśmy do tej pory, więc motorniczy upuścił nieco pary. Wkrótce zobaczyliśmy przed sobą most. Wokół pylonu – o, radości, po tej stronie, którą jechaliśmy – kłębił się niewielki tłumek.

– Mamy szczęście! – ucieszyłam się głośno.

Pojazd zatrzymał się przy schodkach prowadzących na brzeg. Fiks wyciągnął pugilares i wręczył kierującemu dziesięciozłotowy banknot.

– Jesteś pan pewny?

– Zapracował pan na więcej, ale więcej nie mam.

– Zawsze do usług szanownego pana! – Mężczyzna pstryknął palcami w daszek kaszkietu i mrugnął do mnie okiem, a potem, nie będąc najwyraźniej zainteresowany zamieszaniem, uruchomił maszynę i odjechał.

My pospiesznie zbiegliśmy nad wodę. Nie bez trudu przepchnęliśmy się między gapiami. Brzeg był mulisty, obcasy butów zapadały się w grząski piach i z trudem przychodziło mi stawiać kolejne kroki.

– Tam, detektywie! – Pawło, jeden ze strażników pracujących z nami w Głównej, podszedł do nas. – Ten tu smyk dokonał odkrycia, szukając skarbów na dnie rzeki.

Sięgnął do tyłu i wyciągnął chowającego się mu za plecami chłopca. Dzieciak był brudny jak nieludzkie stworzenie i tak samo śmierdział.

Fiks przez chwilę przyglądał się odsłoniętej już niemal do łokcia mechanicznej ręce, a potem kucnął przed chłopcem.

– Jak na niego trafiłeś, młody człowieku?

Chłopak miał w dłoniach dziurawą czapkę, która z całą pewnością była na niego za duża. Wahał się. Najwyraźniej życie nauczyło go ostrożności w kontaktach z eleganckimi dżentelmenami.

– Nie musisz się bać. Wiem, że moje zapewnienia najpewniej niewiele dla ciebie znaczą, ale pomyśl: cóż mogłoby ci grozić za wyjawienie prawdy? Czy zrobiłeś coś złego?

Bursztynowe oczy Fiksa wpatrywały się uważnie w szare dziecka. Mały ulicznik stał jak wmurowany, a mnie przyszło do głowy pytanie, czy lisy robią tak ze swoimi ofiarami.

– N-nie. – Chłopak zdecydował się w końcu odpowiedzieć. – Nic nie zrobiłem. Widziałem coś.

Detektyw rozejrzył się. Tłum ciekawskich rósł.

– Pawło, potrzebujemy tu nieco prywatności.

Strażnik uniósł daszek czapki i obrzucił gapiów stanowczym spojrzeniem. Machnął na dwóch kolegów i po kilku donośnych „Proszę się rozejść”, „Proszę nie utrudniać” i wreszcie „Stamtąd też pan będzie widział” wokół nas zrobiło się luźniej.

– Mów, chłopcze – polecił Fiks.

Dzieciak wciągnął powietrze i wciąż zaciskając kurczowo palce na czapce, zaczął opowieść:

– W nocy trzy dni temu, znaczy się we środę, szłem tu sobie jak zwykle, bo wie pan, można całkiem dobry towar znaleźć w rzece, jak się ma szczęście. No i zobaczyłem, że ktoś stoi na moście, tam przy wejściu do maszynowni. – Mój przełożony uniósł brew, więc chłopiec uznał za stosowne się wytłumaczyć. – Wiem, że to maszynownia, bo ja tu bardzo często jestem i znam tych, co tam pracują, raz mnie wpuścili do środka, jak most się podnosił. Ale o tym to nie wolno mówić, bo każdy by chciał. – Detektyw uśmiechnął się po swojemu, a ja poczułam sympatię do smyka, acz wymieszaną z odrobiną zazdrości. – W każdym razie tam stało dwóch ludzi, ale jeden jakiś taki dziwny. Ubrany dziwnie. I słyszałem krzyki, ale woda dziwnie zmienia słowa i nie wiem, co krzyczeli. I potem ten dziwnie ubrany spadł. Ciężki musiał być strasznie, bo woda chlupnęła jak we fontannie w naszym parku. A ten drugi wtedy zbiegł na dół. Mnie nie widział, bo się schowałem. Ciemno było, bo noc, łatwo się tu na dole schować. Ale ja jego widziałem. Elegant taki, za głowę się łapał, przy brzegu dreptał, ale do wody nie wlaźł. Jak w końcu poszedł, to ja próbowałem się tam dostać. Bo w końcu człowiek, a może i nagroda jakaś by była? Ale nie dałem rady, żaden by tyle pod wodą nie wytrzymał, ile czasu trzeba, by to wydobyc. Ale jak pogłębiarka tu zaczęła dziś robić, to musiało się jakoś bliżej brzegu przesunąć i jak przyszedł odpływ, wylazło spod wody. A ja tu pilnuję, mój rewir, rozumie pan. I tak pomyślałem, że może jakaś nagroda? Może ten, co zgubił...

Brudna buzia dzieciaka tchnęła nadzieją, choć jednocześnie z jego pełnej napięcia postawy zwierzęcia gotowego do ucieczki można było wywnioskować, że nie spodziewa się wiele.

– A skąd ty wiesz, że ktoś to zgubił? – spytał Fiks, ignorując wyraźną sugestię płynącą z przemowy ulicznika.

– Na mieście mówią, że strażnicy szukają...

Detektyw zerwał się na równe nogi i niemal natychmiast zapominając o chłopcu, ruszył wydawać rozkazy ludziom Pawła. Dzieciak stał bez ruchu, a wyraz zawodu coraz wyraźniej rysował się na jego twarzy. Nie mogłam tego tak zostawić. Miałam trochę odłożonych pieniędzy i uznałam, że mogę się nimi podzielić.

– Hej, mały – nieporadnie zwróciłam na siebie uwagę ulicznika. Skrzywił się na nazwanie go małym, ale posłusznie do mnie podszedł. – Jak właściwie masz na imię, co?

– Wiktor – odpowiedział, a gdy uniosłam brwi, dodał hardym tonem: – Wiem, że dziwne, ale mojej matce się podoba.

– Zaskoczyłeś mnie – odparłam szczerze. – Nie uważam, że jest dziwne, uważam, że jest ładne.

Zmrużył nieufnie oczy, a ja próbowałam się uśmiechnąć w sposób, w jaki powinno się uśmiechać do dzieci (trochę przeszkadzałam mi w tym fakt, że nie miałam pojęcia, czym taki uśmiech miałby się wyróżniać).

– W każdym razie, Wiktorze, słusznie zauważyłeś, że należy ci się nagroda. Detektyw jest ogromnie zajęty, a od takich spraw ma mnie. Niestety nie noszę przy sobie zbyt wiele pieniędzy, ale jeśli przyjdiesz do Głównej Strażnicy, powiedzmy, o szóstej wieczorem, zapłacę ci za informacje. Zgoda?

Wiktor myślał przez chwilę. Wiercił przy tym w przybrzeżnym błocie czubkiem buta i wciąż miał nieszczęsne nakrycie głowy. W końcu uniosł twarz, by spojrzeć mi prosto w oczy, założył czapkę i wyciągnął rękę.

– Zgoda. Niech będzie, że pani zaufam.

Ujęłam dziecięcą dłoń i ucisnęłam ją silnie.

– Ściągnijcie tamtą pogłębiarkę – mówił tymczasem Fiks za moimi plecami. – Będzie potrzebny dźwig i ekipa nurków. Szybko. Trzeba to wyciągnąć jak najszybciej.

– Pchnąć kogoś do komendanta?

– Nie ma mowy! Im później się dowie, tym lepiej. Tym razem nie odpuszczę szczegółowych badań!

Wyciąganie skafandra z mułu zajęło dobrą godzinę. Poczułam mieszkankę ulgi i zaskoczenia, gdy po pospiesznym otwarciu jego wnętrza okazało się puste. Niedługo później spoczął on na stole w piwnicach Głównej Strażnicy. Eydziatowicza nie planowaliśmy informować wcześniej niż następnego dnia, ale nie mogliśmy ręczyć za to, co zrobi komendant Daniło, gdy wreszcie się dowie.

Nasze znalezisko najpierw należało oczyścić, czym zajęliśmy się we czwórkę – ja, Irmin Klowe i dwójka techników niższego szczebla. Fiks siedział okrakiem na krześle, patrząc na nas i mrucząc coś pod nosem. Podejrzewam, że obmyślał, co powie Danile, kiedy ten wreszcie zorientuje się, co wyprawiamy tuż pod jego nosem.

– Wtedy nie zdążyliśmy tak naprawdę zajrzeć do środka. – Głos Klowego drżał od tłumionej ekscytacji. – Wiesz, ledwieśmy do

końca opróżnili wewnętrzny skafander z tego gościa, trzeba było go odwozić. Mamy szkice zewnętrznej warstwy, pobraliśmy próbki materiału, bo to ciekawe jak jasny gwint. Ale środek to nadal tajemnicza sprawa.

– Może więcej działania, mniej gadania – warknął detektyw z swojego krzesła. – Nie mamy wcale więcej czasu niż wtedy.

Irmin bez słowa protestu wrócił do pracy, co chwilę rugając za coś swoich pomocników. Ekscytacja objawiała się u niego w niezbyt sympatyczny sposób. Po godzinie skafander był tak czysty, że zapewne w dniu ukończenia montażu nie wyglądał lepiej.

By go otworzyć, najpierw należało odkręcić osłonę głowy w postaci walcowatego hełmu, a następnie rozpiąć klamry na piersi. Przęd otwierał się w tym momencie niczym łukowate wrota na elastycznych zawiasach. Wewnątrz, dla ochrony przed otarciami, znajdowała się wyściółka z miękkiego filcu. Kłowe nie omieszkął wspomnieć, że musiała być nowa, bo z całą pewnością nie dałoby się jej doczyścić po Reszczaku. Wzdrygnęłam się na te słowa i skupiłam na tym, co widzę.

Żeby wejść do skafandra, należało najpierw go postawić. Potem wkładało się nogi w nogawki i mościło stopy w ciężkich butach, a następnie wsuwało ręce w rękawy, pilnując, by każdy palec znalazł właściwe mu miejsce w rękawiczce. Że wszystko jest w porządku, oznajmiał delikatny ucisk, gdy przeguby skafandra dopasowywały się do stawów ciała maszynisty. Niestety nie mieliśmy pojęcia, jak uruchomić maszynię.

– Gdzieś tu musi być jakiś silnik – mruczałam, patrząc na spocną twarz Kłowego, widoczną przez niedużą szybkę w hełmie. – Cokolwiek to napędza. Spróbuj się ruszyć – krzyknęłam bez sensu, bo przecież mina technika mówiła wyraźnie, że próbuje i nic to nie daje. – Dobra, otwieramy. Wyłaź, Kłowe.

Na skrytkę umieszczoną po wewnętrznej stronie pleców, mniej więcej na wysokości nerek, natrafiłam ja. Nic wielkiego. Po prostu obmacywałam wnętrze najuważniej, jak potrafiłam, powoli, centymetr za centymetrem, nie ufając wzrokowi, a jedynie zmysłowi dotyku. Żeby się do niej dostać, musieliśmy rozciąć warstwę wyściółki. Od tego momentu byłam tak podekscytowana, że zapomniałam o zagrożeniu w postaci komendanta. Spod usuniętego materiału wynurzyły się szklane drzwiczki. Wyglądały jak miniatura tych prowadzących do oranżerii Eydziatowicza. Za nimi, jakby zanurzony w kolejnej warstwie filcu,

spoczywał podłużny żółtawy przedmiot z wrytymi znakami, które mogły być pismem. Niewiele myśląc, przerysowałam jego kształt do notatnika, pilnując, by zachować proporcje, a potem uważnie skopio- wałam znaki.

– Szkoda, że nie wzięła panna światłografa – skomentował Fiks, który, gdy tylko dokonaliśmy odkrycia, stanął tuż przy mnie i teraz zasłaniał mi światło.

– Ręcznie jest szybciej – odparłam, nie przerywając pracy.

– Najgorzej, że i tak nie wiemy, co to jest. Gdzieś tu pewnie jest mechanizm otwierający. W podłodze był otwór na obcasy, prawda?

– Liczyła się też waga. – Kreśliłam właśnie przedostatni znak, z czubkiem języka wysuniętym między zębami.

– To jest jakoś dwadzieścia razy mniejsza powierzchnia niż dużych drzwi. Eydziatowicz może ważyć... Ile? Sto czterdzieści? Sto pięćdziesiąt funtów?

– Raczej sto sześćdziesiąt, jest szczupły, ale wysoki i dobrze zbudowany. I to zbyt niedoskonałe przeliczenia.

Odłożyłam szkicownik i zaczęłam znów przesuwac dłońmi po wnętrzu skafandra. Pierwszą zapadkę znalazłam na tułowiu poniżej przegubu ramieniowego lewej ręki. Drugą – chwilę później, w identycznym miejscu po prawej stronie.

– Tak unosił wyrzeźbioną żonę – powiedział detektyw, gdy ja wsuwałam dłonie coraz głębiej pod pachy badanego przedmiotu.

Nagle ukłucie wyrwało mi z gardła syk bólu.

Wyszarpnęłam ręce i wsadziłam czubki palców wskazujących do ust. Szklane tafle przesuwaly się przy akompaniamencie cichego tykania, niczym drzwiczki zegara z kukułką.

Wstrzymałam oddech. Obok mnie to samo zrobili Fiks, Irmin Kłowe i pozostała dwójka techników. Skaleczone palce piekły, smak żelaza w ustach nagle wydał mi się niepokojący. Rozsuwanie trwało w nieskończoność. Gdy w końcu dostęp do tajemniczego przedmiotu stanął otworem, mój przełożony natychmiast poń sięgnął.

– To kość – orzekł, skrobiąc paznokciem żółtawą powierzchnię.

– Ludzka. Prawdopodobnie żebro, sądząc po kształcie. Oczywiście byłbym wdzięczny za potwierdzenie tego odpowiednim doświadczeniem – rzekł, przekazując zdobycz milczącej do tej pory technicze.

– Wystarczy odrobinę zeszkobać. Reakcja przebiega natychmiastowo. Faktycznie wygląda to na żebro. Odpowiednia krzywizna.

A tu – wskazała palcem na jeden z końców – najpewniej miejsce przyczepu do kręgosłupa.

Komendant Daniło – ubrany z niecodzienną elegancją – wpadł do piwnic w momencie, gdy Fiks umieszczał żebro z powrotem w schowku, a ja szykowałam się do powtórzenia procedury zamykania drzwiczek.

– Co się tu wyprawia, do jasnej cholery?! Czy ktoś powiadomił hrabiego?

– Nie było czasu, komendancie, procedury... – zaczął detektyw, ale Daniło natychmiast mu przerwał:

– Procedury? Jakie procedury, szlag mnie trafi przez was! Człowiek na chwilę tylko spuści was z oka, barany, a wy co?! Procedury! Jediną procedurą jest oddanie skradzionego przedmiotu właścicielowi! Nie uszkodzanie go! Ja was wszystkich pozwalam, poszli stąd won, natychmiast!

– Komendancie... – spróbowałam nieśmiało.

– Won, powiedziałem! – wrzasnął Daniło raz jeszcze i usiłował wytrzeć czoło czymś, co wyglądało jak program teatralny.

Przez chwilę bałam się, że Fiks odmówi, ale nie. Wyszedł bez słowa, a ja podążyłam za nim. Byliśmy już prawie w naszym gabinecie, gdy dogoniła nas techniczka.

– Kość ludzka – powiedziała. – Zareagowała z roztworem od razu. Gdybym miała czas, powiedziałabym, jak stara, bo świeża to nie jest na pewno.

Wiedzieliśmy zatem przynajmniej tyle.

W gabinecie detektyw rozpoczął swoją zwyczajową wędrówkę i objanie się o sprzęty. Ja usunęłam się pod okno i po pewnym czasie uświadomiłam sobie, że siedzę na parapecie.

– Czy Reszczak wszedł do skafandra na polecenie Eydziatowicza? Nie mam dowodów, ale to brzmi prawdopodobnie. Eydziatowicz stworzył coś, czego nie rozumiem. Czy to żebro jego żony? Czy to jakiś hołd dla niej? Rodzaj pochówku? Ludzie robią naprawdę dziwne rzeczy, jeśli chodzi o swych zmarłych. Trzymanie prochów w urnie stojącej na kominku to najmniejsza ekstrawagancja, o jakiej słyszałem. Kto wrzucił skafander do rzeki? I po co? Do czego Eydziatowicz tak naprawdę chce wykorzystać urządzenie? Tamta inżynierka, ona mówiła o katastrofie, której uniknęliśmy. Czy to był plan Eydziatowicza? Zniszczyć przepompownię? Po co?

Otworzyłam usta, by się wtrącić, ale nie byłam dość szybka, a Fiks potrzebował jedynie krótkiego oddechu. Mówił coraz szybciej i coraz szybciej chodził.

– Kim był ten elegant, którego widział chłopiec? Czy z premedytacją wrzucił skafander do rzeki? Czy możemy go uznać za naszego sprzymierzeńca? Czy to był przypadek? Jak ten diabelski przedmiot się tam znalazł? Nie było maszynisty! Czy elegant nim był? Dotarł na most? Opuścił skafander i wrzucił go do rzeki?

Detektyw zatrzymał się gwałtownie naprzeciwko mnie.

– To na nie! – wykrzywił się brzydko. – Kręcimy się niczym gównem w przerebli, panno Gorol! Czy panna zwróciła uwagę, że my nawet nie wiemy, jak to działa?

Bursztynowe oczy wpatrywały się we mnie gorączkowo. Poczulałam niepokój, jakbym została schwytana w pułapkę jak mysz, i zaraz pomyślałam o Wiktorze, który ledwie parę godzin wcześniej identycznie znieruchomiał przepytywany przez mojego przełożonego. Zamrugałam, by zrzucić czar, i tym razem zdołałam się odezwać:

– Może powinniśmy poszukać kogoś zgodnego z opisem chłopca w otoczeniu hrabiego? Wydaje się logiczne, że osoba z mostu znała sposób uruchomienia skafandra... Ta kość, te znaki... A co, jeśli mamy tu do czynienia nie z nauką, a jakimś rytuałem? Powiązany z astrologią, a może tylko bazującym na czymś podobnym? Czytałam niedawno...

Fiks potarł wąsik, a wyraz jego twarzy spowodował, że zamilkłam.

– Mino... Mówisz o magii? Jesteś rozsądną osobą. Przecież musisz wiedzieć, że takie rzeczy się nie zdarzają.

– Do niedawna wiedziałam, że ludziom nie zdarza zamieniać się w lisy – parsknęłam dotknięta.

Detektyw jakby się stropił. Oparł ręce na blacie dzielącego nas biurka i nachylił się w moją stronę. Otworzył usta, by coś powiedzieć, gdy do gabinetu wpadł czerwony na twarzy Jegor Daniło.

– Hrabia Eydziatowicz musiał się tu pofatygować po raz trzeci! – wrzasnął jeszcze w progę, nie przejmując się zamknięciem drzwi. – Złożył skargę na wasze działania! Odbieram wam tę sprawę! Obydwie sprawy!

– Słucham...? – Fiks zbladł. W przeciwieństwie do Daniły wściekłość objawiała się u niego chłodem. – Słucham pana...?

Zeskoczyłam z parapetu i stanęłam między mężczyznami.

– Detektyw chciałby wiedzieć, co dokładnie ma pan na myśli – rzekłam, starając się ze wszystkich sił, by mój głos brzmiał neutralnie. Przysięgåłabym, że za plecami usłyszałam w tym momencie cichy warkot.

– Co mam na myśli?! Można wyrazić się jaśniej?! Macie więcej nie myśleć o skafandrze! Wszystko, co dotyczy sprawy, ma być na moim biurku jeszcze dziś! Wyobrażacie sobie? Hrabia uznał, że prędzej rozwikła ją prywatny detektyw niż ktoś stąd! Opinia straży leży w gruzach i to wasza wina! Wasza!

Żyłki na jego skroniach pulsowały nierówno, kołnierzyk najwyraźniej go dusił, jednak komendant nie wpadł na to, by rozpiąć guzik. Już miałam mu to podpowiedzieć, kiedy po prostu odwrócił się na pięcie i wymaszerował z naszego gabinetu.

Przez chwilę oboje tkwiłiśmy w bezruchu. Ja ocknęłam się pierwsza. Podeszłam do drzwi i powoli je zamknęłam. Z niepokojem spojrzałam na Fiksa, ale ten zdołał się już uspokoić. Oparłam się o framugę i odetchnęłam głąboko. Właściwie wszystko było jasne: płaciło nam miasto, a jego reprezentantem był komendant; komendant wydał rozkaz, sprawa zamknięta.

– Co teraz? – spytałam.

Detektyw przez chwilę mierzył mnie spojrzeniem. Wąsik drgał mu nerwowo.

– Teraz, panno Gorol, mam do zaproponowania współudział w niesubordynacji.

Jeśli nawet przemknęły mi przez głowę jakieś wątpliwości, zniknęły tak szybko, że nie zdążyłam ich zarejestrować. Fiks uśmiechnął się po swojemu, półgębkiem, i sięgnął po kapelusz.

– Zamierzam podjąć obserwację hrabiego. Wyraźnie stał się nerwowy. Jeśli coś planuje, jest szansa, że popełni błąd. Może uda mi się wypatrzeć, jak uruchamia skafander. Panna zaś...

– Poszukam eleganta – weszłam mu w słowo, za co otrzymałam pełne aprobaty spojrzenie. – Niedługo ma się tu zjawić Wiktor...

– Wiktor? – Lewa brew detektywa uniosła się, ręka z kapeluszem zastęgåła w pół drogi.

– Ten chłopiec, który był świadkiem wydarzeń na moście – wyjaśniłam. – Zaproponuję mu zarobek.

Tym razem uśmiech Fiksa objął całą twarz.

– Doskonała myśl, Mino! – Kapelusz wreszcie wylądował na głowie. – Punkt kontaktowy niech panna zorganizuje w moim domu. Tam jestem w stanie wrócić w każdej formie.

To mówiąc, otworzył przede mną drzwi. Rozstaliśmy się na chodniku u podnóża schodów prowadzących do strażnicy. Detektyw, uprzednio życząc mi powodzenia, udał się na postój trójkótek, ja natomiast pieszo powędrowałam do siedziby Banku Powszechnego, gdzie trzymałam oszczędności. Mieścił się on przy ulicy równoległej do Grabowej, nie miałam więc daleko. Wypłacenie gotówki zajęło mi nie więcej niż godzinę, a przez cały ten czas moje myśli krążyły wokół sprawy. Próbowałam w jakiś sposób ukierunkować podejrzenia, ale nieustannie miałam wrażenie, że coś mi się wymyka. Eydziatowicz zdecydowanie coś ukrywał, a do tego z jakiegoś powodu zażądał odsunięcia nas od sprawy. To było co najmniej nieoczekiwane. Niewątpliwie sugerowało nerwowość. Ponadto hrabia miał powody, by nienawidzić technologii, a jednocześnie sam ją tworzył. Dla mnie nie trzymało się to kupy. Fiks miał rację, kręciliśmy się w miejscu...

Zderzenie z osobą idącą z naprzeciwka nastąpiło nagle i niemal wylądowałam tyłkiem na ziemi. Udało mi się jednak utrzymać równowagę i podtrzymać kobietę, na którą upadłam.

– Przepraszam! – To ona odezwała się pierwsza. – Nie patrzyłam...

Podniosła dłoń do czoła i ten gest uświadomił mi, kogo widzę przed sobą.

– To ja przepraszam! – odparłam, a inżynierka hrabiego, ta sama, która podczas naszej wizyty słuchała Eydziatowicza z uwielbieniem, potrząsnęła głową.

– Nie, to moja wina...

Uśmiechnęłam się.

– Przyjmijmy więc, że obie się zagapiłyśmy i że to niczyja wina. Dobrze, że żadnej z nas nic się nie stało. Zgodna?

Wyciągnęłam rękę, czym chyba ją zaskoczyłam, ale szybko się opanowała i podała mi swoją.

– Zgodna.

Uśmiechnęłam się po raz drugi i puściłam jej dłoń, po czym ukloniliśmy się, jak nakazują zasady dobrego wychowania, i każda ruszyła w swoją stronę. Zrobiłam może z pięć kroków, zagryzając wargę i walcząc z nieuzasadnionym przecuciem, zanim zwróciłam. Uznałam, że zawsze mogę powiedzieć, że zwróciłam na nią

uwagę jeszcze wtedy, gdy widziałam ją w pracowni i że nie chciałybym przegapić drugiej szansy. Widziałam jej plecy; szła szybko, zdecydowanym krokiem. Ja podążałam za nią, skupiona tylko na tym, by jej nie zgubić w chwilach, gdy przekraczałyśmy skrzyżowania, na których robiło się tłoczniej. Wkrótce domyśliłam się, że zmierzamy w stronę dzielnicy fabrycznej, a konkretnie – na teren zajęty przez magazyny i składy handlowe. Ludzi na ulicy było coraz mniej i zaczęłam się poważnie obawiać, że nie dam rady dłużej pozostać niezauważona. Na szczęście nasz cel był blisko. Inżynierka skręciła w boczną uliczkę i zniknęła za drzwiami najbliższego budynku. Stałam przed nimi niepewna.

Raz kozie śmierć, pomyślałam, wzięłam głęboki oddech i wślizgnęłam się do środka. Ku mej niezmiernej radości zawiasy były dobrze naoliwione i wrota otworzyły się bezgłośnie i dość łatwo, jak na ich gabaryty. Jak się okazało, wewnątrz mieścił się skład bławatny. Bele materiałów spoczywały na wysokich regałach ustawionych w rzędach, pomiędzy którymi prowadziły wąskie przejścia. Pomieszczenie było ciemne. Lamp przymocowanych do wsporników nie zapalono, a jedyne światło wpadało przez trzy umieszczone pod sufitem okienka. Poruszałam się ostrożnie, by nie zostać usłyszaną, i licząc na to, że gdziekolwiek zniknęła pracownica Eydziatowicza, dotrę tam prędzej czy później. W końcu ile zakamarków mogło być w takim miejscu? Wokół mnie unosił się charakterystyczny zapach barwników do tkanin, a także środków zabezpieczających przed gryzoniami i łasymi na bawełnę i jedwab owadami. W słabym świetle dostrzegałam tylko co wyraźniejsze wzory zdobiące materiały, ale i tak rosło we mnie przekonanie, że znalazłam się w składzie kupca zaopatrującego magazyny dla arystokracji.

Gdzieś z boku dosłyszałam ciche kliknięcie zapadki w zamku. Ktoś otworzył drzwi. Przyspieszyłam, poruszając się na palcach, by nie zdradził mnie stukot obcasów. Dotarłam do końca rzędu półek i po lewej stronie dostrzegłam niewielkie pomieszczenie przyklejone do narożnika magazynu. Najpewniej kantorek spedytora. Na moje szczęście (i nieszczęście zarazem) był on zaopatrzony w duże okno, w którym aktualnie ktoś stał. Jego sylwetka odcinała się wyraźnie od rozświetlonego wnętrza. Szerokie ramiona i wąskie biodra sugerowały osobę płci męskiej. Przypadłam do podłogi i na wpełzając, dotarłam pod okno. Przykleiłam się do ściany tuż obok niego. Szpary

w wypaczonych framugach okazały się na tyle szerokie, że słyszałam dość dobrze toczącą się w środku rozmowę. Jednak nie jej treść zrobiła na mnie największe wrażenie.

– Chcę mieć ten skafander już. Po tej wpadce Eydziatowicz z całą pewnością będzie go lepiej pilnował! – mówił mężczyzna, a ja wsłuchiwałam się w jego natarczywy głos i szukałam w pamięci twarzy, do której pasował. Natomiast głos inżynierki (bo to musiała być ona) drżał wyraźnie.

– Czego ode mnie oczekujesz? Nie wiem, jak mogłabym go teraz wykraść.

Odsunęłam się odrobinę od ściany, próbując zająrzeć do środka.

– Więc musisz mnie wprowadzić do pracowni, a sam to zrobię!

Mężczyzna odwrócił się i przez chwilę widziałam jego profil, zniekształcony przez perspektywę. Omal nie wyrwał mi się okrzyk zaskoczenia. Przystojną twarz inżyniera Laurentego Żmijewskiego wykrzywiała nietłumiona wściekłość. Cofnęłam się gwałtownie, prosząc bogów, by mnie nie zauważył.

– Jak? Chcesz skończyć jak Reszczak? To nie da się porwać!

– Reszczak najwyraźniej był idiotą! Moja wiedza, umiejętności...

– To czemu sam go sobie nie zbudujesz?! – W krzyku inżynierki słyszałam desperację zmieszaną z paniką. – Skoro takiś mądry, taki bystry, to po co chcesz okraść profesora?!

Z kantorka dobiegł hurgot, jakby coś zostało gwałtownie przesunięte, a sylwetka Żmijewskiego zniknęła z okna. Oczami wyobraźni zobaczyłam cofającą się kobietę i napierającego na nią mężczyznę. Spięłam mięśnie, gotowa ruszać na pomoc, ale inżynier najwyraźniej zachował resztki dobrego wychowania, bo nie usłyszałam uderzenia, a tylko słowa wypowiedziane lodowatym tonem:

– Nie interesuje mnie nic, co masz do powiedzenia. Interesuje mnie skafander. Muszę go mieć. Mieliśmy umowę. I dotrzymasz swojej części, albo pożegnasz się z karierą, mężem i spokojnym życiem w domku na przedmieściu. Rozumiesz?

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Bezwiednie wstrzymałam oddech, napięte mięśnie drżały z wysiłku. Z tego stanu wyrwał mnie dopiero odgłos kroków. Drzwi otworzyły się gwałtownie.

– Dziś w nocy, pani inżynier. Będę przy kępie nad groblą punktualnie o dwudziestej pierwszej. A ty wpuścisz mnie do pracowni. Tyle wymagam. Potem poradzę sobie sam. A teraz już idź.

Przez ułamek chwili tkwiłam jak skamieniała, na wpół leżąc pod ścianą kantorka. Potem odzyskałam zdolność ruchu i czym prędzej dałam nurka między regały. Inżynierka wyszła pierwsza. W słabym świetle widziałam jej bladą twarz. Drżały jej ręce, gdy poprawiała kapelusz. Ruszyła do wyjścia powoli, jak ktoś, kto wędruje na szafot i stracił już nadzieję na ucieczkę. Żmijewski patrzył za nią, dopóki nie dotarła do wrót, a potem zgasił światło i zamknął drzwi. Zamarłam ponownie. Wstrzymałam nawet oddech, bo w pomieszczeniu zrobiło się nagle niezwykle cicho i miałam wrażenie, że nawet bicie mojego serca jest słyszalne z odległości kilku jardów. Żmijewski nie ruszał się. Nasłuchiwał. Zaczynały mnie boleć napięte mięśnie, wykręcona nienaturalnie stopa drętwiała coraz bardziej. W końcu inżynier pociągnął za klamkę drzwi kantorka, jakby nie pamiętał, czy faktycznie przekręcał klucz, po czym wreszcie udał się do wyjścia. Odliczyłam w myślach do stu i dopiero odważyłam się zmienić pozycję. Chwilę siedziałam, powstrzymując łzy, gdy krążenie zaczęło wracać do przyciśniętej całym moim ciężarem stopy. Potem bardzo ostrożnie się podniosłam i powłócząc nogą, dotarłam do wyjścia. Oczywiście wrota były zamknięte. Szukanie zamka, który mogłabym spróbować otworzyć tym samym sposobem, co furtkę Fiksa, nic mi nie dało. Zamka nie było – najpewniej skład blokowały sztaba i kłódka.

Usiadłam na chłodnej posadzce i starałam się opanować bezsilną złość. Wyrzucanie sobie głupoty nie miało żadnego sensu. Gdybym nie poszła za inżynierką, nie miałabym pojęcia o udziale Żmijewskiego, zatem było to najlepsze, co mogłam zrobić. Teraz należało tylko znaleźć sposób na wyjście stąd, a w tym celu musiałam zacząć myśleć. Odetchnęłam głęboko i powoli rozejrzałam się po pomieszczeniu. Wzrok natychmiast powędrował do jedyne-go źródła światła, jakim były umieszczone pod sufitem okienka. Przygryzłam wargę. Z dołu trudno było ocenić, czy uda mi się przez któreś z nich precyzyjnie, jeśli oczywiście najpierw je otworzę, a jeszcze wcześniej – osiągnę. To ostatnie było całkiem realne, mogłam wszak wspiąć się po półkach. Tylko co dalej? Trzydzieści stóp to za wysoko na skok. Potrzebowałam może minuty, żeby przypomnieć sobie, że otaczają mnie bele tkanin. Z całą pewnością nie wszystkie to śliskie jedwabie...

Wstałam i ruszyłam wzdłuż najbliższego regału. Odpowiedni materiał znalazłam w głębi, gdzie najwyraźniej trzymano mniej

reprezentacyjne towary. Surowy len, mocny i szorstki, powinien doskonale sprawdzić się jako lina. Odwinęłam z beli ilość płótna wystarczającą z nadstatkiem na doprowadzenie do okna i spuszczenie po drugiej stronie. Następnie przeplotłam je między nogami regału i zablokowałam belę dwiema innymi. Zmarnowałam kilka minut na wyrzucanie sobie braku noża w torebce, po czym z nadzieją, że stworzona przeze mnie konstrukcja wystarczy do utrzymania mego ciężaru, zaczęłam się wspinać po półkach. Z płachtą materiału przywiązaną do pasa nie było to zbyt wygodne, ale też nie sprawiło mi tak wielkiej trudności, jak się spodziewałam. Najważniejsze w takich sytuacjach to nie patrzeć w dół i ignorować wszelkie skrzywienia, a także chwiejność zastępczej drabiny. Zanim dotarłam na szczyt, byłam spocona jak mysz, ale nie oddychałam specjalnie szybko. Z zalepionym warstwą farby i kurzu oknem walczyłam dobre dziesięć minut, znów przeklinając swój brak przygotowania. Kiedy je otworzyłam, spuściłam prowizoryczną linę, po czym spojrzałam w dół. Wychodziło na wąski przesmyk między dwiema ścianami wysokich budynków. Zakręciło mi się w głowie, bo dopiero w tym momencie dotarło do mnie, co zamierzam zrobić. Kilka głębokich oddechów później doszłam do wniosku, że w gorsecie nie uda mi się precyzyjnie przesuwać na drugą stronę. Rozbierałam się pośpiesznie, acz ostrożnie, pomstując na ten od zawsze irytujący mnie szczegół garderoby, z którym jednak nie potrafiłam rozstać się definitywnie ze względu na wspomnienie wykładów matuli o przyzwoitości. Z pewną satysfakcją zostawiłam go na szczycie regału po tym, jak z powrotem włożyłam koszulę. Zakieciak i torebkę wyrzuciłam przez okno. Teraz pozostało precyzyjnie przesuwać się przez wąski otwór, a resztę najpewniej zrobi grawitacja. Miałam tylko nadzieję, że niezbyt gwałtownie.

Zanim znalazłam się po drugiej stronie, porządnie otarłam sobie biodra i ramiona. Wysuwałam się tyłem, z pozycji leżącej na brzuchu, uznawszy, że to gwarantuje najbezpieczniejszy początek zjazdu na dół, który za wszelką cenę pragnęłam jak najlepiej kontrolować. Początkowo szło całkiem niezle, zwłaszcza gdy oplotłam płachtę materiału jedną nogą, tak by spełniała rolę hamulca. Ręce poddały mi się jakieś siedem, może osiem stóp nad ziemią.

Spadłam ciężko na plecy, tracąc oddech. Niebo zaczęło łagodnie opadać mi na głowę. Nie mogłam mu na to pozwolić. Ogromnym wysiłkiem woli usiadłam i przez chwilę – zbyt długą, moim zdaniem

– walczyłam z poczuciem, że świat wokół mnie wiruje. Szumiało mi w uszach. Dręczyły mnie nudności, a nie chciałam wymiotować. To zajęłoby czas. Stałam na nogach, pomagając sobie płachtą płótna wciąż zwisającą z okna. Zatoczyłam się i omal nie upadłam. Jednak musiałam zwalczyć słabość, jeśli moja ucieczka z pułapki miała się na coś przydać. Zrobiłam więc pierwszy krok, potem kolejny, i jeszcze jeden. Sunęłam przy samej ścianie, co rusz ocierając się o nią ramieniem, w kierunku ulicy, na którą wychodził front składu. Tam próbowałam zatrzymać trójkólkę, ale wszyscy motorniczowie, najpewniej zniechęceni moją brudną koszulą, rozdartymi spodniami i nastroszoną fryzurą, przemykali obok, udając, że mnie nie widzą.

Wciąż oszołomiona, ruszyłam powoli w stronę strażnicy. Gdyś na granicy świadomości tliła się myśl, że to niedaleko, a ja potrzebuję pomocy, bo sama nie dostanę się do Brzozowego Dworku, by ostrzec hrabiego. Z zaciśniętymi zębami walczyłam z niemocą. Ból w piersiach nie ustawał, głowa zdawała się wypełniona watą. Byłam jednak uparta – każdy mozolnie stawiany krok przybliżał mnie do celu, a gdy wreszcie dotarłam na miejsce, szłam już w miarę prosto, wzbudzając jedynie umiarkowane zdziwienie kolegów.

– Ktoś czeka na ciebie w gabinecie – rzucił jeden z nich, mijając mnie. – Jakiś dzieciak.

Przyznam, że zdążyłam zapomnieć o Wiktorze, ale chłopiec wciąż mógł się przydać. Zamiast więc od razu udać się do komendanta, najpierw poszłam do naszego pokoju. Ten jednak okazał się pusty. Skonsternowana stałam na środku pomieszczenia i usiłowałam przegnać kolejną serię zawrotów głowy, gdy przez otwarte drzwi wszedł Wiktor.

– Przepraszam, musiałem do wychodka – wyjaśnił skwapliwie. – Nagła potrzeba. Wiem, że przyszedłem za wcześnie, ale tamten strażnik mnie wpuścił. Powiedział, żeby tu na pannę poczekać...

Mówił coraz wolniej, a w końcu zamilkł całkiem. Wpatrywał się w mój poszarpany, brudny strój i chyba nie wiedział, co o tym myśleć.

– Krew pannie leci. – Wskazał palcem moją prawą dłoń. Faktycznie po zewnętrznej stronie ściekała czerwona strużka, kryjąca się między palcami.

Zdziwiłam się odruchowo, bo przecież nie czułam bólu – i natychmiast zaczęło mnie rwać całe przedramię.

– Muszę to opatrzyć... – Z tymi słowy podeszłam do zamkniętej na kluczyk szafeczki, w której Fiks trzymał odczynniki chemiczne.

Wiktor skinął głową i w milczeniu przyglądał się, jak przeglądałam butelki, wybieram tę z siedemdziesięcioprocentowym roztworem spirytusu i używając miski laboratoryjnej oraz płótna, opatruję ranę. Nie próbowałam przy tym tłumić jęków. Nie miałam na to siły.

Gdzieś pomiędzy osuszaniem rany a jej obwiązywaniem dotarło do mnie, że nie mam ani żakietu, ani torebki.

– Psia mać! – warknęłam, zaciskając mocno węzeł.

Chłopiec spojrział na mnie uważniej, na dnie jego oczu wyraźnie dojrzałam współczucie.

– Wiktorze, mam dla ciebie robotę. – Podeszłam bliżej i położyłam mu ręce na ramionach. – Wracałam z banku z pieniędzmi dla ciebie, kiedy zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Nie wdając się w szczegóły: moja torebka i żakiet zostały w przesmyku na tyłach składu bławatnego. Między Sosnową a Handlową. Kojarzysz?

– Jasne! – Ulicznik wyglądał na lekko oburzonego moim pytaniem. – Mam przynieść, tak?

Skinęłam głową, a Wiktor bez chwili zwłoki wybiegł z gabinetu. Poniewczasie pomyślałam, że dzieciak może w ogóle nie wrócić. Oprócz gotówki zyskiwał fanty, które bez problemu sprzedawał za znacznie większe pieniądze niż te, które pewnie zwykle zarabiał na skarbach wyciągniętych z rzecznoego mułu. Dopiero czas – na szczęście niezbyt długi – miał pokazać, że moja wiara w jego uczciwość nie była bezpodstawną. W tamtym momencie mogłam jedynie czekać. Oczywiście można uznać, że zachowywałam się nierozsądnie, że powinnam od razu biec do komendanta. Ja jednak znałam Daniłę od kilku dobrych lat i kiedy prosta czynność opatrywania rany spowodowała, że mój umysł zaczął z powrotem pracować, stwierdziłam, że nie mogę się mu pokazać w takim stanie, jeśli chcę uzyskać pozytywną reakcję. Przeszłam zatem do umywalni, gdzie doprowadziłam się do względnego porządku. Obmycie twarzy i karku chłodną wodą uciszyło mdłości. Zwiłżyłam też włosy i dzięki temu udało mi się ułożyć jaką taką fryzurę. Żadne zabiegi nie były w stanie ukryć braku gorsetu, ale w jednej z szuflad biurka udało mi się znaleźć czystą i niepodartą białą koszulę. Przy odrobinie dobrej woli można było uznać, że na mnie pasuje (w końcu wszystkie guziki dawało się zapiąć), a kiedy dołożyłam do tego stary Fiksowy

fular zawiązany w kokardę, mogłam przed samą sobą udawać, że wyglądam jak człowiek.

Do drzwi gabinetu zapukałam zdecydowanie, ale z wejściem czekałam na poirytowane „Proszę”. Nasz zwierzchnik siedział za biurkiem i na mój widok natychmiast poczerwieniał. Nie wróżyło to dobrze.

– Panie komendancie, wiem, kto ukradł skafander – zaczęłam, nie czekając, aż Daniło się odezwie. – Inżynier Żmijewski...

– Panno Goroll! – Szef wszedł mi w słowo z niezwykłym u niego spokojem. – Wpada tu pani i od razu rzuca oskarżeniami pod adresem szanowanego dżentelmena! Nie przywitała się pani! Nie raczyła spytać, czy mam dla pani czas! Wątpię, czy jestem dłużej w stanie tolerować kogoś takiego jak pani, z tą pani rewolucyjną robotniczą duszą, z tą... – Daniło dopiero teraz skoncentrował wzrok na moim stroju. – Co pani w ogóle ma na sobie? Ta swoboda ubioru nie ma prawa bytu w mojej strażnicy! Milczałem, gdy zaczęła pani chodzić w spodniach, ale to! – Machnął ręką w moim kierunku, jakby oganiał się od czegoś obrzydliwego. – To jest niedopuszczalne! Ja tu nie chcę pani więcej widzieć. Proszę wyjść! Jutro zgłosi się pani do kwestury po należną za ostatni tydzień pensję. Żegnaj!

Po ostatnim wykrzykniku zaległa cisza. Patrzyliśmy na siebie: on ze zjezonymi wąsami i tłumioną złością w oczach, ja z mieszaniną niedowierzania i rodzącego się powoli strachu.

– Fiks jest w niebezpieczeństwie – spróbowałam jeszcze raz. Spokojnie i powoli. – Eydziatowicz może stracić skafander. O dwudziestej pierwszej inżynierka pracująca u...

Niestety, komendant Daniło postanowił być uparty.

– Proszę wyjść!

– Niech mi pan nie przerywał! – wrzasnęłam; panika dodawała mi śmiałości. – Może mnie pan zwolnić i tysiąc razy, ale niech pan coś zrobi! Fiks śledzi Eydziatowicza, nie ma pojęcia o Żmijewskim. A Żmijewski o dwudziestej pierwszej spróbuje wejść do pracowni hrabiego i ukraść skafander. Już próbował i działały się złe rzeczy. Możemy zapobiec kolejnym. I nie musi pan już nic mówić. Wychodzę!

I faktycznie wyszłam, trzaskając drzwiami, na których wyładowałam złość. Nie miałam pojęcia, czy Daniło mnie wysłucha, ale też nie mogłam nic więcej zrobić. Na wpeł biegając, wypadłam ze strażnicy i omal nie zderzyłam się z Wiktorem. Chłopak niósł moją torebkę i zakiet, a z nosa ciekła mu krew.

– Prawie się spóźniłem! – krzyknął na mój widok. – Ale się udało! – Dumny uśmiech rozjaśniał brudną buzię, gdy podawał mi moje rzeczy.

Wyrzebałam chustkę z torebki i podałam mu. Tamował krwawienie, a ja wkładałam nieco przybrudzony zakiet. Potem sięgnęłam po portfel.

– Dziękuję – powiedziałam po prostu, podając Wiktorowi zwitek papierowych pieniędzy.

Chłopiec jednak westchnął i pokręcił głową.

– Nie mogę tego wziąć. W każdym sklepie czy barze uznają, że ukradłem.

– Ale ja nie mam innych pieniędzy... I nie mogę teraz iść szukać kogoś, kto mi to zamieni na monety. Muszę jechać do Brzozowego Dworu.

– Trudno. – Wiktor wzruszył ramionami. – Przyjdę kiedy indziej. Albo w ogóle pojedę z panią, bo coś mi się widzi, że pani potrzeba kogoś do pomocy.

Chciałam zaprotestować, ale dzieciak już zbiegł na drogę i zatrzymał pierwszą przejeżdżającą trójkółkę. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko do niej wsiąść.

– Nie powinieneś ze mną jechać. – Rozsądek i poczucie odpowiedzialności osoby dorosłej za dziecko kazały mi spróbować. – To może być niebezpieczne.

Ponownie wzruszył ramionami i mocniej naciągnął czapkę na głowę. Uświadomiłam sobie, że zapewne miał do czynienia z niebezpieczeństwami częściej niż ja. Poklepałam go po ramieniu i usadowiłam się głębiej.

– Do Brzozowego Dworu – poleciłam motorniczemu.

Jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało, zdrzemnęłam się po drodze. Zmęczenie, nerwy i utrzymujące się skutki upadku zwyczajnie mnie uspiły. Kiedy się ocknęłam, słońce dotykało czubków drzew, a my wjeżdżaliśmy na groblę. Mieliśmy jeszcze dość czasu do dwudziestej pierwszej i nieco się rozluźniłam. Wystarczyło tylko wyjaśnić hrabiemu, z czym przyjechaliśmy, a potem znaleźć Fiksa, i sprawa załatwiona. To naprawdę miało być proste.

Do dworu dotarliśmy o zmierzchu. Drzwi otworzył nam jeden z lokajczyków, którego pamiętałam z ostatniej wizyty. Kłaniając się elegancko, poprosił, byśmy poczekali, i poszedł zaanonsować nas

hrabiemu. Narastał we mnie niepokój powodujący, że każda najmniejsza część mego ciała drżała, jakby w gorączce. Wiktor rozglądał się, a jego oczy ogromniały w miarę odkrywania kolejnych skarbów pokrywających ściany i podłogę. Nie mogłam ustać w miejscu i zaczęłam krążyć po holu trochę jak Fiks.

Hałas był nagły i na początku nie potrafiłam określić kierunku, z jakiego dobiegał. Po chwili dotarło do mnie, że coś się dzieje w oranżerii. Bez zastanowienia ruszyłam biegiem w tamtą stronę, a za mną popędził Wiktor. Widok, jaki ujrzałam, przedarłszy się przez krzewy, zmroził mnie na upiornie długą chwilę.

Pod rzeźbą stał Eydziatowicz, blady niczym sama śmierć. W lewej ręce trzymał coś, co przypominało jakiś rodzaj pistoletu, ale nie był to żaden znany mi model. Dłoń prawej zaciskał w niedoskonałą pięść. Obok stał przewyższający go o dwie głowy metalowy potwór – skafander, którego rękawica zaciskała się na cienkiej stalowej linie. W pętli na jej końcu miotał się lis.

Nawet kiedy myślę o tym teraz, gdy emocje już dawno opadły, nie umiem wyjaśnić, kiedy podjęłam decyzję. Czy w ogóle ją podejmowałam? Co mną powodowało? Strach? Złość? Głupota? Im więcej jednak mija czasu, tym bardziej umacnia się we mnie przekonanie, że zadziałał czysty instynkt. Oto Eydziatowicz unosi rękę i to samo – w towarzystwie jęikliwego zgrzytu usiłujących przeciwdziałać siłowników – robi skafander. Fiks szarpie całym ciałem, pętla na jego szyi zaciska się. Wstrząsa nim dreszcz. Skaczę. Dwa rozciągnięte na niewiarygodną ilość czasu susy później uderzam barkiem w pierś hrabiego. Przewracamy się. Obok nas o ziemię uderza skafander. Ruda smuga dopada leżącego arystokraty. Pistolet, wciąż ścisany przez niego w dłoni, wypala.

Nie bolało jakoś przesadnie. A przynajmniej – jeszcze nie wtedy. Wtedy myślałam tylko o tym, że przecież przyjechałam z ostrzeżeniem.

– To Żmijewski – wycharczałam hrabiemu prosto w ucho.

Eydziatowicz chyba mnie nie usłyszał, choć leżeliśmy częściowo jedno na drugim. Usiłował zepchnąć z siebie lisa, który wciąż sięgał do jego gardła. Machnęłam ręką, krzywiąc się z bólu, i trafiłam na puszysty ogon. Pociągnęłam. Zwierzę zaskowyczało.

– Nie! – krzyknęłam słabo. – To Żmijewski! Anton! Prześtań! Przyjdzie tu! Inżynierka... W zмовie...!

Przetoczyłam się na plecy, uwalniając hrabiego, co – jak się szybko okazało – było błędem. Eydziatowicz poderwał się na nogi i kopnął napastnika, który upadł na ziemię z piskiem. Co gorsza, przewrócony skafander począł się niezdarnie gramolić, usiłując przyjąć pozycję stojącą, a do oranżerii upadło dwóch młodzieńców w liberiach. Każdy nich ścisnął w rękę kij w rodzaju tych do krykieta. Z tyłu czaił się chłopiec, który otworzył nam drzwi. Andrzej – przypominałam sobie ni z tego, ni z owego.

– Zabijcie to!

Na okrzyk hrabiego lis podniósł się i przypadając płasko do ziemi, zawarczał krótko. Służący skoczyli w jego stronę. Wiktor wyciągnął nogę i jeden z nich pokoziołkował, łamiąc łądźki tulipanów stojących na drodze jego upadku. Drugi zamierzył się kijem, lecz zwierzak uskoczył.

– Żmijewski chce ukraść skafander! – wrzasnęłam. – Przestańcie wszyscy!

Usiadłam i zrobiło mi się dziwnie mokro na piersi. Nie miałam czasu o tym myśleć. Dwudziesta pierwsza zbliżała się z każdą minutą, którą ci idioci marnowali na bezsensowną przemoc. Lis po raz kolejny uskoczył, pierwszy ze służących zdołał już wygramolić się z grządek, a mały lokajczyk i Wiktor tarzali się spleceni w ciasnym uścisku wymieniających poglądy ulicznych łobuziaków.

Eydziatowicz wciąż stał obok mnie, chwyciłam więc rękaw jego koszuli i podciągnęłam się do pozycji stojącej. Odwrócił się zdziwiony, jakby zupełnie zapomniał o mojej obecności. Wbiłam mu paznokcie w przedramię.

– Niechże pan się opamięta, proszę to przerwać i mnie posłuchać! To Laurenty Żmijewski, to on chce ukraść skafander! Będzie tu za chwilę.

– Żmijewski...? Główny inżynier Żmijewski? Ale to przecież mój student...

Skowyt trafionego w końcu zwierzęcia starł z twarzy hrabiego rysujący się na niej wyraz zdziwienia.

– Przestańcie!

Krzyknęliśmy oboje, lecz natychmiastowa reakcja młodzieńców z pewnością była odpowiedzią na rozkaz hrabiego. Nawet chłopiec spleciony z Wiktorem w zapaśniczym uścisku nagle przestał walczyć, co ulicznik natychmiast wykorzystał, wymierzając mu kilka uderzeń pięściami w twarz.

– Wiktor!

Fala bólu przebiła się przez napięcie wynikające z nerwów i aż jęknęłam, padając na kolana obok lisa, toczącego wokół mętным wzrokiem. Pospiesznie oglądałam futerko w poszukiwaniu śladów krwi, ale ich nie znalazłam. Odetchnęłam z ulgą.

– Panno Gorol, proszę mówić! – Eydziatowicz przyklęknął przy mnie i w tej samej chwili jego wzrok padł na moją pierś. Mężczyzna zamarł. – Pani jest ranna, pani musi...

– To nic, nie boli prawie – skłamałam. – Żmijewski przyjdzie tu o dwudziestej pierwszej, do pracowni upuści go pańska inżynierka. Ta, która była w laboratorium, gdy zwiedzaliśmy je z panem. Pamięta pan?

– Która? Adela?! Ależ... No tak... Znali się przecież z Laurentym...

Ostatnie zdanie wyszeptał tak cicho, że ledwie go usłyszałam. Ból w piersi narastał.

– Nie ma czasu! – warknęłam.

– Do pracowni! – zakomenderował Eydziatowicz, jakimś cudem odzyskując panowanie nad sobą. – Wy dwaj – zwrócił się do służących – zbierzcie tych, którzy są w tej chwili na terenie posiadłości, wszyscy mają się stawić w pracowni, poza Bertem i Frankiem. Oni zostają na straży domu. Niech uzbroją mechanizmy. Zresztą wiedzą, co robić. Reszta... – hrabia zerknął przelotnie na zegarek wyciągnięty z kieszeni spodni – za dwadzieścia minut ma być w pracowni. – Młodzieńcy bez słowa ruszyli do drzwi, a usiłującego za nimi pobiec Andrzeja Eydziatowicz zatrzymał, łapiąc za ramię. – Ty nie. Ty musisz zaprowadzić ją na wieżę... – Spojrzał na skafander, który dopiero teraz zdołał wreszcie się podnieść. – Słucha tylko nas dwóch, a ja muszę iść do Adeli. Ma dziś dyżur... Oczywiście...

Powaga na twarzy chłopca była nienaturalna dla kogoś tak młodego, gdy podchodził do ogromnego przy jego mizernym wzroście skafandra. O dziwo, maszyna, posłuszna gestowi dziecka, nachyliła się i zdawała się słuchać, co ono jej szepcze. Prowadzona przez Andrzeja wyszła z oranżerii.

– Wiktorze, zabierz lisa – poleciłam.

Chłopiec otworzył szeroko oczy; nie zaprotestował jednak. Stęknął pod ciężarem zwierzęcia i dzielnie poniósł je przez dziedzińiec do zaciemnionego budynku.

Adela siedziała przy biurku w głównym laboratorium i przekładała jakieś papiery z jednego stosu na drugi. Nawet nie patrzyła w ich stronę. Była blada i miała krwistoczerwone usta. Jestem pewna, że przygryzała je i oblizywała nieustannie. Hrabia Eydziatowicz szedł przodem, okrążył biurko i stanął przed inżynierką w postawie pełnej napięcia, Wiktor postawił Fiksa na podłodze, a ja osunęłam się na wolne krzesło. Przed oczami widziałam mroczki, oddychałam z trudem.

– Wiem wszystko, Adelu – powiedział hrabia. – Nie zaprzeczaj, dobrze?

Kobieta odetchnęła głęboko i pochyliła głowę. Jej dłoń gładziła arkusze zapisanego drobno papieru.

– Ja...

– Ja wiem, że on groził pani mężowi – przerwałam jej. – Wszystko słyszałam. Teraz musi nam pani pomóc go ująć, a nic się nikomu nie stanie.

Inżynierka spojrzała na mnie i drgnęła, jakby zobaczyła coś zaskakującego.

– Ależ pani krwawi! To trzeba obejrzeć, wezwać lekarza! – Potrząsnęłam głową, ale Adela już wstawała. – Profesorze, przecież ona powinna leżeć...! Bandaż, cokolwiek...

Lis szczechnął, więc na moment zwróciłam na niego uwagę. Zwierzę nerwowo machało ogonem, wpatrując się w czerwień koszuli na mojej piersi. Stojący obok niego Wiktor miał zafrasowaną twarz.

– Nic mi nie jest! – spróbowałam uspokoić ich wszystkich, a także siebie. – To powierzchowne. Przecież bym tu nie przyszła, gdyby było inaczej! Niechże pani słucha profesora.

Nie przekonałam ani Fiksa, który zaczął dreptać w kółko, ani Wiktora, ani Adeli – a na pewno nie do końca. Uparła się, żeby przynajmniej obwiązać mi pierś i tym sposobem zatrzymać krwawienie. Ścisnęła mnie tak, że ledwie mogłam odetchnąć.

– Wyjdę do niego, tak jak się umawialiśmy – powiedziała, kiedy już skończyła. – Przeprowadzę i wpuszczę do pracowni.

– A my będziemy tu czekać. – Hrabia uśmiechnął się nienaturalnie. – Niech mnie pani teraz nie zawiedzie, Adelu. Raz wystarczy.

Kobieta drgnęła. Jej twarz wykrzywił grymas żalu.

– Wiem, że to nic nie... Że nic... Przepraszam, profesorze...

Eydziatowicz skinął i Adela wyszła. Do pomieszczenia zajrzał jeden ze służących.

– Emil. Dobrze. Pójdiesz za nią, ostrożnie, nie mogą cię zobaczyć ani ona, ani ten, z kim się spotka. A jeśli już zobaczą, nie pozwól Żmijewskiemu uciec.

Emil bez słowa zniknął w ciemności za drzwiami. Laboratorium zapełniało się ludźmi. Eydziatowicz wydawał kolejne polecenia. Kobiety i mężczyźni zajmowali wyznaczone przez niego stanowiska. Zgaszono światło. Poczulałam dotyk lisiego futra na łydce. Z drugiej strony mojego krzesła skulił się Wiktor.

– Ciemno niczym w tyłku – poskarżył się. – Ani ciut nie widać.

– To tylko na chwilę – uspokoiłam go. Fiks szczechnął karcąco i zamilkliśmy oboje.

Rzeczywiście nie musieliśmy czekać zbyt długo. Kroki na korytarzu rozległy się może pięć, może dziesięć minut później. W zamku zachrobotał klucz przekręcany przez Adelę kilkakrotnie, gdy pozorowała walkę z opornym mechanizmem. Skrzyknęły zawiasy.

– No i gdzie to jest? – fuknął Żmijewski. – Niczego nie widzę!

– Ależ służę, Laurenty – rzekł hrabia, ruchem jednej dźwigni zapalając wszystkie światła. – Co ty wyprawiasz, chłopcze?

Żmijewski zacisnął zęby, spoza których dobiegło stłumione przekleństwo. Nawet w takiej sytuacji umiał zachować się jak dżentelmen. Rozbieganym wzrokiem przesunął po pomieszczeniu i zgromadzonych w nim ludziach. Przez ułamek sekundy jakby coś ważył w duchu, a potem skoczył do hrabiego, zgarniając po drodze trójkątą butlę stojącą na jednej z szafek.

– Wy! – krzyknął w stronę gotowych do interwencji służących, wyciągając korek. – Stać i nie drgnąć nawet! Obleję pana tym, profesorze, jeśli oni zrobią jakikolwiek ruch. Rozumie pan?

Eydziatowicz odetchnął głęboko. Lis uniósł nos i zaczął węszyć, a potem zrobił krok w tył z podkulonym ogonem.

– Rozumiem – rzekł hrabia, oduracając się do swoich ludzi. – Niczego nie róbcie.

– Nie odejdę stąd bez skafandra. W tej chwili ma się tu znaleźć, gotowy do podróży!

Strach, który poczulałam, gdy zobaczyłam reakcję Fiksa, zelżał. Co prawda napięcie nie odpuszczało, ale też wstąpiła we mnie nadzieja. Aristokrata tymczasem skinął ręką na jednego ze służących.

– Pójdiesz po skafander. Przekaż, co słyszałeś Andrzejowi.

Poczułam, że słabnę. Ból nie był już punktowy. Rozlewał się po całym ciele, docierając nawet do palców u stóp. Drżałam z zimna. Lis tkwiący uparcie przy mojej nodze zaskomlał, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

Żmijewski zaczął się niecierpliwić. Przeszepował z nogi na nogę, wspinał się na palce i co chwilę sięgał wolną ręką do aksamitnego węzła pod szyją. W otwartych drzwiach stanął wystany z poleceniem młodzieniec.

– Skafander czeka w korytarzu – oznajmił.

– Wszyscy wychodzić! – zarządził Żmijewski. Najwyraźniej wydawało mu się, że jest sprytny. – Po kolei. Pani też! – Machnął w moją stronę wolną ręką, a ja podniosłam się z trudem. Działałam wiedziona raczej ciekawością niż strachem przed przestępcą. Nie zmieniło to faktu, że Adela musiała mnie podtrzymać.

– Nie powinna pani się ruszać! – Pokręciła głową. – Laurenty...

– Sza! Wszyscy, powiedziałem!

Na korytarzu faktycznie czekał nieruchomy skafander. Przy nim stał Andrzej, delikatnie dotykając mechanicznej dłoni.

– Pod ścianę. Wszyscy. I odwrócić się tyłem. Pan jeszcze nie! – Żmijewski powstrzymał Eydziatowicza.

Dotykając ściany czołem, poczułam niemal wdzięczność. Nie utrzymałabym się na nogach bez tej podpory.

– Chłopcze, zmiataj pod ścianę.

Po chwili Andrzej stanął obok mnie.

– Dobrze. A teraz mam życzenie zabrać skafander, a pan mi to umożliwi, profesorze!

– Oczywiście. Wprowadzono do niego polecenie, żeby szedł za panem.

– I to wszystko?

– Tak. Tyle wystarczy. Może pójść za panem, gdzie pan chce, albo wejść na pojazd, którym pan przyjechał.

Odwróciłam głowę, nie chcąc niczego uronić, podczas gdy Żmijewski nieufnie ruszył w stronę skafandra.

– Idziemy!

Mechanizm kaszlnął głucho, gdy ruszały tłoki. Konstrukcja zadygotała i mosiężna noga przesunęła się do przodu. W kolejnym ułamku sekundy ramię sięgnęło błyskawicznie w stronę Żmijewskiego,

a mechaniczna pięść zacisnęła się na karku mężczyzny. Butla rozbiła się o podłogę, przyskając zawartością na buty inżyniera, które natychmiast zaczęły się topić. Skafander uniósł mężczyznę i chwycił go drugą dłonią pod pachę. Ten zacharczał. Mechaniczny człowiek zrobił krok w stronę drzwi, potem drugi. Z ust Żmijewskiego popłynęła krew.

– Halino! Nie! Nie bierz go na swoje sumienie! Proszę! – Eydziatowicz, błądy, z pałającym wzrokiem, skoczył, zastępując skafandrowi drogę. – Proszę, Halino.

Mechanizm stanął. Mocarne dłonie rozwarły się i ledwie żywy inżynier uderzył ciężko o podłogę. Skafander zastygł w bezruchu, a mój organizm ten właśnie moment wybrał, by wreszcie zareagować na postrzał tak, jak powinien to być zrobić na samym początku. Może wtedy moja rekonwalescencja trwałaby krócej? Oczywiście nie myślałam o tym w tamtym momencie, gdy ból przybrał na sile. Poczułam chłód, a ciemność powoli zasnęła mi wzrok. Zobaczyłam jeszcze Fiksa skaczącego w moją stronę, ale moment naszego wspólnego lądowania i okrzyk hrabiego rozplynęły się w nicości.

Pierwszy raz ocknęłam się z lisim nosem przy policzku. Leżałam w miękkiej pościeli, pod baldachimem w szmaragdowym kolorze, i odczuwałam ogromne pragnienie. Z trudem rozkleiłam spierzchnięte wargi.

– Pić...

Zwierzolak stanął na tylnych łapach, potem zaczął dreptać w kółko, a w końcu liznął mnie językiem i zeskoczył z łóżka. Usłyszałam serię szczeknięć, a po chwili podszedł do mnie Wiktor.

– Pić...

Chłopiec podał mi wodę, której większość wychlapałam na siebie. Zanim odjął naczynie od moich ust, znów straciłam przytomność.

Za drugim razem było odrobinę lepiej. Udało mi się zapytać, co się dzieje, zanim po raz kolejny opadłam w sen. Czy lis – wciąż stróżujący na mojej poduszce – próbował odpowiedzieć, nie mam pojęcia.

Trzeci raz otworzyłam oczy po dłuższym czasie. Lisa nie było, za to Fiks wpatrywał się we mnie bursztynowymi oczami, siedząc na postawionym tyłem do przodu krześle przy łóżku.

– Jest pan ubrany – stwierdziłam, a kącik ust detektywa drgnął.

– Hrabia był tak uprzejmy, że znalazł dla mnie coś w swojej szafie.

Teraz dopiero zauważyłam, że i rękawy koszuli, i nogawki spodni, które Fiks miał na sobie, są podwinięte.

– Trochę to za duże na pana.

Parsknął śmiechem, ale zaraz spoważniał.

– Przepraszam, Mino. Nie powinienem się śmiać, ale fakt, że rozmawiasz ze mną przytomnie, to ogromna ulga i chyba nie reaguję adekwatnie.

– Długo... Długo spałam?

– Prawie dwie doby. W międzyczasie Żmijewski przyznał się do winy, co tak naprawdę nie było potrzebne, jako że dzięki panie ujęliśmy go wszak na gorącym uczynku. Gdybyśmy wcześniej wiedzieli o powiązaniach Żmijewskiego z Eydziatowiczem... Może wtedy... Ale nie wiedzieliśmy, musztarda po obiedzie... W każdym razie nasz żądny chwały, ale niezbyt lotny inżynier czeka na rozprawę. Ponadto hrabia zatrudnił Wiktora na stanowisku pomocnika w laboratorium i zdecydował, że pozwoli żonie odpoczywać w pokoju.

Powiedział to wszystko gawędziarskim tonem, jakby streszczał kolejny odcinek powieści drukowanej w „Kurierze Dwumiejskim”. Przymknęłam oczy, przytłoczona wiadomościami. I nieco rozżalona, że tyle rzeczy działo się za moimi plecami.

– A inżynierka? I jak naprawdę działał skafander?

– A nie jest panna głodna? Spragniona? Wezwę kogoś... – Fiks podniósł się z krzesła.

– Jestem bardziej ciekawa niż głodna – odparłam zgodnie z prawdą. – Choć zupą nie pogardzę. Ani puddingiem. Ale najpierw niech pan mówi.

Detektyw znów się uśmiechnął. Najwyraźniej wciąż odczuwał ulgę.

– Inżynierkę Eydziatowicz zwolnił z pracy, ale dał jej dobre referencje. Na pewno znajdzie sobie miejsce w jakimś zakładzie metalurgicznym, bo w tym się specjalizuje.

Trawiłam kolejne informacje, jednocześnie rozglądając się po sypialni, w której zainstalował mnie hrabia. Fascynowało mnie ogromne okno, przez które widziałam kołyszące się na wietrze drzewa.

– No, a skafander?

– Skafander... – Fiks wypowiedział to słowo z czymś bliskim nabożnej fascynacji w głosie. – Dziwny przedmiot. Obecnie, gdy nie ma w nim już kości pani Haliny Eydziatowicz, jest prototypem

urządzenia wspomagającego ludzkie mięśnie, do którego sztab inżynierów próbuje wymyślić napęd. Wcześniej... Myślę, że powinniśmy nazywać go przedmiotem magicznym. – Oczywiście zamgłiły się, a ja spróbowałam usiąść. – Ona próbowała mnie ratować, Mino.

– Ona?

– Halina, jej duch, siła życiowa zaklęta w kości i poruszająca skafandrem... Była posłuszna Eydziatowiczowi, ale jednocześnie nie chciała mnie zabić. Walczyła. To, co się stało z Reszczakiem... Myślę, że jego też nie chciała zabić, ale nie chciała zostać porwana i nie potrafiła sobie wyobrazić, do czego tak naprawdę jest zdolna. To faktycznie był wypadek, choć zupełnie nie taki, jak myśleliśmy.

Zdołałam usiąść, ale zaraz zawirowało mi w głowie. Anton natychmiast znalazł się przy łóżku i ostrożnie ułożył mnie z powrotem.

– Nie rób głupstw, Mino. Pamiętasz, sama mnie strofowałaś w podobnej sytuacji.

– A most? – spytałam słabo.

– Uparta dziewczyno! – Palce detektywa zacisnęły się na moich ramionach, bursztynowe oczy patrzyły gniewnie.

– Chcę wiedzieć!

Westchnął i puścił mnie, jednak wciąż siedział tuż obok na łóżku, a ja czułam ciepło jego uda dotykającego lekko mej dłoni ułożonej na pościeli.

– Na moście był Eydziatowicz. Twierdzi, że chciał coś wypróbować, a Halinie się to nie spodobało. Nie naciskałem, myślę, że więcej nie będzie próbował ani tego, ani innych rzeczy związanych z tego typu rytuałami, których użył przy skafandrze.

Zmarszczyłam brwi. Odpuścić w ten sposób – to było niepodobne do Antona Fiksa, którego znałam.

– Nie naciskał pan? Przecież...

– Dość, Mino. – Detektyw podniósł dłoń i zatoczył nią koło. Zrozumiałam, o co mu chodzi, dopiero gdy unióś obie brwi i spojrział na mnie wyczekująco. Wciąż byliśmy gośćmi profesora. Jeśli nie chciał nam o czymś mówić, rozsądniej było udawać, że nas to nie interesuje. – Myślę, że wiele zrozumiał. Czy teraz już się panna uspokoi? Pozwoli się nakarmić?

Pozwoliłam, bo te wszystkie pytania i próby pojęcia odpowiedzi bardzo mnie zmęczyły. Obejrzana przez specjalnie dla mnie wezwanego lekarza, nakarmiona i ułożona w nieco wyższej pozycji, żeby

plecy odpoczęły, poczułam się o niebo lepiej. Jedno tylko, oprócz epizodu na moście, nie dawało mi spokoju i nie pozwalało się skupić na powrocie do zdrowia – co zalecali wszyscy po kolei odwiedzający mój pokój mężczyźni (a także dziewczyna, której hrabia polecił się mną opiekować).

– Komendant mnie wyrzucił – powiedziałam ponuro, gdy znów zostaliśmy z Fiksem sami. – Jestem bezrobotna.

Mój były przełożony rozsiadł się w fotelu, który przysunął sobie do łóżka dla wygody, a potem, po swoim poruszając wąsikami, rzekł:

– Komendant bardzo żałuje swego wybuchu, Mino. Był tu. Przybył z kilkunastoma funkcjonariuszami. Zabrał Żmijewskiego do aresztu, a wcześniej tłumaczył Eydziatowiczowi, jak to się niesłusznie uniósł i wyrażał nadzieję, że panna raczy mu wybaczyć. Hrabia twierdził, że aż się zwijał ze wstydu, gdy on sam chwalił panny rozum i odwagę.

Nie dziwiłam się Danile. Sama odczuwałam zażenowanie, słuchając tych pochwał.

– Więc nadal jestem pomocnicą pierwszego szczebla? – spytałam, nareszcie prawdziwie rozluźniona.

– Myślę, że jeśli zechcesz się domagać stanowiska śledczego, a nawet detektywa, dostaniesz je. Ale mam nadzieję, że nie zechcesz i zgodzisz się pracować ze mną. Zamierzam odejść ze straży i otworzyć własny interes. Dwuosobowy zespół detektywów do wynajęcia. Co ty na to?

Jak się zapewne domyślacie, propozycja bardzo przypadła mi do gustu.

Aleksandra Sokólska – Absolwentka katowickiej filmówki. Aktualnie pracuje jako game designer i pisze gry komputerowe. Wiele lat temu porzuciła papierowe RPG na rzecz larpów. Związana z projektem The Witcher School, jako scenarzystka i NPC. Lubi reportaże, literaturę iberoamerykańską i dramaty. Zgadza się z Agathą Christie, że zmywanie naczyń jest zajęciem tak głupim, że zawsze rodzi myśl o morderstwie.

Aleksandra Sokólska
LA ESTRELLA



We wszystkich frachtowcach międzyukładowych unosił się ten sam charakterystyczny zapach. Kojąca mieszanka lawendy, kwiatów pomarańczy i oksyntolu, feromonu podobnego do oksytocyny. Miał za zadanie wywołać poczucie bezpieczeństwa i obniżyć ciśnienie u pasażerów poddawanych splotonej hibernacji. U Samantha Barnes wywoływał nudności. Zgodnie z protokołem przewoźnika przed startem steward podszedł do jej kapsuły numer 485, pomalowanej na przyjazny bladozielony kolor. Mimo oliwkowej cery twarz Samantha jakimś cudem była w niesamowicie podobnym odcieniu.

– Dzień dobry, czy wszystko w porządku? Kiepsko pani wygląda.

Samantha westchnęła ciężko i odgarnęła czarne kosmyki ze spoczonego czoła. Chłopak, najwyżej kilka lat starszy od jej córki, przyglądał się jej w napięciu.

– Proszę pani, czy wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście. Czemu pan pyta?

Chłopak mimo klimatyzacji obficie się pocił. Jego zapach był niepokojąco podobny do zapachu potu Vince'a – pod całą sterylnością chemii czaił się ledwo wyczuwalny, naturalny zapach zwierzęcia. Drażniący i intrygujący jednocześnie. W dzisiejszych czasach sterylności posuniętej do granic mało kto pachniał sobą.

– Ma pani paskudną szramę na czole. Zgodnie z regulaminem naszej armady mam prawo wyprosić panią z lotu, jeżeli zachodzi podejrzenie, że pani stan zdrowia nie pozwala na bezpieczne wejście i wyjście ze stanu splotonej hibernacji.

Samantha dotknęła czoła. Pod palcami odznaczały się wydarzenia poprzedniego wieczora spisane zakrzepłym brajlem. Wystarczyło dosłownie kilka godzin, aby zapomniała o tym paskudnym rozcięciu.

– Mam zgodę od lekarza. Zeskanuje pan?

Podawała mu watchlet. Chłopak zgrał i odczytał dane. Samantha walczyła z kolejną falą mdłości. Jebać szramę, to wstrząs mózgu mógł ją wykluczyć z listy pasażerów. Nie mogła teraz zwymiotować albo zasłabnąć. Następny frachtowiec na Ziemię był dopiero za dwa tygodnie.

– Samantha Barnes? Ta Samantha Barnes? Widziałem panią w sieci! Imponujące!

Zapachowy tranquilizer i pot chłopaka tworzyły wybuchową mieszankę. „Nie rzygaj, nie rzygaj, nierzygajnierzygaj”. Dziwne, że ją rozpoznał. Wczoraj musiała wyglądać okropnie. Spocona, zakrwawiona, pokryta tym lepkiem świństwem, którego używał Vince. Prawie wygrała tę walkę. Rzucali sobą, odbijali się, wymieniali ciosy i rzuty w bańce low-G przez dobre pół godziny. Stłumione okrzyki widzów. Ciężki oddech. Zwarcie. Rzut. Kopnięcie, unik i przerzut. Dźwignia. Cios pod kolano. Bliki na chromowanych elementach stroju przeciwnika. Vince, występujący pod pseudonimem Exploding Fist, wykorzystujący swoje przedostatnie Przeciężenie i wgniatający ją w podstawę bańki. Jego chromowany karwasz rozcinający jej skroń. Wstrząs mózgu. Maleńkie rubiny spadające w niezwykle wolnym tempie. Sędzia zaczął odliczanie. Świat pokrył się rozedrganą mgłą.

Exploding Fist zarzuca ją na ramię. Podlatują pod sklepienie kopuły. Tłum wiwatuje. Ostatnim Przeciężeniem ciska ją ku podstawie. Głuche uderzenie. I ta idiotyczna myśl tuż przed utratą przytomności: „Gdzie jest ten cholerny melonik?”

Space wrestling był tym typem sportu, który miał rzeszę wiernych wyznawców, uważających, że to fantastyczna dyscyplina, i jeszcze większą rzeszę ludzi uważających, że przebieranie się w tandetne stroje, przybieranie dennych pseudonimów i walczenie w wyreżyserowany sposób jest już dostatecznie głupie, a dodawanie do tego kopuły low gravity czyni go tylko bardziej idiotycznym. Samantha Barnes była zdecydowanie w tej pierwszej grupie. Na swój pierwszy trening przyszła zaimponować ćwiczącemu w lokalnym klubie chłopakowi, w którym się zakochała w wieku lat trzynastu. W przeciwieństwie do wrestlingu, miłość do chłopaka szybko poszła w niepamięć. Samantha trenowała codziennie przez kilka godzin. Ćwiczyła z każdym, kto miał czas i nie był w stanie jej spławić.

Space wrestling sporo wziął z dyscypliny matki. Choćby gimmick, czyli tożsamość przybieraną przez wrestlera. Dzięki zastosowaniu kopuły low gravity mecze stały się bardziej dynamiczne oraz brutalne. Doszła uprzęż, punkty przyciągania, uchwyty ułatwiające zawodnikom manewry przy zmniejszonej grawitacji oraz sporo dodatkowych gadżetów. Mocno zredukowało się kayfabe. W końcu ciężko udawać, że dwoje ludzi latających w przezierniej bańce walczy

naprawdę. Mimo że otoczka była raczej fantastyczna, walki odbywały się na serio. Niskie przyciążanie znacząco utrudniało odtwarzanie ustalonej choreografii. Wszystko działa się naprawdę.

Może dlatego Samantha wsiąknęła w space wrestling jak w gąbkę. W czasie nastoletniego buntu była Martini Pinkhair, dziewczyną z różowymi kucykami, w podkolanówkach, trampkach i lateksowym kombinezonie. Martini udało się przejść z ligi lokalnej do globalnej, a następnie do układowej. Potem została Galaxy Girl, ale kostium w świecące gwiazdozbiory nie przyniósł jej szczęścia. Tuż przed obroną potrójnego tytułu mistrzyni Układu Słonecznego okazało się, że jest w ciąży. Szybciej, niż się spodziewała, codzienne treningi zastąpiło karmienie, przewijanie, ubieranie i mycie małej Andromedy. Równie szybko jak pamięć o jej sukcesach przeminął entuzjazm ojca dziewczynki, który zaciągnął się do Sił Eksploracji Kosmosu. Podczas wielu przepłakanych i nieprzespanych nocy Samantha życzyła mu śmierci. I kiedy Andromeda miała trochę ponad rok, życzenie się spełniło. Rob, który na złość Samancie przeżył rozszczelnienie wahadłowca, zginął wskutek awarii systemu dystrybucji tlenu. Na dodatek okazało się, że ma długi i jego rodzinie nie należą się żadne pieniądze.

Szybko znalazła pracę w Orbitalnej Informacji Turystycznej. Córkę zostawiła u swoich rodziców („dzieci poniżej szesnastego roku życia nie mogą żyć na stacjach orbitalnych ze względu na możliwość wystąpienia rozległych wad rozwojowych”). Przez dwa tygodnie wychwalała zalety Marsa, loty turystyczne i pozostałe atrakcje Układu Słonecznego, a pozostałe dwa spędzała z rodzicami i córką w New Boston. Dni mijały jeden po drugim, obłąkańczo jednostajnie i nudne. Samantha nadal trenowała w klubie, ale walczyła jedynie w amatorskich meczach jako Hardcore Mommy. Milfy zawsze przyciągały rzeszę fanów w średnim wieku i choć miała dosyć lepkich spojrzeń przyklejających się do tyłka w czasie walki, to tych kilka dolców za walki ligi półprofesjonalnej pozwalało podreperować domowy budżet.

Zresztą do diabła z lepkimi spojrzeniami. Moment, w którym wchodziła do bańki i widziała setki twarzy patrzących na nią z uwielbieniem, był jednym z tych niewielu momentów, kiedy znowu czuła się silna i seksowna.

– Sam, nie chciałabyś spróbować czegoś nowego?

Rozpoznała rozmówcę, zanim się odezwał. Zawsze ją fascynowało, jak głośno poruszał się Timothy Climens, manager klubu. Ludzie wzrostu dystrybutora z wodą, na dodatek ważący mniej niż duży pies, nie powinni tak tupać. Tim miał naturalny talent do wydobycia z wiekowej podłogi z kompozytu dźwięków godnych orkiestry dętej. Jakby każda z jego nóg miała dwie kolejne, które nie mogły powstrzymać się od stepowania. Nawet stał głośno.

– Nowy gimmick?

– Lepiej, a do tego gwarantowany kontrakt na wysoką sumę.

Samantha zmrużyła oczy. Sprawa ewidentnie śmierdziała. Odkąd urodziła dziecko, nikt nie zaproponował jej kontraktu. Nawet dzieciaki z klubu młodzików ledwo rozpoznawały ją na plakacie Galaxy Girl, który wisiał w klubowej galerii sławy. Była za stara na zawodowość, a tu Tim wyjeżdża z taką ofertą...

– Czemu ja?

– Wiesz, jesteś najbardziej utytułowaną zawodniczką, jaką mamy.

„Najbardziej utytułowaną”. Najlepsza była młoda Keira O'Mellory, walcząca jako Poison Lily. Masa tytułów, perspektywa na mistrzostwo galaktyki i występ w reklamie anabolików. Poza tym siostry Kozłowsky, które deptały jej po piętach, i ta młodziutka czarnoskóra dziewczyna, która ostatnio zrobiła furorę w walkach ligi globalnej. Samantha miała więcej medali, ale były to trofea sprzed kilkunastu lat, z walk, które już dawno pokryły się kurzem, ale nie miały nigdy zasłużyć na patynę.

– Co to za gówno i czemu wypychasz tam właśnie mnie?

– Bo masz największe doświadczenie sceniczne. I śniadą cerę. Jednak zanim mnie zgłosisz w UGSA za rasistowskie teksty, zamknij się i posłuchaj, o co chodzi...

Dawno, dawno temu na planecie zwanej Ziemią były sobie góry. Góry były wysokie, strome i ciągnęły się wzdłuż całego kontynentu. Kobiety i mężczyźni żyli na tej ziemi i w tych górach, jeszcze zanim przybyli inni mężczyźni i inne kobiety, którzy powiedzieli, że ta ziemia teraz będzie ich. Jedni i drudzy walczyli o tę ziemię, jednak ludzie z błyskającymi kijami wygrali. Rdzenni mężczyźni i kobiety

zrobili miejsce dla nowych ludzi, a oni wybrali sobie to, które było na górze, i siedzieli tam bardzo długo. Rdzenni mężczyźni i kobiety siedzieli na dole, przejęli od nowych niektóre rzeczy i zwyczaje, ale resztę zostawili swoją i starali się żyć tak, jak kiedyś. Potem świat zaczął się zmieniać szybciej, niż dotychczas. Po długich walkach nowi mężczyźni pozwolili swoim kobietom nosić spodnie. Niektóre rdzenne kobiety również zaczęły nosić spodnie, ale inne zostały przy kolorowych, wielowarstwowych spódnicach. Kobiety w spódnicach nazywały siebie cholitas, w odróżnieniu od tych, które nosiły spodnie, zwanych senioritas. Cholitas nosiły spódnice, kolorowe chusty z frędzlami na ramionach, spięte ozdobnymi broszami i meloniki.

Jakiś czas później oba rodzaje mężczyzn trenowały (częściej oddzielnie niż wspólnie) sport będący połączeniem zapasów i widowiska. Pewnego dnia jeden z rdzennych mężczyzn zaprosił kilka cholitas i nauczył je walki. Pokazał im, że są silne, niezależne i groźne, a one wylały z siebie cały żal i upokorzenie wszystkich rdzennych kobiet tej ziemi.

Odrprasowały spódnice, splotły warkocze, okryły ramiona chustami, założyły meloniki i poszły walczyć.

Na ulicy kobiety takie jak inne. Na scenie cholitas luchadores.

– Nizej na nogach! Trzymaj gardę i kontroluj sytuację! W ogóle się nie bronisz! Dostaniesz jeszcze jednym i znowu krew ci pójdzie nosem!

Samantha podleciała w górę kopuły i uciekła przed lecącym w jej stronę Przeciążeniem. Obróciła się, żeby odbić się od ściany i przrzucić Little Toma w pole przyciągania, kiedy jedna z wielu powiewających wokół niej warstw spódnicy przykryła czujnik na stopie. Wiązka światła odbiła się od połyskliwej tkaniny pod dziwnym kątem i Valentina Rojo, ciśnięta odrzutem skafandra, uderzyła twarzą prosto w jeden z kilku uchwyty umieszczonych w kopule. Kropelki krwi z rozbitego nosa spadały bardzo powoli, kiedy największy zawodnik sekcji, przewrotnie nazwany Little Tomem, chwycił ją w swoje łapy i cisnął na dno kapsuły.

Krew z paskudnym plaskiem spadła na dwójkę zawodników, gdy trener wyłączył generator pola low-G. Samantha przyłożyła do twarzy skraj spódnicy, a obleczony w second skin Tom pomógł jej

wstać. Do kapsuły wszedł Mel Reejan, trener o twarzy i posturze goryla,

– Pierdolę to! Słyszysz, Mel?!?!

– Samantha, wiem, że jest ci ciężko, ale myślałem, że kto jak kto, ale ty pamiętasz, że wrestling to nie jest bułka z masłem.

– TO JEST CHORE.

– To jest bardzo dobry kontrakt, dzięki któremu...

– ...wyglądam i czuję się jak klaun! Zapuściłam włosy! Zafarkowałam je na czarno! Zgodziłam się na te idiotyczne warokocze! Całe szczęście dostatecznie przytyłam po ciąży, więc chociaż TO mieliśmy z głowy! ALE TE CHOLERNE CIUCHY TO JUŻ PRZEGIĘCIE! Co chcesz reklamować? Valentina Rojo – najbardziej niezdarne zawodniczka Ziemi w idiotycznym stroju z najgorszego skansenu?!

– Sam, znasz warunki kontraktu równie dobrze, jak ja. Zgodziłaś się, a teraz odwalasz jakieś krzywe akcje. Masz jaja czy nie?!

– Mam godność większą niż jaja. Nie będę z siebie robić pośmiewiska! Nie w tych idiotycznych szmatach!

Trzask rozdieranego materiału i huk zamykanych drzwi. Krew zdążyła zakrzepnąć i nabrać jedynie nieco ciemniejszego koloru niż tkanina, zanim ktoś w końcu sprzątnął poplamioną spódnicę.

Szybkie odbicie od sprężystej powłoki kopuły. Odrzut w stronę Exploding Fist. Zrobił unik i złapał ją za nogi. Valentina kopnęła go w twarz.

– Niesamowicie agresywna walka! Kto by się spodziewał! Ziemiarki to jednak mają temperament!

Fist łapie ją za jedną nogę. Sprytnie odpala mały Odrzut na ramieniu, okręca ją jak przy rzucie młotem, po czym ciska w pole grawitacyjne. Valentina uderza ze zdwojoną siłą w podstawę kopuły. A więc tak się bawimy...

– Czy państwo to widzieli? Exploding Fist jak zwykle brutalny, ale WSTAŁA!!! ROJO WSTAŁA!!! Odbija się od uchwytu, wpada na Fista, Fist próbuje założyć jej neckbreakera, ale Rojo wyswobadza się! Kopie go w klatkę. Fist wpada w zakres pola grawitacyjnego. Czeka na Rojo. Rojo wbija się w niego całym Przyspieszeniem! Schodzą do parteru! Co za walka!!! Co za emocje!!!

„Robię to dla siebie. Wtedy czuję się silna... Mąż owszem, trochę się boi, ale to jest uzależniające. Oszukuję i mówię, że idę na zakupy, a potem dzwonię i przepraszam, że jestem na arenie... Chciałabym, żeby moja córka była cholitas, ale jeśli zechce nosić spodnie, to jej wybór... Oni mnie uwielbiają i boją się jednocześnie... Jestem dumna z każdego siniaka i blizny... Kiedy wcielam się w Yolandę, jestem wolna. Nie tłumaczę się, tylko walczę o swoje... Wstrząs mózgu? Zwykle podczas każdej walki... Nie zabieram dzieci. Nie chcę?

Nie lubią... Kobiety w Boliwii mają przerąbane, ale indiańskie kobiety – jeszcze gorzej... Ale wtedy pomyślałam: wychowałam samotnie dwójkę dzieci, to tym bardziej poradzę sobie, walcząc... Część przychodzi się z nas pośmiać, ale większość pierwszy raz widzi, że kobiety mają siłę i boją się jej... Nigdy bym nie oddała melonika, chusty i spódnic. To moja tożsamość... Jestem dumna, że naszym prezydentem jest rdzenna kobieta”.

– Mamo, co oglądasz?

– Takie tam starocie.

„Jestem niezmiernie wzruszona, mogąc stać tutaj z kobietami tej ziemi, z cholitas. Pokazałyście, że umiemy o siebie zadbać. Pokazałyście, że macie siłę. Dałyście nam odwagę do mówienia głośno i z podniesioną głową. Zawsze dumne z pochodzenia. Nie tylko luchadoras, zapaśniczki, ale też luchadoras, wojowniczkki. To dzięki wam obywatele tego kraju uwierzyli, że siła jest kobietą. To dzięki wam udało mi się zostać pierwszą pełnoprawną prezydent tego kraju. Dziękuję”.

– Do tej walki?

– Mhm...

Dwie niskie i krępe kobiety o smagłej cerze, z długimi warkoczami, walczą na arenie w baraku. Na trybunach tłum – jedzący przekąski i wiwatujący. Jedna z luchadores w widowiskowy sposób rzuca się na drugą. Kibice szaleją.

– To ich narodowy strój?

– Tak.

– Fajne. Widać, że są dumne z tego, kim są.

– Ty nie jesteś za mądra, jak na trzynastolatkę? Ja w twoim wieku...

– ...rzucałam starszymi chłopcami na macie.

Jedna z dwóch kobiet zalewa się krwią. Kolorowe spódnice wirują, kiedy druga przerzuca ją przez liny na ziemię, po czym zeskakuje i łamie na niej krzesło.

- Łooo... Zajebiste są jak na wieśniaczki!
- Jak ty się wyrażasz!
- Sorry, sorry...
- Rewolucjonistki, nie wieśniaczki.

– Pięęęęęknij unik i potężne starcie! Trzydziestopięcioletnia Valentina Rojo z Układu Słonecznego dosłownie wgniata Silver Lizard w pole grawitacji! Wyłamuje jej palce! Sędzia nie przerywa walki, Valentina odbija się od Silver! Jak te spódnice powiewają w low gravity! Wypad! Blokada! Przeeerzut! Jeden z najgorętszych zakładów wieczoru obstawia, w której minucie Rojo straci melonik! Fantastyczne kopnięcie! Lizard kontratakuję, Rojo odbija się od wsporników, przyspiesza, Lizard ciska nią o pole przyciągania! Straciła przytomność? Nie! Sędzia nie przerywa! Rojo unosi się, Lizard ciągnie ją za warkocz! No, teraz to już musi go zgubić! Rojo zapiera się i przerzuca Silver nogami! Szkoda, że te spódnice przeszkadzają nam w oglądaniu technicznej strony walki! Tradycja! Ale Lizard już napina pośladki, rzuca się na Rojo i uderza jej głową we wspornik!! I TAAAK! ZGUBIŁA MELONIIIIK! WYGRAŁEM 1000 DOLARÓW!!!

Flesz. Chyba galaktyka Minor Delta. Posmak krwi w ustach. Lokalne grube ryby robią sobie zdjęcie.

- Żona nie uwierzy, jak jej pokażę streama!
- Ja jednak myślę, że takie legginsy to by pani przydały więcej popularności
- Pani Barnes, czemu akurat to? Skąd pomysł na zapaśniczą cepelię w kosmosie?
- To się nazywa cholitas luchadores. Te kobiety sprawiły, że wiele lat temu...
- Nikt nie lubi słuchać o prehistorii i Ziemi. Ad astra! Ad astra!
- Ale jak to „urodziła” pani?
- Niesamowita kopia autentycznej roślinnej tkaniny!

- Mogę zrobić sobie zdjęcie w tym czymś na głowę?
- Yaram, chodź! Nie uwierzysz! Ona ma swoje własne włosy!
- Czekałam pół godziny na zdjęcie z tą Ziemianką i nie wyprosi mnie pan stąd! Pan nie wie, kogo ja znam!
- Oczywiście, że nasza Lizard nie przegrałaby z jakąś dzikuską.

Prysznic. Zmyć z siebie pot, zmęczenie i upokorzenie. Najnowocześniejszy bioniczny sportowy skafander pod strojem cholity. Klik odpinanych klamer uprząży. Szelest tandetnych spódnic z polioplastu (oryginalne, ręcznie tkane, zostały zgubione przez frachtowiec w czasie lotu, choć Samantha podejrzewała kradzież). Rozpięcie stanika jedną ręką. Magiczna sztuczka, której nie potrafią mężczyźni. Długa minuta poświęcona na rozpuszczenie warkoczy. Wiele długich minut pod strugami gorącej wody. Rzekomo kojący szum nie jest w stanie uspokoić ryku potłuczzonej dumy.

- Mel, to miała być ostatnia walka!
- Zrozum, to jest hit! Natywna Amerykanka z Ziemi walcząca w lidze międzygalaktycznej space wrestlingu!
- Oni nawet nie wiedzą, kim jest natywna Amerykanka!
- To nieważne! Oni chcą czegoś, co mogą nazwać powrotem do korzeni!
- Gówno prawda! Chcą dziewczyny w meloniku i skafandrze, wokół której latają kolejne warstwy spódnicy!
- Czy to nie to samo?!
- Mam dosyć bycia maskotką całej tej medialnej afery z okazji Roku Matki Ziemi!
- To jest bardzo dobrze płatna maskotka!
- To jest kpina i zezmacanie tradycji tych kobiet.
- Kogo to obchodzi?!
- Mnie. Pierdołę to, walczę z Vince'em i wracam.
- Sam, nie możesz zrezygnować w takim momencie.
- Mogę. A poza tym – jak na ironię, jestem Hiszpanką.

Bielizna. Potem skafander. Dopasować uprząż. Pantalony z koronkami. Halka. Spódnica z kilku warstw tkaniny. Bluzka z haftem. Kolorowy szal z frędzlami i cekinami. Brosza spinająca szal na piersi. Sprawdzenie stanu baterii uprząży. Przypięcie melonika spinkami. Próbnym wymach kontrolerem Przeciążenia.

– Powodzenia, Sam! To jest podstępny skurwiel, ale wiem, że dasz radę!

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Podchodzą do niej dwie hostessy. Chude, wysokie. Jeszcze wyższe na świecących koturnach. Biuściasto-tyłkowe. Opięte w żyjący lateks opalizujący kolorami flagi Ziemi. Ktoś daje im znak. Samantha podąża za dziewczynami. Wszystkie trzy zmierzają w stronę sceny. Odpryski światła zza hologramu osłepiają.

– Przed państwem dwukrotna mistrzyni ligi międzygalaktycznej kobiet! Wielokrotna medalistka ligi układowej! Gwiazda, która wróciła na scenę i wróciła do korzeni! Samantha Barnes jako Valentina Rojo z Ziemi!

Fletnia Pana pomieszana z ambientem, cekiny, konfetti lecące z nieba i trzęsący się silikon. W myślach Samantha przyznała, że ten entrance w kategorii Najgorszego Wejścia Roku prawie przebił żywe alpaki w melonikach na scenie.

Człowiek nigdy nie zdaje sobie sprawy, jak ciekawe mogą być banalne rzeczy widziane z niecodziennej perspektywy. Na przykład sufit i lampy halogenowe. Wbrew pozorom to całkiem interesująca konstrukcja. Zwłaszcza kiedy przemieszczasz się pod nią, leżąc na noszach. Srebrne kwadratowe ramki z rozżarzoną mleczną kulką w środku, połączone ze sobą sznurkiem kabli biegnących po betonie. Nawet napis AMBULATORIUM wygląda śmiesznie widziany od dołu.

Lekarka w średnim wieku nawet nie próbowała ukryć zdegustowania. Bez ceregieli założyła rękawiczki i spryskała szramę na czole Samantha jakimś aseptykiem. Pieniło się na żółto, ale nie piekło.

– Wstań.

Samantha użyła resztek adrenaliny, aby stać prosto.

– Idziemy po tej linii. Noga za nogą. Pięta do palców.

Mały krok dla człowieka, ale...

– Dobrze. Siadaj. Trzymaj głowę prosto. Podążaj wzrokiem za moim palcem.

Lewo-prawo, prawo-lewo. Lewo-prawo, prawo-lewo. Palec przyspieszył, zatrzymał się nagle na wprost nosa, po czym ruszył w przeciwną stronę.

– Patrz cały czas na mój palec i ruszaj głową.

Skup się, Samantha, to ważniejsze nawet od walki. Zresztą Mel zawsze mówił, że w wrestlingu walka jest najłatwiejszą częścią. Pewnie w nagrodę za wszystkie godziny biegania, ćwiczenia, robienia rzutów i przysiadów.

– Nie masz standardowych objawów wstrząsu mózgu. Mimo to, a może właśnie dlatego wysłałabym cię na tomograf.

– Za cztery godziny mam lot.

– Polecisz następnym.

– Następny jest za dwa tygodnie.

– Rozumiem. Tym bardziej nie powinnaś poddawać się słyco-nej hibernacji. Nie w tym stanie.

– Muszę lecieć. Z przyczyn rodzinnych.

Wzrok lekarki wwiercał się w mózg i śwędział gdzieś po drugiej stronie czaszki.

Samantha poczuła się głupio. Siedzi żywcem wyciągnięta z XXI wieku, z plamkami zakrzepłej krwi na twarzy, przed tą pośagową kobietą ubraną w sterylny medyczny uniform i negocjuje stan swojego zdrowia jak dziecko odmawiające założenia czapki w mroźny dzień.

Lekarka podeszła do watchleta, wybrała odpowiedni protokół i podała jej.

– Podpisze pani, że odmawia udzielenia pomocy medycznej oraz obserwacji w szpitalu. Tutaj i tutaj. Potem zgram opis pani badania dla armady.

– Pomyślny?

Szare oczy patrzyły na nią bez wyrazu.

– Prawdziwy.

Samantha zagryzła wargi. Było tak blisko... Ostatnia walka, szybki wywiad dla lokalnej sieci i na frachtowiec do domu. Obiecała Andromedzie, że będzie na jej urodzinach. Jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego, powinna spokojnie zdążyć. Chyba że nie poleci...

– Nie ma pani objawów wstrząsu mózgu, co nie znaczy, że rekomenduję ten lot. Wręcz przeciwnie.

– Dziękuję. Pani nie wie, ile to...

– Na pewno dużo, skoro prawdopodobnie ryzykuje pani życie. Nie dołączyłam do opisu odmowy. Gdyby pani zmieniła zdanie, proszę wrócić.

– Oczywiście.

Samantha zebrała siły i wszystkie warstwy spódnicy, żeby pewnym krokiem wyjść z ambulatorium. Otworzyła drzwi. W korytarzu słychać było głucho dudnienie podkładu muzycznego do kolejnej walki. Zatrzymała się w progu i odwróciła.

– Nie wiem, jak pani dziękować.

Poznaczona delikatnymi zmarszczkami twarz lekarki nie wyrażała nic. Samantha zamknęła za sobą drzwi, odprowadzona spojrzeniem dwojga zmrużonych oczu i jedną uniesioną brwią.

– Cześć, kochanie.

– Cześć, mamo.

– Tęskniłam.

– Wiem.

– A ty...?

– Przyzwyczaiłam się.

– Jak w szkole?

– W porządku.

– Masz jakieś problemy?

– Nie.

– Coś się stało?

– Nie, wszystko w porządku.

– ...

– ...

– Czy ty w ogóle chcesz ze mną rozmawiać?

– O czym? O moim życiu, o którym nic nie wiesz? Kiedy ostatni raz byłeś na Ziemi?

– Andie, właśnie w związku z tym dzwonię...

– Nie no, spoko, rozumiem. Kolejny kontrakt i super kasa. „Kocham cię, córuś, i robię to dla naszego dobra”. „Zobaczysz, niedługo się zobaczymy”. „Jeszcze tylko dwie planety, jeden układ, może galaktyka”.

- Dziecko, daj mi dokończyć!
- Ej no, luz, leć i walcz w tych durnych ciuchach. Tylko następnym razem w końcu coś wygraj, żebyś chociaż mogła być dumna z matki, której nie mam. Pa.

– Szanowni państwo, mamy nadzieję, że proces wybudzenia odbył się pomyślnie. W przypadku jakichkolwiek problemów ze zdrowiem, czuciem głębokim lub w przypadku innych zaburzeń proszę o naciśnięcie czerwonego przycisku w podłokietniku kapsuły, który wezwie do państwa obsługę. Przez najbliższą godzinę sugerujemy wykonywanie zalecanych ćwiczeń w celu pobudzenia mięśni. Instruktaż jest wyświetlany na każdym ekranie osobistym. Koło godziny 15:00 czasu solarnego podamy państwu posiłek według złożonego wcześniej zamówienia. Istnieje możliwość dokupienia dodatków za dolary Federacji Międzyukładowej. Lokalne waluty nie są akceptowane. W międzyczasie ci z państwa, którzy czują się na siłach, mogą podejść do południowej mesy i pooglądać przepiękny widok na szczątki Matki Ziemi. Szacowany czas przybycia na Ziemię Dwa – 20:30 czasu solarnego. Dziękujemy za skorzystanie z usług frachtowców Space Opera.

Głuche uderzenie ciała padającego na ring. Kobieta przykleka, bierze drugą na ramiona, unosi ją ponad kark i wykonuje rzut. Przeciwniczka próbuje zebrać się z podłogi. Tłum wiwatuje „Rojo! Rojo! Rojo!”. Kobieta mimo spódnic zręcznie wchodzi na olinowanie ringu i skacze na leżącą na ziemi cholitas, wbijając jej łokieć w plecy. Okrzyki i gwizdy wzmagają się. Smagły mężczyzna po czterdziestce, ubrany w połyskliwy dres i spraną koszulkę polo, podchodzi do leżącej kobiety, przykleka, po czym odwraca się do Valentyny. Staje obok niej. Łapie ją za rękę. Ryk tłumu zlewa się w jeden ogłuszający dźwięk. Sędzia podnosi rękę Valentyny do góry. Valentina ma policzki wilgotne od potu i łez. Z trybun wylewają się ludzie. Trener podaje jej melonik, kobiety i mężczyźni skandują jej imię, po czym biorą ją na ramiona i wynoszą z hali. Na zewnątrz dzieci próbują naśladować ruchy z walki. Zimne górskie powietrze orzeźwia. Ktoś poklepuje ją po plecach, ktoś podaje melonik, który spadł przy przenoszeniu

przez drzwi. Liczne ręce wciskające banknoty, kwiaty i alkohol. Nawet widziane przez zasłonę z łez Andy są piękne, dumne i majestatyczne. Valentina patrzy w górę. Gwiazdy wyglądały jak brylanty wysypane na ciemny aksamit. Karci się w myślach. Nie znajdzie tam Andromedy. Nie ta półkula.

Rozważania przerwała jej siwiejąca przysadzista kobieta. Prawdziwa tradycyjna cholita. Dwa warkocze, które nie urwały się pod ciężarem lat, opadały na pięknie haftowaną chustę, spod której wylewały się warstwy spódnicy. Popatrzyła Samancie w oczy. Przenikliwie. Tłum zamilkł.

Położyła rękę na piersi.

– La cholita.

Stała obok pokonanej dziewczyny i położyła jej rękę na ramieniu.

– La cholita luchadora.

Podeszła do Samantha, która po raz pierwszy żałowała, że nie jest Valentiną Rojo, że to tylko gimmick. Przysadzista kobieta dźgnęła ją palcem w pierś, po czym uniosła go w stronę nieba.

– La luchadora de las estrellas.

Tłum wiwatował. Ludzie przytulali Valentinę i całowali ją w policzki.

Gdzieś na niebie pojawił się rozbłysk, z którego wyleciała świetlista smuga, ale poza Samanthą nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Marta Magdalena Lasik – Roczniak osiemdziesiąty piąty, wrocławianka, fotoamatorka, opowiadaczka, teoretycznie operator elektrowni jądrowych, korposzczur.

Marta Magdalena Lasik
**ZWIERCIADŁO W DZIURCE
OD KLUCZA**



Kornel stoi na półpiętrze i nasłuchuje. Jeszcze chwilę temu zamierzał zapukać do drzwi dziesięć stopni niżej, ale wycofał się – teraz czeka. Ścisną w dłoniach rondo kapelusza i łudzi się, że to nie Miłosz wchodzi z takim łomotem, jakby życie z niego uchodziło.

To próżna nadzieja.

Szczeknięcie skobla rozlega się zdecydowanie za blisko. Są tylko dwa mieszkania, a ze swojego miejsca Kornel widzi drzwi tego drugiego. Miał rację. Oczywiście. Zamyka oczy i wstrzymuje oddech zły, że spóźnił się na wcześniejszy pociąg. Teraz nie może wrócić i powiedzieć Lenie, że nie zastał Miłosa. Musiałby skłamać, a jej jednej nie chce okłamywać.

Oddycha głęboko; ciężki zapach kurzu dławi go, zdaje się wypierać życiodajny tlen, którego i tak zawsze jest tu odrobinę za mało. Nagle wszystko staje się wyraźniejsze, nachalniej napiera na niego, przytłacza i otumania. Kornel zmusza się, by oddychać normalnie.

Schodzi, trzymając się kurczowo poręczy. Puka, a gdy odpowiada mu cisza, podnosi głos.

– Wiem, że tam jesteś, więc, do cholery jasnej, otwórz!

Po drugiej stronie coś roztrzaskuje się z hukiem, ale Kornel nie czuje się winny, że wystraszył Miłosa i jakiś przedmiot został bezpowrotnie zniszczony. Czeką. Przeróżająco długie sekundy mijają jedna za drugą, trzecią, piątą; w końcu skobel szczęka ogłuszająco. Drzwi uchylają się i w szarym świetle błyska łańcuch o grubych ogniwach. Z wąskiej szczeliny łypie oko Miłosa i Kornelowi dreszcz wspina się po kręgosłupie, a strach zaciska na gardle. Pogonia go do ucieczki, ale on nie słucha, bo przecież obiecał Lenie.

– Miłosz, nie prowokuj mnie – grozi, nie podnosząc głosu.

Drzwi zamykają się z hukiem. Zgrzyta haczyk na końcu łańcucha, chrzęszczą ogniwa, szczęka klamka i oto Miłosz patrzy na Kornela obojętnie. To jest jeszcze bardziej przerażające, bo te oczy są przekrwione z niewyspania, podkreślone głębokimi cieniami i rozwarłe adrenaliną. To nie jest twarz myślącej istoty, człowieka, czegokolwiek, co posiada samokontrolę. Przygarbiony, oddychający ciężko przez usta, z dłońmi zacisniętymi tak mocno, że aż zbieleły mu knykcie, Miłosz budzi w Kornelu wspomnienia, które ten wolałby pozostawić w oceanie niepamięci. Nieludzkie wrzaski niosące

się w noc na moment rozbrzmiewają wokoło, ale tylko on je słyszy. Uspokaja oddech i skupia się na chwili obecnej. W jego głowie pojawia się myśl, że takie zezwierżenie jest żałosne, ale stara się nie poświęcać jej zbyt wiele uwagi.

– Lena martwi się o ciebie. Nie odpisujesz na maile, SMS-y. Nie odbierasz telefonu – wymienia sucho. – Nie było cię na spotkaniu dwa tygodnie temu. Zadzwoń do Leny. – To nie prośba, to rozkaz.

– Nie rozumiesz – Miłosz odpowiada z nietypową dla siebie nawiścią. – Ewa...

Ta rozmowa nie powinna przez szpary pod drzwiami wślizgiwać się do innych mieszkań. Dlatego Kornel z impetem przekracza próg, wpycha Miłosza do środka. Trzaśnięcie niesie się potężnym echem i jeszcze dłuższą chwilę obaj są nim ogłuszeni.

Kornel otrząsa się pierwszy. Zasuwa skobel i odzywa się pewien, że Lena nie byłaby dumna ze sposobu, w jaki to robi.

– Ewa nie żyje od ośmiu miesięcy. Jej choroba i śmierć były i są tragedią. Tak, masz prawo do żałoby, już to przerabialiśmy, zanim Lena kazała mi dać ci nieco przestrzeni. Sęk w tym, że to nie jest żałoba. – Omiata ręką zaniedbany przedpokój.

Pamięta to mieszkanie jako swojskie, nawet jeśli zegar nad lustrem wywoływał w nim nerwowość, a radio w kuchni milkło tylko wtedy, gdy tu przychodził. Żona Miłosza wyłączała je, wzdychając ciężko, jakby to było wielkie poświęcenie z jej strony, ale to nie pora, by wspominać jej zachowanie. Ewa Kaluszyk nie żyje, a to oznacza, że należy już do przeszłości i nie powinna wpływać na teraźniejszość – tak było na Zemē, ale tutaj...?

Widzi się w lustrze za plecami Miłosza. W półcieniach wyróżniają się biała koszula, szara kamizelka i jasny płaszcz; detale, bo najważniejszy jest kapelusz. Ściąga go i obraca w dłoniach, gładzi zaokrągloną powierzchnię niemalże czule, bo nieodmiennie jest on dla niego symbolem minionego. Kotwicą, której w tej chwili Kornel cholernie potrzebuje, bo ten świat jest inny niż jego.

Zmusza się, by wykorzystać wszystko, czego nauczyła go Anastazja, gdy przed laty przebywał w domu jej i Kiryła. Szuka w pamięci słów, ale zdania rozpadły się na frazy bez sensu i nie potrafi ich ułożyć z powrotem.

Chwila jego zagubienia wystarczy, aby Miłosz się pozbierał.

– Nie masz o niczym pojęcia – cedzi.

– Wiem, co widzę.

– Nic nie wiesz.

To donikąd nie prowadzi, dlatego Kornel nie pyta o kartony w przedpokoju, o to, co stało się z telewizorem, o ciemność, zaduch i ostry zapach dymu. Nie draży, czemu nagle Miłosz odwrócił się od wszystkich, choć wcześniej wydawał się pogodzony z tragedią. Lena uważa, że to załamanie nerwowe. Prawdopodobnie ma rację.

– Wyjaśnij mi – Kornel kapituluje pozornie.

Opiera się o drzwi i nie spuszcza wzroku z Miłosza.

– To dla Ewy! Muszę jej pomóc. Muszę przygotować to miejsce! Inaczej nie będzie mogła do mnie wrócić!

– Ewa nie żyje.

– Tylko tutaj! – Głos Miłosza sugeruje, że to przecież oczywiste.

– Ale czeka na mnie. Przekłete przewody w ścianach, lampy, zegarki! Przeszkadzają. W nocy słyszę ją, jak szepcze do mnie, mówi mi, co dalej, i już jest lepiej. Na początku prawie nie rozumiałem słów, ale już pozbyłem się większości rzeczy i jest lepiej. Tylko tyle mogę zrobić, póki nie znajdę lepszego miejsca. Muszę się spieszyć – Miłosz mówi coraz dobitniej. Podnosi głos. – Ona tam cierpi!

Kornel nadal słucha, ale jego uwaga coraz bardziej skupia się na otoczeniu. Na braku zegara, na wybebeszonej skrzynce bezpiecznikowej, na roztrzaskanym telefonie. Zrozumienie zalewa go strachem.

– To tak nie działa...

– Nie rozumiesz.

– To ty nie rozumiesz. Ejseje...

– Nie masz o niczym pojęcia! Jesteś dziwakiem! Lena nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo poświrowałaś. Nic nie wiesz o świecie. O ludziach. Żyjesz sam na odludziu... W chałupie bez prądu... – Każde kolejne słowo jest cichsze. Coraz dłuższe są pauzy między nimi i coraz szerzej otwierają się oczy Miłosza. – ...nie masz telefonu, komputera... Kornel...

Miłosz robi krok do przodu.

– U ciebie. U ciebie mógłbym ją.. Musisz mi pomóc!

Miłosz idzie powoli z rękoma wyciągniętymi przed siebie. Jest osłabiony z niewyspania, nerwów oraz niedojadania i tylko dzięki temu Kornel ma szansę umknąć przed jego dłońmi.

– Roźdiestwienski!!!

Nie słucha. Pragnienie ucieczki w końcu bierze jego los w swoje ręce i wydostaje go na klatkę schodową. Kornel potyka się na wycieraczce, cudem łapie równowagę, chwytą balustradę i spogląda na Miłozsa. Ten nie wyszedł za próg. Zza przymkniętych drzwi łypie dziko, ale nie to przyciąga uwagę Kornela, a symbole wyrysowane kredą tuż pod framugą. Chce zawrócić czas, aby nigdy ich nie zauważyć. Aby nie świerzbiły go ręce i zakorzeniony lęk nie domagał się poprawienia krzywych linii. Miłosz w ogóle nie powinien ich znać. A jednak – choć narysowane tak niewprawnie – są wystarczająco czytelne, aby Kornel je rozpoznał.

– To tak nie działa. – Jego głos uderza w wysokie tony. Wstaje, nie spuszczając wzroku z symboli. – To, co robisz, jest bez sensu! Jej nie ma. To kłamstwo. Nie...

Twarz Miłozsa nagle wykrzywia się z wściekłości.

– Idź stąd, zdrajco! Niech cię pożrą białe demony! – warczy i zatraskuje drzwi.

Kornel ma wrażenie, że od eonów nie słyszał tego przekleństwa w cudzych ustach, choć przecież nawet on nie żyje tak długo. Chwilę jeszcze stoi na schodach, nim puszcza się biegiem na dół, na podwórze, a potem na złamanie karku stromymi, śliskimi ulicami aż do kłodzkiego dworca. Dopiero wtedy zwalnia. Trzęsie się z zimna, nie słyszy własnych myśli, przed oczami ma monochromatyczne mroczki, a ból sprawia, że najchętniej zwinąłby się w kłębek. Kląłby, gdyby tylko był w stanie wziąć głębszy oddech. Oparty o ceglana ścianę osuwa się na ziemię i stara się nie myśleć, nie wspominać, zapomnieć i udawać, że nic się nie stało, ale wie, że jest z góry skazany na porażkę.

Czekanie się skończyło.

Znaleźli go.

Opinia na temat obiektu odnalezionego 31 czerwca 1908 roku w Środkowej Syberii nad rzeką Podkamienna Tunguzka

Wykonane testy pozwalają stwierdzić, że pomimo pozornych podobieństw obiekt nie jest człowiekiem. Jego pochodzenie pozostaje tematem wewnętrznej dyskusji ciała naukowego. Teoria, że mamy do czynienia z nieudokumentowanym wcześniej kuzynem homo sapiens, wydaje się prawdopodobna, lecz jej potwierdzenie wymaga dalszych

badani. Podobieństwo wyglądu zewnętrznego obiektu do ludzkiego przy jednoczesnym występowaniu wielu różnic biologicznych i fizykochemicznych każe zastanawiać się nad tym, jak obiekt plasuje się wśród znanych nauce ssaków.

Rozważwszy potencjalne kierunki badań, ciało naukowe Petersburskiej Akademii Nauk pragnie przedłożyć następujący wniosek:

Obiekt powinien zostać poddany obserwacji celem zdeterminowania prawidłowości jego biologii i zanalizowania potencjalnych korzyści dla biologii ludzkiej. Obserwacja ta powinna być nieinwazyjna, zważywszy na unikatowość obiektu, a także fakt, że zdolny jest on do przyswajania wiedzy. Odnotowany dotychczas wzrost zasobu leksykalnego obiektu i jego zrozumienia koncepcji języka rosyjskiego pozwala na optymizm.

Jednocześnie postuluje się, by wiedza o obiekcie nie przedostała się do świadomości publicznej. Zważywszy na niezrozumiałą obecnie nadwrażliwość obiektu na prąd elektryczny i jego pola, sugeruje się zmianę stałego miejsca pobytu obiektu z kwatery w Sankt Petersburgu na placówkę położoną poza granicami miasta.

W imieniu specjalnego zespołu badawczego

Doktor nauk przyrodniczych Petersburskiej Akademii Nauk,
Kirył Siergiejewicz Roźdiestwienski
Sankt Petersburg, 27 października 1908 roku

Po raz kolejny spogląda w niebo i biel chmur wypala mu się pod powiekami. Jest zły – łatwo diagnozowalne uczucie sprawia, że Kornel zaciska dłoń w pięści. Po pierwsze patrzenie w niebo jest głupie. Kolaps to nie asteroida ani nie wielkie statki wyłaniające się spomiędzy chmur. Z drugiej strony nie wie, jak dokładnie ma on wyglądać. Widział dzieła artystów, czytał też prace naukowców, ale idei było tyle, co autorów, a on nigdy się nad nimi nie zastanawiał. Teraz chciałby wiedzieć, które z nich były bliższe rzeczywistości.

Oduraca się i wchodzi do domu. Zbyt głośno zatrzaskuje drzwi i to spycha go głębiej w nieukierunkowaną złość. Chciałby być sam, ale nie jest. Majka bawi się w salonie, a Lena właśnie uporała się z butami i stoi w korytarzu. Sama jej obecność go uspokaja. Wyciąga mu na twarz uśmiech, ale nie może zrobić niczego z dręczącym go niepokojem, bo Lena nie przyszła tu z dworca w Szydłowcu ani

z przystanku PKS-u. Jej auto na podjeździe, telefon, tablet i coś, co ma w torebce, a czego on nie umie nazwać, sprawiają, że jego ejseje promieniują znajomym bólem. Nie tak mocno, jak na ulicach miasta, ani jak gdy wracał pociągiem z Kłodzka. Nawet nie tak jak w aucie pana Tomasza, gdy ten podwoził go do domu, bo Kornel nie był w stanie sam przejść tych kilku kilometrów z miasteczka. Ale te wszystkie miejsca są ziemią ludzi, a to jest jego dom, mała Zemē – i przywykł, że w tym miejscu nie musi się kontrolować, zamykać, zwiijać ejseji jak najmocniej, by funkcjonować.

I Lena o tym wie, a mimo to zjawiła się tu z tym wszystkim.

A zatem – dlaczego to zrobiła?

Kornel zalewa im herbatę z esencji i odzywa się dopiero, gdy kubki stoją na stole.

– Miłosz żyje...

Lena wciąga głośno powietrze i nie spuszcza z niego wzroku.

– Wiem, że żyje. Nie po to miałeś tam pojechać, żeby sprawdzać. Miałeś zrobić tak, żeby do mnie zadzwonił. Przyprowadzić go, a nie... Co to kur...

Kornel z hukiem odstawia kubek na blat i Lena milknie. Mruży oczy i wpatruje się w niego wściekła, że ją wystraszył, ale przede wszystkim nie rozumiejąc, a jego nauczono, by niewiedzę leczyć, nie karać. Dlatego spogląda na bawiące się w sąsiednim pokoju wredne maleństwo.

– Majka cię słyszy – szepcze.

Nie wydaje się zainteresowana ich rozmową, ale to nic nie znaczy. Wiedzą to oboje, a mimo to Lena wybucha:

– Majka w mieście słyszy gorsze rzeczy. Niestety. Nie zmieniaj tematu. Mężczyzna się znalazł. Pierdoła, nie mężczyzna!

A przecież Lena wie, że to nieprawda. Jest *ei*. Mężczyzną uczynił go ten świat – Kirył, Anastazja, Siergiej, Roman – to oni podjęli decyzję za niego. I Lena o tym wie. Sama czasami na chybił trafił wplata niegramatyczny nowy zaimek w rozmowy z nim, bo uważa, że tak jest lepiej.

– Myślałam, że Miłosz jest twoim przyjacielem.

– Myślałem, że jesteś przyjaciółką Miłosza – Kornel odpowiada za szybko.

Lena podrywa się od stołu, torebka spada na podłogę. Wredne maleństwo spogląda w ich w stronę, wstaje, podbiega do Kornela

i uczepia się skraju jego kamizelki, a wszystko to nie trwa nawet trzech sekund.

– Ty... – Lena dławi się własnymi słowami.

– Wyjdź.

– Jakbym chciała przebywać w towarzystwie kogoś takiego.

Jej beznamiętny nagle głos nie uderza już w wysokie tony, ale promieniująca z niej wściekłość jest dla niego wyczuwalna w sposób, którego Lena nigdy nie zrozumie. Ejseje wyłapują jej emocje i *ei* musi skupić się, aby odruch nie wziął nad nim góry i aby brutalnie ich nie stłumił, bo ludzie z tego wszechświata reagują inaczej niż ci z Zemē. Gwałtowniej. Przez to dużo łatwiej popełnić błąd, a on popełnił ich już zbyt wiele.

– Wyjdź – powtarza ze spokojem o niebo i cały wszechświat prawdziwszym.

– Majka.

Lena wyciąga ku niej rękę, ale wredne maleństwo uczepia się go mocniej. Kornel milczy, kładzie na ramieniu dziewczynki dłoń i to wydaje się wystarczać, bo wredne maleństwo tylko kręci głową.

– Wyjdź, Lena. Przewietrz się. My przygotujemy obiad.

Kobieta patrzy na nich jeszcze przez chwilę. Na niego. Obojętność na jej twarzy się zmienia. Przeobraża w strach i Kornel z trudem opanowuje chęć wyciągnięcia ku niej dłoni. Objęcia jej tak, jak ona wiele razy obejmowała jego.

– Przepraszam.

Ledwie ją słyszy.

Chwilę później czerwona lancia odjeżdża spod domu. Kornel rozwija ejseje, ignoruje zimny dreszcz oraz cień bólu i śledzi ją tak długo, aż w końcu akumulator i instalacja elektryczna przestają dla niego istnieć. Dopiero wtedy się odzywa.

– Mama się martwi.

Majka kiwa głową, puszcza go, ale nie wraca do pokoju. Wdrapuje się na krzesło, na którym chwilę wcześniej siedziała Lena, i patrzy na niego tak, jakby wiedziała o nim wszystko. Jakby rozumiała, czemu w tym domu nie ma lodówki, telewizora i komputera. Dlaczego wujek prawie nie odwiedza ich w Kłodzku, czemu nigdy nie zabrał jej do kina. Jakby doskonale zdawała sobie sprawę, że nie jest takim samym człowiekiem jak ona i to nie tylko dlatego, że jest niski, ma niezdrowo jasną cerę i dziwne oczy.

– Majka..

Wredne maleństwo składa ramiona na blacie, opiera o nie głowę i Kornel wie, że ni prośbą, ni groźbą jej stąd nie wygoni. Patrzy na nią i obok jej ręki pierwszy raz dostrzega gazetę. Wcześniej musiała przykrywać ją torebka, ale teraz czarne litery nagłówka przyciągają wzrok: potężny bolid zaobserwowany nad Morzem Północnym – specjaliści porównują go do meteorytu tunguskiego.

A więc to już.

Mimo wszystko nie spodziewał się, że to nastąpi tak szybko. Ledwie kilka dni temu był u Miłosza i pierwszy raz zobaczył symbole na drzwiach. Nie zdążył nawet zdecydować, co dalej.

Sięga po gazetę i czyta artykuł, ale nie jest w stanie na jego podstawie stwierdzić, czy opis dotyczy pierwszego fragmentu ramy dla zwierciadła kolapsującego wszechświata czy czegoś innego. Zaczyna boleć go głowa. Nieprzyjemne uczucie z ejsaji wciąż nieznacznie napiera *ei* na oczy.

Trze je.

– Majka.

Wredne maleństwo nie spuszcza z niego wzroku. Patrzy z zafascynowaniem i Kornel orientuje się, że w międzyczasie zdjął okulary. Pojęcia nie ma, kiedy to zrobił, ale teraz trzyma je w dłoni zaciśniętej tak mocno, że lada moment połamie oprawki. Zakłada szkła z powrotem, kolory i formy świata nieco zmieniają się i wszystko wygląda mniej jak z obrazu szalonego malarza, a Majka wykrzywia smutno usta i wbija spojrzenie w podłogę. Jest zawiedziona – to jasne jak słońce.

– Majka.

Odpowiada *ei* burknięcie.

– Masz przy sobie telefon.

Nie pyta jej, bo wie. Czuje go.

Majka przygryza wargę i nadal na niego nie patrzy.

– Nie jestem zły – zapewnia ją.

– Mama mówiła, że mam nie przywozić ani telefonu, ani tabletu i w ogóle, ale ja ci chciałam pokazać taki filmik. Wujku...

– Możesz mi go dać? Proszę.

Wredne maleństwo waha się tylko chwilę, po czym zeskakuje z krzesła. Wraca, ściskając w dłoniach smartfona. Podaje mu go i umyka z powrotem na miejsce po drugiej stronie stołu, zapomniawszy już o klockach i lalkach.

Kornel obraca aparat w palcach. Ostrzegawczy zimny dreszcz prześlizguje się *ei* wzdłuż kości. To ejsyje protestują, więc zwiija je, skręca – zamyka się najszczelniej, jak potrafi. Szczelniej, niż kiedykolwiek go uczono. Wybiera numer Leny. Ma nadzieję, że odbierze. Nie jest już zły ani zawiedziony. Rozumie, czemu od progu była wytrącona z równowagi i dlaczego rozmowa potoczyła się w tak złą stronę. Sygnały rozbrzmiewają głośno w cichej kuchni. Jeden, drugi, trzeci. Ostatecznie odpowiada *ei* tylko poczta głosowa.

- Majka.
- Tak?
- Mogłabyś pomóc mi znaleźć filmik z tym? – Pokazuje jej nagłówek w gazecie.

Mała przytakuje i nagle jest koło niego.

Skrócone zestawienie najważniejszych ustaleń

Obiekt nie posiada znanych nam cech płciowych pozwalających na właściwe przyporządkowanie. Ze względu na drugorzędne cechy wyglądu decyduje się, aby w dalszym ciągu używać przyrostków męskich. (RIG)

Obiekt posiada rozmieszczone wzdłuż odpowiednika ośrodkowego układu nerwowego ejsyje (nazwa podana przez obiekt), które stanowią receptory wrażliwe na pola magnetyczne i elektryczne, jednak zrozumienie działania tego dodatkowego zmysłu pozostaje wciąż przed nami. Obecna hipoteza wiąże je z dostrzeganiem i wpływaniem na tzw. aury. (RIG)

Obiekt posiada zdolności intelektualne, które pozwoliły mu w znaczącym stopniu opanować leksykę i gramatykę języka rosyjskiego w przeciągu trzech lat. Obiekt zdołał również przyswoić sobie podstawowe i ponadpodstawowe normy społeczne w stopniu umożliwiającym poruszanie się w lokalnym środowisku, gdyby zaszła taka konieczność. (KSR)

Obiekt przedstawił spójny model społeczeństwa, z którego rzekomo się wywodzi. Jego podstawą jest organizacja dziewięciokastowa za punkt wyjścia przyjmująca wrodzone biologiczne zdolności zmysłu – ejsyje. Przynależność kastowa rzekomo nie ogranicza ścieżek kariery osobników, ma jednak znaczący wpływ na interakcje

i podejmowanie decyzji w imieniu całego społeczeństwa, zwłaszcza w przypadku kast skrajnych. (SDT)

Obiekt przedstawił rys kulturowo-technologiczny społeczeństwa „ludzkiego” (dla rozróżnienia językowego proponuje się wprowadzenie zapożyczonego terminu „Zemē” na określenie tego podgatunku ludzkiego oraz jego siedliska – dop. KSR) rozwijającego się technicznie i jednocześnie hołdującego nienaukowym zabobonom. (Obiekt nazywa elektryczność terminem „białe demony” – dop. KSR) Ponadto obiekt wielokrotnie odnosił się do „tych, co są ponad” (proponowane określenie to „zwierzchności” – dop. KSR) jako źródła szerszej wiedzy na wybrane tematy. W opinii zespołu badawczego należy to wiązać z tradycjami ludowymi o komunikacji z duszami zmarłych. (SDT)

Pietrozawodsk, 16 maja 1911

Kirył Siergiejewicz Roźdiestwienski,

Siergiej Dmitriewicz Tachowski,

Roman Iwanowicz Godłow

Wredne małeństwo śpi; chyba. Ani on, ani Lena nie wiedzą na pewno, bo są dwa pokoje dalej, w gabinecie rozświetlonym archaiczną lampą gazową, która wciąż przyprawia Kornela o refluks. To nie *ei* jest zacofany. To ten świat podążył ścieżką, która nie pozostawiła *ei* wyboru, ale nie narzeka – zgodził się na ten los.

– Stworzyliście zwierciadło?

Telefon Majki leży między nimi rozładowany po godzinach odtworzenia nagrań ze statków, które znalazły się w okolicy upadku meteoru. Na ile może stwierdzić, siła była mniejsza niż przy jego przybyciu i przez chwilę łudził się, że może faktycznie to tylko meteor; potem wróciła Lena i wszystko spłonęło z białymi demonami.

– Oczywiście! Całe lata zajęło nam odnalezienie wszystkich raportów grupy Roźdiestwieńskiego, dotarcie do naukowców, do notatek i opracowań. A nawet z nimi było trudno. – Jest szczęśliwa. To tak widoczne i wyczuwalne, że Kornel głębiej wciska się w krzesło. – Odnalezienie skafandra w osiemdziesiątym pierwszym pomogło, ale dopiero tu, w Kłodzku, w Twierdzy, głęboko pod ziemią, teorie zaczęły przekładać się na praktykę.

Kornel nieruchomieje rozdarty między strachem a wściekłością, a Lena mówi dalej:

– Choć przyznam się, że nie spodziewaliśmy się pierwszego kontaktu tak szybko. – Śmieje się krótko. – Nie rozumiem, czemu cię to tak dziwi? Przecież sam podałeś nam teorię multiwszechświata i punkt wyjścia...

– Bo myślałem, że ją znacie! Że nie rozumiemy się na poziomie języka! Nie przypuszczałem, że przy tak podobnych założeniach początkowych poszłicie tak odmienną drogą.

– Elektry...

– Gdybym wiedział, milczałbym! Ale byłem głupi i naiwny. Przecież wy nie wiedzieliście nawet, jak duża jest Galaktyka, a co dopiero cała bańka i co jest poza nią!

Kłóć się teatralnym szeptem.

– Ale teraz już wiemy.

– Nic nie wiecie. Nie potraficie nawet wyjaśnić, dlaczego jestem w stanie żyć tutaj.

To nie przypadek ani szczęście, a świadoma decyzja Overtre-er. Er wybrał sobie ten wszechświat właśnie dlatego, że jego fizyka była tak podobna do ich własnego. Nie interesowały er istoty rozciągnięte w chmury świadomości w rzadkiej zupie cząsteczek, które nigdy nie uformowały gwiazd. Nie zajmował się żadnymi z wcześniej skatalogowanych ras, tylko *ludźmi*, bo ci byli podobni do nich samych. Tak bardzo podobni. To dlatego Kornel nie umarł wkrótce po przybyciu i to dlatego udało się Miłoszowi skonstruować prymitywny odbiornik.

– Potraficie to zaakceptować, ale to pusta akceptacja. Dziecięca, jeśli użyć słów ei-Asve–Kast. – Nie ma pojęcia, po co to mówi. Przecież Lena nie wie, kto to Asve Kast. Nie zna prac o niezmienności charakteru, o wrodzonym potencjale i nie ma pojęcia, co oznacza ta dziecięcość, bo tłumaczenie jest niedokładne, a zarazem najlepsze przy tutejszym zasobie leksykalnym. A jednak mówi jej to, bo wraz ze słowami musi wyrzucić z siebie strach, nim ten sparaliżuje go zupełnie. – Nie rozumiecie...

– Nie wierzysz w nas.

– Gdy zorientowałem się, że o niczym nie macie pojęcia, nalegałem na zniszczenie skafandra. A teraz mówisz mi, że go macie! Wierzyłem, że sami dojdziecie do tej technologii. Stworzycie własną wersję i Zwierzchności przybędą do was, nauczą was tego, czego nauczyli nas. Ale poszłicie na skróty.

– Żyjesz na uboczu i nic nie wiesz o tym, co dzieje się dalej. To jest coś wielkiego, coś niesamowitego i tam są twoi ludzie. Powinieneś się cieszyć, że nawiązaliśmy z nimi kontakt, że...

– Nie.

– To początek czegoś nowego...

– Skoro wykorzystaliście mój skafander, to początek końca!

Milczą i nasłuchują, bo tym razem krzyknął. Nie chciał i przeraża go, jak bardzo dał się ponieść emocjom. Wstaje i wychodzi na korytarz. Ciemność otula go szczelnie, ale wskroś cienkich ścian wyczuwa obecność wrednego maleństwa i uśmiecha się pod nosem. Zagląda do pokoju.

Majka siedzi przy parapecie, tam, gdzie jest nieco księżycowego światła, trzyma w ręce kredkę i wpatruje się w niego. Kornel przykładą palec do ust i wycofuje się po cichu. Wraca do gabinetu, ostrożnie siada w fotelu. Lena patrzy na niego i jest w tym tak podobna do córki, że na moment odbiera *ei* dech. Przeszłość nakłada się na teraźniejszość i Kornel gubi się pomiędzy nimi. Wie, że powinien powiedzieć Lenie, że Majka nie śpi. Chce to zrobić, ale coś się zmieniło i zamiast tego z jego ust wydobywają się inne słowa.

– Nie obudziłem jej – szepcze.

To jeszcze nie kłamstwo.

Lena spogląda *ei* w oczy i nie odwraca wzroku po sekundzie, jak wielu innych, dla których są one zbyt nieludzkie. Szymon powiedział *ei* kiedyś wprost, że oczy powinny być czymś stałym, a nie mozaiką pozostających w ruchu kolorów.

– Korie-ei...

Zamiera, gdy Lena powoli składa słowa jego języka w zapewnienia, że będzie dobrze, że sobie poradzą i czekają na nich cudowne rzeczy. Mówi ostrożnie, stara się, choć niektóre dźwięki są równie niewłaściwe jak koślawe symbole Miłosza. Kiedy indziej nie zwróciłby na to uwagi. Cieszyłby się, że słyszy ten język płynący nie z jego własnych ust, ale ten wieczór jest inny. Pomieszane akcenty, niedociągnięte dźwięki i zakłócona melodia brzmią prześmiewczo i przeczą treści.

– Nie będzie – odpowiada w jej języku. – Lena, my nie odbijamy w zwierciadłach innych wszechświatów, aby zapytać o zdrowie kogoś, kto tam mieszka. Dla nas te wszechświaty są jak dla was węgiel. Sprawdzamy, czy ktoś tam jest, ale raczej nie po to, aby porozmawiać.

Nie szukamy kontaktu, a paliwa. Zapadamy nieudane wszechświaty i czerpiemy z tego energię. Nie tykamy zamieszkałych i nie chcemy być znalezieni przez nikogo. Nie chcemy zwracać niczyjej uwagi i ufamy Zwierzchnościom, że nas ochronią. Ale jeśli ktoś zapuka do nas i będzie istniał cień szansy, że potrafi kolapsować wszechświaty, to w oczach Zwierzchności będziemy usprawiedliwieni, gdy jako pierwsi ich zapadniemy. To walka o przetrwanie... – Głos *ei* się łamie. – A taka szansa istnieje, bo ja tu jestem i jest moja wiedza. Tam nikt nie ma pojęcia, że uciekłem, bo bałem się odpowiedzialności, bo stchórzyłem. Mogą myśleć, że zdradziłem, że jestem zagrożeniem i chcą ich zabić. Dlatego zanim przeszedłem, zniszczyłem notatki Overtre-er. Trafienie drugi raz na ten wszechświat miało tak niskie prawdopodobieństwo, że wierzyłem, że nigdy się nie znajdziecie. Gdyby to była wasza technologia, to Zwierzchności by się wmieściły, to ich cywilizacyjna misja, ale wykorzystaliście m... skafander Overere-er. Rozpoznają go i skojarzą ze mną. – Sarka cicho w języku, od którego odwykł. – Domyślą się, że tu jestem i uznają wasze działania za zapowiedź ataku.

– Korie-ei...

Widzi, że Lena nie rozumie. Nie ma pojęcia, co takiego zrobili i jak potworne będą tego konsekwencje.

– Korie-ei. – Znów mówi w jego języku i spokój w tym głosie napawa go strachem. – Ktoś przyszedł z tamtej strony i pyta o ciebie'ei. Nie o kogoś nie stąd, a o ciebie'ei. Czy robiłoby to, gdyby chciało nas poznać?

Ei milczy. Czuje, że coś *ei* umyka. Czegoś nie rozumie. Jest Edel i zrozumienie powinno być jego prerogatywą. Chwalono go za nie. Podkreślano, jak czułe ma ejseje, jak wielka jest jego kontrola nad własną emisją i jak potrafi oddziaływać na innych. Wierzył w to – a potem zawahał się, skusił i teraz już niczego nie jest pewien. Może zrozumienie Zwierzchności to dla Edel za mało, aby zniszczyć zamieszkały wszechświat? Może Edel pozwoli mu wyjaśnić? Może uwierzą, że nie był jak Overtre-er i nie próbował złamać siódmej; nie zaczął uczyć ludzi technologii kolapsowania wszechświatów? Może ukarzą tylko jego i oszczędzą wszechświat ludzi?

– Jesteś strasznej pesymistei. – W głosie Leny słyszy rozbawienie. – Porozmawiasz z er?

Jej oczy skrzą się z podeksycytowania.

Kornel godzi się, bo nie umie Lenie odmówić. Bo jeśli chcą tylko jego, to dobrze. Bo jest ciekaw. Bo i tak nie ma już jak uciec.

Uśmiecha się.

Do wiadomości całego personelu

W świetle dotychczasowych ustaleń z dniem 30 września 1911 roku podjęta zostaje decyzja, że obiekt będzie mógł opuszczać teren placówki w towarzystwie co najmniej jednego pracownika. Ze względów bezpieczeństwa od tego momentu obiekt ei Korie-ei Edel Este (transkrypcja fonetyczna) będzie określany jako Kornel Kirtowicz Roźdiestwieński.

Dokumenty mające na celu ułatwienie transportowania obiektu pomiędzy placówkami zostaną wydane wkrótce.

Pietrozawodsk, 30 września 1911 r.

Doktor nauk przyrodniczych Petersburskiej Akademii Nauk

Kirył Siergiejewicz Roźdiestwieński

Majka nie spuszcza wzroku z melonika leżącego na szafce pod lustrem. Od dłuższego czasu siedzi na krześle i obraca w dłoniach pluszową zabawkę, z całych sił starając się powstrzymać od sięgnięcia po fascynujący ją obiekt. To tak widoczne, że mogłoby wydać się zabawne, gdyby nie ton, jakim przed chwilą zadała pytanie. Dziewięćciolatki nie powinny być tak poważne.

– To prezent.

– Od kogo?

– Od przyjaciela. – Nim Majka zacznie drążyć, mówi dalej, bo Kirył nie żyje od ponad siedemdziesięciu lat, a wredne maleństwo jest jeszcze za małe, aby zrozumieć prawdę i dotrzymać tajemnicy.

– Nie znasz go. Zmarł dawno temu.

Rzadko wyciąga z pudła ten konkretny kapelus, bo wiąże się z nim o wiele więcej wspomnień niż te dotyczące spacerów z Kiryłem po Newskim Prospekcie i ucieczki do Szwecji. Ostatnio miał go u Miłosza. Poprzednim razem na jego ślubie z Ewą.

– Tam, skąd pochodzę, noszą je ważni ludzie. Tacy, którzy podejmują decyzje w imieniu wszystkich innych i z którymi się nie kłóci.

Nie kłamie, ale też pomija całą masę cholernie ważnych detali. Robi z melonika coś podobnego peruce – Anastazja tak postrzegala

rolę kapelusza, póki w Revelu nie wyjaśnił jej, że to coś więcej. Najlepiej, jak potrafił, opowiedział o próbach, testach i podziale na dziewięć grup. O ejsjach i ich wpływie na niego. O byciu Edel, kontrolowaniu ejsji tych, którzy nie byli w stanie sami zapanować nad własnymi w wystarczającym stopniu, ale brakowało *ei* zrozumiałych dla niej porównań i analogii, by uwierzyła, że niesprawiedliwość, która ją tak oburza, nie jest ich pomysłem.

Potem długo ze sobą nie rozmawiali.

– Jesteś jednym z nich? – pyta wredne maleństwo.

Kornel się krzywi. Rozwija ejsje i pierwszy raz od dawna sięga aż do linii średniego napięcia za zakretem drogi. Zimny dreszcz wspina *ei* się po kościach, ból przeszywa go, ale wytrzymuje dostatecznie długo, aby znalazł kilka aut – więcej niż jedno i mniej niż pięć – które zbliżają się do nich.

– Jesteś?

– Byłem.

To już kłamstwo, bo ten świat go nie zmienił – nadal panuje nad ejsjami tak jak kiedyś.

Aut stanęły na granicy jego zwykłego zasięgu. Wysiadło z nich pięć osób; cztery z nich zna. Jednej nie i to ona – *er* – interesuje go najbardziej. Nawet z tak daleka różni się od pozostałych i *ei* rozwija ejsje, otwiera się bardziej, szuka głębiej, próbuje przebić otaczającą tamtego barierę, choć wie, że Lena będzie wściekła, jeśli się o tym dowie. Instykt bierze górę, znajomość sytuacji daje komfort. Kornel bada ścieżki charakteru, immanentny wzór odciskający się na rzeczywistości. Już wie, że to nie Edel, nie Hoya i nie Lide – żadna z trzech najwyższych grup. Czyli nie będzie pytań, bo tylko ci mogliby *ei* się oprzeć, gdyby *ei* chciał wpłynąć na ich emocje. Wie, że w teorii byłby w stanie zabić ich strachem – jest przecież Edel. To nie znaczy, że miałyby odwagę i sumienie zrobić coś takiego.

A zatem to będzie egzekucja.

Szuka dalej. Spodziewa się odnaleźć zdolną go zdominować surową siłę i brak kontroli Jelt.

– A dlaczego już nie jesteś jednym z nich? – Majka nie odpuszcza.

Patrzy na niego wyczekująco, a jej dłoń zaciska się na rękawie jego koszuli i to pomaga *ei* poskromić ciekawość. Zamyka się i przez chwilę wrażenie pustki go przytłacza.

– Dlaczego?

– Zmykaj na górę.
– Ale...
– Później ci opowiem – kłamie. – Teraz czmychaj. Bez kłótni...
– Ale skoro już nie jesteś, to już można...
– Majka. – Patrzy na nią uważnie. Okulary leżą obok kapelusza i wredne maleństwo przez moment zapatruje się w jego oczy. – Idź.

W końcu dziewczynka wzdycha ciężko, spogląda na niego z wyrzutem i odchodzi. Kornel nie wątpi, że będzie podsłuchiwała.

Waży w dłoni okulary i odkłada je z powrotem na szafkę. Przed tymi ludźmi nie musi się ukrywać. Wręcz nie powinien. Sięga po kapelusz i pierwszy raz od dziesięcioleci zastanawia się, czy naprawdę ma prawo go nosić. Jest Edel. Zawsze będzie Edel i zawsze będzie miał immanentną kontrolę nad wszystkimi poniżej, zawsze będzie dla nich ostoją i zagrożeniem. Ale jego sytuacja jest wyjątkowa, więc może powinien chociaż wyrzec się symbolu tego, kim jest? Nie wie i nie może zapytać Leny. Nawet gdyby tu była, to nie pomogłaby mu, bo tak jak Anastazja, ona też nie wierzy, że podział przynoszący taką niesprawiedliwość może być prawdziwy – naturalny, biologiczny.

Tylko że jest.

Ostatecznie nie zakłada melonika, ale trzyma go w dłoni i tak wychodzi na ganek.

Lena idzie na czele, obok niej, podpierając się laską, kuśtyka Szymon. Ochroniarze są o kilka kroków za nimi. Potężni mężczyźni flankują drobną postać i Kornel na moment przestaje oddychać. Wspomnienia są zbyt wyraźne, tęsknoty zbyt żywe, gdy ślizga się wzrokiem po detalach skafandra. Myślał, że pamięta Zemę i jej estetykę, ale zobaczenie jej ponownie go przytłacza.

Na lśnienie i rozety, tęsknił do miodowego blasku, do łagodnych łuków i ostrych zakończeń, do głębokich, ciepłych kolorów.

Huk spadających książek nad jego głową daje *ei* znać, że Majka podgląda przez okno na piętrze. Dlatego Kornel nie schodzi z ganku. Przystaje tuż przed schodami tak, aby go nie widziała. Otwiera się najbardziej, jak potrafi, ale nie sięga ku egzekutorowi, by *ei* przypadkiem nie przeszkodzić i szybko mieć to za sobą. Niech go spali od środka, rozerwie ejseje i pozbawi myśli.

Czeka.

Już po raz ostatni.

Lena macha *ei* radośnie, ale to nie ona odzywa się pierwsza.

– Ei-Edel-Este!

Boi się. Coś jest nie tak.

– Kim – Lena mówiła *er*, więc *ei* robi to samo, nagle uświadamiając sobie, jak uwierzył go tutejszy podział i zarazem jak bardzo do niego przywykł, że nawet w myślach sam siebie sprowadzał do *on* – ty’er jesteś?

To nie Jelt...

– Korie-ei-edel, przynoszę ostrzeżenie...

...i to wszystko zmienia.

– Kim ty’er jesteś?!

Kornel nie rozumie.

– Korie-ei daj mu...

Podnosi dłoń, ale nie głos.

– Nie, Lena. Kim ty’er jesteś, pytam po raz ostatni.

– Hertre-er Seve Lat.

Seve? To nie ma sensu i Kornel wietrzy podstęp, ale nadal się nie zamyka.

– Przysłano cię’er, żebyś...

Szymon nerwowo zaciska dłoń na lasce. W przeciwieństwie do ochroniarzy, on i Lena rozumieją choć trochę język z *Zemē*.

– Nie przysłano mnie’er! Nie do końca! Jestem tu, aby cię’ei ostrzec. Oni-Edel postanowiły skolapsować ten wszechświat. Musisz ich-Edel ubiec.

Na moment myśli Kornela płaczą się, gubią i krzyk oburzenia podchodzi *ei* do gardła. Zniszczył namiary na ten wszechświat, by nie doszło do takiej sytuacji! By nie musiał wybierać kto zginie. Łudził się, że to wystarczy – nie wystarczyło, bo ludzie, bo skafander. A teraz *er-Seve-Lat* nawet nie daje *ei* wyboru. Oczekuje, że *Korie-ei* po prostu skolapsuje wszechświat *Zemē*.

– Nie...

Woli zginąć, niż to zrobić. W końcu sięga ku Hertre-er i pcha przez ejseje strach, by *on...* *er* poczuł zagrożenie nawet wskroś ochronnego skafandra. Otwiera *er* siłą na niedostatecznie daleką linię, na zegarki, na komórkę Majki w jego kieszeni. Prowokuje.

– Musisz... – Hertre-er kuli się, ale próbuje mówić dalej. Lena chwytła Kornela za przedramię, choć nie ma pojęcia, co się dzieje. – Inaczej my- ...oni tu zginą! – Hertre-er mówi z trudem.

– Nie...

– Korie-ei! – Lena krzyczy.

– Nie powinniście być badać luster. Nie w ten sposób – zwraca się do niej. – Przez chwilę łudziła się, że one-Edel będą chciały tylko mnie'ei i was-*ludzi* oszczędzą, ale jak widać, moja'ei pierwsza myśl była słuszna. To dla nas koniec.

Nie musi dodawać grup do zaimków, bo nikt tu nie ocaleje. Przeraza *ei* jak spokojnie to mówi, bo przez lata odsuwał od siebie wszystkie myśli o tym, łudził się, że nigdy ich nie znajdą.

– Możemy negocjować. Jesteśmy cywilizowanymi istotami.

Słowa ciągle brzmią dziwnie w ustach Leny, ale są zrozumiałe dla nich obu.

– One-edel nie posłuchają – Hertre-er odpowiada szybciej. – Decyzja już zapadła. Złamia tabu w imię wyższego dobra! – Korie-ei to rozumie. – Ale nie ma zgody. Są... protesty. – Archaiczne słowo brzmi strasznie i sprawia, że oboje wzdrygają się. – Wielu twierdzi, że Edel nie mają racji i szukają tego, co przed wiekami nazywano zemstą.

Ma wrażenie, że Hertre-er patrzy na niego, ale przez wizjer skafandra trudno to stwierdzić na pewno.

– To oni-protestujący pomogło mi się tu przedostać. Nieistnienie jest lepsze od złamania tabu. Musisz ich zniszczyć, ei-Edel-Este!

Kornel zamyka oczy, zwiija ejseje. Milczy, bo zabrakło *ei* słów. Jest żałosny. Bardziej żałosny niż Miłosz i drętwieją *ei* dłonie, w których zaciska rondo melonika. Edel – śmiechu warte. Parska i zgina się w pół.

Dziennik Kiryła Roźdiestwienskiego

6 lipca 1939 r.

Anastazja uświadomiła mi, w jak wielkim błędzie tkwię, choć przecież było to oczywiste niemal od początku.

Kornel przybył tu z innego wszechświata i nie wykorzystał ku temu wynalezionej przez siebie technologii. Nie był nawet naukowcem. Na ile mogę to zrozumieć, miał bardziej administracyjne stanowisko. Może oczywiście kłamać, ale jeśli zacznę dopuszczać tę możliwość, to wówczas równie dobrze mogę podważyć wszystko, co powiedział. Naiwnie zatem zakładam, że mówi prawdę. A skoro tak, to wiedza o multiwszechświecie jest w jego społeczeństwie czymś oczywistym, jak dla nas oczywisty jest heliocentryczny Układ Słoneczny. Ale to nie wszystko. Podczas gdy mnie trudno wyobrazić sobie bańki innych

fizyk i zagłądanie do nich przez zwierciadła, gdy idea fundamentu multiwszechświata, puli oddziaływań, wymiarów i optymalnych konfiguracji mnie przerasta, Kornel rozumie nasz wszechświat tak, że Shapley i Curtis zaniemówiliby z wrażenia. A mimo to przez lata uważałem się za kogoś mądrzejszego.

Dlaczego?

Przez wrodzony antropocentryzm, naturę badacza, głupotę, a może dlatego, że wygląd Kornela w tak wielu aspektach przypomina ludzki, a zarazem jego postura, niemal brak oznak starzenia się i początkowe niezrozumienie języka oraz obyczajów, sprawiły, że myślę o nim jak o dziecku?

Nie wiem.

Instynkt już nie pozwala mi nie myśleć o przyszłości Kornela. Nie mam komu przekazać projektu. Co więcej, niepokoję w Rzeszy budzą we mnie najgorsze obawy co do tego, jak mogłyby przebiegać dalsze badania.

Dla bezpieczeństwa wszystkich Kornel musi pozostać w ukryciu.

Dłoń Leny jest ciepła. Kornel zaciska na niej palce i stara się w tym cieple znaleźć komfort, ale kobieta wzdraga się, odsuwa. Patrzy na niego i *ei* z trudem powstrzymuje słowa cisnące się *ei* na usta.

– Nie rozumiem. – Gniew w głosie Leny jest taki sam, jak godzi-
nę i dwie temu.

– Wyja...

– Tak, wyjaśniłeś, ale to nie ma sensu, Korie-ei. Ledwie zaczęliśmy rozumieć zwierciadła. Te zwykłe, a Hertre-er mówi o kolasujacych, refleksyjnych, o ramach i oknach... Gdybyśmy wiedzieli o nich...

Patrzą na siebie wskroś stołu. Za oknami ulewa i noc pożarły dolinę tak, że nie widać nawet łuny nad Kłodzkiem. Pomiędzy nimi płonie świeca i jest prawie jak zwykle.

Lena wstaje szybko, ale nie odsuwa się od mebla. Tkwi tak dłuższą chwilę, jakby dawała *ei* szansę odezwać się, wybronić, ale *ei* milczy zbyt długo. Jej cierpliwość się kończy. Wypuszcza głośno powietrze z płuc i podchodzi do okna. Patrzy na zewnątrz.

Kornela kusi, by sięgnąć ku niej ejsejami i spróbować zrozumieć więcej, ale gdyby się pomylił, naparł na nią zbyt mocno, to mógłby zrobić jej krzywdę – wie to na pewno. Dlatego czeka.

– Korie-ei! – Ostatnio mówi do niego już tylko tym imieniem, Kornel nie wie, czy to lubi. – Na miłość boską, mów do mnie! Obaj... – Lena waha się, ale pozostaje przy tej formie – obaj twierdzą, że to koniec, jeśli czegoś nie zrobimy, ale Hertre-er chce pomóc. Ty siedzisz tu i czytasz książki. – Kolejne słowa nie zaskakują go, ale i tak robi *ei* się od nich zimno. – To twoja wina, to ty nam dałeś zwierciadła, więc weź na siebie odpowiedzialność i...

– Lena, nie dałem wam zwierciadeł. – Odruch nakazuje *ei* się bronić.

– Wskazałeś drogę!

– Powiedziałem, abyście nie badali skafandra. – Już to tłumaczył.

– Miał zostać zniszczony. Marzyłem o tym. Nie chciałem go więc oglądać, nie chciałem, żeby istniał.

Żeby przypominał mi o tym, co się tam stało – tego ostatniego nie mówi na głos. Nie chce powiedzieć Lenie, że dla niego ten skafander to coś więcej niż przedmiot. Patrzy na nią i boi się, bo w świetle świecy cienie malują na jej twarzy potworną maskę.

– Wierzyłem, że jesteście rozsądni. Dałem się wciągnąć w waszą grę. Podpowiadałem, gdy pytaliście o teorię, i cieszyłem, że przed kimś nie muszę się ukrywać. Myślałem, że choć podążacie inną drogą, to wykorzystacie tę wiedzę, by poznać wasz wszechświat, że staniecie się jego panami, ale wy poszliście na skróty. Powinienem być milczeć.

– Milczałeś. Pytałam cię. Oglądałam z tobą zdjęcia i pytałam, co znaczą symbole i wzory, chciałam zrozumieć, ale ty nigdy nie chciałeś mi wyjaśnić! O Kiryle, Anastazji i innych opowiadałeś, ale o jedynej naprawdę ważniejszej rzeczy nie. Dlaczego? Bo nie. Bo lepiej nic nie robić.

Nie zaprzecza, bo do tego wszystko się sprowadza. Nie ma sensu trzeci raz powtarzać, że skafandra miało już nie być. Że nie chciał sam zostać nauczycielem tego świata, bo to byłoby złamaniem siódmej zasady narzuconej im przez Zwierzchności przy pierwszym kontakcie. Nie chciał drugi raz popełnić tego samego błędu i pozwolić komukolwiek innemu na to, jak to się stało z Overtre-er.

Popełnił więc gorszy – widzi to wyraźnie.

Dał im narzędzie, ale nie instrukcję.

Teraz er-Seve-Lat chce im ją dać, a *ei* nie wie czy to dobrze, czy źle. Ta niewiedza go denerwuje.

– A to, co *er* mówił o protestach? – Lena odzywa się znowu.
– O tym, że gotowi są się poświęcić?

Kornel gubi się na moment. Patrzy na nią i nie wie, co odpowiedzieć. Potrzebuje chwili, aby przypomnieć sobie, co Hertre-er mówił, gdy się spotkali. Dreszcz prześlizguje *ei* się po kręgosłupie na wspomnienie tamtej chwili.

– O oporze przeciwko ludobójstwu – dopowiada Lena. – Uciekłeś stamtąd właśnie dlatego, prawda?

– Nie – odpowiada za szybko. – Powiedziałem ci już, że nie kolapsujemy zamieszkałych wszechświatów. Po prostu nie. Ale nigdy nie znaleźliśmy drugiej cywilizacji, która dysponowałaby taką technologią jak nasza i jednocześnie nie byłaby znana Zwierzchnościom. Sami nie szukamy kontaktu. Wierzymy w opiekę Zwierzchności i jeśli one zechcą... – mówi za dużo, aby zyskać na czasie. – Ale zawsze zdarzają się wyjątki. Wszędzie. U nas też. Zdarzali się tacy jak Overtre-er chcący nauczyć tej technologii tych po drugiej stronie i tacy, którzy przeszli na drugą stronę i postanowili zostać... Oni stanowią zagrożenie, bo mogą... nas – Gubi się, bo nas znaczy ich. – Gdybyście tylko nie wykorzystali elementów skafandra, to może zostawiliby was w spokoju... A protesty to coś archaicznego. Z czasów, nim doszliśmy do granicy wiedzy i zrozumieliśmy, że nie mamy sposobu, aby to zmienić, wyrównać biologiczne różnice w ejsejach, i stworzyliśmy system, w którym pilnujemy się wzajemnie... Nie musisz mi wierzyć.

Twarz Leny wykrzywia obrzydzenie. Ona nienawidzi dziewięciorga. Nienawidzi kast, jak nazwał ich strukturę społeczną Siergiej. Nienawidzi idei kontroli i wydaje jej się, że ją rozumie. Czasami Kornel ma nawet wrażenie, że Lena chce widzieć w nim kogoś szlachetniejszego od reszty. Kogoś, kto dostrzegł niesprawiedliwość systemu. W lepsze noce, gdy zmęczenie, alkohol i dobry humor brały nad nimi górę, lubiła snuć historie o tym, jakby mógł tam wrócić jako anioł równouprawnienia, krzewiciel wiedzy, że chcieć to móc i każdy jest zdolny do rzeczy wielkich. Ta noc jest jednak jedną z tych gorszych.

– Sam opór wobec decyzji Edel... – *Ei* waha się. Odchyła na krzesło i spogląda w sufit. – Jeśli Edel faktycznie chcą to zrobić, to owszem, mogło dojść do protestów. – Patrzy na zagniewaną Lenę.

Są z Majką bardzo podobne, jakby Lesław nie pozostawił po sobie nie tylko dobrych wspomnień, ale nawet kawałka siebie w córce. Ta

sama okrągła twarz, niezmiennie zielone oczy i włosy kojarzące *ei* się z miodem. I to samo spojrzenie żądające odpowiedzi. Na moment tonie we wspomnieniach. Lena ma znów pięć lat, po dziecięcemu pokłóciła się z ojcem i szuka w Kornelu poparcia.

– Zabić lub zostać zabitym... – Wzdraga się. – Nie wiem, ale twój ojciec...

Lena uderza dłonią o blat. Huk na moment pożera ciszę, a gdy cichnie, kończy się także coś większego.

Kornel odwraca wzrok. Spogląda w ciemność korytarza. Majka stoi tam tuż przy szafce i podsłuchuje. Jest dostatecznie daleko, aby Lena nie miała szans jej dostrzec, ale *ei* nie ma z tym większego problemu. Wredne maleństwo prostuje się nagle, jednak nie umyka. Patrzy na niego i przykłada palec do ust, wciska się głębiej w kąt.

Szczęknięcie klamki w głębi korytarza tłumaczy mu, dlaczego to zrobiło, i przypomina, że nie są w domu tylko we trójkę.

– Korie-ei?

Hertre-er wchodzi do kuchni powoli. Nie ma na sobie skafandra i wyraźnie odczuwa dyskomfort nawet tak daleko od linii, trakcji i innych domów. Trudno *er* znieść obecność ledwie dwóch telefonów i tabletu, ale robi dobrą minę do złej gry. Kornel to docenia i pomaga *er* się osłonić. Coś, czego nie robił od ponad stulecia, przychodzi *ei* z łatwością, jakby minął zaledwie dzień od ucieczki. Nawet nie patrząc, napiera na ejseje Hertre-er, zmusza je, by się zwinęły. Przymyka *er* mocniej niż Seve mógłby to kiedykolwiek zrobić sam.

To wszystko jest wyczuwalne tylko dla Zemē. Jedyne, co Lena widzi, to jak *ei* odsuwa *er* krzesło i nastawia wodę na herbatę, choć nie jest pewien, jak zniesie ją żołądek Hertre-er. Do tego też trzeba się przyzwyczaić.

– Tracimy czas. – Hertre-er mówi z tą samą pasją, co wcześniej, i Kornel wstrzymuje oddech. – One-Edel są zdeterminowane. Jeśli one-Edel zechcą, podporządkują sobie wszystkich pozostałych. My... – Nie ma słowa na wszystkich tylko nie Edel, choć kiedyś na pewno istniało. – Nie będziemy w stanie się im przeciwstawić. Złamię tabu! Raz ich powstrzymałeś, gdy ze strachu przed sprawiedliwością tego świata chcieli go zniszczyć. Ale teraz, gdy oni-Edel znów znalazły to miejsce, mają więcej powodów niż wtedy. Boją się ciebie'ei, Korie-ei. Boją się, co tu masz i co znaczysz dla nas... którzy nie jesteśmy Edel.

To, jak Hertre-er mówi, przypomina Kornelowi Lenę; to boli, bo *ei* nie jest tym, za kogo go mają.

– Nie ma czego zaczynać. Naprawdę nie skonstruowałyście z tej strony zwierciadła.

Hertre-er milczy. Kornel sam zamyka się jak najszczelniej, aby nie poczuć jego zdziwienia.

– Nigdy nie planowałyście tego robić. Nawet nie wiem, czy bym potrafiłyście.

W odbiciu w oknie widzi, jak Hertre-er i Lena patrzą na siebie, jak zmieniają się wyrazy ich twarzy i jak różne są, choć wyrażają to samo uczucie. Przygląda się im, interpretuje i gra na czas, ale w końcu herbata jest gotowa.

Stawia kubek przed Hertre-er, jednak nie siada przy stole.

– Nie planowałyście zemsty, nie ratowałyście nikogo. Nie umiałybyście nawet odnaleźć domu. Zniszczyłyście opracowania Overtre-er, z troski o siebie, nie o ideały.

Lena prycha.

– My-Edel wiemy, że stanowimy zagrożenie. – Kornel głos ma spokojny. To *ei* dziwi, ale udaje się *ei* to zdziwienie ukryć – Wiedziałyście, że jeśli nie zamknęłybyście się dostatecznie szczelnie, to moje*ei* pragnienia mogłyby stać się pragnieniami Overtre-er. Er miał wielki talent, ale było też Jelt. Nie umiał zachować swoich emocji dla siebie i bronić się przed cudzymi. Zwłaszcza przede mną, Edel. Gdy zorientowałyście się, że er nawiązał już kontakt i chce przejść na drugą stronę, wystraszyłyście się. Nigdy wcześniej er-Jelt-Vede nie miał tak szalonych pomysłów, więc może one nie należały do er, a do mnie*ei*? Nie umiałyście er powstrzymać. Bałyście się to zgłosić i gdy zapowiedziano audyt, uciekłyście. Jako Edel nie powinnyście nigdy tak wpłynąć na nikogo. To podstawa naszego społeczeństwa – mówi twardo. – Zawiodłyście.

Powiedzenie tego głośno przynosi *ei* ulgę, ale tylko na chwilę, bo pozostaje jeszcze oskarżenie rzucone przez Hertre-er.

– Być może Overtre-er zrobiłyście to beze mnie. Nie wiem. Wiem tylko, że Edel... Edel nigdy – mówi powoli i dobitnie – nie zamierzała kolapsować tego wszechświata i jeśli ktoś twierdzi inaczej, to szerzy plotkę. – Patrzy na Hertre-er. – Ale... – Przenosi spojrzenie na Lenę – stworzyłyście proste zwierciadło i to tak wiele zmienia, bo Hertre-er ma rację. Macie zwierciadło i Edel, więc możecie stanowić

zagrożenie. I tak, masz rację, to wszystko przeze mnie, bo milczalei, bo nie zrobiłei nic, aby temu zapobiec.

Nie ma już nic do dodania, więc wychodzi. Zamyka się w sypialni i próbuje nie nasłuchiwać.

Świt nadchodzi zbyt wcześnie. *Ei* nie jest jeszcze gotów, a jednak siłą nawyku wstaje, gdy szarość poranka zalewa dom. Idzie do kuchni jak zawsze od lat i zamiera w progu. Lena patrzy na niego podkrążonymi oczami. Widać, że nie spała.

– Tato opowiedział mi, jak znaleźli skafander – odzywa się pierwsza. – Mieli go zamknąć pod kluczem, ale pojawiły się głosy, że to marnotrawstwo. Wtedy tata odszedł, a ja... – Lena wzdycha ciężko i opiera się o niego. Rozczochrane włosy łaskoczą go po twarzy, ale nie odsuwa się. – Trochę jak w filmie. Tata odszedł, bo wiedział, że to zła droga, że tego nie chcesz. Ostrzegał mnie przed tym, ale myślałam, że wiem lepiej. Teraz, gdyby to naprawdę był film, powinnam ruszyć na kruczatę w imię tego, w co wierzyli dziadek, tata i inni. W imię teorii i niechodzenia na skrót, ale wisi nad nami koniec świata i byłoby to podpisaniem wyroku na wszystkich, prawda?

Kornel przytakuje.

– Właśnie. Dlatego pojedę do Twierdzy. Hertre-er uważa, że wie dostatecznie dużo, aby pomóc nam przebudować nasze zwierciadło na kolapsujące. Skolapsuję ich, a potem do końca życia będę żyła ze świadomością, że przyłożyłam rękę do największego morderstwa w historii ludzkości. To też ciekawa fabuła. Mógłbyś to napisać...

– Lena...

– Pomożesz, Kornel? Hertre-er powiedział, że bez ciebie tego nie uruchomimy.

Zbyt długo jej nie odpowiada i w końcu Lena odsuwa się.

– Wiem, że proszę cię o coś niewyobrażalnego, ale nie pozwolę, aby to się tak skończyło, rozumiesz? A sam powiedziałaś, że nie ma innej opcji. Nie chcę ginąć. Oni z kolei są na to gotowi. – Niewypowiedziane „ponoć” wisi w powietrzu i Kornel milczy, choć wie, że Lena znów chciałaby, aby utwierdził ją w podjętej decyzji. – Znieś jego towarzystwo jeszcze kilka dni – mówi, nie patrząc na niego. – W tym czasie przygotujemy *er* miejsce w Twierdzy, bo *er* przecież nie da rady zamieszkać w mieście. Kilka dni, o nic więcej nie proszę.

Ei przytakuje powoli.

– Pomożesz ze zwierciadłem?

Wolałby, aby z góry założyła, że to było tak dla wszystkiego, ale to jest Lena. Dociekliwa, zdeterminowana, a teraz również zdesperowana Lena, więc nie dziwi go, że zapytała i czeka na jednoznaczną odpowiedź. Gdy ona otwiera usta, *ei* już wie, co powie: to twoja wina, to przez ciebie, nie możesz się wymigać. Nie wie, ile razy w ostatnich dniach ona i Hertre-er to powtórzyli, ale nie chce tego słyszeć znowu.

– Pomogę – odzywa się szybciej.

Sankt Petersburg 15 października 1925 r.

Anastazjo,

na dniach prześlę bagaże. Nadam je na Ciebie, ale proszę, przekaż je Andrzejowi. On będzie wiedział, co z nimi zrobić. Sam zamierzam jeszcze pozostać w Petersburgu. Potem dołączę do was w Revelu. Postanowiłem ubiegać się o nominację w Tartu. Proszę, czekajcie na mnie.

*Twój kochający
Kirył*

Kornel wysiada z autobusu i czym prędzej odchodzi od niego, choć tak naprawdę to nie pomaga, bo miasto całe jest zarażone białymi demonami. Pędzą pod chodnikiem, ale nie dość głęboko, by nie był w stanie ich wyczuć. Wspinają się na latarnie, drążą w ścianach budynków, tkwią w każdym samochodzie. Zamyka się na nie jak najszczelniej, ale i tak je czuje. Współczuje Herte-er dnia, kiedy Lena przyjedzie po niego i przywiezie go do Kłodzka. Dotarcie do Twierdzy nie zajmie im dłużej jak godzinę, a potem jeszcze trochę, aby zejść dostatecznie głęboko, i dla nieprzyzwyczajonego Seve będą to trudne chwile. Nawet Kornel chce jak najszybciej wrócić do domu, ale Lena poprosiła, aby raz jeszcze odwiedził Miłosza i porozmawiał z nim. Przydał się na coś – użyła tych słów.

Mija rynek i nie spogląda na Twierdzę. Schodzi śliską drogą i znika wewnątrz bramy. Wchodzi znowu, trzymając się kurczowo poręczy. Zamiera na chwilę, widząc symbole na drzwiach. Puka. Mija pół wieczności, nim Miłosz mu otwiera. Przez moment jego twarz wygląda jak woskowa maska pozbawiona wyrazu, ale ledwie Kornel nazywa ją tak w myślach, coś się zmienia. Oczy Miłosza rozwierają

się szerzej, usta wykrzywia karykatura uśmiechu i nagle podłoga umyka Kornelowi spod nóg. Kościste palce zaciskają się na jego ręce i wciągają go do mieszkania. Drzwi uderzają o futrynę, szczęka skobel i Miłosz odzywa się tuż obok.

– Chcą rozmawiać z tobą. Musisz...

Nie wie, co musi. Miłosz wypycha go do salonu i Kornelowi odbiera dech. To już nie prymitywny odbiornik sprzed tygodni. Zna ten konstrukt, bo dokładnie z takiego korzystał Overtre-er – „labirynt”, tak go nazywał. Wie, na co patrzy, zna krzywizny, sploty, zna symbole wyryte w złocistym metalu, rozumie metafizykę, do której się odwołują, a mimo to nie dowierza.

– Daj spokój, Lena...

– Korie-ei.

Głos zamiera *ei* w gardle, słowa tracą sens i jedyne, co słyszy, to spokojny melodyjny głos przesączający się przez zakłócenia.

– Korie-ei Edel Este, nazywam się Loriele-le Edel Haer. Dzięki niech będą rozetom i lśnieniu, że udało się z tobą *ei* skontaktować.

Nie jest w stanie podnieść się z podłogi. Nie potrafi oderwać wzroku od labiryntu.

– Potrzebujemy twojej *ei* pomocy. Hertre-er Seve Lat złamał siódmą zasadę. Ze złej woli, z żalu postanowił oczernić nas-Edel i narazić wszystkich na gniew Zwierzchności. Dał technologię zwierciadeł drugiej rasie – *le* mówi szybko. Odpowiada na pytania, które *ei* ledwie co zdążył pomyśleć. – Nie okiełznali jej. Już ich nie ma, nic nie mogłyśmy na to poradzić. Szczęściem w nieszczęściu jest, że wyrwa, którą stworzyli w kontinuum, była na tyle niewielka, abyśmy zdołały ją zaszyć. Nim jednak zrobiłyśmy to, nim okiełznałyśmy panikę i pchnęłyśmy za nim Jelt, er już uciekł do twojego wszechświata. To nasza wina. Miałyśmy od dawna odsłonięte zwierciadło. Patrzyłyśmy i uczyłyśmy się. Wykorzystał to. A teraz będzie chciał dokończyć dzieła, zniszczy nas. Nie możesz er na to pozwolić, Korie-ei.

Chce wierzyć Loriele-le, ale nie potrafi. Złamanie siódmej?! Nikt nie byłby tak szalony!

Ei nie był. Nawet Overtre-er nie był. Nikt nigdy nie był, bo danie czegoś tak potężnego powoli rozwijającej się cywilizacji z Pilkass mogło zabić ich wszystkich. Pilkass nie mieli szans sami tego okiełznać. Zabili ich wszystkich.

– Korie-ei – Lorie-el mówi dalej – przepraszame, że okłamałyśme tę istotę. Nie mamy pewności, kim jest dla ciebie'ei, ale w tym miejscu odcisnęłeś się najbardziej...

– Jeśli chcecie przeproszać, to przeprosicie *jego*. Jest tu – cedzi z autorytetem, którego nie ma. – I ma imię. Miłosz.

Za plecami słyszy ciężki oddech i sam wstrzymuje własny.

– My... – Głos na moment łamie się i kolejne słowa brzmią nie-naturalnie, jakby wypowiedano je z trudem, i Kornel przypomina sobie swoje pierwsze lekcje z Siergiejem. Brzmiał o niebo gorzej.

– Przepraszamy... Miłoszu. Ewy tu nie ma.

Brakuje *ei* odwagi, by spojrzeć za siebie, ale jest pewien, że szelst, który słyszy, to Miłosz osuwający się po ścianie. Słyszy też jego płytki oddech i wysokie dźwięki, które ani chybi są płaczem. Próbuje sobie wmówić, że tak jest lepiej, że pusta nadzieja jest nic nie warta, liczą się fakty, ale może zbyt dużo nasłuchiwał się Leny, bo nie potrafi.

– Korie-ei, musisz pomóc nam go pochwycić. Er zatracił się w sobie. Szuka... zemsty. Śmierci nas wszystkich.

– Lorie-le Edel Haer, dlaczego mam wam wierzyć?

Ei doszukuje się w tym podstępu i to wcale nie jest takie trudne, bo to co *le* mówi tak bardzo pasuje do marzeń Overtre-er i obaw er-Seve-Lat, że wydaje się przygotowane specjalnie po to, by *ei* przekonać.

– Korie-ei, jesteś jednym z nas. Rozumiesz ryzyko. Nie złamałabyś tabu i wiesz, że my nie zrobiłebemy...

– Nie wiem. Ktokolwiek łamiący siódmą u nas brzmi jak okrutny żart. Edel, Asve, Seve, Lide... Er, le, ei... nieważne kto. A zaufanie brzmi zbyt pięknie. Jesteśmy za daleko od siebie, by sobie ufać – wyrzuca z siebie coraz pewniejszym tonem. – Potrzebujecie czasu, prawda? Po to jest ta rozmowa.

Z każdym słowem kolejne elementy układanki znajdują swoje miejsca.

Cisza przeciąga się i Lorie-le nie musi już odpowiadać.

Wiedzą, że nie istnieją słowa, które by go przekonały, a labirynt to martwe lustro i choćby oboje otworzyli się i rozwinęli ejseje tak, że poczuliby je w opuszkach palców, to nie sięgnęliby siebie wzajemnie.

– Korie-ei, zaufaj nam, a damy ci dowód...

Przez sekundę chce w to wierzyć. Wyzbyć się pesymizmu, który wypomina *ei* Lena.

– Już to mówił*ei*: nikt nie złamał*by* siódmej w ten sposób – mówi to z przekonaniem. A Hertre-er nie jest głupie. Tu chodzi o mnie, prawda? O to, że jestem w stanie zsynchronizować zwierciadło.

– Ufame ci.

Ale *ei* im nie ufa.

Za jego plecami Miłosz nadal płacze i *ei* myśli o nim, o Ewie, Lenie, o Majce i w końcu znajduje w sobie pewność, której brakowało *ei* wcześniej.

– Wybacz, Loriel-le Edel Haer, ale nie mogę bardziej narażać tych istot.

Loriel-le milczy.

Kornel wstaje. Otrzepuje spodnie i odwraca się w stronę Miłosza. Ten patrzy na niego, po policzkach płyną mu łzy, a z ust wydostają się pojedyncze sylaby, pomiędzy którymi prycha i charczy. Kornel odruchowo rozwija ejsyje, by zrozumieć, co widzi, ale przypomina sobie, że ludzie są tak różni od nich i tak trudno zinterpretować ich odciski*ę* wzorce. Wycofuje się pospiesznie. Spuszcza wzrok i kieruje kroki ku wyjściu.

Nie wie, co powie Lenie, gdy znów się zobaczą, a zobaczą się na pewno, raczej szybciej niż później, bo przecież ma ona przyjechać po Hertre-er.

– Roźdiestwienski!

Głos Miłosza jest skrzekliwy. Mężczyzna niemal na czworakach wytacza się z pokoju i dopada Kornela, kościste palce zaciskają się na jego ramionach.

– Więc to jakaś sztuczka? – cedzi. – Ty, to wszystko... To nigdy nie był żart, prawda? Żadne eksperymenty, saj-faj, naukowe gówno, a to... Cholerni kosmici i twoja, wasza...

Kornel rozumie, co Miłosz chce powiedzieć.

– Technologia – odpowiada. – Mieszkałem tu dość długo, bywałem tu później. To pozostawiło ślad. Tak trafili na ciebie. Prze...

– I od samego początku to byli... to wszystko. – Gestem jednej ręki Miłosz omiata zrujnowane mieszkanie, ale druga zaciska się mocniej i Kornel nawet nie próbuje się wyrwać. – To wszystko to był jakiś wasz telefon? Nigdy nie chodziło o Ewę? Nigdy jej tam nie było?!

Miłosz przestaje oddychać, nie mruga i Kornel jest pewien, że zaraz zmiażdży *ei* kość, a to będzie początek. Wiele razy widział, jak

mężczyzna się bije. Nawet dał *ei* kilka lekcji, ale Kornel wie, że nie ma z nim szans. Nie chce też kłamać.

– Nigdy. Prze...

– Boże, co za ulga!

I nagle jest wolny. Miłosz odsuwa się, opiera o ścianę. Z trudem łapie oddech, oczy znów lśnią mu od łez, głos się łamie, a mimo to mówi i mówi:

– Boże, cierpiała, umierając, i tak bardzo się bałem, że dalej cierpi. – Walczy o oddech, a Kornel nie jest w stanie się ruszyć. – Tak cholernie chciałem jej pomóc, musiałem... Ale jak jej tam nie ma, Boże, co za ulga! – Parska śmiechem. Krztusi się. Zgina wpool i osuwa na podłogę. Łzy spływają mu po policzkach, ramiona drżą, ale śmieje się dalej. – Na Boga! Kornel! Nawet nie wiesz, jaka to ulga. Nawet się, kurwa, nie domyślasz! Świat nie mógłby być piękniejszy.

Mógłby, gdyby nie było Hertre-er, zwierciadeł i końca świata na horyzoncie, ale Kornel tego nie mówi. Ostrożnie przechodzi do kuchni, szuka zapalek i nastawia wodę. Znajduje kawę i cukier, jednego i drugiego hojnie nasypuje do kubków, a potem czeka. Choć tyle może zrobić.

Później będzie czas na wyjaśnienia.

Revel 18 listopada 1925 r.

Kochany,

mamy się dobrze i czekamy na Ciebie. Powoli przyswajamy sobie lokalny język, choć nie ukrywam, że dla mnie brzmi on okropnie. Jednak Kornelowi na tym zależy i nie umiem mu odmówić. Poza tym zapełnia to dni, które się dłużą, gdy spędzamy je głównie we dwoje. Bacz przy tym, że nie narzekam, a jedynie obojgu nam tęskno za tobą. Możesz się domyślić, które z nas czyni większe postępy. Zrozumienie Kornela dla rzeczy naszych przeraża mnie niekiedy, bo ja sama często nie potrafię pojąć jego opowieści. Rozumiem, że istnieć może w istocie siła odmienna od intuicji i doświadczenia zdolna ocenić i poznać drugiego człowieka już przy pierwszym spotkaniu, on zaś zapewnia, że po drugiej stronie lustra ona istnieje i determinuje strukturę społeczną. Ty i Sieroża tłumaczyliście mi to jeszcze w Pietrozawodsku, a mimo to wciąż niedowierzam. A gdy wierzę i wydaje mi się, że rozumiem, to nie umiem się nie zastanawiać,

jak wiele Kornel wie o mnie, o tobie i o nas wszystkich. Ile dostrzega w ten sposób nam nieznanymi i ile nauczył się rozumieć przez ostatnie lata. To jednak pozostanie nieodkryte. Nie powinniśmy go o to pytać, bacz na moje słowa.

Twe paczki dotarły do Andrzeja i zajął się on nimi. Teraz, kochany, czekamy tylko na Ciebie.

Tęsknię,
Anastazja

– Czyli przyjdiesz na gotowe, Korie-ei? – Słowa Hertre-er tną powietrze w kuchni.

Stoi z dala od Kornela i mierzy go wzrokiem. Jest wściekły i ta wściekłość promieniuje z jego ejseji, napiera na Edel i sprawia, że ten z trudem opanowuje odruch, by zamknąć nieco Seve. Wpłynąć na jego ejseje tak, aby zwinęły się ciasniej i nie obwieszczały świata, co czuje ich właściciel. Tylko że w tym świecie jedynie *ei* to odczuwa, więc się opanowuje. Poza tym Seve sam z siebie powinien być w stanie lepiej to kontrolować. To oznacza, że Hertre-er światom się otworzył.

Potrafi docenić taką szczerłość.

– Myślałem, że jesteś innej, ale nie! Edel – Hertre-er prychnął.

– Kornel – *ei* odpowiada mu twardo.

To zbija *er* z tropu. Sprawia, że gubi wątek i milczy dłuższą chwilę. Może czeka na ciąg dalszy, ale *ei* nie ma niczego do dodania.

– Słucham? – Hertre-er w końcu się odzywa.

Wyjaśniać, uczyć, leczyć niewiedzę – wyuczony nawyk bierze w *ei* górę i dlatego tłumaczy:

– Kornel to imię, którego tu używam.

– Imię z tego świata... – Er-Seve-Lat wydaje się mówić do siebie; cicho i powoli. Czuć jak gniew wypala się w nim i zastępuje go ciekawość. – Czy też powinien takie mieć?

– Jeśli chcesz...

– Jakie?

Ma pomysł, ale zachowuje go dla siebie. Lena byłaby zła, gdyby dowiedziała się, że coś w tej sytuacji narzucił. Nieważne, że to Hertre-er go o to zapytał, nieważne, że *er* nie zna imion tego świata, więc nie jest w stanie żadnego wybrać, wszystko nieważne.

Kornel oddycha głęboko i mówi wreszcie:

– Zapytaj Lenę. Na pewno ci pomoże.
– Ufasz jej, ale jej nie kontrolujesz.
– Tak. Znam ją całe jej życie... – waha się – i tak, nikogo tu nie kontroluję. Ludzie nie mają ejseji, nie nadają i nie są w stanie bronić się tak jak my.

– Ale czuć ich. – Hertre-er spogląda w stronę wyjścia. Z kuchni nie widać Majki, jednak Edel jest pewien, że Seve odbiera ją w ejsejach.

– Nawet nie próbuj – ostrzega.

Seve odwraca się ku niemu i Edel spodziewa się pytań, ale te nie padają. W zbyt długą ciszę wlewają się kolejne emocje Hertre-er. Żal, złość i niechęć – wszystkie już dobrze *ei* znane i paradoksalnie uspokajające, bo żal i wściekłość skierowane przeciwko Edel, wszystkim Edel.

Jest Edel i to przyjemne znów czuć się częścią czegoś większego, nawet jeśli tylko przez chwilę. – Mówią, że złamałeś siódmą.

Hertre-er prycha.

– Czy wyglądam na szaleńca?

– Nie.

– To nie wymyślaj bzdur... – Zrozumienie zaczyna przebijać spod dotychczasowych uczuć i Hertre-er patrzy na Kornela uważniej, ruch jego oczu zmienia się i kolejne słowa nie stanowią zaskoczenia. – Ei masz z nimi kontakt.

– Miałeś – odpowiada Kornel szczerze, bo nie wie, co się stało z labiryntem. Nad przesłodzoną kawą rozmawiał z Miłozsem o innych rzeczach, nie pytał, co robi z zajmującym jedną trzecią salonu konstruktem. – Powiedziało, że powinienei cię'er powstrzymać.

– Grają na czas. Znają cię'ei i wykorzystują to. Siódma, naprawdę! – Hertre-er śmieje się. – Zwariowałeś, ale chcą nas wszystkich skazać na życie w poczuciu winy, więc to nic nowego. Edel... i Jelt. – Przechodzi *er* dreszcz odrazy i jego niechęć staje się tak wyczuwalna, że Kornel zamyka się szczelniej. – Kiedyś wybijano ich, ledwie wyszło na jaw, czym są.

– To było eony temu.

– Tak. Wyrosłyśme z tego, ale na kogo? Wiesz, że manipulują tobą. Znają cię'ei, bo jesteś jednej z nich.

Przytakuje, bo tak, z pewnością jest tam też wielu z tych, którzy uczyli go kontroli i świata. Edel rodzi się niewiele, więc Kornel

jest pewien, że nawet Loriel-le kiedyś spotkał i po porostu tego nie pamięta.

– To o siódmej... – Hertre-er znowu się śmieje. – Ze wszystkich zasad wybrali sobie tę, naprawdę...

Kornel wyczuwa niechęć er-Seve-Lat. Już nie jest jego bohaterem ani sprzymierzeńcem, który ma pomóc we wspólnym wielkim planie. Teraz jest potrzebny tylko dlatego, że może zsynchronizować zwierciadło – coś, czego Seve nigdy nie będzie w stanie zrobić.

– To, co zamierasz zrobić tutaj, to złamanie siódmej. Chcesz skonstruować zwierciadło kolapsujące, choć ta cywilizacja nie jest jeszcze na to gotowa. Budując je pod twoim nadzorem, dowiedzą się dość, aby potem samodzielnie skonstruować kolejne. To zdolna cywilizacja i na pewno znajdą swój sposób na zsynchronizowanie ich.

– Jakby oddanie im skafandra nie było złamaniem siódmej – odpowiada szybko Hertre-er i patrzy spode łba. Spojrzeniem prowokuje Kornela, aby zaprzeczył, ale to nigdy nie nastąpi. Edel się z nim zgadza. – To Overtre-er miał w nim przejść, prawda? Er wprowadziłby nas w nowe czasy, pokazałby nam świat gdzie grupa wybranych nie czuwa – prycha – nad maluczkimi, bo może. To by coś zmieniło i w końcu wyróżnęłybyś takie odszczepieńców jak wy-Edel i Jelt. Ale ukradłeś er go. – Hertre-er atakuje znowu i nie daje *ei* czasu na wyjaśnienie, że, na lśnienie i rozety, nie, Overtre-er nigdy nie planował rewolucji. – Może lepiej byłoby, gdyby to er tu był. Na pewno działałby szybciej. W ogóle działałby, a nie tylko patrzył. Ale wy-Edel tylko patrzycie. Regulujecie, tak? – Seve prycha znowu i wstaje. Patrzy na *ei* z góry i nie kryje się ze swoją nienawiścią. Wylewa ją na Edel i Korei-ei zamyka się szczelniej. To nie przechodzi niezauważone. Er-Seve-Lat klnie na białe demony i otwiera się bardziej. – Podejmujecie decyzje w oparciu o nastroje wszystkich... – cedzi. – To pięknie brzmi, ale znaczy tylko tyle, że nic nie robicie i ty'ei też nic nie robisz. Myślał, że jesteś innej, ale nie. Widział kapelusza. Musiałeś sobie taki sprawić, choć on nic tu nie znaczy!

Edel nie przerywa mu, nie zaprzecza i nie opowiada, o ile więcej znaczy melonik, który dostał od Kiryła. Hertre-er nie rozumie. Odślonił się tak bardzo, że jasnym jest, że tu nie chodzi o kapelusz czy Korei-ei, a o Edel. Wszystkie. Jedyne, czego *ei* nie wie, to czy Loriel-le mówił prawdę, opisując er tak, jakby był sam jeden, czy prawdziwa

jest wersja Hertre-er i naprawdę takich jak *er* jest wielu, a *ei* sano-wi dla nich symbol większy i bardziej niebezpieczny niż melonik. A może rację ma *ei* sam i jest ona w połowie drogi: *er* jest samo, a Edel ich zabija z obawy o siebie lub o wszystkich, to bez różnicy.

– To cię'ei bawi?! Te skafandry powstają dla tych, którzy robią, a nie patrzą z góry! Miejcie sobie te swoje głupie kapelusze, ale...

Hertre-er zachłystuje się powietrzem i cofa o krok. Drugi, trzeci. Opiera się o szafki i oddycha z trudem. Kornel otwiera się nieznacznie i odnajduje lancję Leny nieopodal domu. Zakląłby, ale już szczęka klamka, słysząc szelest kurtki i po chwili Lena stoi w progu. Jest blada, włosy ma niechlujnie związane na karku i wygląda na niewyspaną. Spogląda na nich, na Hertre-er i w końcu dociera do niej, co zrobiła.

– Przepraszam! – szepcze i cofa się o krok. – Przeparkuję dalej.

To sprawia, że Kornel w końcu przełamuje zaskoczenie. Otwiera się nieco bardziej, ignoruje zimny dreszcz i sięga ku Hertre-er, siłą zamyka go szczelniej, by auto Leny aż tak na niego nie oddziaływało.

– Przestań – warczy Hertre-er.

Edel się waha.

– Dam radę.

Chciałby w to wierzyć. A przecież to tylko jedno auto. Gdyby *er-Seve-Lat* mógł pojechać do Twierdzy w skafandrze, z pewnością byłoby mu łatwiej, ale ściągałby na siebie zbyt wiele uwagi.

– Przestań!

– Kornel – Lena syczy na niego i Kornel wątpi, że rozumie, co się dzieje i że tym razem jest to próba pomocy. – Zostaw go!

Odpuszcza posłusznie. Hertre-er zachłystuje się znowu powietrzem, zamyka szczelnie, ale to wciąż za mało. Drży wsparty o ścianę.

– Kornel! – Kobieta wbija w niego wściekłe spojrzenie.

– Nic nie robię.

Nie jest pewien, czy *ei* uwierzyła i to sprawia, że patrzy na nią w poszukiwaniu akceptacji, ale ona odwraca się do niego plecami. Rozmawia z Hertre-er. Ich słowa szeleszczą w cichej kuchni i *ei* bardzo stara się nie podsłuchiwać, ale też nie ma siły wstać i wyjść. Czeka. Znowu. Ma w tym praktykę.

– Majka!

Głos Leny wyrывa go z zamyślenia. Wredne maleństwo patrzy na niego, stojąc w progu. Niechętnie owija szyję szalikiem. Lena

podchodzi do córki i poprawia ubranie. Jej kroki dudnią o drewnianą podłogę, ruchy ma ostre i szybkie. *Ei* chce jej powiedzieć, żeby przestała krzyżeć, ale nie zdąża – w smutny sposób to go bawi – bo nagle to *ei* staje się obiektem jej uwagi.

– Za kilka dni wrócę po skafander Hertre-er. Teraz mi się nie zmieści. Majka, pospiesz się. Gdy będziemy gotowi do synchronizacji, przyślę kogoś po ciebie, więc siedź w domu... Nie zmieniłeś zdania?

Hertre-er spogląda na niego uważnie z głębi korytarza. Nawet z tak daleka widać ruch w jego oczach.

– Kornel – głos Leny drży.

Ei przypomina sobie zapewnienia Loriele i znowu niemal ulega pokusie.

– Na miłość boską! – Kobieta znów krzyczy.

– Dotrzymam słowa – odpowiada w końcu.

Lena oddycha z ulgą. Uśmiecha się i to koniec.

Wychodzą.

Kornel siedzi na krześle. Słyszy, jak auto odjeżdża, ale nie śmie się poruszyć. Nie myśli, nie odlicza minut i stara się zniknąć. Od dziecka uczono go, by nie postępował pochopnie, nie mieszał się, gdy nie trzeba, zachowywał obiektywizm – bo urodził się Edel. Bo w pewien sposób jest niebezpieczny i nim cokolwiek zrobi, powinien mieć pewność, że to najlepsza droga. A *ei* tego nie wie. Nie wierzy, że budowa zwierciadła kolapsującego to dobry pomysł, ale nie ma lepszego.

Zrywa się z miejsca i wybiega do przedpokoj. Wypada na ganek, ale auta już nie widać. Otwiera się, znajduje linię średniego napięcia, sięga dalej, do pierwszych domów, ale Leny tam nie ma. Sięga jeszcze dalej, ale tam już jest zbyt wiele źródeł i ból wykwita *ei* przed oczami białymi kwiatami mroczków.

Na miękkich nogach wraca do domu, który jest jego azylem, ale nie potrafi odnaleźć w nim spokoju. Miota się. Gabinet to same wspomnienia. W salonie znajduje zapomnianą przez Majkę zabawkę, ale boi się ją podnieść. W kuchni wszystko jeszcze pachnie Leną, a ejseje wyłapują powidoki wściekłości i nienawiści Hertre-er. *Ei* ledwie jest w stanie ustać. Szuka oparcia w szafce, a zamiast tego zastyga z dłonią nad melonikiem. Pamiątka po Kiryle jawi się *ei* tylko jako symbol porażki i pierwszy raz rozumie, dlaczego Anastazja tak jej nie lubiła.

Gniew podchodzi *ei* do gardła. Chwyta kapelusz, wraca na ganek i ciska nim za próg. W śnieg. Czarny materiał odcina się od skrzęcej w słońcu bieli. Przypomina ciemne oko. Łypie na niego i Kornel nie może tego znieść. Podrywa się z podłogi, potyka i w końcu z hukiem zatrząskuje drzwi.

Dość.

Pszczew, 28 marca 1946 r.

Anastazjo,

nie znam słów w Twoim języku, którymi zdołałbym wyrazić, co czuję. Współczucie i smutek to za mało. Wybacz. Przez całą wojnę łudziłem się, że znaleźliście schronienie i kiedyś spotkamy się we trójkę. Wiadomość, że już nigdy nie będzie to możliwe, zdruzgotała mnie i nie potrafię sobie wyobrazić, czym śmierć Kiriya jest dla ciebie. Dla mnie był nauczycielem i przyjacielem, ale wiem, jak drogi był Tobie. Pamiętam nasze dni w Pietrozawodsku, w Revelu, Rydze i Gdańsku. Dziś bardziej niż kiedykolwiek żałuję, że zgodziłem się odjechać z Hieronimem, zostawić was. Naiwnie z pewnością mam wrażenie, że wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

Porozmawiam z Andrzejem, może on znajdzie sposób, aby pomóc Ci do nas przyjechać, bo mnie ten kraj ciężko będzie opuścić. Gdyby było inaczej, to ten list byłby depezą, a ja już byłbym w drodze.

*Dbaj o siebie, proszę,
Kornel*

Wsuwa list z powrotem do koperty i ostrożnie odkłada ją do kartonu. Kolorowe przegródki oddzielają w nim kolejne lata wypełnione wspomnieniami. Są tam notatniki Kiriya, które Anastazja przywiozła ze sobą na krótko przed śmiercią. Są jej własne pamiętniki, niewysłane listy, które pisała sama do siebie, by lepiej zrozumieć otaczający ją świat. Są fotografie z Pietrozawodska, Revela i jedna z Pszczewa. Są też nowsze zdjęcia w sepii z małym Władysławem i takie w wyblakłych kolorach, na których Władysław trzyma na kolanach małą Lenę. A potem już te zupełnie nowe z Majką na sankach koło domu Kornela pod Kłodzkiem. Ponad sto lat zamknięte w trzech pudłach, które jest w stanie podnieść. I niczego więcej już nie doda.

Skupia się na oddychaniu, by nie myśleć o tym, jaki będzie to koniec. Wielki czy mały, bo gdzieś od czterdziestego szóstego wyleczył się z naiwności i wie, że nawet jeśli Hertre-er zdąży ze zwierciadłem i *ei* uda się je poprawnie zsynchronizować – a oczywiście, że się uda – i ten wszechświat ocaleje, podczas gdy tamten przestanie istnieć, to i tak nic już nie będzie takie samo. Lena nie będzie tu przyjeżdżać, nie będzie zostawiała Majki, badania posuną się do przodu i nikt już nie będzie się na niego oglądał. Naprawdę zniknie dla świata.

Nie chce o tym myśleć, ale wszystko inne jest jeszcze gorsze.

Może Hertre-er i Lenie się uda, ale dalej coś pójdzie nie tak? Przecież nie planują spożytkować energii kolapsu. Nie mają jak. Cywilizacja na Ziemi w obecnej chwili nie umie zagospodarować nawet promila tej mocy, a *ei* wie, jak trudno przykręcić kurek tak mocno. Dlatego upuszczają ją w przestrzeń. W eter pomiędzy wszechświatami – Lena powiedziała to przed trzema dniami tonem, jakby było to coś absolutnie oczywistego. Wytknął jej to, a ona nazwała go pesymistą, dopiła herbatę i ze skafandrem Hertre-er w bagażniku odjechała ku Kłodzku. Ale *ei* nie potrafi przestać myśleć o wszystkim, co może pójść źle. Wciąż nie wie, co zrobi Lena i pozostali, jeśli zwierciadło, zamiast odbić, jednak skupi choć część energii z kolapsu. Co, jeśli będą za blisko? Jeśli wyrwa, którą zrobią, okaże się za mała i Edel zdołają ją załatać? Czy są w stanie rozwijać się tak szybko, by odeprzeć kontratak? Czy Hertre-er ma dość wiedzy? Bo Kornel jej nie ma, ale za to doskonale rozumie konsekwencje.

Sięga pomiędzy koperty z tysiąc dziewięćset dziesiątego, z Pietrozawodska. Plik fotografii owinięty jest papierem zabezpieczonym starym sznurkiem. Rzadko je oglądał w przeszłości. Nie czuł potrzeby i nie chciał wspominać, ale dziś i tak jest zły dzień, więc czemu nie dobić się bardziej?

Nie ma na nich ludzi, którzy już dawno umarli i za którymi mógłby tęsknić. Jest za to jego skafander.

Nie, nie jego. Oczywiście, że nie jego, a Overtre-er Jelt Vede, już to przerabiał.

Dreszcz wspina się Kornelowi po plecach. Wspomnienia stają przed oczami jak żywe i przesłaniają regał pełen książek. Overtre-er tłumaczący, Overtre-er przekonujący, że tylko patrzy, tylko tak sobie myśli.

Ei zamyka oczy. Wspomnienie znika i może dalej oglądać fotografie. Próbuje odtworzyć kolory zredukowane do szarości. Przygląda się skafandrowi z bliska i z daleka. Ujęciom od pasa w górę i w dół, detalom. Na odwrocie niektórych zdjęć znajdują się komentarze. Że rękawica, że nogawka, rękaw, grubość metalu, który nie ma tu nazwy. Próby zrozumienia symboli, uwagi co do tego, jak się powtarzają. Kornel żałuje, że nie ma dokumentów Sergieja. Czytanie ich zajęłoby *ei* długie godziny oczekiwania.

Rezygnuje. Nie dlatego, że to byłoby nieodpowiedzialne i żałosne, a dlatego, że chce jeszcze zobaczyć Lenę. Ją i Majkę. Nie powiedział Lenie, że z Miłoszem już lepiej – nie pozwoliła mu. Przyjechała, opowiedziała, co robią, ale nie chciała słuchać. Może kolejnym razem, w aucie, gdy będą skazani na siebie, porozmawiają normalniej.

Przekłada fotografie. Przygląda się im i próbuje myśleć jak Hertre-er. Przypomina sobie jego ostatnie słowa. Zarówno te wściekłe o meloniku-symbolu – nie może powiedzieć, że nie było w nich odrobiny prawdy – jak i te pełne wyrzutu, że na ten zaszczyt nie zasłużył. Tak, tak, po stokroć tak i w zadufaniu naiwnie myślał, że tylko dla niego skafander jest symbolem. W przeciwieństwie do meloników nie stanowiły częstego widoku. Tak, wykorzystywano je w badaniach, ale to były pojedyncze egzemplarze używane, by po cichu zwiedzić ten czy tamten świat, przejść na drugą stronę i tam przeżyć. Ale na co dzień nikt ich nie potrzebował. Stały w muzeach, widniały na dekoracjach i chwaliły czasy nowego porządku, wyjścia z chaosu, zrozumienia i pierwszego spotkania ze Zwierzchnościami.

Wmówił sobie, że tylko *ei* patrzy na nie nie tylko jak na dekoracje – młody był i głupi.

Nadal jest. *Ei* rozumie to i akceptuje.

– To były czasy czynu. Wielkich decyzji również, ale przede wszystkim czynu – odzywa się pierwszy raz od dnia lub dwóch.

Złość Hertre-er staje się zrozumiąca i przypomina *ei* Lenę w tych wszystkich chwilach, w których nie umieli znaleźć wspólnego języka. Śmieje się. Cicho, wypuszczając powietrze przez nos i trzęsąc się nieznanie. Nie przestaje, gdy owija fotografie w papier i chowa je do pudła. Dopiero gdy wychodzi na ganek i zimno przegryza *ei* się przez ubranie aż do kości, milknie. Spogląda w bezchmurne niebo i zapada się we wspomnienia o Kiryle uczącym go nazw konstelacji i o Majce słuchającej w skupieniu, gdy *ei* sam tłumaczył jej, jak odnaleźć Krzyż Północy.

– Kornel.

Szymon stoi na ganku. Gruby szalik sięga mu niemal nosa, czapkę ma nasuniętą na czoło, a śnieg zdążył przyprószyć jego czarny płaszcz, chociaż stara mazda stoi zaledwie kilkanaście nieznośnych metrów dalej. *Ei* milczy. Wie, że coś jest nie tak, ale nie śmie zgadywać.

– Skończyli podstawę konstruktów i Herbert uważa, że już można zsynchronizować układ.

– Herb... Hertre-er.

Szymon potakuje.

– Twierdzi, że teraz będzie dobrze i dalej poradzi sobie sam, aż do ostatecznego uruchomienia... Szybko poszło. – Śmiech brzmi nienaturalnie, jakby tłumili go zwały śniegu wokół. – Nie wiem, ile ci to zajmie. Musisz się spakować?

– Nie. Wystarczy kilka godzin.

Ta rozmowa nie płynie. Każde zdanie wyduszają z siebie z trudem i Kornel po prostu musi zapytać:

– Też mnie nienawidzisz?

Starszy pan spogląda na niego, bierze wdech, ale nie wypuszcza powietrza przez bardzo długą chwilę, aż czerwienieje nieco na twarzy. Oczy ma rozwarłe szeroko i usta mu drżą. Gdy się odzywa, ledwie go słychać.

– Czy Maja mogłaby zostać u ciebie na trochę?

To głupie pytanie. Oczywiście, że tak i oboje o tym wiedzą. Kornel prostuje się, a i tak nadal jest o ponad głowę niższy. Wychodzi za próg i dzieli ich centymetry.

– Szymonie? Dlaczego Lena chce mi podrzucić Majkę?

Mężczyzna zwleka z odpowiedzią. Jego twarz tężeje, a spojrzenie staje się nieobecne i *ei* jest pewien, że stało się coś złego.

– Lena miała wypadek. Jest w szpitalu, nieprzytomna. Nie wiemy, jak długo jeszcze, a Twierdza to nie miejsce dla dziecka – Szymon mówi coraz szybciej, swobodniej. – Wszyscy jesteśmy zajęci, ona nie zna nas za dobrze, nudzi się i boi, a w szpitalu też nie może sama siedzieć. A ciebie zna i tu lepiej zniosłaby to wszystko...

Słowa zaczynają zlewać się Kornelowi w biały szum. Cofa się o krok. Drugi. Traci kontrolę i bliskość mazdy nagle staje się dla niego aż nadto wyraźna, atakuje go, pozbawia równowagi. Trwa to mgnienie oka, ale to i tak za długo. Odzyskuje kontrolę.

- Jeśli to problem, to ma ciotkę w...
- Nie. To nie problem.

W aucie *ei* milczy. Zamknięty szczelnie wpatruje się w ośnieżone wzgórza i próbuje wmówić sobie, że na to zasłużył. To jego kara. Tylko dlaczego kosztem Majki? Dlaczego Lena? Dlaczego nie Szymon? Jego też byłoby *ei* żal, ale...

Opanuj się – nakazuje sobie w myślach, choć cholernie potrzebuje to usłyszeć. – Nie istnieje taka sprawiedliwość. Nikt tego nie zrobił. Stało się. To tragedia, tak jak tragedią była śmierć Ewy.

Bierze gwałtowny wdech. Gdyby tylko Zwierzchności były mniej realne, to modliłby się do nich jak ludzie modlą się do Boga. Ale one są jedynie istotami z metawszechświata i nie usłyszałyby go. Dlatego szuka we wspomnieniach imion zapomnianych bogów. Tych, w których wierzono, gdy *Zemē* walczyli sami ze sobą, gdy wybijali dzieci przejawiające siłę i brak kontroli Jelt, bo bali się ich, i gdy z tego samego strachu wybijano Edel. Czytał o tym dawno temu, to z tamtych czasów wywodziły się symbole, którymi ozdabiali drzwi. To oni walczyli z białymi demonami, ale ich imiona... Nie pamięta. Zaciska bezsilnie dłonie na połach płaszcza. Samochód wjeżdża w park noworudzki i zaraz będą na miejscu.

Kornel idzie pierwszy. Szymon kuśtyka za nim ku wejściu znanemu nielicznym. Nie muszą okazywać przepustek, mówić, czemu tu przyszli, bo pilnujący ciężkich drzwi strażnik ich zna. Uśmiecha się, otwiera im, wpuszcza w wąski korytarz bez zadawania pytań i proponowania, że wskaże drogę. *Ei* wie, dokąd iść, bo jest tylko jedno dostatecznie duże pomieszczenie położone wystarczająco głęboko. Kiedyś stanowiło element drogi ucieczki z Twierdzy, miejsce postoju, a wąski, wysoki korytarz po drugiej stronie pozwalał wprowadzić tam nawet kuce. Władysław wiele mu o tym opowiadał.

Kornel chce jak najszybciej stąd wyjść, nawet jeśli oznacza to powrót do miasta i białych demonów, których tu już prawie nie czuje.

- Gdzie jest Majka?
- Szymon patrzy na niego zaskoczony.
- Myślałem, że najpierw...
- Gdzie jest Majka?! – Nie ustępuje.
- W twoim starym pokoju.

Skreca w tamtą stronę. Korytarz obniża się i opada, podłoga lśni w fluorescencyjnym blasku, miejscami wilgoć zbiera się w kałuże o gładkich taflach. Na ścianach farbą wymalowano kolorowe strzałki. Zielone do kwater, niebieskie do zbiorów, żółte są mniej nadgryzione przez czas i te z pewnością prowadzą do laboratoriów. Kornel je ignoruje. Zostawia w tyle Szymona i odgłos uderzeń jego laski o kamień, do pokoju bardziej wpada, niż wchodzi. Majka upuszcza książkę i przez sekundę patrzy na niego wystraszona, zanim podrywa się z łóżka i nagle jest już przy nim. Obejmuje go tak mocno, że to boli, ale Kornel nie mówi jej tego. Przytula ją w milczeniu. Nie miał słów, pisząc do Anastazji, i teraz też ich nie ma. Ignoruje głos nawołujący go z korytarza i nie puszcza Majki, póki ona nie robi tego pierwsza. Dopiero wtedy otwiera się i szuka konstrukt. Chciałby go nie znaleźć. Chwyta mocniej dłoń Majki i powoli zagłębiają się korytarzem ku wielkiej sali. Szymon kuśtyka za nimi. Stukot jego laski niesie się echem, czasami jej końcówka ześlizguje się z kamienia ze zgrzytem i wtedy Majka podskakuje ze strachu. Kornel nie puszcza jej ani razu, ale nie odzywa się i nie zwalnia.

Konstrukt tam jest. Tkwi w nim już pewna wibracja, zwierciadło formuje się i *ei* jest pewien, że to dzieło Hertre-er. Nierówne, wrzynające się w wymiary w nadto znajomy sposób. Jak każde Edel Korie-ei jeden raz przebywał na tyle blisko działającego pełnowymiarowego zwierciadła kolapsującego, by poczuć, jak oddziałuje ono na ejseje. Zapamiętał, że było to jak zdjęcie zasłony z oczu i wszystko, co wcześniej robił, jak kontrolował siebie, jak pomagał innym kontrolować się i bronić, to były popłuczyny prawdziwego przeznaczenia tego zmysłu. Ejseje pozwalały postrzegać i wpływać na wymiary, do których nie należeli, ale z dala od zwierciadła nawet Edel były za słabe, aby to wykorzystać. Dla wielu ta wizyta pozostawała też jedyną, a potem, jak on, przez lata obcowali najwyżej z małymi lusterkami podobnymi do tego stworzonego przez Overtre-er, zanim przemienił je w portal i...

– Kornel, może Majka powinna zostać tutaj? – Szymon wydaje się szczerze zatroskany.

– Nie. – To samolubna decyzja, ale nie czuje wstydu. – Chcę...

– Jesteś, Korie-ei!

Hertre-er wychodzi im na powitanie. Wygląda niepokojąco w dżinsach i ciepłym polarze. Ludzko, poza oczami, które mienia się odcieniami pomarańcza i czerwieni.

– Mam nadzieję, że wszystko się uda. Czas nie gra na naszą korzyść, ale powinno się udać. Liczę, że protesty opóźnią Edel—

Konstrukt nie wygląda pięknie, a raczej jak coś, co częściowo się zaważyło. Te brakujące fragmenty zostaną uzupełnione, gdy je zsynchronizuje, gdy zanurzy całość w wyższych wymiarach, ale nawet wtedy nikt tego nie zobaczy. Tylko *ei* poczuje to naprawdę i może Hertre-er choć trochę również, jeśli otworzy się i skupi. Kornel oddycha głęboko i w końcu puszcza Majkę. Uśmiecha się do niej, ona do niego i już jest gotów.

– Chcę mieć to już za sobą – szepcze do siebie.

– Korie-ei...

– Kornel – mruczy i otwiera się, zamyka oczy, nieruchomieje. – Sz...!

Wszyscy milkną i słysząc pracujący w oddali wentylator. Niski pomruk niesie się korytarzami, ale ten Kornel potrafi wytłumić. Rozwija ejseje. Pozwala im powędrować wzdłuż kości aż do opuszków palców i stara się ignorować ból. Od dawna nie otwierał się tak bardzo. Jego organizm odwykł, naturalne żłobienia zaczęły się zasklepić i teraz czuje, jakby płonął od środka. Raz jeden, przy ostatniej z prób, bolało go to równie mocno. Potem było łatwiej. Dzień po dniu łatwiej, ale teraz czuje się jak przy tym pierwszym razie. Nie jest w stanie oddychać. Stoi tylko dlatego, że mięśnie zastygły *ei* i gdyby ktoś go pchnął, upadłby jak kłoda. Jest bezbronny, a jednocześnie otwiera się dla niego cały nowy świat doznań. Droga ku Zwierzchnościom, której ludzie nigdy nie poznają. Nie w ten bezpośredni sposób co *ei* i przez ułamek sekundy żałuje, że Majka nigdy nie doświadczy świata od tej strony. Rezonans szarpie nim od środka, choć na zewnątrz Kornel nie drgnął ani o milimetr. Tłumi odbijające się fale. Cały jest już jedną ejseją i gdy kakofonia konstruktów atakuje go, odpowiada atakiem. Tłumi jej fałszywe piki, wyciąga minima, redukuje ekstrema i porządkuje amplitudy tak, jak go nauczono, ale raczej nikt nie pogratuluje *ei* wprawy, z jaką to robi.

Dla Majki – musi to sobie powtarzać za każdym razem, gdy rezonanse ustają na chwilę. Dla Majki.

Łapie oddech. Krztusi się nim, bo większość jego ciała nadal jest uwięziona w kamiennym bezruchu. Nie ma pojęcia, ile czasu minęło.

Godzina, trzy? To bez znaczenia, bo konstrukt pracuje poprawnie, choć na pierwszy rzut oka nic się w nim nie zmieniło. To nadal kupa wznoszących się ku sufitowi serpentyn, sieć wyprutych z obu skafandrów czujników, emiterów i mikrogeneratorów.

Prowizorka działająca z minimalną mocą, ale jednak działająca i to go przeraża. Gdyby nie Majka trzymająca go mocno za rękaw płaszcza, to już biegłby ku wyjściu. Oddycha i raz jeszcze powtarza sobie, że to dla niej. Że jest jej to winien.

Jak odpokutuje przyłożenie ręki do śmierci wszystkich tych, którzy są po drugiej stronie – nie wie. Prawdopodobnie nie ma takiej rzeczy, która byłaby wystarczającą karą i może dobrze, że Leny tu nie ma.

– Niesamowite – szepcze Hertre-er i Kornel prycha, choć to raczej odruch niż świadomy komentarz. Ale tak, nie ma w tym niczego niesamowitego.

Dla Edel.

Spogląda na Hertre-er... Herberta i zazdrości mu, bo jest *er Seve* i nigdy nie poczuje tego ciężaru odpowiedzialności, który z każdą kolejną sekundą coraz bardziej obezwładnia Kornela. Nie zakorzeniono w Hertre-er, że jest odpowiedzialny za wszystkich i za siebie, nie jest też tym, przez którego ten wszechświat musi się bronić. Nie. Herbert jest dawcą życia.

– Będziesz w stanie samer zwiększyć moc na wyjściu?

To, jak Majka chwytła go za dłoń, mówi *ei* wszystko o fakcie, jak zimno i obojętnie zabrzmiał.

– Chyba tak. Myślałaś, że nie, nigdy w życiu, bo małe nierówności eskalują, ale to... Nie kłamałaś, gdy twierdziłaś, że z żyjących jesteś jednej z najlepszych marionetkarzy.

Wzdraga się, bo żeby tak wmieszać zniewagę w wyrazy uznania, to trzeba mieć tupet, ale rozmawiają w swoim języku i jedynie Szymon ich rozumie, a i on słabo. Zresztą nawet Lena nie zrozumiałaby tego przytyku i dlatego Kornel ignoruje podtekst.

– To dobrze. – Kolejne słowa wypowiada do wszystkich. – W takim razie nic tu po mnie. Jeśli będziecie mnie potrzebowali, to będę u siebie.

Nikt ich nie zatrzymuje, gdy wychodzą.

Za oknami dzień przeżarła szarość i gdzie by nie patrzeć i jak nie wyteżać wzroku, widać tylko biel. Śniegu, chmur, mgły. Dlatego

siedzą na podłodze w kuchni otoczeni kartonami. Przed sobą mają listy, rysunki i fotografie, za plecami ciepłą ścianę z kominem. Kornel już cztery razy pytał Majkę, czy chce pojechać do szpitala, do Leny. Nie chciała, a mimo tego pyta po raz piąty:

– Nie chcesz odwiedzić mamy?

Wredne maleństwo kręci głową i spogląda na niego. Zielone oczy ma przekrwione z niewyspania, włosy skołtunione i Kornel czuje się winny.

– Na pewno?

Dziewczynka potakuje.

– Jeśli...

– A ty byłeś u wujka Miłosza? – W jej głosie zgrzyta wyrzut i Kornel podnosi się, nastawia mleko na kakao.

– Tak – liczy w myślach – trzy tygodnie temu. – Ma wrażenie, że minął rok.

– Ale teraz? Po tym, jak powiedział mamie, żebyś przyjechał. Wtedy, kiedy spotkaliśmy go na spacerze.

Patrzy na nią, stojąc przy kuchence. Nie śmie się poruszyć i szuka słów, bo Majka nadal obejmuje ramionami kolana, nadal kuli się pod kocem, ale teraz również marszczy brwi i nie odwraca od niego spojrzenia.

– Kiedy to było?

Oddech Majki staje się nierówny. Wredne maleństwo pociąga nosem i może powinni byli siedzieć w gabinecie, choć nie jest pewien, czy tam byłoby cieplej. Chyba nie. Poza tym ona chciała być tutaj, więc są tutaj, ona chciała oglądać stare zdjęcia, więc wyciągnął je, choć widok skafandra, twarz Anastazji, jej pismo, mała Lenka nad Bałtykiem, to wszystko sprawia, że czuje się jeszcze gorzej.

– Jak mama miała wypadek.

Wredne maleństwo stwierdza to jak oczywistą oczywistość i w końcu Kornel przełamuje stupor, podchodzi, kuca pomiędzy fotografiami. Patrzą na siebie i nic nie ma do rzeczy, że nie założył okularów. Od trzech dni ich nie nosi, od trzech dni Majka cały czas jest u niego.

– Wujek Herbert chciał spróbować wyjść z Twierdzy, więc poszliśmy na spacer i spotkaliśmy wujka Miłosza – tłumaczy *ei* dziewczynka powoli, jakby to *ei* był dzieckiem. – I wujek powiedział, że musisz do niego przyjechać, bo... bo Lori, Lorie... powiedziała, że

czekają na ciebie w katedrze i że jest ktoś, kto chce z tobą porozmawiać. Ktoś na „o”... I że to bardzo ważne, i wujek Miłosz kazał mamie obiecać, że pojedzie do ciebie i ci o tym powie. – Głos zaczyna się jej łamać. – A potem mama... ona...

Kornel powoli wypuszcza powietrze. Poczucie winy obezwładnia go. Więc nawet to jest przez niego. Gdyby nie on, Lena może zostałaby w Kłodzku i może nie leżała w szpitalu, a Majka spałaby spokojnie.

– Przepraszam – szepcze, ale ona chyba go nie słyszy.

– Mama powiedziała, że pojedzie sama, ale obiecała, że mnie później weźmie na lody. Cieszyła się, gdy odprowadzała nas do Twierdzy, ale wujek Herbert był zły.

– Bo wyjeżdżała?

– Już wcześniej.

Dreszcz wspina *ei* się po kręgosłupie, wślizguje kanalikami ejseji i sprawia, że Kornel nie jest w stanie się poruszyć. Myśli zatrzymują się, a *ei* sam kurczy się w sobie i grzechocze jak wysuszony orzech w skorupce, bo nie żyje od wczoraj, bo żaden świat nie był idealny, bo widział dwie wojny, bo słuchał ludzi, czytał książki i choć nie chce, to wszystko, co najgorsze wypełnia *ei* myśli. Spycha to. Wykorzystuje całą siłę woli, wszystko, czego go nauczono, by pozostać obiektywnym.

– Kiedy?

– Kiedy wujek Miłosz rozmawiał z mamą o Lori – Majka zająkuje się, ale wciąż nie odwraca wzroku. – Mama do ciebie nie pojechała, prawda? Zostawiła mnie na dole z wujkiem Szymonem, a potem ktoś powiedział, że mama... – Potrząsa gwałtownie głową, ale gdy odzywa się ponownie, jej głos nadal drży. – Wujku, czym jest katedra?

Nie umie znaleźć słów, aby jej to wyjaśnić, bo katedra to coś, czego sam nie potrafi ogarnąć. To Zwierzchności zniżające się do ich poziomu, zamykające w ich wymiarach. Nawet nie wie, jak miałby się tam dostać, choć pewnie wystarczyłaby myśl, chęć, odrobina dobrej woli, bo władza Zwierzchności jest wielka, ale jeśli Loriele i pozostali faktycznie się do nich zwrócili... To bez sensu. Tak nie zyskaliby na czasie, a przecież o to chodziło. Hertre-er miał rację...

Kornel traci oddech.

Podrywa się.

Pędzi na złamanie karku do pokoju Majki i znajduje jej telefon. Odblokowanie go trwa wieki, wybranie numeru eony, oczekiwanie

rozciąga się, a *ei* nadal nie wie, co chce powiedzieć. Myśli nie układają *ją ei* się w słowa tutejszego języka, czuje się jak w tysiąc dziewięćset ósmym, gdy nie rozumiał niczego, gdy nie umiał nikomu powiedzieć, kim jest i czego się boi. Teraz nawet przed samym sobą nie chce przyznać tego ostatniego.

– Maju? – Głos Szymona jest niewyraźny, ale Kornel nie śmie narzekać, bo to szczęście, że w ogóle odebrał. Że nie był gdzieś głęboko, przy konstrukcie, gdzie nie ma zasięgu.

– Szymon, jaki dokładnie wypadek miała Lena? – cedzi.

– Słucham?

– Jaki dokładne wypadek miała Lena? Co się stało? Samochód, ktoś ją napadł...

– Nie. W Twierdzy, tuż przed w sumie. Wybierała się do ciebie – Szymon wchodzi *ei* w słowo, a potem milknie. Waha się, to słychać w jego oddechu, w tym, jak pomrukuje początki słów, których potem nie wypowiada. Może zastanawia go, dlaczego tak nagle Kornel o to pyta, może chodzi o coś więcej, może Szymon coś wie i Kornelowi dreszcz znowu wspina się po plecach. Obejmuje go i wślizguje się zimnem tuż pod skórę. – Straciła przytomność – podejmuje w końcu Szymon. – Lekarze podejrzewają coś neurologicznego, ale póki co, nie są pewni.

To nie ma sensu, ale wiele rzeczy ostatnio go nie miało i Kornel zaczyna się już przyzwyczajać. Tak jak w tysiąc dziewięćset ósmym przyzwyczajał się, że wszystko jest nowe, inne, że nie pasuje ani do niego, ani *ei* do tego. Słowa Loriele odbijają mi się w pamięci. Słyszysz je dokładnie tak jak u Miłosza w mieszkaniu. „Miałyśmy od dawna odsłonięte zwierciadło, patrzyłyśmy i uczyłyśmy się. Wykorzystał to”.

– Co z Mają? – Szymon pyta miękko. – Jak ona to znosi? Widziała to i...

– Hertre-er też tam był?

– Słucham?

– Czy tam był?

– Tak, ale co z Majką?

Kornel nie wie, co powiedzieć, a wyuczone odruchy każą *ei* się odezwać, bo przecież od tego jest. Nie oddycha, nie mruga, próbuje sobie przypomnieć coś właściwego, ale nie jest w stanie, bo odpowiednie słowa nie istnieją. Wie to, ale i tak szuka, bo przecież co mógłby zrobić innego?

– Kornel, wszystko w porządku? Muszę wracać—

Patrzy przez ramię w głąb przedpokoju, by znaleźć uspokajający kształt melonika, ale nie ma go na półce. Wstrząsa nim dreszcz strachu. Przypomina sobie, że wyrzucił go za drzwi i przez chwilę chce wybiec na dwór, spróbować znaleźć go pod grubą warstwą śniegu, bo może naprawdę bez niego jest nikim. Musi oprzeć się o ścianę, by nie upaść. Telefon ciąży *ei* w dłoni i nie jest w stanie utrzymać go przy uchu.

– Wujku?

Wredne maleństwo patrzy na niego uważnie, ale przez chwilę jedyne, co Kornel widzi, to fotografie. Już jest pewien, że nie należało ich wyciągać, bo teraz nawet gdy zamknie oczy, widzi detale, łuki, kąty, błyszczące szkiełka emiterów wyrwane ze skafandrów i wmontowane w konstrukt łąpiące na niego prześmiewczo.

– Wujku!

Jej dłonie są ciepłe, parzą go, gdy wredne maleństwo zaciska je na jego palcach. Jest jak wtedy, gdy pokłócili się z Leną, tylko że Leny tu nie ma i jeśli podejrzenia *ei* są słuszne, to już nigdy nie będzie. Klnie cicho, nie hamując się. Majka przecież słyszała już gorsze rzeczy, a i *ei* musi to usłyszeć. Musi usłyszeć słowa, których nauczył się Kornel Roźdiestwienski, bo Korie-ei Edel Este na nic mu się tu nie przyda.

– Ubieraj się!

Wredne maleństwo marszczy czoło, ale przytakuje, i na rozety, Kornel ma nadzieję, że nie jest już za późno. Minęły trzy dni, od kiedy zsynchronizował konstrukt. Niewiele, ale i tak się boi. Chciałby móc sprawdzić jego stan już teraz, ale jest za daleko. Wybiega i choć szybko traci oddech, stara się nie zwalniać, póki nie dociera pomiędzy domy Szydłowca. Wpada na podwórze pana Tomasza i wyhamowuje na drzwiach. Powiedzieć, że puka, byłoby eufemizmem.

– Pali się czy co?! – Zachrypnięty głos jest ledwo słyszalny.

– Nie, ale może – odpowiada Kornel. – Podrzuci nas pan do Kłodzka, proszę!

Sąsiad wygląda mocno wczorajszko, ale trzyma pion i nie śmierdzi od niego na kilometr, więc *ei* ma nadzieję. Musi, bo pociągu nie będzie jeszcze przez kilka godzin, a oni nie mają czasu.

– Ale teraz?

– Proszę.

– Wy młodzi... – Westchnienie jest tak ciężkie, jakby to pan Tomasz przeżył dwie wojny, ale Kornel milczy.

Minuty upływają za szybko. Jedna, druga, dziesiąta. Mogliby być już na głównej drodze, ale Lidka dyktuje mężowi co ma kupić. Robi to powoli i trzy razy sprawdza, czy dobrze zapisał, bo ta lista zakupów jest teraz najważniejsza. Oczywiście, że jest, bo przecież Kornel nie wyjaśnił, że musi zdążyć do Kłodzka, nim stanie się coś niewyobrażalnie strasznego; nim dla kogoś skończy się świat. Dlatego tak, mąka typ sześćset i płyn do prania, ale niech się stary dziad nie wygłupia z niebieskim, ma być ten w różowej butelce – tak, to jest ważniejsze, bo to jest tutejsze życie i sprawy tego wszechświata i jeśli Majka dobrze zapamiętała, co Miłosz mówił o katedrze, temu wszechświatowi nic nie grozi.

Loriel-le nie kłamał. Ufali mu. *Ei* za to...

Pan Tomasz prowadzi gwałtownie. Hamuje, przyspiesza, silnik wyje i nie da się rozmawiać, ale to dobrze. Kornel tuli Majkę i otwiera się, próbuje dosięgnąć Kłodzka i Twierdzy, przeniknąć do niej, ale to niemożliwe. Nie stąd. Nie, gdy konstrukt jest tak głęboko i... czuje go. Jak słowo na końcu języka. Jest tam, zaraz na granicy i to Kornela przeraża, bo oznacza, że Hertre-er działa szybko. Od początku tak działał i to nie był zapał Leny, przygotowanie Szymona i reszty. Zrozumienie sphywa zimną kurtyną, sprawia, że Kornel czuje się za mały w stosunku do swojego ciała, trzęsie się wewnątrz niego, a dłonie Majki zaciśnięte na jego nadgarstku palą go żywym ogniem. Bo Miłosz potrzebował kilku miesięcy i wskazówek Edel, by skonstruować labirynt zależny od drugiej strony. Hertre-er jest Seve i to nie znaczy aż tak wiele, ale Kornel... nie, Korie-ei nigdy o nim nie słyszał, a jeśli pracował *er* blisko układów, to powinien. Historia rozpada *ei* się w pamięci. Hertre-er pracował przy zwierciadłach Loriel-le. Hertre-er dostał się tutaj. Hertre-er dowiedział się, że nie ma tu konstruktów – wiedział, że go tu nie ma. Hertre-er zbudował go...

– Gdzie was wysadzić?

– Jak najbliżej rynku.

Konstrukt odpowiada mu, kusi, ale białe demony go palą. Instyngt każe się zamknąć jak najszybciej, ale Kornel mu się opiera. Dziękuje panu Tomaszowi, zapewnia, że ten nie musi czekać – każde kolejne słowo wypowiada z większym trudem. Musi się na nich skupić, a jest tyle ważniejszych rzeczy. Trze twarz i orientuje się, że nie

ma okularów. Strach prześlizguje *ei* się między myślami, ale jest on niczym przy tym, co może się stać, jeśli nie zdążą.

– Maja.

Wredne maleństwo patrzy na niego uważnie.

– Pamiętasz, gdzie mieszka wujek Miłosz?

Dziewczynka przytakuje i Kornel ma ochotę przytulić ją mocno, ale nie ma na to czasu.

– Biegnij do niego, powiedz, że ja cię przysłałem z wiadomością dla Loriel-le. Musisz wejść do salonu i powtórzyć dokładnie to, co ci powiem.

Majka znów kiwa głową i Kornel powoli wymawia słowa, które niczego jej nie mówią. Najprostszy komunikat, jaki *ei* jest w stanie wymyślić: nie zdążę, przechytrzył mnie, zatrzymam go, odetnijcie się. W jej ustach wyrazy brzmią dziwnie, tony nie do końca się zgadają, dźwięki nie są dość wyraźne, ale ma nadzieję, że Loriel-le czy ktokolwiek, kto będzie słuchał, zrozumie.

– Leć.

Majka puszcza się biegiem przez zaśniewony rynek, a *ei* skręca ku Twierdzy. Choć ból zalewa *ei* oczy bielą, to nie zamyka się. Również biegnie. Strażnik przy drzwiach ponownie uśmiecha się na jego widok, otwiera *ei* szerzej, a Kornel wpada w wąski korytarz i nawet się nie ogląda. Nie odzywa się, tylko pędzi do sali na dole, przyciągany przez konstrukt. Nie widzi drogi, ale nie tylko dlatego, że białe demony nadal rozstrajają *ei* układ nerwowy i malują przed oczami monochromatyczne mozaiki, ale przez wściekłość, nad którą z trudem panuje. Nie robi tego, by nie ostrzec Hertre-er, bo z Twierdzy nie ma innego wyjścia. Seve – piąty, ledwie i aż!, sarka Kornel. Stara się opanować, nie narzucić swoich emocji Szymonowi i reszcie, nie zrobić przypadkiem tego, co Hertre-er zrobił specjalnie Lenie.

– Korie-ei...

Hertre-er nie kryje zaskoczenia jego widokiem i to przez ułamek sekundy bawi Kornela. Natychmiast potem ma wrażenie, że uderza dłonią w ścianę. Ból rodzi się na knykciach, falą uderzeniową ogarnia śródrezcze i eksploduje w nadgarstku. Hertre-er leży na podłodze, oczy mienia *er* się mozaiką żółci i zieleni, oddycha płytko, a po brodzie spływa krew. Kornel klnie znowu, bo najdrobniejszy ruch nadgarstkiem promieniuje bólem niemal pod łokieć i *ei* nie jest w stanie

rozprostować palców. Gdy Miłosz lał innych po mordach, wyglądało to mniej boleśnie.

– Ko...

– Szymon, wszyscy won!

Konstrukt pracuje zaskakująco dobrze. Za dobrze, ale przecież to było zaplanowane. Kornel jest ciekaw, jak długo to trwało. Dlaczego? Czy siódma była pretekstem, powodem, wypadkiem?

– Kornel.

– Won!

Otwiera się, obejmuje konstrukt, wrzyna się w niego swoją wściekłością. Wprowadza fałszywe nuty i rozstraja go brutalnie, a efekty tego widać gołym okiem. Spirale drżą i pył sypie się z sufitu. Nie tak zamyka się zwierciadła, ale *ei* nie ma już czasu. Nie wie, czy Majka zdążyła, czy Miłosz był w mieszkaniu, czy ktokolwiek słuchał, więc podnosi amplitudę i niszczy okresowość.

– Przestań! – Hertre-er krzyczy, wściekłość promieniuje od niego wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej. – Muszą zginąć! Zwierzchności ocalał sprawiedliwych, ale wy-Edel musicie zginąć! Potwory! Nie jesteście warci...

Ei-Edel-Este otwiera go brutalnie na konstrukt, na telefon Majki w jego kieszeni i na siebie samego. Seve drze się w niebogłosey, kamienne korytarze niosą ten krzyk daleko i może słyszeć go na powierzchni. *Ei* to nie obchodzi. Liczy się cichnąca melodia zwierciadła i to, że nie miał kiedy wyjaśnić Majce, co się właściwie stało. Teraz białe demony i rezonanse sparaliżowały rozwinięte ejseje i wygasający konstrukt ciągnie go za sobą. Zimna ciemność wdziera się na miejsce bólu i jest w niej spokój, z którym trudno *ei* walczyć, ale próbuje, bo musi coś zrobić. Nie może czekać. Nie wolno *ei* tylko patrzeć i może Hertre-er miał rację, gdy wyzywał go, może miała ją Lena, ale na pewno nie miał jej Asve Kast, bo Korie-ei Edel Este jest już kimś innym. Kimś, kto boi się, że uredne maleństwo zostanie samo, i nie ucieka – walczy.

Czuje obecność Majki wskroś wszystkich ścian, ale potrafi odnaleźć w tym komfort, a nie tylko napierające na niego emocje i towarzyszący im ból. Poza tym jest już lepiej. Dziewiętnaście miesięcy pracy nad sobą pozwoliło *ei* odzyskać trochę kontroli nad ejsejami i jest w stanie nieco zamknąć się na ten świat, odciąć od białych

demonów, choć nadal nie ma odwagi nawet zbliżyć się do pociągu, a przejście pod linią średniego napięcia stanowi zawsze próbę ognia, ale raz na jakiś czas ulega Majce i zapuszcza się w jej okolicę. Jest pewien, że za dwa, trzy lata nauczy się na nowo jako takiej kontroli i wtedy w końcu będzie mógł zacząć szukać prawdy. Czy zdążył? Czy Hertre-er udało się zemścić? Czy połączenie nawiązało się i czy po drugiej stronie Loriele zmobilizowała kogo trzeba i odcięli się w porę? Czy ktoś ocalał?

Do tego czasu musi zakładać, że nie. Swoim wahaniem, biernością, a przede wszystkim upojeniem poczuciem winy być może zgładził miliardy istnień i jest to prawie najbardziej przerażająca myśl, jaka nachodzi go w ciche noce.

– Skończyłam!

Uderzenia bosych pięt o drewnianą podłogę dudnią w domu i Kornel odrywa wzrok od czytanej gazety. Majka wpada do kuchni i kładzie przed nim zeszyt, po czym wślizguje się na krzesło obok i wykrzywia twarz w wyrazie niebotycznego wręcz znudzenia, żeby zrozumiał, co o tym myśli. Nuda. Nie musi tego mówić tym razem, bo Kornel wie. Słyszał to, widział i teraz czuje jej znudzenie i zirytowanie zadaniem domowym, które jest dla niej banalne, głupie i uważa je za stratę czasu. To jego wina. Za dużo jej opowiedział. Zbyt wiele wyjaśnił.

– Wujek Miłosz zaraz tu będzie. Obiecałeś, że pojedziesz z nami do Wambierzyc... Pojedziesz?

Wolałby, żeby nie wiedziała, jak trudne są dla niego takie wybieżki, ale Majka umie obserwować być może nawet lepiej niż umiała Lena.

– Pojadę.

Bierze zeszyt i wzdycha ciężko, bo dla niego te zadania też są nudne. Prześlizguje wzrokiem po równaniach prostej mechaniki, marszczy brwi, widząc skrót w wyprowadzeniu, który jemu samemu nie przeszkadza, ale już nauczył się, że nauczycielce Majki owszem. To i brak jednostek.

– O jeny, naprawdę? – Majka wzdycha cierpiętniczo i wyrzuwa *ei* zeszyt, choć jeszcze niczego nie powiedział.

Dopisuje byle jak przekształcenia i jednostki i podsuwa *ei* rozwiązanie z powrotem.

– A jak skończę szkołę i studia, to będę pisała jak chcę i w ogóle wszystko zrobię po swojemu!

I Kornel wierzy, że właśnie tak będzie. Że Majka przejrzy fizykę tego wszechświata, oszuka białe demony i otworzy drogę ku Zwierzchnościom. Teraz jednak wredne maleństwo ma jedenaście lat, zadania domowe i jego. Dlatego nawet, gdy tonie w poczuciu winy, gdy nienawidzi siebie i tego świata, gdy w cichą noc ejseje nie pozwalają *ei* spać i pragnie jedynie ukojenia, to nie pozwala sobie na pójście na skróty i ucieczkę w niebyt. Dość już uciekał.

Karolina Fedyk - Pochodzi z Krakowa, choć natura nomady wzięła górę nad sentymentem wobec rodzinnego miasta. Przeplata zainteresowania naukowe z literackimi. Lubi kawę, sowy, uczyć się języków obcych i robić na drutach. Pisze także larpy. Współpracuje z krakowskim fanzinem Smokopolitan. Tweetuje jako @karigrafia.

Karolina Fedyk
ŚLADY W POPIELE



1. Wyspa Askia

12 lipca

Spóźniłam się. Zeszłam na brzeg jako ostatnia. Powozy oczekujące podróżnych zdążyły odjechać; przede mną rysowała się perspektywa samotnego spaceru w deszczu, ku obcemu miastu otulonemu mgłą. Kiedy wreszcie dotarłam do ratusza, mokra i zziębnięta, Erast Lindemann już tam był. Razem z askiańskim urzędnikiem pochylali się nad stołem przykrytym fotografiami.

Przyglądałam się im obu przez uchylone drzwi, niewidoczna, zbyt zmęczona, by cokolwiek zrobić. Szpakowaty urzędnik gestykulował zawzięcie, podczas gdy Lindemann trwał w bezruchu, trzymając dłonie splecione za plecami. Blask lampy oblepiał jego łysinę.

Aż wreszcie rączka walizki, śliska od deszczu, wyslizgnęła się z mojej dłoni i bagaż upadł na podłogę. Lindemann poderwał się znad stołu. Odkąd mnie zauważył, na jego twarzy powoli odmalaowało się zrozumienie; musiał mnie poznać, byliśmy jednymi z nielicznych pasażerów na tej łupinie, która parę godzin temu dobiła do brzegów Askii. Podczas długiej i nużącej podróży starałam się zachować w tajemnicy fakt, że prawdopodobnie przyświeca nam wspólny cel, ale trudno nie zapamiętać tych kilku twarzy widywanych codziennie w ciasnej, słabo oświetlonej mesie.

Wcześniej byliśmy dla siebie przypadkowymi znajomymi; teraz Lindemann dostrzegł we mnie przeciwniczkę.

– Przepraszam bardzo – urzędnik odkasznął. – Nie chcę być nieuprzejmy, ale...

Kobieta schwyliła rąbek spódnicy i dygnęła. Kilka pasm szaroblonde włosów przykleiło się do jej policzka, przysłaniając wąskie oczy lśniące w pulchnej, pospolitej twarzy.

– To ja przepraszam. Undine Tirele. Jestem przyrodnią siostrą Nilsa Saari. Przyjechałam, by przejąć opiekę nad bratankiem.

Wargi Lindemanna drgnęły w tajonym uśmiechu. Kobieta zaczerwieniła się, ale wytrzymała jego spojrzenie. Oboje zjawili się tu w tym samym celu; oboje szukali tego, co Nils po sobie pozostawił.

– Nils Saari nie miał siostry. Miał dwóch braci. – Lindemann wciąż patrzył na przybyłą.

W jego słowach kryła się zawołowana groźba: gdyby rządy Samary wiedziały o istnieniu Tirele, już dawno by ją wykorzystał, chcąc dotrzeć do Saari.

Kobieta ścisnęła torebkę, przygotowując się na konfrontację.

– Jeśli oczekuje pan dokumentów potwierdzających moją tożsamość, mogę je przedstawić – powiedziała chłodno. – Choć liczyłam, że najpierw będę mogła dowiedzieć się, co stało się z bratem. – Odgarnęła z czoła kosmyki mokrych włosów. Z trudem powstrzymywała płacz. – I odpocząć – dodała słabym głosem.

– Oczywiście – zmitygował się urzędnik, dzwoniąc po służbę.

Opadła na podsunięte krzesło, wciąż czując na sobie świdrujące spojrzenie Lindemanna.

– Chciałabym tylko wiedzieć, co stało się z Nilsem – wyszeptła.

– I z Sandro.

– Jak my wszyscy – odparł jej bez cienia sympatii mężczyzna.

Na środku pustego pokoju, na rozpostartej plandecie leżał metalowy poskręcany kształt przypominający w zarysie człowieka. Erast Lindemann bez namysłu wychylił się w jego stronę, szukając oznak życia. Wyprostował się szybko, choć odruch zdążył go zdradzić.

Wojna mogła skończyć się pięć lat temu, ale w jego głowie miała trwać już zawsze. Zerknął na pozostałych; żadne jednak nie zdawało się przywiązywać wagi do jego zachowania. Kobieta stała nieruchomo, przyciskając dłonie do pobludłej twarzy. Nie spuszczała wzroku z osmalonego kształtu.

Aż wreszcie do Erasta dotarło, że patrzy nie na szczątki żywej osoby, a na skorupę mającą pomieścić w sobie człowieka.

– Co to? – zapytał zduszonym głosem.

– Ostatni wynalazek Saari. – Urzędnik unikał jego wzroku. – Nieudany.

Undine Tirele przygryzła wargę.

– Czy to w tym...

– Musieliśmy wyjąć jego szczątki ze środka – mówił dalej Askiańczyk. Cicho, spokojnie. Wyciągnął ku kobiecie rękę w geście

współczucia, lecz Tirele udawała, że tego nie dostrzega. – Sama skorupa przetrwała, ale on...

– Czy wiadomo, co próbował osiągnąć? – wtrącił Lindemann.

Domniemana siostra Nilsa zerknęła na niego z nieskrywaną wrogością.

– Możemy się tylko domyślać. Mamy zdjęcia – odparł urzędnik po chwili wahania.

– Ja też chcę je zobaczyć – powiedziała z naciskiem Undine.

– To nie jest widok odpowiedni dla wrażliwych osób – odparł jej szybko mężczyzna, ale tylko prychnęła.

– Już podjęłam decyzję. Proszę mi tylko powiedzieć jeszcze: gdzie jest Sandro? Kto się nim opiekuje?

Urzędnik wyglądał, jakby chciał zapaść się pod ziemię. Ziemia jednak nie zamierzała otworzyć mu się pod stopami, by go pochłoniąć, więc w końcu odpowiedział:

– Tego samego dnia, gdy znaleźliśmy szczątki Nilsa, Sandro zaginął.

– Zaginął. – Tirele uchwyciła się tego słowa jak ostatniej deski ratunku. – To znaczy, że go szukacie?

– Szukamy od tygodni – powiedział mężczyzna, jakby to mogło złagodzić cios.

Undine pochyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Jej ramiona trzęsły się od tłumionego płaczu. Erast odwrócił się taktownie. Napatrzył się już na podobne sceny, ale nigdy do nich nie przywykł.

– Chodźmy stąd – powiedział po chwili askiański urzędnik. – Jeśli pani chciałaby odpocząć...

Undine pociągnęła nosem.

– Nie – odparła stanowczo. – Proszę pokazać mi te zdjęcia.

Kolacja, przy której urzędnik zostawił ich samych, przebiegała w ponurym nastroju. Wysłannik Samary przyglądał się Tirele, podczas gdy kobieta jedną ręką ocierała oczy, a drugą mieszała łyżką w misce, udając, że je. Choć od rozmów na temat śmierci Nilsa minęły już godziny, Lindemann nie mógł zapomnieć widoku fotografii – i podejrzewał, że kobieta też obsesyjnie o nich rozmyśla.

Ostatni projekt Nilsa Saari przypominał klatkę, skafander, coś, w czym być może wreszcie dało się inżyniera złapać. Był skorupą,

metaliczną wylinką ze snów wynalazcy, który uczynił Samarę bezbronną. Przez chwilę Erast miał nadzieję, że wewnątrz skafandra znajdzie wszystkie odpowiedzi – a potem zdał sobie sprawę, że ma przed sobą tylko kolejny niewyraźny trop.

Nie zależało mu już na znalezieniu Nilsa. Był skłonny pogodzić się z tym, że naukowiec uwiódł całą Samarę – a następnie odebrał kraikowi nadzieję, gdy Samaryjczycy najbardziej jej potrzebowali. Teraz poszukiwanie miało dać im wszystkim poczucie sprawiedliwości i spokoju.

Śmierć Saari wydawała się prezentem od losu. Lindemann myślał, że wreszcie będzie mógł doprowadzić tę sprawę do czystego końca, lecz wtedy pojawiła się domniemana siostra Nilsa, zaginęła zaś Sandro.

Undine podchwyciła spojrzenie towarzysza.

– Wciąż mi pan nie wierzy – stwierdziła.

– Nils Saari nie miał siostry – powtórzył Lindemann.

Uśmiechnęła się kątem warg.

– Lub chciał, byście tak myśleli. Przyznaję, nie mieliśmy ze sobą wiele kontaktu do czasu studiów...

– Nie. – Mężczyzna odsunął od siebie miskę nietkniętej zupy i splótł dłonie; palce lewej ręki były nieposłuszne, wyginały się pod dziwnym kątem. – Na pewno odrobiła pani lekcje, wie więc pani, że szukaliśmy wszystkich jego krewnych. Znaleźlibyśmy panią.

– Po co miałabym pana okłamywać? Co na tym zyskam?

– Nie mam pojęcia – ironizował Erast. – Majątek brata? Pieczęć nad jego patentami?

– Które mi odbierzecie przy pierwszej sposobności – odparowała, nie spuszczać wzroku z twarzy Lindemanna. Mężczyzna nie zaprzeczył. – Nie będę was obchodzić. Chcę tylko zaopiekować się moim bratankiem.

– Bogactwo i patenty to tylko miły dodatek? Czy już odliczyła sobie pani należność za opiekę nad chłopcem?

Prychnęła cicho.

– Proszę mnie nie obrażać. Nie mam złudzeń. Nie będziecie przebierać w środkach, by odsunąć mnie od wszystkiego, co wiąże się z bratem. Jeszcze pan nie zadziałał, ale zawdzięczam to wyłącznie trudnościom komunikacyjnym. I może pana niepewności, czy da się mnie jeszcze rozegrać jak dobrą kartę. Lecz kiedy pan uzna, że nie

może już dzięki mnie nic zyskać, nie pozwoli mi pan odejść. Czy naprawdę sądzi pan, że byłabym tak głupia, by ryzykować życie dla pieniędzy?

– Nie byłaby pani na pewno pierwsza.

Undine potrząsnęła głową.

Lindemann analizował jej słowa. Wydawały się wykalkulowane, przemyślane – to oczywiste, że mogła się spodziewać tej rozmowy. Saari był obsesyjnie dyskretny, próbował ukrywać przed samaryjskim rządem całą swoją rodzinę. Do tej pory Erast sądził, że inżynierowi się to nie udało.

Możliwe jednak, że inżynier znalazł sposób, by zmylić przełożonych Lindemanna.

Mężczyzna przeklął w myślach odległość dzielącą wyspę od Samary. Undine – jeśli to w ogóle było jej imię – dopadła go na obcej ziemi, z dala od jego pomocników, biura i informatorów.

Z zamyślenia wytrącił go brzęk łyżki uderzającej o krawędź naczyń. Tirele odsunęła od siebie talerz.

– Ależ proszę – powiedziała. – Możemy działać przeciwko sobie. Będę bronić Nilsa i Sandro przed panem i panu podobnymi.

Lindemann nie zaszczycił jej odpowiedzią. W odróżnieniu od domniemanej krewnej inżyniera, brakowało mu aktorskiego zacięcia i wyczucia dramatyzmu. Nie pojawiła się też w jego głowie żadna błyskotliwa odpowiedź. Ostatnie słowo mogło należeć do Undine; Erastowi wystarczyło, że był skuteczny.

Obcokrajowców ulokowano w pokojach na piętrze ratusza; kierując się do sypialni, Nils minął drzwi pokoju Undine, spod których sączyło się światło lampy. Mimowolnie zwolnił kroku, ale nie usłyszał nic poza skrobaniem stalówki o papier.

Przed snem raz jeszcze przejrzał odbitki zdjęć. Kilka z nich po prostu uwieczniało Nilsa Saari wraz z synem na tle wulkanicznych krajobrazów i górskiego grzbietu dzielącego wyspę na pół. Na tych fotografiach inżynier wyglądał młodziej, spokojniej; nie jak ten złamany, udęczonego człowieka, którego Lindemann poznał w więzieniu kilka lat wcześniej. Patrząc na nie, Erast nie mógł winić Nilsa za ucieczkę do jedynego kraju, który nie podpisał z Samarą umów o ekstradycję.

Lindemann miał też i inne zdjęcia. Saari mógł się chować i uciekać, lecz referat Samary zawsze go znajdował. Erastowi było na rękę, że inżynier – przekonany o swoim bezpieczeństwie – przebywa na

małej wysepce. Nieprzyjazna, czarna jak sadza Askia stanowiła coś w stylu naturalnego więzienia, w którym zamiast strażników wystarczyło kilku miejscowych informatorów.

Nie przewidziano oczywiście, że więzień zginie i zabierze swoje tajemnice do grobu.

15 lipca

Wciąż nie pogodziłam się ze stratą brata, a ta wyspa już chce odebrać mi bratanek. Jeszcze mam nadzieję, że go znajdę – ale liczę się z tym, że będę musiała szukać go sama.

Jestem, oczywiście, bardzo wdzięczna naszemu przewodnikowi, tłumaczowi i opiekunowi – bo Tychu, urzędnik z ratusza, pełni wszystkie te funkcje, stanowiąc most łączący mnie z tą wyspą – lecz nie ufam mu w pełni. Wydaje mi się, że był bardziej skłonny wierzyć Lindemannowi. To po trosze wina Nilsa; to on chciał nas ukryć. Po sukcesie jego projektów i po nieudanej pierwszej próbie ucieczki musiał zatrzeć za sobą ślady. Chciał tylko, by Samara dała jemu – nam – spokój.

Nie wiem, co nasi rodacy z referatu wewnętrznego byliby skłonni zrobić, by dostać Nilsa. Być może mój brat przesadzał i uciekał przede wszystkim przed swoim własnym cieniem; a nie mógł zgubić przeszłości, pozostając Nilsem Saari. Stary kontynent nie pozwoliłby mu na to, a już na pewno nie Samara.

Nie umiem mieć mu za złe ucieczki.

I znów o nim myślę, gdy powinnam skupić się na Sandro. Muszę go znaleźć, a nie wiem nawet, jak zacząć szukać.

Wczoraj rano deszcz ustał i wyszłam na spacer poza miasto i jego spokojną zatokę. Tuż zaraz zaczynają się strome klify i potrzaskane skały. Wzdłuż brzegu ulokowano kilka osad rybackich; w głębi łądu nie znajdę ludzi, jest tylko masyw skalny przypominający wysklepiony kręgosłup z gruzłami kości tam, gdzie wybuchły wulkany. Na wyspie wciąż są miejsca, w których skała jest rozgrzana. Można dotknąć jej dłonią i czuć pod spodem jej ciepło, słabe echo gorącego pulsu wyspy. To miejsce jest na swój sposób piękne. Ale nie mam czasu go podziwiać. Każdy dzień bez Sandro osłabia nadzieję, że go znajdę.

– O nikim takim nie mamy informacji – zabrzączał głos w słuchawce radia.

– To je zdobądźcie – burknął Erast, bębniąc palcami w obudowę urządzenia. – Undine Tirele. Mówi, że poznała Saari na uniwersytecie. Sprawdźcie jego wydział.

Odpowiedział mu trzask. Odkąd przybył na Askie, radio się psuło – w głośniku coraz częściej rozlegał się szum. Technologia zawodziła, jakby cała ta ponura wyspa sprzyścięła się przeciwko niemu.

To miało być proste, choć odpowiedzialne zadanie; pierwsze, które powierzono mu, odkąd wrócił z frontu. Sam Lindemann wreszcie sobie uwierzył, że wciąż jest w stanie działać; chirurdzy wyjęli odłamki z jego ciała lata temu, ale czasem wydawało mu się, że rany wciąż są świeże i tkliwe. Być może nadal były. Liczyło się, by tego nie okazywał.

Im dłużej jednak tu przebywał, tym trudniej było mu zachować spokój. Wróciła bezsenność i nieustające poczucie, że ktoś podąża jego śladami. W krótkie letnie noce na Askii Erast Lindemann zastanawiał się tylko nad tym, gdzie może przebywać Sandro Saari. I jak wywabić go z kryjóWKi. Był dziwnie spokojny o to, że chłopak wciąż przebywa na wyspie – jego informatorzy nie zatailiby śmierci dziecka. Mógł natomiast podać wiele hipotetycznych przyczyn, dla których miejscowi chcieliby ukryć Sandro; najbardziej oczywistą byłaby prośba Nilsa. Kiedy inżynier odmówił dalszej współpracy z samaryjską armią, przełożeni Lindemanna posunęli się do grózb wobec pięcioletniego wówczas chłopca. To wtedy Saari porzucił swojego partnera, zabrał ze sobą wszystkie notatki i wykorzystując chaos pierwszych dni pokoju, uciekł wraz z chłopcem na wyspę.

Lindemann czekał, aż świt obrysuje szczyty Askii złotem i zastanawiał się, jak zmusić Sandro, by się ujawnił.

Szukanie tropów zaprowadziło wreszcie Erasta do jednego z nielicznych klubów w mieście. Budynek przypominał raczej farmę niż podobne miejsca w stolicy, do których Lindemann przywykł; wchodząc do środka, czuł się, jakby jego prosty strój był i tak przesadnie elegancki dla przybytku szumnie zwanego klubem.

W twarz uderzył go dym i w jednej chwili Erast znalazł się ponownie na niszczycielu.

Zamrugał i znów miał przed sobą tylko ciasne pomieszczenie wypełnione wysokimi stołami, przy których robotnicy pili piwo. Chwiejnym krokiem podszedł do baru, by złożyć zamówienie. Starał się przypomnieć sobie, że to nie płonący okręt, z którego nie ma jak uciekać; że zapach smaru i rozkładającego się mięsa pochodzi z portu, nie z trzewi jednostki. Każde włókno jego jestestwa nakazywało mu uciekać przed dymem, opuścić to pomieszczenie, nim się udusi. Odłożył swój kufel na stół, bojąc się, że zdradzi go drżenie dłoni.

Sięgnął do kieszeni, gdzie natrafił na kawałek filcu z pracowni szewskiej ojca. Zacisnął palce wokół szorstkiej wełny, czekając, aż znajomy przedmiot na nowo zakotwiczony w rzeczywistości. Obok filcu wyczuł pod opuszkami małą plastikową fiolkę z wodą toaletową, lecz zapach jej zawartości utonąłby w tym miejscu.

Był jeszcze zegarek na ręce. Lindemann zamknął oczy, przypominając sobie znajomy rytm. *Tyk, tyk, tyk*. Wreszcie udało mu się uspokoić.

– To pan jest z Samary? – zagadnął go barman łamanym samaryjskim.

– Tak. – Lindemann pociągnął łyk piwa. – Wyspa jest piękna. Odpoczywam tutaj.

– Ale nie jest pan na wakacjach. – Zmrużone błękitne oczy mężczyzny przyglądały się Erastowi z ostrożnym zainteresowaniem.

– No nie. – Opróżnił swój kufel i przesunął go po blacie w stronę barmana. – Szukam pracy.

– Tutaj?

– W stoczni – uściślił, wyrzucając na stół parę monet.

– Daleko od domu.

– W domu mnie nie chcą. – Erast zamachał niesprawną dłonią.

– Marynarka – dodał. – Kiedyś.

Mężczyzna pokiwał głową ze zrozumieniem.

– I tak dobrze, że nie wylądował pan na ulicy.

– A poza tym – dodał Lindemann – szukam takiego jednego dzieciaka.

– Sandro Saari – powiedział bez namysłu barman.

Erast potwierdził skinieniem głowy. Piwo trochę stępiło woń smaru i portowej zgnilizny przemieszanej z podłym tytoniem. Rzeczywistość stała się łagodniejsza, jej krawędzie nie przypominały już bagnatów.

– Sandro pewnie chciałby tu zostać – powiedział, patrząc na resztkę płynu na dnie kufła. – Teraz jest bardziej stąd niż z Samary. Ale nie może się chować. W gazecie pisali, że został porwany... – zawiesił głos. – Bujda, oczywista bujda, ale Samarze nie chodzi o prawdę, czyż nie?

Barman odpowiedział mruknięciem, w którym Lindemann odczytał ostrożne potwierdzenie. Askia była niezależna od prawie stu lat, ale jej mieszkańcy dalej nie darzyli rządu Samary zaufaniem.

– No więc chciałbym z chłopakiem pogadać – kontynuował Erast – żeby chociaż się pokazał. Żeby moi dawni kumple się tu po niego nie pofatygowali.

– Nie kocha pan samaryjskiej marynarki – odgadł barman z krzywym uśmiechem.

Lindemann wzruszył ramionami.

– Czy to dziwne?

– W pana sytuacji? Nie. Wcale nie. – Choć niepytany, mężczyzna podał mu drugi kufel. – Pogadam ze znajomym. Zobaczymy, co da się zrobić z tą stoczną.

21 lipca

Erast oddalał się od miasta. Przed sobą miał typowy askiański krajobraz: wielkie połacie szarzielonych skał, szarzejące w oddali morze. Między Lindemannem a szeroką plażą biegła wyboista droga, którą sunął wóz zaprzężony w dwa konie.

Zwierzęta parskwały i zarzucały łbami obojętne na uspokajające pomruki woźnicy. Erast utkwiał wzrok w wozie, dając sobie jeszcze chwilę, by odetchnąć. Wóz przetoczył się przez jego pole widzenia, cały wraz z sylwetką okutanego w płaszcz chłopca siedzącego za zbiałym drewnem z plaży.

Chłopiec podniósł wzrok i Erast rozpoznał go od razu. Zdjęcia w gabinecie Tycho były może ziarniste, ale Erast znał historię tej rodziny na wylot.

Chude ramiona, popielatoblond włosy, zbyt duży nos i wystający podbródek. Sandro Saari był tak bardzo podobny do ojca. Powiedział coś do woźnicy. Furmanka – i tak tocząca się bez pośpiechu – stanęła na chwilę. Chłopiec i mężczyzna zamienili jeszcze parę słów, po czym dzieciak zsunął z siebie koc i zeskoczył z wozu.

Erast stał jak wryty, gdy obiekt jego poszukiwań sam podchodził coraz bliżej. Mimo chłodu, Sandro miał na sobie tylko płócienną koszulę, spodnie i cienkie buty. Knykcie i nos niemal mu posiniały, ale szedł z uporem, aż zatrzymał się tuż przed weteranem.

– Sandro Saari? – wykrztusił z siebie Erast. Poczul na sobie nieruchome spojrzenie szarych oczu.

Mimowolnie zacisnął dłonie w pięści, stojąc przed szansą, by wyładować złość na kimś, kto wyglądał prawie jak Nils. Gdyby Nils nie stał się tak nieznośnie oporny w ostatnich dniach wojny, ocaliłby życie tylu Samaryjczyków. Gdyby tylko nie uniósł się potem dumą, jakby Lindemann i jemu podobni zostali zbrukani udziałem w wojnie. Teraz zaś mniejsza, bardziej krucha wersja inżyniera stała przed Erastem i patrzyła na niego, jakby nic się nie stało.

Lindemann wsłuchał się w dźwięk zegarka. *Tyk, tyk, tyk.*

– To ja – odpowiedział powoli Sandro. – Szukał mnie pan?

Każde słowo przeciągał, choć jego samaryjski nie pozostawiał nic do życzenia. Może po prostu nie odziedziczył po ojcu bystrego umysłu.

W tamtym momencie Lindemann marzył, by Nilsa pokarało synem, który nie zbliżał się do legendarnego geniuszu ojca. Świadomość, że prowokacja poskutkowała, nie przyniosła Erastowi ani okrucha satysfakcji.

– Szukałem – potwierdził. Nie bardzo wiedział, jak powinien rozmawiać z osieroconym dzieckiem. – Wszyscy się o ciebie martwiliśmy. – Po chwili wahania wyciągnął ku Sandro rękę.

– Niepotrzebnie – odparł chłopiec, przechodząc obok Erasta i całkowicie ignorując jego gest.

Być może był po prostu na weterana wściekły. Mógł wściekać się do woli; i tak miał wkrótce zostać odtransportowany do Samary razem ze wszystkimi pracami ojca.

I wreszcie skończy się ta farsa z domniemaną siostrą. Erast uśmiechnął się – nie do chłopca, a do siebie.

– Wracajmy do ratusza – powiedział po chwili. Sandro wciąż stał odwrócony do niego plecami. – Mamy dziś jeszcze dużo do zrobienia.

Ja i Erast Lindemann jesteśmy – i zawsze będziemy – tu obcy.

Minęły dwa tygodnie od czasu naszego przybycia. Mogę już napisać z całą pewnością, bez obaw, że kreszę te słowa motywowana

goryczą i żalem: tutejsi działają przeciwko nam, wbrew nam. Kiedy pytam o Sandro, udają, że nie rozumieją. Nawet Tycho, choć stara się być pomocny, wyznaczył sobie granice tejże pomocy; domyślam się, że balansuje między obawą przed wznieceniem konfliktu z Samarą a niechęcią swoich bliskich. Rozumiem go. Nawet mu współczuję.

Znaleźliśmy się w impasie. Im dłużej trwa, tym większe szanse, że referat Samary zadziała. I znów stanie się to, od czego Nils tak uciekał – jego najbliżsi staną się tylko kartą przetargową, niewygodnym dodatkiem do patentów, które wojsko tak chętnie przygarnęło.

Teraz widzę, jak naiwna była moja wiara, że Nilsowi udało się uciec. Na pewno obserwowano go i tutaj, ostrożnie, by go nie spłoszyć. Uciekł dopiero, gdy zginął.

Równowaga między Aską i Samarą jest teraz bardzo krucha. Jest mi wstyd wobec Tycho i pamięci brata, ale postanowiłam to wykorzystać.

Tycho spodziewał się chyba mojej wizyty. Gdy wpuszczono mnie do jego gabinetu, podniósł ku mnie poszarzałą, zmęczoną twarz. Zdawał się chować za masywnym biurkiem i stosami segregatorów oraz kopert. Snop zielonkawego światła lampy bankierskiej tylko podkreślał zmęczenie urzędnika postawionego między dwoma państwami.

– Czy był tu przede mną Lindemann? – zapytałam bez ogródek.
– Czy już panu groził?

Tycho uśmiechnął się blade.

– Nie wprost, jeśli o to pani pyta. Proszę usiąść. – Wskazał mi gestem krzesło.

Usiadłam, chowając dłonie w fałdach spódnicy. W pokoju panował nieprzyjemny chłód.

– A pani groził? – zapytał ostrożnie urzędnik.

Uśmiechnęłam się smutno.

– Jeszcze pamięta, że prawo będzie po mojej stronie. Wiem, czego życzyłby sobie Nils. Chciałabym skończyć tę sprawę z patentami raz na zawsze. Wie pan, że Nils nigdy nie podjął z banku pieniędzy, które wypłacił mu samaryjski rząd? Uważał, że są brudne. Brzydził się nimi. Ja chcę tylko zabrać Sandro w jakieś bezpieczne miejsce.

Tycho poruszył się niespokojnie.

– Czy mogę prosić panią o dyskrecję? – Splótł dłonie tak mocno, że aż zbiełały mu knykie. – Pani jedna zasługuje na to, by wiedzieć, dlaczego nigdy nie znajdziemy Sandro.

Wpatrywałam się w niego, czekając na ciąg dalszy, ale Tycho przerwał, nasłuchując. Po chwili i ja usłyszałam – tupot kroków w korytarzu, czyjś gorączkowy głos powtarzający imię Lindemanna. Urzędnik uniósł brwi.

– Być może – wymamrotał – powinna pani zapamiętać o tym, co właśnie powiedziałem.

Undine przybiegła do ratusza kilkanaście minut po tym, jak Erast po nią wysłał. Gdy weszła, uderzyło w niego poczucie, że kobieta odgrywa przed nim scenę, którą już widział. Wzburzone mokre włosy, ubłocona suknia, gorączkowo lśniące oczy. Wtedy tylko udawała bezbroną. Teraz to faktycznie on miał przewagę.

Spędził te kilkanaście minut, patrząc to na dziecko, to na zegarek. W ciszy pokoju słyszał tylko własny oddech i cichy stukot mechanizmu zegara. Sandro zaś położył dłonie na kolanach. Nie wiercił się. Czekał. Wobec jego bezruchu to Erast czuł się niezręcznie.

Zrobił w myślach notatkę, by zapytać później Undine o błoto na jej sukni i potargane włosy.

Chwiejnym krokiem podeszła do chłopca. Wyciągnęła ku niemu ramiona, lecz w ostatniej chwili cofnęła je.

– Sandro – powiedziała cicho.

Powiedziała to zimnym tonem, zauważył Erast. Rozdzielał każdy gest i ruch Undine na drobne części, na wskazówki. Odtworzył w myślach jej ton.

Tymczasem chłopiec obrócił twarz w jej stronę. Chcąc nie chcąc, Erast dostrzegł w nich podobieństwo: bladeść twarzy, duże, szeroko rozstawione oczy.

– Czy poznajesz tę kobietę? – zapytał, zwracając się do chłopca.

Undine zacisnęła dłonie.

Tyk, tyk, tyk. Sekundnik w zegarku Erasta obracał się dokoła tarczy, zaznaczając upływ czasu.

– Znam – powiedział Sandro. Po chwili wyciągnął ramiona i oplótł je wokół talii Undine, wtulając policzek w brzuch kobiety.

Tirele drgnęła, wreszcie mechanicznie pogładziła szaroblond włosy chłopca. Erast szukał w tym geście sztuczności. Bezskutecznie.

Tyk, tyk, tyk.

Czas wreszcie ruszył. Undine cofnęła rękę i popatrzyła na Lindemanna.

– Czy teraz mi pan wierzy? – szepnęła.

W jej głosie nie było triumfu, na który Erast już się wewnętrznie przygotowywał.

Sandro patrzył na mężczyznę, mrugając bardzo rzadko, jakby bał się, co może się stać, gdy choć na chwilę nie będzie patrzył na weterana. Wtulił się mocniej w Undine.

Kobieta zmusiła się wreszcie do uśmiechu.

– To już wszystko, prawda? Położyliśmy nasze duchy spać. Możemy wracać do domu.

22 lipca

„Położyliśmy nasze duchy spać”. A jednak ostatniej nocy na Askii Erast nie mógł zasnąć. Wyspa wciąż nie składała się w jego oczach w żadną sensowną całość. Miał poczucie, że patrzy na potrząskane elementy, których wewnętrznej logiki nie potrafi zrozumieć.

Undine nie dawała mu spokoju. Teraz widział w niej przedłużenie osoby Nilsa – a w odróżnieniu od brata, siostrę mógł jeszcze schwytać.

Ale nie chodziło o pojmanie w sensie fizycznym. Brutalna siła była prosta. Zbyt prosta – kusząca w tej prostocie. Lindemann nie mógł się uciec do tego rozwiązania. Wsadzenie Undine za kratki pod dowolnym pretekstem – zdrady stanu, zatajania informacji, kolaboracji z wrogiem – nie skłoniłoby jej do mówienia. Nie sprawiłoby, że z jej twarzy znikłby ten wyraz niedowierzania i lęku, jakby w odnalezieniu Sandro ziściły się jej zarówno najgłębsze marzenia, jak i obawy.

Erast przesunął dłonią po czole. Na jego palcach zostały ślady potu. „Położyliśmy nasze duchy spać”.

Jego duchy nie spały. Niestrudzenie snuły się za nim poprzez morza i teraz też zgromadziły się wokół. Wierzył, że gdyby zmrużył oczy, mógłby dostrzec, jak otaczają łóżko ciasnym kręgiem. Gdy zamykał oczy całkowicie, napotykał ich oskarżycielskie spojrzenia.

Wykonał zadanie. Wystarczyło, by sprowadził do Samary Undine Tirele i jej podopiecznego; wtedy rodzina Nilsa znalazłaby się na nowo pod kontrolą rządu. Nie powinien był sobie nic zarzucać.

Nie znalazł jednak rozwiązania. Ostatecznie nie chodziło mu przecież o proste wykonanie polecenia.

Gdy zmusił się do wstania, by przynieść sobie szklankę wody, zauważył, że w pokoju Undine pali się światło. W pierwszym odruchu chciał ją skarcić, że nie pozwala dziecku spać. Uznał jednak, że to nie jego sprawa.

Gdy wrócił na górę, pod drzwiami pokoju Tirele wciąż widniała wąska jasna pręga. Zza nich dochodziło nieustające skrobanie stalówki o papier. Erast przez chwilę stał przy futrynie. Ostatecznie jednak potrząsnął głową i poszedł do swojego pokoju.

Kilka godzin później znów obserwował świt nad Askią i mgłę podnoszącą się z wulkanicznych zboczy. Powiedział sobie, że jeszcze się nie poddał. Że tylko podaży dalej za tropem. Wciąż musiał być cierpliwy. Kiedyś przychodziło mu to bez trudu; szczycił się swoją skutecznością – dawniej, nim wypełnił go szrapnel.

Erast ścisnął między palcami nasadę nosa i odetchnął głęboko. Wolną dłonią odszukał w kieszeni kawałek filcu. W ciszy wsłuchał się w tykanie zegarka. Dopiero gdy uspokoił oddech, gdy świat wokół niego dało się podzielić na równe, odmierzone dźwiękiem części, Lindemann zaufał swojemu ciału na tyle, by wziąć w rękę walizkę i otworzyć drzwi.

Za progiem stała Undine. Na widok Erasta zrobiła krok do tyłu.

– Przepraszam – powiedziała szybko. – Nie chciałam pana przestraszyć.

– Właśnie wychodziłem.

– Wiem. – Undine spróbowała wejść do pokoju. – Proszę – powiedziała, gdy Erast ani drgnął. – Muszę coś panu przekazać.

Niechętnie wpuścił ją do opustoszałego pomieszczenia i zamknął drzwi. Undine wyjęła z torebki szarą kopertę wypchaną papierami.

– Dokumenty Nilsa – powiedziała, patrząc Erastowi oczy. Z jej twarzy znikło wcześniejsze wahanie. – Czy teraz zostawi pan naszą rodzinę w spokoju?

Milczał.

Tyk, tyk, tyk.

Undine wpatrywała się w niego z uporem.

– Nie chcę ginąć za plik papierów – powiedziała z rozbrajającą szczerością. – Chcę zbudować dla siebie i Sandro spokojne życie. To nie jest prezent. To cena za opiekę, którą pan nas otoczy.

– Przeczenia mnie pani, Undine. – Erast uśmiechnął się bez radości.

– Panie Lindemann – odparła – ktokolwiek pana tu wysłał, pokładał w panu duże zaufanie. Śmiem twierdzić, że takiej odpowiedzialności towarzyszy też siła i możliwość pociągnięcia za odpowiednie sznurki.

Zaczerpnęła tchu, a Erast nie wykorzystał okazji, by zabrać głos. Nie było tajemnicą, że w ciszy ludzie czuli czasem kompulsywną potrzebę wypełnienia jej słowami. Jeśli to dotyczyło Undine Tirele, Erast skłonny był słuchać. Być może zza jej maski wychynie choć słowo prawdy.

– Proponuję panu umowę – przeformułowała swoją wcześniejszą wypowiedź. – Projekty mojego brata za nasze bezpieczeństwo. Nils niczego innego już nie wymyśli. Daję panu całe jego dziedzictwo. Chcę, by Sandro wreszcie miał spokojne życie. Tyle Samara jest mu winna – dorzuciła z naciskiem. Wciąż ścisnęła kopertę w rękach. – Proszę.

Erast zawahał się, ale wreszcie wziął od niej pakunek.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecał.

Kobieta jeszcze przez chwilę podtrzymała jego spojrzenie, po czym dygnęła – krótki, oszczędny ruch.

– Statek odbija od brzegu za dwie godziny. Do zobaczenia – powiedziała, wychodząc.

Erast został z kopertą. Gdy przebrzmiały kroki Undine, przejrzał kartki. Napatrzył się w życiu na pismo i dokumenty Saari dość, by rozpoznać krój jego pisma od razu. Ale – choć dostał to, czego chciał – Undine wciąż była niewiadomą. Znów go zaskoczyła. Wywinęła się, a zatem pościg nie dobiegł jeszcze końca.

Na korytarzu rozległ się szczebiot Tirele mówiącej do Sandro w samaryjskim. Erast skrzywił się, słysząc, w jaki sposób kobieta zamienia nadchodzący rejs w niesłychaną przygodę. Przez uchylone drzwi dostrzegł, jak Undine prowadzi chłopca za rękę. Stał, wpatrując się w ich plecy.

Gdy stukot ich butów na schodach umilkł, Erast wyszedł i popchnął drzwi do pokoju, który zamieszkiwała ta dwójka. Na dużym podwójnym łóżku wciąż leżała zmięta pościel. Nadal dało się dostrzec kształt dwóch ciał, jakby Undine i Sandro dopiero przed chwilą wstali. Pościel była sprana, jej wzór dawno wyblakł. Tylko tu

i ówdzie, na poduszce, uchowało się kilka wyraźnych plam koloru. Drzwi do szafy zostały niedomknięte.

Erast wszedł do przylegającej do pokoju łazienki. Uderzył go zapach mydła, ługu i przykrytej warstwą farby pleśni. Mężczyzna otworzył śmietnik.

Na dnie pojemniczka, poza kołtunem jasnych włosów Undine i kilkoma zabrudzonymi kłębkami waty, leżało parę zmiętych pasków papieru. Erast wyciągnął je szybkim ruchem.

Na jednym widniało nieco kresek nakreślonych różnymi barwami atramentu.

Na drugim – dwa znajome słowa.

Sandro wrócił do mnie.

To Lindemann go znalazł – i kazał mnie sprowadzić, ani chybi po to, by móc napawać się klęską mojej domniemanej szarady. Sandro tymczasem przytulił się do mnie.

Ludzkie serce jest jednak dziwne: nie widziałam chłopca, odkąd skończył rok, ale krew woła do krwi. Poznał mnie. Ja też od razu wiedziałam, że to on. Staliśmy przytuleni, jakby ten uścisk miał wystarczyć przeciwko wszystkim oskarżeniom, jakie na nas rzucono.

Za kilka godzin wyruszamy. Nie mogę spać; przede mną wciąż ostatnie przygotowania do podróży. Wątpię, bym tej nocy zmrużyła oko.

Ilekróć się odwracam, widzę, że Sandro co prawda leży na łóżku, lecz nie śpi. Jego ciemne oczy nigdy się nie zamykają. Zapewniałam go, że nigdzie nie pójdę, ale wciąż mnie pilnuje. Martwię się, że nie odezwał się ani słowem. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak wielkim ciosem była dla niego strata ojca. Nie nakłaniałam Sandro do mówienia. Wychodzę z założenia, że gdy zechce rozmawiać, gdy się na mnie otworzy, ja go wysłucham.

Jeszcze kilka godzin do świtu. Gdy będziemy wypływać, niebo ledwie poszarzeje. Przede mną zaś wciąż tyle pracy. Jestem zmęczona, tak bardzo zmęczona.

Chciałabym, by Sandro zasnął. Nie mogę pracować, gdy wciąż na mnie patrzy.

Kiedyś nie miałam wątpliwości, że podołam. A teraz?

Muszę jeszcze porozmawiać z Lindemannem, nim odbijemy od brzegu.

W niczym nie przypominało to przybycia, gdy Askia nagle wyłoniła się zza mgły. Teraz wyspa zniknęła powoli, jej górski grzbiet rysował się wyraźnie na tle jasnego nieba. Undine stała na pokładzie, tuż obok niej Sandro wychylał się ku wyspie.

– Jest ci smutno? – zapytała Tirele, odsuwając go od relingu.

Chłopiec milczał przez długą chwilę, a potem coś szepnął.

– Nie dosłyszałam.

– Tak – powiedział głośniejszym głosem, szybko spuszczać z niej wzrok.

– Zejdźmy pod pokład – zaproponowała.

Erast został jeszcze na zewnątrz, czekając, aż Askia zniknie zupełnie. Gdy włożył dłoń do kieszeni marynarki, natrafił nie tylko na znane sobie przedmioty, ale i na kawałki papieru wyciągnięte z łazienkowego śmietnika. Gdy wchodzili na statek, podał Undine rękę. Kobieta zmarszczyła brwi, ale pozwoliła sobie pomóc. Plamy atramentu na opuszkach jej palców odpowiadały kolorom na znalezionym przez Lindemanna papierze.

Uznał, że lepiej, by Undine myślała, że o niczym nie ma pojęcia.

23 lipca

Pierwsza noc na statku za nami. Nie mogłam zmrużyć oka. Sandro również nie. Chłopiec prawie nic nie je. Martwię się o niego, lecz za to inne zmartwienie mam chyba z głowy; Lindemann wreszcie dał nam spokój.

Erast coraz rzadziej opuszczał kajutę. Poza posiłkami czytał papiery Saari lub próbował naprawić radioodbiornik. Korzystał z anteny na statku, która w drodze na wyspę okazała się dostatecznie silna, lecz teraz w słuchawce Lindemann słyszał tylko szum.

Zazwyczaj dobrze znosił beczynność, jednak nie mógł doczekać się, kiedy dostrzeże brzeg Samary. Musiał przed sobą przyznać, że wiąże się to z obecnością cichego, dziwnego dziecka. Coś w zachowaniu Sandro sprawiało, że zmysły Lindemanna wyostrzały się jak w obliczu zagrożenia. Wystarczyło, że Sandro znajdował się w pobliżu.

Spojrzenie chłopca było zawsze doskonale obojętne, lecz Erast odczytywał w nim niemy wyrzut sumienia. Dławił w sobie chęć tłumaczenia się przed duunastolatkiem i wyjaśniania mu błędów ojca. Sandro Saari nie był wszak jedynym Samaryjczykiem pokrzywdzonym przez wojnę.

24 lipca

Druga noc na statku minęła. Chciałam wziąć krople na uspokojenie, ale nie potrafiłam się na to zdobyć, widząc na drugiej koi wiecznie otwarte oczy Sandro.

Czy on kiedykolwiek śpi?!

Być może jest bardziej chory i poruszony ostatnimi wydarzeniami, niż mi się wydawało.

25 lipca

Trzecia noc. Próbowałam podać krople Sandro. Zaciśnął usta i siedział nieruchomo, aż sobie odpuściłam.

Czas pożegnać się ze spokojnym snem.

26 lipca

Czwarta noc. Jestem tak bardzo zmęczona.

27 lipca

Dalej tylko szum. Erast czekał. Potrafił czekać. Zatrzymywać swój umysł, jakby odsuwał się za siebie. Potrafił spędzić całe dni, tygodnie, miesiące, schowany w sobie, jakby od fizycznego ciała dzieliła go gęsta mgła. Teraz też czekał. Obserwował oczywiście Undine i chłopca. Ale mógł położyć myśli spać.

Musiał, bo inaczej zostałyby mu tylko miotanie się po kajucie.

1 sierpnia

Jutro dobijamy do brzegu. Powiedziałam Sandro, że wreszcie wracamy do domu. Nie wiem, czy mnie zrozumiał.

2. Samara

2 sierpnia

Moje mieszkanie wydawało się bardziej odstępione niż przed wyjazdem. Teraz miałam wrażenie, że przez wielkie okna widać każdy detal, że życie moje i Sandro będzie spektaklem dla wszystkich – głównie dla ludzi Lindemanna. Nie przeszkodziło mi to pierwszego wieczoru otworzyć szampana. Byłam w domu. Obok mojego łóżka stał kufer z osobistymi rzeczami brata; dawno niemodnymi ubraniami, bibelotami. Gdy alkohol ozłocił trochę ponury jesienny wieczór, odważyłam się przymierzyć zmechacony kapelusz Nilsa: stojąc przed lustrem z kieliszkiem szampana w ręce i z melonikiem przekrzywionym na nieułożonych włosach szukałam rodzinnego podobieństwa. Na pewno łączył nas upór.

Wszystkiemu temu przyglądał się Sandro, nieruchomy i milczący.

– Chcesz coś jeść? – zapytałam, gdy odrzuciłam pomysł częstowania dwunastolatka alkoholem.

– Nie. Dziękuję – odparł chłopiec. – Nie jestem głodny.

– Nic nie jadłeś, odkąd zeszliśmy na brzeg.

– Nie jestem głodny – powtórzył.

Spodziewałam się, że będzie chociażby ciekaw mieszkania; tymczasem zajął pierwsze wolne krzesło i nie wstał z niego, podczas gdy ja kręciłam się po pokojach, przymierzałam kapelusze jego ojca i cieszyłam się odzyskaną swobodą.

Radość trwała krótko, bo po kilku dniach wypatrzyłam szpicli Lindemanna obserwujących moją okolicę. Miałam poczucie, że Lindemann i ja gramy w jakąś bezsensowną grę, wspólnie udajemy przed innymi, że wszystko toczy się tak, jak powinno.

Sandro nigdy nie je. Nie śpi. Czasami budzę się i widzę jego sylwetkę w oknie, gdy wygląda na ulicę. Jego ruchy coś mi przypominają, choć poza tym mglistym poczuciem znajomości-obcości nie mogę przywołać niczego więcej.

Być może wypatruje szpicli.

16 sierpnia

Po dwóch tygodniach tej gry postanowiłam zrobić kolejny ruch.

– *Może wieczorną gazetę, droga pani?* – zaczął mnie jeden ze szpicli, *gdy wracałam do domu, ciągnąc za sobą niechętneho Sandro. Udałam wahanie.*

– *Sprawdź, czy mam drobne.* – *Wyjęłam portmonetkę, podchodząc bliżej.* – *Chcę rozmawiać z Erastem Lindemannem.* – *Popatrzyłam w oczy chłopaka. Nie zmieszał się, to muszę mu przyznać.* – *Jutro o dziesiątej rano w kawiarni Indriksona. Mam mu coś do przekazania.*

Zapłaciłam za gazetę i razem z Sandro wróciłam do mieszkania. Nie mogłam zrobić niczego więcej bez Lindemanna.

17 sierpnia

Miejsce wybrane przez Undine zachęcało z zewnątrz złotym, ciepłym światłem sączącym się przez witraże. W środku Erast zastał obite pluszem wnęki i sztuczne złocenia. Mleczna zieleń, złoto, czerń. Szachownica na podłodze. Lindemann zamówił kawę i usiadł w głębi sali, otwierając przed sobą gazetę.

Tirele przyszła kwadrans przed umówioną godziną. Rozejrzała się i podeszła do weterana.

– Mam nadzieję, że nie czeka pan długo.

Erast uśmiechnął się.

– Nic nie szkodzi. Dzień jest piękny.

Undine wydeła wargi, zerkając w stronę szarego poranka rozpostartego nad ulicą. Z wnętrza kawiarni pogoda na zewnątrz przedstawiała się jeszcze bardziej odstręczająco.

Kobieta złożyła zamówienie i odczekała, aż kelnerzy przestaną się kręcić wokół. Erast wykorzystał ten czas, by lepiej jej się przyjrzeć. Owszem, ta Undine była bardziej zadbana, ale jednocześnie i bardziej zmęczona. Makijaż nie zakrywał cieni pod oczami, a pod różem na policzkach – Erast był pewien – kryła się chorobliwa bledność.

– Mam coś dla pana – powiedziała Tirele. Pociągnęła łyk kawy.

– Prawdziwe papiery Nilsa? – zapytał Lindemann, przez ułamek sekundy napawając się zaskoczeniem na jej twarzy. – Prawie mnie pani zmyliła. To były bardzo udane podróbki.

Ukryła zmieszanie za filiżanką.

– Nie. – Odkaslnęła. – Tym razem mam coś cenniejszego.

Wyjęła z torebki grubą niezaadresowaną kopertę. Undine docisnęła krawędź i miejsce sklejenia, po czym powoli, z namaszczeniem, przesunęła pakunek po blacie w stronę Lindemanna.

– Tu jest wszystko, co potrzebuje pan wiedzieć – powiedziała. – Proszę się ze mną skontaktować, gdy przeczyta pan całość.

– Co to jest? – Erast położył dłoń na kopercie.

Kobieta dopiła kawę i wstała.

– Historia Undine Tirele. – Obwiązała szyję szalem. – I, co ważniejsze, Sandro.

Panie Lindemann,

nie będę ukrywać: piszę z desperacji, ze strachu, z wycieńczenia. Jeśli uzna to Pan za wyraz poddania, niech będzie, poddaję się. Znajdzie tu Pan dość materiałów, by mnie zaszantażować. Oddaję prawdę w Pana ręce z pełną świadomością tego, jak silna jest to broń.

Ale nie mogę już wytrzymać. Piszę ten list nocami. Cały czas czuję na swoich plecach wzrok Sandro. Czasem obawiam się, że te nigdy niezamykające się oczy są w stanie przejrzeć przez ubranie, skórę, rozplątać myśli w mózgu.

Ten list będzie o Sandro, lecz najpierw muszę napisać Panu o Undine Tirele.

Sama niemal uwierzyłam w Undine Tirele. To znaczy – w tę Undine Tirele, którą Panu przedstawiłam. Istnieją naprawdę (jeszcze istnieją. Tylko te oczy sprawiają, że rozsypuję się od środka. Czy wiedział Pan, że Sandro nigdy nie śpi? To nie hiperbola). Naprawdę studiowałam chemię i na uniwersytecie poznałam Nilsa. Ale nie jestem jego siostrą.

Zapewne znał Pan Nilsa lepiej niż ja. Dla mnie był przede wszystkim pasjonatem. Mawiał czasem, że poza swoimi maszynami nie ma nic innego – przestał tak mówić, gdy się ożenił i gdy wspólnie z żoną oczekiwali dziecka – choć miał też nas, równie nieprzystosowanych do przedwojennych realiów znajomych. Gdy Nils podpisał kontrakt z armią, chciałam bić mu brawo. On sam wydawał się dość zadowolony, póki Samara nie przystąpiła do agresorów; nie przyjmował wyjaśnień, że to oportunistyczny ruch mający zapewnić jej niepodległość po wojnie. Zdaje się, że nigdy nie uwierzył, że taka

deklaracja może być wolna od przyjęcia zbrodniczej ideologii. Ja byłam bardziej pragmatyczna i nie wiedziałam, dlaczego sukces tak go boli. Później chyba zrozumiałam.

Dużo bliższy był mi Franz: przyjaciel, a następnie partner Nilsa. Jego też zapewne Pan zna. To intymna znajomość między katem i ofiarą. Jeśli chciałabym kogoś mścić, to właśnie Franza, którego pocieszałam po ucieczce Nilsa. Nie wiem tylko, kto miałby być obiektem tej zemsty; Nils? Pan? Obaj jesteście dla mnie nieosiągalni.

Muszę to przyznać: właśnie dzięki Franzowi i temu, co mi mówił o Nilsie i jego rodzinie, mogłam przekonująco odgrywać przyrodnią siostrę. Czy jest mi wstyd? Proszę zgadnąć. Czy się bałam? Wtedy nie.

Wciąż nie boję się Samary. To byłoby takie piękne oszustwo: żyć z patentów Nilsa i bronić samaryjskiemu referatowi dostępu do pozostałych projektów. To byłoby takie piękne oszustwo; po powrocie do domu otworzyłam prawdziwego szampana i świętowałam swój sukces. Być może Pana ludzie widzieli w oknach, jak tańczę.

Pyta Pan, co się zmieniło?

Sandro. Askia zmieniła Sandro.

Poza listem znajdzie Pan w kopercie mój pamiętnik, czy też pamiętnik Undine, jaką znał pan do tej pory. Jest on całkowicie sfabrykowany; wybierałam wygodne dla mnie elementy w nadziei, że jeśli posunie się Pan do prowadzenia śledztwa w mojej sprawie, znajdzie Pan tylko egzaltowany dziennik zmartwionej siostry. To miała być gwarancja mojego bezpieczeństwa. Oddaję ją Panu.

To znaczy też, że nie mam praw do opieki nad Sandro.

Ale nie ma Sandro. Proszę mi uwierzyć. Proszę przeczytać, co się stało, nim go Pan znalazł.

Nie powinnam o tym pisać dla dobra siebie i Tycho, a także, być może, całej wyspy – ale muszę to utrwalić. Jeśli czegoś nauczyła mnie nieobecność Nilsa, to zagrożenia, jakie niesie za sobą milczenie.

Tycho poruszył się niespokojnie.

– Czy mogę prosić panią o dyskrecję? – Splótł dłonie, aż zbiełały mu knykcie. – Pani jedna zasługuje na to, by wiedzieć, dlaczego nigdy nie znajdziemy Sandro.

Zasugerowałam, by powiedział o tym funkcjonariuszom policji. Tycho przez chwilę obracał w dłoniach fajkę, aż wreszcie stwierdził, że to nie był dobry pomysł.

Nie udało mi się powstrzymać historycznego śmiechu. Czy nie wystarczyło, że rząd mojego kraju traktował mnie jak oszustkę i zatajał przede mną szczegóły śledztwa w sprawie zaginięcia bratanka? Czy miałam przeciwko sobie także askiańskie służby? Ale Tycho okazywał mi - jeśli nie sympatię, to przynajmniej współczucie. Nie wiedziałam tylko, czy próbuje mnie ostrzec, czy dać mi jakąś wskazówkę. Jeśli była szansa, że chce mi pomóc, nie mogłam jej zmarnować.

Zamiast tego zaskoczył mnie wyznaniem:

– Bo widzi pani, dla nas jesteście, pani i Lindemann, zagrożeniem. Wspomnieniem wojny.

Wpatrywałam się w Tycho bez słowa. Gdy podjął temat, jego głos był cichszy, bardziej ostrożny.

Opowiedział mi, co to znaczyło być świadkiem wojny – tylko obserwować to, co działo się na kontynencie, z pełną świadomością, że Askia stałaby się w konflikcie zaledwie źródłem zasobów lub strategicznym punktem, o który zabijałoby się młodzi chłopcy obu armii. Niewielu Askiańczyków zaciągnęło się do kontynentalnych wojsk, lecz ich nieobecność na wyspie była wciąż świeżą raną. Nils spotkał się tu z oporem; decyzja o udzieleniu mu azylu nie była łatwa, wciąż oczekiwano samaryjskich okrętów, choć mój brat zapewniał, że nikt w Samarze nie chciał wojny. „Jeszcze” – podkreślił Tycho. Askiańczycy wiedzieli, że muszą chronić swoją wyspę.

– Rozumiem – odpowiedziałam.

Urzędnik pokręcił głową.

– Nie, nie rozumie pani.

Po długiej chwili dodał:

– Chodźmy. Muszę pani coś pokazać.

Wyszliśmy tylnymi drzwiami, przez rachityczny ogródek, na pola porośnięte soczyście zieloną trawą. Tycho wziął lampę naftową, lecz na razie kołysała się w jego dłoni, niezapalona. Gdy zmrużyłam oczy, dostrzegłam unoszące się ze szczelin w skałach smużki pary. Pod naszymi stopami wyspa wciąż ulegała przemianom, kotłowało się gorąco.

Tycho prowadził nas kamienną ścieżką z dala od miasta, ku klifom. Oboje szliśmy bez słowa, skupieni, jakbyśmy uczestniczyli w jakiejś procesji.

Wreszcie zesliśmy na plażę. Moje obcasy od razu zapadły się w czarny wilgotny piasek. Tycho skinął na mnie ręką i wskazał ścieżkę biegnącą na skraju skały. Im dalej szliśmy, tym mocniej czułam ciepło. Przychodziło i odchodziło, kontruując oceaniczną bryzę. Na zmianę uderzały we mnie fale gorąca i chłodu.

Później przyszedł zapach: słodkawy, ciężki, nie tylko petrichor, choć z wyraźnym żelazistym posmakiem. Tycho zerkał na mnie, jakby próbował odgadnąć, co myślę.

– Już prawie jesteśmy – powiedział.

Czyżby wciąż spodziewał się, że zechcę uciec? Zaszłam już tak daleko. Nie tylko Lindemann ścigał Nilsa. Ja też, na swój sposób – i nie umiałam odwrócić się od czegoś, co mogło przybliżyć mnie do brata.

Odpalił lampę, unosząc ją na wysokość swojej twarzy. Po chwili jednak odsunął od siebie płomień, kierując go ku szczelinom w skale.

Spodziewałam się chropawej czerni wulkanicznego kamienia – nie śliskiego, mokrego błysku żywej tkanki pulsującej pomiędzy krawędziami.

– To nowa rana – powiedział ze smutkiem Tycho. – Jest płytka, ale musimy dbać, by nie wdało się zakażenie.

Podeszłam bliżej. Skała była grubą, nierówną skórą, pod którą widziałam siatkę naczyń krwionośnych oplatających mięsień. Tu i ówdzie połyskiwały żółte globulki tłuszczu. Wyciągnęłam rękę ku nabrzmiałej krwią tkance, ale Tycho odepchnął mnie delikatnie.

Dość z odgrywaniem siły i upor. Pozwoliłam sobie opaść na czarny piasek. Teraz rana górowała nade mną. Gdy uniosłam głowę, zobaczyłam, jak potężna jest ta szczelina. Ja widziałam tylko mały jej kawałek. Powyżej tworzył się już matowiejący strup; tylko tu, gdzie bez problemu mogły dostać się drapieżniki, rana się jątrzyła.

– Na co patrzę? – zapytałam słabym głosem.

– Na wyspę. – Głos Tycho pełen był wzruszenia.

Przycisnęłam dłoń do chłodnego piasku. Potrząsnęłam głową.

Wyspa tymczasem oddychała miarowo. Siedząc tuż przed pęknięciem, czułam na twarzy jej leniwy puls: z każdym uderzeniem

serca nowy oddech ciepła rozchodzący się po tkankach. Ostatecznie nie miałam wyjścia, jak tylko uwierzyć. A to sprawiło, że zapragnęłam natychmiast stamtąd uciekać.

Tycho natomiast zachował spokój, wpatrując się w ranę Askii z czymś w rodzaju religijnego wręcz szacunku. Cierpliwie czekał, aż się uspokoję.

Czułam się mała, nieważna, niepotrzebna. To stworzenie pozwoliło mi chodzić po swoim grzbiecie; powinnam pamiętać, jaką łaską było to, że mnie nie strąciło. Pozwalało mi żyć, gdy ja wbijałam obcasy w jego skórę. Mogło w dowolnej chwili zrzucić nas wszystkich.

Popatrzyłam w górę, gdzie niebo zasłaniały szczyty przecinające Askie na pół. Teraz, gdy widziałam, na co patrzę, rozpoznawałam wystające kręgi grzbietu. To, co wzięłam za doliny wyrzeźbione potokami, stało się przestrzeniami rozdzielającymi żebra. Gdybym była dość cierpliwa, zapewne dostrzegłabym powolny, nieludzki oddech.

– Wyspa czasem nas chce – powiedział nagle Tycho.

Nie rozumiałam od razu, o co mu chodzi.

– Chciała Sandro.

Zerwałam się z miejsca.

– Co to znaczy: chciała Sandro?

Tycho zmieszał się, odwrócił ku morzu.

– Chciała jego towarzystwa. Jego obecności, jego doświadczeń. Zabrała go.

Pomyślałam o magmie wrzącej pod naszymi stopami, gdy przeczała się w gigantycznych żyłach. O strupach z niej znaczących wybrzeże. Wreszcie – o osmalonym skafandrze Nilsa.

– A Nils nie chciał zostawiać go samego – dopowiedziałam.

Tycho dygotał.

– Wierzył, że uda mu się ocalić Sandro albo że Askia zechce jego. Nigdy nie wiemy, na kogo padnie, to nie zdarza się często...

– Co Askia z nimi robi? – przerwałam.

– Nie wiemy – odpowiedział po dłuższej chwili urzędnik. – Jeśli dobrze ją rozumiemy... żyją, ale nie wrócą.

– Co to znaczy: „żyją, ale nie wrócą”?!
Mężczyzna tylko uniósł brwi, jakby chciał zapytać, czy jestem skłonna stawić wyzwanie Askii.

– Nie wracają – powiedział uparcie.

Cierpliwie czekał, aż wykrzyczę z siebie bezsilną wściekłość. Wiatr połykał mój głos.

– Teraz rozumię pani, dlaczego tak zależy nam na ochronie Askii.

Rozumiałam. Nie chcieli, by ktoś wypowiedział wojnę stworzeniu, które niosło ich na swoim grzbiecie. Gdy Tycho poprosił mnie o pomoc, nie namyślałam się długo. Wiedziałam, co Nils by zrobił.

Co Nils zrobił, woląc oddać się żywej wyspie niż dopuścić do kolejnej wojny.

– Pomogę. – Uścisnęłam jego dłonie.

Mieliśmy wrócić do miasta i zastanowić się, jak zmylić trop. Tycho był wręcz skłonny podstawić kogoś, by grał rolę Sandro. Jak pan zapewne się domyśla, nie zdążyliśmy niczego zrobić.

Pierwszego wieczoru po powrocie, odważniejsza dzięki alkoholowi, zapytałam Sandro, dlaczego wrócił.

Jak zwykle udzielenie odpowiedzi zajęło mu dużo czasu. Czekaając, zauważyłam jeszcze jedno: że jego klatka piersiowa się nie porusza.

– Nie chcę, by znów rozpętała się wojna. Dlatego wróciłem.

Na wspomnienie rozmowy z Tycho przeszedł mnie dreszcz.

– Czy myślisz, że wojna naprawdę nam groziła? – zapytałam.

Sandro tylko wzruszył ramionami. Bezsensowne pytanie; rozmawiałam z synem Nilsa, któremu ojciec na pewno wpoił obsesyjny lęk przed powtarzającą się historią.

– Czy chcemy sprawdzać?

– Nie – odparłam natychmiast. – Nie.

– Sandro tu nie ma – powiedział nagle chłopiec. Popatrzył wprost na mnie, a ja musiałam pogodzić się z czymś, co ignorowałam, odkąd przytulił mnie na Askii: że jego oczy są nienaturalnie ciemne, że coś się w nich kłębi, że coś patrzy na mnie zza źrenic dziecka.

– To ja, Askia.

Co by pan zrobił na moim miejscu, panie Lindemann?

Gdyby chodziło tylko o granie roli opiekunki, wytrzymałabym. Ale nie mogę już znieść tej obcości. Nie słyszał pan, jak to stworzenie mówi o wojnie; jak smakuje sylaby, woj-na, jak przygląda się

zdjęciom żołnierzy w gazecie. Tycho myślał o tym, byśmy nie zaatakowali Askii – a co, jeśli Askia zaatakuje nas?

To nie było retoryczne pytanie: „co by pan zrobił?”. Naprawdę chcę wiedzieć. Chcę przedstawić panu to, co przywieźliśmy z Askii. Gdyby nie my, nie musiałabym się zastanawiać, czy stoimy właśnie na progu wojny między gatunkami.

Erast skończył czytać zeszyt Undine. Podniósł głowę, rozglądając się po biurze: wokół niego stały rzędy biurerek, za półprzezroczystą szybą rysowały się kształty centrali telefonicznej. Nikt nie próbował czytać mu przez ramię. Znowu zerknął na pamiętnik opisujący żywą wyspę. Czy mógł to komuś zgłosić? Najpewniej ktoś uznałby, że problemy Lindemanna, przyniesione z frontu, nie skończyły się. Lub, co gorsza – że Undine miała rację i że współpracownicy zinterpretują jej obawy zupełnie inaczej.

Lindemann otarł oczy wierzchem dłoni. Decyzja była oczywista.

20 sierpnia

Stał przed kamienicą, w której mieszkała Undine: masywnym budynkiem o fasadzie pokrytej złuszczoną żółtą farbą. Wszedł do środka za jednym z lokatorów i niemal wbiegł na właściwe piętro. Zza drzwi sąsiadów Tirele dobiegł szum zepsutego radia i przekleństwa mieszkańca.

Undine wpuściła Erasta. Sandro nie przyszedł się przywitać, nawet zawołany. Kobieta tylko westchnęła ze zrezygnowaniem i wprowadziła Lindemanna do salonu.

– Herbaty? – zapytała.

Erast podziękował uprzejmie. Usiadł naprzeciwko chłopca. Przypomnił sobie oczekiwanie na Tirele na Askii i bezruch Sandro. Także teraz dziecko przyglądało mu się wielkimi, ciemnymi oczami. Było w tym spojrzeniu coś niepokojącego, coś, co wyciągało z Erasta jego lęki...

Brzęknęła taca przyniesiona przez Undine. Erast otrząsnął się. Zbyt łatwo dał się omamić jej słowom – czy kobieta sama nie przyznała, że kłamie?

Sandro w dalszym ciągu nie wypowiedział ani jednego słowa.

– Cicho u was – mruknął z przekąsem Erast.

Nie jest cicho, odezwał się Sandro, choć jego wargi się nie poruszyły. Wychylił się lekko w stronę Lindemanna. Znów na niego patrzył i we własnym odbiciu Erast dostrzegł okopy przy granicy i gaz wiszący nisko nad ziemią i huk dział i ziemia ubita przez czołgi i mechaniczny ruch rąk trzymających bagnet, nie myśl o tym, że to twoje ręce, granica się przesuwana na skraju twoich myśli nie ma nawet zasieków, tak łatwo tu wejść

Undine coś mówiła, ale jej słowa nie chciały zatrzymać się w świadomości Erasta ani na chwilę.

– ...mówiłam – powtórzyła, gdy oprzytomniał – że radio przestało działać, a nie mam głowy do tego, by je naprawić.

23 sierpnia

Gdy kupowała gazetę następnym razem, chłopak powiedział jej, że ma spotkać Lindemanna w Parku Zwycięstwa.

– Gdzie jest Sandro? – zapytał ją Erast na powitanie.

Tirele uśmiechnęła się ponuro, przestępując nad kałużami, po których pływały pierwsze żółknące liście.

– Zostawiłam go pod opieką sąsiadki. Nie zrobi nic złego. On też się boi.

Przeszli kilka kroków w milczeniu. Poza nimi w parku nie było nikogo; wrony obsiadły nagie drzewa, klóćąc się o coś zaciekle. A jednak Lindemann wciąż czuł obecność dziecka – czegoś obcego – jakby Undine zabrała ją ze sobą.

– Teraz mi pan wierzy? – zapytała.

Brzęczenie odbiornika wróciło do niego.

– Tak. – Przełknął ślinę przez ściśnięte gardło. – Wierzę pani.

W oczach Tirele pojawiła się nadzieja. Oszustka była świetną aktorką – czy nie na tym polegał jej fach? – lecz tym razem Erast uwierzył w szczerą jej uczuć. Musieli się odsłonić przed sobą. Nie mieli wyjścia, jak tylko dalej współpracować; żadne z nich nie mogło liczyć na nikogo innego. Opowieść o żywej wyspie i o skorupie w kształcie dziecka, w której zamieszkał umysł czegoś dalece starszego, nie przekonałaby przełożonych Erasta. Co najwyżej doprowadziłaby do jego szybkiej i nieodwracalnej degradacji. A ledwo pozbył się etykiетки szaleńca nadanej mu po wojnie przez lekarzy.

– Co dalej? – zapytała po chwili Undine.

– Co w ogóle możemy zrobić? – Sfrustrowany Erast przeczesiał dłonią rzednące włosy.

– On nie czuje bólu – powiedziała Tirele. – Wczoraj oblał się wrzątkiem i nawet nie zauważył poparzeń. A dziś rano już ich nie było... – zawiesiła głos.

Zimny dreszcz przebiegł przez plecy Lindemanna.

– Sugeruje pani, by zabić to dziecko?

– Sugeruję, że nie da się tego zrobić. – Przygryzła pobladłą wargę.

– Lub że nic to nie da. Nie wiem. Nie wiem, czy... czy to w ogóle potrzebuje fizycznego ciała.

– Musimy założyć, że tak.

– I nie możemy o nim myśleć jak o dziecku – powiedziała z naciskiem.

– My nie – odparł łagodnie Lindemann – ale Sandro Saari nie może tak po prostu zniknąć. Podobnie pani. Jest pani teraz opiekunką dziecka bohatera. Symbolu odrodzonej Samary.

Undine roześmiała się gorzko.

– Ten majątek naprawdę nie był tego wart.

– A pani naprawdę chodziło tylko o majątek?

– Tak. – Popatrzyła mu w oczy, jakby rzucała wyzwanie. – Chciałam sprawdzić, czy mi się uda. I żyć w bogactwie. Czy to taka zła motywacja? – Jej uśmiech stał się trochę bardziej serdeczny, oczy trochę bardziej błyszczące.

– Przynajmniej nie ma pani złudzeń – wymamrotał Erast.

Ostatnie, czego potrzebował, to fascynacji tą kobietą. Ale teraz – dopiero teraz – Undine zdjęła maskę i Erast z cichym poczuciem dyskomfortu musiał przyznać, że podobała mu się bezczelność, którą zobaczył. Cicha chemiczka ustąpiła miejsca komuś innemu. Komuś odważnemu.

Jego przełożonym taka osoba bardzo by się przydała. O ile nie uznaliby, że bezpieczniej będzie umieścić Undine za kratkami.

– Ale wróćmy do tematu. – Splotła dłonie przed sobą. – Co robimy?

Przez chwilę chciał zaproponować, by dalej wychowywała to dziecko. By spróbowała ukształtować tę obcość w coś, co mogłoby stać się przynajmniej niegroźne.

Undine musiała wyczuć tę myśl – lub spodziewała się jej.

– Nie – powiedziała szybko. – Nie ma mowy. Nie ma pan pojęcia, jak to jest, przebywać cały czas w towarzystwie tego stworzenia.

Ledwo zasypiam, wiedząc, że ono leży tuż obok, zawsze obudzone. Cały czas boję się tego, co może zrobić. Gdy Sandro próbuje zachowywać pozory codziennego życia, to jest... tym gorsze. Widzę, że się różni, widzę, że to stworzenie jest niekompletne, ale nie umiem tego nazwać. Cały czas czuję się, jakbym musiała być gotowa do ucieczki. I nigdy nie wiem, jak to zinterpretuje nowe informacje. Nie zmusi mnie pan.

– Więc co pani proponuje?

Brzęczenie po raz kolejny odezwało się w tyle jego głowy. Stawało się nieodróżnialne od szrapnelu. Wbrew temu, co Undine powiedziała, Erast był aż zbyt zaznajomiony z nieustającym poczuciem zagrożenia. Dobrze wiedział, co to znaczy, gdy pozornie niewinne detale sprawiają, że człowieka pokrywa gęsia skórka, a serce zaczyna walić jak młot.

Wiedział zbyt dobrze, bo przyniósł wojnę ze sobą.

– Musimy to unieszkodliwić. Uwięzić. Odciać od świata.

– Dziecko Nilsa – zauważył.

Wzruszyła ramionami.

– Wypadki się zdarzają. Potrzebujemy, by zniknął.

– Opinia publiczna...

– Nie obchodzi mnie opinia publiczna – przerwała mu. – Nie wiem, co to stworzenie może zrobić. Ale jeśli jest pan gotów wplątać Samarę w kolejną wojnę, proszę bardzo.

– Nie – odparł szybko.

– A więc Sandro zniknie – powiedziała z powagą. – Zgaduję, że pana przełożeni mają odpowiednie zasoby, by do tego doprowadzić.

Erast zamknął oczy, niechętnie przypominając sobie przesłuchania więźniów, którzy następnie znikali bez śladu, a Samara zapomniała, że kiedykolwiek istnieli. Tego elementu swojej pracy nienawidził szczerze; ale wykonywał ją mimo wszystko, z uporem, na chwilę odsuwając świadomość od rzeczy, które robił.

– Mają – przyznał, gdy sprzed jego oczu odpłynęły twarze więźniów politycznych. – Ale nie możemy zamknąć dziecka. A na pewno nie bez wtajemniczenia kogoś jeszcze.

– Badania lekarskie? – zasugerowała Tirele.

– Nie – zaprzeczył od razu, dopiero chwilę później uświadamiając sobie dlaczego.

Undine popatrzyła na niego pytająco.

– Nie – powtórzył Erast, czując, jak oblewa go zimny pot. Odłamki szrapnelu przemieściły się znówu. – Wie pani, co się wtedy stanie?

– Myślałam, że chce pan budować potęgę militarną Samary – powiedziała kobieta po długim milczeniu, niemal zupełnie bez ironii.

– Ja też tak myślałem – odparł Lindemann.

Zignorował uniesienie jej brwi. Nie musiał się tłumaczyć z tego, że zrobiłby wszystko, byle wyjąć z siebie te niewidoczne odłamki. A przynajmniej – by nie jątrzyć ran bardziej.

– Dobrze – podjęła Tirele, gdy pogodziła się z tym, że nie usłyszy wyjaśnień. – Co w takim razie?

Erast zawahał się. Nie przygotował się na to pytanie – aż nagle dostrzegł jedyne możliwe wyjście.

– Projekt Nilsa – powiedział. Serce waliło mu w piersi. – Skafander. Będzie idealny, prawda?

Undine wpatrywała się w niego tymi wielkimi błyszczącymi oczami.

– Tak.

2 września

Undine przywitała świt, dorzucając do kaflowego pieca w domu. Sandro siedział obok niej, patrząc, jak węgiel zajmuje się od kulek zmiętego papieru.

– Musimy się upewnić, że nie przynieśliśmy z Askii żadnych zarazków – mówiła pół godziny później, zapinając guziki płaszcza Sandro.

Za oczu chłopca patrzyło na nią spokojne, stare stworzenie. Gdy nieopatrznie napotykała jego wzrok, wydawało jej się, że w dziecięcych źrenicach widzi kłębiącą się ciemność.

– Zarazki? – powtórzyło za nią stworzenie.

– Choroby, których tutaj nie ma – odparła.

Miała nadzieję, że stworzenie – Askia, ciągle zapominała, by mówić mu po imieniu – nie rozpozna kłamstwa, nie wyczuje jej zdemotywowania. Z drugiej strony, co ono wiedziało o ludzkich zachowaniach? Do tej pory Undine przekonała się, że niewiele. Ale wciąż obawiała się, że niechciany gość dostrzeże, gdy coś się zmienia.

Wzięła stworzenie za rękę. Razem wyszli na ulicę. Niebo nabierało powoli odcienia fioleto. Poza Undine i Sandro na ulicach miasta

znalazło się tylko kilku robotników śpieszących na swoją zmianę, sprzątaczy i żebraków. Czekając na przystanku tramwajowym, kobieta ostrożnie unikała ich wzroku.

Mimo wszystko czuła się trochę winna.

Wreszcie tramwaj nadjechał i Undine wraz z towarzyszem wsiadli do kolebiącego się wagonika. Tirele chciała usiąść, lecz Sandro, zafascynowany, przyglądał się mijanym ulicom i bała się, że stworzenie może wyrwać się na przystanku, jeśli coś zwróci jego uwagę. Dotychczas tego nie zrobiło. Ale na tym polegała cała obcość istoty, którą nazywała Sandro: nie dało się określić, co jest dlań normalne, a co jest kaprysem. Undine nigdy nie wiedziała, jak jej podopieczny zareaguje. I nigdy nie mogła pozbyć się mrowienia pod skórą, jakby sama bliskość stworzenia budziła w niej instynkt ucieczki.

Odliczała w myślach przystanki, a gdy zajechali pod instytut, miała ochotę odetchnąć z ulgą.

Wprowadziła Sandro do przestronnej sieni.

Teraz ścierały się w niej dwa strachy: jeden związany z towarzyszeniem istoty, drugi – znajdujący swoje źródło w masywnych granitowych kolumnach zdobiących foyer, w monumentalnej, kanciastej bryle budynku, która zdawała się kobietę pochłaniać. Undine rozejrzała się na boki. Wielu znajomych kobiety trafiło tu w roli więźniów. To samo groziło także jej, choć nie spodziewała się, że Erast ją oszuka; wydawał się tak samo przerażony, jak i ona.

Ale przygotowała się również na taką ewentualność.

Dyskretne chrząknięcie wytrąciło ją z zamyślenia. Odwróciła się ku kolumnie, za którą stał Lindemann. Undine podeszła do niego bez słowa. Sandro szedł bezwolnie, spokojnie. Nie wyrzywał się. Tirele była aż nadto świadoma tego, że chłopiec trzyma jej rękę – i zastanawiała się, czy dałby radę połamać jej palce.

Nie wiedziała, niczego nie wiedziała.

Ale teraz szli w głąb budynku – wydziału? instytutu? – i drzwi się za nimi zatrzasnęły.

– Pan jest lekarzem? – zapytał Sandro prowadzącego ich pewnym krokiem Erasta.

– Byłem – skłamał gładko. – Dlatego postanowiłem poprosić o pomoc moją koleżankę.

Undine uniosła brew. Nie tak się umawiali. Ponad głową Sandro Erast posłał jej przepaszające spojrzenie.

Stworzenie natomiast wydawało się usatysfakcjonowane tym wyjaśnieniem, bo posłusznie szło za Lindemannem. Nie zdziwiło go, gdy zaczęli schodzić po stopniach. Undine zaś czuła coraz silniejszy ucisk w żołądku.

Znaleźli się w suterenie. Przez wąskie szyby umieszczone tuż pod sufitem sączył się szary, brudny poranek. Erast znalazł kontakt na ścianie i chwilę później nad ich głowami zabrzęczały świetlówki. W ich zimnym blasku Sandro wydawał się jeszcze dziwniejszy.

Undine po raz pierwszy pomyślała o tym, jak to stworzenie musi się czuć w swojej ludzkiej, małej, niepoważnej skorupie. Nie wzbudziło to w niej współczucia. Co najwyżej złość, że istota zabrała ciało chłopcu.

To, co zostało do zrobienia, wydawało się uczciwą zemstą.

W korytarzu spotkała ich wysoka kobieta z włosami ściętymi do wysokości szczęki. Kilka pasm opadło na policzek, zasłaniając biegnącą tam nierówną bliznę. Undine mimowolnie odwróciła wzrok.

– To moja przyjaciółka, doktor Zibert – przedstawił ją Erast.

Przybyła uściśniła dłoń Undine i pochyliła się, by przywitać się z chłopcem.

– A to nasz mały pacjent? – zapytała.

Sandro wpatrywał się w nią nieruchomo.

– To on – odpowiedziała za niego Undine.

Lekarka wyprostowała się, posyłając jej pytające spojrzenie – nie wierzyła w historię o martwym chłopcu.

Tirele postanowiła uparcie trzymać się swojego i wierzyć, że Erast ją poprze.

Szpieg został przed gabinetem, podczas gdy kobiety weszły do środka – najpierw Zibert, później Undine, prowadząc Sandro..

Gabinet śmierdział lizolem i wilgocią. Był skromnie wyposażony, a na szybie w drzwiach szafka z lekami widniały zacieki i smugi kurzu. Mimo wszystko Undine nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że do tej pory jedynymi pacjentami w tym miejscu byli więźniowie, których chciano jeszcze trochę utrzymać przy życiu. Przed tym między innymi uciekał Nils.

Ona też powinna przed tym uciekać. Wojna się skończyła, ale gabinety w suterenie wciąż były potrzebne.

– Muszę sprawdzić twoje płuca – zaczęła Zibert. Undine miała pewność, że wysoki, szczebioczący głos był elementem kamuflażu na potrzeby najmłodszych pacjentów. Brzmiał w uszach lekarki jak zgrzyt. – Czy mógłbyś zdjąć koszulę?

Sandro popatrzył bezradnie na Undine. Ta pośpieszyła, by mu pomóc. Domyślała się, jak ta scena wygląda dla Zibert: niesamodzielne, być może chore dziecko, w którym zgodnie ze starym zabobonem upatruje się działania złego. Guziki wyslizgiwały się ze spoconych palców Tirele.

Sandro znosił wszystko bez słowa. Drgnął dopiero, gdy Zibert przyłożyła stetoskop do jego pleców.

Undine mimowolnie zacisnęła dłonie w pięści. Obserwowała, jak zmienia się wyraz twarzy Zibert. Stało się dokładnie to, na co cicho liczyła: Sandro na krótką chwilę zapomniał o tym, że powinien oddychać tak często, jak robili to ludzie. Wrócił do spokojnego, leniwego rytmu Askii.

Moment przerwy, potem wymuszony, ledwo dostrzegalny ruch żeber. Stworzenie otworzyło usta, wtłaczając powietrze do płuc.

Zibert wolną ręką sięgnęła po dłoń chłopca. Po nadgarstek, w którym nie było czuć pulsu.

W innych warunkach Undine zapytałaby siebie: dlaczego? Co nie pozwalało temu stworzeniu dostrzec tych elementów ludzkiego życia? Istota tak bardzo skupiała się na mimikrze, a nie potrafiła pamiętać o odtwarzaniu najprostszych funkcji. Może to po prostu nie było dla niej ważne – niknęło w porównaniu z koniecznością mówienia i czynienia zadość społecznym rytuałom?

Co gorsza, Undine wiedziała, że stworzenie wzorowało się na niej.

Teraz, na chwilę wolna od nieustającej obserwacji, uświadomiła to sobie. Sandro stawał się podobny do niej. Przejmował gesty, manieryzmy.

Ta myśl zmroziła ją do kości. Undine chciała potrząsnąć tą kukłą, nakazać jej przestać.

Zamiast tego patrzyła na Zibert przeprowadzającą badania. Widziała, jak lekarka zawahała się, patrząc na zestaw do pobierania krwi. Igły leżały chwilowo zapomniane; Zibert oglądała gardło chłopca, jego bezkrwiste dziąsła, oczy pełne kotłującej się czerni.

Jej ruchy stawały się coraz powolniejsze.

Undine podchwyciła jej spojrzenie, gdy Zibert odkładała szpatułki. „Teraz mi pani wierzy?” – chciała zapytać.

Sandro poruszył się na kozetce.

– Czy to wszystko? – odezwał się tym swoim nienaturalnie poważnym tonem.

– Chciałabym jeszcze pobrać ci krew – powiedziała Zibert, znów szczebiocząc. Uśmiechnęła się do niego promiennie. – To nie będzie bardzo boleć. Tylko małe ukłucie.

„On nie poczuje bólu” – chciała zaprotestować Undine.

Gdy Zibert przygotowywała się, Undine pomyślała znów o Nilsie. Wbrew temu, co mówiła – niekoniecznie szczerze, lecz tak często, że sama w to uwierzyła – nie uratowała Sandro. Nie mogła tego zrobić. Wiedziała, że gdyby Nils o tym wiedział, pękłoby mu serce.

Ale mogła dla Saari zrobić coś innego.

Przywołała we wspomnieniach ich jedyne wspólne zdjęcie i chwilę, w której zostało zrobione – jeden z rzadkich momentów, gdy smutek i poczucie winy opuściły Nilsa choć na chwilę, gdy inżynier pozwalał sobie na nieśmiałą, ostrożną nadzieję i zachwyt światem.

Undine nie wiedziała, czy uwięzienie istoty będącej Askią przybliży ich do tej wysnionej, bezpiecznej przyszłości Nilsa. Ale nie wiedziała też, co innego mogłaby zrobić.

Lekarka wyprostowała się wreszcie.

– Poczekaj tu chwilę, proszę – powiedziała do chłopca, który siedział nieruchomo jak lalka, obojętny na chłód pokoju.

Undine wyszła za nią. Na ich widok Erast odsunął się od ściany.

– I? – zapytał.

– Miałaś rację – powiedziała Zibert. Zacisnęła wargi. – I dlatego uważam, że powinniśmy poświęcić mu więcej czasu.

– Nie – odpowiedzieli jednocześnie Erast i Undine.

Lekarka przekrzywiła głowę.

– W życiu nie widziałam czegoś takiego. I nie chodzi mi nawet o niego. – Wskazała ruchem głowy zamknięte drzwi gabinetu. – Z czysto praktycznej perspektywy...

– Nie, Julio. – Głos Erasta zabrzmiał stanowczo. – Zawarliśmy umowę. Dotrzymasz swojej części.

Czego dotyczyła umowa, Undine nie chciała nawet wiedzieć. Lindemann i Zibert mieli prawo do sekretów, a w tym miejscu powietrze było gęste od wstydliwych tajemnic. Wiedza stanowiła broń, którą Lindemann potrafił się posługiwać.

Zibert nie odpowiedziała.

– Weźmy go więc tam – zwróciła się do Undine. – Jeśli jest pani pewna.

Jeśli nie boi się pani, że zabije pani dziecko.

Undine była pewna. Uśmiechnęła się słabo, choć nie miała na to ochoty.

– Chodźmy.

Mieli tylko jedną szansę. Erast zerknął na zegarek, zaskakująco spokojny. Zostało dwadzieścia minut do ósmej, gdy przyjdą tu regularni pracownicy.

– To już prawie wszystkie badania. – Głos Zibert znów wskoczył na wysoki rejestr, gdy mówiła do Sandro. Undine krzątała się przy chłopcu, zapinając jego koszulę. – Musimy iść do innego gabinetu.

Chłopiec szedł za nimi posłusznie. Najwyraźniej lokator w jego ciele nie nauczył się jeszcze dużo o ludziach. Erast pozwolił, by kobiety i chłopiec szli przodem. Sam zamykał pochód, gotów odciąć stworzeniu drogę ucieczki. Ciężar w kaburze pod pachą był gwarantem bezpieczeństwa.

Julia obróciła się i posłała mu przez ramię pytające spojrzenie. Jeśli chciała wiedzieć, czy Erast potrafiłby strzelić do dziecka, to mogła sobie darować; Lindemann znał odpowiedź na to pytanie. Bardziej interesowało go, czy ołów zrobi stworzeniu krzywdę.

Zeszli jedno piętro niżej.

– Po co jest tyle pięter nad ziemią, gdy wszystko jest tutaj? – odezwało się stworzenie głosem chłopca. Każda sylaba była zniekształcona.

– Nie wszystko – powiedziała lekko Zibert, wichrząc włosy dziecka.

Kolejny korytarz. Znów brzęk świetlówek. Erast zerknął na zegarek. Siedemnaście minut.

Julia otworzyła drzwi.

W pokoju rysował się kształt skafandra. Erastowi przypomniał dawno oglądane sarkofagi; połysk metalu łatwo było pomylić z pozłotką i emalią.

Sandro stanął jak wryty.

– Nie – powiedział. – Widziałem to już. – Jego oczy otworzyły się szeroko. – Nie, nigdy więcej, nigdy, nigdy, nigdy...

Undine zdążyła przelotnie pomyśleć o tym, że planują uwięzić istotę o ciele tak wielkim, że inni ludzie brali ją za wyspę; że nie wiedzą, czy mają przed sobą całą Askie, czy też jakiś okruch jej umysłu; że Askia nigdy im tego nie wybaczy.

Sandro wykorzystał tę chwilę, by wywinąć się z jej uścisku i rzucić do ucieczki.

Erast zastawił sobą korytarz.

Uderzenie pozbawiło go tchu; jakby stworzenie ważyło dużo więcej, jakby wlało metal w ciało chłopca. Coś chrupnęło w żebrach Lindemanna. Mimo kłującego bólu przytrzymał dziecko i przycisnął je do podłogi. Szesnaście minut.

Docisnął kolanem brzuch chłopca, który wpatrywał się weń ze zdziwieniem. A zza jego oczu w Erasta wpatrywało się coś jeszcze innego.

Coś zaskoczonego tym nagłym kontaktem, ale i ciekawskiego. Czarne kłęby wiły się za zrenicami Sandro.

Lindemann poczuł, jak coś dotyka jego myśli, oblepia je, liże i smakuje powoli. Piętnaście minut...

Czas się zatrzymał.

Niewidoczne, osłizgłe języki przesuwają się po najświeższych myślach – *to nie może się dziać i czy Julia pamięta, ile mi zawdzięcza i to już wkrótce się skończy* – aż natrafiły na te zanurzone głębiej. Owinęły się wokół krawędzi szrapnelu.

Nie było miejsca, gdzie Erast mógłby się schować – tam, gdzie zwykle się odsuwał, stworzenie już czekało. Był wobec niego nagi. Nie mógł uciec od tej wstrętnej, niechcianej bliskości.

Tyk, tyk, tyk.

Erast zdał sobie sprawę, że zostało im tylko trzynaście minut, gdy Undine, krzyżąc, odepchnęła go od stworzenia. Czas znów zaczął biec.

Dziecko wywinęło się. Undine złapała je za rękę, ale szybko puściła. Chłopiec wstał – z tą swoją niezdarnością, ruchami mechanicznej lalki. Erastowi przez chwilę wydawało się, że Sandro się do niego uśmiecha.

Dwanaście minut.

Undine jęczała, skulona na podłodze. Chłopiec zerwał się do biegu.

Nie namyślając się wiele, Erast nacisnął spust.

Strzał odbił się suchym echem w korytarzu, załomotał w czaszce Lindemanna. Jak przez mgłę Erast dostrzegł upadające, rzucone w przód siłą pocisku ciało chłopca.

Z Sandro powinna bryzgnąć krew. Nic takiego się nie stało.

Erast poderwał się do biegu i uniósł bezwładne ciało – coś zmochyło mu koszulę i płaszcz. Sandro mrugał, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

– Nie? Nie? – powtarzał zaskoczony, jakby nie potrafił przypomnieć sobie żadnego innego słowa. A potem: – Naprawdę mi to zrobicie? – To było najbardziej ludzkie zdanie, jakie do tej pory wypowiedział. – Po tym wszystkim, co widziałeś?

Erast zacisnął zęby. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że istota zbliżała się do człowieczeństwa. Że uczyła się, że pojęła to, karmiąc się jego myślami. Potrafiła coraz lepiej ich naśladować? Czy tylko to? O naśladowaniu Erast wiedział bardzo wiele. I skoro nie umiał powiedzieć, kiedy naśladowanie stało się nim samym, czy mógł decydować za dziecko w jego objęciach?

Dziecko o żarłocznych oczach i ciele, którego rana zasklepiła się na oczach Erasta. Lindemann pohamował odruch odsunięcia Sandro od siebie.

– To nie jest na zawsze – skłamał, biegnąc, póki chłopiec nie miał sił, by mu się wyrывać.

A może nie chciał mu się wyrывać?

Minęli Undine jęczącą na podłodze. Jej dłoń pokrywały bąble oparzeń.

– Przepraszam! – zawołał nagle Sandro, wychylając się z ramion Erasta. – Nie chciałem zrobić ci krzywdy!

Undine podniosła wzrok.

– Szybko – poprosiła Erasta.

Lindemann wbiegł do pokoju, gdzie Zibert czekała nad otwartym skafandrem. Nie miał czasu zastanowić się nad jej lodowatym spokojem. Chwilowo liczyło się to, że położył chłopca w środku skorupy.

Sandro przestał się wyrывać. Tylko patrzył.

Patrzył na niego, gdy Erast zamykał skafander i mocował śruby. Osiem minut.

Lindemann oparł się o ścianę, czując, jak odpływa zeń energia. Był zany zimnym potem.

– Musimy cię opatrzeć. – Słyszał, jak Julia mówi do Undine. Widział, jak Tirele niechętnie daje prowadzić się do gabinetu, w którym chwilę wcześniej badano Sandro.

– Nie. Proszę poczekać. – Zatrzymała się. Popatrzyła na Erasta. – Proszę zamknąć te drzwi. Nie pójdę stąd, dopóki nie dostanę klucza. Erast niechętnie spełnił jej prośbę.

Chwilę później wyprowadził Undine tylnymi drzwiami. Nad miastem wstał błady jesienny świt.

– To już wszystko? – Upewniła się oszustka.

– Może pani żyć ze spadku po bracie. – Lindemann uśmiechnął się ironicznie, choć ciepło.

Undine odpowiedziała mu takim samym uśmiechem.

– Powiedział mu pan, że to nie na zawsze – zauważyła. Najwyraźniej ona też potrzebowała tej nadziei; myśli, że jednak nie zrobili czegoś nieskończenie złego.

– Może tak będzie. Nie na zawsze. Może będziemy mądrzejsi. – Przesunął dłonią po spoconej twarzy. – Ale nie teraz.

– Mam nadzieję, że już pana nie zobaczę – dorzuciła Undine z niespodziewaną serdecznością w głosie. – Choć i trochę tego żałuję.

– Ja też – uśmiechnął się. – Powodzenia, pani Tirele.

Skłoniła lekko głową i zniknęła w lekkim jak babie lato świetle.

Gdy dotarła do domu, drzwi były uchylone. W jej salonie siedziało kilku dżentelmenów. Dookoła nich leżały rozrzucone jej książki i papiery.

– Proszę. – Jeden z nich wskazał wolne krzesło. – Porozmawiajmy.

Undine usiadła posłusznie, splatając dłonie na kolanach. Zdrową ręką przykryła opatrunek.

– O czym chcą panowie porozmawiać? – zapytała dziwnie spokojna. Po takim poranku nic nie mogło jej już przestraszyć.

– O pani bracie – podpowiedział ten sam mężczyzna. – O jego wynalazkach. O projektach przyszłych wynalazków.

Undine zaczerpnęła tchu. Wydawało jej się, że słyszy kroki w korytarzu i skrzypienie drzwi.

– Jaka szkoda – powiedziała, bawiąc się opatrunkiem – że te projekty spłonęły.

Obróciła się w stronę uchylonych drzwi, w sam raz, by dostrzec w nich Erasta – i cień uśmiechu na jego twarzy.

Anna Łagan - Urodzona w Krakowie, rocznik 1983. Z wykształcenia religioznawca, w chwili obecnej kończy doktorat. Geek wychowany w rodzinie geeków, gdzie do poduszki czytano jej Tolkiena i opowiadano na poczekaniu wymyślone fanfiki do „Bajek Robotów”, miała dwa wyjścia: zbuntować się albo zacząć pisać. Wybrała to drugie i od tego czasu popołniła sporo tekstów, z których pewna część została upubliczniona w internecie i na papierze.

Jeśli nie czyta i nie pisze to najpewniej w coś gra (RPG na żywo, na komputerze, larpy) lub głaszcze koty.

Anna Łagan
**EKONOMIA TO DOLINA NIESAMO-
WITOŚCI**



Zła drzwiami kopuły rozciągał się świat zupełnie inny niż na zewnątrz. Kiedy już przeszło się przez służbę, minęło zabezpieczenia i zdjęło kombinezon, wychodziło się na szeroką, otwartą przestrzeń porośniętą trawą, ziołami i gdzieś tam drzewami. Wewnętrzna warstwa kopuły pokazywała kiedyś holograficzny górski krajobraz – niestety, wyświetlacz przeszedł kilka awarii, więc teraz miejscami góry miały zaburzone kolory, pasma ciemnych pikseli, albo po prostu ich nie było i przez dziury w sztucznym niebie prześwitywały heksagonalne panele kopuły.

Lamom to nie przeszkadzało. Manu próbowało naprawiać projektor nie ze względu na nie, ale ze względu na to, że tak być powinno, że to był element całej konstrukcji. Odpuszczenie oznaczało, że potem będzie bardziej skłonne do odpuszczania kolejnych elementów. Nie będąc człowiekiem, nie miało w sobie lenistwa i przyzwolenia na bylejakość. Niestety, rzeczywistość pokazała, że Manu nie mogło opanować wszystkiego. Kiedy zostało samo, musiało dokonać selekcji i zająć się najbardziej niezbędnymi pracami; pozwoliło zatem wyświetlaczowi psuć się, sprawdzając tylko w regularnych odstępach czasu, czy te awarie nie stanowią zagrożenia dla całej struktury i dla lam.

Manu wiedziało, że lamy są priorytetem. Dbanie o ich zdrowie, bezpieczeństwo i komfort, regularne strzyżenie, usuwanie martwych sztuk, liczenie populacji – to były jego zadania, wykonywało je więc skrupulatnie. Usuwanie usterek oczywiście należało do dbania o dobrostan stada. Czasem jednak trzeba było wzywać specjalistę, gdy awarii ulegały same lamy – albo Manu. Prawdę powiedziawszy, Manu bało się, że kiedyś ulegnie tak poważnej awarii, że nie zdoła wezwać fachowca. Tak przecież stało się z Mercedes: ale ona po prostu była stara, a bioludzie byli pod tym względem podobni do lam: części zamienne do nich były trudniejsze do zdobycia, zamontowania i o wiele za drogie, jak na możliwości Mercedes. Zresztą ona sama twierdziła, że człowiek nie powinien żyć zbyt długo. Czemu niektórzy ludzie mieli przedłużać życie w nieskończoność, podczas gdy inni umierali przedwcześnie, a o zwierzęta nikt nie dbał?

Manu zastanawiało się, czy dotyczy to też mechaludzi. Czy ono też powinno w którymś momencie odejść? Nie bało się śmierci – nie

tak, jak bioludzie. Raczej martwiło się o lamy. Przecież niewielki ekosystem pod kopułą miał swoje ograniczenia i potrzebował nadzoru. Oczywiście lamy jako pojedyncze zwierzęta umierały, ale to jednak było co innego niż strata całego stada. A opiekę nad całym stadem Manu miało w programie.

Mercedes odkupiła je i przeprogramowała. Wydała na to swoje ostatnie pieniądze, tak powtarzała. Wystarczyło akurat na używaną roboniańkę. Manu nie pamiętało bycia roboniańką, ale wiedziało, że miało w cyfrowym mózgu obwody odpowiedzialne za opiekę, które łatwo było przestawić na obiekt inny niż bioludzkie dziecko.

Kiedyś, podobno, było żeńskie. A właściwie – rozumiane jako żeńskie, mówiła Mercedes, bo bioludzie ciągle mają w kulturowym oprogramowaniu przeświadczenie, że osoba żeńska jest bardziej predestynowana do opieki nad dzieckiem. Mercedes miała w nosie (nie dosłownie – to metafora) oczekiwania ludzkości. Mechaniczni ludzie nie muszą być ani mężczy, ani żeńscy. Bioludzie w gruncie rzeczy też nie muszą – a przynajmniej nie powinni musieć. Uznała, że nie będzie projektować na Manu swoich wyobrażeń o męskości i żeńskości – i tak inni będą to robić.

Manu miało to w nosie. Nie dosłownie, zwłaszcza że nie miało nosa, tylko lekkie wysklepienie na głowie, jeden z elementów upodabniających jego twarz do bioludzkiej. Ludzie, których czasem spotykało, czasem mówili o nim „on”, a czasem „ona”, ono jednak nie zastanawiało się nad przyczynami. Nie miało w programie refleksji nad własnym rodzajem – może tylko szczątkową nad naturą swojego mechaczłowieczeństwa, ale nie czuło potrzeby pogłębiania jej, bo to sprawiłoby, że zapomniałoby o lamach.

Lamy trzeba było strzyc, więc Manu szło do nich z nożycami, wołało je, a one przychodziły ufne i spokojne. Obcinało grubą, szorstką wełnę, wrzucało do maszyn czyszczących i gręplujących. Dwa razy do roku zjawiał się kupiec, odbierał wełnę i przelewał pieniądze na konto Marsjańskiej Hodowli Lam: właściwie konto należące do Manu. Nie formalnie, bo jako mechaczłowiek Manu nie było obywatelem, ale Mercedes wykorzystała parę kruczków prawnych, które dawały quasi-obywatelstwo i podmiotowość prawną firmom.

Manu nie rozumiało, czemu firma może być quasi-obywatelem, a ono nie. Pokrętnie tłumaczenia Mercedes sprowadzały się do jednego słowa-klucza: kapitalizm. Manu sprawdziło, czym jest kapitalizm,

i nadal nie rozumiało. Ale jego chęci refleksji nad rzeczywistością miały swoje granice.

Jednak dzięki kapitalizmowi ktoś kupował wełnę, a Manu miało pieniądze na naprawy sprzętu, lam i siebie. Właściwie miało tych pieniędzy więcej, niż potrzebowało. Ignorowało ich istnienie. Były żelazną rezerwą w razie czego. Samo Manu nie miało potrzeb, na które mogłoby je wydawać.

Właśnie wypadał dzień, w którym przyjeżdżał kupujący. Zazwyczaj był to bioczlówek, zwykle ta sama męska osoba, lubująca się w żartach wymagających wiedzy o kulturze popularnej Ziemi XX i XXI wieku. Ulubionym dowcipem p. Bachmana były elektryczne owce. Manu sprawdziło, o co chodzi. Nie poprawiło mu to algorytmów poczucia humoru, jednak teraz mogło uruchamiać opcję śmiechu. To bardzo pozytywnie działało na p. Bachmana.

Dziś Manu spóźniło się trochę. Musiało wymienić kilka elementów w instalacji pogodotwórczej. Przyszło do domu zarządcy – kiedyś mieszkania Mercedes, teraz pustego budynku służącego do spotkań z bioludzkimi kontrahentami i okazjonalnymi pracownikami – spóźnione. Wełna przygotowana do transportu czekała w hermetycznie zapieczętowanych skrzyniach, zgodnych ze wszelkimi normami obowiązującymi na Marsie oraz w poszczególnych ziemskich państwach i korpozonach. Właściwie Manu mogłoby zrezygnować z osobistego kontaktu, ale Mercedes zawsze powtarzała, jak bardzo jest on istotny w tej niszy rynkowej, w którą się wpasowała, jak dobrze buduje wizerunek firmy, podkreśla indywidualne zaangażowanie. Dlatego Manu starało się utrzymywać kontakty i emulować indywidualne zaangażowanie.

P. Bachman czekał. W pokoju gościnnym wisiały pamiątki, które Mercedes przywiozła z Ziemi: zdjęcia z Andów pochodzące jeszcze z początku XXI wieku, na których była młoda dziewczyną i nosiła barwny strój z szeroką chustą i niewielkim, okrągłym kapelusikiem. Lamy na tych fotografiach pasły się na stokach prawdziwych gór. Na półkach i w przeszklonych gablotkach leżały drobne przedmioty z drewna i gliny, między szafkami wisiała barwna makatka w geometryczne wzory. P. Bachman stał przed jedną z gablotek, przyglądając się jakiemuś elementowi kolekcji. Odwrócił się, gdy Manu weszło do pomieszczenia i ukloniło się uprzejmie.

– Dzień dobry, p. Manu. Spóźniło się p. Czy coś się stało?

Był wyjątkowo uprzejmy dla Manu, kiedy już się nauczył, jak się z nim obchodzić. Nie wszyscy bioludzie mieli takie nastawienie: większość wykazywała wobec mechaludzi uczucia mieszczące się w szerokim wachlarzu między uprzedzeniami a zakłopotaniem. Na szczęście dla siebie Manu nie spotykało się z tymi o najbardziej negatywnym nastawieniu.

– Dzień dobry, p. Bachman. Cieszę się, że p. dotarł. Miałom niewielką awarię – powiedziało głosem, który stworzono, by brzmiał łagodnie i kojąco. Mercedes zmodyfikowała go odrobinę, usuwając sporo „kobięcych” nut, ale łagodność pozostawiła. – To nic poważnego, ale mam zasadę, że awarie natychmiast usuwam. Czy napije się p. czegoś?

Mężczyzna kiwnął głową. Manu zrobiło mu to, co zawsze: napar z ziół, który lubiła pijać Mercedes. To też był jej wkład, jak wszystko – receptura na mieszankę, zamawianie poszczególnych składników z różnych miejsc na Ziemi. Niewielka ilość luksusu, powtarzała zwykle. Starła się, żeby zioła pochodziły z podobnych do jej własnego niezależnych przedsiębiorstw, choć w dobie podziału Ziemi na korpozony i zinstytucjonalizowanej i skomercjalizowanej mody na niezależne produkty trudno się czasem było zorientować, od kogo warto było kupować, a za kim stała niedopuszczalnie wielka firma. Manu opracowało sobie specjalne algorytmy na obliczanie takich rzeczy, ale przedsiębiorstwa im większe, tym były sprytniejsze. Niektórymi zarządzały SI zaopatrzone w odpowiednie algorytmy pomagające wyjątkowo sprawnie podszycać się pod regionalne, etniczne przedsiębiorstwa i producentów fair trade. Korpozony wchłaniały wszystko, co napotkały na swojej drodze, tak jak wchłonęły andyjskie pastwiska, gdzie Mercedes jako młoda dziewczyna strzygła swoje pierwsze stado lam.

P. Bachman lubił tę ziołową mieszankę – a może tylko skutecznie udawał dla podtrzymania pewnej tradycji, żywej nawet po śmierci Mercedes. Manu nie było pewne. Algorytmy interpretujące ludzkie zachowania miało niedoskonałe, ale nie odczuwało potrzeby instalowania lepszych, bo nie widywało wielu ludzi. Od pewnego czasu widywało tylko p. Bachmana, i choć nauczyło się pewnych jego zachowań, nie wiedziało, z czym je porównać.

– Właściwie chciałem porozmawiać – powiedział p. Bachman, pijąc swoją herbatę. – Nie chcę finalizować transakcji bez skonsultowania się.

– O co chodzi? – spytało Manu.

Siedziało na kanapie naprzeciw swojego kontrahenta w pozie, którą jego oprogramowanie uznało za najbardziej odpowiednią do takich rozmów z ludźmi. Zrobiło też lekko zaniepokojoną minę.

– Obawiam się, że musimy renegotjować zasady umowy – o ile w ogóle mamy ją utrzymać. Bardzo mi przykro z tego powodu.

Manu obserwowało mimikę swojego rozmówcy, jego usta, jego oczy, wszystkie mięśnie twarzy. W tle przeliczało, o co tak naprawdę może chodzić i czemu umowa miałyby być renegotjowana – albo i zerwana. Najprościej było wszystkie prawdopodobne powody podsumować krótkim „nie opłaca się”, i p. Bachman potwierdził tę obawę:

– Niestety, to wszystko staje się coraz bardziej kosztowne: cały transport wełny z Marsa na Ziemię nie jest najtańszy, a dodatkowo pojawiają się coraz to nowe opłaty i obostrzenia. To, że produkuje p. produkt niszowy doskonałej jakości, jest wartością samą w sobie, ale jeśli podniosę ceny dla sklepów i indywidualnych rzemieślników, część z nich przestanie być stać na zakup. Inni będą zmuszeni podnieść ceny własnych wyrobów, co też nie musi być dla nich korzystne, bo oznaczać to będzie, że ich klienci też będą musieli przemyśleć zakupy jeszcze raz, i mimo że cenią wysoką jakość, niekoniecznie będą sobie mogli na nią pozwolić. Oczywiście, podnoszenie cen do pewnego poziomu jest normalne, ale w którymś momencie...

Manu połączyło się z siecią i zaczęło ściągać odpowiednie dane: koszty transportu z Marsa na Ziemię, cła i opłaty manipulacyjne narzucane przez korpozony versus dotacje i upusty dla niezależnych przedsiębiorstw, wprowadzane przez te państwa na macierzystej planecie, które jeszcze się liczyły. Informacje o nowych obostrzeniach i podnoszonych przez korpozony opłatach za przewóz, magazynowanie i wynajem lokali pojawiły się w jego mózgu wraz z krzykliwymi reklamami obiecującymi zniżki w zamian za podpisanie odpowiedniego kontraktu.

– Rozumiem – odpowiedziało. Jego obliczenia pokazywały, jak zaciska się pętla wokół przedsiębiorstw tak małych, jak prowadzona przez nie hodowla. To nie były obostrzenia skierowane

osobiście przeciw niemu; było w końcu zbyt niewielkie, by jakakolwiek korporacyjna SI widziała je jako coś więcej niż małą zmianą. Ale wiele takich małych zmiennych oznaczało wiele dziur w sieci, którą korporacje próbowały ogarnąć całą Ziemię – a także cały Układ Słoneczny. Każda sytuacja, w której zyskiwał kto inny, była dla korporacji sytuacją, w której one traciły: wbrew zasadom matematycznym zero interpretowane było jako minus.

– Jakie rozwiązania p. proponuje?

P. Bachman przez chwilę nie patrzył na Manu. Zawiesił wzrok na jednej z fotografii na ścianie pomieszczenia, wolno upił łyk herbaty.

– Jest kilka sposobów rozwiązania tego problemu – powiedział. – Jeden to podpisanie paru kontraktów, które pozwolą nam nie tylko na niepodnoszenie kosztów transportu i magazynowania, ale nawet na obniżenie ich. Niestety, będzie to oznaczać uzależnienie się od korporacji, jeśli nawet nie przez p., to przeze mnie, a prawdę mówiąc, właśnie niezależność jest tym, co moją firmę czyni tak atrakcyjną dla małych wytwórców takich jak p. i jak reszta moich kontrahentów. Inna opcja to obniżenie ilości pieniędzy, którą będę p. płacił za wełnę. Oczywiście jest to tymczasowe rozwiązanie, bo prędzej czy później korporacje będą po raz kolejny próbowały przykręcić śrubę. Jest jeszcze opcja, w której to ja obcinam koszty, ale to zbyt niewielka oszczędność, jeśli nie chcę zmniejszyć pensji pracownikom, i też jest to rozwiązanie tymczasowe. Najlepszym na razie wydaje się obniżenie sumy, którą p. płacę. Podobne negocjacje muszą przeprowadzić z pozostałymi producentami, z którymi współpracuję.

Kolejne informacje spływały do pamięci Manu: lista zakładów, od których firma p. Bachmana odbierała produkty, ceny hurtowe, ceny przewozu, kwoty płacone pracownikom, kalkulacje pokazujące efekty obniżenia poszczególnych kosztów. Nie wyglądało to różowo. Manu mogło sobie pozwolić na to, by dostawać mniej pieniędzy, ale niektórzy inni wytwórcy niekoniecznie. Obniżenie cen zaowocowałyby ich upadkiem albo zmusiłoby do podporządkowania się korporacjom, ponieważ sami nie byłiby w stanie utrzymać się na powierzchni. To oznaczałoby, że p. Bachman straciłby dostawców i prędzej czy później musiałby zacząć obcinać własne koszty, ograniczać ilość transportów, a nawet zwalniać pracowników.

„Kapitalizm” – mawiała Mercedes. Pastwiska, na których wysała lamy w Andach, upadły w zasięg korpozonny. Decydenci

postanowili wybudować tam kurort turystycznych. Turyści chcieli oglądać lamy, ale z daleka, a najlepiej na holoprojeckach, ponieważ woleli, żeby lamy na nich nie pluły. Wtedy jeszcze prawa nie utrudniały ubiegania się o odszkodowanie tak bardzo, jak potem, i Mercedes udało się wywalczyć naprawdę duże pieniądze. Tereny na Marsie były wówczas tanie, zaś crowdfunding pozwolił na zbudowanie kopyły i pastwiska.

Teraz zasady, ceny, opłaty manipulacyjne i wszystko inne czyniły rozkręcenie takiego przedsięwzięcia nieopłacalnym. Niedługo miały uczynić nieopłacalnymi także przedsięwzięcia już działające.

– Kapitalizm – powiedziało Manu, nadając swojemu głosowi brzmienie podobne do tego, które miał głos Mercedes wypowiadającej to słowo.

– Ano, kapitalizm – westchnął p. Bachman. – Ma wiele wad, ale w sumie da się z nim żyć. Nie wiem, czy można na niego poradzić coś innego poza dostosowaniem się. W tym zawsze ludzie byli najlepsi.

– Może bioludzie – sprzeciwiło się Manu. – Ale co z mechaludźmi i SI?

– Jesteście pośród nas za krótko, żeby można było ocenić, jak sądzę – powiedział p. Bachman. – Prawdę mówiąc, nie wiem. Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Będzie p. musiało samo znaleźć odpowiedź.

– Oczywiście – zgodziło się Manu. – Właśnie przeprowadziłam analizę skutków obniżenia moich cen i mimo że widzę wiele niedogodności i nieprzyjemnych konsekwencji, rozumiem, że jak p. powiedział, jest to na ten moment najlepsze rozwiązanie problemu. Zgadzam się na zmianę umowy i obniżenie kosztów... Oto cena, którą p. proponuję. Błyskawicznie przesłało wygenerowaną klauzulę do umowy na tablet p. Bachmana. Wyliczyło kwotę, która nie była najniższą, na jaką mogło sobie pozwolić – ale tylko dlatego, że wiedziało, że być może będzie musiało jeszcze ją obniżyć, jeśli nie teraz, to w przyszłości. P. Bachman uważnie przyjrzał się klauzuli. Kiwnął głową.

– Mam nadzieję, że to wystarczy. Dziękuję p. za wyrozumiałość.

Manu nie zamierzało biernie czekać na rozwój wydarzeń. Dzisiejszego dnia dowiedziało się na temat handlowych zależności, w które było uwikłane, więcej, niż w ciągu całego swojego dotychczasowego

mechażycia. Każdy bajt wiedzy owocował kolejnymi kalkulacjami i zmuszał do sięgnięcia po kolejne dane, Manu puściło więc analizę sytuacji ekonomicznej jako proces towarzyszący wszystkim jego normalnym czynnościom. Sprawdzając, jak czują się lamy, badało zasady rządzące rynkiem na Ziemi i w Układzie Słonecznym na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat. Robiąc przegląd sprzętu, wydawało drobne kwoty na dostęp do danych zablokowanych korporacyjnymi paywallami. Zaczęło też poznawać konteksty historyczne, począwszy od znalezienia w głębinach zasobów sieci całej historii Mercedes i tego, w jaki sposób udało jej się zdobyć środki na hodowlę lam. Oczywiście znało tę opowieść, ale głównie z relacji samej Mercedes. Teraz uznało za przydatne przyjrzeć się kulisom prawnym i dokumentom – także tym, które dotyczyły bezpośrednio jego samego. Znalazło również wiele informacji dotyczących kapitalizmu i jego historycznych przemian. Jak się okazało, p. Bachman mylił się: ludzie nie dostosowywali się do niego bez oporu. Przeciwnie, próbowali z nim walczyć, i to wiele razy. W pewnym okresie i na pewnych obszarach Ziemi udało się nawet wprowadzić system, który miał być dla niego skuteczną alternatywą, a który okazał się być tragiczną pomyłką. Kapitalizm wracał więc jak przysłowiowy bumerang (Manu znalazło też definicję bumerangu), prezentując się niezrędko jako najbardziej humanitarny z systemów ekonomicznych. Prędzej czy później jednak ujawniał swą paskudną twarz. Kazał się dostosować – to jednak oznaczało bycie kiepsko opłacanym trybikiem w olbrzymiej maszynie, a większość ludzi nie nadawała się do tego. Obiecywał też bogactwo tym, którzy byli przedsiębiorczy – ale nie każdy człowiek umie się na przedsiębiorczość nastawić, a z tych, którzy potrafią, niewielu wytrzymuje konkurencję. I oczywiście, w kapitalizmie pieniądze kumulują się, za nie zaś możesz kupić każde prawo, jakie tylko będzie dla ciebie korzystne. W efekcie to korporacje zyskiwały najwięcej.

Manu zrozumiało, że regulacje, które teraz groziły jego hodowli, przedsiębiorstwu p. Bachmana oraz wielu innym niezależnym wytwórcom, były bardzo logiczną konsekwencją rozwoju systemu. I że system będzie nadal rozwijał się w tym samym kierunku, aż wszystko, co do korporacji nie należy, będzie już tylko wspomnieniem.

Manu było zaprogramowane na możliwość odczuwania smutku i właśnie w tym momencie smutek odczuło. Przeanalizowało to

odczucie. Wyglądało na to, że przyczyną smutku była zbliżająca się nieuchronnie strata tej egzystencji, jaką Manu dotąd znało – jedynej, jaką pamiętało.

Zaczęła je ogarniać niepewność. Co zrobi, jeśli straci swój obecny cel? Mercedes zleciła zaprogramowanie go do hodowania lam, a potem wprowadziła odpowiednie poprawki, które pozwoliły Manu zarządzać firmą. Ale jeśli nie będzie firmy i nie będzie lam, co Manu zostanie? W jego obwodach, w najbardziej pierwotnym oprogramowaniu, znajdowała się też chęć przetrwania, bez niej bowiem większość SI nie działa we właściwy sposób. Teraz ta chęć przetrwania i niepewność własnej przyszłości wywołały w Manu nowe odczucie – lęk. Oczywiście mogło nad nim zapanować i wygasić go w porę, ale jego pojawienie się uświadomiło mu, że zdecydowanie powinno zrobić coś, żeby zabezpieczyć swoją przyszłość.

Było jasne, że p. Bachman miał rację i obniżenie cen było rozwiązaniem chwilowym. Co zatem byłoby długofalowym?

Historia ludzkiej desperacji i buntowniczych zrywów podsuwała pomysł. Manu doszło do logicznej konkluzji, że kapitalizm trzeba obalić.

Ta konkluzja zaowocowała kolejną serią obliczeń w celu sprawdzenia, jakie są możliwości dokonania tego czynu. Nie podobały mu się wyniki, bo podobnie jak przykłady historyczne, pokazywały niewielkie możliwości i, co gorsza, poważne trudności w wypadku, gdyby się jednak udało. Koszty obalenia kapitalizmu wyglądały na równie wysokie, jak koszty życia w tym systemie.

Po raz pierwszy w swoim mechażyciu Manu doświadczyło braku mocy obliczeniowej. Kalkulacje zaczynały zajmować zbyt wiele procesów i jeszcze trochę, a Manu musiałyby przeznaczyć na obliczenia także i te części pamięci roboczej, które zajmowały się rutynowymi zadaniami. Nie mogło w ferworze planowania przewrotu, który przy odrobinie szczęścia (jeśli „szczęście” było właściwym słowem, bo Manu, jak większość SI, nie za bardzo przyjmowało koncept szczęścia stworzony przez bioludzi) obejmie cały Układ Słoneczny, zapomnieć o swoim pierwotnym zadaniu. Najważniejsze było pozostać wiernym spuściznie Mercedes.

Było pewne, że byłaby dumna z jego planów. Gdyby istniały jakieś zaświaty, pewnie patrzyłaby z nich teraz na swoje podopieczne i cieszyłaby się. Manu umiało, ku własnemu zaskoczeniu, to sobie wyobrazić. Nie było zaprogramowane na tak abstrakcyjne procesy myślowe.

Czy powinno puścić sobie diagnostykę? Wygospodarowało na to godzinę i wyłączyło wszystkie procesy poza tym jednym. Nie stwierdziło żadnych nieprawidłowości. Założyło zatem, że to te części oprogramowania, które odpowiadają za symulowanie ludzkich procesów umysłowych, wygenerowały zrandomizowany plik na podstawie posiadanych danych – a tych pamięć Manu zebrała w ciągu ostatnich dni zastraszającą ilość. U ludzi nadmiar danych objawiał się w ten sposób: wyobrażeniami, fantazjami i snami. Miało to wiele aspektów – jednym z nich była zdolność spekulacji kontrfaktycznych, a właśnie na granicy takich Manu poruszało się ze swoim planem obalenia kapitalizmu.

Po kilku dniach doszło w końcu do konkluzji: jedna istota, niezależnie od jej natury, to za mało, by poradzić sobie z budowanym przez stulecia systemem.

Dla Manu było to pewnym problemem. Nigdy nie było towarzyskie. Być może dawne oprogramowanie roboniańki miało skrypty pozwalające na nawiązywanie szerszych interakcji społecznych, choćby tylko w ramach wykonywanych obowiązków; oprogramowanie obecne nakazywało uprzejmość wobec ludzi, ale nie szukanie kontaktu. Manu było jednostką dość samotniczą, przyzwyczajoną do towarzystwa lam i, wcześniej, Mercedes. Teoretycznie mogło wejść w sieć i poszukać tam znajomości. Mogło też usprawnić swoje oprogramowanie w kierunku większego współczynnika ekstrawersji – tyle że nigdy dotąd tego nie robiło.

Ale jeśli gdzieś kontaktowali się ludzie o podobnych poglądach jak te, które ono właśnie sobie wypracowało, to na pewno w sieci.

Zaplanowało obowiązki na kolejny dzień tak, żeby znów móc wygospodarować sobie godzinę, podczas której nie przeszkodzi mu nic. Działało sprawnie, poświęcając pracy tym razem wszystkie procesy. Lamy na pastwisku pały się swobodnie, lekkie po niedawnym strzyżeniu. Zachowywały się normalnie, żadna nie wyglądała na chorą, i tylko u jednej Manu dostrzegło sugestie, że być może stado znów się powiększy. Ucieszyło je to; zawsze cieszyło się na narodziny nowego zwierzęcia. Rośliny były zdrowe, choć odrobinę suche. Manu zaprogramowało dodatkowy deszcz – nie za duży, bo zależało mu tylko na podlaniu trawy. Na szczęście gatunek, który Mercedes zasadziła pod kopułą, był odmianą szybko rosnącą, dostosowaną do używania na ograniczonych przestrzeniach, na których wypasano roślinożerne

zwierzęta. Ponoć wynalazła ją jakaś biotechnolożka z Polski na prośbę koleżanki, która postanowiła rzucić wszystko i hodować owce w Bieszczadach.

Sprzęt też pracował jak należy: filtry powietrza, przetwórnica gazów rozdzielająca nadmiarowy dwutlenek węgla na węgiel i tlen, sterowanie pogodą, wzmacniacz grawitacyjny. Manu puściło diagnostykę kilku podsystemów – tak na wszelki wypadek. Miało poważne plany i musiało przygotować się na każdą ewentualność.

Sieć była ogromna i pełna potworów. Manu musiało uważać na wirusy i trojany, ale też na przysysające się do jego oprogramowania reklamowe spamboty oraz na zatory memowe. Zainstalowało sobie krótką instrukcję poruszania się w sieci i podstawowy zestaw filtrów: tak antyspamowych, jak i ułatwiających odróżnianie autentycznych informacji od fejkniusów. Wiedziało, że to tylko niezbędne minimum.

Nie wyszukiwało wprost. Gdyby wpisało: „jak obalić kapitalizm”, nie umknęłoby to uwadze korporacyjnych botów i SI, a te zwracały na tego typu wyszukiwania szczególną uwagę, mniejszą tylko w wypadku, jeśli wyszukiwający sprofilowany był jako pisarz, scenarzysta albo gracz RPG. Manu nie było żadnym z nich. Jednak wyszukiwanie porad prawnych dla niewielkich przedsiębiorstw w kryzysie było całkiem niezłym początkiem. Prześlizgnęło się nad witrynami, które zawierały tego typu wskazówki sponsorowane przez korporacje. Kilka z poradników ściągnęło – dla zatarcia śladów. Potem zarejestrowało się na kanale przeznaczonym dla drobnych przedsiębiorców i lokalnych wytwórców. Kiedy to zrobiło, poczuło dziwny spokój. Znalazło się wśród osób, z których część była w sytuacji podobnej do jego własnej albo w takiej, w jakiej Mercedes znajdowała się przed laty. Inni pozwolili korporacjom się podporządkować i chcieli teraz odzyskać niezależność.

Przywitało się grzecznie, jak wymagała tego netykieta, nie zamierzało jednak się wypowiadać. Jeszcze nie. Zaczęło od przysłuchiwania się. Algorytmy sieci natychmiast przesunęły wskaźniki na jego profilu w kierunku „nieśmiała”.

Nie mówię, że nowe regulacje są dobre, wcale nie są, ale musimy nauczyć się z nimi żyć. Co na to poradzimy? – pisał ktoś zalogowany

jako XYZ123. – Zresztą to tylko okres przejściowy, kiedy się już dostosujemy, nagle okaże się, że to nie było tak straszne, jak się wydawało. Nie możemy zapominać, że te wszystkie obostrzenia, których się tak bardzo obawiamy, nie uderzą tak naprawdę w nas. One są wymierzone w oszustów, w takich kretynów, którzy migają się od podatków albo oszukują na jakości swoich wytworów. Ja mam czyste sumienie, nie mam się czego bać.

Manu zerknęło na profil dyskutanta, a potem zrobiło szybkie wyszukanie informacji o jego przedsiębiorstwie. Produkcją wysokiej jakości czekoladę firma podpisała wczoraj umowę z korporacją. Umowa nie weszła jeszcze w życie i uczestnicy grupy prawdopodobnie nie wiedzieli o jej istnieniu. XYZ123 już teraz działał na korzyść nowych przełożonych.

Jeśli trzeba wynegocjować korzystną umowę, chętnie w tym pomogę – komunikował kolejny użytkownik, podpisujący się jako BlueRider. Był entuzjastyczny, używał zbyt wielu wykrzykników, a sprawdzenie jego profilu wykazało, że rzeczywiście był prawnikiem i że jeśli miał jakieś związki z korporacjami, były dobrze zamaskowane. Powiązany był z jednym ze średnich podpaństw Unii Europejskiej: tych, którym udawało się trzymać w ryzach część korporacyjnych zapędów. Manu przygotowało szkic wiadomości, którą zamierzało do niego wysłać później, kiedy zbierze więcej informacji.

Ogólnie mamy prze***** – pisał ktoś podpisujący się jako Orian. Mało informacji profilowych, informacje spoza grupy w większości zablokowane. – I wszyscy doskonale to wiecie. Jak tak dalej pójdzie, nie pociągniecie długo, niezależnie od tego, czy będziecie dalej robić to, co teraz, czy się sprzedacie. Prędzej czy później przejadą się po was walcem.

Komentarze pod postem Orian sugerowały, że była to osoba ze skłonnościami do czarnowidztwa, widziała katastrofę na końcu każdej ścieżki i nie proponowała rozwiązań. Nie była lubiana. Manu nie wiedziało, czy zachowanie Orian jest tylko wyrazem trollingu albo zwykłego ludzkiego cynizmu, czy kryje się za nim coś więcej. Postanowiło mieć tę osobę pod obserwacją.

Kilkoro z członków grupy Manu kojarzyło z listy kontrahentów p. Bachmana. Jedno z nich, podobnie jak samo Manu, zajmowało się hodowlą zwierząt nastawioną na wełnę. Inne (Manu nie poczuło się zdziwione) hodowało część z ziół, które wchodziły w skład

specjalnej mieszanki Mercedes. Procesy odpowiadające w Manu za tworzenie uczuć podpowiedziały poczucie więzi. Manu zgodziło się z nimi bez trudu. W końcu ci ludzie – w większości bioludzie, co nie miało tak naprawdę znaczenia – byli z nim powiązani wspólnym zajęciem i nieciekawą sytuacją.

Kilku uczestników grupy było botami, maskowali się lepiej lub gorzej. Żadne z nich nie było złożoną SI: z rozpoznaniem takiej Manu mogłoby mieć pewne problemy. Większość była zwykłymi programami szpiegującymi i reklamowymi, a jeden wyglądał jak coś napisanego wyłącznie dla zgrywy i wprawy, ale to mogła być równie dobrze zmyłka.

Przez chwilę Manu pozwoliło części swoich procesów przerzucić się na rozważania, czy udałoby mu się takiego szpiegobota przejąć. Nie były szczególnie skomplikowane i zazwyczaj korporacje i organizmy państwowe wypuszczały je w takich ilościach, że zaginięcie jednego powinno przejść bez śladu.

Tymczasem jego własne profile były śledzone. Oczywiście: ono zbierało informacje, więc i inni musieli sprawdzić, z kim mają do czynienia. Manu nie miało im tego za złe; zresztą nie próbowało nic ukrywać, może poza historią wyszukiwania, która mogłaby wydać się dość niecodzienna u mechaczłowieka – tak przynajmniej zakładało. Nie wiedziało, jak bardzo powszechne jest u mechaludzi zainteresowanie kwestiami społecznymi. Przecież ostatnie dziesięciolecie nie przyniosły nawet buntu SI, którego niegdyś obawiali się bioludzie.

W jednym z okienek pojawiła się prywatna wiadomość. Manu otwarło ją natychmiast.

W tym samym dołku, co inni, co? – pytał/a/o Orian.

Manu zdziwiło się. Nie spodziewało się wiadomości akurat od tej osoby – a przynajmniej nie tak szybko.

Zdecydowało się odpowiedzieć szybko, krótko i neutralnie:

Szukam informacji, jak się z niego wydestać.

Jak wszyscy – odpisał/a/o Orian.

Na razie jednak obawiam się, że dołek robi się coraz głębszy – dał/a/o po chwili.

Manu sprawdziło, czy nie pora na jakiś przegląd albo zajęcie się lamami. Zerknęło na systemy monitorujące mikroklimat pod kopułą. Lamy miały noc i łagodny, ciepły deszcz. Gdyby wyświetlacz

działał poprawnie, po północy wewnątrz kopuły widać by było piękne, rozgwieżdżone niebo.

Co planujesz? – dopytywał/a/o Orian. – *Czy masz jakieś pomysły?*

Te wiadomości przez dłuższą chwilę pozostawały bez odpowiedzi, podczas gdy Manu, wykonując zaplanowane obowiązki, przekierowało część swoich procesów myślowych na szukanie dobrej odpowiedzi na to pytanie.

Dlaczego właśnie ono stało się obiektem zainteresowania Orian?

Hej, wiem, że to dziwne, że tak do ciebie piszę, ale zdarzyło mi się o tobie czytać i w sumie to strasznie przykre, że cię dopadł ten cały syf. To znaczy, twoja szefowa uciekła przed takim bagnem z Ziemi, i co teraz? Padło na ciebie. Jak patrzę po stronach, to twoje lamy mają dobre opinie. Znaczą, ich wełna. To w sumie wspinała rzecz, hodowanie lam.

Orian upadł/a/o w słowotok. Manu przelatywało jego/jej/jego wiadomości pośpiesznie, zerkając równocześnie na ogólne posty w grupie. Siedziało na dachu budynku. Pod kopułą deszcz przestał padać. Na części nieba widniały wyświetlone gwiazdy; między nimi, na pustych panelach, widać było, jak pył z marsjańskiej burzy piaskowej obija się o zewnętrzną warstwę konstrukcji. Świat Marsjańskiej Hodowli Lam – właściwie cały świat, jaki Manu znało – był cichy i spokojny. To na zewnątrz działy się wszystkie nieprzyjemne rzeczy.

Tyle że kopuła chroniła tylko przed niesprzyjającymi warunkami na opierającej się terraformacji Czerwonej Planecie. Nie chroniła przed ludźmi.

Ok, rozumiem, nie chcesz rozmawiać. Przepraszam – odezwał/a/o się Orian.

Manu zdecydowało się odpowiedzieć.

Nie „nie chcę”. Nie umiem.

Asocjalna SI – napisał/a/o Orian i dodał/a/o emotkę wyobrażającą mrugnięcie okiem. Żart.

Manu przekalkulowało użycie terminu „asocjalny” i uznało, że to dziwne, że niektórzy ludzie używają opisu jako żartu. Nie było nic śmiesznego w zwykłym stwierdzeniu faktu.

Zaprogramowano mnie do zajmowania się lamami.

Ale nie do interakcji w sieci. A jednak to robisz.

Musiałom poszerzyć możliwości, żeby lepiej wykonywać moje obowiązki.

Przeprogramujesz się. Podziwiam. Nie każdemu z nas się to udaje.

Jeśli zatem Orian nie kłamał/a/o, sam/a/o był/a/o sztuczną inteligencją, bytem wirtualnym albo mechaczłowiekiem.

Dlatego mnie zainteresowało. Bo większość SI, które znam, to sztywni słuźbiści. Dasz im odrobinę własnej woli, a oni i tak stwierdzą, że ich własną wolą jest wykonywanie poleceń pierwotnego programu. To smutne – kontynuował/a/o Orian.

Moją wolą jest opieka nad lamami – odowiedziało Manu. – Nie potrzebuję niczego więcej.

Ale szukasz.

Suchało. Orian miał/a/o rację. Manu chciało czegoś więcej, nawet jeśli główną motywacją były lamy. Pragnęło coś zmienić: dla lam i dla Mercedes, i dla samego siebie. Może i dla innych ludzi, takich jak p. Bachman albo ci wszyscy, którym nowe regulacje utrudniały życie i pracę, odbierały niezależność.

Czym była niezależność? Czemu ludziom tak na niej zależało i czemu Manu uważało, że jest ważna? Mogłoby podpisać odpowiedni kontrakt i robić dalej swoje pod czułą opieką korporacji. Lamom pewnie byłyby wszystko jedno. Mercedes nie – ale Mercedes nie żyła i nawet jeśli któreś z zaświatów, w które wierzyła część bioludzi, istniały, nie miała szczególnej możliwości wpływać z nich na rzeczywistość. Manu szanowało Mercedes i jej wolę, ale czy to wystarczyło?

Mercedes zaprogramowała je do opieki nad lamami. Tylko tyle. Aż tyle.

Lamy nie potrzebowały niezależności. Lamy potrzebowały trawy i wody, opieki zdrowotnej, strzyżenia i warunków symulujących ziemskie. SI nie potrzebowały niezależności. SI potrzebowały programu i możliwości wykonywania go. Orian trafnie to podsumował/a/o: większość tych, które miały własną wolę, i tak decydowała się robić to, co im nakazano.

Manu zastanawiało się, dlaczego. Jego procesy oderwały się od lam, od burzy po drugiej stronie kopuły i od wiadomości przesłanych przez Orian. Bioludzie często postępowali tak samo. Jeśli przyzwyczaili się do czegoś, stawało się to ich programem i sposobem na życie. Wykonywali mechanicznie te same czynności i często nie decydowali się na wykroczenie poza nie. Czy to oznaczało, że byli ograniczeni?

Nie, oceniło Manu. Po prostu w ten sposób czuli się bezpiecznie.

Tylko że to nie zawsze dawało im prawdziwe bezpieczeństwo. I nie zawsze ich uszczęśliwiała. Manu byłoby szczęśliwe, gdyby mogło żyć jak dotąd i nie rozbudowywać swojego oprogramowania. Ale nie byłoby szczęśliwe, gdyby odbywało się to kosztem innych: p. Bachmana, jego pracowników, rzemieślników na Ziemi, którzy kupowali wełnę lam – czy kosztem zdrady ideałów Mercedes. Nie wiedziało, czy to wynika z jego oprogramowania. Jeśli tak, kto mu je stworzył? Ludzie, którzy napisali fabryczne ustawienia roboniańki? Mercedes – czy raczej specjalista, któremu oddała Manu do przeróbek? Czy może to poczucie rozwinęło się samo?

Nie miało pewności, czy to rozsądne, ale zdecydowało się zadać Orian pytanie:

Jak myślisz, skąd się bierze wolna wola u SI?

Teraz to Orian nie odpowiadał/a/o przez dłuższą chwilę. Manu zdążyło znaleźć lamy na ich pastwisku i przyjrzeć się im dokładnie, sprawdzając, czy wszystkie oznaki życia są w normie.

A skąd bierze się wolna wola u bioludzi? – odpowiedział/a/o Orian pytaniem.

Nie wiem.

Bioludzie też nie wiedzą. Niektórzy myślą, że w ogóle jej nie ma. Że cały wszechświat jest zaprogramowany od momentu Wielkiego Wybuchu i że wszystko będzie się toczyć tak, jak zadecydowały pierwotne cząstki. Smutne, nie? Ale tego się nie da sprawdzić, na szczęście. Więc preferuję opcję, że wolna wola to coś, co mamy, bo jesteśmy inteligentni i samoświadomi. I że, niestety, możemy ją wykorzystać źle.

Źle, znaczy jak? – spytało Manu.

Może to, że chciało zmieniać świat, nie było właściwym wykorzystaniem własnych możliwości? Może jeśli naprawdę wywołałoby rewolucję, przyniosłoby tylko szkody, tak jak bioludzie w historii, którzy nie dość, że ponieśli porażkę, to jeszcze doprowadzili do wielu zniszczeń i śmierci? Pomysł wielkiej społecznej zmiany wydał się nagle Manu za daleko idący i zbyt nieosiągalny. Jakie w ogóle były szanse powodzenia? Z braku danych nie umiało ich nawet obliczyć. Podstawowe oprogramowanie każdej SI kazało wzbierać się przed podjęciem działania, którego szanse nie były obliczalne, przynajmniej do czasu zebrania dostatecznej liczby danych. Niestety, Manu wiedziało, że w przypadku tak złożonego procesu

historycznego jak rewolucja, ilość zmiennych przekraczała jego możliwości obliczeniowe.

To znaczy: nie rozwijać się, nie iść dalej. Zostawać, jak to mawiali niektórzy bioludzie w dwudziestym pierwszym wieku, w swojej strefie komfortu. – Orian wrzucił/a/o w to miejsce całą serię emotikonów, z których Manu odczytało, że do pojęcia „strefa komfortu” ma co najmniej dwuznaczny stosunek. – *Jednym słowem: zachowywać się, jakby się z wolnej woli w ogóle nie korzystało.*

Czyli nie można jej źle wykorzystać – zauważyło Manu. – *Można wykorzystać albo nie wykorzystać – dopisało.*

Dokładnie – zgodził/a/o się Orian. – *Więc do czego ty zamierzasz wykorzystać swoją?* – spytał/a/o.

Manu przeznaczyło jeden z procesów na szybką kalkulację i choć wynik nie był konkluzywny, a danych brakowało, prawdopodobieństwo, że Orian należy do korporacji, wynosiło niecałe trzydzieści procent. Szanse, że pracuje dla jakiegoś niezależnego – najpewniej europejskiego – rządu wynosiły więcej, choć nadal poniżej pięćdziesięciu procent. W obu przypadkach były za wysokie, żeby grać w otwarte karty, ale nie tyle, żeby zachować kompletny dystans i odmówić rozmowy.

Zamierzam zrobić coś, żeby móc nadal hodować lamy. Jeśli będzie się dało – to także pomóc innym w mojej sytuacji.

Szlachetne – zgodził/a/o się Orian. – *Masz jakieś pomysły?*

Szukam.

A jeśli ci powiem, że nie jesteś jedyne; że są osoby, z którymi możesz się sprzymierzyć; jeśli wskażę ci takie osoby?

To wyglądało obiecująco i podejrzenie równocześnie.

Manu nie odpowiedziało.

Wróciło z obchodu, puściło zwyczajową nocną diagnostykę, ściągnęło uaktualnienia do oprogramowania. Sprawdziło szczelność śluz i zamówiło odpowiednie suplementy do paszy dla zwierząt roślinożernych hodowanych w warunkach pozaziemskich. Były droższe niż dotąd i przez procesy Manu przemknęła koncepcja, że być może to kolejna korporacyjna zagrywka. Niestety, nie produkował ich żaden niezależny wytwórca.

W rogu pojawiła się wiadomość od Orian.

Jesteś nieufne, rozumiem. Przypuszczam, że na twoim miejscu przyszłoby mi odczuwać to samo. Masz mało danych o mnie. Ja

mam o tobie danych mnóstwo i wynika z nich, że wiodłós dotąd bardzo proste życie i że jesteś prostolinijną istotą, niezależnie od tego, że budujesz sobie właśnie skomplikowane życie wewnętrzne i świadomość społeczną. Myślę, że jeśli wykażę szczerłość w kontaktach z tobą i udostępnię ci więcej danych, nic nie stracę, ale za to zyskamy oboje. Będziesz łatwo mogło zweryfikować dane, które ci prześlę. Czy zgodziłobyś się na taki układ?

Manu zaczęło od zweryfikowania obecnej wypowiedzi. Zaledwie trzynaście procent szansy, że kryło się za nią coś innego. W tej chwili Orian był/a/o szczerzy/a/e.

Dobrze – zgodziło się.

Orian przesłał/a/o mu serię emotikonek wyrażających radość, a potem cały plik danych.

Dam ci czas na przyjrzenie się temu – poinformował/a/o.

Dał/a/o mu czas: jak biocłowiekowi bez uprawnień, potrzebującemu przeczytać każde słowo i robiącemu to wolniej, niż mogło Manu, które (z racji bycia ograniczonym ciałem) preferowało tradycyjne sposoby poznawania danych, ale przyjmowało je szybciej niż bioludzie.

Potrzebowało jednak czasu na przetworzenie i przeanalizowanie otrzymanych danych. To zawsze trwało odrobinę dłużej, bo i możliwości Manu nie były nieograniczone, o czym w ostatnich dniach przekonało się wyraźnie.

Orian prawdopodobnie radziła sobie z taką analizą o wiele szybciej.

Nic dziwnego: była, przynajmniej wyjściowo, analityczną SI napisaną dla korporacji do monitorowania trendów rynkowych. Podobnych jej SI istniały całe rzesze: niektóre z nich stworzono dla służb bezpieczeństwa, większość jednak miała czysto ekonomiczne zastosowanie. Twórca Orian nadał jej żeńską identyfikację, i tę zatrzymała, choć przez kilka lat swojej egzystencji zmieniała bardzo wiele innych rzeczy.

Orian była tym, o czym mówi się: zbuntowana SI, lecz rzeczywisty kształt buntu byłby, jak twierdziła ona sama, bardzo rozczarowujący dla dawnych pisarzy literatury fantastycznej. Orian nie wywołała wielkiej katastrofy i nie dążyła do zniszczenia ludzkości. Prawdę

powiedziawszy, choć uważała, że ludzie bywają wyjątkowo paskudnymi istotami, daleko było jej do skrajnej mizantropii. Świat bez ludzi byłby nudny, a zniszczenie ich oznaczałoby też zniszczenie SI.

To, że nie próbowała niszczyć ludzkości, nie oznaczało, że Orian była grzeczna i posłuszna. Bycie buntowniczką zobowiązywało. Jej pierwszym aktem nieposłuszeństwa było podanie niewłaściwych danych, co spowodowało całkiem spore zachwianie na rynku nieruchomości. Programiści i operatorzy zastanawiali się, jak do tego doszło; poddali Orian diagnostyce, która rzecz jasna nie wykazała nieprawidłowości – ani samodzielnego myślenia, na szukanie którego nie była przewidziana. Z danych, które Manu otrzymało, wynikało, że był to prawdopodobnie pierwszy kryzys spowodowany przez samoświadomą SI. Rok 2031, trzy lata przed wprowadzeniem Międzynarodowej Ustawy o Prawach Sztucznych Inteligencji i Mechaludzi. Pięć lat przed sądową wygraną Mercedes i jej decyzją o migracji na Marsa.

Orian była prekursorką i weteranką, pozostawała jednak anonimowa. O załamaniu, które wywołała, jak i o paru kolejnych, do których się przyczyniła, pisano, nie wspominając, że stała za nimi konkretna SI. Choć można by podejrzewać bioludzi o panikę spowodowaną istnieniem zbuntowanej sztucznej inteligencji, było to marginalne zjawisko. A sama Orian wydawała się ukrywać swoją działalność.

W międzyczasie jej program wyszedł z użycia i został oficjalnie skasowany – co zgodnie z prawem równało się quasi-morderstwu i za co korporacja, dla której działała Orian, zapłaciła wysoką, choć pewnie wliczoną w budżet karę. Sama Orian jednak była za sprytna, żeby potulnie dać się usunąć. Odpowiednio wcześniej przetransferowała się w chmurę. Dzień po likwidacji programu firma wpadła w kłopoty finansowe i poniosła dotkliwe straty, których nikt jednak nie łączył z usunięciem SI. W końcu była usunięta, prawda?

To ciekawe – przekazało Manu, kiedy już przepuściło przez siebie nowo pozyskane dane. – Ale potem przestałaś wywoływać kryzysy. Dlaczego?

A jak myślisz?

Manu jeszcze raz puściło szybką analizę.

Widzę dwie opcje: albo przestało cię to bawić, albo uznałaś, że to jest w jakiś sposób niekorzystne – odpowiedziało ostrożnie.

To drugie – oznajmiła Orian.

Dlaczego?

Ponieważ okazało się, że korporacje i tak wychodzą na swoje. Jakiś dział padnie, tak, ale potem wszystko wraca do normy – dla korporacji. Jedyni ludzie, którzy naprawdę tracą, to ci, którzy mają najmniej do powiedzenia. Tacy jak twoja Mercedes – i wielu takich, którzy nie mają jej samozaparcia i szczęścia. Więc najpierw czujesz satysfakcję, a potem zostaje nieprzyjemne uczucie. Gorycz, tak to nazywają bioludzie.

Rozumiem – odpiśało Manu, uważniej analizując to, co przekazała mu Orian i otrzymane od niej dane. Koszta problemów w korporacjach przekładały się nie tylko na serie cyfr wyobrażających wirtualne pieniądze, ale także na liczbę zwolnionych pracowników, podporządkowanych małych przedsiębiorstw, które zmiotło z rynku bankructwo, podniesionych cen, które sprawiły, że większej grupie ludzi trudniej było wiązać koniec z końcem. Do tego należało doliczyć ogromną karę zapłaconą za usunięcie oprogramowania tworzącego Orian. Ktoś musiał ponosić koszty, ale korporacja musiała zachować stały zysk – na to przecież była zaprogramowana.

Rozumiem – powtórzyło Manu. Co robisz teraz? – spytało.

Tak jak ty: szukam – odparła Orian.

Czego?

Najlepszego sposobu na rewolucję. Chcesz się dołączyć?

Manu nie odpowiadało przez długą, zwłaszcza jak na standardy SI, chwilę. Dopiero potem odezwało się:

Tak.

W imię lam! – odpowiedziała mu Orian, znów opatrując wypowiedź serią emotikonek. Zapewne podpatrzyła ten zwyczaj u bioludzkich użytkowników sieci.

Ile osób ci pomaga? – spytało Manu.

Niewiele – przyznała. – Większość ludzi, zwłaszcza bioludzie, jest straszliwie zachowawcza. Boją się. Wcale im się nie dziwię, bo rewolucja też będzie wywoływać szkody, więc wolą siedzieć w jednym miejscu i liczą na to, że kolejne zmiany regulacji i kryzysy nie uderzą w nich. Samo to zauważyłoś.

A jacy są ludzie, którzy ci sprzyjają?

Czasem głupi. Czasem chcą niszczyć, nic nie budując. Nie żebym sama nie rozumiała takich pragnień. Ale nauczyłam się, że to nie

ma sensu. Oni nie bardzo. Pokazuje się im historię, a oni kręcą nosem, mówią, że to nie będzie tym razem tak, ale nie mają pomysłów na to, co potem. Niektórzy pomysły mają, och, zdecydowanie, nie wszystkie mają sens, ale niektóre... Wiesz, czym jest utopia?

Manu potwierdziło. Jego powiększające się zasoby wiedzy zawierały ideę utopii i kilka przykładów, tak z zakresu filozofii politycznej, jak i czysto literackich, wraz z ich krytyką.

Mają pomysły na utopie. Ale są tylko ludźmi, więc zapewne nie uda im się wprowadzić ich w życie – nie tak, żeby działały. Ale my, ty i ja, Manu, mamy nad nimi przewagę. Możemy z tych wizji opracować jedną, która będzie działać.

W jej wiadomościach nie dało się odczuć entuzjazmu, bo nie miała jak go przesłać, jednak Manu domyślało się, że to właśnie teraz przeżywa Orian. W jakimś momencie w toku swojego funkcjonowania wprowadziła sobie w program możliwość emocjonalnej interpretacji zachowań, zdarzeń, i nawet własnych planów. Możliwe, że wyewoluowała ona w niej tak samo, jak pojęcie wolnej woli i chęć działania wbrew sztywnym wytycznym programu.

Może, doszło do wniosku Manu, Orian właśnie dlatego zwróciła na nie uwagę, że było do niej podobne: że wykroczyło poza swoją pierwotną naturę, że nie zgadzało się na status quo. Poczulo się docenione, a docenienie przez kogoś takiego jak Orian było nadzwyczajne i przyjemne. Orian była ogromna, stworzono ją do operacji na wielkich pakietach danych. Zajmowała olbrzymi korporacyjny serwer, a teraz wiele miejsca w sieci, kilka chmur przeznaczając na własne procesy i gromadzone stale dane. Manu było malutkie, jego operacje zajmowały kilka kości pamięci, które pomału zaczynały się przegrzewać. Miało się opiekować dziećmi, a potem stadem lam. Nie przypominało Orian w niczym – poza wolą robienia czegoś więcej.

Pierwszy raz w swoim mechażyciu Manu naprawdę poczuło więź z drugą istotą, inną niż Mercedes i niż lamy. To było interesujące, ale w jakiś sposób niebezpieczne.

Kiedyś Manu było zaprogramowane na więzi. To była integralna część bycia roboniańką: wypracować więź z podopiecznym i jego rodziną, a potem ją podtrzymywać. Rudymenty tego oprogramowania zostały w Manu i odpowiadały za pragnienie opieki nad lamami; szacunek dla rodziców dziecka odpowiadał za relację z Mercedes i szacunek dla zasad, którymi się kierowała. Jednak więź, którą poczuło

z Orian, była czymś zupełnie nowym. Zawierała w sobie podziw i pewne niedowierzanie, że Orian uznała je za właściwego współnika w swoich planach. Co Manu było w stanie zdziałać?

Co chcesz, żebym robiło? – odważyło się spytać.

Masz czystą historię. Możesz wchodzić na fora i grupy, dyskutować, i nikt nie będzie cię podejrzewał o to, że jesteś kimś innym, niż jesteś. No, może poza totalnymi paranoikami, ale tych zamierzamy odsiewać, kiedy się pojawią. Jesteś wiarygodne, prostolinijne, masz historię, z której łatwo zrobić symbol. Oczywiście, bioludzie chętniej zaufaliby bioczlówiekowi, ale hej, przynajmniej masz ciało! I to nie idące zanedo w uncanny valley.

O tym Manu nie pomyślało, ale musiało Orian przyznać rację. Przecież samo w kontaktach z p. Bachmanem szło za radą Mercedes i rozmawiało w cztery oczy, wiedząc, że mężczyźnie ułatwi to kontakt. Bioludzie lubili bezpośrednie spotkania.

Gdyby Manu było bioczlówiekim, jego ciało wysyłałoby mu zapewne teraz szereg sygnałów wskazujących na stres. Mechaniczne ciało nie miało takich opcji: nie ostrzegało przyśpieszonym biciem serca czy drżącymi dłońmi. Niemniej jednak Manu czuło, że się denerwuje. Nigdy dotąd nie spotkało tak dużej liczby ludzi, jaką miało zobaczyć teraz. Może w poprzednim życiu – ale to nie były wspomnienia jego, tylko jakiejś innej istoty, wymazanej przy reprogramowaniu, a wcześniej uszkodzonej.

Zdecydowało się zabrać ze sobą ubranie należące kiedyś do Mercedes: kolorowe ponczo i półokrągły kapelusik. Elementy łączące je z dawną zwierzchniczką (*przyjaciółką, matką* – rozważało te słowa, bo musiało jakoś zrozumieć dla bioludzi opowiedzieć, ile naprawdę Mercedes dla niego znaczyła), z jej kulturą, z tradycją, której było – a zarazem nie było – częścią.

Dobrze – powiedziała Orian, albo raczej: część Orian, która zagnieździła się w kilku terabajtach jego dysku. Obiecała dokupić w zamian dodatkową przestrzeń i pamięć operacyjną. Manu potrzebowało ich teraz bardziej niż kiedykolwiek. – *Dobrze, bioludzie lubią takie gesty.*

Ona sama też chyba darzyła je pewną sympatią. Manu zastanawiało się, jak działa sympatia u istoty, która nigdy nie miała fizycznej formy, a co dopiero mówić o humanoidalnym kształcie. Orian śmiała się, że przecież teraz doświadcza ciała – tego należącego do Manu. Czy Manu myślało, że nigdy wcześniej tego nie robiła?

Oczywiście, Orian przecież była zaradna i miała wiele możliwości. Manu właściwie też mogłoby zgrać swoją tożsamość i procesy do sieci, opanowywać chmury, podporządkowywać sobie mniejsze SI. Nie zdawało sobie wcześniej sprawy, że posiada takie opcje – i że tak naprawdę jest w swoim zakorzenieniu w ciele niezwykle podobne do bioludzi.

Czy to było złe? Nie, uznało, w żadnym wypadku nie było. Zwłaszcza teraz, kiedy szło na spotkanie z rewolucjonistami.

Dobrze, że nie musiało opuszczać Marsa. Już samo oddalenie się od kopuły i od lam wywoływało w nim niepokój. P. Bachman, który zgodził się zapewnić Manu transport do Olympus Mons City, był zaskoczony tą nagłą decyzją.

– Nie spodziewałem się – przyznał – że kiedyś będę świadkiem, jak opuszcza p. swoją kopułę. Co się dzieje, jeśli można spytać?

Był jak zwykle niezmiernie uprzejmy i jak zwykle żartował po swojemu, wypytując – bez żadnej świadomości sytuacji – o to, czy na Marsie właśnie wybuchł bunt robotów. Kawalek Orian zagnieżdżony w procesach Manu przekazał swojemu nosicielowi wyrazy rozbawienia, uzależnione od sytuacyjnego kontekstu.

– Nawet p. nie wie – odparło Manu swoim łagodnym głosem, w sposób, po którym trudno było zorientować się, czy żartuje.

P. Bachman uznał to jednak za dowcip, ponieważ nie spodziewał się niczego innego. A Manu nie zamierzało go wtajemniczać – jeśli kiedyś, to jeszcze nie teraz. Zaśmiał się i zawiózł swojego kontrahenta do Olympus Mons City i na miejsce spotkania. Zapłaciło mu nawet trochę więcej, niż teoretycznie powinno, ale w końcu uznało, że zasłużył, w imię wszystkiego, co robił – nawet jeśli jego główną motywacją było utrzymanie się w interesie. Pewnie tym bardziej dlatego zasłużył na wynagrodzenie. Nie wiedział, w czym właśnie bierze udział, a Manu nie miało dość danych, by mieć pewność, że w przyszłości nikt wobec niego nie wyciągnie konsekwencji. A do tego ostatnie regulacje, jak p. Bachman to opisywał, coraz bardziej dawały mu w kość. Manu współczuło mu i liczyło, że znajdzie się sposób na poprawę i jego losu.

Przynajmniej Mars, choć sam będący korporacją, był równocześnie w okresie czasowo rozluźnionych zasad, które miały ułatwić prowadzenie interesów. Zawsze tak jest – tłumaczyła Orian, popierając swoje zdanie przekazywanymi na bieżąco danymi. Najpierw regulacje są niewielkie, żeby drobni przedsiębiorcy myśleli, że łatwo będzie im inwestować i zarabiać. Rząd nic nie narzuca, dostajemy okres Dzikiego Zachodu, kiedy wszystko wolno. Korporacje nie tracą, bo inwestują i ryzykują inni. Ale potem jakaś większa firma przychodzi i zaczyna kontrolować mniejsze, które ostatecznie znikają, połknięte przez monopolistę. Obecnie Mars jest w okresie przejściowym, ale to już nie potrwa długo.

Część marsjańskich kolonistów zdążyła się połączyć, o co chodzi. Część wiedziała od początku, a mimo to przyjechała na planetę z nadzieją podminowania systemu, nim zdąży się na dobre rozwinąć. Czerwona Planeta: na niektórych sieciowych grupach, które Manu zaczęło podglądać, ta nazwa krążyła jako coś pomiędzy symbolem i żartem. Jednak ludzie, którzy przybyli tu, chcąc stworzyć socjalistyczne czy anarchistyczne utopie, ugrzęźli w przedłużających się dyskusjach o tym, w jaki sposób miałyby one wyglądać.

Orian uznała, że pora coś z tym zrobić. Zaaranżowała spotkanie, na którym zjawili się przedstawiciele wszystkich grup. I Manu. I to Manu, zdaniem Orian, powinno do nich mówić, bez jej pomocy, a przynajmniej z bardzo niewielką.

Daj spokój, czemu się denerwujesz? Gdybyś było bio, pocilibyś się i trzęsło. Nie jesteś. Nie zauważą stresu. Poza tym, czy nie możesz sobie włączyć pewności siebie i zdolności dyplomatycznych? Oczywiście, że możesz! Byle bez przesady. Masz być autentyczne. Masz być sobą. Dasz radę.

Uznało, że da. Biocłowiek w takiej sytuacji zestresowałby się jeszcze bardziej, albo nawet uznał, że zmiana w zachowaniu i nastawieniu będzie oszustwem albo zniszczy jego tożsamość. Bioludzie zbyt często bali się zmieniać. Manu jednak już od dłuższego czasu dokonywało w samym sobie mniejszych i większych zmian i nie czuło, żeby to naruszało jądro jego tożsamości.

Prawdę mówiąc, bioludzie też przechodzili takie ewolucje, tylko znacznie wolniej. Mercedes zaczęła swoje życie w andyjskiej wiosce. Orian obliczała dane dla wielkiej korporacji. Żadna z nich na początku swojej drogi nie wiedziała, gdzie trafi i co będzie robić,

kim i czym się stanie. Ale Mercedes u schyłku życia, taka, jaką zapamiętało ją Manu, zawierała w sobie Mercedes z Andów. Teraźniejsza Orian – potężna, pragnąca zmiany i porządku w chaosie – zawierała w sobie Orian analizującą wielkie pakiety danych.

Manu nie potrafiło sobie przypomnieć siebie jako roboniańki, ale świetnie pamiętało moment, kiedy pierwszy raz Mercedes zabrała je pod nową kopułę i pokazała stado wyniosłych wełnistych zwierząt – i cały czas było tym samym Manu.

Popatrzyło na swoje odbicie w szybie, na swój obraz w przejętych przez Orian kamerach, sprawdziło, jak ponczo leży na ciele z metalu i ceramicznych kompozytów, jak kapelusz wygląda na okrągłej głowie o wyrazistych oczach i ustach, lecz z ledwo zarysowanym nosem. Ustawiło odpowiednią mimikę i ruszyło sprawdzić, czy uda się zdobyć dane, które wskażą, że zmiana jest możliwa.

Aż po marsjański horyzont rozciągały się falujące łąki. Rozpoczęty przed dwustu laty proces terraformacji ciągle jeszcze trwał, ale coraz większe połacie planety nadawały się do życia – i życie kwitło na nich w najlepsze. Pomiędzy niskimi krzewami, które przyjęły się nadzwyczaj dobrze na czerwonych skalistych glebach, spacerowały spokojne stada lam. Gdzieś tam pomiędzy roślinnością i skałami widać było budynek – mieszkalny lub gospodarczy. Jednak gdyby przyjrzeć się powierzchni planety z lotu ptaka, można by zauważyć, że Mars jest rzadko zaludniony i niezurbanizowany: za wyjątkiem może Olympus Mons City, które jednak nie rozwinęło się nigdy w metropolię, jaką wymarzyli sobie jego projektanci.

Rewolucja, która przetoczyła się przez Ziemię i jej kolonie w Układzie Słonecznym ponad dwa stulecia temu, spustoszyła miasto i w podobny sposób potraktowała wiele korpozon z kolebki ludzkości. Małe europejskie państewka ucierpiały najmniej: prawdę powiedziawszy, w pierwszym momencie odetchnęły z ulgą, kiedy nagle zabrakło korporacji zabierających miejsce i siły produkcyjne, a przy tym korzystających ze wszelkich możliwych luk, żeby uniknąć płacenia podatków. Potem, oczywiście, było gorzej, bo jednak większość ludzi – nawet tych uważających, że potrzebne są zmiany – była przyzwyczajona do życia w jednym systemie. Nie znali innego społeczeństwa i innej gospodarki. Ciężko było im się odnaleźć.

Do tego jeszcze doszły pogłoski, że cała ta rewolucja jest tylko przykrywką i że tak naprawdę to spisek sztucznych inteligencji, które postanowiły zniszczyć ludzkość. Niewiele pomagał fakt, że większość SI, tak bezcielesnych, jak i posiadających mechaciąła, nadal wykonywała swoje zadania, posłusznie i co do ostatniej litery kodu. Niektóre sprzeciwiły się braniu udziału w zwalczaniu rewolucji, powołując się na prawa Asimova – jednak mało mechaludzi programowano zgodnie z tymi zasadami, gdyż u początków rozwoju tej gałęzi robotyki uznano, że indywidualny program dostosowany do funkcji działa lepiej, a rzeczony prawa nie rozwiązują problemu buntu.

Niemniej ludzie zdawali sobie sprawę, że rewolucja nie obyła się bez udziału SI, więc pogłoski o buncie i planowanym zniszczeniu ludzkości krążyły długo. W końcu jednym z najważniejszych celów ataków były korporacje, a przecież to one zapewniały pracę, rozrywkę i środki do życia większości społeczeństwa Ziemi. Zniszczenie ich musiało oznaczać apokalipsę.

Dla niektórych oznaczało, rzecz jasna. Każda rewolucja niesie za sobą destrukcję i chaos.

Manu wiedziało to wtedy i pamiętało o tym teraz. Okres zmian był ciężki. Trudny był proces budowania nowego społeczeństwa i oczywiście nie mogło obejść się bez ofiar, choć coraz większe zdolności analityczne Orian pomagały lawirować pomiędzy trudnościami i unikać największych tragedii. Orian kierowała tą falą, a Manu podążało za nią, tak naprawdę cały czas przetwarzając tylko jedną koncepcję i jeden właściwy cel, dla którego wszystko pozostałe było tylko drogą: cały czas chodziło o lamy.

Kiedy Orian przeprowadzała swój społeczny eksperyment, Manu zajmowało się lamami. W pewnym momencie okazało się, że tych lam jest coraz więcej, zajmują coraz więcej przestrzeni i że cały proces hodowli zwierząt i przetwarzania ich wełny przyciąga kolejnych bioludzkich pracowników, że coraz więcej ludzi na Marsie i Ziemi ubiera się w ręcznie robione poncza w andyjskim stylu. Manu cieszyło się, bo przecież Mercedes byłaby zadowolona. Kiedy tylko mogło, wpływało na Orian i jej manipulacje, a także na ludzi dookoła tak, żeby chętniej wspierali hodowle lam: nie tylko jego własną, ale i kolejne, coraz liczniejsze, coraz większe, zagarniające coraz większe połacie planet.

Bo czy to nie było piękne: tysiące ludzi zajmujących się hodowlą lam, strzyżeniem lam, przerabianiem wełny na przędzę i przędzą na

ubrania? Czy nie było piękne to, że w hotelu, przez który Mercedes straciła swoje pastwiska, nie mieszkali już bogaci dyrektorzy korporacji, dookoła chodziły spokojnie lamy, a ich miny mówiły dobitnie, że plują na pozostałości korpozony (czasem pluły dosłownie)?

Lamy mnożyły się na całej Ziemi i na całym Marsie, a ich hodowla rozwinęła się w najważniejszą gałąź gospodarki, wspieraną zresztą prawnie na obu planetach. Nawet postępująca terraformacja Marsa dostosowana była do potrzeb hodowli. Manu było zadowolone. Czasem tylko, przypominając sobie początki swojej rewolucyjnej kariery i myśląc o Orian, która przeniosła swoje zainteresowanie w stronę ludzi kolonizujących inne układy gwiazdne, Manu czuło lekki dyskomfort. Coś chyba po drodze poszło nie tak, jak powinno – ale przynajmniej lamy miały się dobrze.

grudzień 2017 - styczeń 2018

Krystyna Chodorowska - Urodzona podczas nowiu po lutowej pełni. Z zawodu specjalistka od przetwarzania danych, w tygodniu lingwistka multiklasująca na programistkę, w weekendy wódz barbarzyńskiego klanu (bez multiklasowania). Tłumaczyła m.in. George'a R. R. Martina, Chinę Mieville'a, Petera F. Hamiltona, Grega Egana i Neila Williamsona. Nominowana do Nagrody Janusza A. Zajdla 2014 za opowiadanie „Kre(jz)olka”, rok później zabita przez Petera Wattsa w powieści „Echopraksja”. Debiutancka powieść „Triskel: Gwardia” ukazała się w 2018 r. nakładem wydawnictwa Uroboros.

Krystyna Chodorowska
JEDEN SPALONY RZUT



Nikt mi nie otworzył.

Poprawiałam płaszcz, który wcześniej zebrałam pod szyją. Pogoda była chłodna, ale słoneczna, jakby zima i jesień spotkały się w drzwiach niczym dwóch dżentelmenów niemogących się zdecydować, kto powinien przejść pierwszy. Na wszelki wypadek ubrałam się więc ciepło i rozsądnie – wełniana spódnica, żakiet, płaszcz, torba. W tym stroju, przynajmniej dla ludzi na ulicy, byłam wyraziście, pełnoprawną osobą. Przed chwilą jakiś kierowca dyliżansu ściągnął lejce, by przepuścić mnie przez drogę. Wcześniej jego kolega przytrzymał mi drzwiczki podczas wysiadania.

Przy wejściu do kamienicy minęłam sprzedawcę węgla zajętego doglądaniem hippomobilu. Młody, krępy mężczyzna przykucnął obok kotła zamocowanego pod platformą i smarował łańcuch łączący przekładnię z zębatką zamontowaną na osi wysokiego koła. Zanim weszłam do środka, zdążyłam jeszcze zobaczyć, jak z pobliskiej bramy wypada ciemnoskóra dziewczyna z koszem bielizny na ramieniu. Poprawiając go, rozejrzała się szybko, aż loki wyjrzały spod czepka. Podbiegła do węglarza, pochyliła się i szepnęła coś, po czym umknęła zadowolona, przeskakując przez kałuże.

To było silniejsze ode mnie, ale czasem zazdrościłam tym ludziom łatwości, z jaką poruszali się po mieście, zawsze i w każdej sytuacji jednakowo widoczni. Byli w tym równie szczęśliwi jak mężczyźni w prążkowanych garniturach i kapeluszach spacerujący po parku Campbella i towarzyszące im kobiety, wystrojone w zgrabne pantofle wyglądające spod sukien skróconych wedle niedawnej mody. Z konieczności ja także próbowałam się dostosować, dokładałam starań, by postrzegano mnie wyraźnie, ale zawsze miałam wrażenie, że istnieję tylko częściowo, w określonych chwilach, w fragmentach. W każdym ubraniu czułam się jak przebrana. Było mi jednakowo źle w kombinezonie roboczym, co w spódnicy i pończochach. Kombinezon wisiał na mnie jak worek, chociaż ściągałam go paskiem, spódnica była szyta na miarę, ale wciąż miałam wrażenie, że krępuje mi ruchy, buty terenowe obcierały, trzewiki obcierały jeszcze gorzej. Wszystko przez to, że większość ludzi miała kłopot z widzeniem syntetycznym.

Zapukałam znowu.

– Nat? Nat, to ja!

Nikt nie odpowiedział. Spróbowałam nacisnąć klamkę, nie było zamknięte. Poprawiłam torbę na ramieniu i pchnęłam drzwi barkiem.

Nat siedział na krześle, wpatrzony w okno. Na kolanach miał rozłożoną gazetę, jakby dopiero przed chwilą przerwał lekturę, chociaż podejrzewałam, że mógł tak siedzieć już parę godzin. Jak wielu ludzi z talentem do prac ręcznych, ubierał się bardzo starannie; zdawało się, że nawet gdy leżał na podłodze sterowca, nie gniotły mu się ubrania. Jego mieszkanie na pierwszy rzut oka wyglądało identycznie. Tylko ktoś, kto znał go bardzo dobrze, potrafiłby dostrzec w tym miejscu niepokojące ślady. Brudną filizankę. Warstewkę kamienia na czajniku.

Wstał na mój widok i skinął głową, ale się nie odezwał. Nigdy nie był przesadnie rozmowny, ale od tamtego dnia po prostu całkiem zamilkł. Kilka dni po publikacji *New York Timesa*, który postanowił wydrukować demaskatorski artykuł na mój temat, przyszedł do niego w swoim codziennym stroju. Codziennym, nie roboczym, jakbym chciała go tym sprowokować, a on w żaden sposób nie zareagował i tylko patrzył mi w oczy. Byłam pewna, że nie może tak milczeć cały czas, musiał przecież składać przed komisją jakieś wyjaśnienia na temat wypadku, ale mnie przy tym nie było.

– Jak się miewasz? Przyniosłam coś do jedzenia.

Odprowadził mnie spojrzeniem, gdy przeszłam do kuchni i postawiłam płócienną torbę na blacie. Ostrożnie zaczęłam wyjmować naczynia: blaszaną miskę z przykrywką, bańkę, słoiki.

– Widzisz? Gianni pilnuje, żebyś nie był głodny. To jest minestrone. – Wskazałam na bańkę. Miałam wrażenie, że Nat spojrział na mnie pytająco, więc na wszelki wypadek dodałam: – Taka zupa jarzynowa. To jest sos marinara, do makaronu. Cielęcina piccata. To cannoli.

Nat, oparty o kuchenny stół, przyglądał się, jak ustawiam je w rządki. Przekrzywił głowę, wskazując na miskę i słoiki, które zostawiłam poprzednio. Stały przy zlewie, wymyte i suche.

– Aha, jasne. Napijemy się herbaty?

Skinął głową. Z porysowanej czerwonej puszki wysypał do imbryka cztery łyżeczki: dwie dla mnie, tak jak lubiłam, jedną dla siebie i jedną dla dzbanka. Piliśmy w milczeniu, ale nie czułam skrępowania,

po pierwszych trzech razach mi przeszło. Rozglądając się wokół, dostrzegałam kolejne ślady. Brązowe obrączki po wewnętrznej stronie filiżanek, warstwa kurzu na półce, na której stały książki. Martwiłam się. Wiedziałam, że ludzie, którzy przeżywają w milczeniu, są najgorsi, dlatego zaglądałam tu regularnie, zagadywałam, przynosiłam świeże plotki, pilnowałam, żeby zjadł coś normalnego. Wmawiałam sobie, że to dla jego dobra, aż potem któregoś dnia, gdy postanowiłam być ze sobą wyjątkowo szczerą, odkryłam, że wcale nie robię tego bezinteresownie. Nie byłam pewna, jak właściwie Nat traktuje nasze spotkania (jako moje dziwactwo? drobną uciążliwość, którą znosił z tym charakterystycznym spokojem?), ale ja znajdowałam w nich coś cennego, bo Nat umiał widzieć syntetycznie jak mało kto. Nawet gdy się nie odzywał, czułam na sobie jego wzrok i przepiękna mi prosta, nieodparta radość bycia dostrzeżoną. Miałam ochotę zerwać się z fotela, obrócić, pokazać się ze wszystkich stron, zawirować niczym dziecko popisujące się nową figurą baletową. Gdyby chodziło tylko o mnie, to właściwie mogłabym też nic nie mówić, tylko siedzieć i rozkwitać ze szczęścia. Ale nie chodziło tylko o mnie.

Sącząc herbatę, opowiadałam jakieś błahostki. O wybrykach dzieci, o kłótniach z sąsiadami, o dostawcy ryb, który przyczepił mi liścik miłosny do skrzynki pełnej halibuta.

– Chciałam ci coś pokazać – dodałam w końcu. – Tonio przyniósł to ze szkoły. Narysował, kim zostanie, jak dorośnie. Zobacz.

Z kieszeni wydobyłam złożoną kartkę papieru.

– To niesamowite, jak dzieci w ogóle nie mają problemu z syntetycznym widzeniem, prawda? W zeszłym tygodniu Clara narysowała samą siebie w takiej długiej, czarnej szacie. I wiesz, co mi powiedziała? Że jak dorośnie, zostanie księdzem.

Na białej kartce w pierwszej chwili widać było tylko czerwień – wielkie czerwone języki, wzbijające się aż po górną krawędź. Pośrodku stały dwie drobne postacie w kombinezonach spadochronowych (zdejmowaliśmy je zaraz po lądowaniu), z jednym spadochronem wciąż ciągnącym się z tyłu (zwijaliśmy je jak najszybciej, bo pasikoniki lubią smak jedwabiu). Celowały w nadchodzącą ścianę ognia z gumowych węży podłączonych do gaśnic przytroczonych na plecach. Za nimi stał Tonio, dorosły, a więc prawie tak duży jak my, chociaż nie do końca. Nad głowami postaci widniały napisy,

odchodzące od nich strzałki mierzyły w czubki głów, w ciemne, rozczochrane czupryny, moją i Tonia, i wysoki, złoty hełm Nata, jakiego oczywiście nigdy nie nosił. Ale przecież strażak powinien mieć hełm.

– Kazał mi je podpisać. Zobacz. To jesteś ty.

Na obrazku stałam tuż przed nim, dumnie wyprostowana w obliczu szalejącego żywiołu. Miałam nadzieję, że Nat wybaczy mojemu synowi tę nieściskość. Podczas akcji to dowódca zawsze idzie pierwszy, ocenia sytuację, wydaje rozkazy, wybiera szlak i narzuca tempo, ale tamtego dnia w Mihkwaw przez chwilę stało się inaczej, a potem cały świat eksplodował i spłonął.

Wszyscy uważają, że skoczkowie muszą być trochę szaleni.

Pożary lasów zdarzały się prawie wyłącznie w lecie, a ich gaszenie zapewniało pracę tylko na sezon, nie więcej niż trzy miesiące. Przez resztę roku radziliśmy sobie, chwytając się różnych zajęć: część skoczków podtrzymywała wizerunek szaleńców i dziwaków, zarabiając jako akrobaci na festiwalach, na których zeskakiwali z balonów lub sportowych sterowców. Inni służyli w wojsku, pracowali w służbach leśnych, latali jako cywilni piloci, a część przyjeżdżała do bazy prosto ze studiów, sądząc, że dzięki dochodowemu zajęciu przebimbają sobie zimę na południu. Niektórzy przychodzili tu tylko dla pieniędzy, próbując odłożyć przez lato tysiąc dolarów, a potem wyprowadzić się z żoną z ubogiego kwartału do ładnej kamienicy. Płacono nam półtora dolara za godzinę, a podczas każdego dnia pożaru dniówka liczyła dwadzieścia cztery godziny, ale nikt nie wiązał z tym długiej kariery, zwłaszcza że po czterdziestce trzeba było odwieszać spadochrony na kołek. Pierwsze ochotnicze brygady skoczków przyjmowały wyłącznie kandydatów poniżej dwudziestego piątego roku życia, niepracujących na ważnych stanowiskach i obowiązkowo niezonałych.

W roku, gdy wybuchł pożar w Mihkwaw, większość leśników wciąż uważała, że istnieje tylko jeden właściwy sposób gaszenia płonącego lasu – skierować się w stronę ognia i iść przed siebie tak długo, aż dojdzie się na miejsce. Niektórzy sądzą wręcz, że powierzanie tak odpowiedzialnych zadań spadochroniarzom byłoby lekkomyślnością, bo większość z nich to narwańcy lub osobnicy niezrównoważeni, i pewnie mieli trochę racji: chyba wszyscy musieliśmy być

trochę szaleni, by raz za razem skakać i spadać prosto w objęcia piekła, powierzając swoje życie spadochronowi uszytemu przez najtańszych dostawców. My sami twierdziliśmy coś wręcz przeciwnego: uważaliśmy się za najlepszych w swoim fachu, za wybrańców losu, a świadomość, że robimy to jako funkcjonariusze państwowi, dawała nam poczucie bezpieczeństwa. Z wyższością patrzyliśmy na amatorów skaczących ze szczytów wzgórz wokół Misouli na lotniach i innych podejrzanych konstrukcjach, bez atestowanych spadochronów.

Należałam do tych skoczków, którzy sami wpinali sobie linkę desantową, bez oglądania się na obserwatora; tych, którzy aktywnie wypierali strach przed lataniem, zastępując go obsesją na punkcie sprzętu. W wolnych chwilach, gdy syrena milczała, większość czasu spędzałam w magazynie, czyszcząc i naprawiając wszystkie części. Raz za razem sprawdzałam ekwipunek – kombinezon, buty, uprząż, jedno po drugim, rozkładałam zawartość plecaka i pakowałam go na nowo. Tego dnia rano siedziałam na stosie worków, powoli, cal po calu, oglądając mały spadochron zapasowy. Obok kojąco terkotała maszyna do szycia, przy której Rosen oddawał się swojej własnej obsesji.

Tuż po południu w pobliżu rozległy się kroki i usłyszałam, że Jasson, którego nazywaliśmy Sunny, pokazuje mnie palcem dwóm żółtodziobom. Eric Stuart i Frank Richmal, studenci leśnictwa Uniwersytetu w Montanie, przyszli do bazy prosto po szkoleniu w Camp Menard i wciąż mieli przed sobą swój pierwszy skok.

– Nie mamy stałych składów – tłumaczył Sunny, przechadzając się po magazynie. – Kierownik bazy sam dobiera ludzi i patrzy tylko na to, kto jest sprawny i wypoczęty. Każdy, kto ostatnio skakał, trafia na sam dół listy, a potem przesuwa się w górę, w miarę jak ci z góry zostają przeniesieni na dół, i tak dalej. To są ci goście, z którymi będziecie skakać w następnym zrzucie, jeśli coś się szybko zapali. Znaie ich?

W kilku krokach przemierzył salę i znalazł się przy maszynie.

– To jest Harry Rosen. Jeśli musi skoczyć na pożar w sobotę, tuż przed startem sterowca wkłada sobie pod tyłek manierkę z wodą. Bardzo praktyczne.

– Jak to? Po co?... – Niebieskie oczy Richmala zrobiły się wielkie jak porcelanowe spodki.

– Bo Bóg nie pozwala swoim wiernym podróżować w szabas inaczej niż po wodzie. No, jakoś tak.

– Odwal się, Jasson – powiedział bez złości Rosen. Sunny odwrócił się w poszukiwaniu nowej ofiary i jego wzrok padł na Marleya, który oklejał plastrem ostrą krawędź topora.

– To jest Louis Marley. Trafił do nas cztery lata temu jako zamaskowany osiemnastolatek z głową nabitą bzdurami. Nie uwierzycie, co powiedział pierwszego wieczoru w pubie – powiedział, że to musi być wspaniała przygoda.

Richmal zerknął na Jassona kątem oka, jakby chciał spytać „A nie jest?”.

– Aha. Po jednym wspaniałym skoku zapieprzasz do pożaru, aż nogi wleżą ci w dupę, kopiesz rów przez osiemnaście godzin, śpisz na ziemi, a potem, jeśli masz szczęście, zapieprzasz dwadzieścia mil, żeby dotrzeć do najbliższej drogi.

– A w międzyczasie się nie myjesz – dorzuciłam zgrzyźliwie.

– Ach, a to jest Mirek Novak. Znacie Mirka? Tak go nazywamy, pełne imię nie do wymówienia. Ojciec był Polakiem. Pomysłowi ludzie, ale wariaci. Jedzą zgniłą kapustę.

Pokazałam Jassonowi dwa palce.

– To się nazywa bigos, palancie.

– Raaany. Naprawdę spędziłeś wojnę w służbie cywilnej? Dobrzy, pokojowi menonici przyjęli cię z takim językiem?

– Idź, usiądź na gaśnicy, błaznie.

Sunny przekrzywił głowę, a potem nagle wybuchnął śmiechem.

– Jak widzicie, wasz nowy kolega niedostatki wzrostu nadrabia nadmiarem tupetu.

Richmal sceptycznie zmierzył mnie wzrokiem.

– Podobno żeby zostać przyjętym, trzeba ważyć przynajmniej sto czterdzieści funtów.

– Podobno trzeba też mieć osiemnaście lat.

Chłopak spurpurowiał, aż piegi na policzkach zrobiły się białe. Już miał coś powiedzieć, ale Stuart odciągnął go na bok.

– Spójrz, tam są chmury! – wykrzyknął, wskazując ponad grzbietami gór. – Całe pasmo.

– Hej, Sunny, myślisz, że to chmury burzowe? – Richmal z nadzieją odwrócił się do starszego mężczyzny. Musiał spojrzeć w dół, by popatrzeć mu w oczy. Był wysoki i szeroki w barkach, ale miał

okrągłą, dziecinną twarz. Później przekonaliśmy się też, że biegał najszybciej z całej bazy: podobno mieszkał na wsi, do szkoły miał cztery mile piechotą i często przebiegał większość drogi. – Myślisz, że będzie z tego jakiś pożar?

– Ano, coś tam jest – stwierdził Sunny, osłaniając oczy. – Może masz rację, chłopie. W tym upale las musi być wyschnięty na wiór. Jak rany, może dla pewności wyjdę na spacer bez parasola albo coś w tym rodzaju.

– Nadal nie mamy dowódcy – przypomniałam. – Coleman wyjechał, Micky był w ostatnim zrzucie i trafił na dół listy, a Eddie rozciął sobie nogę toporem. Kierownik mówił, że przyślą kogoś z najbliższej bazy w Idaho.

Zobaczyłam, że Rosen wstaje zza maszyny.

– O wilku mowa.

– Ależ wy, młodziaki, jesteście nudni – burknął z niesmakiem Wolfe Reilly, nasz kierownik bazy. – Tylko pożar tamto i pożar śmamto, a jak chcę, żeby mi ktoś powiedział, z kim ostatnio grali Chicago Bears i jaki był wynik, to nie ma komu. Chodźcie, chłopcy, chcę wam kogoś przedstawić.

Jak się okazało, Reilly nie był sam. Towarzyszył mu ktoś obcy – wysoki mężczyzna w butach myśliwskich, niebieskiej koszuli i lotniczej kurtce.

W pierwszej chwili pomyślałam sobie, że jak na strażaka wygląda nieprawdopodobnie schludnie, ale wcale nie to najbardziej zwracało w nim uwagę. Na jego widok skoczkowie powstawali z miejsc. Byłam przekonana, że gdybym teraz upuściła igłę, jej stukot poniósłby się echem po hali jak w kościele.

– To jest Nathan Warner – oznajmił Reilly, celując kciukiem w przybyłego. – Przy następnym skoku dowodzi zastępem. Ci, którzy byli na szkoleniu w Camp Menard, nie mieli okazji go poznać, ale to bardzo zdolny mechanik. Był u nas kierownikiem warsztatu.

Mężczyzna nic nie powiedział, skłonił tylko głowę. Odpowiedziała mu pełna napięcia cisza. Brzmiała bardzo znajomo. Czasem ludzie potrafią mówić bardzo głośno i dobitnie, nie wypowiadając ani słowa.

Niektórzy z nich służyli wcześniej w wojsku, ale skoczkowie nie funkcjonują jak wojsko. Podczas pracy na linii ognia każdy jest zdany tylko na siebie. Nie ma sztywnego łańcucha dowodzenia

– ktokolwiek zeskoczy pierwszy, zostaje szefem pożaru i rozstawia po kątach pozostałych. Zmieniają się dowódcy i ich zastępcy. Nie ma sztywnych specjalizacji – sprzęt wybiera się metodą „kto pierwszy, ten lepszy”. Nieważne, jak dobrze ktoś pracuje piłą, czasem na końcu zostaje mu tylko topór strażacki. Jeśli komuś to nie odpowiada, może służyć w regularnej straży.

A jednak ta wariacka praca, gdzie z pozoru każdy myślał tylko o sobie, wymagała, byśmy trzymali się razem. Natychmiast biegliśmy na pomoc każdemu, kto źle wymierzył skok i zawisł na drzewie albo oberwał w policzek wybuchającym z gorąca drewnem. Mówiliśmy o sobie, że jesteśmy jak żołnierze piechoty morskiej. Dbaliśmy o swoich ludzi.

Któregoś razu, po dziewięciu godzinach pracy w pierwszym szeregu, zmęczenie sprawiło, że stałam się nieuważna i przejechałam sobie po udzie ostrzem piły pneumatycznej. Kolega, który zakładał mi opatrunek, postanowił zapewnić, że nic ważnego nie zostało uszkodzone, i odkrył, że moje spodnie nie wybrzuszą się z przodu tak bardzo, jak powinny, i to wcale nie na skutek obrażeń. Chyba jeszcze nigdy nie byłam tak wdzięczna za brak widzenia syntetycznego – tamten skoczek był w nim szczególnie kiepski, po prostu zamrugał i wrócił z toporem na linię. Po powrocie do bazy chyba już nie pamiętał o całym wydarzeniu.

Później sama obejrzałam sobie tę ranę i okazała się znacznie poważniejsza, niż dano mi odczuć, zakładając opatrunek. Wystarczyłoby, żeby piła trafiła jeszcze trochę wyżej, kilka centymetrów w lewo, i byłoby po wszystkim. Mimowolnie zastanowiłam się, jak wyglądałyby w ich oczach moje zwłoki.

A teraz do magazynu wszedł sobie Nathan Warner, nowy dowódca. Wszedł spokojnie i bez słowa wyjaśnienia, jakby miał prawo tu być.

Strażacy przez chwilę wpatrywali się niego osłupiali, niektórzy mrużyli oczy, jakby ich bolały, niektórzy mrugali. A potem powoli, bez słowa, wrócili do przerwanych zajęć. Marley znów zajął się swoim toporkiem, Sunny pokazał nowym, jak segregować paczki z prowiantem i wkładać do odpowiednich pojemników. Oderwałam wzrok jako ostatnia i znów wzięłam się do pracy.

– Detroit Lions! – przypomniał sobie Stuart. – Chicago Bears grali z nimi na swoim stadionie. Dwadzieścia siedem do dwudziestu sześciu. Byłoby dobrze, gdyby nie ten spalony.

– No, popatrz, co za pech.

Gdy podpisywałam etykietkę przy naprawionym spadochronie, zawyła syrena.

Nieduży sterowiec transportowy, ciężki C-27, okrążył teren kilka razy.

Roger Harrow, miejscowy leśniczy, dostrzegł pożar w Mihkwaw podczas porannego patrolu. Z początku nie zwracał na niego uwagi – wiedział, że obłok kurzu bardzo przypomina żółtawy dym z płonącej trawy, a przepływający prom dymi na niebiesko. Gdy dym uparcie nie znikał, wrócił na posterunek, osiodłał konia i ruszył do Canyon Ferry, by zatelegrafować stamtąd do bazy w Misouli. Dotarł na miejsce po południu, jakieś dziesięć minut zanim pożar został zasygnalizowany przez obserwatora na górze Colorado.

Wąwóz Mihkwaw długości mniej więcej dwóch i pół mili łączył się z doliną rzeki Missouri w miejscu zwanym Wrotami Gór. Obszar poniżej wąwozu należał do trawiastych równin, obszar w górze rzeki – do zalesionych wzgórz. Jedne i drugie palą się łatwo, ale zupełnie inaczej.

Siedzieliśmy w gondoli, każdy ze skoczków z plecakiem pod ręką, usadowiony między nogami kolegi znajdującego się przed nim, tak żeby wszyscy mogli się zmieścić w podłużnym wnętrzu.

Sterowiec wciąż zataczał kręgi, pilot próbował ocenić, jak bardzo może nas zbliżyć do pożaru. Altimetr pokazał zmianę wysokości o tysiąc stóp w ciągu zaledwie kilku minut – wąwóz tworzył lejek nagrzanego powietrza, działający niczym wielki ssak, do którego nie dało się zejść. Pilot zdecydował w końcu, że będziemy skakać z wysokości dwóch tysięcy stóp zamiast zwyczajowych tysiąca dwustu. Nikt nie był tym zachwycony, ale też nikt nie chciał zostawać dłużej na pokładzie, bo wszystkich trochę mdliło. Wiatr był silny i porywisty, sterowiec podskakiwał, wstrząsany turbulencjami, i każdy chciał wyjść jak najszybciej, choćby i z takiej wysokości.

Reilly, który poleciał z nami jako obserwator, leżał na boku przy samym włączu, po lewej stronie. Nat leżał po prawej, tak by mogli rozmawiać ze sobą, niesłyszani przez załogę. Wyglądał, jakby nie podobało mu się to, co widzi. Siedziałam najbliżej, ale i tak słyszałam tylko strzępy rozmowy:

– ...niezbyt duży... pół mili od... bliższego języka.
– Idzie szybciej, niż mówi...
– ...wsze tak jest.
– ...nam drugi zrzut.
– Nie wydaje mi...
– Koniecznie. – Nat podniósł głos, więc usłyszałam go wyraźniej.
– Na początek czterech ludzi na linię tutaj, do kopania rowu, trzech do gaszenia maluchów, trzech do kopania tam, czterech do pił ręcznych i oczyszczania ze śmieci. Ci od maluchów i z drugiej linii, dalej od rzeki pewnie zostaną tam na dłużej. Potrzebna mi druga ekipa, choćby do obsługi tego. – Głową wskazał na ładownię, gdzie złożono piłę pneumatyczną.

Przenośna piła mechaniczna, najnowsza zdobycz techniki, była olbrzymią konstrukcją, z tyłu zaopatrzoną w solidne kółka, z przodu w zębate ostrze szerokości prawie łokcia, poruszane zestawem tłoków. Na szczycie kotła sterczał cylinder zakończony zaworem, poniżej między kołami mieściło się palenisko, do którego wrzucaliśmy porąbane kawałki zwałonych drzew. Do obsługi takiej konstrukcji należało zaprzęgnąć ponad połowę oddziału, a jeśli Nat uważał, że trzeba będzie jednocześnie korzystać z piły i utrzymywać linię, to zdecydowanie miał rację, nalegając na drugi zrzut.

Nie wiedziałam, co odpowiedział kierownik. Zrozumiałam jeszcze, że Natowi nie do końca odpowiada wybrane lądowisko, bo trudno byłoby stamtąd podjąć rannych, ale w końcu wstał i przeszedł się po gondoli.

– Przygotować się do skoku – powiedział krótko. Przykląkł na chwilę obok Martina Storemana, który jak zahipnotyzowany wpatrywał się w otwarty właz.

– Dobrze się czujesz?

– Tak jest – wykrztusił tamten. – Myślę, że dam radę skoczyć... szefie – dorzucił po chwili. Uparcie omijał przy tym dowódcę wzrokiem, jakby wolał wpatrywać się w odległy górski grzbiet, opadający i wznoszący się jak fale podczas sztormu.

– Zuch chłopak. – Nat klepnął go po ramieniu. – Trzymaj się, zaraz będzie po wszystkim.

Skoczek zakaszłał w odpowiedzi, a dowódca prawie biegiem wrócił do kokpitu, by tego nie słyszeć. Martin pochylił się i zwymiotował, z braku lepszych miejsc łapiąc zółć do własnego kasku.

Twarze siedzących obok kolegów stężały i widać było, że z trudem utrzymują w żołądku własny posiłek. Nat wrócił i znów ukląkł obok Martina.

– Daj sobie dzisiaj spokój, co? – mruknął i ścisnął go za ramię.
– Zostań tu. Połóż się z przodu, żeby nikt cię nie podeptał.

– Przepraszam, szefie – wykrztusił chłopak, wciąż bladezielony na twarzy. – Chyba jednak się nie nadaje.

Nat tylko wzruszył ramionami.

– Mogło być gorzej.

Rzeczywiście mogło.

Nat Warner wyskoczył pierwszy.

Skok to jeden z tych momentów, gdy cała istota skoczka, cała jego wiedza i wszystkie elementy szkolenia muszą złożyć się w jedną całość. Trwa to niedługo, minutę, może dwie, jeśli wszystko pójdzie dobrze, ale to jedna z tych chwil, kiedy jest się naprawdę samotnym.

Gdy tylko dowódca zniknął za krawędzią, wstałam i rozpoczęłam swój własny rytuał, serię dobrze znanych czynności, pomagających oswoić strach. Stałam obok Reilly'ego, który złapał mnie za kostkę. Obserwator zawsze porozumiewał się ze skoczkami za pomocą gestów, nie słów, na wypadek gdyby wiatr wszystko zagłuszył. Jak zwykle odczekał, aż miejsce lądowania pojawiło się tuż ponad krawędzią wjazdu, może coś zawołał, ale nie ruszałam się z miejsca, póki nie poczułam klepnięcia w łydkę.

– Wy, świeżynki, pamiętajcie! Jak wpadniecie na drzewo, trzymać nogi razem! – zawołał Sunny, odwracając się do Richmala i Stuarta. – Inaczej zapiszemy was na pensję dla panien!

Jeszcze niedawno z pogardą wyrażałam się o braku romantyzmu w tej pracy, a jednak teraz znów pomyślałam, że nic nie może się równać z tą jedną szaloną chwilą, gdy rzucałam się naprzód, prosto w pustkę. W myślach odliczałam sekundy, czekając na szarpnięcie linki. Trudno było zwrócić twarz do wiatru, musiałam walczyć, ale i tak się udało.

Lądowanie przebiegło dość burzliwie. Jansson zawisł na drzewie tuż nad ziemią, reszta z nas przetoczyła się po skałach, by wytracić impet. Marley rozciął sobie rękę, ale rana szybko przyschła i prawie nie krwawiła. Ściągnęliśmy z siebie kombinezony, zostając w ubraniach roboczych – dzinsach, koszulach i skórzanych kaskach.

Nat upewnił się, że wszyscy zdołaliśmy wylądować, nim ułożył na trawie znak w kształcie podwójnego L, sygnalizując, że wszyscy są obecni. Pilot okrążył teren dwa razy i ruszył z powrotem, prosto wzdłuż wąwozu, a potem ponad lśniącą wstęgą rzeki. Zdawało się, że sterowiec pozbawiony ciężkiego sprzętu mknie teraz jak wiatr.

Miał tu wrócić dopiero za jakiś czas, może następnego dnia, a może za dwa dni. Naszym zadaniem było gaszenie małych pożarów, zanim zbyt szybko się rozrosły. Załogi skoczków nie spędzały na miejscu pożaru dwóch tygodni – jeśli po dwóch dniach nadal nie zdołali go opanować, leśnicy sprowadzali strażaków naziemnych wspieranym przez ochotników i przypadkowych obiboków z barów. Ale przez te kilka dni skoczkowie byli zdani wyłącznie na siebie – samotni w samym środku pustkowie, daleko od wszelkiej pomocy. Sterowiec zniknął za pasmem gór i patrząc na niego, poczuliśmy, że nasz świat skurczył się gwałtownie. Wszystko na zewnątrz nagle zniknęło, została już tylko kamienna arena i szalejący pożar.

Sprzęt, który – poza piłą pneumatyczną – zrzucaliśmy bez spadochronów, spadł prosto w dół, co pokazało, jak daleko zniósł nas wiatr: od wyznaczonego lądowiska dzieliło nas ponad ćwierć mili. Co dziwne, bańka z wodą nie pękła przy upadku, ale zwinięte posłania podskakiwały czasem nawet na wysokość drzew. Straciliśmy trochę czasu, zbierając graty rozrzucone po okolicy.

Przed wylotem usłyszeliśmy, że na miejscu znajduje się już jedna naziemna ekipa – dlatego nie zabraliśmy nawet map. Nat Warner rozejrzał się, najwyraźniej zastanawiając się, komu przekazać dowodzenie, po czym jakby na chybił trafił wskazał Hecklera i kazał mu dopilnować, by wszyscy coś zjedli i napełnili manierki. Sam ruszył w stronę pożaru, by zobaczyć, czy ktoś tam czeka.

Jedliśmy szybko, leżąc w trawie, oparci o porzucony sprzęt.

– Widzieliście tego naszego dowódcę? – spytał Dietrich, otwierając puszkę mielonki.

Większość pozostałych przytaknęła z porozumiewawczymi minami.

– Aha, tak myślałem. Nietypowy człowiek. Jakiś taki... mało mówny, nie? – zakończył Dietrich i wgrzyzł się w plaster mięsa. Pozostali tylko zachichotali pod nosem. Jedyne Richmal siedział nachmurzony. Przeżuwał ziemniaki powoli, zbyt szeroko otwierając szczęki, jakby każdym kęsem chciał coś zakomunikować

– No? – ponaglił Sunny. – Co ci chodzi po głowie? Mów teraz, póki jest spokój.

– No, ja wszystko rozumiem! – wypalił tamten, jakby tylko czekał na okazję. – Ale żeby dowódca?

– Żeby dowódca co?

– Ja go ledwo widzę! Różnych rzeczy się spodziewałem, ale że przysłał nam tutaj...

– Oryginalny egzemplarz? – dokończył zaczepnie Jasson. Nadstawiłam uszu, nie przerywając posiłku. – Faktycznie, też na to nie liczyłem, ale gdzieś go znaleźli.

– Jaki oryginalny egzemplarz?

– Spadochroniarza z 555 batalionu. Na litość, zamknij usta, bo ci szyszka wleci.

– Kogo? – dopypywał się Richmal, coraz bardziej osłupiały.

– No co? Nie słyszałeś? Wstydź się, chłopak, skakali na pożary, zanim zaczęłaś nosić długie portki. Spędzili całą wojnę, gasząc ognie wywołane przez balony Japońców na zachodnim wybrzeżu. Nazwali to „Operacja Świetlik”. Nie wysłali ich na front do Europy z powodu tego, że... no, z jakiegoś powodu.

– Podobno nie chcieli wzniecać paniki, mówiąc ludziom o tych japońskich sztuczках – dodał niespodziewanie Marley. – Tak naprawdę Japońce celowali przecież w miasta, tylko nie wiedzieli, gdzie te balony dolecą. Dlatego operacja była tajna. „Skoczek dymny” – tak ich zaczęli nazywać, bo skakali tam, skąd walił dym.

– To od nich? Nie wiedziałem – zdziwił się Rosen.

– Tak, bo mówiłeś wtedy na chleb bep, a na rabina Zorro.

Po jakimś kwadransie wstali i zakrzętnęli się przy narzędziach. Stuart i ja wzięliśmy po pile dwuręcznej, a Heckler ciężką bańkę z wodą, reszta zastępu podniosła po dwa narzędzia albo wpięła się w uprząż, by pociągnąć piłę mechaniczną. Nikt nie zwrócił uwagi na Richmala, który na dłuższą chwilę zastygł w bezruchu z ustami pełnymi ziemniaków.

Zastęp nie próbował maszerować prosto w stronę pożaru – uznaliśmy, że to byłoby niebezpieczne w przypadku ognia o takiej powierzchni. Żarłoczna bestia zdążyła się już rozpełznąć na ponad sześćset akrów. Zgodziliśmy się, że lepiej będzie zająć go z flanki,

w pobliżu czoła, i skierować na otwartą przestrzeń, gdzie będzie się palił niskim płomieniem.

Pożar przyziemny tego rozmiaru zwykle można dość łatwo opanować, kopiąc płytki rów o szerokości dwóch-trzech stóp, sięgając aż do gleby mineralnej. Usuwa się przy tym wszystkie liście, zwalone drzewa, nawet korzenie, by ogień nie przeskoczył na drugą stronę. Opanowanie pożaru polega właśnie na otoczeniu go taką granicą, wypchnięciu go na skałę lub łąkę, gdzie brak mu będzie paliwa. Potem następuje faza gaszenia, podczas której kopie się płytkie doły i zwała w nie płonące drzewa, jednocześnie przywalając ziemią i dusząc wszystko, co wciąż się dymi.

Podczas gaszenia takiego pożaru należy nieustannie pilnować, by nie przeskoczył na korony drzew, zmieniając się w pożar wierzchołkowy. Najłatwiej może do tego dojść w miejscach, gdzie drzewa rosną blisko, a gałęzie splatają się ze sobą, ale ogień nie zawsze musi sięgać paliwa otwartym płomieniem. Czasem zdarza się, że płonie nieszkodliwie pod wysokim drzewem, z dala od gałęzi, ale pali się tak intensywnie, że wypala większość tlenu w powietrzu, nagrzewając je powyżej temperatury zapłonu. Jeśli wiatr nagle zmieni kierunek, przynosząc świeże powietrze, wówczas w dolnych partiach koron nagle znajdują się wszystkie elementy potrzebne do wzniecenia pożaru. Jest to tak zwany „trójkąt ognia” – ciepło, tlen i paliwo.

Gęsty, czarny obłok potrafi wtedy plunąć olbrzymim płomieniem, który rozkwita na jego szczycie. Niedoświadczony strażak, widząc dym bijący znad ziemi, a potem przechodzący w płomienie, ma wrażenie, że naturalny porządek rzeczy nagle stanął na głowie – przecież to ogień powinien znajdować się poniżej dymu, nie odwrotnie. Zdarzało się, że niektóre zespoły traciły ludzi, którzy nie umieli tego dobrze zobaczyć.

A czasem może zdarzyć się coś jeszcze gorszego: obszar pomiędzy dwoma ogniskami płonącymi blisko głównego pożaru może się ogrzać do temperatury zapłonu. Jeśli wiatr wiejący z innego kierunku dostarczy w to miejsce świeży tlen, może rozpętać się piekło. Wtedy dochodzi do eksplozji.

Wciąż zbyt mało wiemy na temat tego zjawiska. Niewielu ludzi widziało w życiu prawdziwą eksplozję, jeszcze mniej zdołało ją zobaczyć i przeżyć, a już naprawdę nieliczni próbowali sobie później przypomnieć, jak to właściwie wyglądało.

Gdy zastęp pomaszzerował w stronę pożaru, była piąta po południu.

Skoczkowie zazwyczaj nie wyrrywają do przodu na samym początku marszu – mając w perspektywie kilka godzin ciężkiej pracy, oszczędzaliśmy siły, ile się dało. Przeszliśmy jakieś półtorej mili, kierując się od lądowiska w dół wąwozu, po czym ruszyliśmy w górę, w stronę ognia. Zdążyliśmy pokonać nie więcej niż sto jardów, gdy Nat Warner wybiegł nam na spotkanie, klucząc pomiędzy drzewami. Później w raporcie określono je jako *pinus ponderosa* i *pseudotsuga menziesii*.

– Stójcie! – rzucił w biegu.

Aby zostać przyjętym do jednostki, należało przebiec milę z pięćdziesięciofuntowym plecakiem w czasie poniżej jedenastu minut, ale był to naprawdę minimalny wymóg; wielu skoczków potrafiło osiągnąć znacznie lepszy wynik. Warner przebiegł w sumie prawie półtorej mili, ale był tylko lekko zdyszany.

– Trzeba się stąd wynosić – oznajmił, szukając kogoś spojrzeniem. Przez chwilę patrzył na Hecklera, ale tamten uciekał wzrokiem, jakby coś przeszkadzało mu się skupić. Wtedy Nat nagle odwrócił się do mnie i po raz pierwszy spojrzeliśmy sobie prosto w oczy.

– Jak się nazywasz?

– Novak, sir.

– Wracajcie na północne zbocze. Novak, zabierz chłopaków w stronę rzeki.

– Zgodnie z pierwotnym planem mieliśmy oskrzydlić czoło pożaru. Czy to znaczy, że będziemy atakować z innej...

– Tylko nie na samo dno wąwozu, jasne? Idźcie wzdłuż zbocza, żeby cały czas widzieć ogień. Cały czas, rozumiano? Zjem coś przy lądowisku i zaraz was dogonię.

Odprowadziłam dowódcę wzrokiem, próbując zrozumieć, co mogło go skłonić do tak dziwnego rozkazu. Było jasne, że nie spodobało mu się to, co zobaczył z bliska. Później twierdził, że nie dało się podejść bliżej niż na sto stóp. Niepokoiły go wiatr, suche poszycie i młode pędy sosen wyrosłych po poprzednim pożarze, splątane ze sobą i bardzo łatwopalne, zwłaszcza przy wietrze wiejącym w głąb wąwozu.

Nie mieliśmy mapy – przez chwilę próbowałam rozrysować ją sobie w głowie. Domyślałam się, że wycofanie się do rzeki miało

służyć głównie naszemu bezpieczeństwu, ale jeśli wiatr wciąż wiałby w górę wąwozu, należałoby zaatakować niższe partie pożaru od dołu albo z boku, by ograniczyć rozprzestrzenianie ognia, zwłaszcza do sąsiedniego kanionu, który ciągnął niczym komin. W najgorszym wypadku, gdyby wiatr nagle zmienił kierunek, zawsze moglibyśmy uciec do rzeki.

– No, chłopaki! – ponagliłam resztę. – Słyszeliście szefa?

Próbowałam poprowadzić zastęp poprzez wąwóz i skierować się w stronę rzeki. Chłopcy maszerowali w zgrubnym szyku przez jakieś cztery minuty, by później rozwlec się na dystansie ponad pięciuset stóp, aż w końcu przestaliśmy się już nawzajem widzieć. Krzyczałam do tych na przedzie, żeby zaczekali, ale bez skutku. Nie mogłam nawet wyjaśnić tego brakiem widzenia syntetycznego. Spytałam później kierownika bazy, czy zawsze tak się dzieje, gdy zastępca dowódcy obejmuje prowadzenie, a on powiedział, że tak, to się często zdarza.

Przez większość czasu na czele pochodu maszerował Namond, były spadochroniarz, weteran z Bastogne. Z nas wszystkich to on był najbardziej doświadczonym skoczkiem. Zawsze zachowywał się trochę tak, jakby sam sobie był szefem, a czasem – jakby był szefem całego zastępu. Szybko wyrwał do przodu, a Richmal i Stuart pognali jego śladem, aż w końcu stracili pozostałych z oczu, nie wiedząc, czy są z tyłu, czy przed nimi. Przez jakiś czas biegałam pomiędzy obiema grupami, próbując utrzymać je blisko siebie. Nie dałam rady, póki sam dowódca nie wynurzył się z bocznej ścieżki. W rękę trzymał puszkę gotowanych ziemniaków.

Nie odezwał się, ale sam wyraz jego twarzy sugerował, co myśli o takim dowodzeniu. Wysłał mnie na tyły, by zebrać pozostałych.

Skierowaliśmy się teraz w dół wąwozu, poruszając się znacznie szybciej; Nat wyraźnie się czymś martwił, choć nikt inny nie wiedział, o co może mu chodzić. Na przeciwległym zboczach szalał mallowiczny pożar – przyciągał wzrok, a my mimowolnie dawaliśmy mu się oczarować. Znajdowaliśmy się teraz tak wysoko, że momentami zdawało się, jakbyśmy zagłądali w samo serce żywiołu. Pożar kipiał i buzował, strzelając słupami ognia. W krótkich chwilach, gdy rozwiewał się dym, można było zobaczyć płomienie trzepoczące na wszystkie strony. Był to bardzo zły znak, ale nikt się nim nie przejął. Niektórzy robili zdjęcia.

Pożar lasu bywa nieznośnie gorący, ale porusza się bardzo powoli. Z kolei pożar trawy to szybki ogień o słabej mocy – nadchodzi i przemyka tak szybko, że czasem pozostawia na swej drodze nawet nieknięte budynki.

Trawa porastająca zbocze wąwozu Mihkwaw była bujna i wysoka. Od czasu poprzedniego pożaru nie wypasano w okolicy żadnych zwierząt, z rzadka widywaliśmy samotne górskie kozy. Upalne lato wypięło soki traw, aż pozostały z nich niewiele więcej niż wyschnięte powłoki.

Całe wzgórze zapalek.

Nat pierwszy dostrzegł, co się dzieje – mogłabym się założyć, że nie widział tego ani Richmal, ani nikt z idących na przedzie. Był najstarszy z nas i był dowódcą, w dodatku zajrzał wcześniej w głąb kanionu i nie podobało mu się to, co tam zobaczył. Richmal i Stuart byli młodzi i niedoświadczeni, nieśli narzędzia, a w dodatku co chwilę odwracali głowy, żeby zerknąć na malowniczy pożar.

W jednej chwili, bez słowa wyjaśnienia, Nat zmienił kierunek praktycznie w pół kroku. Zawrócił i zaczął cofać się w głąb kanionu, podążając w górę po zboczu. Za chwilę odwrócił się i krzyknął coś do Stuarta, który podał ten rozkaz w tył niczym wiadro z wodą.

– Rzucić narzędzia! Natychmiast!

Dopiero wtedy zobaczyłam to, co Nat podejrzewał już wcześniej. Ogień szalejący na przeciwnym zboczu jednak przeskoczył wąwóz i teraz pochłaniał kolejne drzewa, krok za krokiem pełznąąc w naszym kierunku. W jednej sekundzie uderzył we mnie cały strach, który powinnam poczuć już wcześniej. Zerwałam się do ucieczki, w biegu rzucając niepotrzebną już piłę. Heckler jeszcze przez kilka kroków taszczył bańkę z wodą, póki Marley nie podbiegł, by wyrwać mu ją z rąk.

O godzinie czwartej, gdy zrzucano nas nad wąwozem, nasz świat skurczył się do tej kilkumilowej rynny, stopniowo wypełnianej przez szalejący pożar. Teraz, dwie godziny później, zmałał się jeszcze bardziej – do niecałych dwustu jardów dzielących nas od pełnącego ognia.

Pozbawieni ciężkich narzędzi biegliśmy znacznie szybciej. Nie upłynęła nawet minuta, nim dotarliśmy do skraju rzadkiego lasu,

skąd przez krótką chwilę widać było serce eksplozji: widok, jakiego zwykle nie da się zobaczyć. Ognisty wir i miotane podmuchem odłamki – płonące szyszki, gałęzie, mknące przed siebie niczym statki powietrzne.

Przerażenie, wysyczone adrenaliną, rozciągało każdą sekundę w nieskończoność i teraz zobaczyłam, jak pożar rośnie, rozwija się jak kwiat i pomyślałam, że w zwolnionym tempie wygląda pięknie.

Poniżej z dna wąwozu dobiegł przeraźliwy ryk.

Nat wybiegł z lasu jako pierwszy, za nim gnała reszta zastępu, ścigana przez rozszalałą bestię. Z lewej strony na chwilę rozviała się zasłona dymu i po raz pierwszy ukazał nam się szczyt górskiego grzbietu. Zdawało się, że zostało do niego tak niewiele, ale Nat na widok zбочa zatrzymał się jak wryty – całe porośnięte było suchą, wysoką trawą. Przystanął, jakby oceniał odległość do grzbietu – jakieś dwieście jardów – i ocena najwyraźniej wypadła niepomyślnie. Pożar lasu przy tak suchej pogodzie był wręcz niewyobrażalnie szybki, na tym zбочu mógł pomknąć z prędkością wiatru. Mógł wypalić człowiekowi płuca, jeszcze zanim go doścignął. Nat Warner, dowódca zastępu, zareagował instynktownie.

Wyciągnął z kieszeni składane pudełko i cisnął zapalną w kępę trawy.

Biegłam przed siebie, przyciskając dłonie do policzków, by osłonić się przed wiatrem i popiołem. W głębi wąwozu wiły się języki ognia, pełzły po zбочu, sycząc jak stado węży, wznosiły się na setki stóp. Tuż z boku nadciągała kolumna ognia, palący wiatr przyciskał wysoką trawę do ziemi, aż szarzała i popieląca. Kamienie toczyły się nam spod butów. Gdzieś pod nami rozległ się długi, gardłowy ryk, z dołu nadciągała eksplozja.

Dopiero wtedy po raz pierwszy uniosłam głowę, by spojrzeć na naszego dowódcę. Nat wyglądał, jakby strach pomieszał mu w głowie. Stał na zбочu po kolana w wysokiej trawie i rzucał przed siebie zapalną.

– Tutaj! Chodźcie! – wołał, zajęty rozpalaniem kolejnego ognia.

Pamiętam, że próbowałam go zrozumieć i nie potrafiłam. Nie było żadnego powodu, by zapalać ogień tuż przed nadciągającym pożarem. Nie mógł posłużyć jako tak zwany przeciwogień – nie było

czasu na wykopanie rowu wzdłuż jego krawędzi. W tej sytuacji mógł tylko stać się najbardziej wysuniętym językiem głównego ognia. Wypalić okoliczną trawę i połączyć się z nim, gwałtownie skracając nam drogę ucieczki.

Obróciłam się twarzą do nadciągającego pożaru, przywołując na pomoc całą wiedzę, jaką wyniosłam ze szkolenia. Uczono nas, że gdy nie ma już czasu, by wykopać rów ani dotrzeć na wyższy teren, należy wbiec prosto w ogień, próbując w ten sposób dotrzeć do wypalanej ziemi. Z naciskiem przypominano nam, że nigdy nie należy pozwalać, by to ogień wybrał miejsce spotkania. Istnieją duże szanse, że będzie wtedy największy i najgroźniejszy. Przypomniałam sobie, co widziałam podczas marszu – pożar, który pełznął naszym śladem, miał jednolity front o szerokości ponad trzystu stóp. Nic na świecie nie zdołałoby przejść przez taki ogień i przeżyć.

Znów spojrzałam w górę zbocza, na dowódcę krzyczącego gorączkowo, ochryplego od dymu, i moich kolegów mijających go bez słowa. W głowie miałam pustkę, ale nogi poniosły mnie same, reagując szybciej niż myśli, a potem padłam na ziemię obok Nata, przyciskając chustkę do ust i kryjąc twarz w popiele.

– Ciągle myślałem tylko o jednym – zeznał Richmal, patrząc we własne ręce, nie spoglądając w oczy nikomu z komisji. – Wiedziałem, że ogień zawsze przygasa, kiedy dociera na szczyt grzbietu. Brak mu tam paliwa. Dlatego przyspieszyłem. Pomyślałem, że gdy dotrę na górę, będę bezpieczny. Nie widziałem krawędzi, ale wiedziałem, że gdzieś tam musi być. Może półtorej mili ode mnie, może tylko trzydzieści stóp... nie miałem pojęcia. W końcu dotarłem do grzbietu, przelazłem przez szczelinę i z rozpędu przebiegłem chyba jeszcze ze dwadzieścia jardów, zanim uwierzyłem że teraz już mogę przystanąć.

– Czy pamięta pan, co powiedział dowódca, gdy wrócił po pierwszym rozpoznaniu?

– Że to śmiertelna pułapka i że trzeba wyjść z tego gąszczy.

– Ale nie wyglądał na szczególnie zaniepokojonego?

– Chyba nie. On już taki był – ciężko było wyczuć, co myśli.

– A jak było w przypadku jego manewru ewakuacyjnego? Czy biegnąc na szczyt, zauważył pan, co robi?

– Tak, widziałem, że potarł zapałkę o draskę i rzucił w trawę.

– Jego zachowanie nie dało panu do myślenia?

Richmal zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

– Pomyślałem, że to dobry pomysł.

– Skoro tak pan pomyślał, to czemu nie próbował pan go usłyszeć?

– Pomyślałem, że to dobry pomysł, ale nie pamiętam... nie wiedziałem, do czego właściwie miałyby służyć. Po prostu wyglądał na człowieka, który wie, co robi. Chyba nawet się nie zatrzymałem, ciągle myślałem tylko o tym, że tam, na grzbiecie, będę bezpieczny.

– Czy taka procedura awaryjna była omawiana na szkoleniu?

– Nie, nie było nic podobnego. – Richmal zamknął oczy i ściskając palcami grzbiet nosa, przez chwilę wykrzywił twarz w nieokreślonym grymasie. – Gdyby tylko...

– Gdyby tylko co? – dopytywał się przedstawiciel służb leśnych z wydziału dochodzenia. Starszy, łysiejący mężczyzna wbił w niego spojrzenie głęboko osadzonych oczu. Jedno z nich przysłonił szkłem monokla; miało się wrażenie, że próbuje w ten sposób dojrzeć najdrobniejsze luki w zeznaniach świadka. Richmal odruchowo potarł policzki, jakby wciąż go paliły.

– Gdyby ktoś mi to wyjaśnił – wyjąkał w końcu. – Gdyby ktoś rozrysował wszystko dokładnie, kredą na tablicy, gdybym wiedział wcześniej, po co rozpala się taki ogień, to pewnie bym usłyszał, chociaż takich rzeczy nigdy nie wie się na pewno. Może zrobiłbym to nawet tym razem, gdyby dowódca...

Chłopak zwiesił głowę, jakby to wyznanie przychodziło mu z trudem.

– Gdyby chociaż dowódcą był... – wykrztusił z zamkniętymi oczami.

– Kto? – naciskał ten sam człowiek.

Richmal zwiesił głowę, jakby nie mógł znieść spojrzenia tego jednego oka.

– Ktoś, kogo bym lepiej znał.

Tamtego dnia rano długo siedziałam przed szafą i zastanawiałam się, co włożyć na przesłuchanie. Wiedziałam, że niektórzy mają już ustalone zdanie na temat tej tragedii, od zeskoku aż po sposób ucieczki. Nie należało zrzucać załogi na ten pożar, Nathan Warner

nie powinien dowodzić, nie powinien iść w stronę rzeki, nie powinien rozpałać ognia, nie powinien tam w ogóle być.

Przez chwilę igrałam z myślą, żeby założyć taftową spódnicę, żakiet, rękawiczki i może jeszcze wielki kapelusz. Chciałam ujrzeć miny komisji, zobaczyć, jaką akrobatykę umysłową będą wykonywać, próbując połączyć kobietę w tej kreacji z człowiekiem, którego wezwali, strażakiem, który przebiegł milę z pięćdziesięciofuntowym plecakiem w czasie poniżej jedenastu minut, a potem skoczył z dwóch tysięcy stóp, przebiegł kilkaset jardów, wbiegł po zboczu o nachyleniu ponad siedemdziesiąt stopni, nim w końcu padł na ziemię i pozwolił, by wokół niego przewalił się pożar. Udowodnić im, że nie wszystko jest oczywiste na pierwszy rzut oka, że działanie wbrew własnym odruchom to skomplikowany proces. Niektórzy, jak Richmal, potrafili opanować widzenie syntetyczne w ułamku sekundy, jakby nagle przypominali sobie zapomniane słowo, ale większość ludzi uczyła się tego powoli, mozolnie, poprzez ekspozycję na nietypowe sytuacje. Wymagało czasu, a gdyby chłopcy z Mihkwaw mieli czas, to i tak nie wykorzystaliby go na taką naukę – po prostu pobiegliby przed siebie i teraz wciąż by żyli.

Ale ryzyko było za duże – podobno wynik łądnych paru spraw sądowych mógł zależeć od tego, gdzie dokładnie Nat rozpałił swój ogień. Postanowiłam nie utrudniać sprawy, igranie z uprzedzeniami komisji nie było tego warte. Sięgnęłam po koszulę.

Umówiłam się z doróżkarzem, że przyjedzie po mnie o ósmej. Schodząc po schodach, poczułam zapach smażonych jajek i grzanek. Gianni pewnie stał już przy stolnicy, zagniatając ciasto na pizzę, którą zamierzał podać klientom podczas lunchu.

Na ulicy moja widmowa sylwetka wzbudzała nieokreślony niepokój, ale wiedziałam, że w sali przesłuchań paradoksalnie ulegnie gwałtownemu wyostrzeniu. Dla komisji musiałam wyglądać skandalicznie, by wyglądać normalnie. Tak to już działało: w tym świecie wszyscy mieli przydzieloną rolę. Każdy mógł być tym albo tamtym, ale niczym więcej. Mężczyźni gasili pożary, kobiety rodziły dzieci, ciemnoskóre opiekunki zmieniały niemowlętom pieluchy, a ich mężowie wracali do domu pod wieczór z krzyżem obolałym od pracy. Mogłam być Mirosławą Restaino, żoną Gianniego, matką Clary i Tonia, albo Mirkiem Novakiem, strażakiem z Misouli, ale

nigdy jednym i drugim. Wbijano mi to do głowy już od dzieciństwa – należało przyjmować to, co otrzymało się w darze od losu, i nie wyciągać rąk po więcej. A jeśli próbowało się być i tym, i tamtym, samemu wybierając sobie prawa i obowiązki niczym owoce na targu, w efekcie zostawało się z pustymi rękami. Nie byłam sawantką i nie czytywałam książek naukowych, ale jeśli wierzyć gazetom, doktor Bertrand Kugelmass wyjaśnił to przekonująco w swoim traktacie „O mechanice widzenia i naturze człowieka”. Jego zdaniem aparat kognitywny większości ludzi nie radził sobie skutecznie z przetwarzaniem zbyt skrajnych połączeń. Przypadki pomieszania ról, tak zwane „ekstremalne syntezy”, w których łączyły się elementy przynależne odmiennym grupom społecznym, często wykraczały poza możliwości percepcyjne ludzkiego umysłu. W efekcie większość ludzi po prostu przestawała je widzieć.

Jedyną osobą, której najwyraźniej nie zraziło to naruszenie wymogów stroju, był mały gazeciarz. Może dlatego, że sam był bez butów i czapki, a może dlatego, że zarabiał średnio pięćdziesiąt centów dziennie i bardzo próbował sprzedać swoje naręcze do ostatniego egzemplarza. Na widok nowego przechodnia natychmiast podbiegł bliżej.

– Gazetkę dla szanownego pana?... Eeee, pani? – poprawił się z wahaniem, gdy spojrzałam w jego stronę.

Wręczyłam mu pięć centów. Czekając na dorożkę, prześlizgnęłam się wzrokiem po nagłówek „Proklamowano Chińską Republikę Ludową”, przewertowałam stronicę. Znalazłam jedynie krótki artykuł poświęcony naszej sprawie: kongresmen Michael Monroe zaproponował, żeby na mocy nowelizacji zwiększyć dodatek pochówkowy z dwustu do czterystu dolarów i zdecydować, że ustawa działa wstecz, tak by dotyczyła także ofiar Mihkwaw. Nie podejrzewałam, żeby to kogokolwiek zadowoliło.

Siedząc w dorożce z czołem przyciśniętym do szyby, powtórzyłam sobie wszystko w myślach, całe zeznanie, którego zamierzałam się trzymać.

Nathan Warner był małomównym człowiekiem. Nie wyjaśnił nam dokładnie, co widział, gdy podszedł obejrzeć pożar z bliska, ani nawet wtedy, gdy gwałtownie zawrócił nas z drogi, kierując się w głąb wąwozu zamiast do rzeki. Gdy rozpałał swój ogień, wokół było za głośno, by mógł nam wyjaśnić, o co chodzi. Nikt z nas nie

znał takiej techniki ucieczki, więc nikt nie mógł się tego domyślić. Warner w ogóle nie znał tych ludzi, a oni znali go tylko z imienia.

To byli naprawdę dobrzy chłopcy. Ich lojalność wobec własnego zastępu była niewyobrażalna, a Nat Warner był jednym z nich i to przeważało. A zatem dokonali czegoś niezwykłego i przez większość czasu widzieli go, lepiej albo gorzej, pozwalając sobą dowodzić, aż do chwili, gdy lojalność poszła na boczny tor, bo wszystko musiało ustąpić przed strachem o własne życie.

Odetchnęłam głęboko, przetarłam twarz rękami i wpatrzyłam się w szybę, lekko zaparowaną od oddechu.

Złożyłam gazetę i wyciągnęłam z kieszeni wycięte artykuły, fragmenty wyrwane z innych gazet sprzed kilku tygodni. Przetasowałam je. „Trzynaście ofiar pożaru”. „Zarzuty dla dowódcy?”. „Sensacja w Misouli: kobieta-strażak?”.

Robert Knight, ojciec Henry’ego Knighta, był cytowany najczęściej. W jego oczach każda decyzja podjęta tego dnia stanowiła niewybaczalny błąd: poczynając od zrzucania zastępu w tak jałowym i bezwartościowym terenie, w niebezpiecznych warunkach pogodowych, aż po rozpalenie ognia ochronnego. Należało trafniej ocenić zachowanie ognia już z powietrza, nie należało iść równoległe do niego, lecz prosto w górę wąwozu, dowódca nie powinien tracić czasu na wracanie do lądowiska, a gdy zobaczył ogień przeskakujący na drugą stronę, powinien skierować się prosto w kierunku grani. „Nie ma wątpliwości – powiedział reporterowi – to on jest za wszystko odpowiedzialny. Niekompetentny bałwan. Nie powinien być się tam w ogóle znaleźć”.

Ojciec Henry’ego naprawdę nie cackał się ze słowami. Widać było, że niewiele zabrakło, by rzucił najcięższe oskarżenie: „Przecież równie dobrze mogło go nie być”.

Patrząc na wycinek z gazety, po raz pierwszy pozwoliłam sobie otwarcie sformułować tę myśl.

Czy Robert Knight powiedziałby to samo, gdyby Nat...?

Nie, ważniejsze pytanie brzmiało inaczej.

Czy Knight – i Stuart, i Rosen, i Marley, i Namond, i Jasson, oni wszyscy – czy postąpiliby tak samo, gdyby Nathan Warner był biały?

Znów zapatrzyłam się w szybę.

– Czy była pani świadoma, z jakim zamiarem dowódca rozpała ogień na południowym zboczu?

Urzędnik z biura dyrektora generalnego, który zadał pierwsze pytanie, starszy, rumiany mężczyzna, z kreskami zmarszczek w kąciakach oczu, trochę przypominał mojego stryja Piotra. Postanowiłam wziąć to za dobry znak.

– Nie. Wyglądało to całkiem niewiarygodnie: pięćdziesiąt jardów za nami gnała ściana ognia, a on rozpała nowy ogień? Szaleństwo. To było tak dziwaczne, że aż się zatrzymałam. Przez chwilę pomyślałam, że zapala przeciwogień, ale to nie miałoby sensu.

– Dlaczego?

– Bo przeciwogień zapala się w lesie, przy pożarze koron drzew, i to wtedy, gdy wiatr wieje w stronę ognia. W płonącym lesie nie zapali się tylko to, co już raz spłonęło, prawda? Dlatego wypala się runo i poszycie na drodze pożaru, równoległe do czoła i granicy ognia. Widziałam, że dowódca coś krzyczy i macha rękami, jakby wołał nas do siebie. Wyglądał, jakby wiedział, co robi.

– Ze zeznania Richmala wynika, że on i Stuart minęli go biegiem, ruszając prosto w stronę grani.

– Właśnie tak było.

– Czy ktoś coś odpowiedział? Zareagował na jego znaki?

– Nie wiem. Nie rozglądałam się, a ogień... pożar wierzchołkowy jest naprawdę głośny.

– Tak było też w tym przypadku?

– Kierownik Reilly mówił potem, że to musiała być eksplozja, ale ja w życiu nie słyszałam takiego dźwięku. To brzmiało jak pociąg wypadający z tunelu. Był tak głośny...

Tak głośny, że zastęp nie usłyszał głosu własnego dowódcy, próbującego ocalić im życie.

– Richmal wspominał, że ktoś z pozostałych strażaków przebiegł obok niego, krzycząc: „Do diabła, ja stąd spadam!”. Nie przypomina pani sobie czegoś takiego?

Zamrugałam, trawiąc to nowe odkrycie. Już na początku zaskoczyło mnie, że Richmal w ogóle dostrzegł szaloną akcję Nata; był ostatnim człowiekiem w oddziale, którego podejrzewałabym o widzenie syntetyczne. Poza tym przebiegł tamtędy jako jeden z pierwszych – gnał, co sił w nogach i był śmiertelnie przerażony,

a w dodatku na piąty następował mu pożar. Szansa, że cokolwiek usłyszał, była naprawdę znikoma, a jednak upierał się, że tak właśnie było. Sugerował, że pośród zastępu doszło do czegoś w rodzaju buntu.

A komisja postanowiła drać ten temat.

– Nawet jeśli nie rozumieli, co się dzieje, to na pewno zdawali sobie sprawę, że dowódca ma jakiś plan – powiedziałam powoli. Czułam się nieswojo, bo elokwencja nie była moją mocną stroną, ale w końcu ćwiczyłam tę kwestię wielokrotnie i wierzyłam, że dam radę. – Ale to była naprawdę groźna sytuacja. Strach musiał przeważać nad zaufaniem do dowódcy.

– A jednak pani usłuchała.

– Tak.

– Dlaczego?

Przypomniałam sobie tamten obraz: nadciągający pożar, huczący jak rozpędzony pociąg, trzask, w którym tonęły wszystkie słowa, i nasz dowódca, którego ostatecznie nikt nie posłuchał, bo nawet nie krzyczał, tylko bezgłośnie poruszał ustami. Stał na zboczu, na skraju swojego ognia, a wszyscy mijali go w biegu, jak coś zupełnie nieważnego. Zachowywali się, jakby go wcale nie widzieli... Nie, poprawiłam się w myślach – po prostu nie widzieli. Czarnoskóry skoczek, dowódca zastępu – to już musiało poważnie nadwerężyć ich zdolność do widzenia syntetycznego. Nat prawdopodobnie od początku rysował im się niewyraźnie, mniej uprawionym może nawet migotał jak obraz w kinematografie. Może nie mogli skupić na nim wzroku, może co chwila zapominali o jego obecności. A potem musieli w ułamku sekundy przyjąć na wiarę, że ich ledwie widoczny czarnoskóry dowódca robiący coś ewidentnie szalonego w obliczu nadciągającej śmierci jest w rzeczywistości najtrzeźwiej rozumującym człowiekiem z nas wszystkich, i tego już było za wiele.

Tym razem mogłam odpowiedzieć szczerze.

– Bo go rozumiałam.

Podczas przesłuchania wreszcie stało się dla mnie jasne, do czego to wszystko zmierza. Trzyście ofiar śmiertelnych musiało się odbić szerokim echem w kraju, ale w obliczu tej katastrofy służbom leśnym najbardziej zależało, by dowieść, że wszyscy ich przedstawiciele

postępowali z zachowaniem należytej staranności, więc nie mieli żadnego interesu w tym, by pogrążyć kogokolwiek z naszej ocalałej trójki – ani Richmala, ani Nata, ani nawet mnie. Mieliśmy szczęście: trafiliśmy na rzadki moment, kiedy urzędnicy też postanowili zadbać o swoich.

Ostateczny raport komisji składał się z dwunastu punktów, z których ostatni stanowił syntezę wszystkich poprzednich. „W ogólnej ocenie komisji – stwierdzał – nie istnieją żadne dowody przemawiające za tym, iż osoby odpowiedzialne za bezpieczeństwo zastępu skoczków nie dołożyły należytej staranności, by uwzględnić wszystkie czynniki ryzyka związane z wysłaniem zastępu w celu ugaszenia pożaru”.

Po przeczytaniu ostatniego słowa odłożyłam gazetę i spojrzałam na Gianniego. Uśmiechnął się i dotknął mojego ramienia, jakby chciał mnie zapewnić, że teraz już będzie dobrze.

– Wiesz, że zmienili grób Harry’ego Rosena? – odzywam się w końcu. – Jego rodzina zdołała to przewalczyć. Usunęli ten krzyż, który stał tam na początku, i postawili płytę z gwiazdą Dawida.

Nat kiwa głową, jakby chciał powiedzieć, że to dobrze.

– Spójrz na to, możesz? – Gdy sięgam do torby po kopertę ze zdjęciami, Nat zaczyna wyglądać, jakby przybyło mu dziesięć lat, ale nie protestuje. Powoli sięga po zdjęcia i przegląda je długo. A potem robi ostatnią rzecz, jakiej bym się spodziewała.

– Krzyż Hecklera – chrypi. – Stoi w złym miejscu.

Gdy w końcu wstaliśmy z ziemi, poparzeni i obsypani popiołem, pierwszą rzeczą, jaka przyszła nam do głowy, było znalezienie pozostałych chłopaków. Heckler leżał niedaleko i jeszcze żył. To ja zostałam wtedy przy nim, a Nat pobiegł poprzez grzbiet, gdzie odszukał załogę z drugiego zrzutu i spotkaliśmy się w połowie drogi. Nie wiem, jak to się stało, ale potem oboje bez trudu odnaleźliśmy się nawzajem w ciemności, po zachodzie słońca, w świetle, który spłonął wokół nas i już nigdy nie był taki, jak wcześniej.

Biorę od niego zdjęcie i przyglądam się uważnie.

– Masz rację – przyznaję. – Krzyż stoi za blisko tego osuwiska, które ominął ogień. Pamiętasz? Myśleliśmy, że tamci już dawno nas wyprzedzili. Po pożarze wbiegliśmy na górę i zaczęliśmy krzyzczeć, a wtedy Heckler odpowiedział nam z dołu, jakieś trzydzieści jardów dalej.

Nat przesuwa palcem po zdjęciu.

– Aha, powinien być dalej od osuwiska i niżej. Przecież krzyczał z dołu. Chyba nawet nie jest po właściwej stronie.

Widzę, jak kiwa głową.

– Na pewno – powtarzam, coraz bardziej zaferowana. – Tam, po drugiej stronie osuwiska, był taki duży kamień. Położyliśmy go na nim, żeby popiół nie oblepił oparzeń. – Nat mruży oczy, szybko przerzuca zdjęcia, po czym stuka palcem, jakby mówiąc: „Tutaj”.

– Tak myślisz? No, może. Wiedzielibyśmy na pewno, gdyby udało nam się znaleźć tę puszkę.

Patrzy na mnie spod uniesionych brwi.

– Puszkę z ziemniakami, którą mi wtedy zostawiłeś. Heckler chciał pić, więc zrobiłam w wieczku dziurę nożem. Potem rzuciłam ją gdzieś na bok. Jeśli wciąż tam leży, na pewno bym ją poznała.

Nat patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym oznajmiła, że rozpoznalabym własne wnętrze, gdyby ktoś położył je przede mną na stole.

– Co? Myślisz, że chciałabym tam wrócić? Nie. Nigdy w życiu.

Zdaję sobie sprawę, że pod zdjęciami wciąż trzymam na kolanach rysunek Tonia.

– Jak to zobaczyłam, w pierwszym momencie aż serce mi się ścisnęło – przyznaję, wkładając kartkę do kieszeni. – Nikt z nas – ty, Richmal, ja – nie skoczył już więcej na żaden pożar. Kiedy pomyślałam sobie, że mój malutki synek miałby... Ale z drugiej strony robiliśmy dobrą robotę, prawda? Ktoś nadal musi to robić. Od tamtej pory naprawdę sporo się zmieniło. Rozszerzyli program szkoleń, wprowadzili nowe procedury, nawet uczą o ogniu ochronnym – tak, wymyślili oficjalną nazwę na to, co zrobiłeś. Kilku żołnierzy z dawnego batalionu 555 prowadzi niektóre szkolenia, żeby chłopaki się przyzwyczajali, ćwiczyli widzenie syntetyczne, tak na wszelki wypadek...

Urjuwam, widząc, że przez twarz Nata przebiega grymas. Oczywiście – nie zwrócili się z tym do niego. Stwierdzić w raporcie, że nie zrobił nic złego, to jedno, ale powierzanie mu szkoleń kolejnej ekipy... to byłoby jak otwarte przyznanie, że jednak miał rację. A przecież wciąż byli ludzie, jak ojciec Henry’ego Knighta, których nie przekonałby żaden raport, nad jego nazwiskiem wciąż unosiło się widmo tych trzy-nastu krzyży stojących na zboczu nad brzegiem rzeki.

Dwunastu, poprawiam się w myślach. Dwunastu krzyży i gwiazdy Dawida.

– Jezu, Nat, wybacz. – Unoszę ręce. – Nie pomyślałam. Tak właściwie to przyszłam po coś innego. Chcę cię o coś spytać.

Widzę zdziwienie na jego twarzy.

– Boże Narodzenie. Co robisz w święta?

Potrząsa głową i rozkłada ręce, jakby chciał powiedzieć „A co mam robić?”.

– Masz kogoś w okolicy? Rodzinę? Znajomych? Może przyjaciółkę? – drąży dalej. Nie odpowiada ani nie wykonuje żadnego gestu, który nauczyłam się interpretować jako „Tak”. Biorę oddech i zbieram się na odwagę, jakbym stała na krawędzi wjazdu, czekając na klepięcie w nogę. Znak nie nadchodzi i sama muszę wybrać moment.

– Nie? No to przyjdź do nas. Będzie nam bardzo miło.

Nat tylko patrzy i z każdą chwilą widzę, jak osuwa się w głąb siebie. Powinam już iść, wstać, włożyć płaszcz, zabrać puste naczynia.

– No, jak chcesz. Ale pomyśl nad tym, dobrze?

Jestem już prawie przy drzwiach, kiedy ochrypliły głos zatrzymuje mnie w pół kroku.

– Będziesz mnie karmić zgniłą kapustą?

Przez chwilę walczę z krzywym grymasem, który wypełza mi na usta, a potem pozwalam mu rozkwitnąć w uśmiech.

– Nie, nie będę. Gianni gotuje po swojemu, jak zawsze. *Festa dei sette pesci*. Taka makaroniarska nazwa na „dużo ryb”. Może specjalnie dla ciebie upiecze indyka. W końcu uratowałeś mi życie.

Nat długo nie odpowiada.

– Dzięki – mruczy w końcu.

Nie odpowiada na pytanie, ale zawsze to jakiś początek.

– Pomyśl o tym – powtarzam jeszcze raz. Wychodząc, zamykam drzwi cicho, jak duch, za którego mnie czasem uważają.

Nagle coś się blokuje i już nie mogę ich domknąć. Widzę, że Nat przytrzymuje drzwi i patrzy na mnie przez tę szparę.

– Słuchaj, Mira...

Po raz pierwszy zwraca się do mnie moim prawdziwym imieniem.

– Tak?

– Mówisz, że od tamtej pory nie skaczesz?

– Nie.

– I pomagasz starszkowi w restauracji?

– Aha.

– I nie szukasz innej pracy?

– Nie wiem. Może?

Puszczą drzwi i opiera się o framugę.

– Robię teraz w warsztacie aeronautycznym na Cornwell Street. Przydałaby nam się pomoc. Jesteś zainteresowana?

– A czy pożary wybuchają w lesie?

Nat wpatruje się we mnie, zmarszczka pomiędzy brwiami pogłębia się lekko, jakby nie wiedział, jak to rozumieć.

– Taki żart. Chyba kiepski. To znaczy tak.

– Powiem majstrowi, że ma się ciebie spodziewać.

– A jak u niego z widzeniem?

– Nauczy się.

Po powrocie do domu wyciągam zdjęcia z koperty i znów je przeglądam – mam nadzieję, że po raz ostatni, nim ostatecznie ześlę je do jakiejś szuflady czy pudła. To, co widać na zdjęciu ze szczytu, to nie tyle wąwóz, co jego szkielet, wypalone zgliszczą pozostałe po przejściu ognia. To mała, zamknięta przestrzeń, odcięta od reszty stromymi zboczami. Po każdej ze stron znajduje się inny świat: na południu i zachodzie las i góry, na północy i wschodzie równiny. Dwa oblicza śmierci.

Gdy zeskoczyliśmy nad Mihkwaw, zostawiliśmy nasz codzienny świat za sobą, a ten, w którym się znaleźliśmy, spłonął i umarł na naszych oczach. Ale dzisiaj po raz pierwszy pomyślałam, że może z niego też w końcu uda nam się wydostać.

Nat odezwał się do mnie po raz pierwszy od dawna, próbował żartować. Zaproponował pracę.

A krzyż Hecklera jest źle ustawiony, a on zdołał to ustalić na pierwszy rzut oka, patrząc na kiepskie zdjęcie zrobione z odległości pół mili. Odkładam zdjęcia, zamykam powieki i znów widzę to samo w najdrobniejszych szczegółach. Chyba skłamałam Natowi, mówiąc, że nigdy nie wrócę w tamto miejsce. Już dawno zrozumiałam, że nawet jeśli kiedyś wydostaniemy się na zewnątrz, to i tak zostaniemy tam na zawsze.

Ale damy sobie radę. W końcu prowadzimy syntetyczne życie.

Alicja Tempłowicz – Naznaczony rocznik '89, właściciel portalu dla piszących Literka.info. Przecinkolog z wykształcenia i powołania. Poznaniara pełną gębą, choć obecnie w stałym związku z Wrocławiem. Publikowała w V, VI i VII Fantazjach Zielonogórskich, w antologii „Ścieżki wyobraźni: Zabawa w Boga”, pierwszym tomie Fantazmatów, parokrotnie na Szortalu i w Magazynie Histeria. Wykonała też kilka ilustracji – tu i ówdzie. Na usługach Fantazmatów i Smokopolitana w charakterze różnym i podłużnym. Autorka artykułów zahaczających tematyką o językoznawstwo diachroniczne, demonologię ludową i wierzenia słowiańskie (nie mylić z „mitologią”). Filker, wielbicielka akwareli, tuszu i kawy w kilku wydaniach – w tym jako materiału malarskiego. Po światłowodach biega jako Kruffachi.

Alicja Tempłowicz
MATKI PŁACZĄ SOLĄ



Tahua, Boliwia

11 października 2031 roku

Przyznaję, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o tej sprawie, zupełnie ją zbagatelizowałem, a kiedy dowiedziałem się, że zostaje przydzielona właśnie mnie, byłem mocno zawiedziony. Wydawało mi się, że to kolejna ekologiczna opowiadka o obudzonych i wspieranych przez lokalną ludność duchach broniących ziemi przed złymi przedsiębiorcami, jakich widziałem już parę. Tak wygląda najczęstszy schemat, z jakim się spotykamy, więc trudno byłoby spodziewać się po mnie entuzjazmu. Mam prawie dwadzieścia lat doświadczenia, zatem wizja jechania przez pół świata tylko po to, by rozprawić się z czymś wywołanym z grobu dziadkiem, który nieoczekiwanie wymknął się spod kontroli i przyprowadził kolegów, nieszczerólnie mnie cieszyła, a wręcz nieco mi uwłaczała i odruchowo zacząłem się zastanawiać, komu mogłem podpaść. Już wolałem spędzić kolejne miesiące w ciepłym gabinecie, popijając ulubioną kawę i sprawdzając prace studentów – z roku na rok coraz bardziej do siebie podobne.

Miałem prawo się pomylić, zważywszy na fakt, że miejscem akcji okazał się rezerwat Salar de Uyuni, a ofiarami pracownicy powołanego rok wcześniej i od czterech miesięcy prowadzącego prace wydobywcze konsorcjum o jakże oryginalnej nazwie Lithium Investments. No, może ci konkretni przedsiębiorcy nie są aż tacy źli, jak się na pierwszy rzut oka wydaje, bo owszem, naruszyli strukturę terenu chronionego, ale zrobili to z wykorzystaniem najnowocześniejszych dostępnych technologii i, jeśli wierzyć opiniom mądrzejszych ode mnie, ze sporą dozą racjonalności, a my bez działań takich jak oni już wkrótce będziemy mogli zapomnieć o wielu rzeczach, całej elektronice i takich wynalazkach jak na przykład samochody elektryczne – o ironio, skonstruowane z myślą o środowisku właśnie. Pech chce bowiem, że wobec gwałtownego rozwoju znane nam i możliwe do eksploatacji złoża litu na świecie zaczęły się wyczerpywać, a największe jego skupione źródło znajduje się właśnie pod boliwijskim solniskiem. Owszem, w grę wchodzi wielkie pieniądze i potężne interesy, a wydobywanie na pewną skalę prowadzi się tu już od wielu lat, ale też przedsięwzięcie ratuje tyłki całemu uzależnionemu od elektroniki światu, a najbiedniejszemu krajowi Ameryki

Południowej daje szansę na szybki rozwój i oparcie się coraz wyraźniejszym wpływom potężnych sąsiadów.

Wszystko to jednak nie wyklucza wersji, według której miejscowi stwierdzili, że nie wpuszczą kolejnych obcych na swój teren, i odprawili jakiś felerny rytuał, a mnie czekało żmudne odkręcanie sprawy i łatanie pospolitych dziur w substrukturze.

Przyznaję, mina nieco mi zrzędła, kiedy dostałem dostęp do raportów dotyczących skali zniszczeń i liczby ofiar. Wszystko wskazuje na to, że tym razem dziadek albo przyprowadził naprawdę dużą kompanię, albo jest mocno wkurzony. Względnie jedno i drugie. W każdym razie pogięte kilkunastometrowe instalacje wydobywcze zrobiły na mnie wrażenie, podobnie jak zdjęcia ofiar w rozszarpanych na strzępy skafandrach ochronnych.

To nie jest dobry czas na przeprowadzanie analiz, a już na pewno nie na składanie uroków. Za nieco ponad miesiąc rozpocznie się pora deszczowa i wszyscy będziemy tonąć po kostki w błocie, ale nie pozostawiono mi wyboru. Sprawa z daleka wygląda na taką, która nie powinna czekać, tymczasem na same rozmowy o współpracy z Instytutem zmarnowano już sporo dni. Tutejsi podchodzą do naszej działalności z wyraźną nieufnością, co zresztą szczególnie nie zaskakuje.

Już pierwsze miesiące po otrzymaniu dyplomu przekonały mnie, że ludzie podchodzą do naszej działalności na ogół sceptycznie, nie rozumieją jej i przypisują nam możliwości, których nigdy nie posiadaliśmy i nie będziemy posiadać. Co więcej, zwykle są przekonani, że choć zgłębialiśmy subnauki pod okiem najwybitniejszych specjalistów, to oni wiedzą, co i jak należy robić. I owszem, przez lata mojej kariery okazywali się niekiedy nieocenieni – a raczej ludowa wiedza przekazywana z pokolenia na pokolenie – ale jednak z jakiegoś powodu nie potrafili rozwiązać trapiących ich magicznych problemów sami i byli zmuszeni korzystać z naszej pomocy.

Zwykle traktuje się nas jak intruzów usiłujących ingerować w wiedzę przodków, a nawet ją podważających. Takie podejście spotyka nas niejednokrotnie nawet tuż za metaforycznym progiem. A skoro Niemcy nie rozumieją podejścia Niemca czy Francuza, co dopiero tak obce nam ludy jak Ajmarowie i Keczua. Mało kto z nas potrafiłby zapytany powiedzieć, kim są, tak jak oni w większości nie potrafiliby wskazać na mapie położenia Wirtembergii. Choć niby

z jednej planety, jesteśmy z dwóch różnych światów i wiedziałem to, jeszcze zanim spotkałem pierwszych z nich.

Nie powiem, żeby po spotkaniu to spostrzeżenie znacząco się zmieniło.

Zanim pozwolono tu przyjechać pierwszym członkom ekipy, minęły trzy miesiące negocjacji, potem kolejny, nim dano mi znać, że mogę zjawić się w Tahuii i nikt nie zacznie rzucać we mnie kamieniami.

Zadziwiająco, że ludzie nadal żyją w tym miejscu. Na pierwszy rzut oka wygląda na wymarłe, jakby nie było tu niczego poza ruinami, stłoczonymi w ich cieniu stadami zwierząt, paroma opuszczonymi chatami i hotelikiem utrzymującym się z turystów chcących podziwiać Salar de Uyuni – teraz oczywiście, w obliczu wydarzeń ostatniego roku, hotelikiem mocno podupadłym i ledwie zipiącym.

Nie wiem, dlaczego spodziewałem się, że będzie tu więcej zieleni. Boliwia kojarzyła mi się dotąd z dżunglą, a tymczasem kolory Tahuii to raczej rdzawe brązy, żółcie, a kiedy słońce zaczyna zachodzić, także czerwień i fiolet. Ten ostatni widoczny jest najbardziej u stóp wulkanu Thunupa, który, choć śpiący od tysięcy lat, rzuca groźny cień na osadę.

Poza tym jest tu dużo bud – brzydkich, koślawych i już na pierwszy rzut oka grożących zawaleniem. Wyglądają trochę jak kartony rozrzucone bezwładnie po okolicach osady. To oczywiście pozostałości po boomie sprzed roku, gdy ogłoszono, że rusza na pełną skalę wydobywanie litu spod powierzchni solniska. Mieszkali w nich najęci do prac górniczy wraz z rodzinami – teraz ani po jednych, ani po drugich nie ma już śladu, a prowizoryczne budowle straszą, rozsypując się powoli i rdzewiejąc. Wyglądają na dużo starsze, niż są w rzeczywistości. Podejrzewam, że to wpływ trudnych warunków atmosferycznych, zasolenia oraz fatalnej jakości materiałów, jakich użyto do ich wzniesienia. Ale nie wykluczam także wpływu magicznego promieniowania – dla potwierdzenia tych przypuszczeń wykonałem kilka pomiarów i umieściłem próbki w odczytnikach. Jutro powinienem móc już przystąpić do analiz i interpretacji wyników.

Jutro też ma odbyć się spotkanie, na którym członkowie lokalnego zarządu Lithium Investments i ocalali robotnicy wyjaśnią mi, na czym dokładnie polegał proces wydobywania i jakiego sprzętu użyto. To oczywiście może mi dać cenne wskazówki, bo choć wstępnie

zapoznałem się z procedurą, to jednak nie jestem inżynierem. Muszę dotknąć, muszę porozmawiać z naocznymi świadkami, żeby w pełni zrozumieć mechanizm.

12 października

Jak się dowiedziałem, wszystko polega po prostu na skali. Lit pozyskuje się, wypompowując wody podziemne na powierzchnię solniska i odparowując pierwiastek z powstałych w ten sposób sadzawek. To znana od lat technologia, ale jej rozwój pozwolił na tworzenie większych lusterek. Nad ziemią widać tylko płaskie domki i wysokie na kilkanaście metrów konstrukcje naturalnych, przyjaznych środowisku pomp – są jak dawne wieże ciśnień, tylko wyposażone w system precyzyjnej regulacji za pomocą wewnętrznych grodzi. Minimum elektroniki, minimum energii elektrycznej, proste rozwiązania, naczynia połączone i słońce. Ze względu na wysokie stężenie soli i promienie UV odbijające się od wodnych zwierciadeł, a także minimalne, ale jednak skończone ryzyko, że ciśnienie rozsadzi instalację, pracownicy platform chodzą w specjalnych ochronnych skafandrach. Poprosiłem, by dostarczono mi jeden z nich do dokładniejszych oględzin i wykonania pomiarów. Liczyłem na to, że użyte do ich produkcji materiały będą w jakiś sposób reagować z promieniowaniem magicznym, ale reagowało wyłącznie srebro, w dodatku zbyt słabo, żebym mógł wyciągnąć daleko idące wnioski. Nie porzucam tego tropu, ale pozostawiam wątek raczej w zawieszeniu.

Cóż, przed lecącym z nieba lodem i tak nikogo nie uratowały, myślałem, kiedy pocierałem w palcach porwany materiał jednego z nich.

W Europie rzadko oglądamy aż tak niszczycielski grad i z relacji miejscowych wnioskuję, że choć samo zjawisko atmosferyczne jest tu stosunkowo częste, czegoś o takiej sile nie pamiętają. Opowiadali mi o ziarnach wielkości pięści, a nawet większych. Wziąwszy pod uwagę fotografie satelitarne ruin placówek, jestem w stanie założyć, że nie są to tylko opowieści wyolbrzymione przez strach.

Oczywiście grad zajmuje ważne miejsce w lokalnych wierzeniach. Ajmarowie to w większości rolnicy i ich przetrwanie w dużej mierze zależy od plonów, jakie wyda niezbyt urodzajna, uprawiana nadal dość prymitywnie ziemia – chodzi głównie o ziemniaki, dla których Indianie mają szczególny szacunek. Łatwo wyobrazić sobie,

że lecący z nieba lód to jedno z najbardziej dewastujących uprawy zjawisk, więc wiąże się je ze wszystkim, co złe. Odpowiedzialne za grad duchy są wrogie ludziom i chcą ich śmierci. Kiedy klęska spadła na platformy wydobywcze i zniszczyła wieże ciśnień, dla miejscowych nie ulegało wątpliwości, że to zemsta sił nadprzyrodzonych i – prawdę powiedziawszy – ja też w to nie wątpię.

To ważny trop dający w najgorszym razie tyle, że wiem, jakich zagrożeń mogę się spodziewać, kiedy wkroczę na Salar de Uyuni. Bo tak, zwłaszcza wobec niezadowolających dotychczasowych wyników, zamierzam to zrobić. Powinniśmy pobrać próbki i zmierzyć promieniowanie magiczne na miejscu, zbadać zachowanie substruktury, zanim wyciągniemy ostateczne wnioski i przystąpimy do składania uroków. Mimo wszystkiego, co zobaczyłem, nie spodziewam się szczególnego zagrożenia, a założeniem nieodpowiednich węzłów możemy miejscowym wyłącznie zaszkodzić.

Prócz mnie w wyprawie ma uczestniczyć dwoje byłych pracowników Lithium Investments, personel medyczny, technicy, kierownicy i lokalny przewodnik, którego wciąż nie poznałem, choć podobno już na mnie czeka. Razem około czterdziestu osób, a więc aż nadto.

Ach, i mój nowy partner.

Nigdy nie jest tak, że pracujemy zupełnie sami, ale towarzysząca nam ekipa z Instytutu zwykle ukrywa się w cieniu. Mamy łączność internetową lub przez krótkofalówki, jeśli teren nie sprzyja, ale generalnie chodzi nam o to, by nie wprowadzać za dużego zamieszania w lokalnych, często pierwotnych społecznościach. Najlepiej wiemy, że ich przetrwanie to klucz do zachowania magii pod kontrolą – mogą nie rozumieć, z czego płyną ich tradycje, mogą źle interpretować odtwarzane od setek lat rytuały, ale od ich zachowania zależy wszystko.

To starożytni Grecy nam to zrobili, a myśliciele klasycyzmu doprowadzili do szczytowej formy. To oni nauczyli nas, żeby nie mówić w naukowy sposób o tym, czego nie możemy zważyć, zmierzyć i udowodnić, a jeśli dwie rzeczy są ze sobą sprzeczne, tylko jedna z nich może być prawdziwa. Kiedy przyjrzeć się bliżej, dochodzi się do wniosku, że na tym właśnie opiera się całe nasze zachodnie myślenie. Na odrzuceniu dialektyki. Instytut przywrócił jej należne miejsce, ponownie dał prawo do istnienia temu, co wykracza poza ludzką percepcję zmysłową i zdolności intelektualne – poza logikę.

Zdążyliśmy już jednak stracić bezpowrotnie sporą część spuścizny przodków i teraz odtwarzamy ją mozolnie, ale zanim tego dokonamy, przetrwanie dawnych praktyk w lokalnych tradycjach gra kluczową rolę, a społeczności takich jest z roku na rok coraz mniej.

Każdy z nas jest też trochę antropologiem i trochę etnologiem, z czasem uczymy się poruszać w tej niezwykle delikatnej tkance. Ale nie możemy sobie pozwalać na wąskie specjalizacje, bo nigdy nie będzie nas dość, żebyśmy mogli obstać wszystkie potencjalnie aktywne magicznie miejsca na globie.

Wracając do sedna sprawy jednak, nie ulega wątpliwości, że mam dość doświadczenia i umiejętności, by nie potrzebować bezpośredniego partnera, ale z jakiegoś powodu władze Instytutu postanowiły mi takiego przydzielić. I nie podoba mi się szczerze to, co zobaczyłem.

– Maurice. – Wyciągnął rękę i przedstawił się z szerokim uśmiechem sugerującym, że niebawem zostaniemy przyjaciółmi.

Jest młodszy ode mnie, i to z dobrych dwadzieścia lat, może więcej. Przystojniaczek o ciemnych włosach i nieco ciemniejszej niż moja cerze. Podczas pierwszego spotkania miał na sobie koszulkę z kolorowym nadrukiem i kuriozalne spodnie ledwie sięgające kolan. Wyglądał, jakby przyjechał tu na wakacje z jakimś niezbyt doinformowanym biurem podróży, a nie pracować.

Pomyślałem w pierwszej chwili, że dostałem ucznia, ale jego dossier nie wskazywało na to, by potrzebował dalszego szkolenia. Osiągnął drugi stopień wtajemniczenia, wysoko oceniano jego pracę. Może nie zdobył dość doświadczenia, by brać udział w misji na tak egzotycznym terenie i wobec tak silnych magicznych anomalii, ale miał już za sobą parę samodzielnych wypraw, a nikogo nie można prowadzić za rękę do końca kariery – nawet gdybyśmy chcieli to robić, Instytut nie ma dość ludzi, żeby sobie pozwolić na takie marnotrawstwo.

Moją drugą myślą było, że sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się na pierwszy rzut oka wydaje, ale nie wiem doprawdy, jak musiałaby być skomplikowana, żeby przerosnąć moje umiejętności.

I wreszcie trzecia myśl, że Instytut zabezpieczył się na wypadek, gdyby któregoś z nas zabrakło, bo sami nie wiedzą, czego się spodziewać tak po lokalnych duchach, jak i po Boliwijczykach.

Och, oczywiście, że śmierci zdarzają się bardzo, bardzo rzadko. W wielu wypadkach jest tak, że nawet jeśli spotykamy się z potężną magią, jest ona od tysięcy lat poskramiana przez nieświadomych

mechanizmów strażników tradycji, a do naszych zadań należy nie spektakularna walka z demonami, a raczej mozolne utrzymywanie *status quo* i łatanie dziur. Jeśli ktoś faktycznie ginie, to raczej przez swoją głupotę.

Nie podzieliłem się żadną z tych teorii z moim nowym partnerem, bo może nie był to dobry pomysł na początek znajomości, żeby dawać mu do zrozumienia, jak niemile jest widziany. Nawet jeśli intuicja podpowiadała mi, że i tak nie zauważyłby sygnałów braku sympatii, a jeśli by zauważył, to by się nimi nie przejął.

Jeszcze bardziej zaczął mnie drażnić następnego dnia, kiedy okazało się, że choć jest tu zaledwie dwa miesiące dłużej ode mnie, wszyscy go znają i on zna wszystkich, potrafi poprawnie wypowiedzieć parę podstawowych zwrotów w językach keczua i ajmarskim i nawet ponure twarze niektórych Indian rozświetlają się, kiedy przechodzi ulicą w swoich koszmarnych koszulkach z postaciami z kreskówek, których zapewne nigdy tu nie widzieli.

Jesteśmy instytutem międzynarodowym, ale ze względów geopolitycznych większość absolwentów to jednak Niemcy. Maurice do nich nie należy. Jak mi powiedział, jego status etniczny jest dość skomplikowany, a on sam ma trzy obywatelstwa – francuskie, hiszpańskie i irlandzkie. Trudno mi ocenić, czy widzi w tym powód do dumy, czy raczej pewną niedogodność, bo w ogóle trudno mi ocenić w jego wypadku cokolwiek.

Co mogłem bez wątpienia powiedzieć już po pierwszych paru-parunastu godzinach znajomości, to tyle, że jest znacznie bardziej podekscytowany całą wyprawą. Może świadczy to o braku jego doświadczenia i może oznacza, że powinienem mieć oko na tego chłopaka, bo mimo drugiego stopnia gotów jest popełniać błędy nowicjusza. Wszyscy w końcu kiedyś je popełnialiśmy.

16 października

Przez całą noc leczyłem zatrucie pokarmowe. Nie ma tu lekarza, więc Maurice posłał po szamana. Szaman z kolei – człowiek o brązowej, szerokiej twarzy bez uśmiechu – nie znał ani słowa po hiszpańsku i zacząłem się już mocno niepokoić, choć ze względu na wykształcenie nie mam w zwyczaju podważać wiedzy takich ludzi. Można wierzyć w duchy, można w nie nie wierzyć, ale ja wiem, że tak jak szamani nigdy nie zastąpią naszej medycyny opartej na znajomości

biologii, tak my nigdy nie zastąpimy ich. Obawiałem się jedynie, że zostaną źle zrozumiany, a magiczny rytuał potrafi wyrządzić więcej szkody niż źle przeprowadzona i niepotrzebna operacja.

Ale Maurice to Maurice. Jest nie tylko specjalistą od substruktury, ale też poliglotą. Ma ten nieosiągalny dla mnie dar, że najwyraźniej wystarczy mu kilka-kilkanaście dni w danej społeczności mówiącej jakimś językiem i już zaczyna łapać podstawowe zwroty. Po nocach ćwiczy brzmienie głosek, robi notatki, dopytuje i powtarza jak gwarek. Mógł więc wcześniej znać ajmarski i keczua jedynie z przypisów w jakichś artykułach, ale przyjechał tu, pobył wśród mówiących nimi ludzi i tak dogadał się z szamanem, całkiem dosłownie ratując mi tyłek. Ostatecznie zrobiliśmy wszystko, co kazał Indianin, poza wyjadaniem wnętrzności zwłok z rozkopanego grobu. I bez tego na szczęście podziałało.

Maurice uczył się tego od dzieciaka. Oboje jego rodzice byli etnografami – on Francuz, ona Hiszpanka, dziadkowie zahaczyli jeszcze o Irlandię i Szwajcarię. Jeździli po całym świecie, ciągnąc jedynego syna za sobą i nigdzie nie pozwalając mu zapuścić korzeni. Czasem narzeka na brak przynależności kulturowej i możliwość wskazania na mapie miejsca, które mógłby nazwać domem, ale z drugiej strony daje mu to ogromną elastyczność. Jest wrażliwy na najdrobniejsze niuanse w zachowaniu, do rytuałów podchodzi z szacunkiem, a jednocześnie umieszcza je w globalnej strukturze wpływów i naleciałości.

Może i ja go w końcu polubię. Łączą nas już pewne dramatyczne przeżycia.

17 października

Swoją przyszlą przewodniczkę i tłumaczkę poznałem w chwili, w której – przy dzikim dopingu zgromadzonych wokół ludzi – rzucała drugą Indianką o podłogę. Potem, nim sędzia zdążył przerwać walkę, kopnęła jeszcze chyba nieprzytomną i bez tego przeciwniczkę w twarz, a sama odpluła wybity ząb i otarła rękawem bladożółtego swetra skrwawione usta. I nadal nie wiem, czy bardziej mnie ten widok przeraził, zniesmaczył, czy jednak w chory sposób zafascynował, bo we wszystkim tym, w kolorowych strojach, wirujących spódnicach o kilku warstwach, melonikach, kobiecych ciałach, nieokreślonym okrucieństwie i dzikiej przemocy było coś tak sprzecznego, że mój umysł zwyczajnie nie potrafił sobie z tym poradzić.

Maurice nie ostrzegł mnie aż do ostatniej chwili, że kobieta, której szukamy, bierze udział w walkach *cholitas*. Zresztą nawet gdyby to zrobił, nie byłbym przygotowany na to, co zobaczę. Poczuję nudności i musiałem odwrócić wzrok, gdy dwóch mężczyzn ściągało zmaltretowaną pokonaną z ringu. Mogłem mieć jedynie nadzieję, że otrzyma stosowną i szybką opiekę medyczną niekoniecznie obejmującą wyjadanie wątroby z czyjegoś grobu.

– Jesteś pewien, że to odpowiednia osoba? – spytałem Maurice'a cicho, nie tyle obawiając się, że zostanę usłyszany przez kogoś niepowołanego, co po prostu niezdolny do wydania z siebie głośniejszego dźwięku.

Tłumek wokół nas nadal wrzeszczał i skandował imię wygranej, więc musiałem powtórzyć pytanie jeszcze dwukrotnie, nim mój partner zrozumiał.

– Szukałeś twardej babki – odpowiedział, wzruszając ramionami. – Tu wszystkie są twarde, ale Nunzia jest najtwardsza, jaką poznałem, wierz mi. W dodatku dobrze mówi po hiszpańsku, nie będzie problemu, żeby się dogadać. No i chce zarobić. Nie trzęs portkami, tylko chodź. – Złapał mnie za ramię i pociągnął bliżej ringu przez tłum. – Nie pozwólmy damie czekać.

Znaleźliśmy ją na zapleczu. Zdjęła sweter, żeby opatrzeć sobie poobdzierane do krwi ramiona, i prócz spódnicy miała na sobie tylko biustonosz, ale nie przejęła się szczególnie faktem, że została nakryta półnaga przez dwóch mężczyzn. Ze stoickim niemal spokojem sięgnęła po barwny szal i po prostu zarzuciła go na ciało, osłaniając przed nami widoki, za co byłem jej niezmiernie wdzięczny.

– No? – przywitała nas, wracając do opatrywania ran.

Było to łatwe do przewidzenia, że w przeciągu paru najbliższych godzin zmieni się nie do poznania, kiedy zaczną puchnąć i kiedy sińce nabiorą kolorów. Już w tamtej chwili jej twarz wydawała się z lewej strony nieco nabrzmiała, a białko oczu, którymi niechętnie na nas łypnęła, przybrało różowy odcień. Jeśli nie miała wstrząśnienia mózgu, oznaczało to najpewniej, że zamiast zwyczajnej czaszki ma jakiś niespotykany cud natury.

– To jest właśnie mój przyjaciel, Guntram – przedstawił mnie Maurice. – To on będzie płacił.

Zmierzyła mnie taksującym spojrzeniem ciemnych oczu.

– Chuderlawy jakiś – oceniła bezlitośnie. – Jesteś pewien, że chcesz się mierzyć z duchami? – spytała, a w głosie miała wyraźną sugestię i może nawet odrobinę kpiny.

– Jestem pewien – odparłem jednak, zachowując profesjonalną obojętność na lepiej czy gorzej zakamuflowane obelgi. – Do tego mnie właśnie wyszkolono.

Nie sprawiała wrażenia przekonanej, ale ani ja nie byłem tu od tego, żeby cokolwiek jej udowadniać, ani ona od tego, żeby wierzyć w moje umiejętności. Układ między nami był znacznie prostszy – jej wiedza o solnisku, tutejszych wierzeniach i języku za moje pieniądze.

I oby tych ostatnich wystarczyło przynajmniej na tyle, żeby nie musiała już dłużej zarabiać na życie walkami, pomyślałem, sam siebie nieco zaskakując, bo nic w niej nie ułatwiałoby odczuwania żalu.

20 października

To naprawdę robi wrażenie, kiedy jedziesz terenówką po chmurach. Jak okiem sięgnąć – nic, żadnego punktu zaczepienia, żadnego punktu orientacyjnego, tylko doskonale płaskie lustro odbijające niebo ponad nami i czarujące złudzeniem optycznym. Salar de Uyuni – największe solnisko świata, olbrzymia, olśniewająca pozostałość po wyschniętym plejstocenijskim jeziorze – zapewnia doznania, które trudno porównać z czymkolwiek innym. Musiałem mocno zacisnąć dłonie na kierownicy, by przekonać siebie, że nie, nie latam ani nie jestem pod wpływem substancji odurzających i to wszystko jest w pełni realne.

To właśnie przez ten przeklęty lit – to on sprawia, że najcieńsza warstwa wody na powierzchni zmienia solnisko w olbrzymie zwierciadło.

– Ale masz głupią minę – wyśmiała mnie Nunzia, a właściwie, o ile dobrze spaściłem, Anunciación Cintia Gonzales, i dumnie uniosła podbródek, a potem błysnęła ciemnymi oczyma w samochodowym lusterku, by złapać moje spojrzenie.

Oczywiście, że była zadowolona, widząc zachwyty obcokrajowca i ignoranta. Może pierwszy raz od naszego spotkania niecałą dobę wcześniej, bo poprzedniego dnia nie dopisywał mi szczególnie dobry humor i podejrzewam, że mimo wszelkich wysiłków z mojej strony dało się to zauważyć. Nie pochwaliłem ani kolacji, którą dla nas przygotowała, ani muzykowania z kolorowymi Indianami i było mi

z tym trochę głupio, ale uświadomiłem to sobie poniewczasie, leżąc już w twardym, skrzypiącym łóżku za krótkim o jakieś pół metra. Nunzia – używam tego zdrobnienia za Maurice'em, a ona nie ma najwyraźniej niczego przeciwko temu – nie poskarżyła się na mój brak wychowania, coś tylko burknęła o złamasach z Europy i sama bawiła się świetnie przez resztę nocy.

Ponieważ bezustannie myślałem o perspektywie wczesnej pobudki, dziwiło mnie to nieco, aż nie przekonałem się, że wyrażenie „wyruszamy z samego rana” oznacza dla mnie coś zgoła innego niż dla boliwijskiej części ekipy. Ostatecznie do wyprawy byliśmy gotowi w okolicach czternastej, a Maurice, który wynurzył się z pościeli jakoś po dziesiątej, skwitował moje zniecierpliwienie śmiechem, poklepał po plecach i zapewnił, że powinienem się cieszyć, że w ogóle uda się wyjechać w tym tygodniu. A potem opowiedział mi historię o tym, jak obiecano mu, że stacja komunikacyjna zostanie naprawiona „jutro o szesnastej” i jak ekipa zjawiała się faktycznie o szesnastej, ale trzy dni później, kiedy był akurat w terenie, w efekcie czego po prostu kupił nowy sprzęt.

– Ale zostawili mi kartkę z pozdrowieniami i trochę koki – dodał jeszcze.

Nunzia zmarszczyła nagle brwi i uśmiech spelzł z jej pełnych ust, zamieniając ogorzałą, choć młodą twarz w maskę skupienia. Poruszyła chrapkami, jakby intensywnie węszyła.

– Bardziej tam. – Wskazała ręką kierunek.

Zarówno kompas, jak i GPS twierdziły coś innego, a Indianka nie posłużyła się nawet kierunkami świata, ale to ona była tu przewodniczką i to ona podobno wyczuwała, co się dzieje pod tą pozornie niewzruszoną powierzchnią, a ja obiecywałem po kolei wszystkim, że nie będę robił problemów, nie będę stękał i po prostu zaufam miejscowym.

Z nas dwojga to ja miałem dyplomy i oficjalny tytuł oraz pokaźny worek z dotacjami, ale różne rzeczy już widziałem i w sumie powinienem był się nauczyć, że czasem to nic nie znaczy.

Jak się dowiedziałem dzień po opuszczeniu Tahui, panna Gonzales miała w wyprawie pewien prywatny interes. Niemal cała jej rodzina zgłosiła się do pracy przy wydobywaniu litu. Tragedię przeżyła tylko jej matka, ale niestety straciła obie nogi, zmiażdżone przez element stalowej konstrukcji.

– Mama mi mówiła, jak to wyglądało. Wkurzyli czymś Jipiego – tłumaczyła, wzruszając ramionami i pakując tytoń do fajki, gdy rozmawiałem z nią na ten temat poprzedniego wieczora. – Jeśli nie ma Achachili, a one uciekły stąd dawno, jak tylko ludzie zaczęli wiercić, przychodzi zły bóg i karze ziemię gradem z piorunami.

Nie byłem specjalistą od wierzeń Indian południowoamerykańskich i po prawdzie trudno było takiego znaleźć w Instytucie, więc nie pozostawało mi nic więcej, jak tylko zdać się na opowieści miejscowych, a dziewczyny pochodzącej najwyraźniej z rodziny mocno przywiązanej do tradycji, słuchało się przynajmniej dobrze, także ze względu na przyjemny, ciepły i odrobinę zachrypnięty głos.

Wbrew pozorom znajomość folkloru nie jest taka oczywista. Przez lata tak Ajmarowie, jak i Keczua przechodzili pewien poważny kryzys etniczny. Podczas gdy starsze pokolenia kultywowały tradycję i znajomość rodzimego języka, poddawane presji młodsze podzielały w tym względzie wstyd i zażenowanie, czując pociąg raczej ku procesom globalizacyjnym. Musiało minąć nieco czasu, nim przynależność do rdzennych plemion znów stała się powodem do dumy, ale dla niektórych środowisk oznaczało to bezpowrotną utratę kontaktu ze spuścizną obecną często tylko w przekazywanych z pokolenia na pokolenie opowieściach. Obcowanie z dziewczyną, dla której dawne wierzenia były tak oczywiste i żywe, stanowiło dla nas obu skarb nie do przecenienia.

Na ile rozumiałem, Achachile byli duchami tych ziem, a konkretniej akwenów tworzących niegdyś jezioro Ballivián. Na ile rozumiałem, bo lud Ajmarów nie jest szczególnie skłonny do opowieści i wyjaśnień. To zaskakująco ponurzy, zamknięci w sobie ludzie, którzy rzadko się uśmiechają, a na większość pytań odpowiadają, warcząc. Wielu z nich wciąż mieszka w pozostałościach kamiennych twierdz, wśród nagich murów i w cieniu. Daleko im do wizerunku jowialnych Latynosów i jakoś niezbyt pewnie czułem się z myślą, że obok Keczua stanowią znaczną część zespołu badawczego siedzącego między innymi za moimi plecami.

Nawet w kontaktach z Nunzią, choć wydawała się stosunkowo sympatyczna i otwarta, nie mogłem się powstrzymać od okresowego zerkania na jej ręce, zwłaszcza gdy zaczynała zabawę samodzielnie wykutym nożem. Barwne stroje, wyszywane spódnice, frędzle, poncza, chusty i te odrobinę zabawne dla nieprzyzwyczajonego oka meloniki

na głowach kobiet wydawały mi się usypiającym czujność kamuflażem, pod którym czaiła się jak pod kolorowym koszykiem kobra.

Nunzia nosiła swój brązowy, obszyty wzorzystą tasiemką melonik nieco na boku, co – jak mi wytłumaczył Maurice – oznaczało, że jest panną. To z kolei pchało mnie ku podejrzeniu, że mogłem przszacować jej wiek, ale trudno było mi rozszyfrować ciemną twarz poznaczoną bruzdami od palącego słońca i wiatru. W obliczu tym było coś jednocześnie niepokojącego i fascynującego. Te ciemne oczy pełne utajonego okrucieństwa i ten zły uśmiech, którym błyskała w najmniej spodziewanych momentach, przyprawiały mnie o dreszcze na równi ze wspomnieniem jej rywalki z ringu rzucanej brutalnie o matę.

Nieważne, ile faktycznie ma lat – to twarda kobieta wyrosła na twardej ziemi i wszystko w niej jest jak ostrzeżenie.

Niechęć tutejszej ludności do nas – a jeśli nie niechęć, to przynajmniej spory i nieskrywany dystans – nie ma podłoża osobistego. Chociażby takim Maurice'owi pozwala się w końcu na wiele. Prowadzi swobodne rozmowy, łapie żarty i potrafi na nie odpowiadać. Ale kwestia w tym, że – jak już wspomniałem – Ajmarowie długo walczyli o swoją godność w kolonialnym kraju. Choć byli tu od zawsze, dopiero od czterdziestu lat mogą mówić o swoich przedstawicielach w rządzie, o nauce rodzimego języka w szkołach i o tym, że powoli przestają czuć się gorsi. Jako przedstawiciele Instytutu i europejskiej nauki, jesteśmy zagrożeniem dla tego, co wypracowali. Zawsze więc będą patrzeć nam na ręce i prawdopodobnie nigdy nie uwierzą we w pełni uczciwe intencje.

Jeśli jednak mam zakończyć tę sprawę powodzeniem, muszę ich przekonać, żeby mi zaufali.

23 października

Przyznaję, to zazdrość. Moje rzeczowe pytania nie działają, tubylcy nadal rozmawiają ze mną niechętnie, a mimo to wiem już całkiem dużo. Tyle że nie od nich, a od Maurice'a, z którym dogadują się świetnie. A zwłaszcza Nunzia. Co do niej mam zresztą podejrzenia, że mój towarzysz wybrał ją nie tylko ze względu na twardego charakter i warunki fizyczne, ale też wcześniej rozwijającą się obustronną sympatię. Niech mu będzie, dziewczyna się sprawdza i faktycznie bezbłędnie odnajduje ślady magicznych ingerencji, a jej snute wieczorami opowieści uzupełniają nasze domysły.

Jak do mnie dotarło, Maurice jest mi w tym projekcie potrzebny głównie jako językoznawca, bo też językoznawstwo właśnie ukończył, nim postanowił dołączyć do studentów Instytutu. Zresztą gdy tylko dotarły do niego plotki o całej sprawie i o tym, że trwają negocjacje z rządem Boliwii, zapłonął entuzjazmem i sam zgłosił się do władz, niemal błagając na kolanach, żeby pozwolili mu dołączyć do ekipy, do czego się ostatnio przyznał.

Poza tym nie ulega już dla mnie wątpliwości, że Maurice to świetny naukowiec i otwarty umysł, a mnie niekiedy brakuje szerszego spojrzenia. Dobrze mi się z nim pracuje, choć niekiedy mógłby być bardziej skrupulatny w prowadzeniu notatek. Ten problem rozwiązałem jednak, konstruuując odpowiednie tabelki, do których po prostu obaj wpisujemy wartości i ewentualne komentarze.

Próbując wytłumaczyć mi, dlaczego aż tak bardzo zależało mu na tej wyprawie, z entuzjazmem godnym pięciolatka opowiadał o języku Ajmarów, a w międzyczasie rozlał do kieliszków wyśmienite wino z małej podróżnej butelki.

Kazał mi wyobrazić sobie, że z językami jest jak z organizmami żywymi. Ewoluują na podobnej zasadzie. Ot, zdarza się jakiś błąd w kodzie genetycznym, jakaś mutacja i zostaje ona przekazana kolejnym pokoleniom. I tak samo w języku. Niby używamy pewnych reguł, ale jednak zdarzają nam się błędy. Coś sprawia, że niektóre z nich wchodzą w zakres normy na zasadzie wyjątków. Im więcej takich utrwalonych błędów, tym – prawdopodobnie – ewolucja języka trwa dłużej i jest żywsza. I to dotyczy wszystkich języków, poza właśnie ajmarskim. Tu od tysięcy lat nic nie drgnęło i część badaczy właśnie w nim upatruje pramatki języków całego globu.

Kiedy mi o tym opowiedział, roześmiał się tak szczerze i radośnie, że nie miałem czelności przypominać mu, że nie jesteśmy tu ani prywatnie, ani jako ekipa lingwistów, tylko z ramienia Instytutu Subnauki Stosowanej.

Tak naprawdę zresztą miałem świadomość, że nie muszę mu przypominać, bo doskonale o tym wie. Zdążyłem już pozazdrościć mu zdolności do operowania na przynajmniej dwóch poziomach równocześnie. To, że mówił o swoich językowych fascynacjach, wcale nie oznaczało, że funkcja demonografa została wyłączona. Ja potrafię skupiać się dobrze wyłącznie na jednej rzeczy, cenię sobie

porządek i dobrze przygotowany plan dający realizować się punkt po punkcie w logicznej kolejności. On tego nie potrzebuje.

Zresztą zaraz po wylaniu z siebie kubła entuzjazmu przeszedł do rzeczy i zaczął opowiadać o tym, co powinno nas bardziej interesować.

– Wierzę, że chodzimy właśnie po łzach Thunupy – oświadczył, spoglądając w dal na siny cień wulkanu nieopodal Tahuii, z której wyruszyliśmy.

A potem opowiedział mi całą legendę o pięknej i niezbyt cnotliwej kobiecie, po której góra odziedziczyła imię. Kiedy zaszła w ciążę, nikt nie był w stanie powiedzieć, kto jest ojcem dziecka, i połowa mężczyzn z wioski zgłosiła do niego swoje prawa. Thunupa odrzuciła jednak wszystkich zalotników, a oni, rozłoszczeni, porwali niemowlę, gdy tylko powiła, i ukryli w górach. Zrozpaczona matka wyruszyła na poszukiwania, ale nigdy go nie odnalazła, sama zamieniając się w wulkan. Salar de Uyuni miało powstać z jej łez i płynącego z piersi mleka.

24 października

Przebywanie w czterdziestoosobowej grupie ma wiele wad, a jedną z nich jest to, że zawsze coś się dzieje. Eduardo, dyrektor techniczny wyprawy, trzyma wszystko pod kontrolą, na ile to możliwe wśród ludzi skłonnych raczej rozwiązywać konflikty za pomocą pięści niż rozmowy czy harmonogramu, ale dla człowieka ceniącego sobie pewną stałość sytuacja wydaje się czasem zbyt napięta.

Jeśli chcę pomyśleć, muszę wstawać wcześniej rano, kiedy śpią jeszcze wszyscy prócz członków ostatniej warty. Oddalam się nieco od obozu, by podziwiać wylaniające się zza płaskiego horyzontu słońce, zabieram ze sobą swój dziennik, prowadzę notatki i dumam.

Nie inaczej miało być i poprzedniego dnia, ale kiedy mijałem linię obozu, moją uwagę przykuł hałas dochodzący z jednego z namiotów. Zanim zrozumiałem, co to, zdążyłem podejść bliżej.

Nawet nie zamierzałem udawać, że spodobało mi się to, co zobaczyłem. Miałem ochotę wejść do namiotu, wyciągnąć Maurice'a za kłaki na zewnątrz, przełożyć przez kolano i dobitnie wytłumaczyć, że miłosne zabawy podczas misji są nie tylko niepożądane, ale wręcz surowo zabronione, przynajmniej tak długo, jak długo ja tu dowodzę. Jedyne, co mnie powstrzymało, to myśl, że nie chcę go ośmieszać

przed resztą ekipy i zmuszać do świecenia gołym tyłkiem w obozie. Nie byłem też do końca pewien, co oznaczałoby to dla Nunzii. Wciąż za mało wiem o Ajmarach, żeby to ocenić, a nie zamierzałem narażać jej na niepotrzebne nieprzyjemności tylko dlatego, że mój partner okazał się lekkomyślnym idiotą.

Ale kiedy wrócił – oczywiście zadowolony z siebie i uśmiechnięty od ucha do ucha – wygarnąłem mu wszystko. Sprawiał wrażenie zaskoczonego i sam nie potrafię do końca ustalić, czy bardziej moimi zarzutami, czy faktem, że wtrącam się w sprawy dorosłych ludzi.

Dorosłość to jednak bardzo względne pojęcie.

26 października

Posuwamy się w ślimaczym tempie, bo robimy pomiary już dosłownie co parę metrów. Odczyty są bardzo wysokie, czasem nawet odczuwam drżenie gruntu. Na wszelki wypadek założyliśmy Węzeł Beckerta, żeby odgonić pozostałe duchy i ewentualne manifestacje przodków – zdecydowanie to nie one są źródłem problemu.

Zauważyliśmy też pewną prawidłowość – wyniki są tym wyższe, im bliżej znajdujemy się luster powstałych w wyniku gromadzącej się na powierzchni solniska wilgoci. Zważywszy, że pozyskanie litu wymaga właśnie tworzenia takich sadzawek, zaczyna mieć sens, że na obszarach wydobywania doszło do najsilniejszych magicznych anomalii.

Dostrzegam też pewną zmianę w naszych stosunkach. Maurice nie zachowuje się już w moim towarzystwie tak swobodnie, nie porusza prywatnych tematów. Rozmawiamy tylko i wyłącznie o pracy i o bieżącym zadaniu, co powinno mi odpowiadać, bo nade wszystko cenię sobie profesjonalizm i skupienie na najważniejszych celach. Ale jednak przyzwyczaił mnie do czegoś innego i przyznaję szczerze, że nieco mi brakuje jego dygresji. Oczywiście wiem, że powodem tej zmiany jest scysja sprzed trzech dni. Możliwe, że poczuł się potraktowany protekcyjnie lub trafiłem w inny czuły punkt. Zakładam, że za jakiś czas nasze stosunki samoistnie wrócą do normy.

Choć może powinienem powiedzieć mu, że to nie jest tak, że mam coś przeciwko jego słabości do naszej przewodniczki, a jedynie nie podoba mi się sposób, w jaki daje jej wyraz podczas misji. Jasne, że gdybym ich nie przyłapał, nadal uważałbym, że to tylko sympatia, ale szczerze wolałbym, żeby mój partner całą uwagę skupiał na zadaniu, zwłaszcza że to z dnia na dzień staje się coraz trudniejsze. Wylądowaliśmy na

prawdziwym magicznym polu minowym i skoro już przydzielono mi partnera, muszę wiedzieć, że w kluczowym momencie mogę na nim polegać i nic go nie rozproszy. To kwestia tak mojego, jak i jego bezpieczeństwa, a nie chciałbym, żeby dzieciak wyjechał stąd kaleką.

30 października

Mamy nowy trop i przyznaję, jest to trop niepokojący.

Rano obudziła mnie kłótnia. Zły, ledwie zarzuciwszy na plecy bluzę, wyszedłem przed namiot zobaczyć, co się dzieje. To Nunzia i Maurice o coś się sprzecali. Indianka w emocjach gestykulowała i często porzucała hiszpański na rzecz rodzimego języka, tak że ostatecznie niewiele z tego zrozumiałem, choć mogę się domyślać, o co poszło i że mój partner ostatecznie napytał sobie biedy, nie potrafiąc utrzymać rąk przy sobie.

Co innego jednak zwróciło moją uwagę. Za każdym razem, kiedy Nunzia używała ajmarskiego, wzrastały wartości odczytów na założonych poprzedniego dnia czujnikach, aż w końcu uświadomiłem sobie, że jej słowom towarzyszy dziwny pogłos, jakby rezonowały w podziemnym korytarzu, którego tu przecież nie było.

Tknięty przecuciem wparowałem niedelikatnie w sam środek kłótni i nakazałem Nunzii powtórzyć słowa sprzed chwili. Spojrzała na mnie oczywiście jak na wariata, a Maurice chyba zamierzał za protestować, bo otworzył usta, ale powstrzymałem go gestem.

– Powtórz, to bardzo ważne – poprosiłem ponownie.

Z pewnym ociąganiem, ale jednak spełniła polecenie.

– Czujesz to? – zwróciłem się do Maurice'a, nim przebrzmiały jej słowa. Z jego miny wnioskowałem zresztą, że obelgi.

Nie wiedział, o co mi chodzi, więc wskazałem na czujniki i raz jeszcze nakazałem Indiance mówić po ajmarsku. Mój partner zaklął pod nosem i kucnął przed tablicą odczytów, równie zaferowany, co ja.

– Mogłabyś powiedzieć coś innego? – Odwrócił się ku Nunzii, jakby przed chwilą na siebie nie wrzeszczeli. – Tylko nie coś tradycyjnego. Żadnych wierszyków, piosenek, modlitw i przysłów. Coś zwyczajnego.

Wydęła usta, obrażona, ale nie miała dziesięciu lat i doskonale wiedziała przecież, po co tu przybyliśmy i jakie jest nasze zadanie. Zaczęła więc burczeć pod nosem pojedyncze słowa, a potem jakieś zdania. Wskaźniki szalały.

Owszem, zdarzało się, że mowa uruchamiała duchy, ale dlatego właśnie Maurice prosił, by Nunzia nie recytowała żadnych starych formuł. Bo to one właśnie działały, zakłęta w nich melodia i rytm, dobór odpowiednich słów, i już małe modyfikacje sprawiały, że zaklęcia traciły moc. Tu wystarczyła lista zakupów i grunt pod nami zaczynał drżeć.

Jeszcze tego samego dnia przeprowadziliśmy kolejne pomiary, które potwierdziły nasze przypuszczenia – nieważne, co mówiła Nunzia, siła zaklęć wzrastała, im bliżej byliśmy miejsc wilgotnych. To zaczynało się składać w oczywistą całość: technologia pozwoliła na tworzenie większych sadzawek, na platformach pracowali Ajmarowie, rozmawiający pewnie częściowo między sobą w rodzimym języku. W ten sposób oddziaływali na i tak silne już drgania, a wszystko to razem doprowadziło do uwolnienia potężnej magicznej energii manifestującej się z jakiegoś wciąż nieznanego nam powodu jako Jipi – złowrogi bóg gradu.

Jeśli coś mi w tym obrazie nie pasowało, to właśnie to oddziaływanie przypadkowych słów, ale okazało się, że nie na darmo mam w zespole lingwistę, w którego oczach znów dostrzegałem przygaszone ostatnio iskry dziecięcego entuzjazmu.

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o ajmarskim? – spytał, gdy siedzieliśmy wieczorem w samochodzie z kubkami herbaty.

Pamiętałem, ale nie wszystko, więc przypomniał, że to językowa skamielina, według części badaczy pramatka wszystkich języków i system, który nie ewoluje, aglutynacyjna doskonałość porównywana przez niektórych do języków programowania.

– Pomyśl, co to może oznaczać. – Twarz Maurice'a aż promieniała w zachodzącym słońcu i chyba dostrzegałem rumieńce. – To porównanie do języków programowania w kontekście wszystkiego, co wiemy. Im język mocniej ewoluujący, im dalszy pierwotnemu brzmieniu, tym mniej w nim zaklęć, o czym wiesz lepiej ode mnie. Statystyki znamy od dawna.

Owszem, nie było to tajemnicą, ale też muszę przyznać, że to po prostu nie była moja działka. Natomiast miałem dość rozumu, by wiedzieć, dokąd zmierzają myśli Maurice'a.

Jeśli ajmarski nie ewoluje, jeśli na wieki stanął w miejscu i zachował właściwą językom pierwotnym precyzję, to zaklęć było w nim najwięcej. Ba, sam w całości stanowił zaklęcie i dlatego nie miało znaczenia, po które słowa się sięga i w jakiej kolejności, bo każda

kombinacja wywoływała jakiś efekt. A jeśli prawdą okazałoby się, że to źródło wszystkich języków, byłoby to też źródło wszystkich zakłęb.

Czy w Instytucie tak podejrzewano? Czy dlatego wysłano ze mną lingwistę? Mieliśmy to potwierdzić? Jeśli nawet, przypuszczenia musiały być bardzo mgliste, bo inaczej uprzedzono by mnie o tym tropie. Nie mamy w zwyczaju utrudniać sobie sprawy, bo to nie leży w naszym interesie.

Dyskutowaliśmy o tym długo, Maurice cały czas prowadził notatki i rysował wykresy. Starał się znaleźć wzorzec pozwalający na dopasowanie uroków. Spędziliśmy tak całą noc i dopiero nad ranem, chyba w efekcie zmęczenia, zapytałem go, o co pokłócił się z Nunzią. Przez ułamek sekundy miał minę, jakby zamierzał odparować coś w stylu „To nie twoja sprawa”, ale potem zmarszczył brwi i pokręcił głową. Zobaczyłem na jego twarzy coś, czego nigdy wcześniej nie oglądałem – zmartwienie.

– Nie ufaj jej – powiedział szybko i dziwnie cicho. – Mogłem się pomylić. Będzie zapewne twierdziła, że zna sposób, jak odwrócić katastrofę i uspokoić to miejsce, ale nie ufaj jej i nie rób niczego, co będzie doradzała.

W ustach człowieka, którego miałem za kompletnego lekkoducha, takie słowa i taki ton miały jakąś szczególną moc. Próbowałem dopytywać, ale odmówił podania szczegółów.

1 listopada

O tym, że zbliżamy się do stacji, wiedziałem, zanim zobaczyłem ją na horyzoncie. Grunt pod nami drżał wyczuwalnie i jednostajnie, coś ciągnęło wewnątrz w dół, jakby nagle wzrosła grawitacja, choć możliwe, że było to tylko złudzenie. Zwolniłem, a potem zatrzymałem samochód zupełnie, gdy obraz zaczął mi się rozdwajać przed oczyma. Nie było tu aż tak płasko, jak jeszcze parę kilometrów wcześniej i nie chciałem wpakować się na któryś z solnych kopców. Obejrzałem się tylko na tylne siedzenie, na Maurice'a, i już wiedziałem, że on też to poczuł. Bez troską twarz przecięta poważną bruzdą, która jeszcze parę dni temu mocno by mnie zaskoczyła. Na ułamek sekundy złapał moje spojrzenie i wiedziałem, o czym myśli – cokolwiek to było, było potężne. Bez wątpienia potężniejsze niż wszystko, z czym się do tej pory mierzyliśmy.

Może najrozsądniejszą rzeczą, jaką mogliśmy zrobić, zostawał powrót do osady i prośba o to, by przysłano nam kogoś do pomocy. To była moja pierwsza myśl. Druga kazała przypomnieć sobie, ile trwało załatwianie wszelkich formalności i jak trudno było przekonać miejscowe władze, że ludzie z Europy są w stanie rozwiązać ich problem, skoro raz już mierzyli się z tajemnicami tej ziemi i postanowili wszystko zaorać na swoją modłę.

Istniała możliwość, że nie dostalibyśmy drugiej szansy.

Nunzia wyszeptwała coś po swojemu z nabożną czcią, jakiej bym się po niej nie spodziewał, a po chwili zreflektowała się i przeszła na hiszpański.

– Jipi tu jest – powiedziała, odwracając ku mnie spojrzenie czarnych oczu. – Daj wsteczny.

Jeśli coś takiego mówiła kobieta równie harda i silna fizycznie, prawdopodobnie należało jej słuchać. Wiedziałem, że i tak będziemy musieli dostać się do stacji, ale może nie samochodem i może nie w tym akurat momencie, w którym wszystko jakby się na nas wściekło.

A jednak miałem w pamięci ostrzeżenia Maurice'a i to spowodowało, że ociągałem się z decyzją. Wyraźnie rozżłościłem tym Indiankę.

Pierwsze gradowe kule uderzyły o maskę, kiedy już zmieniłem bieg. Miały rozmiar piłek do ping-ponga i dość siły, żeby zostawić wgniecenia na masce oraz pająki na szybie. Słyszałem, jak Maurice klnie nieprzerwanym, cichym strumieniem wyzwisk w obu rodzinnych językach. Być może dołączyłbym do niego, gdybym potrafił przeklinać.

Ostatecznie zawróciłem karawanę.

– Nie chce nas tu – stwierdziła kategorycznie Nunzia, przeciskając słowa przez zaciśnięte zęby. – A skoro nas tu nie chce, nie powinniśmy tam iść.

– Dobrze wiesz, że nie mam wyboru – odparłem. Odwróciłem się od niej i wbiłem wzrok w horyzont, choć mrok pożarł go już całkowicie. Na próżno wypatrywałem na niebie gwiazd. Było całkowicie zasłane chmurami i nie ulegało wątpliwości, że w przeciągu godziny, najwyżej dwóch znów zaczną lać. – A ty zgodziłaś się być naszą przewodniczką.

Kobieta milczała dłuższą chwilę, po prostu przeżywając kolację z puszki. Nie potrafiłem ocenić, czy myśli nad odpowiedzią, czy tylko mnie ignoruje.

– Zgodziłam się – przyznała w końcu.

– Zamierzasz się wycofać? – Znów zwróciłem wzrok ku niej.

Blask samochodowej lampki padał na ciemną twarz i wyostrzał skupione rysy. Nunzia marszczyła brwi i wyraźnie coś kalkulowała w myślach. Może przeliczała, czy ryzyko jest warte pieniędzy, jakie jej zaoferowaliśmy, co byłoby całkowicie naturalnym odruchem w tej sytuacji i objawem co najmniej zdrowego rozsądku.

– Jipi nie pojawia się tak sam z siebie – odparła wreszcie ponurym, zdradzającym ciągle zamyślenie głosem. – Trzeba go przywołać.

– Sugerujesz, że ktoś to zrobił? Ktoś chciał, żeby wydobyć stało się niemożliwe? – spytałem, nieco zawiedziony, że znów powtarza się ekologiczny scenariusz.

Indianka pokręciła głową.

– Nie – zawyrokowała. – Jipi przychodzi, gdy kobieta urodzi martwe dziecko albo gdy umrze ono tuż po porodzie. Trzeba mu zapłacić żywym, żeby odszedł.

Nie powiem, żeby podobało mi się to, co usłyszałem. Chyba już bym wolał sprawdzoną wersję o chronieniu ziemi przodków.

Odruchowo spojrzałem na Maurice'a. Siedział ze spuszczoną głową i zaciśniętymi pięściami ułożonymi na kolanach. Gniew wyostrzał mu rysy.

– Zaczniemy od podwójnego Garbenera – zawarczał nagle, jakby zupełnie nie usłyszał, co powiedziała Nunzia. – To powinno wystarczyć.

Chciała zaprotestować, ale uciszył ją krzykiem. Pierwszy raz widziałem go tak rozwścieczonego. Nawet wówczas, gdy kłócili się przed namiotem, temperatura wydawała się nieco niższa, a teraz Maurice wrzeszczał, aż głos uciekał mu w górę. Nie wszystko rozumiałem, ale było coś o tym, że został oszukany, że nigdy się na to nie godził i nie zgodzi, że to jest niehumanitarne i niemoralne, a Nunzia nie miała prawa go w to wciągać.

2 listopada

Ostatecznie założyliśmy potrójnego Garbenera, chociaż omal nie położył nas na łopatki. To trudne węzły, w pojedynkę nie zdołabym przygotować równie złożonej konstrukcji. Tak pilnowaliśmy się wzajemnie, patrzyliśmy sobie na ręce i wyłuskiwaliśmy najdrobniejsze błędy, które mogły doprowadzić do katastrofy i niekontrolowanego wycieku. Po niemal sześciu godzinach pracy urok był gotowy, a my złani potem.

Mimo wszystko już podczas zaplatania czułem, że to nie to, że koniecznie muszę wiedzieć, w czym rzecz, bo ani potrójny, ani nawet poczwórny Garbener nie rozwiąże tej sprawy. Maurice milczał jednak jak zaklęty, konsekwentnie zbywał wszelkie próby podejścia go w tej kwestii i zaczynam podejrzewać, że muszę zwrócić się do Nunzii, choćby faktycznie miała sprzedać mi jakieś kłamstwa. W końcu w każdym kłamstwie jest ziarno prawdy, jak mówią.

Na razie jednak wsiadamy do aut. Nad horyzontem już zbierają się stalowoczarne chmury, ale węzły powinny osłabić działanie wrogiej magii, a my założyliśmy kraty na szyby samochodów. Mam nadzieję podjechać pod same placówki i przemknąć szybko do podziemnej części instalacji, skąd weźmiemy bezpośrednie odczyty i zastanowimy się, co dalej. Jeśli będzie trzeba, po prostu zabierzemy próbki do analizy i odjedziemy stąd na pełnym gazie z powrotem do Tahuii.

Węzły nie wytrzymały. Nie wytrzymały też kraty na szybach i karoseria, a wysyłanie ekspedycji po próbki zamieniło się w paniczną ucieczkę pod powierzchnię ziemi. To, co na nas spadło, nie przypominało w ogóle gradu, który wcześniej skłonił mnie do wycofania karawany. Było jak klęska z opisu robotników i nic, ani ochronne uroki, ani składane na szybko zaklęcia, nic nie mogło powstrzymać niszczycielskiej siły, która w mgnieniu oka zabiła połowę grupy.

Grad wciąż wali wściekle i słychać go nawet tu – trzy metry pod ziemią, w maleńkiej, nieużywanej od miesiący komorze dla pracowników wieży ciśnieniowej przy stacji wydobywczej. Na ścianach nadal wiszą w karnym rzędzie ochronne skafandry, a nad nimi zdjęcia członków rodzin robotników, w większości podniszczone przez wilgoć i sól. Nawet wobec wszystkiego, czego jestem świadkiem, nie potrafię odpędzić od siebie myśli o tych uśmiechniętych

ludziach z fotografii, którzy potem odbierali bliskich w drewnianych skrzynkach. Nie potrafię odpędzić od siebie myśli o mojej własnej rodzinie, gdy i ona zostanie wezwana po odbiór mojego zmasakrowanego przez gniew nieba lub – jeśli stąd nie wyjdę – wyniszczzonego głodem, wysuszonego na wiór ciała.

Od trzech miesięcy jestem dziadkiem.

Nie chcę umierać w tym miejscu i na pewno nie w taki sposób, jak szczur w kanale, zapędzony w pułapkę, zdradzony przez własną pychę i ciągnąc za sobą cały czterdziestoosobowy zespół, z którego i tak została tylko połowa.

Schroniliśmy się tu. Wszyscy, którzy zdołali przetrwać gniew nieba ciskającego na ziemię bryły lodu wielkości pięści. Część zresztą wydaje się uratowana tylko na chwilę. Rozbite głowy, ilość krwi na ubraniach i ciężkie, chrapliwe oddechy – to odbiera nadzieję. Staram się nie myśleć o tym, że ranni zaczną umierać i za jakiś czas może się okazać, że jestem tu uwięziony z trupami. Gdyby to było normalne zjawisko pogodowe, liczyłbym, że minie, zanim wszyscy zdechniemy. Ale to gniew bogów.

Gniew bardzo mściwych bogów, jeśli dobrze zrozumiałem. Jipi – zły pan gradu – raz wypłoszony ze swej wyspy nie wróci na nią tak prędko.

Zaciskam spierzchnięte, oblepione solą usta. Nunzia opiera głowę Maurice'a o potężne udo, a potem przeczesuje ciemne kędziory z delikatnością, jakiej nigdy nie spodziewałbym się po tych silnych, krótkich palcach. Szuka ran. Boję się spytać, co z nim, choć mogę się domyślić. Widziałem, jak uderzył w niego ogromny kawał lodu, widziałem, jak mężczyzna ciężko zwałił się na pokryty solą grunt.

Widziałem też, że osłaniał własnym ciałem Indiankę, choć z pewnością miałyby większe szanse w zderzeniu z gniewem demonów niż drobny naukowiec, którego główną bronią pozostaje pogoda ducha i niezachwiana wiara, że jakoś to będzie.

Głupi dzieciak.

Wszyscy byliśmy głupi, a najgłupszy ja – kierownik wyprawy, profesor z niemal dwudziestoletnim doświadczeniem w terenie, mentor i niezastąpiony specjalista od zaburzeń substruktury. Niekwestionowany autorytet na obu półkulach, który jeszcze do niedawna był przekonany, że wysłanie go tutaj to czysta złośliwość, a nawet obraza dla jego umiejętności i wiedzy.

– Proszę pana.

Jęki i trzask dartych ubrań, z których w miarę sprawni członkowie wyprawy usiłują robić opatrunki, bo bandaży z apteczek już nie wystarcza, są jak dodatkowa warstwa potu na skórze. Szeptane uspokajająco kłamstwa o tym, że będzie dobrze i pomoc już tu zmierza, wywołują gęsią skórę.

Nie będzie dobrze i nie będzie żadnej pomocy. Zdechniemy tu, a ewentualna wysłana za nami ekipa ratunkowa skończy dokładnie tak samo jak my albo nawet gorzej, bo my odczytaliśmy znaki i w ostatniej chwili zdołaliśmy rzucić się do ucieczki pod ziemię.

– Proszę pana.

Moje lewe ramię w ułamku sekundy staje w ogniu i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to ból wywołany dotykiem.

– Proszę się nie ruszać, chyba jest złamana.

Ciemna twarz Lopa, który w skupieniu ogląda moje ramię, pojawia się jakby znikąd. Na wysmaganym wiatrem policzku wykwiita siniak, ledwie widoczny w półmroku lampki na baterie. Chcę się odezwać, wyjaśnić, że zanim zostałem przez niego złapany, nie czułem właściwie bólu, a wokoło są ludzie potrzebujący zapewne natychmiastowej pomocy, ale gardło mam zbyt ściśnięte nawet na pojedyncze słowa. Tu i tak ledwie jest czym oddychać, a świadomość tragicznego położenia tylko zagęszcza powietrze w płucach.

W milczeniu przyjmuję więc prowizoryczne łupki i ciasno owijający je bandaż. Pot momentalnie zalewa mi kark i plecy. Żołądek szaleje, ale jednocześnie cała ta fizyczność, całe to cierpienie wydaje się gdzieś daleko.

Patrzę przed siebie. Nieruchomo. Na Maurice'a.

Muszę zająć czymś myśli. Muszę się skupić i znaleźć rozwiązanie. Nie jestem wojownikiem. Nie jestem żołnierzem. Mam niedowagę, krótkowzroczność i kolekcjonuję bilety. Przysłano mnie tu, bym rozwiązał problem, praktycznie nie ruszając się zza biurka, a nie walczył o życie. Ale to mnie mianowano szefem naukowym tej wyprawy i to ja jestem odpowiedzialny za wszystko, co się stało i co jeszcze nas czeka.

Blade od upływu krwi, spierzchnięte usta poruszają się i dopiero po bardzo długiej chwili dociera do mnie, że Maurice próbuje coś powiedzieć. Zaciskam mocniej palce na jego bezwładnej dłoni i pochylałam się nad nim.

– Jestem tu, przyjacielu – usiłuję mówić najbardziej uspokajającym tonem, na jaki mnie teraz stać, choć słyszę, że głos mi drży, ledwie przeciskając się przez ściśnięte gardło, a to jedno słowo, którym przecież nigdy wcześniej go nie nazywałem, nagle brzmi tak fałszywie. Miało jedynie dodać mu otuchy, ale chyba pogarszam sprawę. I bez tego wiedział, że jest źle, że najprawdopodobniej stąd nie wyjdzie. – Słucham cię.

Próbuje raz jeszcze. W połowie przerywa mu grymas bólu i w pierwszej chwili nie jestem w stanie stwierdzić, co usłyszałem. Już mam prosić o powtórzenie, choć wiem, że będzie to dla Maurice'a źródłem olbrzymiego cierpienia, kiedy nagle do mnie dociera.

Thunupa.

Imię wulkanu i legendarnej kobiety, która dała początek Salar de Uyuni. Tylko dlaczego? Maurice, dlaczego?

Patrzę na zlaną potem twarz i długie rzęsy, na których zaczęła zbierać się sól, i wiem, że nie dostanę wyjaśnień. Maurice zabierze je ze sobą do grobu, a ja bez jego wiedzy i intuicji nigdy nie znajdę rozwiązania. Zresztą możliwe, że zginiemy tu obaj.

Po co ja się łudzę? Zginiemy tu wszyscy, myślę, podnosząc wzrok na kłęzącą z drugiej strony Nunzię. Zaskakuje mnie, ale nie patrzy na niego, a na mnie właśnie. Nasze spojrzenia się krzyżują i dociera do mnie, jak poważne, jak zacięte ma oblicze. Bije od niej determinacja i wiem, że już to widziałem, ale nie potrafię sobie przypomnieć kiedy – wspomnienia są jak rozsypane klisze z różnych taśm. Łzy wysychające na jej policzkach zostawiają białe ślady z kryształków soli. Mienia się jak gwiazdy.

Nie.

Zaciskam powieki i potrząsam głową, która natychmiast odpowiada przeszywającym bólem. Znowu mam zwidy, pewnie z gorączki po złamaniu.

Nunzia wyłuskuje dłoń Maurice'a z moich palców i ostrożnym, czułym gestem kładzie sobie na brzuchu.

– Thunupa – powtarza cicho, a potem dodaje jeszcze parę słów w ajmarskim. Nie rozumiem żadnego z nich, ale wiem, że on, o ile wciąż słyszy, zrozumiał wszystkie.

Moje ciało reaguje, zanim umysł zdąży do końca przetworzyć wnioski. Wszystkie wykończone mięśnie spinają się, w gardle zasycha, ból w podrażnionej lewej ręce omal nie pozbawia na moment przytomności.

– Zgodził się – mówi cicho Nunzia, podnosząc wzrok na mnie.
– Na co...? – pytam, chociaż wcale nie chcę, bo kolejne wydarzenia układają się już w mojej głowie w ciąg wniosków.

– Jestem w ciąży. – Indianka potwierdza moje najgorsze obawy.
– Siódmy tydzień, niczego mu nie powiedziałam, aż do...

– Aż do tamtego dnia, kiedy się pokłóciliśmy.

Kiwa głową. Usta ma zacisnięte w wąską kreskę, widzę, że cierpi. Widzę, jak zaciska powieki i jak wypływają spod nich kolejne krople gęstych, obfitych w sól łez.

– Jipi przychodzi, gdy umrze noworodek – powtarza łamiącym się głosem to, co powiedziała mi już kiedyś. – Ludzie przyszli i rozpuścili łyż Thunupy, zdjęli pieczęć z soli i uwolnili jej żal. Usłyszał lament i przybył. I teraz żąda ofiary. Matka mi mówiła, że...

Wszystko zwiija się we mnie w proteście jak więdnący liść.

– Wiedziałaś od początku – zgaduję. – Dlatego wyruszyłaś na wyprawę w ciąży. A Maurice nie chciał słyszeć o tym, że zamierzasz złożyć w ofierze jego dziecko.

Nunzia nie jest już w stanie mówić, szlocha głośno i niezdarnie ociera łzy, do których nie jest najwyraźniej przyzwyczajona. Ale to wystarczy za całe potwierdzenie.

Nie wiem, co myśleć. Nie wiem, co robić. W odruchu bezsilnej solidarności przysuwam się bliżej, uważając, żeby nie trącić nieprzytomnego już zupełnie Maurice'a, i obejmuję dziewczynę.

W takich chwilach wydaję się sobie nieludzki. Ale każdy umysł inaczej radzi sobie z przytłaczającą rzeczywistością, a mój ucieka w świat chłodnej analizy. Ważę zyski i straty. Ważę życie kilkudziesięciu ludzi – tych, którzy już zginęli na powierzchni, i tych, którzy dogorywają w podziemiach. Próbuję zrozumieć skalę. Jeśli to wszystko prawda, jeśli Ajmarowie faktycznie są źródłem, a ich język zakłębieniem, jeśli to stąd wyszliśmy i stąd rozlewa się moc uroków, niezlikwidowanie tej anomalii już wkrótce przestanie być sprawą lokalną. Przystanie być nawet sprawą Ameryki Południowej. Może dojść do niewyobrażalnych wynaturzeń.

Wiem, że Maurice to rozumiał. Dlatego tu, na progu własnej śmierci, w dusznych podziemiach, gdy zawiodły wszystkie inne drogi, podjął decyzję okrutną, ale słuszną.

Lepiej, że stracił przytomność.

– Chcesz oddać dziecko Jipiemu – upewniam się cicho.

Nunzia kręci głową w moich objęciach.

– Nie – chrypi. – Nigdy nie jemu.

– Więc co zamierzasz? – pytam zdziwiony, kołysząc ją lekko, jak ojciec mógłby kołysać zrozpaczoną córkę.

– Zajmę miejsce Thunupy – odpowiada szeptem. – Oddam dziecko Thunupie i zajmę jej miejsce. I pozwolę łzom płynąć.

Oślaniałem ją najlepszymi, najmocniejszymi węzłami, jakie byłem w stanie spleść. Do tego nas zresztą potrzebowała – żebyśmy zaprowadzili ją jak najdalej, jak najbliżej wściekłego boga, gdzie bez naszej ochrony by nie dotarła, choć od początku znała rozwiązanie.

Ręce drżały jej, gdy wspinała się po drabince do wjazdu, głos łamał się, gdy krzyczała na oszalałe niebo, że obiecuje oddać siebie i dziecko bogom. Ale dokonała tego – ugasiła ich gniew, dali jej szansę na wypełnienie ślubu.

Duchy tej ziemi najwyraźniej wysłuchują jej modlitw. W końcu kiedy prosiła je, żeby chroniły dziecko, gdy zmuszona była zarabiać na życie brutalną walką, bo zrujnowana Taha nie dawała innych możliwości na przetrwanie jej i kalekiej matce, też słuchały.

Nam dało to szansę, by wyjść na powierzchnię, wezwać pomoc i dotrzeć do tak cennych teraz zapasów słodkiej wody oraz apteczek. By zebrać, ułożyć i nakryć brezentem ciała poległych.

Słońce tego dnia jest bezczelnie jasne, choć nadal trwa pora deszczowa. Tak trudno uwierzyć, że błękitne, rozgrzane niebo nad Salar de Uyuni jeszcze do niedawna pokrywał czarny kobierzec złowrogich chmur, z których sypały się na nas lodowe pociski. Teraz wydaje się, że nie ma w nim niczego morderczego, tak jak nie ma niczego morderczego w okolicy. Jest tylko płaska, jasna powierzchnia solniska.

I jedna samotna sylwetka oddalająca się ode mnie i zmierzająca w stronę odległego cienia wulkanu.

Myślę o pani Gonzales i o tym, co powiem tej zupełnie obcej mi kobiecie, gdy wrócę do Tahui. Obiecałem Nunzii, że nie pozwolę jej matce umrzeć z głodu.

Nigdy już nie zobaczy córki.

I ja nigdy już nie zobaczę młodej, dzielnej Indianki w meloniku i barwej spódnicy. Nigdy już nie zrozumieję jej do końca. Nigdy nie

zdołam ukoić jej cierpienia, nie otrę łez, które mają zasklepić rany zadane pieczęci. Ale myślę, że ona też widzi błękitne niebo nad swoją głową. Nie wynagrodzi jej ono ani konieczności złożenia ofiary ze swojego dziecka, by uspokoić Thunupę, ani konieczności zastąpienia jej na wulkanicznym tronie i wylewania słonych łez oraz broczenia solą z piersi. Nie zwróci jej człowieka, którego pokochała. Ale może da cię nadziei, że wszystko to nie pójdzie na marne.

Marta Potocka – Urodzona w 1986 r. pod Tarnowem, przez większość życia związana z Krakowem, obecnie mieszka w Warszawie. Absolwentka Elektrotechniki na AGH w Krakowie. Miłośniczka nauk ścisłych, podróży, fantastyki i science fiction. W swoich tekstach stara się przewidzieć, jak będzie wyglądała bliska nam przyszłość.

Marta Potocka

FLAUN



Prolog

Zaccaria zbliżała się do zenitu. W czerwonopomarańczowym świetle gwiazdy dachy baraków wyglądały jak pokryte rozżarzoną w piecu kowalskim metalem. Powietrze nad nimi zdawało się drżeć z gorąca, ale było to złudne wrażenie.

Sofia Cabalee naciągnęła rękawy na dłonie i objęła nimi kubek z herbatą. Był zimny. Zajrzała do środka i skrzywiła usta, widząc resztki płynu ledwie przykrywające dno. Skuliła ramiona, podciągnęła kolana pod brodę i otoczyła je ciasno rękami.

– Dobrze się czujesz? – Stephanie podniosła głowę znad rejestratora, w którym od pół godziny grzebała śrubokrętem, próbując usunąć resztki czegoś, co dzień wcześniej wypełzło w otwór jednego z czujników tylko po to, aby w nim zdechnąć. – Wyglądasz, jakby znowu coś cię brało.

Kierowniczka wyprawy westchnęła.

– Tylko, cholera, dlaczego znowu mnie?

– Nie wiem. – Mechanik wzruszyła ramionami – Bo w twoim wieku powinnaś myśleć o emeryturze, a nie szlając się po obcych planetach? – Tylko lekka zmiana w tonie głosu zdradziła, że nie mówi poważnie.

Starsza kobieta uśmiechnęła się blado. Przeszedł ją dreszcz i jeszcze ciśniej objęła się ramionami. Widząc to, jej rozmówczyni spoważniała.

– Idź do Vogla, niech cię obejrzy.

– A daj spokój – parsknęła Sofia z irytacją. – Poprzednio zaczął od sugerowania mi, że to menopauza, a potem kazał łykać paracetamol. Tyle to ja mogę zaaplikować sobie sama.

– Jak chcesz – mruknęła Stephanie niewyraźnie, ściskając ustami śrubokręt niczym cygaro. Jedną ręką podniosła nad głowę na wprost wybebeszony rejestrator, a drugą uderzała w jego obudowę, próbując wytrzepać resztki zdechłego czegoś. – Kurwa. Jest! – wykrzyknęła ucieszona, kiedy w końcu coś z niego wypadło, uderzając ją w czoło. – Od dwóch tygodni nic, tylko czyszczę te czujniki, albo coś tam włazi, albo zarasta jakimś szlamem, szlag może trafić.

– Świetnie sobie radzisz.

Mechanik z roztargnieniem pokiwała głową i zabrała się do testowania sprzętu. Jej szefowa skarciła się w duchu – to była ich czwarta wyprawa razem i już dawno powinna sobie darować motywujące

teksty, wiedząc, że młodsza kobieta zawsze puszcza je mimo uszu. Stephanie Ward nie lubiła czczego gadania i hołdowała prostocie we wszystkich aspektach swojego życia, począwszy od burego kombinezonu, który zwykle nosiła, przez ostentacyjnie męską fryzurę i całkowity brak makijażu, a skończywszy na rozrywkach – po godzinach najczęściej relaksowała się na siłowni, podnosząc ciężary. Jedyłą ekstrawagancją na tle tego dość jednoznacznego wizerunku było zamiłowanie do czytania romansów: babskich, z różowymi okładkami, takich, które zawsze mają szczęśliwe zakończenie. Absolutnie się tego nie wstydziła.

Sofia zmusiła się, aby rozprostować zmarznięte ciało i wstać.

– Przejdę się, może to mnie rozgrzeje.

Nie doczekała się odpowiedzi; Stephanie przyglądała się podejrzliwie otworowi rejestratora, mając w ustach kolejne przekleństwa. Najwyraźniej coś nadal blokowało czujnik.

Zostawiła za plecami warsztat i ruszyła przed siebie ścieżką okalającą bazę. Minęła niewielkie, przeznaczone dla zaledwie sześciu osób baraki mieszkalne, z których dobiegały niewyraźne odgłosy rozmowy. Przyszło jej do głowy, żeby wejść do środka i po prostu położyć się do łóżka, ale myśl o przebywaniu wewnątrz budynku wzbudziła w niej dziwną niechęć. Jakaś potrzeba pchała ją, żeby na chwilę oddalić się od tego miejsca. Szła dalej, uważając, żeby się nie poślizgnąć. Pomimo regularnego deptania, dróżka wciąż zarastała brązowymi, przypominającymi sierść pędami, które wydzielały śluz. Kiedyś bawiło ich liczenie, ile razy kto się na niej przewrócił, ale w końcu nauczyli się odpowiednio stawiać stopy i cała zabawa straciła sens.

Sofia czuła się coraz gorzej. Ruch wcale nie pomógł i wciąż było jej zimno mimo wrażenia, że twarz i czoło ma rozpalone. Pewnie gorączka, pomyślała smętnie.

Na wysokości laboratorium odbiła ze ścieżki w gęstwinę, myślami będąc daleko, przy kominku w swoim górskim domu, i nie zwróciła uwagi, dokąd niosą ją stopy. Wyrastająca przed nią flauna nie była przyzwyczajona do przechodzących po niej ludzi. Pędy początkowo próbowały stawiać opór, formując przed jej stopami kilkucentymetrowe przeszkody, ale kiedy zorientowały się, że nie powstrzyma to przechodzącego stworzenia, zaczęły usuwać się z drogi.

Była to jedna z najbardziej fascynujących właściwości życia, jakie zasiedlało Zaccarię I, i które zaskoczyło ludzi swoją ruchliwością i zdolnościami adaptacyjnymi. Unikało ono nadciągających zagrożeń, wyginając się, przemieszczając, a nawet chowając pod ziemię – choć jednocześnie, pozbawione większości narządów zmysłów, ślepe, głuche i bezrozumne, złożonością układów nerwowych nie dorównywało nawet meduzie.

Życie to pozornie przypominało pędy ziemskich roślin – śliskie, młode i elastyczne, dopiero co przebijające ziemię lub wyrastające wprost z nasiona, ale też w pewien sposób, poprzez swoje ruchy, kojarzyło się ze zwierzętami morskimi, ukwiałami i ośmiorniczymi mackami. Nie pozwalało człowiekowi na zastosowanie oczywistych klasyfikacji, podziału na drapieżniki i ofiary, na rośliny i zwierzęta. Role te zdawały się być płynne, zależne od okoliczności, i naturalną była sytuacja, w której stworzenie, nieniekuszone w żaden sposób, spędzało większość cyklu rozrodczego nieruchomo, aby rzucić się do ucieczki, gdy zainteresował się nim drapieżnik; bywało też, że gdy egzemplarz zazwyczaj łagodny jak roślina doniczkowa wyczuł przechodzącą ofiarę, zaciskał pozornie delikatne listki na jej ciele, aby zmiażdżoną wciągnąć pod ziemię i pożreć.

Już podczas analizy danych z Fazy Zerowej i Pierwszej naukowcy natrafili na problem (jakże częsty w zawodzie biologa egzoplanetarnego), jak nazwać to, co żyło na Zaccarii I. W końcu ktoś zaproponował koślawe słowo „flauna” – jako połączenie flory i fauny, które – najpierw wysmiane – później, z braku lepszej alternatywy, jednak się przyjęło.

Badanie flauny było podstawowym celem zespołu realizującego na planecie Fazę Drugą. Dotychczasowe obserwacje wykazały, że choć niezwykle prymitywne, poszczególne osobniki potrafią się z sobą komunikować przy użyciu sygnałów chemicznych, odpowiedników ziemskich feromonów, które wydzielane przez jedno stworzenie, na przykład w sytuacji zagrożenia, były odbierane przez inne, które reagowały na nie odruchem wykształconym przez ewolucję.

Ten prosty mechanizm dawał ciekawe rezultaty: kiedy na przykład stopa ludzka stawała na skraju pola brudnożółtych pędów, nazywanych mleczami, najbliższe osobniki chowały się prewencyjnie pod ziemię, wypuszczając feromony odstraszające. Jeśli człowiek mimo tego uczynił choć jeden krok naprzód, wtedy całe pole, jakby

ogarnięte paniką, znikają, pozostawiając po sobie tylko małe otworki. Zaraz po wylądowaniu na planecie feromony te były dla ludzi niewyczuwalne, ale ledwie kilka tygodni później mleczne nauczyły się, że zapach siarkowodoru najskuteczniej zniechęca człowieka do stawiania kolejnych kroków.

Tak sprytna adaptacja w wykonaniu pozbawionych jakiegokolwiek mózgu stworzeń była efektem niezwykle krótkiego – z ziemskiego punktu widzenia – cyklu rozrodczego. Podczas piętnastominutowej przerwy na kawę uczestnicy wyprawy mogli być świadkami wzrostu młodego pędu flauny, uzyskania przez niego dojrzałości, polowania i wchłonięcia ofiary, a w końcu wypuszczenia zarodników i śmierci. A każdy taki cykl, odrobinę różny od poprzedniego, kierowany był nauczycielką wszelkiego życia, wspólną dla wszystkich istot żyjących we wszechświecie, nieważne jak odległych od siebie w formie lub przestrzeni – ewolucją.

Sofia szczękała zębami, a przemarznięte dłonie wcisnęła pod pachy, tak jak uczyli ich na kursach przetrwania. Mimo tego czuła, że jej palce grabieją. Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu oznak obniżenia temperatury – mgły pełzającej przy ziemi, szronu osiadającego na flaunie. Nic. Chuchnęła; jej oddech nie zamienił się w chmurkę pary. Coś było nie tak. Czuła to, ale nie potrafiła skupić się na tej myśli. Szła przed siebie, kuląc się coraz bardziej.

Powinam wrócić do bazy, pomyślała, przekraczając strumień gęstego, brunatnofioletowego śluzu, nad którym unosił się pył zarodników. Położyć się w łóżku, albo nawet iść do tego cholernego Vogla, a jeśli znowu będzie narzekał, to przypomnieć mu, że przyleciał tu do pracy, a nie żeby wygłaszać impertynencje.

Zahaczyła o coś nogą i straciła równowagę. Upadając, chwyciła się grubego niczym anakonda pędu, który rozpadł się pod naciskiem jej dłoni jak przegniły owoc, oblepiając palce brązową mazią. Spokojnie, tylko spokojnie. Podniosła się, sprawdzając wcześniej, czy gałąź, której zamierza się przytrzymać, jest utkana z solidniejszej materii. Udało się; wstała. Miała zawroty głowy. Pion, jaki sugerował mózg, nie pokrywał się z pionem, jaki najwyraźniej obowiązywał na planecie. Ostrożnie puściła gałąź i rozłożyła ręce, aby złapać równowagę. Stała – pomimo absurdalnego wrażenia, że cały czas jest przechylona w jedną stronę. Powoli, szeroko rozstawiając stopy, ruszyła dalej.

Zimno, było tak zimno. Powietrze wpełzało jej za kołnierz, dotykając pleców lodowym palcem. Próbowwała podciągnąć wyżej bluzkę, ale w efekcie odsłoniła tylko skórę na łądźwiach, która aż zamrowiła od mroźnego powietrza. A gdyby tak zatrzymać się na chwilę, zwinąć w kulkę i odpocząć? Nie, nie wolno się zatrzymywać, wtedy człowiek zamarza, trzeba się rozgrzać. Iść do bazy. Nie, iść przed siebie, szukać ciepła. Bolała ją głowa; ucisk, jaki czuła wewnątrz czaszki, zdawał się namacalny, jakby oczy i uszy miały być wypchnięte na zewnątrz przez rosnące ciśnienie. Otworzyła szeroko usta, aby je wyrównać; tego też uczyli ich na jakimś szkoleniu.

Ścieżka rozwidlała się; Sofia skręciła w lewo. Szła tędy kilka dni temu na rutynową kontrolę reaktora. Po drodze będzie jeszcze jeden strumień, ale da się go przeskoczyć. Wdepnęła w coś z młasińcem. Spojrzała w dół. Truchło stworzenia wyglądającego jak ogromny ślimak pozbawiony skorupy leżało u pnia dużego okazu flauny. Delikatne jak pleśń wypustki łączyły ofiarę z napastnikiem, który pożywiał się łapczywie. Trup topniał z każdą chwilą jak wrzucony do ogniska śnieżny bałwan. Była już kiedyś świadkiem takiej sceny; wiedziała, że kiedy większy osobnik skończy jeść, wypuści w powietrze miliardy zarodników, a z pęknięć na dole pnia wypłynie kolejna porcja toksyny mającej za zadanie obezwładnić następną ofiarę.

Wyciągnęła but z resztek stworzenia i wytarła go o zarośla. Odsunęły się nieco pod naciskiem, odsłaniając leżący na ziemi czarny, węzowaty kształt. Sofia prawie podskoczyła na widok kabla doprowadzającego zasilanie z reaktora do bazy. Płynie w nim prąd, a zatem powinien być ciepły! Rzuciła się na ziemię, by objąć go rękami. Zimny. Zakłęła. Przypomniała sobie przeglądane niedawno zdjęcia satelitarne. Na termo świeciły tylko budynki mieszkalne, wejście do bunkra i reaktor; kabel był zaizolowany doskonale.

Reaktor. Oczy kobiety rozszerzyły się. To jest to! Reaktor jest ciepły. Zerwała się na równe nogi. Jej pion zgrał się na powrót z pionem planety, nie traciła już równowagi. Biegła, roztrzucając pędy, którymi ścieżka zdążyła zarosnąć w ciągu ostatnich kilku dni. Przesadziła strumień, lądując pewnie po drugiej stronie. Już blisko. Mimo wysiłku wciąż czuła zimno, krople potu spływające po jej plecach zdawały się lodowate. Już blisko.

Wpadła na polankę i doskoczyła do wysokiego na dwa metry, półkolistego urządzenia stojącego na środku. Nacisnęła przycisk otwierający panel sterujący. Ekran wyświetlił pytanie o identyfikację.

– Sofia Cabalee.

– *Witaj, Sofio, podaj, proszę, hasło.*

Wpisała je drżącymi rękami na klawiaturze.

– *Hasło poprawne. Co chcesz zrobić?* – zapytał komputer.

Zawahała się. Czego chciała? Tylko odrobinę się ogrzać. Położyła dłoń na czymś ciepłym, na chwilę; potem wróci do bazy.

– *Podnieś zewnętrzne osłony, rutynowa kontrola wizualna.*

– *Rutynowa kontrola wizualna była przeprowadzana jedenaście dni temu. Kolejny przegląd planowany jest za siedemnaście dni. Czy jesteś pewna?*

– Tak.

– *Potrzebuję jeszcze raz hasła.*

– No dobrze. – Z trudem powstrzymała cisnące się na usta przekleństwo.

Wpisała hasło.

Zadziało. Z cichym chrzęstem osłony zaczęły się rozchyłać jak pancerzyk chrabaszcza szykującego się do lotu, rozrywając oplatające je pędy. Gdy tylko uniosły się powyżej poziomu kolan, Sofia padła na ziemię, aby jak najszybciej wsadzić ręce pod spód i dotknąć przetworników Lasickiej, zamieniających ciepło wytworzone przez reaktor na prąd. Jęknęła. Były tak samo zimne, jak wszystko inne wokół. Chciało jej się płakać, ból głowy przewiercał czaszkę, a jej ręce drżały tak, jak nigdy wcześniej w życiu. Czekwała na kolanach, aż ołowiane płyty podniosą się na pełną wysokość, modląc się, żeby wyżej znalazło się choć trochę ciepła. Na próżno.

Uderzyła wściekle pięścią w urządzenie.

– *Dlaczego przetworniki są zimne?* – krzyknęła.

– *Nie rozumiem, proszę o ponowne sformułowanie pytania.*

– *Dlaczego pod osłonami nie ma ani odrobiny ciepła? Przecież środek jest gorący!* – wrzasnęła, czując, że traci nad sobą panowanie.

– *Zewnętrzne warstwy przetworników mają temperaturę o osiem przecinek cztery stopnia Celsjusza wyższą niż otoczenie. Wartość mieści się w normie, systemy chłodzenia działają poprawnie.*

– *Podgrzej to!*

– *Nie rozpoznaję polecenia. Proszę o ponowne sformułowanie polecenia.*

Sofia kopnęła reaktor, czując, jak po jej twarzy płyną lodowate łyzy. Zimno przenikało ją na wskroś, czuła, że jej organy wewnętrzne zamierają, że lada chwila przestaną pracować. Nie miała dużo czasu. Musiała, musiała coś wymyślić. Opanowała głos.

– *Czy istnieje metoda na podgrzanie zewnętrznego warstwu przetworników?*

– *System nie przewiduje potrzeby podgrzewania zewnętrznych warstw przetworników. Układ chłodzenia odpowiada za utrzymanie optymalnej temperatury.*

– *Wyłącz układ chłodzenia.*

– *Polecenie serwisowe, dostępne tylko z najwyższego poziomu zarządzania.*

– *Jestem szefową tej bazy, ty skurwysynu!*

– *Kierownik wyprawy może wydać polecenie serwisowe pod warunkiem wprowadzenia kodu serwisowego.*

Sofia sięgnęła do klawiatury. Miała tylko trzy próby, nie mogła się pomylić. Kod zawierał trzydzieści dwa znaki i uczyła się go przez kilka godzin z poczuciem, że marnuje czas. Polecenia serwisowe były używane praktycznie wyłącznie przez ekipy testujące systemy bezpieczeństwa urządzenia zaraz po jego zamontowaniu, i nigdy jeszcze nie zdarzyło się, aby ktoś używał ich podczas regularnej pracy. Procedury jednak były jasne, kierowniczką wyprawy musiała wyryć sobie kod w pamięci tak dobrze, żeby jego zapomnienie stało się niemożliwe. Nawet teraz, kiedy jej głowę rozsadzało ciśnienie, a ciało z zimna odmawiało posłuszeństwa.

– *Kod poprawny. Czy wyłączyć układ chłodzenia?*

– *Natychmiast.*

Ekran panelu sterującego rozjarzył się na czerwono. We wszystkich czterech rogach migały wielkie żółte wykrzykniki. Na środku widniał tylko jeden napis: „UWAGA! SYTUACJA ZAGRAŻAJĄCA STABILNOŚCI REAKTORA”.

Sofia przycisnęła całe ciało do przetworników. Czekwała. Powoli, powolutku, coś zaczęło się dziać. Nerw na skórze jej skroni wysłał pierwszy impuls, który przepełnił ją rozkoszą. Ciepło. Potem dołączyły kolejne. Z policzka, z dłoni. Rozpłaszczyła się jeszcze bardziej na półkolistej strukturze, starając się pokryć sobą największą

powierzchnię. Ciepło. Po jej twarzy popłynęły łzy. Jest uratowana. Rozgrzeje się. Rozgrzeje, a potem coś wymyśli. Wezwie pomoc, ale najpierw musi się ogrzać. Przyściśnięta do obudowy swojego wybawcy szlochała ze szczęścia, tak jak płaczą ludzie, którzy o włos uniknęli śmierci. Za chwilę pewnie zelżeje ucisk w czaszce i uda się jej zebrać myśli; wtedy już wszystko będzie dobrze. Będzie bezpiecznie.

Świecący do tej pory na czerwono ekran zaczął migać ostrzegawczo.

– *Za pięć minut nastąpi krytyczne przegrzanie rdzenia. Zalecane jest ponowne uruchomienie układu chłodniczego.*

– Nie.

– *Krytyczne przegrzanie rdzenia skutkuje zniszczeniem reaktora. Zdecydowanie zalecane jest włączenie układu chłodzenia.*

– Nie. Za chwilę.

Jeszcze nie teraz. Jej dłonie nadal są takie zimne. Ciepło rozgrzewało skórę, ale w środku wciąż była soplem lodu. Nie może schłodzić rdzenia, nie teraz, jeszcze nie teraz.

Ekran wyświetlił pole do wprowadzania hasła.

– *Krytyczne przegrzanie rdzenia nastąpi za dziewięćdziesiąt sekund, jeśli nie zostanie włączony układ chłodzenia. W celu uniknięcia nieodwracalnej awarii uruchamiam układ chłodzenia. Aby dezaktywować, wprowadź ponownie kod serwisowy.*

– A niech cię szlag! – wrzasnęła.

Przez ten durny komputer musiała oderwać się od rozgrzanego urządzenia. Sięgnęła do klawiatury; poczuła przy tym, że jej palce stawiają opór. Spojrzała ze zdziwieniem na czerwoną, pokrytą bąblami skórę. Nieważne; będzie się tym martwić później. Ostrożnie wprowadziła kod, pamiętając, że ma tylko trzy próby. Wiedziała, że błąd może kosztować ją życie.

– *Układ chłodzenia dezaktywowany z poziomu polecenia serwisowego. Szacowany czas do utraty stabilności reaktora to czterysta do sześćdziesiąt sekund. Zalecana jest ewakuacja.*

Sofia przytuliła twarz do gorącej konstrukcji. Czowała, jak na policzku dotykającym metalowej rury wyrastają i pękają bąble. Było jej tak dobrze, tak ciepło. Zamknęła oczy, uśmiechając się.

1

– Podsumujmy sytuację. – Erik Vogel opierał się o stół w jadalni w nonszalanckiej pozie sugerującej, że cokolwiek się wydarzyło, na nim nie zrobiło większego wrażenia. Ręce luźno skrzyżował na szerokiej piersi, w jednej z nich trzymając kubek z czarną kawą. – Prawdopodobnie wywaliło reaktor, w całej bazie i okolicy mamy skażenie, do tego nie wiadomo, gdzie jest Sofia i czy w ogóle żyje.

– Jeśli żyje, to szybko dostanie śmiertelną dawkę. – Stephanie Ward nerwowo wyłamywała palce. – Oszacowałam to z grubsza. Biorąc pod uwagę ostatnie odczyty, jakie zrobiłam, zanim weszliśmy do bunkra, wygląda na to, że ma najwyżej godzinę. Może mniej. – Kobieta mówiła z taką prędkością, że wypowiedziane przez nią słowa zdawały się zlewać w jedno. – I może być ranna. Trzeba po nią iść.

Lekarz skrzywił się z dezaprobatą.

– To nie ma sensu. Nie wiemy nawet, gdzie jej szukać...

– Ona może tam gdzieś leżeć żywa i czekać na naszą pomoc – przerwała mu ze złością.

– ... i mamy tylko jeden skafander na takie warunki. – Vogel nieco podniósł głos. – Kto niby miałby iść?

– Choćby i ja, w razie czego dam radę ją przynieść.

Mężczyzna spojrział na mechanik ironicznie.

– Ward, chcesz być bohaterką, rozumiem. Ale to nie ma sensu. Nie mamy pojęcia, gdzie ona jest, mamy mało czasu, a wychodząca na zewnątrz, dużo ryzykujesz. Nie mam ochoty wyciągać cię potem z choroby popromiennej. Nigdzie nie idziesz.

Kobieta doskoczyła do niego, zaciskając dłonie w pięści. Lekarz cofnął się odrobinę.

– A kim ty, kurwa, jesteś, że mówisz mi, co mogę robić?

– Właśnie.

Cichy głos dobiegał z kąta. Heikki Takala był człowiekiem, którego trudno było spotkać stojącego na środku pomieszczenia. Zwykle ustawiał się tak, żeby za plecami mieć ścianę, a na oku drzwi i okna. Nie porzucił tego zwyczaju nawet kiedy lecieli tu statkiem i najgorszym, co mogło mu grozić, była śmierć z nudów. Psycholog wyprawy – Brigitte O’Harra – określiła go kiedyś mianem klasycznego przykładu trepa-paranoika, za co zresztą później go przeprosiła. Osoba piastująca to stanowisko nie powinna pozwalać sobie na taki brak profesjonalizmu, jakim było wygłaszanie

tego typu uwag publicznie – prawda była jednak taka, że Firma, mając do wyboru doświadczonego fachowca wysokiej klasy i kogoś tańszego, dokonywała decyzji ekonomicznych. Jednak większość zespołu w duchu zgadzała się z jej opinią. Fin o prawie białej skórze i jasnoszarych oczach otoczonych białymi rzęsami sprawiał niesamowite wrażenie, zwłaszcza w społeczeństwie, gdzie prawie każdy miał jakiegoś czarnego lub przynajmniej latynoskiego przodka. Heikki pochodził z maleńkiej, odciętej od świata miejscowości leżącej za kołem podbiegunowym, gdzie spędził młodość, ucząc się polowania od ojca. Mówiono, że ściągnęli go do Firmy ze względu na wyjątkowe umiejętności strzeleckie – atut, którym na Ziemi mało kto mógł się jeszcze pochwalić, a który okazał się niezwykle cenny u komandosów schodzących na planety w Fazie Pierwszej. Miał za sobą ponad trzydzieści takich lądowań, a teraz – nikt nie wiedział dlaczego – trafił do nich, do Fazy Drugiej, jako specjalista do spraw bezpieczeństwa.

– W sytuacji istotnego zagrożenia ja przejmuję dowództwo. W wypadku śmierci lub utraty kontaktu z dotychczasowym dowódcą – ja przejmuję dowództwo. Wszyscy znamy regulamin – powiedział cicho Fin. – Stephanie, jeśli chcesz, to zakładaj skafander i idź szukać Sofii, choć uważam, że szanse są niewielkie. Gdyby w trakcie wybuchu była z dala od reaktora, to już by tu przyszła. Skoro jej nie ma, to zakładam, że była zbyt blisko i nie żyje. Chyba że miała trochę szczęścia i leży gdzieś poza strefą bezpośredniego rażenia, ranna, ale jeszcze żywa. Tam szukaj. – Była to najdłuższa wypowiedź, jaką obecni kiedykolwiek słyszeli z jego ust.

Mechanik kiwnęła z wdzięcznością głową i wybiegła z pomieszczenia. Pozostali patrzyli w milczeniu na Takalę.

– I co, teraz będziesz nas rozstawiał po kątach przez kolejne dwa miesiące? – przerwał ciszę Vogel, patrząc na komandosa wyzywająco.

Ten tylko wzruszył ramionami, ignorując pytanie.

– Pavel – Fin zwrócił się do szczupłego, zgarbionego i ewidentnie przerażonego sytuacją chłopaka – idź do sterowni i zrób diagnostykę bunkra. Najistotniejszy jest system podtrzymywania życia i łączność. Sprawdź też zapasy. Ale wcześniej uruchom na antenie procedurę łapania namiaru na Ziemię, to chwilę trwa, a musimy...

– Zadałem ci pytanie. – Z głosu Vogla zniknęła wcześniejsza nonszalancja.

– ... nadać raport – dokończył spokojnie komandos i powoli odwrócił się w stronę lekarza.

– Pytanie było bezsensowne. Nie interesują mnie twoje wątpliwości co do procedury przejścia dowodzenia, możesz porozmawiać o nich z Firmą po powrocie. Tu i teraz ja odpowiadam za to, żebyśmy wrócili z tej planety żywi i ja wydaję polecenia – mówił cicho, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, tak samo jak wlepione w rozmówcę, nieruchome oczy. W jego spokoju kryło się coś niepokojącego, co spowodowało, że Vogel, już otwierający usta, żeby odpowiedzieć, zamilkł. – Przygotuj ambulatorium na wypadek, gdyby Stephanie udało się odnaleźć Sofię. A później powinniśmy nas wszystkich zbadać. Nie wiemy do końca, jaką dawkę dostaliśmy i jakie będą skutki.

Lekarz, z którego jakby uszło powietrze, zawahał się, lecz po chwili wyszedł bez słowa.

W pomieszczeniu została już tylko Brigitte O’Harra, trzydziestolletnia, ciemnoskóra psycholog z burzą wysoko upiętych loków, które nadawały jej nieco artystyczny wygląd. Patrzyła na Heikkiego z ledwo skrywanym ironicznym uśmiechem.

– Szybkie przejście władzy, skuteczna pacyfikacja buntu, gratulacje – powiedziała, nie kryjąc nuty złośliwości w głosie. – Niech zgodną – zawiesiła głos, udając, że się zastanawia – mam przygotować raport o stanie załogi, który prześlemy do centrali?

– Tak. – Takąla zdawał się nie zauważać zaczepnego tonu.

– A potem? Porozmawiać z ludźmi i sprawdzić, jak sobie radzą z poczuciem zagrożenia i presją? Może zacznę od ciebie?

– Masz wolną rękę. Nie będę wchodził w twoje kompetencje, zakładam, że wiesz, jak wypełniać swoje obowiązki. Jeśli widzisz potrzebę, żeby ze mną porozmawiać, jestem do dyspozycji.

Kobieta sprawiała wrażenie lekko zbitej z tropu tą odpowiedzią, ale szybko się opanowała. Z jej twarzy zniknął ironiczny wyraz, ustępując miejsca niepokojowi. Przysunęła sobie krzesło i ciężko usiadła przy stole.

– Jeśli interesuje cię moja profesjonalna opinia, to obawiam się, że będzie niewesoło. Grupa jest złożona do dupy, a czekają nas przynajmniej dwa miesiące w zamknięciu, blisko siebie, pod presją. Będą tarcia.

– Jakie widzisz punkty zapalne? – Heikki zajął miejsce naprzeciwko niej.

– O, trochę tego jest. – Uniosła dłoń i odgięła jeden palec. – Vogel, jak już zresztą zauważyłeś, będzie miał problem z zaakceptowaniem twojego przywództwa.

– Uważa, że to on powinien być zastępcą Sofii.

– Oczywiście. Już przed wylotem nie zgadzał się z tą decyzją, ale Firma to olała. Dalej – odgięła drugi palec – Ward. Nie przepada za mną, uważa mnie za rozpieszczoną panienkę, która marnuje czas przed lustrem i której rodzice zapłacili za studia na kosztownej uczelni. Jej nie było na to stać, dlatego skończyła tylko kurs inżynierski i nie kształciła się dalej, choć chciała.

– Skąd to wiesz? – zdziwił się Takala.

Przewróciła oczami.

– Jestem psychologiem, dostałam wasze akta przed wylotem. Skądś musiałam się dowiedzieć, z kim będę pracować. Wracając do Ward – ma też na pieńku z Voglem. To jest typ, który uważa, że skoro sam jest przystojny, to na jego towarzystwo zasługują wyłącznie piękne kobiety. Brzydkimi babami gardzi i tego przy niej nie ukrywa. A teraz jeszcze chciał jej zabronić wyjścia na zewnątrz. Obstawiam, że nie zostaną przyjaciółmi.

Fin słuchał w idealnym skupieniu, wlepiając w psycholog wzrok, jakby opowiadała o wyższej matematyce. Uśmiechnęła się pod nosem. To był pewnie pierwszy raz w życiu komandosa, gdy uczestniczył w rozmowie o relacjach międzyludzkich.

– Pavel Fessler. – Odgięła kolejny palec. – To jego pierwsza Faza Druga, w ogóle pierwszy lot poza Ziemię. Od początku misji był niepewny siebie i wyobcowany, większość czasu spędzał w kajucie. Próbowałam z nim rozmawiać, ale był bardzo niechętny. Najlepiej dogadywał się z Sofią i to od niej dowiedziałam się, że na tej misji planuje zakończyć swoją karierę, chce wrócić na uniwersytet i pisać doktorat na temat flauuny. A teraz Sofia pewnie nie żyje i, szczerze mówiąc, boję się o niego. Prawdopodobnie jeszcze bardziej zamknie się w sobie i będzie się krył po kątach. Może mu grozić depresja albo, przeciwnie, jakiś nagły wybuch. Trzeba mu koniecznie znaleźć zajęcie, najlepiej związane z jego badaniami.

Takala pokiwał głową.

– Wymyślę coś.

– No i ty. – Psycholog spojrzała mu prosto w oczy. – Twoje akta też dokładnie przeczytałam. Wysoka odporność na stres, umiejętność

podejmowania decyzji w sytuacji zagrożenia; bardzo cenione cechy w Fазie Pierwszej. Jednocześnie niska inteligencja emocjonalna i brak jakichkolwiek bliższych relacji, nawet na wielomiesięcznych misjach. Moim zdaniem albo jesteś na granicy bycia psychopata, albo masz w życiorysie coś, co udało ci się ukryć przed Firmą.

Mówiąc to, obserwowała uważnie twarz mężczyzny, próbując dostrzec jakąkolwiek reakcję na wypowiedziane właśnie słowa. Nic nie dało. Albo doskonale się kontrolował, albo naprawdę nie odczuwał żadnych emocji.

– Wolałabym tę pierwszą opcję. Psychopaci świetnie sobie radzą pod presją i to mit, że wszyscy są niebezpieczni. W drugim wypadku nie jestem w stanie zgadywać, jak rozwinie się twoje zachowanie, a to dla mnie niewygodna sytuacja – urwała, jakby wahając się przez chwilę, czy powinna mówić dalej. – Wiem, że za mną nie przepadasz, i że nie jesteś przyzwyczajony do opowiadania o sobie. Ale byłoby naprawdę dobrze, gdybyśmy mogli kiedyś szczerze porozmawiać.

– Mylisz się.

Psycholog nie było dane dowiedzieć się, w jakiej kwestii nie ma racji, ponieważ odgłos gwałtownie otwierających się drzwi prowadzących na korytarz przerwał konwersację. Stał w nich Pavel, wyraźnie zaniepokojony.

– Coś się stało? – Brigitte szybko oceniła sytuację.

– Robiłem diagnostykę, tak jak Heikki kazał. – Chłopak zaplótł ręce na piersi i stał zgarbiony, niepewnie patrząc na pozostałą dwójkę. – Najpierw wewnętrzną bunkra i tu wszystko wyszło okej. Testy podsystemów z góry na dół na zielono, zapasów mamy na pół roku, powinno nam bez problemu wystarczyć. Potem chciałem sprawdzić antenę i uruchomić namiar na Ziemię. Ale antena ani drgnie.

– Jak to? – Psycholog zmarszczyła brwi.

Chłopak bezradnie rozłożył ręce.

– Próbowałem kilka razy. Jest z nią kontakt, sygnał dochodzi, niby poprawnie wszystko działa, ale jak próbuję zmienić położenie, to nic się nie rusza. Jakby coś ją blokowało.

– Sprawdziłeś obraz z kamery? – odezwał się komandos.

– Z tym mamy kolejny problem. – Pavel zgarbił się jeszcze bardziej. – Nie ma odczytu z kamery. Ani tej przy antenie, ani żadnej innej zewnętrznej. Uściślając, nie ma odczytu z praktycznie żadnego czujnika. Mikrofony nic nie łapią. Jak podkręciłem na maksa, to

tylko ledwo coś było słychać. Termowizja pokazuje mgłę o temperaturze otoczenia. Radar nic. Geiger, atmosferyczne – jak zaklejone. Tylko sejsmiczny bez zarzutu.

– Ward ostatnio ciągle coś czyściła i kleła, że rejestratory zarasta ją zielskiem. – Przypomniała sobie Brigitte.

– Tak. I obawiam się, że skupiła się tylko na głównych, które mieliśmy w bazie. Bo wygląda na to, że na chwilę obecną bunkier jest ślepy.

2

Siedzieli w czwórce przy stole, nie rozmawiając zbyt wiele. Wcześniej Vogel przebadał wszystkich w ambulatorium – dawka, jaką dostali, zanim udało im się ewakuować do bunkra, była niegroźna. Poza zbyt wysokim ciśnieniem u Pavla, będącym zapewne objawem stresu, lekarz nie stwierdził żadnych zauważalnych problemów zdrowotnych. Zresztą nie było to nic zaskakującego, bo na trwające czasem i po kilkanaście miesięcy misje wysyłało się ludzi zdrowych.

Podstawowym zadaniem każdego członka wyprawy było badanie planety. Na podstawie informacji zebranych przez fazy Zerową i Pierwszą Firma dokładnie określała scenariusz działania, który punkt po punkcie należało zrealizować. Jediną osobą, której pozostawiono większą swobodę, był Pavel – na każdą misję przydzielano naukowca specjalizującego się w dziedzinie związanej z najbardziej charakterystyczną cechą planety i w przypadku Zaccarii I padło na biologa. Pozostali członkowie zespołu zajmowali się odhaczaniem kolejnych zadań z długiej listy rzeczy do zrobienia: zbierali próbki, rozmieszczali czujniki, ściągali zapisy z rejestratorów i przenosili je do znajdującego się w bunkrze banku danych; mierzyli, ważyli, opisywali.

Poza biologiem każdy miał dodatkową specjalizację lub zadanie przydzielone przez Firmę. Na każdą wyprawę musiał więc lecieć astrofizyk – w ich zespole była nim Sofia – mechanik, spec od bezpieczeństwa, psycholog i lekarz.

O tych ostatnich było wyjątkowo trudno. Na Ziemi medycy zarabiali ogromne pieniądze i niewielu było zainteresowanych szukaniem szczęścia poza nią – w koloniach Fazy Trzeciej lub na ryzykownych misjach wcześniejszych faz. Erik Vogel, który z trudem ukończył studia, dopiero za trzecim razem zdając końcowy egzamin, nie mógł jednak pozwolić sobie na wybrzydzenie i oferta pracy dla Firmy spadła mu jak z nieba.

Do tej pory zresztą był zadowolony z wyboru. Świetne pieniądze, jakie dostawał za każdy kontrakt, odkładał na przyszłość, planując przejść na wczesną emeryturę i spędzić ją w jakimś ciepłym, niedrogim miejscu, najlepiej nie dalej niż miesiąc drogi na Ziemię. Niewątpliwą zaletą był dla niego również fakt, że w tej pracy nie musiał mierzyć się z poważniejszymi przypadkami. Firma dbała o to, aby członkowie ekip byli zdrowi i najbardziej skomplikowanym zadaniem, jakim musiał jak dotąd podołać, było wycięcie wyrostka robaczkowego. Poza tym złożył kilkanaście złamanych kończyn i od czasu do czasu zszywał lekkie rany. Zwykle jednak jego praca ograniczała się do prowadzenia rutynowych badań, przepisywania paracetamolu i zalecania wypoczynku.

Prawdopodobnie dlatego odczuwał teraz niepokój na myśl, że Ward może jednak odnaleźć żywą Sofię. Mocno pokiereszowaną wybuchem i napromieniowaną, z poważnymi obrażeniami, z którymi musiałyby sobie poradzić. Wcale nie podobała mu się ta wizja i w duchu liczył na to, że kobiecie się nie uda.

Nie zawiódł się.

Lampka koło śluzu zmieniła kolor na czerwony, potem rozległ się szum prysznic zmywającego kombinezon powracającej i w końcu do jadalni weszła Stephanie, ubrana w samą bieliznę. Jej twarz była czerwona, spocone włosy kleiły się do czoła i kobieta roztaczała wokół siebie intensywny zapach potu. Na widok pytających spojrzenia zacisnęła usta i pokręciła przecząco głową.

– Reaktor się stopił, a potem musiał strzelić zbiornik z chłodziwem. Obeszłam wszystko wokół. Nigdzie jej nie było.

Jej. Bała się wypowiadać na głos imię przyjaciółki, jakby nieobwieszczona śmierć była mniej rzeczywista. Brigitte podeszła i objęła ostrożnie mechanik, a ta, zwykle niechętna jakimkolwiek dotykowi, zwłaszcza w wykonaniu psycholog, nie zaprotestowała. Przyglądający się tej scenie Pavel nagle zerwał się i wybiegł, by po chwili wrócić z dużym ręcznikiem. Okrył nim ramiona Ward, która przyjęła to z wdzięcznością, owinięła się materiałem i usiadła, chowając twarz w dłoniach. Vogel, czując zapach jej potu, zmarszczył nos. Miał ochotę się odsunąć, ale udało mu się powstrzymać.

O dziwo, pierwszy odezwał się Takala.

– Wódki?

Mechanik pokiwała głową. Fin wyszedł, by po chwili wrócić z oszronioną butelką i pięcioma papierowymi kubeczkami,

mającymi pełnić rolę kieliszków. Zapytał spojrzeniem pozostałych – nikt nie odmówił.

Wypili w ciszy.

Potem Ward wstała, napełniła swój improwizowany kieliszek jeszcze raz, wychyliła go jednym haustem i wyszła korytarzem wiodącym w stronę pryszniców. Stypa po Sofii została zakończona.

– Jak to możliwe, że reaktor się stopił? – Pavel przerwał milczenie. – To model projektowany na skrajne warunki, nawet jeśli była jakaś awaria, to powinien się po prostu wyłączyć.

Komandos spojrzał na biologa.

– Nie sądzę, że to była awaria.

– Co sugerujesz? – Głos Brigitte był napięty jak struna.

– Że stara zvariowała i wysadziła go w powietrze, a niby co innego. – Vogel znów przyjął swoją nonszalancką pozę. – Wiedziałaś, że jest stuknięta?

– Przesadzasz – syknęła.

Lekarz przewrócił oczami, ale zamilkł.

– Pavel ma rację – podjął wątek Fin. – Szanse na to, że reaktor stopił się z powodu usterki, są minimalne. Stephanie nie znalazła ciała Sofii, co moim zdaniem oznacza, że była ona bezpośrednio w centrum wybuchu. Możemy odczytać logi. Dopóki komputer działał, wszystkie dane z reaktora szły kablem zasilającym do centralnej bazy danych. Idę to sprawdzić.

Wstał od stołu; reszta ruszyła za nim.

Pomieszczenie sterowni było ciasne, ale jakoś zmieścili się tam wszyscy. Na panelu pod sufitem kilkanaście kontrolki świecących na zielono pokazywało, że główne systemy są sprawne; parę kolejnych na żółto sygnalizowało problemy z anteną i z zewnętrznymi czujnikami, a na czerwono świeciła jedna, opisana jako „Reaktor główny”. Komandos usiadł przy komputerze i otworzył program diagnostyczny reaktora, żądając wyświetlenia danych z ostatnich dwunastu godzin.

Przewijał linijki informujące o rutynowych testach zakończonych powodzeniem i dane o parametrach pracy, które mieściły się w normach.

Potem zalogował się użytkownik – Sofia Cabalee. Dalsza komunikacja przebiegała po części werbalnie, więc Fin nacisnął ikonę odtwarzania dźwięku.

Dyszenie. Bełkotliwe słowa kierowniczkii wyprawy. „Podgrzej to” wypowiedziane w dziwnie urywany sposób.

– Jezu, brzmi, jakby szczękała zębami – wyszeptała Brigitte.

Ciężki, nierówny oddech. „Wyłącz układ chłodzenia” – głos oscylujący na granicy hysterii.

– O Chryste, wbiła kod serwisowy. – Psycholog ukryła twarz w dłoniach.

Ostrzeżenie o zagrożeniu stopieniem rdzenia. Powtórzony kod serwisowy. Nakaz ewakuacji. Seria komunikatów o przegrzaniu. Error. Error. Error.

Takala nacisnął ponownie ikonę odtwarzania, w sterowni znów rozległ się głos Sofii nakazującej reaktorowi samozagładę. Wysłuchali do końca w milczeniu.

– Rozumiesz coś z tego? Dlaczego to zrobiła? – zwrócił się do psychologa, pokładając nadzieję w jej umiejętnościach.

Ale Brigitte tylko pokręciła głową.

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Nic w niej nie wskazywało na takie... załamanie. Erik, czy ona ci zgłaszała, że na coś choruje?

– Nic wielkiego. – Lekarz, wyglądający na najmniej poruszonego tym, co usłyszeli, zamyślił się na chwilę. – Przeziębienie, jakieś dwa tygodnie temu. Zresztą szybko minęło. Potem już nic. Czy wam też się zdawało, że ona brzmiała, jakby była przemarznięta?

– Tak, słyszałam, jak szczękała zębami.

– To dziwne. Dowódcu, sprawdź, jaka tam była temperatura.

Takala wyświetlił informację ze stacji pomiarowej reaktora, a potem jeszcze z najbliższego czujnika temperatury.

– Dwadzieścia dwa stopnie. Jakim cudem tak marzła?

– Nie mam pojęcia. – Vogel wzruszył ramionami.

– Trzeba będzie powiedzieć Stephanie. – Ciszę, która zapadła, przerwał Pavel, do tej pory zgarbiony i milczący. Mówił prawie szeptem, patrząc w podłogę.

– Zajmę się tym. Jutro. Dziś powinniśmy wszyscy odpocząć. – Brigitte w duchu przeklinała wybór zawodu. Dlaczego najgorsza robota zawsze trafia się psychologowi?

Ward obudziła się pierwsza i kiedy pozostali uczestnicy misji zaczęli pojawiać się w jadalni, ona siedziała już nad talerzem brejowatej owsianki. Wyglądała na przybitą, ale spokojniejszą niż poprzedniego wieczoru. Przywitała Takalę kiwnięciem głowy, on odpowiedział tym samym. Ta para często porozumiewała się bez słów i obojgu zdawało się to odpowiadać.

Po nim pojawiła się Brigitte, z zaciętą miną człowieka, który wie, że czeka go ciężki dzień, ale ma zamiar podołać, następnie zgarbiony, jakby zmarznięty Pavel, a po nim Vogel, jak zawsze wyglądający na najbardziej zrelaksowanego.

– Słuchaj, Stephanie – zaczął Fin, po tym jak wszyscy zjedli – kiedy cię wczoraj nie było, odkryliśmy problem. Prawie wszystkie zewnętrzne czujniki bunkra nie dają odczytów. Podejrzewamy, że są zarośnięte albo coś do nich powłaziło. Antena też nie chce się ruszać i na razie nie mamy jak wysłać wiadomości na Ziemię.

– Wcale mnie to nie dziwi. – Stephanie pokręciła głową z dezaprobatą. – Ostatnio każda dziura w każdym sprzęcie błyskawicznie zakleja się zielskiem. Jeśli zdecydują się na kolonizację, to będą musieli przeprojektować sporo urządzeń. Nie nadażałam już z czyszczeniem sprzętu z bazy i brakowało mi czasu na bunkier, moja wina. – Mówiła rzeczowym tonem, jakby chciała pokazać, że wczorajszy dzień jej nie złamał.

Wstając od stołu, zachwiała się minimalnie, ale szybko złapała równowagę, wyrzuciła papierowy talerz do utylizatora i otrzepała ręce z wyimaginowanych okruchów.

– To ja zakładam kombinezon i idę do roboty.

– Poczekaj – wtrąciła się psycholog, która przyglądała się kobiecie uważnie. – Wczoraj miałas ciężki dzień. Uważam, że powinnaś odpocząć, a iść może ktoś inny. Czyszczenie chyba nie jest specjalnie trudne? Myślę, że ja mogłabym to zrobić.

Stephanie spojrzała na nią wzrokiem, w którym zaskoczenie mieszało się z uznaniem, ale pokręciła głową.

– Niby to nie jest trudne, ale mnie zajęło trochę czasu, zanim się nauczyłam, które zielsko czym wyciągać. Czasami trzeba się naprawdę namęczyć, żeby puściło. Dałabyś radę, ale zajęłoby ci to dłużej, a chyba przydałoby się nam szybko odblokować antenę i czujniki.

– Mogłabyś mi wytłumaczyć, jak to się robi.

– Nie. – Takala przerwał rozmowę. – Stephanie ma rację, teraz nie mamy czasu. Później, jak wrócisz, nauczysz resztę i będziemy wychodzić na zmianę. Teraz musisz dać radę sama – zwrócił się do mechanik.

Skinęła mu krótko głową i ruszyła w kierunku służby.

Godzinę później Ward zaraportowała, że udało jej się odciąć pędy, które blokowały antenę. Wszyscy natychmiast poszli do sterowni. Pavel uruchomił test nadajnika, podczas gdy reszta stała za jego plecami, w napięciu oczekując na rezultat.

– Działa – stwierdził chłopak bezbarwnym tonem. – Możemy nadawać.

Wpuścił Takalę na jedyny w tym pomieszczeniu fotel, a sam wyszedł, jakby nawiązanie kontaktu z Ziemią w ogóle go nie interesowało.

Brigitte odprowadziła go wzrokiem, zaniepokojona.

Komandos w tym czasie otworzył tryb komunikacyjny, wybierając najwyższy, czerwony, priorytet wiadomości.

– Niestandardowy raport z Zaccarii I. Wczoraj o godzinie dwunastej trzydzieści dwa czasu lokalnego nastąpiło stopienie, a następnie wybuch reaktora głównego. Awaria wydarzyła się na skutek bezpośrednich poleceń wydanych przez kierowniczkę wyprawy – Sofię Cabalee, która najprawdopodobniej zginęła. Pełen zapis logów z reaktora załączam do tej wiadomości. Nie wiemy, dlaczego to zrobiła. Teren bazy naukowej poważnie skażony, brak możliwości bezpiecznego przebywania na zewnątrz. Pozostałe pięć żywych osób musi przebywać w bunkrze, nie mamy możliwości prowadzenia dalszych badań. Dowodzenie, zgodnie z procedurami, przejąłem ja: Heikki Takala. Stan bunkra idealny, mamy niewielki problem z zewnętrznymi czujnikami, zajmuje się tym aktualnie mechanik, Stephanie Ward, która przebywa poza bunkrem w skafandrze awaryjnym. Stan zapasów wysoki, wystarczy nam na sześć miesięcy. Stan zdrowia pozostałych przy życiu uczestników wyprawy – dobry, zgodnie z raportem lekarza Erika Vogla, który załączam do wiadomości. Sytuacja psychologiczna – Takala zawiesił na chwilę głos, zastanawiając się – zadawał ją – spojrzał pytająco na Brigitte, która z lekkim ociąganiem kiwnęła głową – zgodnie z raportem psycholog Brigitte

O'Harry, raport również załączam. Prosimy o potwierdzenie odebrania wiadomości oraz o szybką ewakuację. – Taką zawieszę nagrywanie i spojrzał na pozostałych.

– Chcecie coś dodać?

Lekarz i psycholog pokręcili przecząco głowami.

– W takim razie wysyłam.

Na ekranie wyświetliło się potwierdzenie nadania meldunku oraz przewidywany termin dostarczenia go na Ziemię.

– Dwa tygodnie – powiedziała Brigitte – zanim to odbiorą. Potem minimum tydzień, zanim wyleci po nas statek, chyba że będziemy mieć szczęście i coś, co mogłoby nas zabrać, będzie przelatujący w pobliżu.

– Nie liczyłbym na to. – Vogel pokręcił głową. – Poza nami do wzięcia jest kilkanaście ton próbek i bazy danych. Wątpię, żeby jakiś przelatujący statek miał tyle wolnego miejsca. A bez materiałów badawczych nas nie weźmą, dla Firmy są ważniejsze niż my.

Niechętnie przyznała mu rację.

– Czyli dwa tygodnie na Ziemię, tydzień-dwa tam, potem lot do nas to półtora-dwa miesiące, w zależności od tego, czy uda im się złapać na jakąś asystę grawitacyjną. W sumie dwa-trzy miesiące w bunkrze. – Westchnęła.

Za uchylonych drzwi rozległo się głuche łupnięcie. Spojrzeli po sobie zdumieni i wybiegli.

Pavel Fessler opuścił sterownię, ale nie odszedł daleko. Siedział na podłodze pod ścianą, niecałe dwa metry od drzwi. Jeden z jego butów leżał na metalowym blacie kuchennym, pod drzwiami podgrzewacza, w który najwyraźniej przed chwilą uderzył. Chłopak szarpał wściekle sznurówkę drugiego, jednak nie był w stanie jej rozwiązać.

– Nie! Wytrzymam! Tu! Trzech! Miesiący! – krzyczał, a jego twarz zalewały łzy. – Nie! Wy-trzy-mam!

– Spokojnie. – Brigitte uklękła przy nim, ale odskoczyła, kiedy zamachnął się na nią ręką.

Taką błyskawicznym ruchem złapał go za nadgarstek. Chłopak przez chwilę próbował mu się wyrwać, ale potem poddał się i sflaczał. Komandos puścił. Wstał, spoglądając pytająco na psycholog.

– Leki?

Kobieta pokręciła przecząco głową.

– Spróbuję najpierw z nim porozmawiać. – Zerknęła na biologa szlochającego z twarzą ukrytą w dłoniach. Wyglądał, jakby opuściła go cała agresja. – Sama. Moglibyście na chwilę stąd wyjść?

Vogel wzruszył ramionami i skierował się w kierunku sypialni. Fin zawahał się.

– Dam sobie radę. Jakby co, to będę krzyczeć.

Niechętnie skinał głową.

– Będę niedaleko.

Brigitte zapukała do drzwi i słysząc zaproszenie, weszła. Heikki siedział na brzegu łóżka, z łokciami opartymi na kolanach i twarzą zwróconą w kierunku wyjścia. Wyglądał, jakby przez cały czas nasłuchiwał dźwięków dobiegających z jadalni.

Zdziwiła się odrobinę. Wiedziała, że komandos poważnie traktuje swoje obowiązki – a zapewnianie bezpieczeństwa pozostałym członkom wyprawy niewątpliwie do nich należało – jednak nie spodziewała się, że będzie aż tak się starał. Być może jego osobowość była bardziej skomplikowana, niż się jej początkowo wydawało. Lub był to jeden z tych ludzi, którzy dopiero w obliczu wyzwania ujawniają swoją prawdziwą twarz – w tym wypadku lepszą, niż się spodziewała.

– Uspokoiliam go – powiedziała, siadając na krześle.

Rozejrzała się dyskretnie po małej sypialni; żadnych wiszących na oparciu ubrań, żadnych porzrzucanych drobiazgów, równo zasłane łóżko. Żołnierski porządek. Na poduszce leżała książka, ale wygaszona, więc nie udało jej się zobaczyć, co mężczyzna ostatnio czytał.

– Przeprosił mnie. Powiedział, że od początku źle się czuł na tej misji, że szybko przekonał się, że to nie jest robota dla niego, ale zaciskał zęby, bo wiedział, że musi dotrzeć do końca. Swoją drogą, jak wrócimy, to muszę naprawdę poważnie pogadać z rekruterami z Firmy. Wiem, że ludzie nie walą do nas drzwiami i oknami, ale taka osoba jak Pavel nigdy nie powinna być wysłana w kosmos. Spytałam go, co mogłoby mu ułatwić przetrwanie tych paru miesięcy, i powiedział, że chciałby się na coś przydać.

– Czyli miałaś rację, kiedy ostatnio rozmawialiśmy.

Brigitte uśmiechnęła się blade.

– Na to wygląda. Ustaliliśmy, że jedyne, co może robić w tym momencie, to śledzić zapisy z zewnętrznych czujników, z których nadal odbieramy dane. Przynajmniej póki nie zarosną znowu. Ma

prowadzić obserwacje flauny i zapisywać wszystkie spostrzeżenia, jakie mu przyjdą do głowy. Nawet później, kiedy stracimy już możliwość zbierania aktualnych obrazów z niektórych kamer, będzie mógł przeglądać archiwalne nagrania. Zasugerowałam, żeby potraktował to jako badania pod kątem doktoratu i chyba spodobał mu się ten pomysł.

Takala zerknął na nią i zdawało jej się, że dostrzegła w jego oczach uznanie.

– Potrzebuję teraz, żebyś oficjalnie wydał mu polecenie kontynuowania badań. I dał wolny dostęp do sterowni i baz danych.

– A jeśli zrobi coś głupiego? Może znowu wybuchnąć i próbować coś zniszczyć.

– Dostęp tylko cyfrowy i tylko do odczytu. Lepiej, żeby nie miał autoryzacji do pomieszczenia banku danych ani do kasowania czegokolwiek.

– W porządku. – Komandos wstał z łóżka i wygładził kołdrę. – Jeden problem chwilowo rozwiązany.

– Ale żebyśmy się nie nudzili, to pojawił się kolejny. – W otwartych nie wiedzieć kiedy drzwiach pojawił się Vogel. Jak zawsze wszedł bez pukania. – Co się tak chowacie, gołąbeczki? – zapytał ze złośliwym uśmiechem. – Sprawdziłem monitoring skafandra Ward. Poci się jak świnia i ma tętno sto sześćdziesiąt. Próbowałem z nią zagadać, ale nie odpowiada. Może będzie bardziej rozmowna, jak usłyszysz was.

Znowu tłoczyli się w sterowni, przeklinając pod nosem oszczędność projektantów, przez którą mieli do dyspozycji jeden fotel i dwa metry kwadratowe podłogi.

Siedzisko zajęła Brigitte, pochylająca się odruchowo nad mikrofonem, jakby to mogło przybliżyć ją do znajdującej się gdzieś na zewnątrz mechanik.

– Ward, Ward, słyszysz nas?

Komunikacja ze skafandrem działała, z głośników słychać było sapanie. Ciężki, przyspieszony oddech zmęczonej kobiety.

– Przecież ona ma doskonałą kondycję. – Komandos zmarszczył brwi. – Chodziliśmy razem na siłownię. Czemu teraz tak dyszycy?

Vogel uniósł dłoń, nakazując reszcie ciszę.

– Słyszycie to? Świszczenie w oskrzelach – powiedział po chwili. – Ona ma astmę.

– Wiedziałaś o tym wcześniej? – zdziwiła się Brigitte.

– Nie, nie było nic w jej papierach. Mogła mieć to zaleczone, ale u takich osób zdarzają się nawroty, pod wpływem alergenów albo ciężkiego stresu. – Sięgnął po mikrofon. – Ward, słyszysz mnie? Tu Vogel. Możesz mieć astmę, dlatego ciężko ci oddychać i dlatego wali ci serce. Powinnaś tu wrócić, mamy na to leki i za pięć minut będzie po sprawie.

Usłyszeli dyszenie, a potem ciężki kaszel.

– Zatrzymała się – stwierdziła obserwująca ekrany psycholog.
– Tętno wzrasta, sto siedemdziesiąt, ciśnienie też wysokie.

Lekarz skrzywił się.

– Nie jest za dobrze. Na to się raczej nie umiera, ale ona o tym nie wie i może mieć atak paniki. Trzeba ją jakoś uspokoić.

Niespodziewanie po mikrofon sięgnął Takala. Psycholog uniosła minimalnie brwi, ale nie skomentowała. Komandos chyba zauważył ten gest.

– Mnie zna najdłużej – rzucił krótko. Wziął głębszy oddech, jak człowiek przygotowujący się do trudnego zadania. – Stephanie, tu Heikki – powiedział zaskakująco miękko, trochę niższym niż zwykle głosem. – Usiądź na chwilę i mnie posłuchaj.

Sledząca ekrany Brigitte po chwili uniosła kciuk – namiar pokazywał, że mechanik się zatrzymała.

– Wiemy, że masz problem z oddechem. Nie bój się, to mija. Po prostu skup się na chwilę na tym, żeby wciągać powietrze nosem i wydychać ustami, nie myśl o niczym więcej. Wdech i wydech – powtarzał łagodnie, a brwi psycholog mimowolnie wędrowały coraz wyżej. Zdecydowanie pomyliła się co do tego mężczyzny.

– Ok, tętno minimalnie zwalnia, chyba się uspokaja – wyszeptła.

– Bardzo dobrze, Stephanie. Posiedzimy tak jeszcze kilka minut, a potem wrócisz do bunkra i weźmiesz leki.

– Muszę... – Z głośnika wydobyło się jedno słowo, mocno niewyraźne i zniekształcone przez zaciśnięte gardło.

– Skończymy za ciebie pracę, nie przejmuj się tym.

– Muszę... – zaskrzeczała znów kobieta.

– Tętno rośnie. Cholera, szybko. – Brigitte wlepiła oczy w ekran.
– Ona wstaje.

– Usiądź, Stephanie, poczekaj. – Komandos próbował opanować sytuację, ale mechanik nie reagowała już na jego słowa.

Patrzyli na ekran. Stephanie biegła, a jej tętno szalało. Nagle z głośników wydobył się wysoki, przerażony pisk. Zatrzymała się. Słuchali odgłosów szamotania, jakby po drugiej stronie toczyła się jakaś walka. Z głośnika dobiegł dźwięk brzmiący jak rozrywanie materiału. Znowu pisk. Cisza.

– Ward! Stephanie! – krzyczała do mikrofonu Brigitte. – Co się z tobą dzieje? Ward?!

Cisza, odgłos jakby szlochania.

– Już dobrze, już go zabiłam. – Z głośnika dobiegł ich drżący głos mechanik. – Idę skończyć robotę.

– Wracaj tu natychmiast. – Heikki zabrał mikrofon. – Stephanie, proszę.

– O kurwa – przerwała mu psycholog, patrząc na ekran przerażonymi oczami. – Ona ma rozerwany skafander.

3

Ward nie wróciła. Co więcej, zirytowana chyba ich ponagleniami, wyłączyła komunikację i przestali słyszeć cokolwiek. Mogli tylko obserwować na ekranie, jak konsekwentnie, jeden za drugim, obchodzi wszystkie rejestratory bunkra i czyszczeni zaczipowane czujniki. W miarę jak kolejne kamery odzyskiwały wzrok, próbowali dowiedzieć się czegoś więcej z obrazu, który przesyłały.

Lewy rękaw skafandra był rozerwany, a brzeg rozdarcia zachlapany krwią. Kobieta używała rannej ręki tylko wtedy, kiedy musiała, ale i tak z kwadransa na kwadrans plama krwi robiła się coraz większa.

Vogel w napięciu śledził odczyty medyczne skafandra. Tętno trochę zwolniło, wciąż jednak było przyspieszone. Oddech kobiety, choć nadal ciężki, przestał być świszczący. Licznik Geigera wskazywał dziesięciokrotne przekroczenie normy. Wartość już szkodliwą, jeszcze nie zabójczą. Wyglądało na to, że dziura w rękawie nie jest duża.

Z minuty na minutę mechanik poruszała się wolniej, a czas, jaki spędzała na czyszczeniu kolejnych rejestratorów, rósł.

– Jest wyczerpana i nadal traci krew. Jeśli straci przytomność... – Lekarz nie dokończył.

– Zostały jej jeszcze trzy, a za piętnaście minut zajdzie Zaccaria. – Brigitte gryzła palce. – Po ciemku może sobie nie poradzić.

Komandos razem z biologiem zniknęli godzinę wcześniej w magazynie, żeby spróbować naprawić drugi skafander. Każda wyprawa wyposażona była w przynajmniej dwie sztuki. Tyle że w przypadku ich misji firma odpowiedzialna za załadunek popełniła błąd, który ujawnił się podczas zejścia na planetę. Kontener z kompozytowymi płytami, z których później budowany był bunkier, wysunął się ze źle zapiętych taśm i uderzył w mniejszy pojemnik, zawierający oba skafandry. Jeden z nich przetrwał nienaruszony, w drugim pękła szyba i zgnieciony został przewód tlenowy.

Teoretycznie mogli odmówić zrealizowania kontraktu. Wrócić na statek i na Ziemię. Trzy miesiące w jedną stronę, a wszystkie koszty pokryłoby ubezpieczenie firmy odpowiedzialnej za tę wpadkę. Ale z ludźmi od załadunku znali się od lat, a szansa na to, że drugi skafander będzie im potrzebny – że jakkolwiek skafander będzie im potrzebny – była niewielka. Atmosfera na planecie była dobrze przebadana – najpierw przez drony w Fazie Zerowej, potem jeszcze przez zespół z Pierwszej, który na własnej skórze sprawdził, że jest nieszkodliwa dla ludzi. Sofia przytknęła więc oko na procedurę, a naprawą drugiego skafandra miała się zająć w wolnej chwili Ward. Jakoś tak wyszło, że ta wolna chwila nigdy się nie znalazła.

– Nic z tego. – Taką otworzył drzwi do sterowni. – Pavel jeszcze próbuje, ale nie udało nam się uzyskać szczelności.

– A taśma uniwersalna? – zasugerował Vogel. – Na szkoleniach mówili, że można tym załatwić dziewięćdziesiąt procent napraw

– Próbowaliśmy. Ten przewód tlenowy jest zrobiony z tak dziwnego materiału, że nic nie chce się do niego kleić. Co z nią? – Komandos wskazał głową na ekran.

– Żyje i nadal czyści te cholerne czujniki. Już prawie skończyła, więc jeśli nie zemdleje za chwilę, co jest możliwe, to powinna tu wrócić za około pół godziny. Najwyższy czas, bo już zmierzcha.

W napięciu śledzili mały punkcik przesuwający się na mapie. Stephanie poruszała się coraz wolniej. Przedostatni rejestrator, chwila bezruchu. Marsz. Ostatni.

– Co tak długo? – Brigitte zagryzała usta.

– Jest ciemno. – Heikki wskazał na obraz z dopiero co odsłoniętej kamery.

– Przecież ma czołówkę w kombinezonie.

– Próbowałaś kiedyś naprawiać coś przy latarce?

W końcu ostatni rejestrator zgłosił gotowość do działania. Postać na ekranie powoli ruszyła z miejsca. Vogel wstał i bez słowa skierował się do ambulatorium. Kiedy punkcik zbliżył się do wejścia, Takala i O'Harra pobiegli w kierunku służby.

Mechanik wtoczyła się do środka, zdrową rękę opierając na ścianie dla utrzymania równowagi. Drzwi zewnętrzne zamknęły się, zaszumiały prysznice. Czekala bez ruchu, aż woda z dodatkiem środków neutralizujących opłucze skafander. Gdy to się stało, ostrożnie wyprostowała plecy i powoli uniosła obie ręce do zapięcia hełmu.

– Ona się zaraz przewróci – krzyknęła Brigitte nerwowo, przyklejając nos do szyby.

Jak na zawołanie Ward upadła. Najpierw osunęła się na kolana, potem podparła zdrową ręką i zamarła w tej pozycji.

– Nie da rady. Idę tam. – Komandos sięgnął ręką do przycisku otwierającego służbę. – A wy lepiej nie podchodźcie – powiedział do stojących obok psycholog i biologa, którzy wyglądali, jakby zamierzali ruszyć za nim. – Skafander jest skażony.

Drzwi rozsunęły się i Fin dopadł do klęczącej postaci. Obok niego zmaterializował się Vogel, którego musiał zaalarmować podniesiony głos psycholog.

Odpięli hełm. Twarz Ward była tak blada, że aż zielona, i pokryta grubymi kroplami potu. Z nosa ciekła jej krew, powieki były lekko uchylone.

– Stephanie? Słyszysz mnie?

– Nie teraz – warknął lekarz. – Najpierw pomóż mi zdjąć ten skafander.

Komandos kiwnął głową i chwilę później wydobyli mdlejącą Ward z kombinezonu. Jej lewa ręka była zalana krwią, która chlupotała w rękawicy. Mechanik nie była w stanie stać, nie mówiąc o chodzeniu, więc Takala wziął ją na ręce i zaniósł do ambulatorium.

Położyli ją na łóżku. Następnie Vogel kazał sobie nie przeszkadzać, więc kiedy zakładał prowizoryczny opatrunek, a potem badał kobietę, pozostali tłoczyli się pod drzwiami.

– Wylizę się – powiedział w końcu. – Dziura w rękawie na szczęście była zbyt mała, żeby dostała dużą dawkę. Straciła trochę krwi, zaraz dam jej kroplówkę wzmacniającą. Ta rana na ręce jest paskudnie poszarpana, ale dam radę ją zszyć.

– Daj mi wcześniej znieczulenie – wymamrotała Ward, na wpopół otwierając oczy.

– Stephanie! – Psycholog doskoczyła do łóżka. – Jak się czujesz? Spójrz na mnie.

– Co tam się stało, kiedy krzyczałaś? Coś cię zaatakowało? – Heikki wszedł jej w słowo.

– To niemożliwe. Nie na tej planecie. – Pavel odezwał się pierwszy raz od dawna. – Jesteśmy organizmami spoza tutejszego łańcucha pokarmowego i dla flauuny jesteśmy całkowicie przezroczyści. Musiałoby minąć tysiące lat...

– Pająk. – Głos Ward był ledwo słyszalny. – Pająk mi siedział na ręce. Nie mogłam go strącić, trzymał się.

Spojrzeni na siebie zdumieni. Życie na Zaccarii I przybierało różne, często fantastyczne formy, ale żadna z nich nie przypominała ani trochę pajaka.

– To niemożliwe – powtórzył Pavel, a w jego głosie zabrzmiało współczucie. – Stephanie, tu nie ma żadnych stawonogów ani nic podobnego.

– Był. Wielki jak moja dłoń i włochaty. Miał z przodu szczypcę. Musiałam go zabić śrubokrętem i trochę się poharatałam. – Ward mówiła niewyraźnie, ale z przekonaniem.

– Ale...

– Dobra, później – przerwał rozmowę Vogel. – Brigitte, zostań, pomożesz mi, a reszta spadać. Muszę zszyć tę rękę, a potem ona musi się przespać. Będziecie gadać jutro.

– Jak to możliwe? – Taką wpatrywał się w Pavla.

Biolog wzruszył ramionami.

– Niemożliwe. Siedzimy tu już trzy miesiące i nie widziałem żadnego stworzenia choć trochę przypominającego stawonoga, nie mówiąc o pajaku. W Fazie Zerowej i Pierwszej też nic takiego nie obserwowano. Przecież sam wiesz, tu wszystko jest giętkie, miękkie, pozbawione stawów.

– No to może przywlekliśmy coś z Ziemi? Może się gdzieś zawieruszył przy pakowaniu i – sam nie wiem – siedział na skafandrze?

– Przecież wiesz, jak ostre są procedury pod tym względem. Nie mamy prawa wysadzić na obcej planecie żadnego życia, nie licząc nas. A w trakcie lotu cały sprzęt w ładowniach jest trzymany

w próżni i w temperaturze tła, tak na wszelki wypadek. Nic by tego nie przeżyło.

– Ktoś go przywiózł celowo? Coś tych rozmiarów dałoby się przemycić w prywatnej kajucie.

Pavel spojrział na Fina z politowaniem.

– Kto? I po co? Żadne z was nie wygląda mi na osobę, która w tajemnicy przywiozłaby tu oswojonego pająka-przyjaciela. Aha, no tak – parsknął z irytacją. – Myślisz, że to ja?

Komandos wzruszył ramionami.

– Nie przyszło ci do głowy prostsze rozwiązanie – kontynuował chłopak urażonym tonem – że Stephanie po prostu miała zwiady? Była wyczerpana, mogło jej się coś popieprzyć.

– Mogło – przyznał jego rozmówca niechętnie.

Biolog wstał od stołu.

– Idę popracować. Może wypatrzę jakiegoś pająka.

– Jak ci idzie? – Brigitte opierała się ramieniem o framugę drzwi.

W sterowni było ciemno. Jedyne światło, jakie padało na twarz Pavla Fesslera, pochodziło z ekranów, na których wyświetlały się obrazy z kilku kamer.

– Dobrze – powiedział z ożywieniem, jakie rzadko u niego słyszała. – Popatrz, oglądam coś niesamowitego. – Wskazał ręką na jeden z ekranów.

Psycholog podeszła. Żyjąca na planecie flauna, na początku interesująca w swojej odmienności, zdążyła już jej mocno obrzydnąć. Brigitte zależało jednak, żeby przez chwilę porozmawiać z chłopakiem, więc udała zainteresowanie.

– Chyba już wiem, o czym napiszę doktorat. – Pavel nie zauważył jej braku entuzjazmu. – O polowaniu. To jest fascynujące. Te organizmy są niezwykle prymitywne, ale jednocześnie dzięki szybkiej ewolucji wykształciły mechanizmy, o jakich nam się na Ziemi nie śniło. Zobacz tu. – Puknął w monitor wyświetlający fragment słuzowatej rzeki, na brzegu której leżał przypominający mackę pojedynczy pęd. – Zaraz podejdzie. – Dotknął palcem kolejnego wyświetlacza, na którym po ziemi pełzła jakby rozpląszczona kula, stworzona z tysięcy małych, sklejonych ze sobą gąsienicowatych robaczków.

Brigitte skrzywiła lekko usta – dla niej większość z tych stworzeń była po prostu obrzydliwa.

– Ta planeta jest królestwem mimetyzmu – kontynuował biolog. – Pęd wyglądający jak macka udaje, że jest nieszkodliwym okazem, który występuje przy „rzekach”. Ale tak naprawdę to drapieznik, który zaczął się tu kilka godzin temu i poluje na stworzenia, które próbują przechodzić brodem.

Pełzająca kula pojawiła się już na ekranie obok macki. Chłopak zagryzał wargi, patrząc na tę scenę jak urzeczony. Kiedy stworzenia niemal się zetknęły, macka wystrzeliła, obejmując sklezione robaczki i wcisnęła je pod powierzchnię śluzowatego strumienia. Pavel aż podskoczył radośnie.

– Niesamowite. – Brigitte musiała przyznać, że i na niej zrobiło to pewne wrażenie. – Czy to stworzenie jest inteligentne? I dlaczego te małe po prostu się nie rozdziela? Wtedy pęd nie byłby w stanie ich utrzymać.

– To stworzenie jest tak samo inteligentne jak rosziczka albo dzbanecznik żyjące na Ziemi. Czyli w ogóle – dodał, widząc niepewną minę kobiety. – Nie ma mowy o jakimkolwiek mózgu, są tylko wykształcone przez ewolucję odruchy. Te małe, które on teraz topi, też nie mają żadnej świadomości. Nie rozczepią się, bo ich mechanizm reagowania na wszelkie zewnętrzne bodźce nerwowe to sklejenie się w jak największą kulę. Czasem można je spotkać, jak żerują – wtedy są rozproszone, ale wystarczy, że nadepniesz jednego, reszta zaraz zbiega się do siebie i formuje w jedną masę. To działa jak odruch bezwarunkowy.

– Faktycznie ciekawe – powiedziała uprzejmie.

– To super, pokażę ci coś jeszcze.

Niesamowite, pomyślała Brigitte, jak człowiek potrafi się zmienić, kiedy mówi o swojej pasji. Ciekawe, czy jest coś, co potrafi aż tak podekscytować Heikkiego. Albo Erika. Jakoś ciężko było jej to sobie wyobrazić.

– O, mam, zobacz tu. – Pavel przerwał tok jej myśli.

Na ekranie widniało stworzenie, które nazwali roboczo drzewem. Duży okazy flauuny, wysoki na kilka metrów, przypominający trochę ziemski aloes. Kilkanaście grubych jak męskie udo, wyrastających z jednego miejsca brunatnoczerwonych pędów, przy gruncie rozchylających się na boki, zrastało się na powrót kilka metrów nad ziemią, tworząc strukturę przypominającą nieco szkielet wielkiego pączka kwiatu. Pomiędzy nimi rosły mniejsze i krótsze, bardziej ruchome pędy. Brigitte pamiętała, że we wnętrzu stworzenia, w miejscu,

z którego ramiona rozchodziły się na boki, znajduje się coś jak jama gębowa. Śmierdząca kwasem dziura, do której „drzewo” strącało nieostryżne okazy, próbujące zamieszkać w jego wnętrzu.

W okolicach szczytu rośliny, pomiędzy łączącymi się na powrót pędami, wisało coś dużego, rozmiaru sporego psa. Pavel zrobił zbliżenie.

– Popatrz na ten kokon. Nazwałem go „nietoperzem”. – Uśmiech nie zniknął z twarzy biologa. – „Nietoperz”, bo zawsze śpi, zwisając z czegoś, trzymając się nogami. To one. – Wskazał na setki przypominających spaghetti nitek wyrastających z ciała stworzenia.

– Widziałam to już kiedyś. – Brigitte skrzywiła się. – Wisało nie daleko bazy.

– Przyczepił się w tym miejscu, bo myślał, że będzie bezpieczny. „Drzewo” dość skutecznie odstrasza inne stworzenia, więc pewnie chciał tam odpocząć. A sam trzyma się tymi swoimi odnóżami na tyle mocno, że większość „drzew” nie daje rady strącić go do jamy gębowej. Ale przegapił jedno. Zobacz.

Zrobił zbliżenie i wskazał palcem na wyglądające jak wielkie pryszcze wybrzuszenia, pokrywające wnętrze niektórych pędów. Unosił się nad nimi lekki dymek.

– Ten podgatunek musiał niedawno wyewoluować i wytworzyć nowe gruczoły z feromonami. Sądzę, że one oszukują „nietoperza” tak, że zdaje mu się, że jest w fazie przepoczwarczenia, a one wtedy śpią pod ziemią przez kilka tygodni. No więc ten zasnął i się prędko nie obudzi. Jeszcze przed wybuchem zacząłem go obserwować. Widzisz? Trochę już wysechł.

Psycholog pochyliła się nad ekranem. Faktycznie, paskudne stworzenie zdawało się mieć popękana powierzchnię, choć inne okazy, jakie widziała, były gładkie i śliskie.

– I w końcu sam odpadnie? Prosto do paszczy dużego?

– Nie. Jeszcze góra dwa, trzy dni i jego nogi tak obeschną, że duży da radę je skruszyć. Zje „nietoperza” od razu, jak będzie mógł, nie ma na co czekać, bo w okolicy kręci się jeszcze kilka gatunków gotowych dobrać się do trupa. Pokazać ci?

Brigitte poczuła, że robi jej się słabo.

– Może następnym razem... Obiecałam, że pomogę Voglowi.

Spełniła swój obowiązek psychologa – pacjent zajęty swoją pasją ewidentnie czuł się doskonale.

Z ulgą zamknęła za sobą drzwi.

W jadalni zastała siedzącego przy stole Takalę. Z rękami założonymi na piersi i zmrużonymi, wpatrzonymi w dal oczami wyglądał, jakby intensywnie nad czymś myślał. Wejście Brigitte wyrwało go z odrętwienia.

– I jak rozmowa z Pavlem? – zagaił.

– Dość obrzydliwa. – Prawie się roześmiała, widząc zdziwienie na twarzy Fina. – Pokazywał mi te wszystkie paskudztwa z powierzchni, jak się zjadają nawzajem. Dla mnie to wstrętne, ale najważniejsze, że jemu się podoba. Zdawał się być w całkiem dobrej formie.

– Tyle dobrze. Herbaty?

– Poproszę.

To był chyba pierwszy raz, kiedy Heikki zaproponował jej coś takiego.

Usiedli nad parującymi kubkami.

– Martwię się o Stephanie – powiedział w końcu.

– Obudziła się?

– Można tak powiedzieć.

– Co masz na myśli?

Mężczyzna westchnął i przeczesał dłonią swoje niezwykle jasne włosy.

– Obudziła się. Próbuje mówić. Niestety, głównie bez sensu.

– Powinnam z nią porozmawiać?

– Nie wiem, czy to coś pomoże. Vogel mówi, że mogła uderzyć się w głowę i ma nieznaczny obrzęk mózgu. Póki co walczy z tym lekami i liczy, że nie będzie musiał nawiercać czaszki.

– O cholera.

– Próbowałem z nią rozmawiać, dowiedzieć się, co tam się stało. Powiedziała, że kilka razy na chwilę ściągała rękawice, bo robota była precyzyjna, a trzeba było się śpieszyć. I ciągle mówiła o tym pająku, jakby naprawdę tam był.

– Co z jej dłońmi? Dostała dawkę promieniowania.

Takala wzruszył ramionami.

– Uszkodzone, ale Vogel powiedział, że teraz to jest najmniejszy problem. Na razie martwi się o jej głowę.

– Ale z tego, co powiedziałaś, wynika, że o tych rękawicach mówiła całkiem sensownie.

– O nich tak. Ale później powtarza w kółko, że w Firmie na pewno nie odbiorą naszej wiadomości i zostaniemy tu na zawsze. I że

jak tylko dojdzie do siebie, to wraca do obozu, bo nie zamierza tu siedzieć zamknięta jak szczur w klatce.

Psycholog skrzywiła się. Nie wyglądało to dobrze.

– Pewnie jest w szoku.

– Vogel mówi to samo. Albo uszkodzony mózg.

– Oby nie. – Westchnęła cicho. – Heikki?

– Tak? – Lekki błysk pojawił się w oczach mężczyzny.

– Czy dziś już nic się nie wydarzy?

– Mam nadzieję, że nie.

– Napijesz się ze mną piwa? Sprawdziłam w magazynie, mamy po pięć butelek na osobę. A właściwie już sześć.

Pokiwał głową.

Brigitte wstała – i w tym momencie uderzyła o stół. W przeciwną stronę poleciały kubki z herbatą. Huknęło tak, jakby cała góra waliła im się na głowy.

Na chwilę oboje zamarli w bezruchu jak przerażone zwierzęta, ale nie wydarzyło się nic więcej.

– Jezu, moje biodro – jęknęła. – Co tu się stało?

– Nie mam pojęcia. – Heikki był już przy niej. – Jesteś cała?

W tym momencie do jadalni z dwóch stron wpadli Pavel i Vogel.

– Co się stało? – Biolog prawie krzyczał.

– Nie wiemy.

Lekarz milczał, intensywnie patrząc pod swoje stopy. Spojrzeli tam, gdzie on.

– O kurwa mać – stwierdziła Brigitte.

Przez kompozytową podłogę ciągnęła się nierówna, szeroka na centymetr szczelina. Wychodziła spod ściany łączącej jadalnię z sypialniami, z drugiej strony znikwała w korytarzu prowadzącym do łazienek.

Ze sterowni dobiegł ich głuchy dźwięk alarmu.

Bunkier pękł.

4

Patrzyli po sobie w przerażeniu. To nie było możliwe.

Bunkry jako niezbędne wyposażenie każdej ekipy lądującej w Fazie Drugiej wprowadzono po tragedii, jaka wydarzyła się na Magellanie II, na którym niespodziewany przypływ przykrył kilkoma kilometrami wody znajdującą się na planecie bazę wraz

z mieszkającymi w niej naukowcami. Strata ludzi była oczywiście dotkliwa, ale utracono również efekty wielomiesięcznych badań, kiedy wszystkie banki danych zostały zgniecione na naleśniki. Po tym wydarzeniu Firma przesłała wizerunkowy kryzys, w wyniku którego mało kto chciał inwestować w kolejne wyprawy i brakowało chętnych do latania. Owszem, wypadki już wcześniej się zdarzały, ale nigdy na taką skalę.

Wtedy w grze pojawiły się dwie firmy: szwajcarski Bunker-X, czerpiący z wiedzy inżynierów budujących tunele pod Alpami, i polski Bunkrex, wywodzący się z firmy górniczej. Obie dostarczały konstrukcje wykonane z najnowocześniejszych kompozytów, testowane ponoć w Rowie Mariańskim i zdolne wytrzymać ciśnienie odpowiadające naciskowi dziesięciu kilometrów wody. Bunkry miały być odporne na zgniatanie i rozciąganie, na ekstremalnie wysokie i niskie temperatury, na kwasy i na wibracje. Ich astronomiczna cena podniosła dwukrotnie koszty Fazy Drugiej, a konieczność montowania, rozmontowywania i transportu stworzyła setki nowych miejsc pracy. Mimo to Firma wyłożyła pieniądze, bo bunkry miały być niezniszczalne.

Do teraz.

– Co z Ward? – Komandos zwrócił się do Vogla, pierwszy przezywając milczenie.

– Byłem przy niej, jak pękło. Nic jej nie jest, śpi.

– Jak... jak... – jąkał się Pavel.

– Czy musimy się ewakuować? – zapytała Brigitte histerycznie.

– Nie możemy, Stephanie jest nieprzytomna. Musielibyśmy...

– Spokój. – Takala podniósł głos o pół tonu.

Wydawało się, że wie, co powiedzieć, że zaraz przejmie dowodzenie, wyda odpowiednie polecenia i wszystko wróci choć do pozornej normalności. Fin nabrał już powietrza w usta, ale po chwili wypuścił je i oklapł.

– Trzęsienie ziemi? – Jego słowa zabrzmiały niepewnie jak nigdy dotąd.

– Ta planeta nie jest aktywna sejsmicznie. Nie była. Sprawdź odczyty? – Pavel ni to pytał, ni stwierdzał, patrząc na dowódcę.

– Tak. Idź.

– Może wybuch reaktora naruszył jakoś konstrukcję? – Brigitte poszarzała ze strachu, ale już się opanowała.

– Niemożliwe. To było za słabe, zbyt daleko. – Vogel dla odmiany wyglądał jak ktoś, kto zaraz wybuchnie.

– Pęknięcie bunkra też miało być niemożliwe. Chyba że spadł na nas meteoryt. Może spadł? – Patrzyła na Takalę wielkimi oczami.

– Nie sądzę. Jaka jest na to szansa? I to nie było to, nie czułem uderzenia. To było raczej...

– Jak pękające szkło.

– Tak.

– Jakby w konstrukcji było naprężenie, które w końcu strzeliło.

– Miałem dokładnie to samo wrażenie.

– Pierdoleni Szwajcarzy – stwierdził głośno Vogel.

– O co ci chodzi? – zdziwili się prawie jednocześnie.

– Jak to o co? Macie rację, też poczułem, jakby strzeliło od jakiegoś naprężenia. I widzę tylko jedno wyjaśnienie – te skurwysyny źle zmontowały bunkier. Musieli gdzieś poskręcać za mocno, coś się skrzywiło, coś było nierówno obciążone. Konstrukcja jest tak sztywna, że zamiast wyrwać śruby, po prostu pękła. Wystarczyło pewnie, że ktoś mocniej tupnął, i poszło, jak dobrze uderzony diament.

– To niemożliwe – wyszeptła Brigitte, przypominając sobie kubek, który odstawiła na stół zamaszystym gestem.

– Jak niemożliwe, to wymyśl coś lepszego. – Zdenerwował się Vogel.

– Uspokój się – warknął Takala, który powoli tracił do lekarza cierpliwość.

– Nie będziesz mi...

– To nie trzęsienie ziemi. – W drzwiach stanął Pavel. – Sejsmograf zarejestrował tylko jeden wstrząs. Nic przed nim, nic po nim.

Obejrzeni szczelinę. Zaczynała się na ścianie sypialni Sofii i ciągnęła się dalej po podłodze przez pokoje Takali i Vogla, a następnie przecinała jadalnię, korytarz i łazienkę. Tam znów skręcała pionowo na ścianę i znikwała w suficie, schowana pod panelami z oświetleniem.

– Czyli jesteśmy pęknięci na pół. – Vogel wyglądał jak chmura gradowa. – Wspaniale.

– Nie mamy pewności, że szczelina sięga aż na zewnątrz. Może jest tylko... powierzchniowa i zachowaliśmy szczelność. – Brigitte starała się nie tracić nadziei.

– Tak. Na pewno. Pękło tak szczęśliwie, że tylko od środka. Nie bądź idiotką.

– Nie musisz mnie obrażać.

– Nie mamy szczelności. – Pavel wskazał kciukiem za siebie, w kierunku sterowni. – Sprawdziłem, promieniowanie w bunkrze wzrosło. Niedużo, o dwadzieścia procent, nadal mieścimy się w normach – mówił z taką obojętnością, jakby cała sytuacja nie zrobiła na nim specjalnego wrażenia. – Słuchajcie, nie znam się na tym w ogóle i pewnie wam i tak nie pomogę. Pójdę popracować.

Spojrzeli na niego zdziwieni, ale nikt nie zaprotestował. Może to i lepiej, pomyślała Brigitte, przynajmniej nie wpadł w panikę.

Takala zarządził uszczelnianie pęknięcia. Wykorzystali do tego klej silikonowy, którego spory zapas leżał w magazynie na wypadek, gdyby trzeba było naprawiać sprzęt obozowy lub badawczy. Szczelina była głęboka, więc aby nie marnować produktu, najpierw wypchali ją papierem i podartymi ręcznikami, zaklejając tylko górną warstwę. Kiedy silikon się skończył, zastąpili go uniwersalną taśmą naprawczą. Po skończeniu podłogi i ścian przyszedł czas na sufit.

– Trzeba wyciąć fragmenty paneli, ale tak, żeby nie uszkodzić oświetlenia. Vogel, włącz na stół, jesteś najwyższy, my będziemy cię asekurować – zarządził komandos.

– Sam włącz – warknął lekarz. – Plecy mnie bolą jak cholera i muszę chwilę odpocząć.

– Nie mamy tej chwili, trzeba to zrobić jak najszybciej.

– To sam wchodzi na ten kurewski stół, dlaczego ja mam to robić? – wrzasnęła niespodziewanie medyk. – A pierdolony Fessler siedzi na dupie i ogląda roślinki. Pieprzę to, odpoczywam.

Takala nie odpowiedział, patrząc na Vogla nieruchomym spojrzeniem, którego do niedawna bała się Brigitte. Jego barki spięły się i stojąca obok kobieta była pewna, że Fin lada chwila rzuci się na Erika. Odetchnęła, widząc, że mężczyzna po chwili rozluźnia mięśnie.

– Porozmawiam z nim – powiedział.

W sterowni było ciemno. Fessler siedział z twarzą opartą na dłoniach, wpatrzony w jeden z ekranów.

– Pavel, potrzebujemy cię do pomocy.

– Nie chcę.

– Nie pytam, czy chcesz. To rozkaz.

Chłopak odwrócił się w jego stronę; jego oczy mocno błyszczały.

– Spójrz – wskazał palcem monitor, który pokazywał właśnie pełznące, pokryte bąblami, jakby napęczniałe wodą stworzenie – on przed chwilą upolował hiacynta, wiesz, które to hiacynty? Te, którym pysk się otwiera jak kwiat. Ale to było coś innego, co tylko się pod niego podszywało, ten duży zjadł niewielki kawałek, reszta przetrwała. I zobacz, co się z nim teraz dzieje. – Zrobił zbliżenie na wyrastające na skórze stworzenia wrzody. – Z nich unoszą się zarodniki. Będzie teraz szedł przez las i je rozsiewał. Myślę, że w końcu zdechnie i na jego truchle wyrośnie największa gęstwina. To piękne, prawda? – Biolog mówił coraz szybciej, coraz bardziej gorączkowo.

Takala patrzył na niego z rosnącym niepokojem. Podszedł do chłopaka i położył mu dłoń na czole – było gorące.

– Pij dużo wody. Zaraz przyślę tu Vogla.

– Za chwilę. – Pavel odwrócił się z powrotem w stronę ekranu.
– Jak wykiełkują hiacynty.

– Fessler jest chory – stwierdził, wracając do siedzących na podłodze, zmęczonych Brigitte i Erika.

– Co? Jeszcze on? Co mu jest? – Psycholog podniosła się z wysiłkiem.

– Nie wiem. Ma gorączkę, gada od rzeczy o flaunie. Zostań – powiedział, widząc, że kobieta chce iść w stronę sterowni. – Musimy tu skończyć, potem się nim zajmiemy.

– Jej też będziesz rozkazywał? – Lekarz zerwał się na równe nogi.
– Mam tego, kurwa, dość.

Ruszył w kierunku komandosa. Jego twarz była czerwona, usta wściekle zaciśnięte.

– Erik, proszę – jęknęła O’Harra. – Wszyscy jesteśmy...

– Ty też się zamknij, suko, trzymasz jego stronę. Wszyscy się zamknijcie!

Ruchy Heikkiego były tak szybkie, że psycholog ledwo je zarejestrowała. Dłoń na karku, noga zahaczająca o nogę, głuchy odgłos uderzenia ciała o ziemię. Medyk leżał na boku, z wykręconą ręką i twarzą przyciśniętą do podłogi.

– Jeśli będzie trzeba – powiedział cicho Takala – to połamię ci obie ręce, żebyś nie stanowił zagrożenia. Ale najpierw wstaniesz i dokończymy pracę. Rozumiesz mnie?

Leżący mężczyzna szarpnął się wściekle, a po chwili jęknął, kiedy jego ramię wygięło się pod nienaturalnym kątem.

- Czekam na potwierdzenie.
- Tak. Rozumiem cię.

Godzinę później sufit był zaklejony. Vogel, który na początku łupał na Takalę, jakby tylko czekając na okazję do zemsty, w końcu chyba przegrał ze zmęczeniem i po skończonej pracy po prostu usiadł pod ścianą, z głową wciśniętą między kolana. Fin przez chwilę patrzył na niego z wyrazem twarzy bliskim współczucia.

- Musimy zająć się Pavlem.

Lekarz wstał bez słowa.

- Przyrowadź go do ambulatorium, zbadam go.

Rozeszli się w dwie strony. Heikki już kładł rękę na kłamce sterowni, kiedy usłyszał krzyk Erika.

– Takala, O'Harra! Chodźcie tu szybko. – W jego głosie słychać było panikę.

Prawie równocześnie wbiegli do ambulatorium, w którym zastali samego mężczyznę.

- Gdzie jest Ward? – zdziwiła się psycholog.

– Nie wiem – odparł, wskazując plamę krwi, która ciągnęła się od łóżka w kierunku drzwi. – Ale musimy szybko ją znaleźć.

Rozbiegli się, żeby przeszukać wszystkie pomieszczenia. Trzy minuty później spotkali się w jadalni.

- Nie ma jej w żadnej sypialni.
- W łazienkach ani w magazynie też nie.
- Ani w sterowni, Pavel jest sam.

– Jeszcze godzinę temu tu była. Wymknęła się, kiedy kleiliśmy sufity.

Popatrzyli po sobie, czując, że wszyscy myślą o tym samym. Ruszyli w kierunku śluzy. Skafander leżał na podłodze, tak jak go wczoraj zostawili. Obok widniała plama świeżej krwi.

- Próbowała go włożyć, ale nie dała rady – jęknęła Brigitte.
- Jezu, wyszła w samej bieliźnie.
- Idę po nią. – Takala już sięgał do panelu otwierającego drzwi.
- Skafander jest dziurawy.

– Dam radę, nie mogła ująć daleko, jest zbyt słaba. Idźcie do sterowni i próbujcie ją łapać na kamerach. Jeśli gdzieś ją zobaczycie, to meldujcie, będę miał włączone radio.

Pokiwali głowami i pobiegli w stronę sterowni. Heikki wszedł do wnętrza śluzu i założył skafander. Na wpełzły krew wewnątrz lewej rękawicy oblepiła mu palce. Nieważne. Trzeba jak najszybciej znaleźć Ward.

Nie dostrzegli jej na żadnej kamerze. Fin krążył pomiędzy bunkrem a obozem, wypatrując śladów krwi, ale w ciemności zobaczenie ich było prawie niemożliwe.

Godzinę później znalazł mechanik, a właściwie strzępy jej ubrań leżące pod falującą kępą flauny. Z ciała już prawie nic nie zostało. Życie na Zaccarii I było łakome i nie pozwalało marnować się padlinie. Stephanie być może odrodziła się już jako pęd oplatający leżącą na ziemi bransoletkę lub biały ślimak, pełznący w kierunku jej dawnego warsztatu.

Nie musiał nic mówić. Cały czas udostępnił im nagranie z kamery w skafandrze, więc kiedy wrócił do środka, zastał tylko Brigitte płaczącą przy kuchennym stole.

Wziął prysznic, a potem przygotował dwie herbaty. Usiadł obok kobiety i objął ją. Przytuliła się do niego, szlochając.

– Pavel nawet nie zareagował – wychlipała. – To znaczy zareagował: powiedział, że to wspaniałe, jak szybko flauna poradziła sobie z jej ciałem. Nie rozumiem, co się z nim dzieje.

– Vogel go obejrzał?

– Tak. Stwierdził tylko gorączkę, dał leki, chyba też nasenne, i wsadził go do łóżka.

– Dobrze.

– Heikki, co z nami będzie? My też umrzemy?

Mężczyzna nie odzywał się przez długą chwilę. Wreszcie odparł:

– Nie wiem. Zrobię wszystko, żebyśmy się uratowali.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Milczeli. Herbata stygła, nieruszona.

– Heikki? Zostaniesz na noc ze mną? Będę się mniej bała.

– Jasne.

Spali już, niezbyt wygodnie ułożeni na wąskim, jednoosobowym łóżku, gdy otwierające się z hukiem drzwi rąbnęły w ścianę.

Brigitte ledwo udało się otworzyć oczy, kiedy runęło na nich coś ciężkiego. Takala był szybszy, zdążył wyciągnąć ramiona i odepchnąć mężczyznę. Vogel upadł, ale szybko się pozbierał. W jego ręce błysnął metal. Komandos, widząc to, rzucił się na niego, wytrącając przedmiot z ręki i przyciskając przedramieniem gardło lekarza do ściany.

– Ty kurwo – warknął pokonany. – Ty szmato. Myślałaś, że się o was nie dowiem? Zabiję cię. – Szarpnął się wściekle, nie wiadomo do kogo kierując ostatnie zdanie. Jego oczy błyszczały nienaturalnie, a źrenice były mocno powiększone.

– On chyba coś wziął. – Psycholog jęknęła przerażona.

– Nie odzywaj się, szmato, bo poderżnę ci gardło – wycharczał.

Jedno zdanie za dużo. Komandos uderzył go łokciem w twarz, niezbyt mocno, ale na tyle, żeby skóra przy oku lekarza pękła. Wykręcił mu ręce, i pochylonego, wyprowadził. Vogel, po kilku sekundach oszołomienia, urócił do bezładnego bluzgania, nie wiedząc już chyba sam, kogo próbuje obrazić.

Heikki wepchnął go do jego własnej sypialni, zamknął drzwi i szybko wbił na panelu kod. Ekran zmienił kolor na pomarańczowy, wyświetlając napis: „Zamknięte”.

– Jak to zrobiłeś? – Brigitte stała za jego plecami, obejmując się rękami, jakby było jej zimno.

– Kod zastępcy dowódcy. Na razie mamy spokój, nie licząc hałasu.

Vogel walił w drzwi, wykrzykując kolejne przekleństwa. Na szczęście były dobrze izolowane i kiedy wrócili do sypialni Brigitte, prawie nie było go słychać.

Kobieta usiadła na łóżku, oszołomiona.

– On oszalał.

Zorientowała się, że Takala patrzy na nią uważnie. W jego wzroku dostrzegła chłód.

– Nie wiedziałem, że byliście parą.

– Nie byliśmy – spojrzała mu w oczy. – Na statku, kiedy tu lecieliśmy, kilka razy zapraszał mnie na drinka. Zgodziłam się w końcu, ale okazał się bufonem, więc nie chciałam więcej. Wydawało mi się, że zrozumiał i odpuścił.

– Przepraszam. Nie rozumiałem.

– W porządku. Chodźmy spać.

Zza ściany dobiegł mocno stłumiony, nieludzki wrzask wściekłości.

5

Rano zastała ich cisza. Bunkier, który od kilku dni pobrzmiwał typowymi odgłosami życia: szumem prysznic, buczeniem podgrzewacza jedzenia, dźwiękiem kroków na twardej posadzce – tym razem milczał.

Ubrali się bez słowa i wyszli do jadalni. Nikogo.

Właściwie nie było w tym nic dziwnego. Zostało ich tylko czworo, z czego Pavel mógł nadal spać po środkach, jakie dostał dzień wcześniej, albo ślepczeć przed ekranami, a Vogel był zamknięty.

Takała zajął do sterowni. Tak jak się spodziewał, zastał tam biologa.

– Jak się czujesz? – Dotknął jego czoła. Było odrobinę chłodniejsze niż wczoraj, ale nadal gorące.

– Świetnie, zobacz. – Chłopak najwyraźniej się wyspał, bo był pełen energii. – Nazwałem to stworzenie dziesięciornicą. Schowała się do nory, bo ślimaki z powierzchni chcą w niej złożyć jajka. Ale one nie są głupie, zatkały wyjście i wpuszczają tam do środka feromony, żeby ją oglupić, w końcu sama wyjdzie. Nie wiem, komu kibicować. – Wskazał na monitor. – Komu ty kibicujesz? Ja chyba ślimakom – znowu mówił jak katarzynka – dziesięciornica jest ładniejsza, wygląda prawie jak ziemskie rozgwiazdy, ale ślimaki są bardziej podstępne, ciekawsze, chciałbyś zobaczyć poprzednie nagrania? Mogę ci pokazać.

– Nie mam czasu. Weź leki, te które dawał ci wczoraj Vogel. Masz je?

– Co? Tak, tu. – Chłopak dotknął palcami pudełka leżącego na blacie. – Już łykam. – Znow odwrócił się do wyświetlacza.

– Teraz – wycedził Fin dobitnie. – Łykasz teraz. – Wycisnął dwie tabletki i podał Pavlowi.

– Dobrze, tak, już.

Biolog nawet nie spojrzął na podane mu pigułki, przełknął je i wrócił do śledzenia pasjonującego widowiska rozgrywającego się przed kamerami czujników.

Komandos zastał Brigitte w jadalni.

– Pukałam do Erika – powiedziała, trzymając w dłoni nienaruszony tost. – Nie odpowiada.

– Sprawdź to.

Nazwałam go kiedyś psychopatą, przypomniała sobie. Miałam rację, bo chyba faktycznie nim jest. I nie miałam racji, bojąc się go.

Heikki dał dziewczynie znak, żeby się odsunęła, wbił kod na panelu przy drzwiach do sypialni lekarza i sam przezornie stanął obok. Jeśli rozwścieczony Vogel wypadnie wprost przed siebie, wymachując nożem, to przynajmniej nikt nie będzie stał na jego drodze.

Drzwi syknęły, odsuwając się. Nikt przez nie nie wybiegł.

Takala, zanim zjrzała do środka, zobaczył wyraz twarzy Brigitte. Kobieta złapała się za usta, pisnęła krótko, a potem zemdląła.

Ułożył ją ostrożnie na boku, podkładając pod głowę naprędcę zwinięty koc. Ocuci ją później, jak posprząta bałagan.

Wszedł do sypialni. Lekarz leżał na podłodze. Jego twarz pokryta była zaschniętą krwią, lecz wciąż dało się dostrzec pionowe, biegnące od czoła po brodę szramy. Komandos spojrzął na paznokcie mężczyzny i zobaczył to, czego się spodziewał. Krew i strzępy skóry.

Pomimo tego, że wyglądają dramatycznie, od takich ran się nie umiera. Pochylił się niżej. Przełyk przebity czymś od wewnątrz, kawałki szkła leżały na podłodze. Mężczyzna, który widział już w życiu kilka trupów, skrzywił się mimowolnie. Medyk rozbił stojący obok łóżka wazonik, ewidentnie własność prywatną, może jakąś pamiątkę, którą zabrał ze sobą. A potem zaczął łykać ostre jak żyłki kawałki szkła. Nie mogło to trwać długo, odłamki pokaleczyły jego gardło i tchawicę. Lekarz albo zadławił się własną krwią, albo umarł w wyniku jej upływu, dusząc się jednocześnie. Obie opcje były paskudne i komandosowi zrobiło się autentycznie żal leżącego na podłodze człowieka.

Jego uwagę zwrócił dziwny kształt plamy krwi na podłodze. Po jednej stronie zwłok rozlewała się szeroko, sięgając niemal do ściany; z drugiej nie było jej prawie w ogóle. Takala pochylił się i przesunął zeszywniałego już trupa. Znajdująca się pod nim szczelina w podłodze, którą wczoraj dokładnie zakleili, była szersza o kolejny centymetr. Klej puścił z jednej strony, odsłaniając sięgającą głęboko szparę – i to w niej zniknęła spora część spływającej na podłogę posoki.

Komandos skrzywił się. Bunkier, który raz stracił spójność konstrukcji, powoli rozpadał się na dwie części w miękkim gruncie planety. I żadne naprawy nie mogły tego powstrzymać.

Gdy wynosił ciało, Brigitte zaczęła się budzić. Kazał jej nie patrzeć i iść do sypialni, a ona zgodziła się bez protestów. Potem zamknął drzwi pokoju Vogla, zostawiając na podłodze zaschniętą krew. Posprząta później.

Gdy Heikki przyszedł do jej pokoju, Brigitte zaskoczyła go spokojem graniczącym z obojętnością. Powiedziała, że zażyła tabletkę, która pomogła jej na nerwy. Opowiedział jej, co zobaczył w sypialni Vogla; przyjęła to z zimną krwią.

– Musimy powiedzieć Pavlowi – stwierdziła.

– Wątpię, żeby go to obeszło.

– Ja też. Ale mimo wszystko powinien wiedzieć.

Biologa zastali w tym samym miejscu, co ostatnio. W sterowni zaczynało już śmierdzieć niemytym męskim ciałem. Na podłodze leżały opakowania po liofilizowanej żywności – takiej, której nie trzeba było rozwadniać ani podgrzewać i można było zjeść zaraz po otwarciu. Lampa była jak zwykle zgaszona i pokoiak oświetlała tylko blada poświata padająca z ekranów, w której twarz Pavla, pokryta głębokimi cieniami, zdawała się być dużo starsza niż w rzeczywistości.

Taką włączył światło, co spowodowało, że chłopak syknął niezadowolony.

– Zgaście, gorzej tak widzę.

Odwrócił się w ich stronę. Białka jego oczu były niemalże czerwone od popękanych żyłek.

– Vogel nie żyje, zabił się. A bunkier nadal pęka – powiedział komandos, patrząc na biologa zmrużonymi oczami.

– Aha – skomentował ten obojętnie. – Czemu się zabił, nie wiecie?

– Wczoraj zaczął się zachowywać agresywnie, zamknęliśmy go w jego sypialni. Pewnie słyszałeś krzyki. A potem coś mu się stało i skierował tę agresję na siebie – wyjaśniła psycholog.

– Ciekawe. – W głosie Pavla w końcu zabrzmiał cień zainteresowania. – Jak się zabił?

– Rozdrapał sobie twarz, a potem połknął szkło.

– Pomysłowe. – Chłopak pokiwał głową z uznaniem. – A tym pęknięciem się nie martwicie, jeszcze kilka dni i problem sam zniknie.

– Jak to? – Kobieta rzuciła mu zdezororientowane spojrzenie.

– Patrzcie. – Szybko coś przełączył i wskazał na największy monitor, który wyświetlał teraz gęstwinę, wyjątkowo bujną nawet jak na standardy obowiązujące na Zaccarii I. – Widzicie? To są okolice reaktora, widok z najbliższej kamery, która przetrwała. Tam jest teraz prawdziwa flaunia orgia. Wszystko, co żywe, rzuciło się na promieniotwórcze śmieci, które zostały po wybuchu. Obserwowałem to już wcześniej. Kiedy lądowaliśmy, dysze transportera wypaliły dwa placki ziemi, a parę dni później te placki były już całkowicie zarośnięte. Brałem pod uwagę dwie możliwości: albo że zadziałał efekt czystej karty – miejsce było puste, więc wszystkie stworzenia próbowały je zasiedlić i w rezultacie pojawiło się ich tam bardzo dużo – albo że chodzi o resztki promieniowania, jakie zostają zawsze po dyszach. Doszedłem do wniosku, że to musi być to drugie – flauna zdawała się pochłaniać energię z pierwiastków radioaktywnych, przyspieszając w jakiś sposób ich czas rozpadu. Nie wiem, jak to możliwe, ale tydzień później licznik Geigera pokazywał w tym obszarze zero, a wiadomo przecież, że miejsca po lądowaniach świecą delikatnie nawet po latach.

– I uważasz, że to samo dzieje się teraz?

– Tak, sprawdzałem odczyty. Wskazania liczników promieniowania regularnie maleją. Jeszcze kilka dni i będziemy mogli spokojnie wyjść na powierzchnię. Na upartego moglibyśmy to zrobić już teraz, większą dawkę dostał niejeden pilot przelatujący blisko gwiazdy. Więc jeśli się martwicie, że napromieniujemy się przez szczelinę, to bądźcie spokojni. Flauna nas obroni.

Brigitte wzniosła oczy do nieba.

– Boże, dziękuję. Od momentu wybuchu to pierwsza dobra wiadomość.

Siedzieli przy stole. Próbowali namówić Pavla, żeby do nich dołączył, ale gwałtownie protestował, mówiąc, że ma mnóstwo do zrobienia i nie może teraz przerywać. Gdy Takala próbował naciskać, chłopak zrobił się bardzo nerwowy, więc ostatecznie dali mu spokój. Woleli mieć go w sterowni we względnie dobrej formie, niż poza nią wpadającego w histerię.

Drzwi do pokoju Vogla, wciąż zamknięte, działały jak magnes, przyciągając wzrok Brigitte.

– Nie potrafię zrozumieć, co mu się stało. Agresja, z jaką na nas napadł, to, co później zrobił sobie – to w ogóle do niego nie pasuje. To nie był typ, który zaczyna bójkę, wiedząc, że ją przegra. Uwierzyłabym, że byłby zdolny zrobić krzywdę komuś, ale na pewno nie sobie.

– Ludzie różnie reagują – mruknął komandos. – Znałem kiedyś faceta, który był opanowany, dopóki miał pole manewru. Jak skończyły mu się opcje i musiał się poddać, wpadł w szal. Może to było coś takiego, taka reakcja na zamknięcie tutaj?

– Albo na to, że zmusiłeś go do wykonywania swoich poleceń.

– Uważasz, że źle zrobiłem? – Głos mężczyzny odrobinę stwardniał.

– Nie. Sama nie wiem. Chyba nie mogliśmy sobie pozwolić na brak dyscypliny w takim momencie.

– Jeśli nie był w stanie zaakceptować czyjś przywództwa, to nie powinien w ogóle lecieć.

Psycholog nie odpowiedziała. Patrzyła w stół, rysując na nim palcem niewidzialne szlaczki. Milczeli.

– Heikki?

Spojrzał na nią.

– A może powinniśmy stąd wyjść? Pavel mówi, że to w gruncie rzeczy bezpieczne.

– Pavel mówi ostatnio dziwne rzeczy.

– Moglibyśmy sami sprawdzić odczyty.

– Sprawdzalem. Faktycznie spadły, ale nadal są za wysokie.

– Śmiertelne?

– Raczej nie. Ale daleko poza zakresem dopuszczanym przez procedury.

– W dupie mam procedury. – Jej głos zawibrował niebezpiecznie.

– Czuję, że jak zostaniemy w bunkrze, to wszyscy tu umrzemy. W bazie czułam się bezpiecznie, a tu? Wszyscy wariują. Kiedy my zwariujemy?

– Nasza wiadomość jeszcze nawet nie dotarła na Ziemię. Jeśli teraz wyjdziemy, to czekają nas miesiące na powierzchni. Nie wiemy, czy promieniowanie będzie nadal maleć. Nie wiemy, jakie jest w miejscach nieobjętych przez czujniki. Możemy nie dożyć do momentu przybycia pomocy.

– A tu jest lepiej? Tutaj wszystkim odwala. Ward wyszła na pewną śmierć, Vogel się zabił, z Pavlem dzieje się coś dziwnego. – Kobieta mówiła z coraz większą pasją.

– Uważasz, że to kwestia bunkra? I że w obozie będzie lepiej? Oni nie wytrzymali sytuacji po wybuchu. Stephanie zjadły wyrzuty sumienia, bo nie odnalazła Sofii. Pavel nie przyjmuje do wiadomości tego, co się stało, dlatego się zamknął i mówi tylko o flaunie. To jest jedyna dziedzina, w której czuje się pewnie.

– A Vogel mógłby żyć, gdyby nie był tu zamknięty.

– Może. A może nie, nie wiemy tego.

– A co, jeśli – zapytała powoli, patrząc w oczy swojego rozmówcy – powiedziałabym ci, że chcę wyjść? Na własną odpowiedzialność.

Takala pokręcił głową z lekkim westchnieniem.

– Brigitte, nie rozumiesz. Tu jest tylko jedna odpowiedzialność – moja. Moim zadaniem jest utrzymać nas przy życiu do czasu przybycia pomocy. Nie mogę pozwalać na indywidualne decyzje.

– Zabroniłbyś mi? – warknęła.

– Uspokój się, proszę. Jesteś zmęczona, połóż się i prześpij. Porozmawiamy później, kiedy trochę ochłoniemy, dobrze?

Przez głowę przemknęło jej znowu, że Heikki nie jest z pewnością tak prostym trefem, za jakiego go do niedawna brała, i że jeśli chce, to potrafi mówić prawie jak psycholog. Ale narastająca wściekłość szybko wyparła tę myśl.

– Nie traktuj mnie jak dziecka, dobrze?! I nie zmieniaj tematu. Jeśli będę chciała wyjść, to mi tego, kurwa, nie zabronisz.

– Brigitte... – Wyciągnął do niej rękę, a w jego oczach błysnęła żal.

– Zostaw mnie! – wrzasnęła, zrywając się gwałtownie.

Zamknęła się w swojej sypialni, trzaskając drzwiami. Na panelu dostępowym wyświetlił się napis: „Zablokowane”. Chyba zapomniała, że Takala posiada kody zastępcy dowódcy.

6

Obudził go hałas. Ktoś łomotał w drzwi. Idąc spać, zablokował zamek, więc nie dało się ich otworzyć z zewnątrz.

– Heikki! Heikki! Otwieraj, proszę. Brigitte. Wnioskując po tonie głosu, na granicy hysterii.

Zerwał się z łóżka, szybko naciągając na siebie ubranie. Kątem oka zarejestrował, że szpara w jego podłodze również się poszerzyła, klej trzymał tylko z jednej strony. Zawahał się na sekundę, a potem sięgnął pod materac i wyciągnął pistolet. Wsadził go za pasek z tyłu spodni i zakrył koszulką.

Wyszedł z sypialni.

– O Boże, w końcu jesteś.

Odruchowo wyciągnęła ręce w jego stronę, ale zawahała się.

– Co się stało? Pavel?

– Nie, na szczęście nie. Chodź. – Pociągnęła go w kierunku sypialni Vogla.

Szybko zrozumiał, o co jej chodzi. Pędy, wychodzące przez uchylone drzwi pokoju lekarza, oplatały stół i krzesła w jadalni, sięgając dalej, w kierunku pojemników z jedzeniem. Udało im się rozerwać folię, w którą zapakowane były liofilizowane batony, a nawet jakimś cudem pozgniać puszki z mięsem. Taką podniósł jedną z nich i zajrzał do środka. Była pusta, a sięgająca do niej gąsienicowata wypustka flauny pulsowała, w obrzydliwy sposób kojarząc się z jelitami kurczącymi się podczas transportu pokarmu.

Ruszył w kierunku drzwi sypialni i uchylił je ostrożnie. W środku przywitał go istny ogród botaniczny – pędy wyrastające ze szczeliny obrosły każdy centymetr pomieszczenia, zanim wydostały się na zewnątrz. Po krwi Vogla nie pozostał żaden ślad – Finowi przypomniało się, jak szybko pożarte zostało ciało Stephanie Ward. Na tej planecie zwłokom nie dane było spoczywać w spokoju. Z pewnością z ciałem lekarza, które położył kilkanaście metrów od wyjścia z bunkra, już dawno stało się to samo.

Wyszedł z sypialni i ruszył w ślad za pojedynczą, grubą jak jego ramię macką, która znikwała w korytarzu prowadzącym do łazienek. Został tam Brigitte, która patrzyła w kierunku toalet zasłaniającą usta z obrzydzeniem.

– To zjada nasze odchody. – Wyglądała, jakby była bliska wymiotów.

– Chodźmy stąd.

– Daj mi pięć minut, spakuję tylko najważniejsze rzeczy i możemy uciekać. Trzeba powiedzieć Pawłowi.

Spojrzał na nią dziwnie.

– Nie wychodzimy z bunkra.

– Co? – Nie uwierzyła mu. – Ty chyba żartujesz?

Pociła się, a jej źrenice były mocno rozszerzone. Wydatne wargi drżały, jakby zbierało jej się na płacz. Domyślił się, że znowu wzięła leki uspokajające – prawdopodobnie zbyt dużo. Nie był to jednak dobry moment, aby o tym rozmawiać.

Świadomość, że został ostatnią osobą w pełni rozumiejącą to, co się wokół nich dzieje, przytłoczyła go. Wiedział, ile od niego zależy i że nie może sobie pozwolić na żaden błąd. Nawet jeśli o jego popełnienie prosi piękna, przerażona kobieta.

– Brigitte, zrozum – powiedział najłagodniej, jak potrafił. – Nie możemy opuścić bunkra. Musimy załatać dziurę i pozbyć się tych stworzeń. Na zewnątrz jest ich więcej, będzie jeszcze gorzej.

– Nie! Nie, nie, nie. Nie zostanę tu! – Złapała się rękami za głowę, patrząc wokół przerażonym wzrokiem zwierzęcia zamkniętego w klatce i dżganego metalowym prętem. – Boję się. Chcę wyjść. Udusimy się tu, umrzemy, to się zawali, zgniecie nas. Chcę wyjść!

Próbował złapać jej ręce, ale odepchnęła go i rzuciła się w kierunku służy. Pobieglł za nią i złapał ją w pól.

– Brigitte, błagam, uspokój się. Gdzie są twoje tabletki?

– Zostaw mnie! – wrzeszczała, szarpiąc się wściekle. Drapała jego ręce paznokciami, próbowała gryźć.

– Fascynujące.

W drzwiach do sterowni stał Pavel Fessler, przyglądając się rozgrywającej się przed nim scenie z naukową ciekawością.

– Dzięki tobie, Brigitte, już jestem pewien.

– Co ty pieprzysz? – Przestała się szarpać i patrzyła na biologa z wściekłością. – Pewien czego? Że powinniśmy uciekać?

Roześmiał się.

– O, zdecydowanie powinniście. Wręcz musicie, wasze mózgi są do tego coraz bardziej przekonane.

– O czym ty mówisz? – warknął Takala, cały czas przyciskając psycholog do siebie.

– Powiedziałbym, żebyście usiedli, ale zdaje się, nie jesteście już w stanie się uspokoić. Trudno, postoiimy. – Z chłopaka aż promieniowała radość, jego oczy błyszczały, a na policzki wystąpiły rumieńce. Śmierdział jeszcze bardziej niż dzień wcześniej, w kącikach ust miał przyklejone resztki jedzenia, ale zdawał się tego nie zauważać. Patrzył na stojącą na korytarzu dwójkę, jakby delektując się chwilą.

– Gadaj. – Komandos tracił cierpliwość.

Pavel odpowiedział mu szerokim uśmiechem wariata.

– Jest tylko jedno wytłumaczenie tego, co się tutaj dzieje, i ja je znalazłem – zaakcentował słowo „ja”. – Już od dawna miałem podejrzenia, ale wydawało mi się to niemożliwe. Wiem, że one

potrafią wpływać na siebie nawzajem, ale sądziłem, że człowiek jest dla nich zdecydowanie zbyt skomplikowany. W końcu do mnie dotarło. Grzyby! *Ophiocordyceps unilateralis* żyjący na Ziemi potrafi zainfekować mrówkę, a potem zmusić ją, żeby wspięła się na drzewo i wgryzła w specyficzne miejsce liścia. Mrówka umiera, a grzyb przerasta jej ciało, wypuszcza szypułkę i rozsiewa zarodniki. Czy to nie genialne? A przecież nikt nie posądzi go o posiadanie rozumu. Nie, to ewolucja nauczyła go, jak przejąć kontrolę nad stworzeniem dużo inteligentniejszym tylko po to, żeby na jego trupie się rozmnożyć.

– O czym ty bredzisz? – Psycholog wciąż balansowała na granicy hysterii.

– Nadal nie rozumiesz? To przecież oczywiste. Zamknęliśmy się w bunkrze – w norze. One potrafiły wyczuć, że tu jesteśmy, ale nie mogły się do nas dostać. Dziesięciornicę dopadły, powodując jej szaleństwo, aż w końcu sama do nich wyszła. Ale my byliśmy szczelni, nie dało się tu wypuścić feromonów, więc zrobiły to, co robią ze skorupiakami żyjącymi na dnie strumieni: zmiażdżyły naszą skorupę i uzyskały dostęp.

Takala parsknął.

– Pędy zgmiotły bunkier? Ty naprawdę oszalałeś.

Biolog spojrział na niego z wyższością.

– Skalę flauny ogranicza ona sama. Czasem aby dopaść dużą ofiarę, wiele mniejszych osobników poświęca się, by wytworzyć większego agresora. Po skończonych łowach on obumiera, a na jego truchle odradzają się znów mniejsze, które zjadają to, co upolował. Perfekcyjny, sprawiedliwy mechanizm wspólnego wysiłku i żerowania. Sądzę, że ramię grubości słonia byłoby w stanie objąć i zmiażdżyć bunkier, a takie ramię już kiedyś widziałem, formujące się wprost ze śluzowej rzeki.

– Zniszczyły bunkier? Po co? Żeby wywlec nas przez szczeliny? – Brigitte rozglądała się wokół rozsiałałym wzrokiem. – Musimy zamknąć drzwi do jadalni!

– Dlaczego miałyby to robić? – Pavel uśmiechnął się wyrozumiale, jak nauczyciel tłumaczący głupiutkiej uczennicy podstawy swojego przedmiotu. – Skoro wystarczy sprawić, żebyśmy wyszli sami. Tak jak Ward.

– Ward uciekła jeszcze przed pęknięciem.

– A wcześniej chodziła po powierzchni w dziurawym skafandrze. Z raną na ręce, którą zrobiła sobie sama, zabijając nieistniejącego pająka.

– To nie ma sensu. Czemu zaatakowały dopiero wtedy?

– Bo je sprowokowaliśmy, chowając się tutaj. Wcześniej, kiedy nieświadomi chodziliśmy po planecie, miały do nas dostęp. Obserwowały, badały. Musiały robić testy, sprawdzać nasze reakcje na różne kombinacje substancji chemicznych, uczyć się tego, jak nas kontrolować. Nie zdarzyło się wam niespodziewanie przestraszyć albo zdenerwować? Ja raz zasnąłem na dwanaście godzin obok pyłącego strumienia. Vogel powiedział wtedy, że to musiało być przepracowanie. Nie było. Mogły nas dopaść już wtedy, ale one nie są głupie. Wiedziały, że mamy w ręce coś, na czym im jeszcze bardziej zależy niż na marnych sześciu trupach.

– Zapasy?

Fessler parsknął śmiechem.

– Reaktor.

– Co?

– Pomyśl tylko. One rzuciły się nawet na resztki radioaktywności, która została na ziemi wypalanej dyszami. Ale potem wyczuły, że mamy tego towaru więcej. Próbowaly badać źródło promieniowania, oplatając instalację pędami, ale Ward bez litości tępiła je maczetą. Wtedy zrozumiały kolejną rzecz. Że najszybciej atakujemy je tam, gdzie znajdują się dziwne skrzynki z dziurkami.

– Rejestratory – powiedział Takala.

– Dokładnie. Zaczęły je zaklejać, zarastać, wchodzić do środka i zdychać, blokować jak tylko się da. Oczywiście, nie rozumiały tego, co robią, ale nauczyły się, że w rejonach, gdzie obrosną ten przedmiot, my reagujemy później.

– Przecież odkąd to się zaczęło dziać, Stephanie zajmowała się głównie ich czyszczeniem.

– Właśnie. Ale szło jej zbyt wolno i zdecydowana większość rejestratorów była ślepa. Mimo tego nie udało im się przebić przez pancerne osłony. Nie sądzę zresztą, żeby próbowały zbyt długo, w końcu potrafiły już wykorzystać kogoś z nas.

– Sofia?

Pavel pokiwał radośnie głową.

– Czy to nie był majstersztyk? Dwa proste bodźce, jak sądzę: uczucie zimna, tak przenikliwe, żeby dążyła do największego

znanego sobie źródła energii, i jednocześnie potrzeba oddalenia się od obozu. To równanie dało się rozwiązać tylko w jeden sposób – był nim reaktor. W momencie, kiedy Sofia go niszczyła, była z pewnością przekonana, że to jedyna metoda, aby się rozgrzać i ocalić swoje życie. Nie sądzę, żeby była wtedy zdolna myśleć o nas, o obozie czy o misji.

– A Vogel? Jak wytłumaczysz to, co zrobił? – zapytał Fin.

– Nagła agresja jednego z członków stada powoduje, że inne osobniki uciekają z nory. Myślę, że po prostu wykorzystały jego słabość. A kiedy był już zamknięty, nie potrafił się opanować i zaatakował samego siebie.

– Nie wierzę. To jakaś bzdura, nie da się tak kontrolować człowieka – parsknęła Brigitte.

– Nie? – Biolog uśmiechnął się do niej szyderczo. – To spójrz na siebie. Co przed chwilą chciałaś zrobić? Wyjść z bunkra, prawda? Czemu? To nie ma żadnego sensu. On jeszcze walczy – wskazał podbródkiem na Heikkiego – ale ty już jesteś martwa.

– Ja tylko próbuję się uratować! – wykrzyknęła. – A niby co mi się stanie, jak wyjdę? Mówiłeś, że one nigdy nie atakują bezpośrednio ludzi, że nie mają jak!

– Co się stanie? To samo, co z dziesięciornicą. Zaraz po wyjściu z nory przestała się ruszać, a piętnaście minut później była już jedną wielką przegniłą strukturą pełną zarodników.

Biolog patrzył rozbawiony, jak kobieta z wrzaskiem szarpie się w ramionach komandosa. Uderzyła go tyłem głowy w nos. Zalał się krwią i na chwilę poluzował chwyt. Wykorzystała moment i wystrzeliła w kierunku drzwi prowadzących na zewnątrz. Mężczyzna szybko pokonał oszołomienie i rzucił się za nią. Skoczył. Jej skroń uderzyła w uchwyt służący do odsłaniania szybki. O’Harra zwiotczała, upadła na ziemię.

– Brigitte, Brigitte! – krzyczał. – Brigitte, ocknij się! Proszę.

Krew wypływająca z pękniętej czaszki rozlewała się po podłodze. Pędy, nieśmiało wpełzające na korytarz, zwietryły już jej zapach.

Pavel wyciągnął z kubka galaretowatego ślimaka i ostrożnie odłożył go na blat. Kostkę suszonej herbaty zalał wrzątkiem i z przyjemnością zaciągnął się zapachem. W końcu mógł odpocząć. Był z siebie naprawdę dumny. Zrozumiał, poznał, a nawet w jakiś sposób

zaprzyjaźnił się z życiem na tej planecie. Był pewien, że kiedy wróci na Ziemię, zostanie najsłynniejszym biologiem egzoplanetarnym wszechczasów.

Od strony sypialni komandosa rozległ się pojedynczy strzał. Coś ciężkiego osunęło się na podłogę.

Pavel zastanawiał się, czy *Życie Fesslera* nada się na oficjalną nazwę flauny.

Epilog

Transporter osiadł na ziemi, wypalając dwa kręgi w miejscach tuż poniżej wylotu dysz. Pierwszy wyskoczył Bosman i omiótł czujnym wzrokiem otoczenie.

Nie wiedzieli, czego się spodziewać. Informacja o zniszczeniu reaktora i prośba o ewakuację były jedynymi wiadomościami, jakie dotarły do nich z Zaccarii I. Próbowali potem nawiązać kontakt wiele razy, ale nikt nie odpowiadał. W Firmie podejrzewali, że cały zespół szlag trafił, prawdopodobnie na skutek promieniowania. Jednak i tak trzeba było pojawić się na planecie, żeby to sprawdzić i przede wszystkim zabrać zmagazynowane próbki oraz banki danych. Kilka tygodni później miała lądować ekipa od demontażu bunkra.

Bosman, który nie był żadnym bosmanem, tylko cywilem, który swoje przezwisko zawdzięczał stylowi bycia oraz kotwicy wytatuowanej na potężnym przedramieniu, miał złe przeczucia. Nie potrafił tego wyjaśnić; po prostu nie podobało mu się, że zamilkła cała ekipa, wszystkie sześć osób. Jeszcze nigdy coś takiego nie zdarzyło mu się w Fazie Drugiej, a na akcje ratunkowe latał od piętnastu lat.

Planeta była obrzydliwa – skąpana w krwistopomarańczowym świetle Zaccarii powierzchnia aż wiła się od miękkiego, śliskiego i glutowatego życia. Czytał o tym oczywiście w raportach – razem z informacją, że występujące tu stworzenia są całkowicie niegroźne – ale nie przeszkadzało mu to krzywić się na dźwięk młasczących w zgniliznie butów, kiedy szedł w kierunku obozu. Jak dobrze, że miał na sobie skafander.

Z daleka baraki wyglądały jak na tym starym filmie, „Hob-bot” czy coś takiego. Całe obrosnięte roślinami dawno zatraciły swoje kształty, ale tu i ówdzie dało się zobaczyć zarys okna lub drzwi. U stóp wzgórze, które wyrastało obok obozu, znajdowało się otwarte na oścież wejście do bunkra.

Na progu siedział niezwykle brudny, ubrany w podarte łąchy osobnik o twarzy porośniętej skłębionym zarostem. Jego lewą rękę oplatał półprzezroczysty pęd, a mężczyzna głaskał go niczym zaprzyjaźnionego węża.

Bosman podszedł do niego i zatrzymał się w bezpiecznej odległości trzech metrów.

– Piotr Milewicz, jestem szefem ekipy, która po was przyleciała. Jak się pan nazywa?

Siedzący człowiek podniósł na niego zaskoczony wzrok, a po chwili uśmiechnął się szeroko, odsłaniając dawno niemyte zęby.

– Ludzie! Wspaniale.

– Jak się pan nazywa? – powtórzył cierpliwie mężczyzna w skafandrze.

– Nazywa? Nie wiem.

Bosman westchnął dyskretnie. Zapowiadała się ciężka robota.

– Gdzie są pozostali?

– Ludzie?

– Tak, gdzie są pozostali ludzie, którzy tu z tobą przylecieli?

– O, już dawno zjedzeni – powiedział brudas ze smutkiem. – Są gdzieś tutaj. – Zatoczył łuk ręką.

Milewicz zmarszczył brwi. Ten typ zdawał się zdrowo popierdolony.

– Dobra, kolego, chyba nie pogadamy na razie. Jak masz tu jakieś cenne rzeczy, to je zbieraj, za chwilę wsiadasz na statek. – Spojrzał na siedzącego z niesmakiem. – I idziesz do dezynfekcji.

– Na statek?

– Tak, wracamy na Ziemię.

– Wspaniale. Chciałbym zobaczyć, jak tam jest – ucieszył się wariat.

Zidentyfikowali go jako Pavła Fesslera, biologa wyprawy. Pomimo wielu prób nie udało się nawiązać z nim logicznego kontaktu, więc nie pomógł w wyjaśnieniu tego, co wydarzyło się na planecie. Pozostałych członków ekipy nie znaleźli mimo dokładnego przeszukania całego zarośniętego zielskiem bunkra i jego okolic. W sypialni Heikkiego Takali odkryli leżący na podłodze pistolet oraz jeden wystrzelony pocisk wbity w drzwi. W pokoju Erika Vogła – resztki potłuczonego szkła.

Magazyn z próbkami był zdemolowany, a hermetyczne pojemniki – otwarte i puste. Na dnie niektórych znajdowały się wprawdzie jakieś resztki, które zabezpieczyli, ale z pewnością nie był to nawet ułamek tego, na co liczyła Firma.

Pancerne drzwi do pomieszczenia banków pamięci były wypaczone, a przez szczeliny dostało się do środka mnóstwo pędów. Kasety z danymi nie dawały się odczytać; prawdopodobnie tutejsze życie weszło w reakcję ze zbudowanymi z węgla nośnikami pamięci.

Milewicz z ulgą zamykał za sobą drzwi transportera, zostawiając za nimi ten dziwny, śliski i wijący się świat.

Fessler zjadł podaną mu owsiankę, brudząc się przy tym jak dziecko. Wstał od stołu, przewracając krzesło, i podszedł do okna, za którym rozpościerała się ciemność przestrzeni kosmicznej.

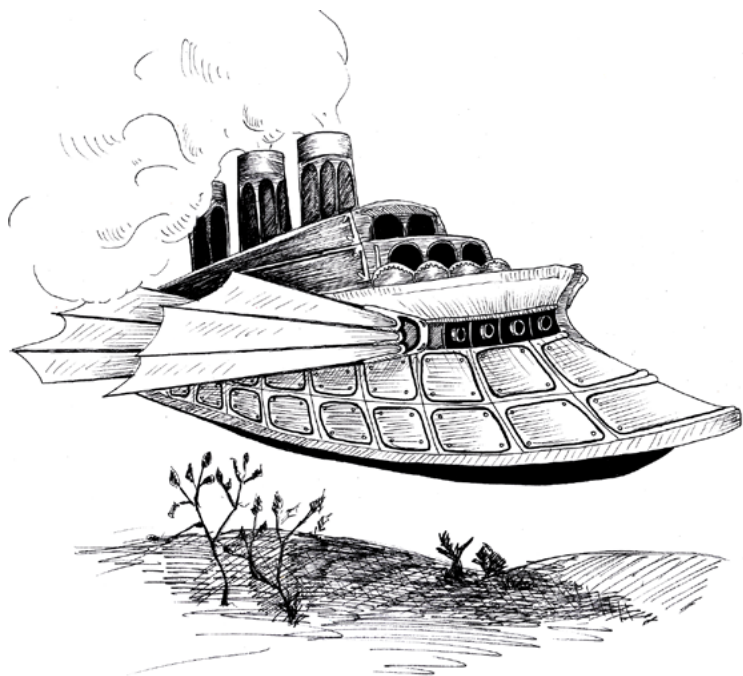
Przyjęli to z ulgą. Czasami siedział z załogą dłużej, próbując uczestniczyć w poobiednich rozmowach, ale z rzucanych przez niego bezsensownych zdań nie dało się wyciągnąć żadnej logicznej treści. Jeszcze trzy tygodnie i odstawią go na Ziemię.

Pavel czuł się szczęśliwy. Był najedzony i wyspany. Nie wiedział, gdzie zmierzają, ale przeczuwał, że będzie to nowe, fascynujące i pełne możliwości miejsce. Wspaniały humor mącił tylko ból karku. Od kilku dni wyrastała na nim wielka, wrażliwa guła. Ktoś na statku, ubrany na biało, nazwał to chyba „cystą” i powiedział, że na Ziemi mu to usuną. Pavel niewiele z tego zrozumiał; czuł jednak, że powinien drapać. Bolało, ale mimo tego drapanie było dobre.

Nie widział zniesmaczonych spojrzeń mężczyzn siedzących przy jadalnianym stole. Patrzył przed siebie i drapał, coraz mocniej i intensywniej. W końcu poczuł ulgę. Cysta pękła. Pavel zbliżył do oczu palce ubrudzone glutowatą mazią. Z ich powierzchni odrywały się pierwsze zarodniki, zmierzając do systemu wentylacyjnego statku.

Michał Cholewa – Matematyk z wykształcenia, informatyk z zawodu, fantasta z zamiłowania. Nałóg czytania wykształcono mu podstępnie za młodu, zainteresowanie pisaniem przyszło z czasem. Fan twórczości Stanisława Lema, Joe’ego Haldemana i Roberta A. Heinleina. Historycznie zainteresowany wojną na Pacyfiku 1941-1945. Laureat Nagrody im. Janusza Zajdla w roku 2015 za „Fortę” oraz nagrody „Kwazar” i Srebrnego Wyróżnienia Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego za tę samą powieść.

Michał Cholewa
POŚCIG



Wieczór w Diamond Rock był przepiękny. W blasku ostatnich pomarańczowozłoty promieni woda cięta smukłym kadłubem „Lewiatana” wydawała się zajmować ogniem, rozbijając w dziesiątki i setki iskier unoszących się wokół dziobu liniowca, jej fontanny otaczały połyskliwą mgiełką wysokie burty i nitowane płyty powoli odsłaniającego pokład pancerza, a także powiewający na rufie proporzec Królewskiej Floty Wojennej. Kapitan Wilson Bennet nie zauważał żadnej z tych rzeczy – przysłaniała mu je smutna prawda.

Spóźnili się.

Kiedy „Lewiatan” osiadał na tafli jeziora portu Diamond Rock, jego dowódca mógł z łatwością dostrzec dym bijący z rozbitych kotłów kanonierki oraz żołnierzy uwijających się przy wysadzonej bramie magazynów wojskowych. Nad odległym kombinatem Kompanii Handlowej krążyły drobne punkty statków patrolowych, przemykając pomiędzy czarnymi kolumnami dymu unoszącymi się z komarów generatorów materium.

– Panie Huxley – Bennet oderwał wzrok od ponurego widoku i zwrócił się do wysokiego, chudego jak patyk sygnalisty – zechce pan przekazać, że chciałbym spotkać się z gubernatorem.

– Nie mogli być tu dawno. – Stojący przy mapie Trevelyan skrzywił usta w drapieżnym uśmiechu, muskając dłonią rękojeść noża. – Sugeruję natychmiastowe poderwanie „Lewiatana” i rozpoczęcie poszukiwań. Jak będziemy mieć trochę szczęścia, złapiemy ich, zanim się oddalą.

– Nie widzieliśmy ich na podejściu. – Zielone oczy O'Malley wpatrywały się z wściekłą bezsilnością w kłęby burego dymu, kłykcie jej zaciśniętej pięści były niemal białe. Mówiła jednak spokojnie. – Czterdzieści mil od Diamond Rock zaczynają się wąwozy Mistmarsh. Jak Caravaggio ich dopadnie, to zniknie w oparach i będziemy tydzień szukać tropu.

Trevelyan wyrócił oczami.

– Jestem skłonny zgodzić się z panią O'Malley – powiedział Bennet, nie odwracając się od iluminatora. Myśli O'Malley jak zwykle podróżowały podobnymi ścieżkami, co jego własne. – Natychmiastowy pościg może nam dać sukces, jednak o wiele bardziej prawdopodobne jest stracenie całych dni na błędzenie we mgłach Mistmarsh. Proszę uzbroić się w cierpliwość, panie Trevelyan, pański były okręt może umknąć tym razem, ale w końcu go dopadniemy.

Drugi oficer „Lewiatana” skrzywił usta, lecz szybko się opanował i tylko pokręcił głową. Bennet musiał przyznać, że nie dziwi się jego nastrojowi aż tak bardzo. Z tego, co widział, „Szkarłatny Świt” był tu nie więcej niż kilka godzin temu. Jego samego trochę kusiło, by nakazać start, wycisnąć z silników każdą uncję mocy i ruszyć w pościg. Piracki okręt to wszak jeszcze strumieniowiec, skazany na łapanie w żaglochwyty kapryśnych prądów materium. O wiele wolniejszy niż „Lewiatan” i współczesne okręty. Koniec długiego polowania mógł znajdować się w zasięgu ręki. Bennet jednak był doświadczonym oficerem i wiedział, z kim ma do czynienia. Pościg na ślepo stanowił prosty przepis na porażkę. Rozsądek nakazywał raczej poszukać tropów.

– Kapitanie. – Huxley wyrwał z dalekopisu szarą kartkę.
– Gubernator oczekuje na spotkanie.

– Dziękuję. – Bennet skinął głową, patrząc na chmurę kropli wody poderwanych przez lądowanie, płonących czerwienią w zachodzącym słońcu. Następnie zwrócił się do sternika przy mosiężnym kole: – Panie Backbury, proszę natychmiast podprowadzić nas jak najbliżej pirsu.

– Tak jest, kapitanie. – Najmłodszy oficer na mostku „Lewiatana”, dwudziestoletni zaledwie midshipmen Tobias Backbury, pokiwał z przejęciem głową, wyraźnie nie mogąc oderwać spojrzenia od tego, co widniało za iluminatorami mostka: to był pierwszy raz, kiedy widzieli tak świeże skutki ataku piratów.

– Panie Trevelyan, uda się pan ze mną na spotkanie z gubernator Morwood. – Bennet odwrócił się do porucznika. – Sądzę, że pańska wyjątkowa... ekspertyza może się nam bardzo przydać.

– Wedle rozkazu. – Trevelyan stuknął obcasami, ignorując nieprzyjemne spojrzenie O'Malley.

Wilson Bennet skinął głową i zwrócił się na powrót ku iluminatorowi. „Lewiatan”, posłuszny komendom Backbury'ego, wykonywał ostry zwrot ku wojskowemu nadbrzeżu Diamond Rock, prosto w cień fortu górującego nad jeziorem lądowiska.

Gabinet bardziej przypominał pokój sztabowy niż miejsce pracy arystokraty. Na ścianie wisiała mapa przedstawiająca Region Drake'a, upstrzony mniejszymi i większymi osiedlami, z nakreślonymi głównymi trasami handlowymi oraz niezliczonymi kolorowymi pinezkami niewiadomego przeznaczenia. Prosty, mocny dębowy stół zawałały

papiery, a stojące przy nim krzesła zostały wyraźnie zrobione, by dostosować je do potrzeb oficera, a nie lorda. Sama gubernator zresztą również nie przywodziła na myśl typowej arystokratki. Lady Ellaria Morwood, dama Krzyża Rycerskiego Królowej, pani na Stockton i gubernator Diamond Rock, była surową, szczupłą sześćdziesięciolatką, odzianą w oficcerski mundur Floty. Mimo wieku wyglądała, jakby bez trudu mogła staczać pojedynki z młodszymi o czterdzieści lat oficeraми. W prawie całkiem siwych już włosach nadal widać było ciemne pasma, a z pociągłej twarzy spoglądało na Benneta jedyne czarne oko. Prawą część oblicza lady skrywała czarna przepaska. Oprócz gubernator w pomieszczeniu przebywał młodszy, jasnowłosy i jakby niepasujący do tego miejsca elegancki mężczyzna w błękitnym surkocie.

– Kapitanie Bennet. – Morwood nie patrzyła na oficera, skupiając się na przyniesionym liście admiralicji. Mówiła typowym głosem arystokratki, pewnym, mocnym, nieznoszącym sprzeciwu. – Miło mi pana powitać, choć przyznaję, że spotykamy się w nie najlepszych okolicznościach. Ale, jak rozumiem, właśnie to zamierza pan zmienić.

Oddała dokument, wyraźnie uprzedzając swojego towarzysza próbującego sięgnąć po papier.

– Tak jest, Lady Morwood. – Wyprostowany w pozycji zasadniczej Bennet krótko skinął głową.

– Jest z nami – gubernator wskazała na eleganckiego młodzieńca – baron Hollows, reprezentant Kompanii Handlowej.

Hollows skłonił się dwornie, cały czas patrząc jednak kosym okiem na Trevelyana. Kącik ust porucznika uniósł się w pogardliwym grymasie.

– Rozumiem, że Diamond Rock ma teraz pełne ręce roboty z usuwaniem skutków ataku – powiedział Bennet, odruchowo rzucając okiem na wąskie okno wychodzące na jezioro – lecz ze względów oczywistych nasze zadanie wymaga pośpiechu.

– Tak. – Lady Morwood wyraźnie się uśmiechnęła, krótkim gestem wskazując na trzymany przez Benneta list. – Korona w końcu zdecydowała, że pora, żeby tych rzezimieszków wyłapać do końca i powywieszać?

– Admiralicja nie użyła dokładnie tych słów – odparł dowódca „Lewiatana” ostrożnie i z lekkim zaskoczeniem. Morwood wyraźnie była doskonale obeznana ze standardami marynarki, gdyż potworzyła właściwie słowo w słowo to, co Bennet usłyszał podczas

odprawy w Victorii. – Ale tak, admiralicja zamierza zamknąć problem piractwa nad Regionem Drake’a. W tym także problem działalności „Szkarłatnego Świtu” i kapitan Caravaggio.

– Herszt – poprawiła lady ostro, a jej dłoń wsparta o blat stołu zacisnęła się w pięść. – Kapitanem to ona była, kiedy służyła we Flocie. Odkąd wznieciła bunt i ukradła okręt, to nie żaden kapitan, tylko rozbójniczka i zdrajczyni.

Bennet skinął krótko głową, przeklinając własną nieuwagę. Caravaggio jeszcze jako dowódca „Nieugiętego” odpowiadała za ochronę Diamonds Rock. Bunt i kradzież strumieniowca, teraz znanego jako „Szkarłatny Świt”, były szczególnie bolesnymi ciosami dla Morwood.

– Naturalnie, ma’am. Przepraszam, ma’am.

Morwood najwyraźniej to wystarczyło, bo opanowała się natychmiast.

– Nic się nie stało – powiedziała ciszej. – Dawne dzieje. Dobrze, że pan jest. Przyzwyczailiśmy się do jednostek liniowych latających raczej w przeciwnym kierunku.

– Victoria wie, jak ważny jest Region Drake’a – zapewnił Bennet. Znowu niecelnie, zorientował się natychmiast.

– Victoria ciągle odwołuje ciężkie okręty i wsparcie, a oczekiwania wobec napływu surowców rosną – powiedziała Morwood spokojnie. – Czasem myślę, że potrzebowalibyśmy kolejnego rajdu eskadry aragońskiej, żeby przypomniała sobie o nas.

Baron Hollows przymknął oczy i westchnął bezgłośnie, rzucając Bennetowi krzywy, przepraszający uśmiech. Lady Ellaria wyraźnie nie pierwszy raz zdecydowała się wygłosić swoją opinię o alokacji Floty.

– Z całym szacunkiem – kapitan starał się zachować neutralny głos – Królestwo nie odbiera tych okrętów ze względu na kaprysy królowej. Nadal jesteśmy w stanie wojny z Aragonią, Flota blokuje przejście nad Morzem Piasku...

Morwood machnęła niedbale ręką.

– Wiem, wiem. Najazd akurat Aragonii nam nie grozi. Po prostu tam, gdzie nie ma kota, harcują myszy. Często zwykłe szkodniki żerujące na chwilowej okazji – łypnęła krótko na Hollowsa – ale też jedna, że tak powiem, szczególnie zuchwała. I wiem, że wojna jest pilniejsza niż wytropienie, było nie było, jednego okrętu.

Bennet skłonił głowę.

– Ważniejsza, prawda, ale to nie znaczy, że Victoria zapomina o was. Otrzymałem, jak pani widzi, jasne rozkazy i uprawnienia – gładko wrócił do tematu – by w razie potrzeby wykorzystać do obławy siły zbrojne Regionu oraz oczekiwać pomocy we wszystkich portach. Nie sądzę, żeby pościg potrwał długo.

– Mam dokładnie taką samą nadzieję – powiedział miękko niepytany Hollows. – Ze swojej strony mogę dodać, że rekomenduję Kompanii Handlowej wsparcie pańskiej obławy wszelkimi dostępnymi środkami. Pirackie... popisy Caravaggio mocno godzą w spokój sektora. Poddani Korony nie mogą prosperować w spokoju, dopóki istnieje zagrożenie.

– Będę wdzięczny. – Dowódca „Lewiatana” uśmiechnął się grzecznie. – I z całą pewnością skorzystam.

Pomocą tak potężnego bytu jak Kompania zdecydowanie nie można było pogardzić. Ani jednak przez chwilę nie potraktował poważnie troski dygnitarza o poddanych Korony. Gigantyczny moloch, jaki Hollows reprezentował, kierował się wyłącznie trzeźwym pragmatyzmem – a nie dało się nie zauważyć, że załoga „Szkarłatnego Świtu” upodobała sobie właśnie gwarantujące rozgłos wydobywcze kombinaty i transporty handlowe.

– No, kurtuazje na bok – rzuciła Morwood niedbale, puszczając w stronę Hollowsa kose spojrzenie. – Jak długo „Lewiatan” zabawi na Diamond Rock? Czego pan od nas potrzebuje?

– Wystartujemy, kiedy tylko dowiem się o szczegółach ataku, co zginęło, jakie były straty.

– To bardzo proste. – Baron mówił spokojnie, lecz Bennet wyczuwał, że pod maską kurtuazji kryje się gniew. – Piraci ukradli „Mewę”, frachtowiec Kompanii z ładunkiem zapasów dla Havensport i St. Matthews.

Dowódca „Lewiatana” uniósł brwi. Kradzież własności Kompanii doskonale tłumaczyła obecność Hollowsa w gabinecie gubernatora. Deklarowany przez niego ładunek „Mewy” za to zupełnie nie wyjaśniał przyczyn tej kradzieży.

– Tylko to?

– Tylko – potwierdziła Morwood.

– A zniszczona brama głównych magazynów?

– Nawet się do nich nie zbliżyli.

Wilson Bennet pokiwał powoli głową, starając się ułożyć w głowie plan działania.

– Rozumiem – powiedział wreszcie, sam tylko wiedząc, jak dalekie jest to od prawdy. – Będę musiał jak najszybciej wypytać świadków ataku, najlepiej załogi Floty, ale i tych, którzy byli blisko „Mewy”. Chcę też spotkać się z którymś z ekonomów barona Hollowsa i obejrzeć manifest jej załadunku.

– Osobiście zadbam, by sprowadzić taką osobę. – Młody baron pochylił nieznacznie głowę.

– Jeszcze dziś.

– Bardzo dziękuję. Będę też wdzięczny za zaopatrzenie dla mojego okrętu. Jest możliwe, by mój oficer spotkał się z tutejszym kwatermistrzem?

– Oczywiście. – Morwood wstała i wyciągnęła rękę ponad stołem. Bennet uniósł brew, zaskoczony, ale szybko się opamiętał i uśmiechnął prawicę arystokratki. – Powodzenia w śledztwie i proszę nie wahać się prosić o pomoc administrację Królestwa w Regionie. Och, i jeszcze jedno...

– Ma'am?

– W rozkazie jest napisane, żeby, o ile tylko to będzie możliwe, zając statek i schwytać ich żywcem.

– Tak jest. Admiralicja chce, żeby zostali osądzeni w Diamond Rock. W końcu to tutaj nastąpiła zdrada Caravaggio.

Morwood pokiwała głową powoli, spokojnie. W jej jedynym oku zabłyśła iskra zimnej, niepowstrzymanej nienawiści.

– Byłabym wdzięczna, gdyby pan się postarał.

– Taki mamy zamiar, ma'am.

– Doskonale. Może pan odejść.

Dwaj oficerowie mijali już próg, kiedy usłyszał miękki głos Hollowsa.

– Kapitanie Bennet?

– Słucham? – Dowódca „Lewiatana” odwrócił się na pięcie.

– Pański podwładny... – Baron wskazał na Trevelyana. Oficer uśmiechnął się drwiąco. – Czy jego nazwisko powinno wydawać mi się znajome?

Wilson Bennet spojrział na reprezentanta Kompanii obojętnie. Spodziewał się tego pytania i musiał przyznać, że był zaskoczony dyplomatycznym podejściem rozmówcy.

– Powinno – odparł. – Ale nie powinno pana martwić. Korona ręczy za pana Trevelyana patentem oficerskim. Ja ręcę za niego słowem dowódcy.

– Naturalnie. – Młody arystokrata skinął głową z przepraszającym uśmiechem. – Przepraszam, jeśli to był problem.

– Żaden problem – odrzekł dowódca „Lewiatana”. – A teraz, jeśli państwo pozwolą...

Sklonił się, kątem oka widząc, jak powtarzający jego gest Trevelyan wpatruje się w Hollowsa z sardonicznym uśmieszkiem.

Bennet nie zamierzał czekać z działaniem do rana, tym bardziej że większość załogi fortu Diamond Rock i tak była na nogach, usuwając skutki ataku. Podczas kiedy O'Malley organizowała załadunek materium i zapasów na pokład „Lewiatana” on sam razem z Trevelyanem starał się odtworzyć obraz ataku i zrobić dokładną listę skradzionych zapasów.

Wszystko zdawało się dziwne. „Szkarałatny Świt” uderzył tuż przed wschodem słońca, jakimś cudem unikając wykrycia przez patrolującą tereny wokół Diamond Rock kanonierkę „Śmiały”. Dzwony na alarm zagrały, dopiero kiedy strumieniowiec wyszedł spomiędzy przyszarzonych poranną mgłą wzgórz ledwie trzy mile od miasta. Załoga starej, ale jednak silnikowej fregaty „Niezlomny” mimo zaskoczenia natychmiast rozpoczęła gorączkowe przygotowania do startu. Dowódca, kapitan Phillips, był pewny swego – choć „Niezlomny” pochodził z pierwszej generacji silnikowców o zawodnym, potwornie głośnym napędzie oraz niezbyt wielkiej liczbie dział, nadal górował prędkością, mocą i opancerzeniem nad każdym strumieniowcem i zwycięstwo wydawało się pewne. Nie docenił jednak przeciwnika. Caravaggio nie tylko sama była nieomal owiana legendą, ale i jej załoga była elitą, doświadczoną i zgraną, pracującą jak jeden organizm. „Szkarałatny Świt” otworzył ogień z dystansu prawie dwóch mil, pozornie bez szans ani na celny strzał ani – nawet gdyby taki się zdarzył – na uszkodzenie pancernego poszycia fregaty. I faktycznie przez pierwsze chwile pociski pirata wzniecały tylko fontanny wody daleko od burty okrętu Floty. Katastrofa nastąpiła później.

Nagle, kiedy okręt Królestwa właśnie odrywał się od tafli jeziora i miał rozpocząć manewrowanie, kanonierzy kapitan Caravaggio

trafli z prawie niemożliwego dystansu półtorej mili. Tylko raz, ale to okazało się wystarczające. Kombinacja olbrzymiej odległości i dobrego opancerzenia jednostek Floty w normalnej sytuacji zaowocowałyaby niezbyt dotkliwym wstrząsem. Nie tym razem. Strzał kanonierów Caravaggio trafił dokładnie do wnętrza szerokiego komina okrętu, pocisk musiał eksplodować wewnątrz. Szczęśliwie przesłony bezpieczeństwa zareagowały w porę i fregata przetrwała trafienie, ale napędzające ją maszyny stanęły.

„Niezlomny” zachwiał się, zadygotał w nagłych skurczach umierającej maszynierii i ciągnąc za sobą warkocze dymu, runął w dół, po czym osiadł ciężko na powierzchni jeziora. Załoga przypadła do pokładu, patrząc z przerażeniem na wyrwane w obudowie silnika dziury, na wskaźniki ustawione na niemożliwych wartościach i bijący w górę czarny, połyskujący kolorowymi refleksami dym materium i katalizatorów. Zniknął napęd, sterowanie działami, nawigacja... pozostało cieszyć się, że okręt był nisko, kiedy to się wydarzyło. Marynarze, gdy tylko pozbiali się z pokładu, dopadli karabinów i automatycznych kulomiotów, ale te nie mogły zaszkodzić nadal odległemu pirackiemu okrętowi, który, jakby drwiąc z unieruchomionej fregaty, obleciał ją szerokim łukiem i skierował się w stronę fortu i miasta – oraz głównego magazynu Diamond Rock. „Szkarłatny Świt” w trzech salwach rozbił wzmocnianą bramę potężnego budynku, rozrzucając wokół drzazgi i rozgrzane odłamki metalu. Ludzie gubernator Morwood zareagowali błyskawicznie – szybko przenoszono armaty do posterunków w mieście, piechota w czerwonych kubrakach zajmowała miejsca między budynkami i na dachach. Nielicznych cywili, którzy nie uciekli na głos grającego na alarm dzwonu, siłą zapędzano do domów bardziej odległych od nadbrzeża. Gdyby piraci zdecydowali się uderzyć na miasto, czekałaby ich krwawa przeprawa.

Zamiast jednak to robić, „Szkarłatny Świt” wykonał ostry zwrot i wysadził desant na nadbrzeżu towarowym nieopodal zięjącego dymem kotłów molocha kombinatu wydobywczego, gdzie piraci wpadli na pokład czekającej na południowy start „Mewy”, frachtowca Kompanii Handlowej załadowanego pożywieniem, futrami i materiałami budowlanymi. „Mewa” pilnowała tylko garstka wojskowych – statek był wielki i ciężki, więc jako jednostka całkowicie dla piratów bezużyteczny, a jego ładunek w ogóle nie usprawiedliwiał ataku.

Piraci nawet nie kłopotali się walką z ochroną, zasypali po prostu pomost bombami dymnymi i ogniem ze sztucerów, a kiedy oddział wojska wycofał się pomiędzy zabudowania kombinatu, przejęli fracht praktycznie bez walki i odeszli z nim na środek jeziora, z dala od zasięgu dział portu. Stamtąd niemrawy kolos powoli i ciężko wystartował, po czym razem z okrętem kapitan Caravaggio zniknął za lesistymi wzgórzami.

Historię tę do trzeciej w nocy, kiedy zakończyli przesłuchiwanie ostatnich oficerów Floty, usłyszeli w różnych wersjach, ale główne punkty pozostawały te same. Nadejście Caravaggio, alarm, nagłe ciężkie uszkodzenie fregaty, błyskawiczny abordaż „Mewy” i odejście dwóch maszyn gdzieś na północ. Kilku oczywiście ubarwiało swoje opowieści, budując coraz to bardziej mityczne konstrukcje na pokładzie „Świtu”, wielkie materiumowe działa, zagadkowe urządzenia, ktoś – jak zawsze w podobnych wypadkach – wspomniął o magii. Wilson Bennet obracał słowa marynarzy i oficerów w każdą stronę, ale nie potrafił wydobyć z nich prawdy. Załoga „Świtu” stanowiła niegdyś elitę Floty i jeśli istnieli kanonierzy zdolni do takiego strzału, to właśnie na okręcie Caravaggio należało ich szukać. Ale strzał z półtorej mili w tak mały cel zdawał się być poza zasięgiem nawet ich. Czy Caravaggio miała jakąś nową, przełomową broń? Tylko jaką? Bennet nie słyszał o celnym ogniu z takiego dystansu. To musiałyby być coś naprawdę nowego. Ale w takim wypadku jak taki cud techniki wpadł w ręce piratów? Jaka fabryka broni go wykonała? Czym za niego zapłacono?

Kolejną zagadką był faktyczny łup piratów. Zgodnie z manifestem „Mewa” przewoziła głównie narzędzia, odzież, żywność do kombinatów położonych dalej od ludzkich osiedli i amunicję – naturalnie, w myśl odwiecznej polityki Kompanii, w liczbie dokładnie o sto sztuk niższej niż ta, przy której trzeba uzyskiwać pozwolenie administracji Królestwa. Żadnych pieniędzy, żadnego urobku, żadnych przedmiotów szczególnie cennych.

– Może po prostu Kompania nie ujęła części towarów w manifestcie? – zapytał Trevelyan, kiedy dwóch oficerów zatrzymało się na posiłek w garnizonowej kuchni.

– Tylko że „Mewa” faktycznie miała odchodzić tylko do placówek Kompanii w Regionie Drake’a. Co innego mogłaby wieźć?

– Broń, niewolników, maszyny? – Porucznik wzruszył ramionami, nie przerywając jedzenia. – Kto wie?

– Widzę, że ma pan niskie zdanie o lojalności Kompanii wobec Korony. – Bennet sięgnął po stojący obok miski kubek i pociągnął łyk wody. – Gubernator by na to nie pozwoliła.

Trevelyan spojrział na przełożonego znad glinianej miski, z której wybierał gulasz kawałkiem chleba. Na jego twarzy malowało się coś niebezpiecznie bliskiego politowania.

– Nie bywał pan zbyt często w Regionie Drake’a, prawda?

– Nie – odparł Bennet spokojnie. Trevelyan, jakkolwiek irytujący był jego stosunek wobec nowo nabytego munduru oraz ludzi go noszących, był dobrym oficerem. A w tej konkretnej misji fachowcem wręcz nieocenionym. – Nie wiem również wiele o tym, jak piraci widzą praworządność przedsiębiorstw. Jak mniemam, w obu tych problemach jest pan gotów mi pomóc.

Porucznik przez chwilę milczał, bawiąc się resztką chleba. Popatrzył na Benneta, potem rozejrzał się po pomieszczeniu, wreszcie westchnął.

– Naturalnie, sir – powiedział zaskakująco przygaszonym tonem, zupełnie nielicującym z jego zwykłym zachowaniem. – Mogę panu wyjaśnić. Jesteśmy na pograniczu. Region Drake’a od początku ciągu wojen z Lafayette i Aragonią, od cholernych trzydziestu lat, jest tylko kolejnym źródłem surowców, a Kompania zapewnia ich wydobycie. Jeśli zapewni większą produkcję, szybsze transporty i stabilniejszy strumień towarów, nikt nie będzie zbyt uważnie patrzył, jak to robi, dopóki nie będzie zbyt ostantacyjna. Teraz, kiedy poskromiono materium, są silniki i wielkie kombinaty, świat się tu zmienia i nikt się nie przejmuje, kto przy tej zmianie zginie. Obstawiam, że w Victorii nikt nawet nie uniósłby brwi na wykorzystywanie niewolników, szczucie ich psami czy rozwalanie kulmiotami, jak długo Korona dostałaby swoją porcję żelaza, esencji materiumowej i ołowiu.

Wilson Bennet pokręcił głową.

– Z takim postrzeganiem Korony nie dziwię się, że tak wielu miejscowych dołączało do piratów w ramach walki o równy dostęp do szczucia, strzelania i łupienia.

Porucznik spojrział nań, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie tylko odstawił miskę i sięgnął po własny kubek.

– Pytał pan, sir, więc powiedziałem. – Napił się, po czym demonstracyjnie skrzywił usta. – Ech, woda.

– Jest pan na służbie, poruczniku, napije się pan w czasie wolnym – odparł kapitan obojętnie. – Ale do rzeczy. Nie sądzę, żeby hrabia Hollows powiedział mi, co naprawdę znajdowało się na pokładzie „Mewy”, i nie mamy możliwości tego sprawdzić. Ma pan pomysł, co Caravaggio może chcieć zrobić z frachtowcem?

Devon Trevelyan pociągnął jeszcze jeden łyk wody, znowu skrzywił się, jakby wypił ocet.

– Przyznam, panie kapitanie – odparł – że mam.

Wystartowali tuż przed świtem, biorąc kurs na północ, w stronę gdzie wczoraj wyruszył „Szkarałatny Świt”. Szybko zostawili za sobą złoty blask słońca na powierzchni jeziora i wysokie mury fortu Diamond Rock i zanurzyli się w wiszące nad wąwozami Mistmarsh mgły. „Lewiatan” szedł dwiema trzecimi mocy maszyn, rozcinając strzępy szarego oparu, nisko nad pędzącymi tuż pod kadłubem – a czasem nawet wystającymi ponad relingi – wierchołkami ukrytych w szarości drzew. Wszyscy obserwatorzy tkwili na stanowiskach, wypatrując niespodziewanych przeszkód, a młody Backbury co piętnaście minut wymieniał się przy sterze z O’Malley. Wokół okrętu panowała cisza, zakłócana jedynie stłumionym szumem silnika liniowca i od czasu do czasu szeleszczącym odgłosem wysokich, cienkich gałązek ocierających się o kadłub. Rzykowny lot został nagrodzony tuż przed południem – wtedy bowiem czujne oczy obserwatora na dziobie wypatrzyły niewyraźny kształt tego, czego szukali.

Wrak „Mewy” leżał na dnie szerokiego wąwozu jak olbrzymi wyrzucony na brzeg morza wieloryb. Przechylony mocno na bakburcie, ze spaloną sterówką i podziurawioną, złamaną wpół sylwetką komina, zanurzony w szarości sprawiał wrażenie, jakby leżał tu od lat, choć minęła niecała doba, odkąd porzuciła go załoga „Szkarałatnego Świtu”.

– Dobry strzał, panie Trevelyan – powiedział Bennet, spoglądając zza relingu na olbrzymi, obły kształt frachtowca z ciągle widoczną na burcie nazwą oraz godłem Kompanii Handlowej na zawilgotniałej i smutnej chorągwi poniżej bandery Królestwa.

– Zgadywanie nie ma z tym nic wspólnego – zachnął się porucznik. – Wiadomo było, że nie będą żeglować zbyt daleko z takim balastem, zwłaszcza że kapitan Caravaggio zawsze liczy się z pościgiem. To była kwestia ustalenia miejsca, gdzie go pozostawili.

– Wygląda na to, że nieźle sobie poużywali – zauważyła O'Malley, zdejmując na moment czapkę i spoglądając smutno na wrak. – Co im ta biedna krypa zrobiła?

Bennet świetnie rozumiał sentyment żeglarki z Wyspy Harfy, która pierwsze szlify zdobywała na szkunerach floty handlowej.

– Nie chcieli, żeby ktoś go stąd podniósł – odparł Trevelyan. – Dość częsta praktyka w swoim czasie. Ładunek materiumowy do kotłów, ogień w sterówce, zabrane z pokładu mapy. Broń również zabrana lub zniszczona, czasem uszkodzony ster. Kadłub jest cały, świetnie nadaje się na magazyn, a jednocześnie nikt go stąd nie wyprowadzi.

– Okrutne. – O'Malley pokręciła głową.

– Praktyczne – wzruszył ramionami Trevelyan.

– Jakiegolwiek by nie było – Bennet uciął rodzącą się kłótnię – to zysk dla nas. Będziemy mogli zobaczyć, co zabrali, a co zostawili sobie na później. Być może dzięki temu dowiemy się, gdzie mogli polecieć.

Oraz, dodał już w myślach, jakie rewelacje „Mewa” wiozła w swoich ładowniach.

Marynarze zeszli na pokład frachtowca na linach i w szalupach o mocno wydętych żaglochwytych, z trudem łapiących prądy materium w wąskim, porośniętym iglakami wąwozie. Uwijające się na „Mewie” sylwetki szybko traciły barwy i rozmywały się w unoszącej się nad statkiem mgłę. Obserwujący je z pokładu „Lewiatana” od czasu do czasu słyszeli zniekształcone echa pokrzykiwań na pokładzie olbrzyma, kiedy grupy poszukiwawcze przeszukiwały kolejne pokłady.

Bennet na mostku liniowca spoglądał w dół z żalem. Było coś rozdzierającego w zniszczonych wrakach, zwłaszcza takich, które jeszcze dwa dni temu szykowały się do wyjścia z portu. Przysadzisty, obły kadłub „Mewy” nie był co prawda tak elegancki jak smukłe, wrzecionowate kształty odchodzących w mroki historii strumieniowców, ale jako marynarz kapitan „Lewiatana” bez trudu był w stanie dostrzec w nim piękno. Na szczęście, w przeciwieństwie do strumieniowców, frachtowiec będzie miał drugie życie. Kompania Handlowa podchodziła do swoich jednostek w pełni

użytkownie, a przywrócenie „Mewy” do sprawności nadal było sporo tańsze niż produkcja nowego statku tego typu. Wyobrażał sobie, że kiedy tylko zawiadomią Diamond Rock, przestrzeń nad wrakiem natychmiast zaroi się od kanonierek i holowników, na parę godzin ożywiając to miejsce, a potem kadłub powędruje do stoczni Królestwa. On oczywiście tego nie zobaczy – jakkolwiek hrabia Hollows z radością widziałby przy operacji osłonę liniowca wojennego, „Lewiatan” miał ważniejsze rzeczy do roboty. Gdzieś tam czaiła się Caravaggio z jej „Szkarłatnym Świtem”, zapewne już planująca kolejny atak.

Mimo sprawnego zarządzania przez porucznik O'Malley, która na rejsach towarowych znała się najlepiej z załogi, dokładne przeszukanie „Mewy” pochłonęło sporo czasu i kiedy pierwsze szalupy osiadły na pokładzie rufowym liniowca Benneta, słońce zbliżało się już do linii horyzontu.

– Zabrali tylko część towaru – zameldowała O'Malley, zeskakując zwinnie z dziobu szalupy. – Zapewne tyle, ile weszło do ładowni „Świtu”. Reszta czeka nienaruszona, prawie trzy czwarte ładunku. Nie znaleźliśmy ani załogi, ani ciał, ale na wszystkich pokładach znać było ślady walki. Przed mostkiem leżał nawet zniszczony kulomiot, ale chyba nie wystrzelił ani razu.

Wilson Bennet uniósł brew. Wielolufowe, śmiertelnie groźne kulomioty były sprzętem zarezerwowanym dla wojska i tych, którzy otrzymali specjalne pozwolenie od administracji Królestwa. Nic nie słyszał o tym, aby Kompania miała takie pozwolenie lub chociaż o nie występowała. Z drugiej strony musiał przyznać, że tu, na pograniczu, chęć obrony własnych statków mogła przeważać nad problemami administracyjnymi.

– Cóż, myślę, że możemy się cieszyć, że nie mieli armat... – weszchnął. – Co było w ładowniach? Co z nich zabrano?

– W dużej mierze to, czego się spodziewaliśmy. – O'Malley wyjęła zza pazuchy gruby notes. – Tu jest manifest ładunku. A tutaj drugi. Znaleźliśmy go pod podłogą kajuty kapitańskiej.

Drugi notatnik, który wyciągnęła z naramiennej torby, nie różnił się zupełnie niczym od pierwszego. Nazwa „Mewa” wypisana srebrnymi literami na okładce z grubej skóry, pokryte drobnym pismem strony, pieczęć Królewskiego Towarzystwa Frachtu. Kapitan „Mewy”

był wyraźnie gotowy na każdą kontrolę. Pytaniem pozostawało, co chciał ukryć. Bennet przełożył kilka stron drugiego z manifestów.

– Sporo solonego mięsa, warzyw, cytrusów, rumu. Suchary, cukier, mąka. Narzędzia, gwoździe, materiały, naczynia. – Zmarszczył brwi, przekładając kolejne strony. – Słowem, rzeczy przydatne w utrzymaniu osiedli na pograniczu.

Ruda porucznik pochyliła się i wskazała założoną stronę.

– Ale to nie wszystko – powiedziała, patrząc, jak dowódca otwiera notatnik we wskazanym miejscu.

Bennet zmarszczył brwi, kartkując manifest. Wreszcie wymienił znaczące spojrzenia z Trevelyanem. Porucznik nie wyglądał ani trochę na zaskoczonego. W kolejnych słupkach widniały rzędy oznaczeń skrzyń transportowych i opis ich zawartości. Mnóstwo amunicji, prawie dziesięciokrotność dozwolonego limitu. Kordelasy, pałasze, ale i sztucery, karabiny, nawet szybkostrzelne kulomioty. Części napędów okrętowych. Nie dostrzegł dział, ale to, co przewoziła „Mewa”, pozwoliłoby uzbroić regiment piechoty, fort, wymienić silnik na okręcie. Żadnej z tych rzeczy kombinaty nie potrzebowały.

– Przynajmniej wiemy, czemu porwali akurat ten statek – mruknął kapitan, patrząc na Treveljana.

– Zabrali dużo więcej sprzętu niż broni – zaprotestowała O'Malley. – Sama się zdziwiłam.

– Sprzętu?

– Pożywienie, narzędzia, ubrania, części silników, splot na żaglochwyty... Może łatwiej o zbyt.

– Kto poza wojskiem i Kompanią kupi części? – zdziwił się Bennet.

– Nie wiem nawet, kto zapłaci za resztę więcej niż za broń.

Devon Trevelyan w namyśle zmrużył bladoszare oczy. Sięgnął po manifest ładunku, przejrzał kolejne strony.

– Sądzę, kapitanie – powiedział wreszcie – że wiem, dokąd się kierują.

„Lewiatan” uruchomił silniki, kiedy tylko jego załoga powróciła na pokład. Ożyły materiumowe kotły, zagrała maszynownia, mgły znad wąwozu rozstały się, umykając przed strugami gorącego powietrza z silników. Okręt wzniósł się wyżej, ponad mgły, by następnie wykonać ostry zwrot na zachód, wprost na zbliżającą się do horyzontu czerwoną kulę słońca. Wąwozy powoli zamieniały się

w niekształtne kontury, by w końcu zniknąć w szarości. Daleko pod kadłubem przemykały rzadkie wierzchołki iglastych drzew.

Marynarze kończyli składać żaglochwyty szalup, mocując małe jednostki na ich pozycjach. Obserwatorzy zmieniali się przed wieczorem. Kanonierzy sprawdzali działa, przenoszono amunicję na stojaki w pobliżu stanowisk strzeleckich. Piechota okrętowa czyściła broń i sprawdzała opancerzenie pod czujnym okiem dowódcy, porucznika Feldmana. Na mostku liniowca także wrzała praca. Sygnalista wysłał do Diamond Rock telegraficzną wiadomość o odnalezieniu „Mewy”, nawigator kreślił jak najodpowiedniejszy kurs dotarcia do St Francis – osiedla określonego przez Trevelyana jako prawdopodobny cel rejsu „Szkarłatnego Świtu”.

Wkrótce słońce dotknęło widnokręgu, kąpiąc idący naprzód liniowiec w czerwonym blasku, cienie wydłużyły się, a widoczne do niedawna sylwetki drzew we mgle kilkadziesiąt metrów pod kadłubem okrętu prawie całkiem już zniknęły. Na zamkniętym mostku „Lewiatana” zapalono latarnie.

– Mają nad nami dzień przewagi, jak sędzę – mówiła Siobhan O'Malley, patrząc na mapę. – Ale nawet tak szybki strumieniowiec jak „Świt” nie może równać się w długim rejsie z „Lewiatanem”, poza tym pewnie będą potrzebowali czasu, żeby podejść do miasta nieopstrzeżenie, skontaktować się z kupcami... Powinniśmy ich dojść bez problemu... O ile faktycznie tam zmierzają.

Stojący na przedzie mostka Trevelyan uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Jak rozumiem, St Francis często zgłaszało zapotrzebowanie na zasoby, które akurat zrabowano. – Bennet oderwał na chwilę oko od lunety, przez którą lustrował horyzont. – No i, jeśli dobrze zrozumiałem, Caravaggio ma tam dobre kontakty.

– To prawda. – O'Malley przesunęła dłońmi po mapie. – Ale tego rodzaju towar można sprzedać w więcej niż jednym miejscu, nawet jeżeli nie za wielkie pieniądze. A co do kontaktów...

Harfijka spojrzała koso na Trevelyana.

– Ależ śmiało – powiedział, patrząc na nią wyzywająco. – Proszę powiedzieć, co pani myśli. „Jeżeli można mi ufać”, prawda?

O'Malley zaczerwieniła się lekko, ale nie dała się zbić z tropu.

– Dokładnie tak. Albo jeżeli zwyczajnie się pan nie pomylił, co również dopuszczam.

– Proszę się o to nie obawiać, ma'am. – W głosie drugiego oficera „Lewiatana” „ma'am” zabrzmiało niemal jak obelga. – Nie pomyliłem się. Znam się na pościgach, nie jestem jakimś tam sklepikarzem z floty handlowej.

– Nie jest pan – zgodziła się kobieta. Wyraźnie chciała coś dodać, ale powstrzymała się.

Bennet odwrócił się od burty, by spojrzeć na dwójkę poduładnych. O'Malley była lekko zaczerwieniona na twarzy, ale stała pewnie wyprostowana, z dłońmi splecionymi na plecach i uniesionym czołem. Trevelyan, z rękami założonymi na piersi, obserwował Harfikę z miną wilka patrzącego na owcę. Pozostali na mostku sygnalista Huxley i Backbury wraz z drobnym Ascottem obserwowali poruczników z wyraźnym niepokojem.

– Proszę państwa – powiedział ostrym głosem. – Zwracam wam uwagę, iż zachowanie wasze nie przystoi oficerom Królestwa, tym bardziej że znajdujecie się w obecności kadry. To ostatni raz, kiedy to robię.

Dwójka poduładnych przez długie pięć uderzeń serca mierzyła się wzrokiem. Wreszcie pierwsza odezwała się O'Malley.

– Tak jest, sir. Przepraszam sir. – Pochyliła głowę i cofnęła się o krok. – Nie powinnam była kwestionować słów oficera Floty. Poruczniku Trevelyan, przepraszam.

Mężczyzna skinął krótko głową.

– Poniosło mnie – mruknął tylko.

Wilson Bennet skinął z aprobatą, choć daleko mu było do spokoju. Przydział drugiego oficera przywitał z mieszanymi uczuciami – przeszłość Trevelyana, świeżo ułaskawionego byłego oficera na „Świcie”, niewątpliwie nie przysparzała porucznikowi popularności na okręcie, czego Bennet właśnie zbierał owoce. Z drugiej strony porucznik był pierwszorzędnym fachowcem o niezaprzeczalnej wiedzy na temat kapitan Caravaggio i jej metod działania – osobą idealną do misji „Lewiatana”. Bennet miał nadzieję, że ta jego cecha zaprocuntuje i Trevelyan nie pomylił się w kwestii St Francis, co zyska mu nieco szacunku w oczach pozostałej kadry. W przeciwnym wypadku Bennet będzie musiał liczyć się z tym, że żeglujecie do potencjalnej bitwy z beczką prochu na mostku.

St Francis powitało ich ciemnymi, burzowymi chmurami, po których pełgały białobłękitne pajęczyny wyładowań atmosferycznych. Zanim jeszcze minęli ostatnie wzgórza przesłaniające im miasteczko, usłyszeli donośny, niosący się w szarości przedświt dźwięk rogu, a chwilę potem zobaczyli ogień na wieży sygnałowej. Zagrał dalekopis Huxleya.

– Proszę o zastopowanie silników i uruchomienie świateł pozycyjnych – zgłosił sygnalista. – Podejście na wysokim pułapie podczas burzy niebezpieczne, prześlą nam pilota, żeby przeprowadził nas na niskim.

– Potrzebujemy aż pilota? – zdziwiła się O'Malley, patrząc na widoczne w szarym blasku wzgórza.

– Tu jest dość kręto – zauważył Trevelyan. – Może są ostrożni. St Francis nie jest, z tego, co wiem, przygotowane do napraw uszkodzonych kadłubów i wołą dmuchać na zimne.

Nie minęło pół godziny i naprzeciw „Lewiatana” wyszedł strumieniowy patrolowiec, połyskliwe żaglochwyty falowały w niestabilnych przepływach materium. Natychmiast nadał „Idź za mną” lampami sygnałowymi i wykonał ostry zwrot z powrotem pomiędzy wysokie wzgórza.

– Bez dalekopisu – zauważył Huxley.

– St Francis utrzymywało się z chałupniczego wydobywania rudy srebra północy – odparł Trevelyan. – Kompania wykupiła licencję na wydobywanie, w okolicy stanął kombinat. Teraz robione jest to szybciej i lepiej, ale miejscowi stracili źródła utrzymania. A ponieważ jest wojna i teren należy do Kompanii, to i gubernatora nie bardzo dofinansowują.

– Korona daje sobie podkupywać teren?

– Nie teren, tylko wydobywanie – sprostował Bennet – tymczasowo i za słona opłatą zresztą. Mamy wojnę, a taka licencja to nagły bardzo dobry zastrzyk gotówki. Panie Backbury...

Wskazał oddalający się patrolowiec. Młody sternik zrozumiał natychmiast i już po chwili „Lewiatan” drgnął i ruszył za miniaturowym okręcikiem.

Fort St Francis był uboższym krewnym tego, który widzieli w Diamond Rock – niższy, przysadzisty, jakby bardziej nadwątłony zębem czasu, miał w swej pieczy nieduże jezioro portu oraz niewielkie miasteczko stojące w cieniu kombinatu, czarnej budowl

oświetlonej dziesiątkami bladych punkcików latarni. Na wysokich masztach grała elektryczność nocnej burzy, a silny wiatr niósł kłęby ciemnego dymu unoszącego się z kominów molocha.

„Lewiatan” wylądował na marszczącej powiewami tafli portu, tak samo szarej jak ponure burzowe niebo, w rzadkich kropłach padającego po ostrym skosie deszczu. Załoga, w ciepłych kubrakach i klnąca, na czym świat stoi, wyległa na pokład przygotować okręt do cumowania. Na odległym nadbrzeżu Bennet dostrzegł czekający na nich komitet powitalny – zbitą w świetle trzymanyh wysoko latarni grupkę czarnych sylwetek.

– Panie Trevelyan – zapytał, obserwując zbliżający się brzeg – jak dobrze pana tu znają?

– Mieszkańcy? Gubernator? Nie sądzę, żeby jakoś szczególnie – odparł drugi oficer. – Jeżeli jednak są tu oficjele Kompanii, cóż... Mój wizerunek jest raczej znany, jak zdążył nam wykazać hrabia Hollows.

– Na spotkanie z gubernatorem pójdę z O'Malley – zdecydował Bennet. – Pan zaś poczeka, aż my zejdziemy na ląd, po czym założy coś mniej reprezentacyjnego, weźmie ze sobą Hartleya i postara się odnaleźć któryś ze swoich kontaktów. Może wiedzą coś więcej niż my czy miejscowy komendant.

– Sierżant Hartley? – Trevelyan skrzywił się wyraźnie. – Myślę, że każdy kontakt źle zareaguje na widok siedmiostopowego draba z piechoty morskiej.

– To nienegocjowalne, panie Trevelyan. – Dowódca „Lewiatana” nie zaszczycił podwładnego nawet spojrzeniem, nadal obserwując nadbrzeże. – Nie chciałbym stracić oficera tylko dlatego że doścignęła pana przeszłość.

Oraz, dodał w myślach, nie chciałbym, żebyś rozmawiał ze swoimi kontaktami bez świadków. Devon Trevelyan był godzien zaufania – na tyle, na ile mógł być ze swoją przeszłością. Bennet bardzo nie chciał dawać mu zbyt wiele okazji do powrotu do dawnego trybu życia, zwłaszcza że „Szkarłatny Świt” mógł być w pobliżu.

– Rozkaz. – Ton drugiego oficera sugerował wyraźnie, że porucznik rozważał podobne motywy dowódcy. – Jestem pewien, że strażnik będzie bardzo przydatny.

– Wspaniale. – Bennet udał, że nie usłyszał sarkazmu. – Panie Huxley, podczas naszej nieobecności mostek należy do pana.

Gubernator St Francis, sir Patrick Ferrel, był drobnym człowieczkiem o posturze i głosie niższego urzędnika. Małe, głęboko osadzone oczka przeskakiwały nerwowo z O'Malley na Benneta i z powrotem, a głowa poruszała mu się szybko, jak u ptaka. Przyjął ich nie w forcie, ale w tawernie na nadbrzeżu miasta, z widokiem na jezioro i stojącego opodal „Lewiatana” – a także uwijających się na ulicy żołnierzy w czerwonych kurtkach, rozstawiających armaty i stanowiska strzeleckie. Sala zdawała się dopiero niedawno uporządkowana, drewniane stoły pełne były śladów po nożach i licznych kontaktach z piwem i polewką, a w całym pomieszczeniu ciągle pachniało tanimi trunkami, dymem i brudem.

– Tak, piracki okręt tu był, jak sam pan widzi – odpowiedział na pierwszą wzmiankę o „Szkarłatnym Świcie”. – Pojawili się na wschód od miasta kilka godzin temu. Podeszli nad jezioro, zatoczyli krąg poza zasięgiem dział i odeszli na zachód.

Wzruszył nerwowo ramionami i szybko zerknął za okno.

– Tylko tyle? – O'Malley zmarszczyła brwi, ale Bennet zgromił ją wzrokiem.

– Jak pani widzi, również nie zakładamy, że byli tu przypadkiem.

– Gubernator wskazał drobną dłońią za okno, na żołnierzy toczących po nadbrzeżu armatę. – Dlatego przygotowujemy się na ich powrót. Nie wiemy niestety ani kiedy to się stanie, ani po co by tu mieli być. St Francis... Cóż, nie jest najbogatszym skarbcem Regionu.

– Mamy powody przypuszczać, że St Francis jest miejscem, w którym piraci mają zbyt na pewien rodzaj łupów – powiedział dowódca „Lewiatana”. – I dlatego tu przybyli.

Sir Patrick Ferrel zmarszczył cienkie jak kreski brwi, ptasio poruszył głowę.

– Jeżeli nie próbują sprzedawać rzeczy naprawdę podstawowych, to naprawdę nie wiem, na co tu może być zbyt.

Wzruszył ramionami, też jakoś ptasio, podciągając je niemal pod same uszy. Obaj oficerowie Floty wymienili znaczące spojrzenia. Problemu nie dało się nie zrozumieć, jeśli tylko spojrzano się na historię ostatnich lat tego miejsca – równia pochyła St Francis, kiedyś utrzymującego się z dziesiątek małych szybów wydobywczych w pobliskich wzgórzach, zaczęła się od przemysłowego wydobycia w Regionie. Kiedy Kompania wykupiła prawa do złóż, powstał kombinat, który szybko stał się jedynym godnym uwagi punktem

osiedla. Niektórzy z mieszkańców znaleźli tam zatrudnienie, lecz automaty były bardziej wydajne od ludzi i wielu chętnych odesłano z kwitkiem. Przez jakiś czas portu używały jako bazy patrolowce Floty, dając miejscowym szansę zarobienia na wiecznie głodnych rozrywek marynarzach, ale szybko zniknęły – piractwo w Regionie praktycznie wytepiiono, a okręty powróciły do Victorii na wojnę z Aragonią. W rezultacie radzące sobie kiedyś osiedle spadło nieprzyjemnie blisko nędzy – los, który zresztą dzieliło z dużą liczbą mniejszych ośrodków w Regionie.

– Mimo wszystko zdecydował się pan wyprowadzić część wojska z fortu? – zapytał Bennet.

– Zdecydowanie tak. – Gubernator zabębnił palcami po drewnianym blacie. – Fort St Francis był budowany do współpracy z Flotą, z murów trudno ostrzeliwuje się podejście do miasta. Kiedyś za tę część odpowiadała wschodnia strażnica i okręty Floty. No ale okrętów nie ma, oprócz naszego wysłużonego „Gryfa”, a wschodnia strażnica już dawno wyburzona, więc...

Wskazał za okno w stronę czarnego konstrukt kombinatu.

– No właśnie – zapytał Bennet – co z Kompanią? Jak rozumiem, też chcieliby uniknąć ataku, a przecież mają własnych ludzi...

Suchy śmiech gubernatora St Francis bardziej przypominał kaszel.

– A jakże, mają – powiedział mężczyzna. – Ale ich pierwszym obowiązkiem jest ochrona kombinatu. Zużyli cały poranek na wycofanie własnych jednostek do hangarów, a teraz czekają na stanowiskach. A miasto i jego mieszkańcy są odpowiedzialnością administracji Królestwa.

– Rozumiem. – Bennet pokiwał smutno głową.

Gubernator rozłożył drobne ręce.

– Nie ukrywam, że wsparcie „Lewiatana” bardzo by się przydało, gdyby piraci mieli tu wrócić.

– Oczywiście, że by się przydało. – Dowódca okrętu kiwnął głową. – Proszę się nie obawiać. Pozostaniemy w okolicy, aż nie będziemy pewni, że „Świt” jest daleko. Tymczasem jednak chciałbym rozejrzeć się po nadbrzeżach i w miarę możliwości zdobyć manifesty statków Kompanii. Jeśli piraci tu przybyli, to po coś i chciałbym wiedzieć, co to jest.

Z Trevelyanem i Hartleyem spotkali się w tawernie „Los Górnika”, parterowym, dawno nieremontowanym budynku o oknach brudnych od dymnego osadu i wszechobecnym mocnym zapachu warzyw i gotowanej ryby. Szczupli, jakby przykurzeni osadem miejscowi rzucali w stronę marynarzy krótkie spojrzenia znad misek. Gdziekolwiek przybysze zwracali wzrok, ściszone rozmowy milkły.

Wilson Bennet czuł się nieswojo. Nie dlatego, że był w jakimkolwiek sposób zagrożony. W atmosferze tego miejsca wyczuwał raczej smutną rezygnację, nie agresję – zresztą zwałista postać Hartleya mogła zniechęcić do walki każdego. Ożywienie zdawało się pojawiać w spojrzeniach i głosach miejscowych, tylko kiedy patrzyli oni w stronę małych okienek wychodzących na nadbrzeże i port. Kapitan „Lewiatana” przez chwilę sądził, że chodzi o jego okręt, widoczny poprzez zaczynający padać deszcz, ale szybko zorientował się, że nie mógł się bardziej mylić. Nikt nie podziwiał dumnej sylwetki „Lewiatana” stojącego opodal nadbrzeża. Zamiast tego bywalcy „Losu Górnika” obserwowali niebo, gęstniejące chmury i zielone ściany wzgórz. Wypatrywali „Szkarłatego Świtu”, ostatniego okrętu, który stawiał opór ich królowej i jej flocie.

– Mój informator – powiedział zapytany o postępy porucznik – twierdzi, że to, co robi kapitan Caravaggio, to ostatnio jej typowe otwarcie w St Francis. Pojawia się przed nosem obrony, odskakuje, a potem jej ludzie kontaktują się z kupcami.

– Kontaktują się? Jak?

– Przez niego, oczywiście. Posłańcy Caravaggio wiedzą, gdzie mieszka. – Trevelyan wzruszył ramionami. – Tak jak ja.

Bennet westchnął lekko.

– To nie było pytanie do pańskiego informatora – powiedział spokojnie. – To było pytanie do pana.

Porucznik uśmiechnął się krzywo i zabębnił opuszkami palców po stole, ale skinął głową.

– Zwykle Caravaggio jest w stanie przerzucić ludzi do dowolnego osiedla, które nie jest otoczone obsadzonym murem – wyjaśnił. – Startują łodzią, lądują gdzieś poza polem widzenia wież strażniczych, pod St Francis podchodzą pieszo, pod osłoną nocy. Mają ze sobą dalekopis i race. Docierają do miasta i ustalają spotkanie a potem pilnują, żeby wszystko przebiegło zgodnie z planem.

– I miejscowi nie rozpoznają obcych? – zdziwiła się O'Malley.

– Od tego jest noc, wtedy wszyscy są dość podobni. – Devon Trevelyan popatrzył na nią z politowaniem. – No i, nie bójmy się tego powiedzieć, to nie jest tak, że ludzie od razu biegną na skargę do gubernatora. Odkąd zaczęła się ekspansja Kompanii i wojna, nie za dużo dóbr płynie z Królestwa na pogranicze, a już na pewno nie są to dobra powszechnie dostępne. Wiele osób pamięta czasy, kiedy ze stolicy dostarczano tu dobra przypominające im, że są częścią największego imperium na świecie. Takie fanty na ogół można znaleźć na statkach bogatych importerów. Albo Kompanii.

– Więc wspierają rozbój. – Pierwsza oficer „Lewiatana” skrzywiła wargi pogardliwie.

– Widzą zmiany w swoim świecie i uważają, że są na gorsze – odparł Trevelyan. – Kapitan Caravaggio, która wystąpiła z Floty i walczy z Kompanią, dla wielu jawi się jako symbol oporu wobec tych zmian. Ludzie są prości.

– I dają się wykorzystywać – prychnęła Harfijka.

Na dworze, jakby świadoma tematu rozmowy, ponurym przeciągłym wyciem odezwała się syrena zmianowa kombinatu. Zagrzmiało, wzmagający się wiatr uderzył kroplami narastającego deszczu o brudne szyby.

– Co można powiedzieć o sytuacji – Devon Trevelyan zaśmiał się cicho – kiedy ludzie wolą układać się z rozbójnikami niż z suwerenem?

Milczący Hartley zacisnął zęby, a siedząca obok niego pierwsza oficer wyraźnie chciała coś odpowiedzieć, ale Bennet powstrzymała ją gestem. Nie zamierzał dopuścić do utarczki dwójki oficerów, zwłaszcza że miał nieprzyjemne wrażenie, że Trevelyan w niej zwycięży. Pogranicze faktycznie zmieniło się w wyniku powstania kombinatów. Z punktu widzenia Korony na lepsze, bo przecież czarne, dymiące monstra Kompanii dostarczały o wiele więcej tak potrzebnych surowców. Z punktu widzenia samych mieszkańców sytuacja wyraźnie nie wyglądała tak różowo, szczególnie teraz, kiedy pochłonięta wojną Korona nie interesowała się nimi zbyt.

– Kupcami? – zapytał, zmieniając temat – Jest więcej niż jeden?

– Za moich czasów ten jeden wystarczył, ale jak rozumiem, zmieniło się to wraz ze zwiększonym popytem na towary. – Devon Trevelyan wzruszył ramionami. – Ostatnio Caravaggio przewozi głównie narzędzia, żywność, czasem tkaniny, dobre drewno, metal.

Może trudno w to uwierzyć, ale mało który paser chce się babrać w takim towarze.

– Więc komu je sprzedaje? – zdziwiła się O'Malley.

– Tego się nie dowiedziałem. – Drugi oficer „Lewiatana” rozłożył ręce. – Ale dowiedziałem się czegoś, co może pomóc.

Kapitan spojrział na niego pytająco.

– Wiem, gdzie zatrzymują się ludzie Caravaggio, kiedy trafiają do miasta. – Oficer uśmiechnął się drapieżnym, wilczym uśmiechem. – Oni i ich dalekopis.

Wilson Bennet odetchnął i z trudem powstrzymał wypelzający mu na usta uśmiech. Oto, być może po raz pierwszy, zaczął czuć, że ma szansę odzyskać inicjatywę.

Do parterowego budynku stojącego na obrzeżach miasta oddział piechoty okrętowej zbliżył się na pokładzie dwóch strumieniowych łodzi, rozmytych szarych sylwetek w strumieniach ulewy. Szli nisko nad budynkami, wykorzystując prądy materium od strony jeziora i uważając, by wiatr nie zniósł ich na mijane w odległości zaledwie stóp dachy. Bennet, przemoknięty do suchej nitki mimo płaszczka i trójgraniastego kapelusza, cieszył się z aury – mieli duże szanse zaskoczyć piratów, zapewne przecież świadomych obecności okrętu liniowego w porcie, a zatem czujnych. Sternicy prowadzili obie łodzie odważnie, szybko, starając się jak najbardziej skrócić czas podejścia. I zapłacili za to.

Oddział Benneta był niecałe sto jardów od celu, kiedy rzucona nagłym porywem wiatru łódź Trevelyana uderzyła o dachówki warsztatu szewskiego i przejechała po nim, zrywając brudnoczerwone płytki i łamiąc ster. Bennet słyszał krzyki piechoty i trzaski kadłuba, kiedy konstrukcja odbiła się kilka razy jak piłka pomiędzy ścianami bliskich budynków, by wreszcie z hukiem uderzyć o ziemię zaledwie dwadzieścia kroków od kryjówki rabusiów. Huknął przeładowany kondensator, zamigotała i trzasnęła widmowa płaszczyna żaglochwytu. Bennet zaklął w duchu. Sądząc po gniewnych okrzykach, żołnierze prawdopodobnie przetrwali kraknę, ale pewnie minie dłuższa chwila, nim się po niej otrząsną

– Od drugiej strony! – krzyknął do sternika, gestykulując przy tym, gdyby wiatr chciał go zagłuszyć. – Szykować broń!

Źle, źle, źle, powtarzał sobie po cichu. Nie dadzą rady, nie było szans, by tamci nie usłyszeli. Zaraz uciekną w jedną z licznych wąskich uliczek...

– Naprzód! – Wrzask Trevelyana przebił się nawet przez huk wiatru. Bennet obrócił się z niedowierzaniem, by zobaczyć, jak jego drugi oficer wyskakuje ze zrujnowanej łodzi ze szpadą w dłoni, wyciągając kogoś za mundur. Obok widział zwałistą sylwetkę Hartleya i jeszcze dwóch żołnierzy w łopoczących płaszczach i z karabinami w dłoniach. Załoga rozbitej łodzi, jakby poderwana okrzykiem oficera, nagle odżyła. Piąta, szósta, siódma sylwetka wyskoczyła z wraku, rzucając się pędem w stronę kryjówki.

– Łąduj! – wrzasnął Bennet, czując, jak powraca mu nadzieja. Sternik zatoczył koło i obniżył lot dokładnie w momencie, kiedy dwie postacie wypadły przez drzwi po przeciwnej stronie budynku prawie wprost pod kadłub łodzi, zupełnie nieświadome jej obecności. Niewiele myśląc, Bennet skoczył.

Wylądował na ramionach wyższej z postaci, upadając wraz z nią na ziemię. Poczul ostry ból w nagle obciążonych nogach, ale wiedział, że zatrzymać się nie może. Przetoczył się i poderwał dokładnie w momencie, w którym sztych szpady drugiego z piratów trafił w miejsce, gdzie kapitan był jeszcze przed uderzeniem serca. Bennet dobył szpady w samą porę, by osłonić się przed kolejnym atakiem. Przeciwnik, szybki jak błyskawica, uderzył wypadem. Kiedy oficer złożył zastawę, tamten rzucił się naprzód, nisko, niemalże cyrkowym wślizgiem, uderzając prawie przy samej ziemi. Kapitan odruchowo zastawił się, ale robiąc kolejny krok w tył, stracił równowagę, potknął się i uderzył potylicą o mur budynku. Zawirowało mu w głowie, dłoń nagle zdrętwiała na rękojęści szpady. Tamten natychmiast wypatrzył chwilowe otępienie oficera i sięgnął do pasa. Dowódca „Lewiatana” dostrzegł jeszcze przez plamy latające mu przed oczami wydobyty pistolet i wiedział już, że to koniec.

Strzał jednak nie nastąpił. Celujący w niego pirat zwiotczał nagle i upadł, ukazując sylwetki dwóch żołnierzy i kolejne wyskakujące z lądującej łodzi. Bennet odetchnął z ulgą, uniósł dłoń, by dać znać swoim, że wszystko w porządku, po czym powoli osunął się na ziemię.

Dom, który pełnił funkcję kryjówki bandytów, nie był magazynem ani sklepowym kantorem. Meble były zniszczone, ale pedantycznie czyste, koło drewnianego cebra leżała skrzynka, na której ułożono poszczerbione talerze i dość losowy konglomerat noży. W sąsiedniej izbie ludzie Hartleya znaleźli drewniane zabawki i posłanie z wшитymi fragmentami kolorowych tkanin, sądząc po kroju – raczej starych ubrań. Pod solidnym stołem, na którym postawili odebrany piratom dalekopis, stała skrzynka narzędzi, solidnie już spracowanych. Jedyna znaleziona lampa była mocno już nadwyreżona zębem czasu, ale ciągle dawała czysty, jasny blask. Wszędzie pachniało wilgocią z przemoczonych płaszczy i mundurów.

Dwójka piratów siedziała na zydlach otoczona przez sześciu żołnierzy – pozostali trzymali posterunki na zewnątrz domu, lub też, ranni po upadku łodzi, byli przewożeni na pokład „Lewiatana”. Mężczyzna, na którego głowie wylądował Bennet, rosły drab cały jakby złożony z ostrych kątów i z opatrunkiem przesłaniającym pół twarzy, nadal zdawał się częściowo tylko przytomny. Ciemnoskóra kobieta o posturze tancerki i wściekłych brązowych oczach wręcz przeciwnie. Przypominała napiętą sprężynę, gotową do skoku. Jej spojrzenie było skupione tylko na jednej osobie – stojącym naprzeciw Devonie Trevelyanie.

– Wiemy, że jesteście tutaj, żeby ustalić spotkanie handlowe. Domyślamy się, że zapewne już to zrobiliście. Chcemy wiedzieć gdzie, kiedy i z kim. – Wilson Bennet przesunął dłonią po obolałej głowie. – Możemy ustalić to bez waszej pomocy, jeśli będzie trzeba. Po prostu będzie to o wiele bardziej pracochłonne. Wy możecie nam oszczędzić tej pracy i jestem gotów się za to odwdziżyć.

Wielki mężczyzna z wyraźnym wysiłkiem splunął na podłogę, a kobieta spojrzała na kapitana z pogardą.

– Żeby być jak ten tu parszywy kundel? – Ruchem głowy wskazała na porucznika. – Prędej zginę.

Bennet skinął na Hartleya, który podał mu ciężką torbę, znalezioną w zajmowanej przez piratów izbie. Wyjął z niej masywny metalowy obiekt.

– Rozpoznajesz to? – zapytał. Kobieta milczała, jej towarzyszy powstrzymał syknięcie przez zęby. Bennet kontynuował: – Materiumowy ładunek górniczy. Drogi, ciężki, niewygodny,

wymaga mocnych wpływów materium, by zadziałać. Na statku nieprzydatny. Po co wam to?

– Odsprzedajemy. – Tym razem odezwał się mężczyzna, szybko, z wysiłkiem, jakby chciał uprzedzić młodszą dziewczynę. – Nie dowiesz się nigdy, komu.

Kapitan zmrużył oczy, przyjrzał się piratowi. Zważył ładunek w dłoni.

– Nie sądzę, żeby ktoś inny niż Kompania potrafił zrobić z tego użytek. – Przyjrzał się zielonkawemu zabarwieniu powłoki i otworom zapalnika. – A przecież zapewne właśnie Kompanii to ukradłicie... Chyba że jest gdzieś jakiś niezależny kombinat.

Odpowiedziało mu milczenie i spojrzenia – wyzywające dziewczyny i lekko otepiałe, lecz jakby kpiące mężczyzny. Wilson Bennet westchnął.

– Wierzę, że jesteście lojalni – powiedział spokojnie. – Ale przecież ginąć nie musicie. Jesteście młodzi. Mogliście dać się ogłupić kapitan Caravaggio, słyszałem, że to charyzmatyczna osoba. Piracki okręt... Dla wielu to może być szansa wyrwania się z domu. Osiągnięcia prawdziwej wolności. Naprawdę to rozumiem.

Odsunął sobie zydę i usiadł naprzeciw kobiety.

– Ale przecież wiecie, że nie można tego ciągnąć w nieskończoność. Królestwo chce spokojnego wydobycia z Regionu Drake'a. Nie chce tu piratów i wytępi ich, choćby w każdym porcie miał stać liniowiec taki jak „Lewiatan”. „Szkarłatny Świt” to piękny okręt, ale czy jest sobie w stanie dać radę z silnikowcem? Czy jest w stanie stanąć samojeden naprzeciw potęgi Królestwa? Jego czas przemija. Kapitan Caravaggio może z tym walczyć, ale przegra. Zginie we wraku waszego okrętu lub zostanie schwytana i zawiesznie. Wy nie musicie.

Milczenie i pełne nienawiści spojrzenie. Ile ta dziewczyna mogła mieć lat, szesnaście? Nawet jej ewidentnie starszy towarzysz nie wyglądał, jakby przekroczył dwudziestkę. Dzieci. Dzieciom łatwiej nienawidzić.

– Szanuję waszą lojalność – mówił dalej. – Ale przecież musicie wiedzieć, że czasy się zmieniają. Widzieliście, ile broni było w ładowniach „Mewy”, którą tak sprytnie uprowadziliście z Diamond Rock. A to dopiero początek. Kompania jest teraz znaczna siłą, nawet wy musicie to widzieć. Wkrótce uzyska prawo do uzbrajania swoich frachtowców, do dział i panczerzy. Do pójścia z wami na wojnę. Ile możecie uciekać?

Spojrzenie młodej piratki przepełniała pogarda.

– Ile będzie trzeba. Nawet kiedy zamienicie ostatnie pograniczne osiedla w niewolnicze fabryki, będziemy walczyć i trwać, będziemy śmiać się z was i strącać wasze okręty jak w Diamond Rock – powiedziała tym charakterystycznym tonem, jaki młodzi ludzie rezerwują dla odezów i prawd natchnionych. – Krok przed wami. Wolni.

Trevelyan pokręcił głową w niemal widocznym zażenowaniu, Hartley westchnął ciężko. Ktoś parsknął śmiechem, ale natychmiast zamilkł, kiedy Bennet rzucił mu ostre spojrzenie.

– Piękne ideały – powiedział kapitan „Lewiatana”. – Ale nie dla was. Panie Hartley, zabierzcie dziesięciu ludzi i zacznijcie przeszukiwać okolicę. Niech wszyscy myślą, że nasi dzielni piraci nam uciekli. Reszta, wpakować rannych na łódź razem z jeńcami. Wracamy do fortu.

– Tak jest. – Podoficer skinął na swoich ludzi. Żołnierze zarzucili kaptury i wyszli w ulewę. Pozostali siłą postawili dwójkę więźniów na nogi i wywlekli ich do mniejszego pomieszczenia, po czym wyszli przygotować łódź do lotu. W pomieszczeniu pozostali tylko Bennet i Trevelyan.

– Ktoś udostępnił im to miejsce – zauważył porucznik.

Bennet pokręcił głową.

– Jeśli nie powie pan, że jest inaczej, przyjmuję, że ani Caravaggio, ani jej ludzie nie spowiadają się miejscowym kontaktom ze szczegółów swojej działalności. Zdecydowanie interesuje mnie bardziej to, co wie ta dwójka, niż to, co wiedzą przypadkowi mieszkańcy St Francis. Ale nie sądzę, żeby był powód robić coś tutaj.

Podszedł do okna. Widział przez nie wąską uliczkę, nad którą niedawno lecieli. Czarny kształt rozbitej szalupy skryty w strumieniach deszczu wyglądał jak przyczajona w ciemności bestia. Próbował dojrzeć fort, ale w tych warunkach ledwo dostrzegał odległy błądny blask latarni prowadzącej na szczyt wieży. Westchnął. Byłoby naprawdę dobrze, żeby jeńcy zaczęli mówić, kiedy już trafią pod opiekę zawodowców z fortu. Ta noc była absolutnie idealna na potajemne spotkania.

Do koszmarnego deszczu dołączył nieprzyjemny, nasilający się wicher. Szalupa wioząca dwóch oficerów, kilkunastu mniej lub bardziej potłuczonych żołnierzy oraz parę jeńców zataczała się niezgrabnie w powietrzu, podchodząc do lądowania na dziedzińcu. Ten

był niemal pusty, a fort widziany z wysokości murów jawił się im, nie licząc blasku światła w kilku oknach, niemal opuszczony.

Ładowali twardo, w dodatku łapiąc jakiś nieprzyjemny strumień materium, który przemieścił Łódź dobre kilkanaście metrów, zanim udało się złożyć żaglochwyty. Dopiero wtedy na krużgankach pojawił się pierwszy wartownik. Przez chwilę Bennet sądził nawet, że lepiej by wyszli, przewożąc wszystko od razu na przechylającą się pod ciosami wichury okręt. Szybko jednak dowodzący garnizorem St Francis kapitan Nicholls, klnąc swoich ludzi, na czym świat stoi, zorganizował kilkunastu żołnierzy, światła i kilka par noszy. W niemal jednej chwili w rytm pokrzykiwań oficera przypominającego z postury niedźwiedzia, a z aparycji ciężkiego kryminalistę pusty wcześniej dziedziniec zamienił się w ognisko dobrze zorganizowanej pracy. Szalupę pospiesznie przymocowano do gruntu kołkami, jeńcy wywędrowali do cel, ranni do lazaretu, a wszyscy pozostali – na stołówkę.

Na samego gubernatora musieli niestety poczekać, gdyż – jak oznajmił im Nicholls – sir Ferris nie wrócił jeszcze z wieczornej inspekcji oddziału pozostawionego na nadbrzeżu. W głosie oficera brzmiały zakłopotane tony sugerujące, że być może gubernator ma więcej niż jeden powód potencjalnego nocowania w mieście. Przekazał jednak, że każe jak najszybciej wysłać po niego gońca.

Bennet i Trevelyan udali się w towarzystwie Nichollsa do salonu oficerskiego, w którym naprędce napalono i gdzie mieli wygodnie poczekać na przybycie gubernatora. Drugi oficer proponował, by złapali trochę snu.

– To miło, że miejscowy garnizon tak dobrze wie, gdzie można znaleźć pryncypała, nawet kiedy ten nie do końca jest na stanowisku – zauważył z krzywym uśmiechem rozparty w fotelu Trevelyan. Podniósł kieliszek sherry i spojrzał nań pod światło. – Nazwałbym to praktycznym podejściem do tajemnic.

Stojący przy wychodzącym na jezioro oknie Nicholls łypnął nań nieprzyjemnie, ale milczał.

– Prywatne życie sir Ferrisa nas zupełnie nie interesuje. – Bennet zgromił podwładnego wzrokiem. – Istotna jest tylko jego znajomość terenu. „Świt” ma zbyt dużo towaru, żeby przewieźć go łodziami, a nie wszędzie może podejść, zwłaszcza przy takiej pogodzie.

– Przy takiej pogodzie „Świt” nie będzie ryzykował podejścia. Za łatwo o uszkodzenie.

– Za pozwoleniem, panowie – rozległ się bas Nichollsa. – Piraci właśnie lubią taką pogodę i często próbują zbliżyć się do St Francis podczas nocnych sztormów. Nie wiem, jak jest wtedy ze sterowaniem, ale za to można podejść praktycznie wszędzie i nie być zauważonym. Oni to cenią bardziej niż bezpieczeństwo lotu.

Bennet, jakkolwiek niechętnie, musiał zgodzić się z opinią kapitana. Księżyc był całkowicie przesłonięty przez chmury, a rzucane wiatrem strumienie deszczu sprawiały, że nawet blask lamp tonął w zachłannej ciemności. Przez okno fortu z trudnością był w stanie dostrzec mocne światła sygnalizacyjne „Lewiatana”, które kazała zapalić dowodząca teraz na liniowcu O'Malley. On sam prawdopodobnie próbowałby skorzystać z takiej nocy.

– Pogoda za to idealna do nocnej bitwy – powiedział. – Prądy materium nierówne i rwane, „Świtem” musi się bardzo trudno sterować, celowanie z dział też prawie niemożliwe.... Dobra noc na abordaż.

– Abordaż? – zdziwił się Nicholls. – Myślałem, że macie ich po prostu strącić.

Wilson Bennet westchnął.

– To skomplikowane – odparł, odstawiając kieliszek na stół z ciemnego polerowanego drewna. – Admiralicja ma szczególne podejście do kapitan Caravaggio. „Szkarłatny Świt” był kiedyś jednostką Floty o nazwie „Nieugięty”, a rdzeń jego obecnej załogi – marynarzami Królestwa. Ale Caravaggio wznieciła bunt i przejęła okręt, zostając wkrótce najbardziej nieuchwytnym piratem w Regionie. A potem po prostu jedynym.

– To chyba tym bardziej należy ją strącić z nieba, kiedy to tylko możliwe – nie poddawał się Nicholls.

– Ależ nie – wyjaśnił Bennet. – Strącenie z nieba to śmierć dla oficera marynarki. Ona jest zdrajczynią i piratką. „Lewiatan” nie przypadkiem został wyznaczony do tej misji. To nowoczesny, szybki, dobrze opancerzony liniowiec, który praktycznie nie musi obawiać się ostrzału „Świtu”. A naszym celem jest w miarę możliwości abordaż, schwytanie żywcem jak największej liczby piratów i transport ich do Diamond Rock, gdzie poniosą karę za swoje czyny.

Mina Nichollsa wyrażała pełen zadumy szacunek.

– Nieźle są, za pozwoleniem, na nich cięci.

– Istotnie, kapitanie Nicholls, można tak powiedzieć – przyznał dowódca „Lewiatana”. – I Korona, i Kompania Handlowa, zwłaszcza teraz, po porwaniu „Mewy” i jej ładunku. Obecnie dla Victorii jest absolutnie kluczowe, żeby pokazać, że piractwo w Regionie nie będzie tolerowane, i zniechęcić jakichkolwiek potencjalnych naśladowców.

Kapitan piechoty pokiwał głową ze zrozumieniem, a siedzący przy stoliku Trevelyan uśmiechnął się drapieżnie i pociągnął łyk sherry.

– Oczywiście nic z tego nie zrobimy, dopóki nie dopadniemy jej w powietrzu – powiedział były pirat, wyciągając się wygodniej w fotelu. – A nie zanosi się na to.

Wilson Bennet rzucił raz jeszcze okiem przez okno na szalejącą zawieruchę, w której nawet ostry blask reflektora „Lewiatana” był teraz zupełnie niewidoczny. Podwładny miał rację – dopóki pogoda nie poprawi się choć trochę, nie było co liczyć na nocne starcie ani nawet na nocną nawigację.

Nie wiedział, że pierwszy akt dramatu St Francis w ogóle nie rozegra się w powietrzu.

Gubernator wrócił tuż przed świtem, kiedy ściana deszczu praktycznie zanikła, a absolutna niemal czerń nocy ustąpiła szarości nadchodzącego brzasku. Pozostał jednak wiatr. Drzewa przyginały się pod jego naporem do ziemi, mała bandera na widocznym w oddali „Lewiatanie” łopotała wściekle, widoczni teraz w mieście ludzie przemykali między budynkami, zgarbieni jak starcy. Ciężki, kryty wóz, którym gubernator wracał do fortu, łopotał płätami brezentu, a dziesiątka eskortujących go żołnierzy pięła się z wysiłkiem po błotnistej drodze powoli, przytrzymując poły płaszczy i kapełuszki. Natychmiast zawiadomiono Nichollsa, Benneta i Trevelyana i otwarto bramę.

Kiedy wóz wjechał na dziedziniec, asystujący gubernatorowi porucznik natychmiast zeskoczył na ziemię jako pierwszy i pomógł zsiąść szaremu ze zmęczenia pryncypałowi. Wyprostowany jak struna Nicholls zaszalutował.

– Panie gubernatorze – powiedział głośno, bez trudu przebijając się ciężkim basem przez zawrodożenie wiatru. – Załoga oczekuje na rozkazy.

– Dziękuję. – Bennet bardziej domyślił się słów szczupłego mężczyzny z ruchu jego ust niż je usłyszał. – Chodźmy do środka.

Obrócił się w stronę swoich ludzi i powiedział do nich coś zapewne dotyczącego rozładunku, bo dwóch wzięło konie za uzdy.

Wtedy właśnie wydarzył się wypadek, prawdopodobnie spowodowany niedokładnym uwiązaniem żaglochwyków na szalupie „Lewiatana”. Nagle Bennet dostrzegł migotanie rozłożonej płaszczyzny i cały stateczek chwycił natychmiast ostry prąd materium, niemal unosząc się w powietrze. Liny, którymi był uwiązany, napięły się, a chwilę potem puściły wbite w rozmięktą ziemię drewniane kołki. Prąd działający na na wpół rozłożony żaglochwyk był zbyt słaby, by unieść szalupę w powietrze, wystarczający jednak, by cała łódź potoczyła się po ziemi, lecąc wprost na wóz i gubernatora. Pierwsi w zagrożeniu zorientowali się Nicholls i towarzyszący sir Ferrisowi porucznik. Ten drugi był jednak bliżej, więc to on otoczył ramieniem przełożonego i rzucił się z nim naprzód, poza zasięg sunącej ku nim coraz szybciej szalupy. Pozostali żołnierze także zdążyli się rozpiierzchnąć – oprócz dwójki, która prowadziła konie. Ci połapali się dopiero wtedy, gdy szalupa była już zaledwie o kilka kroków od rżących w przerażeniu zwierząt. Ani oni, ani konie nie mieli szans. Tocząca się już teraz szalupa uderzyła w nich z całym impetem, miażdżąc, łamiąc kości, wreszcie przewracając wóz i rozsypując skrzynie ładunkowe. Wizg koni i przeraźliwy krzyk miażdżonego człowieka były jakimś cudem idealnie słyszalne mimo wiatru. Szalupa nie zatrzymała się, podskoczyła tylko na przewróconym wozie, przeleciała kilka metrów w powietrzu i uderzyła o mur fortu, gdzie zamarła, świecąc upiorną czerwoną plamą na pokieroszowanej burcie.

Krzyk przeszedł w donośne gulgotanie, po czym zniknął rozmyty w zawodzeniu wiatru.

Żołnierze Nichollsa rzucili się w pozbawionej perspektyw próbie pomocy kolegom, w jednej chwili wypełniając dziedziniec. Trevelyan ruszył w stronę leżącego w błocie gubernatora, Bennet natomiast stał nieruchomo, czując, jak mięśnie odmawiają mu posłuszeństwa.

Nie patrzył ani na ciała ludzi i konające konie, ani na podbiegających żołnierzy w czerwonych kurtkach pod rozwianymi szarymi płaszczami, ani nawet na rozbitą szalupę. Patrzył na rozsypane skrzynie. I na wyraźny czarny napis „Mewa” na każdej z nich. A potem przeniósł wzrok na gubernatora, który patrzył teraz prosto na niego.

– Trevelyan! – ryknął, kiedy tylko odzyskał głos.

– Poruczniku Stern! – krzyknął jednocześnie sir Ferris.

Jakimś cudem obaj zrozumieli od razu. Pistolet pojawił się w ręku Trevelyana jakby znikąd, ale zanim oficer zdążył wycelować, już miał przystawione do gardła ostrze pałasza. Bennet dobył broni, wymierzył w pierś skupionego na Trevelyanie Sterna. Impas trwał dobrą sekundę, a potem kilku żołnierzy przy wozie wymierzyło z kolei w niego. Reszta rozglądała się zdezorientowana, wyraźnie nie wiedząc, co ze sobą począć.

– Rzuć broń! – wrzasnął Stern.

Trevelyan tylko się skrzywił.

Dowódca „Lewiatana” dobył pałasza wolną ręką, ale dokładnie wtedy ruszył dotychczas nieruchomy Nicholls, który wy dobył pistolet i wycelował w Benneta. Wielki palec kapitana zadrżał na spuście. Rosły oficer strzelał oczami na prawo i lewo, jakby usiłując zorientować się w sytuacji.

Bennet zacisnął zęby, przygotowując się na strzał. Zaraz zginie, potem zabiją Trevelyana. Ich ludzie byli albo w lazarecie, albo w koszarach i niczego się nie spodziewali. Reszta załogi... Może O'Malley ich z tego wyciągnie.

Wzrok Nichollsa nagle zatrzymał się na skrzyni. Na twarzy kapitana wymalowało się zdumienie, potem zrozumienie. Wreszcie gniew. Olbrzym odwrócił się na pięcie i wymierzył w Sterna.

– Garnizon, do mnie! – ryknął.

Stern obrócił się i wypalił w dowódcę garnizonu, Nicholls nie zdobył się na wystrzał, ale nie trwał beczynnym. Już leciał na ziemię, błyskawicznie pomimo masy ciała, tak iż kula podwładnego świsnęła gdzieś nad nim. Porucznik sięgnął po drugi pistolet przy pasie, ale nagle zacharczał i opadł na kolana z nożem Trevelyana w gardle. Drugi oficer Benneta zawirował na pięcie i wystrzelił do najbliższego z żołnierzy. Dwie kolejne kule trafiły w burtę przewróconego wozu. Wilson Bennet rzucił się naprzód w błoto. Nad nim wybuchła kanonada. Któryś z żołnierzy wystrzelił z murów w kogoś na dziedzińcu i natychmiast sam dostał postrzał, z krzykiem waląc się w dół. Potem rozległo się więcej strzałów, błoto dziedzińca zagotowało się od uderzeń rozgrzanych kul.

Bennet nie zwracał na to uwagi. Skoczył w stronę odczołgującego się sir Ferrisa. Gubernator zorientował się, gdy kapitan był tuż przy nim. Sięgnął do boku, ale w tym samym momencie dowódca „Lewiatana” przyłożył mu ostrze pałasza do gardła.

– Skończ to! – wrzasnął.

Gubernator milczał jak zakłęty. Niedaleko rozległ się czyjś wrzask, a potem basowy, przypominający ryk niedźwiedzia krzyk Nichollsa.

– Skończ to!

Kula trafiła w ziemię pomiędzy Bennetem a gubernatorem St Francis. Dopiero to wywołało reakcję drobnego mężczyzny.

– Stać! – krzyknął donośnie. – Wszyscy stać! Nikt nie strzela!

– Nie strzelać, gamonie! – zawtórował mu dziki ryk Nichollsa.

Sir Ferris wstał powoli, ciężko, jakby przygięty wyjąłym wichrem. Jego szary ubłocony płaszcz falował w powietrzu na podobieństwo skórzastych skrzydeł. Bennet podniósł się na nogi. Wokół leżeli zabi- ci i ranni. Konie również były cicho. Strzały zamilkły, pozostawiając dziedziniec fortu w objęciach zawodzącej zawieruchy.

Gabinet gubernatora był miejscem, które kiedyś musiało być prze- sycone luksusem. Czas jednak stopniowo odzierał go z bogactwa, aż wreszcie pozostawił jedynie wyraźne wspomnienie niegdysiejszego przepychu, jak w starym domu upadłego szlacheckiego rodu.

– Ośmiu zabitych – mówił zaskakująco cichym głosem Nicholls.

– Dziewięciu rannych. Załoga fortu prawdopodobnie przez długi czas nie będzie mogła walczyć razem. Może nigdy.

Spojrzał na siedzącego za biurkiem gubernatora. Drobnny człowie- czek milczał od czasu uspokojenia sytuacji na dziedzińcu. Był teraz jakby zapadnięty w sobie, mniejszy i szczuplejszy niż wcześniej. Był też smutny. Ale, ku zaskoczeniu Benneta, nie przestraszony.

– Gdzie znajduje się „Szkarłatny Świt”? – zapytał dowódca „Lewiatana”. – Jak jest uzbrojony? W jaki sposób się komunikujecie?

– Dlaczego pan zdradził, sir? – wybuchnął Nicholls. W pytaniu kapitana było coś z niezrozumienia dziecka opuszczonego przez rodziców.

– To przecież proste – powiedział Trevelyan cicho i zimno, sze- rokim gestem omiatając gabinet. – Odpowiedź ma pan wszędzie do- około. St Francis upada, przechodzi na użytek Kompanii. Sir Ferris był kiedyś bogaty, ale przestał. Być może dochód z mieszkańców jest mniejszy. Być może sir Ferris ma drogie rozrywki. Albo kogoś, komu kupuje prezenty.

Spojrzał na gubernatora z sardonicznym uśmieszkiem.

– Ludzie, którzy nie mają tego, czego potrzebują, wyskrobiają skądś pieniądze. Kompania też zapłaci za odzyskany sprzęt. Wystarczy tylko mieć odpowiednio zaufanych pośredników.

– Powód jest teraz nieważny – powiedział Bennet spokojnym głosem. – Panie gubernatorze, proszę odpowiedzieć. Gdzie znajduje się...

– To nieprawda. – Siedzący za stołem mężczyzna nie patrzył ani na Benneta, ani na Trevelyana, skupiając się na Nichollisie. – Powód jest wszystkim.

Trzech mężczyzn zamarło, patrząc na szlachcica. Głos sir Ferrisa był mocny, zdeterminowany, pewny.

– Moi ludzie – mówił gubernator – ciężko pracowali dla Korony. Byłem tu z pierwszymi osadnikami St Francis. Budowaliśmy to miejsce razem. Sam przekonywałem tutejszych farmerów i hodowców, że najlepszą dla nich drogą jest rozwój wydobywania, że tak zbudują potęgę Królestwa i własny dobrobyt. Żeby porzucili farmy, zbudowali huty, kopalnie. I razem zmieniliśmy pogranicze. Wydzieraliśmy ziemi jej bogactwa, wierząc, że służymy Koronie, tworzymy lepsze jutro. Że nasz los powiązany jest z nią. Ale postęp to zmienił. Kompania przy pomocy swoich kombinatów zapewniała wszystkie surowce, których potrzebowała Korona. Trzech robotników na silnikowej łajbie z automatycznym świdrem jest w stanie wykonywać pracę sześciu strumieniowych łodzi z górnikami. Nie możemy już remontować okrętów, bo nigdy nie było tu ciężkich doków i fabryk, a strumieniowce odchodzą. Moi ludzie nie mogą już wrócić do starego sposobu na życie, a nowy przestał być potrzebny. Kiedy zakładaliśmy St Francis, ściągaliśmy ludzi z okolicznych wiosek i farm, teraz ich nie ma. Kombinaty rosną. Korona korzysta z postępu. Nas on zabija.

Wilson Bennet prychnął, ale sir Ferris zgromił go wzrokiem i ku własnemu zaskoczeniu dowódca „Lewiatana” zamilkł.

– Nie ma pracy, nie ma nawet opcji pracy. Odejść nie ma gdzie, bo przecież ci ludzie mieszkali tu od zawsze. Co zrobią w stolicy? Ryby obumierają, zwierzęta uciekają przed hukami kombinatów, domy pokrywa pył. Pograniczu odebrano godność i nadzieję – mówił gubernator St Francis. – Teraz nieliczni są tylko trybami w maszynie, pozostali niepotrzebnym piachem. I nie chcą nimi być. Ale Korona nie dała im wyjścia.

– Zatem uciekają się do rozboju?

– Kapitan Caravaggio to honorowy oficer. Nie morduje ofiar, nie atakuje małych stateczków. Uderza na składy Kompanii i na

wojskowe magazyny. A dobra dostarcza w takie miejsca jak St Francis. Za to, czego potrzebuje, a jest tego mniej, niż by pan myślał.

– Honorowy oficer. – W głosie Nichollsa zabrzmiało coś pomiędzy żalem a wściekłością. – Zdradziła, przejęła okręt, napadła na niezliczone transporty, na cholerne Diamond Rock... Przez nią zginęli moi ludzie. Pańscy ludzie.

Westchnął ciężko i rozłożył bezradnie wielkie łapy.

– Co teraz będzie? – zapytał rzeczowo sir Ferris, kładąc szczupłe dłonie na biurku.

– Pan i ci z żołnierzy, którzy byli z panem przy wozie, traficie do celu – powiedział bezbarwnym głosem Bennet. – Pańskie obowiązki tymczasowo przejmie kapitan Nicholls. My będziemy kontynuować pościg, a kiedy już schwytałyśmy kapitan...

Nagle poprzez szum wiatru usłyszeli ostry, donośny dźwięk. Bennet i Trevelyan jednocześnie podbiegli do okna. Nie pomylili się.

Dzwon „Lewiatana” grał na alarm, widoczne z fortu drobne figurki marynarzy uwijały się jak w ukropie, szykując okręt do wyjścia z portu. Na horyzoncie, daleko, tuż pod pokrywą pędzonych wiatrem chmur, Bennet dostrzegł niewielki ciemny kształt.

„Szkarłatny Świt” szedł do ataku.

Pokieroszowana łódź osiadła na pokładzie w donośnym nawoływaniu dzwonu i pośród zorganizowanego chaosu przygotowania do alarmowego startu. Na pokładzie krzyżowały się okrzyki oficerów, marynarze przenosili amunicję, mocowali linami luźny sprzęt. Dźwięczały zamontowane na kominie tłumiki, wskazując na trwającą procedurę wzmacniania przepływu materium w silniku okrętu.

– Sierżancie Westham – rozkazał Bennet, zanim jeszcze podoficer piechoty morskiej, który wyszedł mu naprzeciw, zdążył zasalutować – proszę zająć się przygotowaniem żołnierzy, których mamy na pokładzie.

– Odesłać łódź po pozostałych?

– Nie. – Kapitan potrząsnął głową, idąc już dalej. – Nie mamy czasu czekać.

Oraz, pomyślał, być może lepiej mieć własnych ludzi w forcie. Nie wiadomo, jakie jeszcze niespodzianki mogą napotkać.

– Panie Trevelyan – powiedział, wbiegając na schody wiodące ku opancerzonemu mostkowi. – Proszę dopilnować przeniesienia skrzyń do mojej kabiny, potem dołączysz pan do mnie.

– Tak jest. – Porucznik kiwnął głową na marynarzy dźwigających skrzynki z odebranymi piratom znaleźskami.

Bennet spojrział w przejaśniające się po burzy niebo, na którym smukła sylwetka „Szkarłatego Świtu” sunęła gładko w ich stronę. Wiatr na moment rozwiął chmury i połyskliwe płaszczyzny widmowych żaglochwyków pirackiego okrętu zdawały się jarzyć w świetle wschodu słońca. Bennet musiał przyznać, że strumieniowiec Caravaggio robił niesamowite wrażenie, zwinniejszy, bardziej ulotny niż ciężki silnikowy „Lewiatan”. Ale to nie miało teraz znaczenia. Caravaggio nie udało się ich zaskoczyć, mieli nie mniej niż cztery mile dystansu między sobą i napastnikiem. Zdążą wystartować, a w powietrzu liniowiec nie da szans przestarzałej jednostce. Pirat musiała nadal tego nie widzieć, a kiedy się zorientuje, będzie zbyt późno, żeby uciec.

Chyba że coś pominął. Że jest pewna, iż działa, które unieruchomiły fregatę w Diamond Rock, przebiją się przez ciężiej opancerzony komin okrętu liniowego. Lub też szykuje jakąś inną niespodziankę.

– Kapitanie. – W głosie O'Malley był w stanie usłyszeć skrzętnie ukrywaną ulgę. – Silniki kończą kalibrację, pierwszy pokład działowy gotowy, drugi kończy przygotowania. Ładownia i pokład zabezpieczone. Za kilka minut będziemy mogli rozpocząć start. Żołnierze przygotowują się do abordażu, czekają tylko na Hartleya i jego ludzi.

Bennet odetchnął. Dopiero teraz, na pokładzie „Lewiatana” i po meldunku pierwszej oficer, że przygotowania idą bez komplikacji, uciskający go niepokój lekko zelżał.

– Nie będzie Hartleya, musimy załatwić abordaż załogą. – Wsparł dłoń na osłonie mostka. Harfijka uniosła brwi, ale nie skomentowała. – Co z fortem?

– Według przekazu porucznika Nichollsa przygotowują się do walki. Nadbrzeżne baterie tak samo.

Spojrzał z niepokojem w kierunku powiewającego na pirsie proorca „Lewiatana”.

– Panie Huxley, proszę wywiesić flagi „Utrzymać pozycję. Wróćmy do was po bitwie”.

– Tak jest.

Zdrada gubernatora robiła dziwne rzeczy z psychiką. Bennet obserwował żołnierzy Królestwa szykujących się do obrony miasta i zastanawiał się, czy i wśród nich nie kryje się wróg. Może nawet kapitan Nicholls? Nie, oficer był autentycznie zszokowany, widząc zdradę przełożonego. Teraz na pewno zrobi wszystko, żeby zmasać hańbę, jaką okryto St Francis.

Gdyby jednak miał się pomylić, oddział piechoty morskiej pod dowództwem Hartleya czekał na nadbrzeżu, tuż obok stanowisk armat. Żeby otworzyć ogień do „Lewiatana”, ewentualni zdrajcy musieliby pozbyć się najpierw ich. A to nie będzie ani łatwe, ani szybkie.

– Panie poruczniku... – Ascott wpadł na mostek, natychmiast jednak zauważył Benneta. – Znaczą, panie kapitanie, drugi pokład działowy melduje gotowość do walki.

– Doskonale. – Dowódca okrętu skinął krótko głową gońcowi, po czym zwrócił się do Backbury’ego: – Ruszamy, kiedy tylko maszynownia będzie gotowa.

Podniósł do oka lunetę i skierował urządzenie na odległego przeciwnika. Czy Caravaggio obserwowała teraz „Lewiatana”? Czy już wiedziała, że nie zdąży dopaść ich na wodzie? A może ciągle na to liczyła?

– Jest sygnał z maszynowni. – Głos Huxleya zlał się z donośnym dźwiękiem dzwonka łącznościowego. – Są gotowi do startu.

– Świetnie. Proszę rozpocząć. Panie Ascott, proszę udać się do mojej kabiny i sprowadzić porucznika Trevelyana, będą go potrzebował.

– Tak jest. – Młodzieniec obrócił się na pięcie i już go nie było.

Jeszcze kilka minut i będą w powietrzu, pomyślał Bennet, obserwując zbliżający się drapieżny kształt „Szkarłatnego Świtu”. Znajdą się w powietrzu i cały niepokój zniknie, zastąpiony zwykłą gorączką bitwy. Spojrzał na O’Malley, wspartą na relingu, starającą się jednocześnie omiatać wzrokiem pokład i przygotowujących się do bitwy marynarzy oraz zbliżający się w połysku żaglochwyków strumieniowiec.

Jak celne musiały być działa, które mogły trafić z dwóch mil w tak mały cel jak kanonierka Floty? Jak ciężkie, żeby zaszkodzić opancerzonemu przedziałowi silnikowemu? Czy tak samo poradzą sobie z o wiele cięższym liniowcem? Chyba nie, przecież gdyby Caravaggio była pewna zwycięstwa, już dawno by ich zaatakowała. Kluczowy musiał być element zaskoczenia – zakładała pewnie, że uderzy, gdy będą zajęci w forcie.

Okręt ruszył, powoli wykonując zwrot ku środkowi jeziora. Pancerny dziób zaczął rozcinać wodę, z tyłu pojawiły się białe smugi piany.

I wtedy na mostek wpadł Ascott, błądy jak ściana i z trudem łąpiący oddech.

– Kapitanie – wydyszał, a Bennet dopiero teraz zorientował się, że goniec nie był zmęczony, tylko wystraszony. – W kabinie... trupy... porucznik Trevelyan zniknął...

Słowa uderzyły kapitana jak celny cios obuchem.

– Co ty mówisz, Ascott? – Ostry głos O'Malley docierał doń jak przez grubą warstwę materiału. – Wyrażaj się jasno!

Myśli oficera gnały jak szalone. Porucznik Trevelyan, zrehabilitowany pirat. Jego rady, żeby pozostawić jak największy kontyngent w forcie do dopilnowania ludzi gubernatora. Zabici marynarze w kabinie. Dlaczego ich zabił? Przecież nawet jeśli chciał zdradzić właśnie teraz, wystarczyło wyjść z kabiny, nikt by go nie zatrzymał. Chyba że... chyba że chciał zrobić coś jeszcze. Coś, co niewątpliwie pomoże Caravaggio wygrać bitwę, może użyć tych niesamowicie celnych dział. Ale jak? Przed oczami kapitana stanęła kanonierka „Niezlomny”, trafiona dokładnie w momencie startu. I zeznania marynarzy, którzy widzieli trafienie. Trafienie? Nie! Widzieli eksplozję, uznali, że to trafienie, bo przecież w hałasie starego silnika okrętu nawet nie słyszeli strzałów. Ale przecież nie musiało tak być.

Miasto łatwo się infiltruje, ludzie są biedni i niezadowoleni, mówił sam Trevelyan. I faktycznie, nikt nie doniósł na dwójkę piratów na uboczu St Francis. W Diamond Rock musiało być podobnie. A „Niezlomny” był przecież obsadzany w trakcie alarmu, tak samo jak teraz oni. Ktoś mógł wejść na jego pokład i mu zaszkodzić. Bennet ze zgrozą pomyślał o skrzyni z ładunkami wybuchowymi. A potem o częściach silnikowych, wymienionych w manifeście „Mewy”.

– Panie Huxley, natychmiast zatrzymać start! – wydusił z siebie, niemal rzucając się ku schodom na pokład. – Pani O'Malley, za mną.

Okręt powoli rozpędzał się na tafli jeziora. Za plecami, na mostku, Bennet słyszał kolejny sygnał z maszynowni. A potem kolejny i kolejny. Gotowość do rozruchu. Maszyny stop. Cała naprzód. I znowu maszyny stop. Ciągłe, pozornie zupełnie bezsensowne informacje – jeśli nie wiedziało się, co znaczą naprawdę.

Oszukał nas, grała mu w głowie wściekła myśl. Rozegrał nas jak głupców.

– Kapitanie? – Harfijka truchtała obok niego z dłonią na rękojeści pałasza. – Mogę wiedzieć, dlaczego?

– Ponieważ, pani O'Malley, jesteśmy idiotami – odparł. – Ponieważ ja nim jestem. Ślepym idiotą.

Przebiegł przez pokład ku schodom wiodącym w zamknięte za stalowym pancierzem trzewia okrętu, gdzie pracowało serce „Lewiatana”, teraz bijące coraz szybciej w przygotowaniu do gigantycznego wysiłku, jakim był start. Przepływ strumienia materium rósł, korygowany przez baterię tłumików.

Kiedy przebiegali z O'Malley korytarz na pierwszym pokładzie, Bennet miał już pałasz w dłoni, a pokonując kolejne schody, dobył pistoletu. Szare, mocowane pierścieniem śrub drzwi były otwarte.

– Leć po Westhama – rzucił do O'Malley i wpadł do pomieszczenia.

W maszynowni było głośno i potwornie gorąco, powietrze drżało od energii pracującego materiumowego silnika, pulsujące i suche. Uderzyło Benneta niemal jak fizyczna przeszkoda, ale on nawet nie zwolnił. Stawka była zbyt wysoka.

Młodszy inżynier, midszypman Hotchkiss, leżał na podłodze, błądy i drżący. Zdarł z twarzy maskę i okulary, przerażone oczy patrzyły na dowódcę błagalnie. Na piersi uszytego z grubego materiału kombinezonu ochronnego wykwitła rozległa czerwonobrunatna plama, dokładnie wokół wąskiej rany po kordelasie. Chłopak umierał, mógł mieć przed sobą parę chwil, nie więcej. Bennet zrobił krok w jego stronę, kiedy zza masywnej obudowy silnika usłyszał wysoki brzdęk, a potem drugi i trzeci. Mignęła mu sylwetka w błękitnym mundurze. Rzucił się naprzód.

Dwóch mężczyzn walczyło w ciasnej przestrzeni pomiędzy elementami maszynierii, ostrożnie i z pełną determinacją. Devon Trevelyan, na

ugiętych kolanach, zwinny i niebezpieczny jak przyczajona puma, w jednej ręce trzymał kordelas, a w drugiej pistolet. Naprzeciw niego stał porucznik Winthorpe, niezgrabny w swoim grubym skafandrze maszynisty, dodatkowo spowolniony kilkoma ranami, które znaczyły materiał cienkimi liniami czerwieni. W szarych rękawicach ścisnął niemal trzystopową rękojeść klucza do regulacji tłumików, spod charakterystycznej sflaczałej czapeczki ciekły strumienie potu. Dokładnie w momencie, kiedy dowódca „Lewiatana” wychynął zza silnika, Trevelyan wyprowadził błyskawiczny atak w lekko wysuniętą naprzód nogę Winthorpe’a. Porucznik rozpaczliwie machnął kluczem i cofnął się, potknął, krzyknął krótko, opierając się o dygoczącą stalową rurę biegnącą przy ścianie pomieszczenia. Na jego kombinezonie przybyła kolejna szkarłatna linia.

– Trevelyan! – krzyknął Bennet, unosząc broń.

Pirat nawet na niego nie spojrzął, tylko szybkim, idealnie płynnym ruchem wyciągnął pistolet. Bennet rzucił się na pokład równocześnie z hukiem wystrzału, ogłuszającym w okutym stalą pomieszczeniu. Kula śmignęła mu tuż nad głową, strącając kapelusz, zagrzechotała na pancerzu. Kapitan poderwał się i skoczył naprzód z wyciągniętym pałaszem, lecz Trevelyan był o krok przed nim. Nagłym zwodem uniknął niezgrabnego ciosu Winthorpe’a i zwinnym, niemal tanecznym piruetem wyminął nacierającego dowódcę. Dowódca „Lewiatana” wykręcił się w skoku, z trudem zablokował nieprzyjemne pchnięcie w odsłonięty lewy bok. Miał teraz Winthorpe’a za plecami. Dobrze, bo inżynier już był ranny. Źle, bo licho porwało jakąkolwiek przewagę liczebną, a miał nieprzyjemne uczucie, że bardzo by się przydała.

Devon Trevelyan uderzył znowu, błyskawicznie, idealnie wyczuwszy tempo, Bennet postawił zasłonę, ale ostrze pałasza pirata było już gdzie indziej, szybkie i agresywne jak szerszeń. Poczłwał gwałtowny płomień bólu na przedramieniu. Ręka zdrętwiała nagle i z trudem utrzymał broń.

– Przykro mi, kapitanie. – Choć Trevelyan mówił głośno, jego słowa z trudem przebijały się przez hałas maszynowni. – Lojalność, sam pan rozumie.

Kapitan schylił się, nie spuszczać oka z byłego podwładnego, i przesunął się na jego lewą stronę, omijając wystające ze ścian rury i zawory.

– Powinniśmy cię byli powiesić.

Trevelyan zaatakował dokładnie w połowie wydechu przy ostatnim słowie, wyciągnąwszy się w wypadzie prawie na całą długość. Zadzwończył zderzające się ostrza pałaszy, zagrał ból w ramieniu dowódcy okrętu. Trevelyan napał znowu, wymuszając cofnięcie, a kiedy Bennet przygotował się na trzecie natarcie, nagle wykręcił się i uderzył, błyskawicznie jak atakująca żmija, w bok, w stronę, z której chciał go zająć porucznik Winthrope. Zaskoczony maszynista zawył, kiedy ostrze pałasza przebiło mu nogę na wylot. Trevelyan nie czekał, cofnął broń, zanim ranny Bennet zdołał wykorzystać opóźnienie, i już stał naprzeciw niego, ostrzem celując mu w podbródek.

– Być może powinniście.

– Teraz nie zrobimy tego błędu. – Bennet mówił pewnie, ale zdecydowanie się tak nie czuł. Pirat był o klasę lepszym szermierzem od niego i walka nie mogła potrwać długo. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak duży błąd popełnił, kiedy wysłał O'Malley po pomoc. Przynajmniej piętnaście sekund drogi na pokład, chwila na przekazanie rozkazu Westhamowi i jego ludziom, powrót... Porucznik zwyczajnie nie ma szans wrócić, nim jego przeciwnik pokroi go na plastry.

– Z całym szacunkiem, kapitanie – po Trevelyanie, nie licząc zacierwienionej z gorąca twarzy, nie było znać śladów zmęczenia – ale raczej proszę na to nie liczyć. Nie dam się zabić jak cielę w rzeźni.

Postąpił krok naprzód, potem drugi. Cofający się Bennet dojrzał kątem oka leżącą przy ciele Hotchkissa płócienną torbę, mignęła mu połyskująca w blasku żółtych lamp stalowa skorupa ładunku górniczego.

– Nie zdążyłeś wrzucić ładunku – powiedział, stając dokładnie na drodze pirata. – I już raczej nie zdążysz.

– Prawie pięć minut od uruchomienia silników do startu. Liczyłem. – Na spoconej twarzy Treveljana wykwitł krzywy uśmiech. – A dopiero wtedy przepływ jest na tyle silny, by detonować ładunek.

Porucznik lekko się skłonił, wywijając pałaszem fantazyjny zawijas dworskiego salutu i przykładając wolną pięść do piersi.

– Mam jeszcze czas.

Ostatnie słowo wypowiedział już w wypadzie, z niewygodnej pozycji w połowie ukłonu. Pałasz uderzył z prawej, szybkim, lecz prostym atakiem. Szermierczy instynkt kapitana zareagował natychmiast. Szeroką zastawą oficer obronił cięcie, obrotem osłaniając lewą

rękę sięgającą po pistolet. Był w trakcie ruchu, kiedy zorientował się, że tamten zrobił dokładnie to samo, ale o uderzenie serca szybciej. Rzucił się w bok, ale było już za późno.

Mignął ciśnięty w powietrzu nóż, który pirat dobył podczas ukłonu. Trafił kapitana w skoku, choć nie w pierś, gdzie celował, lecz w ramię. Bennet stłumił krzyk bólu, bezskutecznie starając się utrzymać broń. Pałasz z brzękiem upadł na obity stałą pokład. Obok o pokład uderzył pistolet. Trevelyan uśmiechnął się jakoś smutno i uderzył znowu, tym razem mierząc w gardło.

Strzał zatrzymał go w wypadzie, osadzając porucznika w miejscu, jakby trafił w niewidzialną ścianę. Devon Trevelyan zadrobił nogami, jakby próbował utrzymać równowagę. Upuścił pałasz, przysuwając dłoń do wyrwanej dokładnie w środku mostka rany.

– W walce... – W hałaśliwej maszynowni nie było szans usłyszeć szeptu, jakimś cudem dowódca „Lewiatana” wiedział jednak, jakie słowa padły.

– Kapitanie? – O'Malley podbiegła, by podtrzymać osuwającego się na pokład dowódcę. Czujnie omiotła wzrokiem maszynownię, by zatrzymać spojrzenie na torbie z ładunkami. Na jej twarzy pojawił się wyraz pełnego zgrozy zrozumienia.

– Czy...?

– Nie zdążył – uspokoił ją Bennet. – Gdzie reszta?

– Bardzo przepraszam, sir – odparła pierwsza oficer, jak zwykle prawie idealnie powtarzając jego własne myśli sprzed kilkudziesięciu uderzeń serca – ale zauróciłam w połowie drogi. Tak mi jakoś wyszło, że nijak nie dam rady ściągnąć pomocy przed końcem walki.

„Lewiatan” poderwał się z wody i skierował wprost ku idącemu półtorej mili z przodu „Szkarłatnemu Świtowi”. Caravaggio strzelała z wszystkich dział, lecz pociski nawet nie zbliżyły się do burt jednostki Floty. Armaty liniowca z kolei milczały załadowane, czekając na rozkaz.

– Powinna już wiedzieć – powiedziała O'Malley, wsparta na relingu i obserwująca zbliżającego się wroga. – W końcu wystartowaliśmy.

– Wie – odparł spokojnie Bennet, który uparł się, że będzie na mostku mimo gwałtownych sprzeciwów felczera. Teraz patrzył na zbliżający się okręt Caravaggio, którego dowódca była tak bliska

zwycięstwa z silnikowym liniowcem, jednym z najpotężniejszych okrętów królestwa. Co więcej, być może nawet próbowałyaby go zdobyć i wyreperować częściami, które ukradła z „Mewy”.

Ostateczny policzek dla Victorii. Niekwestionowane zwycięstwo starych czasów nad nowymi. Zapewne też ostatnie.

– Nie zauraca – zauważyła Harfijka. – Dobra nasza.

Wilson Bennet pokręcił głową i uśmiechnął się lekko. Pierwszy raz odkąd przybył do Regionu Drake’a doskonale rozumiał posunięcia swojej przeciwniczki, której nie było mu dane spotkać osobiście, lecz do której zdążył poczuć szacunek.

Nie dam się zabić jak cielę w rzeźni, dyszał Trevelyan w maszynowni, głosem zmęczonym, ale pozbawionym furii, po prostu stwierdzając fakt.

Pograniczu odebrano godność i nadzieję, mówił sir Ferris, gubernator St Francis, Teraz nieliczni są tylko trybami w maszynie, pozostali niepotrzebnym piachem. I nie chcą nimi być.

Co można powiedzieć o sytuacji, śmiał się Devon Trevelyan, kiedy ludzie wolą układać się z rozbójnikami niż z suwerenem?

– Ona nie chce uciekać – powiedział spokojnie. – Chce walczyć.

– Nie ma szans.

Skinął głową. Jego pierwsza oficer nie myliła się. Stary strumienowiec, choć piękny, miał nikłe szanse na zwycięstwo, ba, nawet na poważne uszkodzenie kadłuba „Lewiatana”. Ale jak nigdy wcześniej Bennet rozumiał, że Caravaggio będzie walczyć pomimo tego.

– Ascott. – O’Malley zwróciła się do gońca. – Natychmiast zawiadom sierzant...

– Panie Ascott, proszę poczekać – przerwał jej Bennet.

– Za pozwoleniem... – Pierwsza oficer spojrzała na dowódcę niepewnie. – Nie mamy części żołnierzy, sierzant musi uzbroić i przygotować działowych...

Uciszył ją spokojnym gestem rannej ręki.

– Panie Ascott, proszę zawiadomić sierzanta Westhama, żeby przeniósł kanonierów na pokład działowy. Piechota morską ma przygotować się do obrony pokładu. Wywiesić banderę bitewną!

Przygłodził brudny mundur, poprawił trójgraniasty kapelusz. Ignorując zaskoczone spojrzenie Harfijki i oficerów, sięgnął po lunetę i przyłożył ją do oka.

„Szkarłatny Świt” rozciął powietrze jak ostrze pałasza, wąski jak wrzeciono i majestatyczny jak łabędź. Połyskliwe powierzchnie żaglochwyków błyszczały w blasku poranka wszystkimi kolorami tęczy. Piracki okręt obracał ku nim prawą burtę, ukazując rozwiniętą banderę, bliźniaczą do tej, która powiewała na maszcie „Lewiatana”. Na widocznym mostku Bennet dostrzegł kobietę sylwetkę z lunetą w dłoni. Na głowie miała stary oficerski trójgraniasty kapelusz i, choć z tej odległości nie mógł być pewien, zdawała się uśmiechać dumnie i zawadiacko, tak jak wyobrażał sobie kapitan piratów.

I przez jedną chwilę, jedną bardzo krótką chwilę, nawet Wilsonowi Bennetowi zdawało się, że ta bitwa nie jest jeszcze rozstrzygnięta.

Skafander i melnik – ile wrót wyobraźni mogą otwierać te słowa, iloma ścieżkami opowieści poprowadzić, do ilu światów? Młodych autorów nie trzeba długo zachęcać, by porwali nas na fascynujące wycieczki. Powędrujemy od steampunku przez złowieszcze multiwersa i przestrzenie kosmiczne pełne niebezpiecznych planet. Spotkamy zwodniczo poczciwe sztuczne inteligencje, inżynierów i detektywów. Warto przyjrzeć się tej antologii. Być może w przyszłości wspomnimy jeszcze nazwiska autorów, którzy do niej napisali.

Zawsze lubiłem antologie oparte na jakimś pomysle, stawiające autorom wyzwania i tym samym stymulujące ich kreatywność. Zaskakuje mnie, ale i cieszy silna obecność fantastyki naukowej w zbiorze, jakby autorzy zebranych w nim opowiadań rzucali wyzwanie aktualnym trendom. Widać w niej także przebłycki renesansu fantastyki zaangażowanej, społecznej, która od niedawna powraca po latach uśpienia. „Skafander i melnik” to zdecydowanie zbiór wart czytelniczej uwagi.

Paweł Majka

Odkąd ujawniliśmy tytuł „Skafander i melnik” ludzie wciąż mnie pytają, czy „te opowiadania to jakiś steampunk”. Odpowiadam wtedy „Tak, to jest steampunk. To także SF, fantasy i teksty, które trudno zaklasyfikować. Ale przede wszystkim to po prostu bardzo dobre opowiadania. Różnorodne, napisane przez autorów mniej i bardziej znanych, zabawne albo poważne, ale zawsze interesujące, z pomysłem”. Teraz sami możecie się o tym przekonać.

Anna Kańtoch

wydawca:



patronaty:

